

JAN ANTONI HOMA

Altowiolista





Jan Antoni Homa



Jerzy Maksymiuk

Zdjęcie: Jerzygo Maksymiuka - Wiktor Wołkow

Świetna książka dla tych, którzy lubią rozwikływać interesujące kryminalne zagadki. Mogą to czynić razem z Bartoszem Czarnoleskim – muzykiem, a dokładniej, altowiolistą. Ow młody człowiek przypadkiem staje się świadkiem napadu na maestro Damiana Rucacellego, Eston. sprytny pies Bartosza (porzucony niegdys przez lotewskich albo estońskich gangsterów) wylawia z jeziora batutę cisniętą do wody przez dyrygenta. Tak oto Bartosz staje się właścicielem przedmiotu niezbędnego do rozsoplania zaskakującej historii, której korzenie sięgają 1939 roku i dalej.

Ostrzegam: naprawdę trudno się od książki oderwać!

Czytałem ją z tym większą przyjemnością, że akcja rozgrywa się w środowisku muzycznym. W wielu postaciach można dopatrywać się ich rzeczywistych pierwowzorów. Może i w moje cechy został ktoś wyposażony? Jedno jest pewne – niewątpliwie, jak maestro Rucacelli, zauważyłbym piękną wiolonczelistkę.

Jan Homa oplótł intrygę wieloma ciekawymi informacjami na temat orkiestry, muzyków, prób itp. Udało mu się przy tym nie zanudzać, nie przytłaczać szczegółami i tak interesująco pisać, żeby z przyjemnością czytali książkę zarówno ci, którzy nie odróżniają trąbki od puzonu (poszerzą swa wiedzę), jak i muzycy (to i owo przemysła).
I jeszcze jedno: polubiłem Bartosza i kudłatego Estonia!

Jerzy Maksymiuk



CENA: 32,00 ZŁ

JAN ANTONI HOMA

Altavialista

Wydawnictwo SOL



Copyright © Jan Antoni Homa

Redakcja:

Elżbieta Tyszkiewicz

Redakcja techniczna, skład, łamanie:

Dominik Trzebiński Du Châteaux

atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki:

Andrzej Brzezicki

Zdjęcia na okładce:

Wiktor Wołków

Jan Antoni Homa

Korekta: *Katarzyna Nowak*

ISBN 978-83-925879-6-5 Warszawa 2009

Wydawca:

Wydawnictwo SOL

Monika Szwaja

Sławomir Brudny

Mariusz Krzyżanowski

05-600 Grójec,

Duży Dół 2a

wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

www.wydawnictwosol.pl

Dystrybucja:

Grupa A5 sp, z o.o.

92-101 Łódź,

ul. Krokusowa 1-3

tel. (042) 676 49 29

handlowy@grupaa5.com.pl

Druk i oprawa:

ppolqraf www.opolgraf.com.pl

Język nasz nie posiada określeń,
które by dozowały niejako stopień realności,
definiowały jej gęstość.

Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*

IN

Lipiec

Skąpany w wieczornym słońcu, rozpościerający się ze wzgórza widok odrealniał rozmowę. Wydawało się, że prócz tego, co tu i teraz, nie istnieje już inny świat; jest zbędny. Ale spotkanie obu mężczyzn miało swoje korzenie w przeszłości, a owoce wydać mogło w przyszłości, w miejscu odległym i teraz tajemniczym.

Ci dwaj wiedzieli, że najważniejsze słowa zostały już powiedziane. Powoli rozplywały się w ciszy gasnącego dnia. Chłodne sfuso dopełniało harmonii.

- Jeszcze raz dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć - młodszy z mężczyzn przerwał panujące od dłuższej chwili milczenie.

- To ja panu dziękuję. Gdyby nikogo nie zainteresował artykuł w mało poczytnej, lokalnej gazecie - pewnie wszystko zabrałbym ze sobą do grobu. Wie pan, przez całe lata zastanawiałem się, co zrobić, czy spróbować samemu, czy zlecić komuś taką misję, czy też zostawić wszystko w mrokach niepamięci. Ale brakowało mi odwagi, a ludzie, z którymi rozmawiałem, nie traktowali mnie poważnie... Zresztą tyle rzeczy mogło się w międzyczasie wydarzyć. - Mężczyzna zamilkł; robił wrażenie zmęczonego emocjami, które odżyły w nim dzisiaj na nowo. Opuściło go jednak napięcie, tak wyczuwalne na początku rozmowy. Po chwili podjął myśl:

- Postanowiłem zrobić ostatnią próbę i poddać się jej wyrokowi: jeśli ktokolwiek zareaguje na zamieszczony w gazecie wywiad, a będzie osobą obdarzoną poczuciem elementarnej uczciwości i wzbudzi moje zaufanie, podzielę się z nim kilkoma kluczowymi szczegółami; brak odzewu odbiorę jako znak, by ostatecznie zamknąć drzwi do przeszłości i już nigdy ich nie otwierać. I wkrótce potem pan zadzwonił...

- Gdybym nie mieszkał w tym kraju, gdybym na stacyjce kolejowej nie kupił pliku gazet do wertowania w czasie podróży, gdybym nie zatrzymał wzroku na nazwie miasta, gdzie studiowałem i skąd jakiś czas temu otrzymałem zaproszenie do udziału w festiwalu... Zgodziłem się, choć nie byłem do końca przekonany, czy powinienem. Czy sentyment to wystarczający powód, aby wystąpić w miejscu położonym trochę z boku moich artystycznych ścieżek? Po rozmowie z panem wszystko jednak nabrało nowego sensu i kontekstu. I nie żałuję już swojej decyzji, przeciwnie, dostrzegam w niej ziarno przeznaczenia.

- Ze swej strony proszę pana tylko o jedno: bez względu na to, czy i co pan odnajdzie, niech pan już mnie w to nie miesza. Jedynym celem, jaki mi przyświecał, było rozliczenie się z pewnych spraw przed śmiercią. Proszę mi wierzyć; kiedy dzisiaj opuści pan mój dom, poczuję, że w miarę możliwości wyrównałem rachunki ze światem. Może za mało, może za późno, może za wiele powierzając przypadkowi, ale wyrównałem.

- Nie mnie oceniać pańskie postępowanie, ale niech mi wolno będzie powiedzieć, że sam pomysł i wysiłek, który pan podjął, zasługują na najwyższy szacunek. Za pańskim pozwoleniem, chciałbym jednak po powrocie odwiedzić pana i zdać relację z przebiegu i rezultatu poszukiwań.

- Nie, proszę, nie! Dla mnie ta sprawa zamyka się dzisiaj. A resztą... Zostawmy to opatrności.

Starszy mężczyzna wstał, dając najwyraźniej do zrozumienia, że czas na rozmowę dobiegł końca.

- Niech pan tego strzeże jak oka w głowie i pamięta, że któraś ze stron powinna kryć podpowiedź - powiedział, ściskając rękę gościa. - Bez tych kilku słów niczego pan nie znajdzie.

- Niech pan będzie spokojny; jest chyba czymś więcej niż tylko przypadkiem, że to trafiło właśnie w moje ręce? A reszta? Zgadzam się z panem; resztę zostawmy opatrności...

Gdy odjeżdżał zwirową alejką, w lusterku raz jeszcze ujrzał szczupłą, przygarbioną sylwetkę prześwieconą promieniami pomarańczowiejącego słońca.

TRO

Sierpień

- Signore, pan wybaczy, po prostu nie rozumiem, dlaczego nie chce pan podzielić się wiadomościami, których nie taił pan przed poprzednim gościem. - Ten sam taras, w blasku o dwa tygodnie starszego słońca, był miejscem kolejnej rozmowy.

- Nie, to pan musi mi wybaczyć; ja rozstałem się z tą sprawą, z tą przeszłością, z tym brzemieniem. Przestała dla mnie istnieć. W ogóle, nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi, skąd pan się o mnie dowiedział i czego pan ode mnie chce. - Starszy mężczyzna siedział w fotelu. Mimo gorącego wieczoru kolana przykryte miał pledem. Jego rozmówca przechadzał się po tarasie, paląc cygaro i strzepując popiół prosto na ziemię.

- Dowiedziałem się o panu z gazety; czy zainteresowanie czytelników zawartymi w artykule informacjami nie było pańską intencją? Stoję na czele dużej organizacji, która nie lubi rozgłosu, a interesuje się - nazwijmy to - dobrem publicznym. Do naszych obowiązków należy między innymi wyszukiwanie i zajmowanie się sprawami o dużej wartości... historycznej. Ta, którą opisał pan w gazecie, może do nich należeć, ot i cała tajemnica. A że pozwoliłem sobie niepokoić pana bez uprzedzenia? Ależ ja próbowałem się dodzwonić; niestety, bezskutecznie. Natomiast człowiek, który pana odwiedził, jest naszym dobrym znajomym. Nieskromnie mogę powiedzieć, że staliśmy za kilkoma z jego dokonań, finansując je, rzecz jasna.

- Dlaczego więc nie zwróci się pan bezpośrednio do niego?

- Artyści bywają roztargnieni, dlatego wolałem zdobyć informacje u źródła. Gdy jednak dowiedziałem się, że właśnie nasz przyjaciel jest osobą, która pana odwiedziła, uznałem to za więcej niż przypadek.

- Hm, ciekawe, niedawno słyszałem coś bardzo podobnego... - wypowiedziane półgłosem słowa nie uszły uwagi gościa.

- No, widzi pan! Najlepiej byłoby, gdybyśmy wspomogli naszego wspólnego znajomego w misji, bo, jak sądzę, o niej panowie rozmawiali. Dysponujemy odpowiednimi środkami i doświadczeniem.

- A on jeszcze czymś... - Starszy mężczyzna zorientował się, że był bliski powiedzenia o słowo za dużo.

- I widzi pan - natychmiast podchwycił rozmówca - właśnie o to coś nam chodzi.

- Źle mnie pan zrozumiał; tym czymś są dokładnie odczytane wskazówki, które zawarłem w artykule. Zresztą... każdy człowiek ma wolną wolę; jeśli zechce, podzieli się z wami tym, co wie, to jego osobista decyzja. Niech pan jednak zechce zrozumieć; wszystko działo się tyle lat temu, nie wiadomo, czy cokolwiek przetrwało w niezmienionej formie. Czasami zresztą zastanawiam się, czy to przypadkiem nie czas wypaczył moją pamięć, każąc wierzyć w twory własnej wyobraźni?

- A to już stoi w sprzeczności z precyzją opisu, która uderza w pańskim wywiadzie. Zresztą, załóżmy, że jest tak, jak pan mówi; czy, wobec tego, zasadne byłoby milczenie na temat legendy?

- Ale przecież ja ją właśnie opowiedziałem! - Znużenie starszego mężczyzny było coraz widoczniejsze.

- Reasumując: artykuł stanowi kompletny zapis informacji, zaś pański poprzedni goś dysponuje ich dokładnym wytłumaczeniem. Czy dobrze rozumiałem?

- Sam nie potrafiłbym tego lepiej ująć. A teraz, wybaczy pan, chciałbym odpocząć... - Starszy człowiek nie bez trudności podniósł się z siedziska.

- Ależ oczywiście. Nie dowiedziałem się wiele, cenię sobie jednak czas, który zechciał mi pan poświęcić. - Tym kurtuazyjnym zdaniem młodszy z mężczyzn przygotowywał grunt pod ostatnią próbę. - Jest jeszcze jedna rzecz, o której ma pan prawo nie wiedzieć. Czy przypomina pan sobie rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy, rok pańskiego przyjazdu do Włoch? Poszukiwał pan wówczas kogoś, kto byłby skłonny udzielić mu pomocy w uzyskaniu nowej tożsamości. - Starszy mężczyzna spojrział na rozmówcę z błyskiem nowego zainteresowania w oku i ponownie opadł na fotel. - Otóż, tak się składa, że osobą, która panu pomogła, był mój ojciec. A nasza rodzina przechowuje w pamięci zarówno dobroczyńców, jak i dłużników. I, jak pan sam rozumie, nie mówimy tu tylko o pieniądzach. Czy to coś zmienia?

Gospodarz zamyślił się głęboko. Po chwili zaczął przyglądać się rozmówcy, jakby pragnął odnaleźć w nim *cień* sylwetki sprzed lat.

- Zgoda, nie mówmy o pieniądzach; nie wiem, czy pańskie kroniki rodzinne przechowują dane o kwotach zawieranych transakcji. Niech mi pan wierzy, ta była niemała. Nie czuję się dłużnikiem; mam wrażenie, że dokonaliśmy wówczas obopólnie korzystnego interesu. Wygląda więc na to, że pańska rodzina nie zajmuje się wyłącznie - jak pan to ujął - dobrem publicznym. - Starszy człowiek ciągle przyglądał się wytrwałemu rozmówcy.

- Indywidualnym też. Ale to chyba w kraju pańskiego pochodzenia obalono mit, że szczęście jednostki należy spalić na ołtarzu szczęśliwości powszechnej?

- Tak, tak, w pewnym sensie ma pan rację. Cóż zresztą warte są wszystkie teorie, kiedy żadna z życiowych sytuacji nie jest tożsama z inną... Oczywiście, pamiętam pańskiego ojca. On naprawdę dał mi przepustkę do nowego życia. Nigdy więcej go już nie widziałem, ale w jakiś sposób stał się jego częścią.

Mężczyzna zdawał się rozważać coś w myślach.

- Jeśli miałbym gwarancję, że nie chodzi panu o osobistą korzyść...

- W to proszę nie wątpić. Sprawa, o której rozmawiamy, interesuje mnie z czysto historycznego punktu widzenia. Wdzięczność i dobre imię powetowałyby w zupełności wysiłek i środki, jakie mógłbym zaangażować w wyjaśnienie sprawy.

Gospodarz milczał. Być może te słowa go nie przekonały. W końcu przemówił:

- Ujmę to tak: jeśli nasz wspólny znajomy zgodzi się na współpracę, niech pan mu powie, że pewna część tajemnicy znajduje się poza kluczem. Wiedza, którą na ten temat posiadam, jest czysto teoretyczna, a jej wartość bliska zeru. Praktyczną zabrał ze sobą mój wielki wspólnik i - chciałbym go nazwać - przyjaciel, ale boję się, że byłoby to z mojej strony nadużycie. Niech mu pan więc powie, że ostatnie zdanie, które usłyszałem, a którego nie chciałem w całości przytoczyć w wywiadzie, brzmiało tak: „...mój korytarz ma być jeszcze raz otwarty, a potem to już muszą pójść szlakiem patrona...”. Nie wiem i nigdy nie domyśliłem się, co to za patron i kim byli oni... I to jest moje ostatnie słowo. Ostatnie zdanie opowieści, które chciałem zachować wyłącznie dla siebie... Ale może i dobrze, że tak się stało. Mam uczucie, jakbym się uwolnił z ziemskich więzów. Żegnam pana. Niech będzie, co ma być...

- Do zobaczenia. Kto wie? - Mężczyzna w białym garniturze uśmiechnął się. - Niech mnie pan nie odprowadza.

Przed domem wsiadł do zaparkowanej limuzyny, dając znak kierowcy, że może jechać. Innemu, stojącemu obok samochodu mężczyźnie skinął głową.

DUK

Sierpień

- Damiano, amico mio, znamy się nie od dziś. Coś sobie chyba zawdzięczamy, prawda? To nieładnie nie podzielić się z przyjaciółmi czymś cennym, choćby to była tylko wiedza, ale my, umysły wolne i otwarte, wiemy, że ponad wiedzę nie ma nic cenniejszego, czyż nie tak?

- Sądziłem, że nasze kontakty ograniczamy do spraw czysto zawodowych...

- O-gra-ni-cza-li-śmy, Damiano, ograniczaliśmy, lecz kiedy pojawia się okazja, że i ty możesz być dla nas użyteczny...

- Czy byłem w błędzie, uważając, że układ jest korzystny dla obu stron?

- Proszę, nie przerywaj mi; otóż gdy pojawia się taka okazja, ty udajesz, że nie wiesz, o co chodzi. Aha, à propos obustronnej korzyści: czy nie przyszło ci do głowy, że nasz kapitał można by uwiarygodnić na szereg innych sposobów, niekoniecznie w związku i przy udziale twojej szacownej osoby? Jeśli tak się nie dzieje, to dowodzi, że prócz miłości do sztuki powoduje nami sympatia do ciebie. Kto inny tak skutecznie sponsorowałby karierę artysty - spojrzal z lekką ironią - z dalekiego kraju, choć o swojsko brzmiącym nazwisku? Zanim więc powiesz ostatnie słowo, zastanów się, amico mio, kto tak naprawdę może stracić na twoim uporze...?

Rzeczywiście, nieustępliwość oponenta zdawała się z wolna kruszeć.

- Po pierwsze, poruszamy się tylko w sferze domniemań, może legend, a może schorowanej i sfrustrowanej wyobraźni starego człowieka - zaczął, lecz rozmówca od razu wszedł mu w słowo:

- Jeśli tak, to nikt nie zyska, ale i nikt nie straci, a na pewno nie wystawimy na szwank wzajemnej sympatii i zaufania.

- Po drugie, to miał być rodzaj misji zadość czyniącej, której się podjąłem, obdarzony pełnym zaufaniem...

- Chyba nie tylko zaufaniem?

Spojrzenia obu mężczyzn na ułamek sekundy się spotkały. Ale trwało to tak krótko, że równie dobrze mogło być przypadkiem.

- Posłuchaj, amico, my też z nim rozmawialiśmy! Wydawał się zachwycony faktem, że otrzymasz od nas wsparcie.

Tym razem spojrzeli sobie w oczy bez pośpiechu, jakby próbując wyczytać, co kryje się pod powierzchnią słów.

- Sprawdzę to; zadzwonię do niego, albo wręcz jeszcze raz tam pojedę.
- Oczywiście, zrób tak. - Rozmówca poparł z entuzjazmem ten pomysł.
- Po trzecie, nawet, jeśli misja miałaby przynieść jakąś korzyść, to na pewno nie taką, jaką ty masz na myśli...
- A, to już nieładnie, wręcz niegrzecznie; skąd nasz przyjaciel raczy wiedzieć, co wielbiciel jego talentu ma na myśli?
- Bo w przeciwnym razie nie interesowałby się przedsięwzięciem z gatunku non profit.
- Powiedzmy, że wszystko na tym świecie ma wartość... relatywną. Jako ludzie biznesu, ale i sztuki, jesteśmy chyba w stanie oddzielić walory historyczne od finansowych? I to wydaje mi się jedynym, rozsądnym kompromisem. Który nie zmusi nas do zmiany wzajemnych relacji: z przeszłości i na przyszłość. Czy wyraziłem się jasno, amico mio?
- Cholernie jasno! Chciałbym tylko usłyszeć, jak to sobie wyobrażasz w praktyce? Powołamy zespół ekspertów do wyceny wartości rynkowej i naukowej?
- Damiano, nie doceniasz nas. Nie doceniasz naszej wiedzy, erudycji i dobrej woli. I tego, że nie jesteśmy małostkowi. Ty po prostu zrób swoje, a jak już coś będziesz wiedział, to moi ludzie pomogą ci w ocenie oraz... wszystkim, co okaże się niezbędne. I oczywiście w - nazwijmy to - transporcie. Aha, jeszcze jedno: nie próbuj grać na własną rękę, bo ktoś z nas będzie zawsze w pobliżu; wszak obecność zagranicznych gości jest na takim festiwalu rzeczą naturalną? I pamiętaj, że stary nie szczędził nam szczegółów, o których w artykule nie było mowy. Ale wszystko w swoim czasie.
- Don Pasquale, proszę, przestań już. Jesteś jak zawsze niemożliwie precyzyjny. Nalej lepiej tego wybornego brandy i wypijmy za... sztukę.
- Dla ciebie wszystko, maestro...

CJA

Wrzesień

- Andrea, are you from Krakowice?
- Maj nejm is Jędrzej, Jen-drzej, patrz na usta, mówię wyraźnie.

W oczekiwaniu na rozpoczęcie posiedzenia grupa młodych europarlamentarzystów raczyła się poranną kawą. Niektórzy wertowali gazety. Jeden z nich zmrużył oczy i z ukontentowaniem cmokając, zamruczał:

- Mmm, lavazza, nie ma to jak dobra kawa o poranku - po czym wyraźnie już dodał: - OK, Jenze, ale nie o to chodzi. Czy ty jesteś z Krakowic?

- Tak, a czemu pytasz?

- A słyszałeś o facecie, który ostatnio udzielił wywiadu w naszej lokalnej gazecie? On też stamtąd pochodził.

- Nie, nie słyszałem, zresztą takich jak on jest pewnie wielu. A co z nim?

- Takich jak on wielu nie ma, zresztą jego też już nie ma; został znaleziony w swojej posiadłości. Martwy.

- Co, znowu afera z pracownikami sezonowymi? - Jędrzej nie odrywał wzroku od gazety.

- Andrea, co z tobą? Od kiedy to pracownicy sezonowi mieszkają w tokańskich willach? Naprawdę nie słyszałeś o facecie, który opisał tajemnicę sprzed lat? Zresztą, faktycznie, to było tylko u nas i chyba nikt nie wziął tych bzdur na poważnie...

- A możesz być nieco bardziej konkretny? - Jędrzej wykazał w końcu odrobinę zainteresowania.

- Andrea, sorry, Jenze, wiesz co? Ja gdzieś mam jeszcze ten artykuł; po prostu ci go przyniosę.

- I przetłumaczysz? - spytał z powagą Jędrzej. - Postawię ci grappę. - I przetłumaczę. Jak mi przywieziesz dzubrowkę. Grappę to ja mogę sobie sam postawić.

- OK, masz u mnie żubrówkę. Ale pod warunkiem, że ten artykuł jest coś wart.

- Ile jest wart, tego nie wiem. Ale interesujący, sam zobaczysz.

Dzwonek wzywał do sali plenarnej. Kawiarniane stoliki z wolna pustoszały, za to poselskie ławy zaczęły wypełniać się jedynym w swoim rodzaju melanżem narodowości, poglądów i intelektów.

Parlament europejski rozpoczął obrady.

Rozdział I

Niedziela

Nie mogłem się uspokoić. Ciągłe targał mną bezmiar emocji, zapisanych w każdej z beethovenowskich partytur. Pamięć odtwarzała fragmenty koncertów i wyłapywała strzępy fraz, którymi żyłem przez ostatnie dwa tygodnie, choć to coda z *IX Symfonii* - finał finałów - jak wichher unosiła się nad moją głową.

Oczywiście mogłem pójść na bankiet. Wypić coś dobrego, coś smacznego przekąsić. Nabrać trochę dystansu do muzyki, która wypełniała mnie, jakbym był jakimś naczyniem do przechowywania skroplonych dźwięków. Zafundować sobie cezurę między pracą wykonaną a oczekującą.

Wbrew pozorom bankiety w życiu muzyka to rzadkość; nie mówię oczywiście o imprezach prywatnych, w odniesieniu do których to wytwornie brzmiące słowo ma charakter najwyżej ironiczny. Ale tak, żeby było dużo ludzi, odświętna atmosfera i kelnerzy z tacami pełnymi apetycznych przekąsek i przyzwoitego zazwyczaj wina musującego - bo nazwy szampan nie odważyłbym się jednak użyć - to już nie zdarza się często, takie okazje mogą przytrafić się na tournée, zwieńczyć festiwal i... to chyba tyle. A wtedy wystarczy przeczekać parę okolicznościowych tekstów i wychodzi się na prostą konsumpcyjną.

Przy okazji mogłem porozmawiać z paroma osobami, dać się zauważyć; strategia, którą w obliczu zbliżających się przesłuchań przyjęłoby wielu kolegów, znajdujących się w podobnej sytuacji. Ale ja nie. Nawet możliwość spotkania mistrza i zamienienie z nim paru słów - choć sam nie wiem, na jaki temat - nie była wystarczającym powodem, by zmienić wcześniej powziętą decyzję.

No dobrze; przeżyłem moment wahania, którego imię brzmiało... Wiolonczelistka. Ale przecież i tak bym do niej nie podszedł, a ona, otoczona wianuszkami zachwyconych kolegów, i tak by mnie nie zauważyła.

Nie, nie mogłem pójść na bankiet, bo od następnego ranka musiałem zacząć Ćwiczyć. Właśnie tak - Ćwiczyć, przez duże Ć; nie - poruszać bezmyślnie palcami, ale rozpocząć prawdziwą, ciężką pracę nad ostatecznym doszlifowaniem konkursowego programu.

Długo wahałem się, czy przyjąć propozycję udziału w festiwalu, bo chwila nie wydawała się odpowiednia. Może to zabrzmie paradoksalnie,

ale żeby zdobyć stałą posadę w orkiestrze, powinienem był na pewien czas zrezygnować z okazjonalnego w niej grania.

Ale... No właśnie jak to w życiu: zawsze jest kilka ale...

„Ale” podstawowe mówi, że nie odmawia się orkiestrze, która proponuje współpracę na tak zwane kwity. Lista muzyków, do których mogą się zgłosić, jest długa, i bardzo szybko można znaleźć się na jej dole. Stąd już tylko krok, aby wylecieć poza nią, co równa się prawdziwej katastrofie.

Drugie „ale” jest najzupełniej prozaiczne, ekonomiczne czy wręcz bytowe. Będąc pozbawionym stałych dochodów, nie można lekceważyć okazji, która zapewnia - bądź co bądź - konkretny dopływ gotówki. A choć życie w świecie idei i artystycznych kreacji kuszące jest i piękne, to i przyziemna część naszej natury ma swoje prawa, których imiona to: jedzenie, mieszkanie, a nawet bardziej wysublimowane, takie jak: ubrania, kosmetyki - wbrew pozorom, a może i faktom niekiedy, mężczyźni również ich używają - o płytach czy książkach już nie mówiąc.

Trzecie „ale” dotyczy poczucia profesjonalnej przyzwoitości: o ile w pewnych sytuacjach odmówić można, a nawet wypada, szczególnie gdy propozycja dotyczy udziału w produkcji pospolicie zwanej chałturą, a jej wymiar materialny ma przysłonić, używając eufemizmu, niedobór walorów artystycznych, o tyle etyka zawodowa nie pozwala odrzucić możliwości zagrania ambitnego artystycznie programu, z dobrą orkiestrą, ciekawym dyrygentem i/lub solistą. Dla przykładu: można - czy wręcz należy - odrzucić ofertę udziału w wieczorze piosenki biesiadnej, ale nie wypada uczynić tego w przypadku *Pasji wg św. Mateusza* Jana Sebastiana Bacha, choć - wiem, że trudno w to uwierzyć - pierwsza ze wspomnianych imprez byłaby prawdopodobnie bardziej opłacalna pod względem finansowym.

Tym razem sytuacja była zupełnie wyjątkowa: dziewięć symfonii Beethovena, rozpisanych na pięć festiwalowych wieczorów, pod dyktando kwiatu krajowych i zagranicznych mistrzów batuty... Temu nie można się było oprzeć, to było coś więcej niż zazwyczaj - prawdziwe artystyczne wyzwanie i przygoda. I dlatego choć powinienem ćwiczyć, ćwiczyć i tylko ćwiczyć, bo czas pozostały do konkursowych zmagania można już było liczyć w dniach, zdecydowałem, że wezmę udział w beethovenowskim cyklu, a zaległości nadrobię szaleńczą pracą w ostatnim, bezpośrednio poprzedzającym audycję, tygodniu. I właśnie dlatego nie mogłem pójść na bankiet; nie należał już do części artystycznej, choć zaręczam, że dla wielu byłby to dopiero jej właściwy początek.

A oprócz tego czekał na mnie pies. I jemu coś się od życia należało; wieczorny spacer, trochę wspólnego pobycia w domu... Ostatnio nie było z tym najlepiej.

Czy zresztą moja obecność na bankiecie coś by zmieniła? Może, w myśl teorii, że trzepot skrzydeł motyla nad Amazonką, uruchamiając łańcuszek konsekwencji, powoduje lawinę w Himalajach. Ale, patrząc trzeźwo, chyba nie. Dynamika zdarzeń, które wkrótce miały mnie porwać w swój wir, musiała być już spora. Wystarczająco duża, aby toczyć się siłą rozpędu. Zresztą, kontynuując metaforę lawiny, przypadek może ją wywołać, ale nie zdoła jej zatrzymać. Co powiedziawszy, stwierdzam jednak, że bankietowy akces ograniczyłby zapewne mój osobisty udział w sprawie lub zgoła go wyzerował.

Wyruszyłem więc w kierunku domu, który na szczęście znajdował się niedaleko. Późnolistopadowy śnieg z deszczem kazał mi się wzdrygnąć na myśl, że osiągnąwszy za chwilę suchą i przyjazną przystań mieszkania, raz jeszcze będę musiał ją opuścić. Widoczny w oddali gmach filharmonii pulsował światłem, życiem i odświętnością. Może jednak trzeba było zostać...

Z plakatu przyczepionego do słupa ogłoszeniowego, spojrzały na mnie diabolicznie oczy maestro Damiana Rucacellego. To on dostąpił zaszczytu dyrygowania koncertem finałowym - *IX Symfonią d-moll op. 125*. Chociaż, przepraszam, sformułowanie wyjątkowo niefortunne; przecież to my dostąpiliśmy zaszczytu grania pod jego batutą...

Opuściwszy centralny skwer, który z jednej strony prowadził do parku, a z pozostałych otoczony był należącymi do lepszej części świata obiektami, na czele z filharmonią, teatrem i wspinałymi, również secesyjnym hotelem, udzielającym gościny wybranym tylko dyrygentom i solistom - Damianowi Rucacellemu na pewno - a w którym nas, zwykłych muzyków stać było najwyżej na cukier do kawy, znalazłem się na ulicy wiodącej już bezpośrednio do domu. W naszym dużym małym mieście wszędzie było blisko, przynajmniej w starym centrum, w obrębie którego udało mi się kiedyś cudem, do dzisiaj to powtarzam, wynająć poddasze w dwupiętrowej kamienicy. Na dole znajdował się antykwariat; pierwsze i drugie piętro zajmowali antykwariusz i jego rodzina, czyli żona i matka. Starsza pani, mieszkająca wyżej i rzadko kiedy - jeśli w ogóle - opuszczająca swoje lokum, miała ponoć słuch na tyle przytępiony, że nawet ćwiczenie na puźnie nie robiłoby na niej wrażenia. Antykwariusz i jego żona należeli natomiast do rzadkiego gatunku ludzi lubiących, gdy ktoś w ich pobliżu gra na instrumencie, byle nie był to syntezator lub - cytuję - inne mechaniczne urządzenie produkujące nienaturalne dźwięki.

Kiedy przed pół rokiem poszukiwałem mieszkania - a było to wkrótce potem, gdy Eston stał się częścią mojego życia - wydawało się, że stanąłem przed zadaniem z gatunku niemożliwych. Samotny muzyk z olbrzymim

psem - ta informacja i ten widok natychmiast spędzały uśmiech z oblicza właścicieli lokali przeznaczonych pod wynajem.

Z poprzedniego lokum musiałem się wynosić i to szybko. Usytuowana na parterze mrówkowca kawalerka przez pewien czas wydawała mi się szczytem marzeń; to było moje pierwsze samodzielne mieszkanie. Ale w miarę upływu czasu, gdy moim ćwiczeniom - nawet w ciągu dnia - zaczęły towarzyszyć dobrosąsiedzkie uderzenia bądź kopnięcia w drzwi, w tak wyrafinowany sposób ilustrujące stosunek do uprawianej przeze mnie profesji - przysłała pora na weryfikację początkowego zachwytu. Przyjąłem wówczas taktykę dwutorową: po pierwsze, nie przejmować się i robić swoje; a po drugie, używać, zwłaszcza w późniejszych godzinach, tłumika hotelowego, który nadaje brzmieniu altówki barwę i moc niezwykle osłabionego komara. Oba te rozwiązania były nieidealnym kompromisem, choć na pytanie: czy kompromis idealny jest możliwy? - odpowiedziałbym: tak, wszakże pod warunkiem istnienia czarnej bieli. (A jednak istnieje ona; słyszałem, że jest jednym z wielu możliwych odcieni koloru białego, bez trudu rozpoznawanego przez Eskimosów...).

Właściciele kawalerki musieli zapewne wysłuchiwać wielu skarg pod moim adresem. Ja czułem się niewinny; jedynym przestępstwem, które popełniałem, było ćwiczenie, a wpajano mi przez lata, że to największy obowiązek muzyka, większy nawet niż koncertowanie, bo wystąpić publicznie bez ćwiczenia nie sposób, natomiast ćwiczyć bez koncertowania można; ot, taka prosta hierarchia ważności. Podejrzewam więc, że szukano możliwości, by pozbyć się dziwnego lokatora; gdyby normalnie pił czy trochę się tam poawanturował, to można by go jakoś przełknąć, ale on taki jakiś dziwny, mąci tym swoim graniem...

No dobrze, zgadzam się, przesadziłem z goryczą i troszkę przeinterpretowałem rzeczywistość. Ale naprawdę było mi gorzko; nie czułem się misjonarzem kultury, pragnącym nawracać mieszkańców bloku, ale pewnej życzliwej neutralności miałem chyba prawo oczekiwać? Albo i nie miałem...

Gdy więc któregoś dnia pojawił się u mego boku duży pies, wiedziałem, że wizyta gospodarzy - w oczywistym celu wymówienia kawalerki - jest wyłącznie kwestią czasu. Myliłem się tylko co do jednego: z mieszkania miałem się wynosić, a nie je opuścić, i to ze skutkiem natychmiastowym, łaskawie rozciągniętym do tygodnia, zamiast po upływie umownego miesiąca.

Zmuszony do bezzwłocznego rozpoczęcia poszukiwań, czułem, jak z każdym kolejnym telefonem uchodzi ze mnie powietrze. Albo pies, albo instrument, o których postanowiłem - by nie tracić czasu i nie rozdmuchiwać złudzeń - od razu informować, zamykały dalszą dyskusję.

Gdy w końcu trafiałem na kogoś, dla kogo powyższe fakty nie miały znaczenia, to cena okazywała się absurdalna lub lokalizacja tak odległa, że - przy braku samochodu - absolutnie nie do przyjęcia. Kiedy dzwoniłem, pies przyglądał mi się uważnie z bezpiecznej odległości, mając jakby świadomość, że moje rozmowy dotyczą naszej wspólnej przyszłości. Ostrożne zaufanie, którym mnie darzył od początku, trwało. O niczym więcej na razie nie mogło być mowy.

Któregoś dnia, gdy termin opuszczenia mieszkania zbliżał się już wręcz namacalnie, a mówiąc precyzyjnie - w sobotę rozpoczynając nasz ostatni, osiedlowy weekend, zapuściliśmy się w spacerach aż na Stare Miasto. Zawsze mnie tam ciągnęło: tam znajdowały się filharmonia, teatr, ludzie byli jacyś łaskawsi, atmosfera inna, park z kwitnącymi o tej porze roku bzami... Nie mając nic lepszego do roboty, a nadzieje swoje powierzając przypadkowi, błakaliśmy się niespiesznie, co i rusz przystając przy witrynach kawiarni uwodzących zmysły słodkim asortymentem, bądź antykwaratów, kuszących starymi wydaniem.

- Jaki piękny pies! - Musiała upłynąć chwila, zanim zrozumieliśmy, że słowa skierowane były do nas. Zrozumieliśmy, bo i zwierzak ledwo zauważalnie poruszył ogonem, ustawiając go w puszysty znak zapytania. Sympatyczny pan w średnim wieku przyglądał nam się z uśmiechem.

- Piękny - potwierdziłem. - I duży.

- Tak... Taki pies potrzebuje przestrzeni - kontynuował przechodzień.

- Zgadł pan, potrzebuje, i to jakiegokolwiek. - Chyba nie powinienem był tego dodawać, ale w oczach sympatycznego pana pojawiły się błyski zaciekawienia.

- Co pan ma na myśli? - zapytał.

- Ehe, właściwie nic ponad to, co powiedziałem - zacząłem się wycofywać, nie widząc celu, do którego rozmowa mogła prowadzić.

- Ale, przepraszam za zbyt może daleko idące pytanie, nie zamierza się go pan chyba pozbyć? - Nutka niepokoju pojawiła się w głosie rozmówcy.

- Ależ skąd! - Zrozumiałem, jak mógł zinterpretować moje słowa. - Jeśli już, to raczej nas chcą się pozbyć.

Cień ulgi przemknął mu przez twarz. Przez chwilę nic nie mówił, rozważając w myślach jakąś kwestię.

- Nie jestem pewien, czy dobrze oceniam pana sytuację, zresztą teraz i tak jestem umówiony - spojrział na zegarek - może jednak spotkalibyśmy się później, powiedzmy o siódmej; tu, za rogiem serwują wyborną kawę, i porozmawiali o trapiących was kłopotach, bo może zdołałbym jakoś pomóc?

Zgodziłem się. Nie żebym w związku z tym nieoczekiwanym spotkaniem rościł wybujałe nadzieje, ale nie miałem żadnego innego punktu zaczepienia. Jeśliby natomiast zainteresowanie sympatycznego pana miało dwuznaczny podtekst, to zawsze pozostawała możliwość adekwatnej reakcji.

Pozostałą godzinę spędziliśmy w parku, na trawie. Staralem się namówić Estona, by na wszelki wypadek zaprezentował się nowemu znajomemu z dobrej strony. Chociaż ja sam nie zdążyłem jeszcze poznać zbyt wielu cech mojego dziwnego psa. W tej chwili robił wrażenie zmęczonego nadmiernie przeciągającym się spacerem.

O umówionej godzinie znaleźliśmy się w zaproponowanej przez sympatycznego pana kawiarni. Nie było go, co przyjąłem bez nadmiernego zdziwienia, jako że naiwnością zdawać się mogło oczekiwanie na cudowne a radykalne rozwiązanie moich problemów. Siedliśmy przy stoliku na zewnątrz lokalu; do środka nie próbowałem nawet wchodzić. Zamówiłem kawę, szklankę wody i... miskę z wodą. Wywieszony język psa starczył za całe tłumaczenie; uprzejma kelnerka bez dalszych pytań przyjęła zamówienie.

Przeglądałem się sobotniemu tłumkowi, niespiesznymi falami płynącemu przez staromiejskie ulice. Od czasu do czasu pojawiała się w nim jakaś postać idąca bardziej celowo, docelowo rzekłbym, z wyrazem twarzy zwiastującym pewne napięcie, kontrastującym z weekendowym spokojem większości lic. Nie musiałem zgadywać; wiedziałem, że to muzycy śpieszący na abonamentowy koncert. Sytuację ułatwiał mi fakt, że większość z nich znałem, choćby tylko z widzenia. Spróbowałem czegoś trudniejszego: wyodrębnienia kategorii przechodniów, emitujących atmosferę oczekiwania.

Hm, niezłe; większość z wytypowanych przeze mnie osób wkraczała w obrotowe drzwi filharmonii.

„Muzycy, melomani, czciciele i szamani”, zakołatało mi w głowie. Chichot wewnętrzny zaczął przedzierać się na zewnątrz; niekiedy mi się to zdarzało.

- Czy niedyskrecją będzie, jeśli spytam, co wprawiło pana w tak wyborny humor? - Sympatyczny pan stał koło stolika, nie bez rozbawienia obserwując moje zmieszanie. - Można się dosiąść?

- Oczywiście, bardzo proszę, właśnie na pana czekamy. - Miałem sobie za złe bezwiedną ucieczkę moich niezbyt mądrych myśli. Ale właściwie co takiego się stało? - Czasami śmieję się do siebie. Albo z siebie.

- To wielka umiejętność. Ludzie, którzy ją posiadają, stają się szczęśliwsi. OK, prolog mieliśmy z głowy. Eston też to rozumiał, bo zmienił pozycję z leżącej na siedzącą. „Brawo, mądrało”, pomyślałem.

- Przepraszam pana za spóźnienie - mój rozmówca spojrzał znacząco na kelnera, który po chwili pojawił się przy stoliku z filiżanką espresso – ale sprawy natury zawodowej przeciągnęły się. Pozwoli pan, że się przedstawię: nazywam się Sebastian Mars, jestem antykwariuszem, a kamienica, przed którą się spotkaliśmy, należy do mnie. Czy dobrze zrozumiałem, że pan oraz pański imponujący pies - Eston poruszył dwa razy ogonem – przechodząc trudności lokalowe, to znaczy - już nie macie, lub za chwilę nie będziecie mieli gdzie mieszkać?

Muszę przyznać, że zaskoczył mnie bezpośredniością pytania, ale przynajmniej od razu przystępowaliśmy do sedna sprawy.

- Tak, od końca mówiąc - tak. Jeszcze przez dwie noce mamy gdzie się podziać, a potem... Ale czy można spytać, dlaczego to pana interesuje?

- Oczywiście. Otóż, widzi pan, nasze dziecko właśnie wyjechało na dwuletni staż archeologiczny do Włoch. W nietypowym momencie, to prawda: cały świat akademicki czeka już na wakacje, ale nie archeolodzy; oni nie mogą zmarnować tych kilku najkorzystniejszych do badań wykopaliskowych miesięcy. Zastanawialiśmy się z żoną - cień ulgi musiał przemknąć przez moją twarz, co nie uszło rozbawionej uwagi pana Sebastiana - czy na ten okres nie wynając poddasza. Mamy oczywiście nadzieję, że dziecko będzie nas odwiedzać, ale miejsca ci u nas nie brak. Co prawda, chcieliśmy dać ogłoszenie dopiero po wakacjach, ale może ta sytuacja jest czymś więcej niż tylko przypadkiem? Aha, naszą ofertę chcieliśmy zaadresować do środowiska akademickiego. Pan mógłby uchodzić za późnego studenta - nie byłem pewien, czy to komplement - a na pewno pan nim kiedyś był. Chyba się nie mylę, prawda? - Potwierdziłem skinieniem głowy. - I jeszcze tak się składa, że oboje z żoną lubimy zwierzęta, a już tak niepowtarzalne psy w szczególności. No tak, owszem, one brudzą - zareagował na moje pełne niedowierzania spojrzenie - ale to byłby pana problem, bo na poddasze jest osobne wejście...

Myślałem, że śnię. To nie mogła być prawda, coś się za tym musiało kryć. Pewnie niebotyczna cena, albo - sam już nie wiem - co. Postanowiłem wypalić z ciężkiego kalibru:

- Ma pan rację, studia skończyłem kilka lat temu, moje dochody są nieregularne, a w dodatku jestem... Jestem altowiolistą.

Umilkłem zdruzgotany, wiedząc, że mój piękny sen pryśnie zaraz jak bańka mydlana.

- No tak, miło się rozmawiało, ale... - Zacząłem się podnosić, przeczuwając, czym musi skończyć się rozmowa.

Eston spojrzał na mnie z naganą. Miał rację: zachowywałem się w sposób mocno przewrażliwiony, by nie rzec - z lekka histeryczny łamane

przez nielogiczny (by nie rzec - zgodny z obiegową opinią o altowioli-
stach).

Usiadłem ponownie.

- No cóż - o dziwo, pan Sebastian nie przestawał się uśmiechać - nobody is perfect... A mówiąc poważnie, to myśleliśmy nawet o studencie Akademii Muzycznej, bo - widzi pan - my lubimy żywe dźwięki instrumentu. Jeśli zaś chodzi o cenę, to - pozostając przy studenckich pułapach - równowartość za pokój w akademiku wydaje mi się uczciwą propozycją. Jeśli jest pan zainteresowany, to możemy od razu pójść obejrzeć poddasze, a jeśli spodoba się panu - jutro możecie się wprowadzać. Aha, jesteśmy w środku miesiąca, więc proponuję, by nasze rozliczenia zacząć od początku nowego, pod jednym wszakże warunkiem: jutro może nie, bo przeprowadzka, ale od poniedziałku zaczyna pan ćwiczyć.

Nogi się pode mną ugięły; śniłem na jawie i nie mogłem uwierzyć, że altówka - po tylu latach - i Eston - po paru dniach zaledwie - przynieśli mi szczęście...

Oględziny pokoju wypadły pomyślnie, zresztą ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że spadła mi manna z nieba. A gdy jeszcze okazało się, że mogę bezboleśnie (czytaj: bezpłatnie) podłączyć się do szerokopasmowego internetu, pomyślałem, że właśnie na długi czas wyczerpuje mi się limit pomyślnych zdarzeń.

Jak uskrzydleni wracaliśmy do domu, jeszcze domu, a właściwie dachu nad głową. Chciałem już dziś zacząć pakowanie skromnego dobytku; nadchodząca niedziela i tak zapowiadała się pracowicie. Na osiedlowej ławeczce, której nie sposób było ominąć, siedziało kilku tysawych w kapturach.

- Sie masz, muzyk! - zagadnęli.

Oni akurat byli w porządku. Rzucali te swoje: „Sie masz, muzyk!” albo: „Jak leci, artysta?” - i było w tym trochę ironii, ale i odrobina szacunku; agresji nie wyczuwałem. Sami chyba próbowali trochę hiphopować, w ramach odreagowywania blokowiskowego wirusa.

- Chłopaki, browarek? - miałem nadzieję, że nie obrażą się za chłopaków, a browarek znaczy w ich języku to samo, co w moim.

A może trzeba było powiedzieć: „ziomalki, browca?”. Ale akceptujące skinienia głowami rozwiały moje wątpliwości. Tak czy inaczej - byli jedynymi, z którymi mogłem uczcić moją zieloną noc. Miałem nadzieję, że są pełnoletni. Wysuplałem dwudziestozłotowy banknot, z którym jeden z nich - łysinę przykrywała mu czapka, włożona daszkiem na bok - wykonał

szybki kurs do całodobowego, by po chwili wrócić z czterema puszkami krzepkiego. Eston był spokojny, ale nie spuszczał wzroku z chłopaków.

- Spoko ziomal - stwierdził najwyższy i najbardziej łysy z nich, wskazując na psa czubkiem sportowego buta. Eston warknął cicho i na ułamek sekundy obnażył kły, ale - z wyjątkiem mnie - nikt tego nie zauważył. Wymieniliśmy parę uwag natury ogólnej, których nie ma potrzeby tu przytaczać, pomilczeliśmy jeszcze przez chwilę, po czym wspinając się na slangowe wyżyny, rzuciłem:

- Jutro wymiękam z kwadratu.

Nie zrobiło to na nich większego wrażenia, zaczęli przybijać ze mną pożegnalne piątki. Jedyne najstarszy zakapturzony, w zielonej bluzie Nike, jakby doceniając mój lingwistyczny wysiłek, powiedział:

- Te, artysta, może strząśniesz na odfruwie jakiś wzór?

Strząśniesz. Na odfruwie. Wzór. Próbowałem połączyć wyrazy w sensowną całość. Trud myślenia musiał wykwitnąć mi na twarzy, bo Nike powiedział:

- Co tak ćlamasz, jakbyś łykał sajfiszola?

Nagle zrozumiałem wszystko: „strząsać wzór” - podrzucić tekst; „odfruw” - wyjazd lub wyprowadzka. Pojąłem nawet „łykanie sajfiszola” - czytanie książki science fiction. Ale „ćlamasz” mnie przerastało...

- Jasne. Mam coś: ...Muzycy, melomani, wyznawcy i szamani... - Może być?

- Super, cool, czło-wieku, ale ja-zda! - odpowiedzieli rytmicznie.

Zakłęcie chwyciło.

W poczuciu, że najwyższa pora zakończyć dzień, tak bogaty w kontakty towarzyskie, ruszyliśmy do mieszkania, a zmęczenie i perspektywa jutrzejszego roztania się z tym miejscem kazały mi przyjąć bez emocji wysmarowanie mojej klamki musztardą.

Pakowanie postanowiłem odłożyć na jutro. Była pora na sen.

Zasypianiu towarzyszyła zwykła porcja awantur, bluzgów, głośniejszej muzyki, ochrzczonej kiedyś dwoma, budzącymi cierpienie co wrażliwszej skóry, słowami: disco polo... Ale ten jeden, jedyny raz nic nie mogło mnie wytrącić z błogostanu, w którym znalazłem się dzięki wydarzeniom mijającego dnia...

Witryna antykwariatu przytulnie i tajemniczo prezentowała się w wieczorno-nocnym podświetleniu. Kilka starych książek i rycin - dość regularnie zresztą przez właścicieli zmienianych - zapraszało do sekretnego świata, niedostępnego teraz, a przez to bardziej jeszcze pociągającego. Wiedziałem, że mimo dość późnej pory - katedralne zegary dawno odegrały

jedenastą - pan Sebastian studiuje jeszcze kilka najnowszych nabytków, a pani Sabina odwiedza pewnie starszą panią, w której mieszkaniu, bez względu na porę dnia, paliło się światło. Otworzyłem sąsiadujące z wejściem do antykwariatu drzwi, by stromymi schodami wspiąć się do mojego królestwa. Przekręcany w zamku klucz obudził Estona, a pies paroma ziewnięciami i przeciągnięciami zasygnalizował natychmiastową gotowość do wyjścia.

Mogliśmy pójść w dwóch podstawowych kierunkach, ale spacer ku rzece nie pociągał mnie przy panującej pogodzie ani trochę. Wybraliśmy więc powrót do cywilizacji i sąsiadującego z nią parku; to było miejsce idealne na przechadzki wczesnoporanne i późnowieczorne. Z rzadka tylko spotykaliśmy wtedy innych spacerowiczów, przeważnie też pary mieszane: ludzko-zwierzęce lub ludzko-ludzkie, gdy czas był bardziej sprzyjający. Byłem pewien, że dzisiejszego wieczoru nie natkniemy się na nikogo; pogoda i późna godzina mogły zniechęcić nawet najzagorzalszych amatorów wieczornych przechadzek. Tylko Eston miał za nic chłód i porę - prawdziwy pies pierwotny... Gdy przechodziliśmy przez centralny skwer, gmach filharmonii ciągle tonął w światłach. Wprawdzie pojedynczy muzycy opuszczali już przyjęcie, ale wiedziałem, że szybko się ono nie skończy. Zaczynający się nazajutrz tydzień miał być dla orkiestry wolny, jako zasłużona konsekwencja beethovenowskiego maratonu. Nie szukałem kontaktu z wychodzącymi kolegami; przecież nie po to zrezygnowałem z bankietu, żeby teraz wdawać się w pogawędki na zimnie.

Znaleźliśmy się w parku, mało przytulnym o tej porze roku i dnia. Miejskie władze, wychodząc widać z założenia, że w zimowe wieczory i tak nikt tu nie przychodzi, zrezygnowały z oświetlenia go. A może to wandale, w swoich tradycyjnych, a mało wyszukanych rozrywkach, porozbijali po raz enty gazowe latarnie? Na szczęście mokry śnieg przestał padać; temperatura oscylowała w okolicach zera, choć daleko było jeszcze do mrozu z ubiegłego tygodnia.

Topografię miejsca znaleźliśmy z Estonem na pamięć. A jednak z wdzięcznością witałem księżyc, który od czasu do czasu ukazywał się dzisiaj zza chmur w dostojnej pełni. To był dobry moment, aby dać psu trochę wolności. Zgodnie z przewidywaniem, w parku nie było nikogo. Dałbym za to głowę, ale... czy życie nie uczy, aby zbyt pochopnie nie wystawiać na szwank tak istotnej części ciała?

Uwolniony ze smyczy Eston wcale nie kwapił się do odejścia. Zazwyczaj po sekundzie zniknął, wiedziałem jednak, że jest w pobliżu i powróci na usilne wołanie. Ale dzisiaj było inaczej. Gdybym nie znał potężnej konstrukcji psychicznej zwierzęcia, powiedziałbym, że coś go zaniepokoiło.

Jego uszy zaczęły wykonywać dziwne ruchy, nie mogąc zdecydować się, czy sytuacja wymaga ich położenia, czy raczej postawienia.

Posuwaliśmy się alejką w doskonałej nieomalże ciszy; ze zdziwieniem, ale i satysfakcją przyjmowałem fakt, że Eston towarzyszy mi bez smyczy, utrzymując bark tuż koło mojego lewego kolana; do tej pory nie udało mi się nauczyć go tej sztuki lub - jak nieraz podejrzewałem - po prostu nie potrafiłem jej wyegzekwować.

Nagle przysłaniające niebo chmury przesunęły się i srebrzysta poświata po raz kolejny wypełniła przestrzeń dokoła nas. Oczom moim ukazała się scenka jak z teatryku cieni.

W samym środku parku znajdowało się niewielkie jezioro, którego brzegi łagodnym łukiem spinał most. Jego wierzchołek przypadał mniej więcej na środek częściowo teraz zamrożonego akwenu. W tym właśnie miejscu spostrzegłem trzy sylwetki. Trzy ciemne, ludzkie sylwetki, dość gwałtownie gestykulujące. Odległość skutecznie tłumiła głosy, ale byłem pewien, że to coś więcej niż pantomima. Dystans plus otoczona zaroślami alejka, po której szliśmy, musiały skutecznie chronić nas przed ich wzrokiem. Zresztą, sylwetki były zupełnie pochłonięte dyskusją i - podobnie jak my - nie spodziewały się obecności osób trzecich. Cóż; wszyscy byliśmy w błędzie. Na szczęście nikt nie żądał mojej głowy. Na razie.

Stanęliśmy. Rozgrywająca się na moście scena urzekła tajemniczością, choć poczułem coś w rodzaju niepokoju, a sierść Estona, którego dla uspokojenia pogładziłem po grzbiecie, zjeżyła się pod moimi palcami. Aktorzy chińskiego teatryku cieni zmierzali jednak do kulminacji.

W pewnej chwili sylwetki znieruchomiały, potem środkowa z nich, niespodziewanym i gwałtownym ruchem rzuciła coś w kierunku wody. Od tego momentu wydarzenia rozgrywały się już błyskawicznie. Eston - zupełnie nie przyszło mi do głowy, aby ponownie wziąć go na smycz - ruszył z miejsca jak torpeda. Nie wiem, dlaczego zinterpretował to zdarzenie jako aport; pewnie instynkt tak mu kazał. Kiedy długimi susami gnał w kierunku jeziora - nie próbowałem go nawet wołać, wiedząc, że w tej sytuacji to na nic - sylwetki na moście kontynuowały przedstawienie. Z daleka wyglądało, jakby padły sobie w ramiona. Po chwili jednak dwie spośród nich odskoczyły w przeciwnych kierunkach; w tym momencie musiały usłyszeć - a może już zobaczyć - Estona. Trzecia, ta, która przedtem tkwiła między nimi i wrzuciła coś do wody, pozostała na środku mostu. Stała tak przez moment w pełnym a nieoczekiwanym spokoju, by po chwili z wolna osunąć się na ziemię.

W tym samym czasie pies dobiegał już do jeziora. Bez wahania wskoczył na cienki lód, który, gdy Eston zbliżył się do niezamrożonej części, zaczął pękać pod naporem masywnych łap. Dwie sylwetki, choć

musiały być zaskoczone nieprzewidzianym rozwojem sytuacji, również nie pozwoliły sobie na chwilę wahania. Momentalnie kalkulując, że zjawiający się jak spod ziemi pies Baskerville'ów może stać się ich nieoczekiwanym sprzymierzeńcem przy odzyskaniu rzuconego w ciemną i zimną wodę przedmiotu, rozbiegły się w obie strony mostu. Zaczęły patrolować brzeg, próbując najwyraźniej zgadnąć, które miejsce wybierze pies, aby się na niego wydostać.

No cóż, to prawda, że wypadki toczyły się z oszałamiającą szybkością, ale... Stałem jak zamurowany. Nie wiedziałem, co robić? Jak się zachować? Czy wołać Estona, czy biec na most w kierunku sylwetki, która w międzyczasie położyła się - bałem się pomyśleć, co to może oznaczać... Gdybym był w stanie, być może po prostu bym uciekł. Ale i to chwilowo przerastało moje możliwości, więc stałem tam jak... nie powiem co. Czas pokazał, że była to najlepsza reakcja, niebędąca jednak pochodną chłodnej kalkulacji, lecz paraliżu sytuacyjnego lub, jeśli ktoś woli, paralizującego strachu.

Wydawało mi się, że pies pochwyił coś w pysk, bo z prychnieniem zaczęła płynąć w kierunku brzegu. Nadchodził moment krytyczny. Eston tracił czas i siły, starając wydostać się na kruchy, łamiący się pod nim kilkakrotnie, lód. To dało sylwetkom czas, aby znaleźć się w miejscu, w którym pies próbował wyjść. W końcu udało mu się stanąć czterema łapami na płyciźnie. Sylwetki czekały na brzegu, w odległości metra. Nie wiedziałem, jak chcą odzyskać przedmiot, ale bałem się, że zaraz stanie się coś straszego. Miałem wrażenie, że w ich dłoniach błysnęła stal, odbijająca blask świecącego nieprzerwanie z całą mocą księżycy. Wtem Eston zrobił coś, co zrobiłoby chyba sto procent psów w jego sytuacji: zaczął się otrzępywać. Sylwetki gwałtownie odskoczyły, próbując wycofać się poza zasięg lodowatych biczów. Niespodziewany prysznic zaskoczył je i wytrącił z koncentracji. A Eston tylko na to czekał: jak potężny jeep na pierwszym biegu wyrwał z miejsca, wzniciając dodatkowe fontanny zimnej wody. Sylwetki były na parę sekund wyłączone z akcji. Po chwili pies znalazł się koło mnie. Podał mi trzymany w pysku przedmiot; nie miałem czasu mu się przyglądać. Mimo że był mokry i zimny, schowałem go do wewnętrznej kieszeni kurtki. Szeptem, lecz z całą mocą determinacji wydałem psu polecenie: do domu! Wkrótce miałem się przekonać, czy moje wielokrotne tłumaczenie mu, czym jest dom, przyniosło skutek.

Wszystko to trwało sekundy, akurat tyle, ile sylwetki potrzebowały, aby dojść do siebie. Eston ruszył z kopyta w kierunku bramy. Dwie mroczne postacie biegiem podążyły za nim.

Jeszcze przez chwilę stałem, a mówiąc precyzyjnie - kuciałem bez najmniejszego ruchu. Kiedy odgłosy cwałującego psa i goniących go ludzi ucichły, pewien już, że pozostałem niezauważony, ruszyłem biegiem - no,

w końcu - w kierunku mostka. Po chwili pochylałem się nad leżącą bez ruchu postacią.

Muszę przyznać, że było to pierwsze bezwładne ludzkie ciało, z jakim miałem w życiu do czynienia. Owszem, zdarzało mi się widzieć sztywnych kolegów, ale ich bezwład miał charakter tymczasowy i był ściśle powiązany z tak zwanym nadużyciem.

Sądziłem, że leżący na kładce człowiek okaże się włóczęgą, który o zbyt późnej porze zaplątał się w nieoświetlonym parku i padł ofiarą bandytów. Ale już pobieżny rzut oka na leżącą w dość nienaturalnej pozie, twarzą do ziemi, postać, wykluczał jej przynależność do świata bezdomnych. Długi, czarny płaszcz wydawał się niepospolitego gatunku, a wokół szyi okręcony był wytworny, jedwabny szalik. Po chwili wahania, delikatnie, na ile mogły to zrobić moje zgrabiące ręce, przewróciłem ciało na wznak. Rozsuwające się poły płaszcza odstąpiły śnieżną biel koszuli. Mimo że kilka chmur znowu pojawiło się na niebie, prześwitujące przez nie światło księżyca pozwoliło mi bez cienia wątpliwości stwierdzić, że jest to koszula frakowa. Teraz dopiero - choć wszystkie działania trwały tak naprawdę sekundy - odważyłem się spojrzeć na twarz leżącego mężczyzny. Tych parę szczegółów powinno mnie już było przygotować; skoczyłem jednak jak oparzony.

U moich stóp leżał, najprawdopodobniej martwy, maestro Damian Rucacelli.

Ile czasu mogło upłynąć od momentu, gdy osunął się na ziemię? Minuta? Może dwie? To ciągle było ciało jeszcze przed chwilą żywego - a może wciąż żywego - człowieka. Miałem przy sobie telefon; w moim przypadku jednostkę bardziej odbiorczą niż nadawczą, ale nareszcie przydała mi się wiedza, że numery alarmowe są dostępne nawet przy pustym koncju. Zadzwoiłem pod sto dwanaście i - na szczęście - dość szybko zapewniono mnie, że pogotowie i policja zaraz będą na miejscu. Odruchowo zdjąłem z siebie ciepłą, puchową kurtkę, aby przykryć nią nieprzytomnego - bo ciągle miałem nadzieję, że nie martwego - maestra.

Tajemniczy przedmiot włożyłem za pas spodni; kieszenie okazały się za małe. Miał tam zresztą spędzić cały wieczór. Niewygodny schowek okazał się jednak trafny, gdyż zawartość kieszeni musiałem nieco później oddać w policyjny depozyt. Nie próbowałem żadnej domorosłej reanimacji - bałem się, że w moim nieprofesjonalnym wydaniu może mu raczej zaszkodzić, niż pomóc. Ciągle nie chciałem pozbyć się, niestety, słabnącej nadziei, że Damianowi Rucacellemu jeszcze pomóc można. Bo nachyliwszy się ponownie nad ciałem, zrozumiałem wreszcie, że ciemna, powiększająca się, a przez to coraz bardziej widoczna plama po lewej stronie gorsu, to krew. Na razie nie myślałem; działałem odruchami i chciałem, żeby teraz wydarzyło się tylko

to, co niezbędne; czekałem na przyjazd ambulansu, a w drugiej kolejności policji. Przykryłem więc ciało mistrza kurtką i czekałem. Nie miałem też czasu martwić się o Estona. Zresztą, pierwszą rundę z nożownikami rozegrał w sposób popisowy; wierzyłem, że dalej też sobie poradzi.

Migające światła nadjeżdżającej karetki pojawiły się w cztery minuty później. Po kolejnej minucie dojechał policyjny radiowóz. Po krótkiej wymianie zdań z policjantami sanitariusze zabrali bezwładne ciało do ambulansu, a ja wiedziałem, że to mimo wszystko dobry znak. Gdy zapytałem, czy dyrygent będzie żył, jeden z nich machnął tylko ręką. Karetka odjechała na sygnale. Teraz zaczęła się uciążliwa dla mnie część, uciążliwa tym bardziej, że jak to sobie szybko uświadomiłem, musiałem stać się pierwszym podejrzanym...

Mimo późnej pory oficer śledczy nie robił wrażenia zmęczonego. Nie robił w ogóle żadnego wrażenia. Ot, wieloletnia rutyna służby; co go jeszcze mogło zaskoczyć?... Zresztą w przypadku policjanta późna pora nic nie oznacza; wieczór może być równie dobrze początkiem służby. Czy w tym zawodzie da się pracować według z góry ustalonego grafiku?

Z ekspresją katatonika przyglądał się dowodowi osobistemu, leżącemu na policyjnym biurku. Dokument należał do mnie i był niewymieniony, a więc na upartego można było uznać, że jest nieważny.

Oficer zaczął odchyłać tułów wraz z krzesłem do tyłu i do przodu, stukając jednocześnie w blat biurka trzymanym w ręku ołówkiem. Wyglądało to jak początek jakiegoś niezrozumiałego, ale i niepokojącego rytuału.

- Pan Bartosz Czarnoleski - wymówił z niezrozumiałym dla mnie wysiłkiem. - To pewnie ma pan ksywkę Kochanowski? - Głos zmienił się w okamgnieniu; nagle pojawiła się w nim żywotność i dość wyraźnie zarysowana skłonność do fraztek.

No proszę, jak miło.

Ale bezpośrednim skojarzeniem policjant trafił w dziesiątkę: jeszcze w szkole tak mnie nazywano. A na internetowych forach używałem nicka będącego nazwiskiem mistrza z Czarnolasu. Kto wie, może pochodziłem z tamtych okolic? Wyraziłem uznanie dla błyskotliwości pana oficera. Przyszła jednak pora na podsumowanie rozmów, które odbyliśmy na miejscu przestępstwa i w drodze do komendy.

- To zacznijmy jeszcze raz: co pan robił o tej dziwnej porze w parku?

- Byłem z psem na spacerze - nie miałem lepszej i prawdziwszej odpowiedzi.

- Czy to jest normalna pora pańskich spacerów z psem? - Oficer po raz kolejny nie powstrzymał się od tego pytania.

- Zbliżona do normalnej, bo czy można powiedzieć, że nienormalna? - Ostatecznie czasy godziny milicyjnej należały do zamierchłej historii.

- Panie Bartoszu, powiedzmy sobie, że wszystko na tym świecie jest mniej lub bardziej normalne aż do chwili, gdy nie styka się bezpośrednio z przestępstwem, w tym przypadku - próbą zabójstwa. W dodatku mówi pan ciągle o psie; gdzie jest ten pies?

To martwiło mnie najbardziej. Nie wiedziałem, gdzie jest Eston, nie miałem pewności, czy go jeszcze zobaczę. Żywiłem małą nadzieję, że rzeczywiście pobiegł do domu, ale co dalej: otworzył sobie drzwi? A może księżycowe sylwetki go dopadły? Chciałem zadzwonić z policyjnego telefonu do antykwariatu, ale na razie nie mogłem. Widocznie jakieś wymogi śledztwa; nie wiem, nie znam się na tym.

- Mój pies spłoszył się i uciekł. Czy w międzyczasie nie było zgłoszenia o dużym, wilkowskim psie biegającym luzem po mieście?

- Nie, na razie nie. Ale jeśli ten pies rzeczywiście istnieje, złapiemy go.

- Nie byłbym taki pewien - burknąłem cicho.

- Słucham? - Oficer miał dobry słuch i pragnął kontrolować przebieg rozmowy.

- Nie, nic takiego - ja zaś nie miałem zamiaru wdawać się w zbędną polemikę.

Na biurku zadzwonił telefon. Śledczy podniósł słuchawkę, przez chwilę wsłuchiwał się w płynący z niej głos, po czym powiedział:

- Dobra, zrozumiałem, dajcie znać, jak cokolwiek się zmieni.

Z napięciem przyglądałem się nieodgadnionej twarzy, przeczuwając, że waży się losy życia i śmierci Damiana Rucacellego. Wiedziałem też, że jeśli telefon rzeczywiście dotyczył dyrygenta, to oficer podzieli się ze mną wiadomością.

Śledczy nie byłby jednak śledczym, gdyby zrobił to od razu. Zawodowy kanon narzuca widać określony typ zachowania: poddanie przesłuchiwanego półminutowej torturze milczenia, w trakcie której - a nuż - cała prawda wypełni mu na lico? A może to jest pół minuty upajania się wiedzą: ja wiem, a on nie? Albo maniera niewynikająca z żadnej głębszej konieczności, a zbyt często oglądana w do znudzenia powielających ją filmach kryminalnych?

W końcu zapalił papierosa; powietrze w pokoju było ciężkie od dymu, ale wiedziałem, że obowiązujący zakaz palenia w pomieszczeniach nieprędko tu dotrze, zaciągnął się, jak to obrazowo określa Witkacy: do jaj - a co, jak klasyka, to klasyka - po czym niespiesznie wypuścił z płuc resztki dymu, niewchłonięte jeszcze przez krwiobiegi. Nie zostało ich dużo.

- Żyje, choć zakrawa to na cud. Nóż, którym został ugodzony, to nie był jakiś tam scyzoryk; powinien był wykrwawić się na miejscu. Ale gruby płaszcz zamortyzował nieco siłę i głębokość ciosu, a ostrze przeszło milimetry od głównych narządów.

Nie przerywałem w nadziei, że dowiem się czegoś jeszcze.

- Panie Bartku - zdrobnienie mojego imienia przyjąłem jako dobry znak: może jednak uda mi się jeszcze dzisiaj znaleźć we własnym łóżku?; ostatecznie tragedie i dramaty zdarzają się ciągle, a życie idzie do przodu z bezduszną konsekwencją - powiem panu szczerze, że dla mnie nie jest pan podejrzanym, ale pozostaje na razie jedyną osobą związaną bezpośrednio ze sprawą. I, prawdę mówiąc, potrafiłbym sobie wyobrazić, że to pan z jakichś powodów zadaje cios mający zgładzić dyrygenta, po czym wrzuca nóż do wody, a nam serwuje bajeczkę o teatryku chińskich cieni. Jeziorko trzeba będzie przeszukać tak czy inaczej.

- Nie ma potrzeby - powiedziałem zgodnie z prawdą.

Śledczy przyjrzał mi się ze zdziwieniem.

- Panie Bartku, niech pan nam zostawi tę robotę. Idąc jednak dalej w rozumowaniu: jeśli przyjmiemy, że pańska wersja zdarzeń jest prawdziwa, to znaczy, że uratował pan ofiarę. Gdyby go pan nie znalazł, prawdopodobnie już by nie żył, choć jego życie dalej wisi na włosku. Na razie jest w śpiączce, a rokowania są, powiedzmy, pół na pół. Ale, ale... muszę prosić o kontakt, gdyby przypomniał się panu jakikolwiek szczegół, bo - spojrzał na mnie bystro i zniechęca - rozumiem, że generalnie wszystko nam już pan powiedział?

Przez chwilę miałem nieprzyjemne wrażenie, jakby spojrzenie policjanta niczym wiązka promieni rentgenowskich prześwietlało tajemnicę mojego swetra. Wytrzymałem to jednak i niewinnie a potakująco skinąłem głową.

- Powiedziałem panu wszystko: byliśmy na spacerze, zauważyłem na moście trzy dyskutujące postacie. Nagle jedna z nich upadła, spłoszony szamotaniną pies zaczął uciekać, a dwie pozostałe, sądząc, że ktoś był świadkiem wydarzeń na moście, zaczęły biec za nim. Mnie nie zauważyły, dzięki czemu szybko udało mi się zawiadomić policję i pogotowie, bo po oględzinach ciała leżącego na moście uznałem to za natychmiastowo konieczne.

I tym razem przemilczałem informację o tajemniczym przedmiocie ciśniętym przez dyrygenta do wody, a wyłowionym i przekazanym mi przez Estona. Nie potrafiłbym wtedy - i później zresztą też - jednoznacznie powiedzieć dlaczego. Jedyнным wytłumaczeniem był... instykt łowcy kryminalnych zagadek.

Ludzkie odruchy nie mogą równać się siłą i intensywnością ze zwierzęcymi - moje doświadczenie w tym zakresie gwałtownie wzrosło od czasu posiadania Estona - ale i one mają swoją moc, a czasami objawiają się w nietypowej dziedzinie i formie, czego byłem najlepszym przykładem.

- Dobrze, mimo wszystko jednak wolałbym, żeby nie opuszczał pan w najbliższych dniach miasta.

- I tak się nigdzie nie wybieram; za tydzień gram przesłuchanie do naszej filharmonii.

- Widzi pan, i to jest jedna z tych rzeczy, których nie rozumiem: współpracuje pan dwa tygodnie z jakimś zespołem, a potem musi pan brać udział w konkursie, żeby znowu z nimi grać? - Policjant był już co nieco zorientowany. O filharmonii, I Festiwalu Symfonii Beethovena, maestro Damianie Rucacellim oraz mojej specjalności zdążyliśmy w trakcie długiego wieczoru trochę porozmawiać.

- Ja też tego nie rozumiem, ale takie są reguły gry i obawiam się, że nikt ich dla mnie nie zmieni. - Wstałem w przekonaniu, że spotkanie dobiegło końca. Oficer wręczył mi wizytówkę i znacząco spojrzął na nieważny dokument tożsamości.

- Niech pan to lepiej wymieni - wymruczał, jakby go bolały zęby; wiadać wracał mu nastrój z początku przesłuchania. Po chwili wydał telefoniczną dyspozycję wypuszczenia mnie z budynku. Na zakończenie zaś rzucił: - Będziemy próbowali znaleźć pańskiego psa...

Z wdzięcznością przyjąłem deklarację.

Wracając do domu, nie mogłem powstrzymać - pewnie wywołanego zmęczeniem - uczucia fatalizmu: ledwo odzyskuję swobodę dysponowania czasem, pragnąc poświęcić go wyłącznie ćwiczeniu i optymalnemu przygotowaniu do audycji, a już pojawia się sprawa angażująca moją energię; jak ćma lecąca do ognia pakuję się w dziwną historię, bo przecież już w momencie - nazwijmy to - przemilczenia w komisariacie przeczynałem, że dopiero się ona zaczyna, a nie kończy.

Policyjny radiowóz dowiózł mnie w pobliże domu. Na samą ulicę wjazdu nie było, nawet dla pojazdów uprzywilejowanych; uniemożliwiały to metalowe barierki demontowane tylko na specjalne okazje, a skuteczniejsze od najbardziej nawet radykalnych a wymownych znaków drogowych. Przemierzając kilkadziesiąt metrów dzielących mnie od kamienicy, wiedziałem, że z każdym krokiem zbliżam się do pierwszego rozstrzygnięcia wieczoru.

Pomimo bardzo późnej pory pan Sebastian czekał na mnie. Czekał nie sam. Był w towarzystwie Estona. Olbrzymi kamień niepokoju spadł mi z serca.

Antykwariusz pokrótce opowiedział, co się wydarzyło.

Kręcił się jeszcze po zapleczu, gdy nagle usłyszał szczekanie psa. Ze zdumieniem zobaczył, że to Eston hałasuje na ulicy. Zdumienie miało dwój- jakie źródło: po pierwsze zwierzak nigdy nie chodził samopas, a po drugie rzadko kiedy szczekał. Tym razem musiał mieć powód. Zdziwienie pana Sebastiana wzrosło, gdy pies, nie czekając na zapraszające gesty, wpako- wał się do antykwariatu. Zaniepokojony antykwariusz wydzwaniał do mnie, jednak telefon nie odpowiadał. Nie mógł; znajdował się wówczas w policyjnym depozycie. Postanowił więc czekać do skutku. I doczekał się.

Zanim ja zacząłem swoją opowieść, upewniłem się, czy pan Sebastian nie zauważył na ulicy kogoś zainteresowanego psem. Ponieważ nikogo takiego nie widział, z ulgą uznałem, że Estonowi udało się zgubić prześla- dowców. Historia, którą w rewanżu uraczyłem mojego rozmówcę, była zbliżona do wersji przedstawionej policji i - rzecz jasna - wzbogacona epi- zodem w komisariacie. Antykwariusz słuchał w milczeniu. Nawet jeśli był poruszony, nie dawał tego po sobie poznać. Wahałem się, czy wyjawić ciągle uwierającą mnie w bok tajemnicę, ale nie miałem pewności, czy jej prozaiczność nie będzie kompromitująca. Lepiej było samemu się z nią zapoznać i dopiero potem zdecydować, co dalej. Podziękowałem panu Se- bastianowi za opiekę nad psem i - z uwagi na późną porę - pożegnałem się.

Kiedy znaleźliśmy się na górze, w przytulnym schronieniu poddasza, poczułem w końcu, jak opada ze mnie napięcie ostatnich godzin. Próby zrozumienia, co się właściwie wydarzyło, nie przynosiły skutku. Jako przypadkowy zaledwie świadek sceny na moście, nie mogłem wiedzieć, o co chodzi. Przy braku danych trudno pokusić się o wnioski.

Dzisiejszego wieczoru mogłem wyjaśnić jeszcze tylko jedno. Zacząłem jednak od kąpieli. Kiedy rozgrzany i całkiem już uspokojony usiadłem z lampką koniaku w jednej dłoni i garścią ciasteczek - nie, nie dla mnie - w drugiej, pomyślałem, a była to myśl stojąca w kontrze do poprzedniej, fata- listycznej, że być może staję u progu zdarzeń groźnych, ale ekscytujących...

Na stole leżało drewniane, prostokątne pudełko. To dzięki materiałowi, z którego je wykonano, utrzymało się na powierzchni wystarczająco długo, by Eston zdołał je wyłowić. Otworzyłem je. Sam nie wiem, czego się spo- dziewałem, najpewniej niczego konkretnego. A jednak zaskoczenie było pełne. A może nie powinno być? Osobą ciskającą przedmiot do wody był przecież dyrygent...

We wgłębieniu zamskiej poduszeczki spoczywała dyrygencka batuta. Chyba już ją wcześniej widziałem. Na pewno nie w trakcie prób, ale... Tak, byłem prawie pewien, że maestro Rucacelli jeszcze tego wieczoru prowa- dził nią *IX Symfonię* Beethovena.

Był mi potrzebny natychmiastowy sen, łagodny pomost na drugą stronę nocy. A poranek, jakby nic się nie wydarzyło, odezwie się głosem mojej altówki.

Zasypiając, przyglądałem się dziwnemu przedmiotowi, który w ciągu jednego wieczoru przebył zaiste niezwykłą podróż.

Był czarodziejską różdżką, wyczarowującą krainę dźwięków. Potem stał się kością niezgody w sporze między trzema mężczyznami, by po chwili jak najzwyklejszy kawałek drewna wylądować w lodowatej wodzie; psie zęby w ostatniej chwili odebrały go czarnej, nieprzyjaznej toni. Dwie kolejne godziny spędził ukryty pod swetrem.

A teraz, osuszony, odpoczywał na stoliku, pod spojrzeniem moich zamykających się oczu.

Gdy ostatkiem sił próbowały przeniknąć jego tajemnicę, czułem, że Eston wciąż wpatruje się we mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

Rozdział II

Poniedziałek

Jeden szedł, drugi biegł. W myślach czy w rzeczywistości? Jeden szedł, drugi biegł, a poruszali się równolegle, może dlatego, że bieg w myślach jest jak chód w rzeczywistości albo odwrotnie. Jeden szedł, drugi biegł, a trzeci stał i mimo to poruszali się równolegle, bo bieg w myślach jest jak chód w rzeczywistości albo stanie we śnie.

Spacery z psem mu się nie układały. Zbyt luźno trzymana smycz wyciągała rękę jak przejeżdżający pociąg; do przodu albo do tyłu. Skrócona do niezbędnej długości, pozbawiała komfortu zwierzę i przez to jego opiekuna. Niby każdy chciał dobrze, ale coś nie wychodziło. Puszczanie psa luzem nie wchodziło w grę; siła instynktów pociągnęłaby go w stronę dal...

Ażeby jeden szedł, drugi biegł, a mimo to poruszali się równolegle, należałoby uregulować smycz do długości odpowiadającej dwóm krokom przebiegniętym, do dwóch i pół ustanych, pomnożonych przez czynnik oporu powietrza i psa, w stosunku do naprężenia obroży...

Nie wiem, czy to przesył męczących wizji, czy kościelne dzwony, które właśnie wybiły siódmą rano; coś mnie obudziło. Było bardzo wcześnie, absurdalnie wcześnie, zwłaszcza w stosunku do pory, o której się położyłem, ale nie chciałem już zasypiać. Przydarzył mi się kolejny ze snów quasi-intelektualnych, a właściwie tych styków snu i jawy, w których mózg bez ograniczeń narzuconych wyraźną między nimi granicą oddaje się męczącym spekulacjom. Opuszczałem je z ulgą. Jałowość rozważań typu: jeden idzie, drugi stoi, a mimo to poruszają się równolegle, przekładana potem próbą napisania wzoru na udany spacer z psem, nękała mnie niezmiernie. Budziłem się, zniechęcony próżnym trudem gęstego jak smoła snu. Mimo niewyspania uznałem, że lepiej robi mi świeże powietrze, a na drzemkę uzupełniającą znajdę czas w ciągu dnia, po pierwszej porcji ćwiczeń na przykład.

Ale... Co jeszcze było snem? Czy wydarzenia wczorajszego wieczoru przyśniły mi się tylko? Zapaliłem lampkę przy łóżku. To nie był sen. Nieporuszenie leżąca na stoliku batuta zdawała się mówić: „Dzień dobry, wstawaj! Możesz poświęcić mi trochę czasu?”

O nie, co to, to nie. Zgadza się; coś się wczoraj istotnie wydarzyło, w coś trochę przypadkowo, trochę z własnego wyboru się wplątałem.

Ale nie pozwolę od rana dezorganizować sobie życia. Będę się trzymał planu, w przeciwnym razie od razu lepiej zrezygnować.

- Dobrze, batuto, będę wyjaśniał, ale w swoim rytmie, jeśli pozwolisz.

No, nie jest ze mną źle! Taka poranna rozmowa z przedmiotem utwierdza człowieka w przekonaniu, że kontroluje i panuje. Siebie i nad całość kształtem. Lub na odwrót. W dodatku nie jest... bezprzedmiotowa.

Na szczęście, poruszona nagle falą wznoszącą długa, okienna zasłona przywróciła mnie rzeczywistości. Gdy zerwanie jej zdawało się już tylko kwestią chwili, spod spodu wyłoniły się uszy, łapy i ziewający pysk. Okienka poddasza były niewielkie, za to uzupełnione imponującymi, opadającymi aż do podłogi kotarami; przestrzeń między nimi a ścianą Eston wykorzystywał często jako miejsce do spania. Odnajdywał tam pewnie równowagę temperatur: chłodu starych murów, ale i będącego w zasięgu ręki (łapy) ciepła skrywającego się pod warstwą materiału. Tam było też jego schronienie przed dźwiękami altówki zbyt długo panoszącymi się na poddaszu, choć mógł przecież trafić gorzej; wyższe częstotliwości skrzy piec drażnią psi słuch w o wiele większym stopniu. Po uszach, łapach i pysku pojawiła się reszta rozspanego jeszcze, a już gotowego do życia psa.

I cztery opcje do wyboru: prysznic, gorąca kawa, spacer lub gama.

Jeszcze tydzień. Tylko tydzień. A więc jednak gama. Rozspane palce zmuszone do posłuszeństwa impulsem mózgowym zaczęły przebieżkę po gryfie. Prawa ręka wprowadzana w rytm życia początkowym legato, zechciała nagle dorównać śmigającym już palcom swojej siostry i sama zerwała się do perlistego spiccato. Mój Boże, gdyby któryś z kolegów to usłyszał: altówka i perliste spiccato... Nawet mnie to rozśmieszyło. Ale palce chodziły wcale niczego. Uspokojony mogłem przystąpić do realizacji pozostałych opcji, bez żadnych złudzeń rzecz jasna; na ćwiczenie właściwe przyjdzie dopiero czas.

Na spacerze było trochę jak we śnie. Eston jednoznacznie wybrał ten sam kierunek co poprzedniego wieczoru. Wiedziony tajemną magią zapachów nie pamiętał, że jest na smyczy, i brał na siebie odpowiedzialność za polowanie (bo czymże innym jak nie jego atawistyczną namiastką jest dla psów spacer?). Byłem do tego przyzwyczajony, a moja odporność na psie narowy zależała od aktualnego nastroju. Tego ranka mimo za krótkiej nocy był nie najgorszy (to chyba zasługa perlistego spiccato), więc mogłem zaprzatnąć myśli innymi sprawami. A konkretnie jedną, która proporcjonalnie do zbliżania się eliminowała wszystkie inne z pola widzenia.

Audycja: słowo, które u każdego muzyka wywołuje skok adrenaliny. Dlaczego? Ano dlatego, że tych kilka minut przeznaczonych na prezentację

swoich umiejętności może dać stałe zatrudnienie albo... rozbić nadzieje w proch i pył, przynosząc rozczarowanie i frustrację (statystycznie ten drugi wariant jest o wiele bardziej prawdopodobny). Dlatego że te parę chwil publicznego egzaminu okupione jest stresem nieporównywalnie większym od towarzyszącego normalnym koncertom. Bo też rzadko kiedy od koncertu zależy tak wiele.

Ale jest też niewątpliwy - i niezależny od rezultatu - pozytyw omawianego wydarzenia; posiada ono potężną moc porządkującą: grę, sposób myślenia o sobie i świecie, po prostu życie. Ile razy jednak można wystawiać się na publiczny osąd, sprowadzać zagadnienia artystyczne do poziomu sportowego, podkopywać własne ego, które wystawione na zbyt częste i intensywne próby każe w końcu zadać pytanie: czy to aby mnie nie przeraża? Czy ja się do tego rzeczywiście nadaję?

To nie miała być pierwsza audycja w moim życiu. (Poprzednie kończyły się różnym skutkiem, niemniej, nazywając rzecz po imieniu, aktualnie byłem bez stałej pracy). Z wszystkich powyższych powodów z całego serca pragnąłem, żeby ta była ostatnia.

W miarę zbliżania się do miejsca wczorajszych, dramatycznych wydarzeń, czułem jednak, jak wbrew mojej woli myśli przeskakują na inne tory. Oczywiście próba trzymania ich na wodzy była z góry skazana na niepowodzenie. Nie co dzień jest się świadkiem usiłowania zabójstwa. Nie co dzień...

Popełniłem błąd. Powtarzalność staje się nawykiem. Nie należało tutaj przychodzić. Przecież park i pies to były jedyne punkty zaczepienia dla księżycowych sylwetek. Chciałem szybko zawrócić, ale w tym momencie Eston usiadł i z podniesioną wysoko głową zaczął analizować każdy centymetr sześcienny powietrza. W końcu dał się uprosić i w miarę szybko udało nam się opuścić park. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo. Miałem nadzieję, że również my pozostaliśmy niezauważeni i niezidentyfikowani. Na najbliższe dni postanowiłem zmienić jednak trasę spacerów.

Wkrótce znaleźliśmy się w okolicach domu. W pełnej oszałamiających zapachów piekarni Pod Nietoperzem (ładna nazwa, taka... cukiernicza) kupiłem parę bułek, w tym kilka nietoperzy; a co, ma Kazimierz swoje koguciki, mogą mieć Krakowice nietoperzyki...

Po spacerze Eston się uspokoił. Miałem wrażenie, że wydarzenia wczorajszego wieczoru w znacznie większym stopniu poruszyły mnie niż nim. Gdy wdrapaliśmy się na poddasze, chlapnął tylko trochę wody, po czym wyciągnął się jak struna na dywaniku i zasnął. Struna... „A gdzie moje ćwiczenie?”, pomyślałem nostalgicznie. Powoli stawało się dla mnie jasne, że dotrzymanie deklaracji składanych batucie, a odnoszących się do kolejności i wagi spraw, nie będzie łatwe. Wiedziałem, że dopiero mając choć trochę

uporządkowaną rzeczywistość, będą w stanie powrócić do *Don Juana*.

Ćwiczenie bowiem to czynność intelektualno-fizyczna. Z przewagą tej pierwszej. Bezmyślne - jak to określał mój profesor - skracanie palcami strun jest stratą czasu.

Zacząłem jednak od parzącego prysznicu, gorącej kawy i jeszcze ciepłych bułek. Gdy je kroilem, Eston na chwilę otworzył oko, sprawdzając, czy przypadkiem nie zapomniałem o nietoperzyku dla niego. Gest mały a wymowny.

Rozgrzany i pokrzepiony spróbowałem w końcu pomyśleć, co właściwie wydarzyło się minionego wieczoru i czy dramat ten mógł - a jeśli tak, to w jaki sposób - łączyć się z wydarzeniami ostatnich dni.

Zaledwie trzy dni temu, w piątkowy poranek, maestro Rucacelli po raz pierwszy stanął przed naszą orkiestrą. Muzycy byli zmęczeni; poprzedniego dnia odbył się czwarty już koncert cyklu beethovenowskiego. Wymagające mnóstwo energii: *VII Symfonia A-dur op. 92* i precyzji *VIII Symfonia F-dur op 93* - zabrzmiały okazale pod dyrekcją kapelmistrza, któremu później również poświęcę kilka słów. Mimo zmęczenia z wielkim zainteresowaniem oczekiwano na pojawienie się Damiana Rucacellego. Gdy wiele lat temu wyjeżdżał z Krakowic, nikt pewnie nie przypuszczał, że powróci tu jako dyrygent światowej sławy. Nikogo nie dziwiło, że do tej pory nie znalazł czasu dla miasta swoich studiów; wszak wiele większych ośrodków muzycznych wciąż czekało na jego debiut. Należy to powiedzieć: ze wszystkich gwiazd batuty, które przybyły na Festiwal, ta - Damiana Rucacellego - świeciła najjaśniej.

Dwie minuty po dziesiątej, niczym majestatyczny krążownik, maestro wsunął się na podium przed orkiestrą. Nie wszedł, tylko wsunął się; od razu było widać, że ciężar gatunkowy własnej osoby jest mu dobrze znany. Był w towarzystwie dyrektora administracyjnego filharmonii, który ze znaczącym uśmiechem powiedział tylko:

- Proszę państwa, maestro Damian Rucacelli!

Rozległ się odgłos smyczków uderzających w pulpity; muzycy witają w ten sposób dyrygentów i solistów lub nagradzają ich za występ, nie mogąc - mają zajęte ręce - po prostu klaskać. W sytuacjach wyjątkowych: po udanym koncercie i w dowód szczególnej sympatii i uznania dla ich kunsztu orkiestra posuwa się do aplauzu manifestowanego tupotem nóg. Ale to zbyt często się nie zdarza.

Mistrz niespiesznie przyglądał się muzykom, z namaszczeniem otwierał partyturę i najwyraźniej zastanawiał się - lub udawał, że to czyni, bo tekst mógł mieć z góry przygotowany - jakich słów użyć, by powitać orkiestrę. Najogólniej są ich dwa rodzaje: pierwszy, z gatunku:

warto powiedzieć na wstępie coś życzliwego, bo dzięki temu będzie się lepiej pracowało -

lub drugi, przesycony takim oto przesłaniem:

nieważne, kto był przede mną i czy jesteście zmęczeni; teraz jestem ja i tylko to się liczy.

Wiek dyrygenta określiłbym gdzieś w przedziale między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Był bez wątpienia przystojnym mężczyzną. Szczupły, wysoki, o poważnej twarzy okolonej długimi, ciemnymi włosami, wśród których tu i ówdzie wiły się srebrne nitki, miał w spojrzeniu ten rodzaj magnetyzmu, który zwłaszcza wśród płci przeciwnej może wywoływać emocjonalne reakcje. Ubranie jego stanowił rodzaj artystycznego munduru lub sutanny: czarny, atlasowy żakiet do pół uda, z niewidocznymi, zakrytymi materiałem guzikami i kołnierzem-stójką. Ten rodzaj wdzianka nazywałem karajanką; od nazwiska słynnego Herberta von Karajana oczywiście. Wielokrotnie i zupełnie nieadekwatnie nadużywany - na przykład przez prezenterów nie najwyższych lotów programów telewizyjnych, w przypadku dyrygentów ma jasną i czytelną wymowę: jestem generałem sztuki, wy stanowicie moją armię; bądźcie gotowi do poświęceń; lub: jestem muzycznym kapłanem; potrzebuję was do odprawienia rytuału; może się nie obejść bez ofiar.

Nie wiedziałem, jak wiele różnic dzieliło von Karajana i Rucacellego, ale jedna była od razu widoczna: pierwszy z nich przedzierzgał się w wyżej wymienionego generała kapłana dopiero na koncercie; drugi pojawił się w rytualnym stroju już na pierwszej próbie.

W końcu przemówił:

- Koledzy, stoi przed nami niełatwe zadanie.

„Uhu”, pomyślałem, a przez orkiestrę przeleciał jakby podmuch prarozczarowania. Jedno zdanie i dwa błędy. Nie językowe oczywiście. Najwyższa pora powiedzieć, że wbrew swojemu włosko brzmiącemu nazwisku maestro Rucacelli był rodakiem. Bez sprawdzania drzewa genealogicznego nietrudno było wskazać kierunek, z którego przybyli do nas protoplaści mistrza.

Pierwszy błąd dyrygenta polegał na użyciu formy „koledzy”, będącej sztuczną próbą skrócenia dystansu z muzykami, a drugi - na sugestii, że nie będzie łatwo, o czym i tak wszyscy wiedzieli, ale tego poranka woleliby usłyszeć raczej słowa otuchy.

Muzyk nie potrzebuje fałszywych znaków równości; gdzież o niej może być mowa, gdy z jednej strony stoi człowiek mogący - prawie - wszystko, mówiący, jak należy grać i posiadający władzę - prawie - nieograniczoną, z drugiej zaś siedzi ten, który jest wykonawcą tych życzeń i żądań, nawet jeśli w jego głębokim przeświadczeniu są to zwyczajne bzdury i

wymaganie rzeczy bezsensownych lub niemożliwych. Jeśli dodać do tego dysproporcję wynagrodzeń jednego i drugiego, staje się jasne, że sformułowanie „koledzy” jest czysto taktyczne, a w istocie podszyte rodzajem nieuświadomionej ironii.

Podstawowe oczekiwania muzyków dotyczą rzetelności, profesjonalizmu i precyzyjnej realizacji tego, co kompozytor zapisał w partyturze; w większości przypadków można w niej znaleźć wszystkie potrzebne wskazówki, zwłaszcza w wydaniach źródłowych (tak zwanych urtextach), do których dostęp w ostatnich czasach stał się nieomal powszechny.

Tylko tyle, a zarazem aż tyle.

Dlaczego natomiast - według dyrygenta - stało przed nami trudne zadanie? Cykl koncertowy, zamyka się zazwyczaj w tygodniu (próby plus koncerty), choć, rzecz jasna, każda orkiestra ma w tym względzie własne tradycje. Tym razem, z racji Festiwalu, mieliśmy średnio po dwa dni na przygotowanie nowego programu, ale fakt, że symfonie Ludwika van Beethovena należą do żelaznego repertuaru, czynił zadanie wykonalnym, choć wymagającym od muzyków wzmożonego wysiłku.

Niefortunne wrażenia z początku próby zostały nieco zatarte w jej trakcie; nikt nie wątpił, że mamy do czynienia z wysokiej klasy dyrygentem. I kiedy wydawało się, że właściwy rytm współpracy został uchwycony - a działa się to tuż przed końcem pierwszej części - maestro Rucacelli popełnił kolejny błąd. Zwrócił się bowiem do orkiestry tymi oto słowy:

- Moi państwo (koleżeństwo szybko mu wywietrzało z głowy), zgodziłem się poprowadzić ten koncert, mając nadzieję, że zastanę orkiestrę przygotowaną, ale widzę, że dobre światowe zwyczaje nie są jeszcze u nas normą. Bardzo proszę, by zechcieli państwo włożyć trochę indywidualnego wysiłku w lepsze zapoznanie się z materiałem. W przeciwnym razie będę zmuszony poprosić dyrektora o zorganizowanie dodatkowych prób sekcyjnych. Dziękuję. Przerwa.

Przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza. Rucacelli zniknął za kulisami, a muzycy z wolna wstawali ze swoich miejsc i coraz głośniej komentowali skandaliczne w opinii wielu zachowanie dyrygenta. Najbardziej ubodło wszystkich sformułowanie: „zgodziłem się poprowadzić ten koncert...”.

On się łaskawie zgodził, zechciał do nas zstąpić na ziemię, a my, maluczcy, nie doceniliśmy tego i... Właściwie, co mieliśmy zrobić? Według powszechnej opinii orkiestra grała dobrze, może wyczuwało się lekkie zmęczenie, ale na litość boską! Nie było powodów do takich przemówień.

Po wypełnionej nerwowymi rozmowami przerwie muzycy ponownie

zasiedli przed pulpitami, z niepokojem oczekując na dalszy rozwój wypadków. Maestro pojawił się z nieprzeniknioną miną. Na niektórych twarzach widziałem bezwzględność gotowości do spijania z ust jeszcze dobrze niewypowiedzianych, a może i niepomysłanych uwag i życzeń mistrza (tak zwany nadprofesjonalizm). Inni schowali się za neutralnym naburmuszeniem, pozostali zaś grali obojętnością na zasadzie: „Niejednego już przeczekaliśmy, to i tego przetrzymamy”.

Jedno trzeba Rucacellemu przyznać; zmęczenie ustąpiło miejsca czujnemu napięciu. I nie wiadomo, czy nie taki właśnie był cel doświadczonego dyrygenta, który nagle stał się miłszy i skoncentrowany na pracy, a nie kontestowaniu poziomu orkiestry. Twarze muzyków powoli się odprężyły, czasami wymieniali między sobą spojrzenia typu: „No widzisz, mówiłem, że jakoś się ułoży”.

Kiedy mistrz pozwolił sobie na parę uśmiechów, z czego co najmniej dwa skierowane były do wyróżniającej się atrakcyjnością wiolonczelistki, zapanowała pogodna już prawie atmosfera wyczekiwania końca próby.

Ale ja nie dałem się zwieść; wiedziałem, że po człowieku, który najwyraźniej gra nastrojami, można się spodziewać wszystkiego. I nie pomyliłem się; najpierw tak długo ćwiczył trudną frazę z waltornią, że w końcu muzykowi zaczął drżeć dźwięk, potem poprosił o indywidualne wykonanie fragmentu *Scherzo* (druga część *IX Symfonii*) przez muzyka z piątego pulpitu drugich skrzypiec.

To jest koszmar, przed którym drżą prawie wszyscy smyczkowcy - prawie, bo koncertmistrzowie grup niejednokrotnie muszą wykonywać solowe fragmenty symfonicznego repertuaru - całe życie ukryci w masie dźwięków, nagle postawieni samotnie przed orkiestrą, jak przed plutonem egzekucyjnym. Mało kto jest w stanie znieść taką presję; kończy się zazwyczaj kompromitacją, wynikłą nie z braku umiejętności lub nieprzygotowania materiału, lecz z niemożliwości opanowania nerwów. Dyrygenci stosujący opisaną metodę muszą o tym wiedzieć, wiedzą również, że efekt pedagogiczny lub artystyczny takiego posunięcia jest żaden. Używają jej niekiedy jako broni przeciwko muzykowi, który czymś się naraził. Czym na gniew maestra zasłużył Bogu ducha winien pan Zbyszek? - nikt nie miał pojęcia. Może został przyłapany na jakimś wyrażającym brak zachwytu wyrazie twarzy? Skończyło się tak, jak można było przewidzieć: po wykonaniu serii nie bardzo przypominających *Scherzo* dźwięków nieszczęśliwy muzyk wstał i wyszedł z sali.

A maestro Rucacelli spokojnie zakończył próbę, mówiąc:

- Dziękuję państwu. Widzimy się jutro i proszę nie zapomnieć o mojej prośbie.

Rozpętała się burza. Jako niestały muzyk zespołu, nie chciałem, a nawet nie bardzo miałem prawo w niej uczestniczyć. I nie wiem dokładnie, co działo się dalej. Mogę jedynie przypuszczać, że doszło do szeregu spotkań, rozmów i negocjacji. Dyrekcja filharmonii znalazła się w trudnej sytuacji; z jednej strony rozumiała skargi i oburzenie muzyków, z drugiej - nie chciała ryzykować otwartego konfliktu, grożącego zerwaniem kontraktu z bądź co bądź sławnym dyrygentem. O wartościowe zastępstwo byłoby w tak krótkim czasie bardzo trudno, a cały, z trudem budowany dorobek I Festiwalu Symfonii Beethovena można było łatwo roztrwonić finałowym skandalem. Powtarzam więc raz jeszcze: nie wiem dokładnie, co wydarzyło się w piątkowy wieczór.

Ale w sobotę rano przed orkiestrą stanął jakby inny człowiek; ani słowem nie wracał do wydarzeń poprzedniego dnia, był sympatyczny, ba, momentami czarujący i - trzeba to przyznać - wysoce profesjonalny. Jedynymi ludźmi, na których pozwolił sobie trochę pojeździć, byli chórzysty; popołudniową próbę w całości wypełniła monumentalna, czwarta część *IX Symfonii*, skomponowana do słów Fryderyka Schillera *Oda do radości*. Uczył też śpiewać solistów, całą rzekomą życzliwość artystyczną przelewając na posągowo zbudowaną sopranistkę z Oslo. Gdy jednak ta pozostawała zimna i niedostępna jak norweski fiord, zaczął się coraz częściej popisywać elokwencją, dowcipem i detaliczną znajomością partytury przed wewnętrzną stroną drugiego pulpitu wiolonczel, czyli oczywiście uroczą wiolonczelistką.

Jeśli zaś chodzi o chórzystów, to jest jeszcze inna sprawa: nie wiem, czym ten fakt tłumaczyć, ale oni po prostu kochają, gdy symfoniczny dyrygent przybiera wobec nich rolę krytyka i nauczyciela. Niewiele chórów to zespoły w pełni profesjonalne; być może właśnie na poły amatorski charakter większości z nich powoduje - masochistyczny niekiedy - zachwyt uszczypliwymi uwagami dyrygenta.

Koniec końców, z dużej chmury spadł jednak nie tak wielki deszcz. Piątkowe incydenty już się nie powtórzyły, a orkiestra była dobrze przygotowana do koncertu. Najbardziej poszkodowany wydawał się pan Zbyszek z drugich skrzypiec, który od pamiętnej awantury nie pojawił się już w filharmonii; oficjalnie miał zwolnienie lekarskie.

Niedzielna próba generalna ugruntowała poprawność odniesień: orkiestra - dyrygent, oraz zacieśniła relację dyrygent - wiolonczelistka (nie zwracałbym na to uwagi, gdybym sam nie strzelał oczami w jej kierunku), która tak jak i cały Festiwal zbliżała się do wielkiego finału... Przed rozpoczęciem *Ody do radości*, maestro po napoleońsku skrzyżował

ramiona, potoczył wzrokiem po chórze i orkiestrze, i zatrzymując spojrzenie na wiolonczeliste, powiedział:

- Muzyka jest jak życie - pełna zagadek i znaków zapytania. Trzeba bardzo uważać, aby nie zgubić w niej właściwego kierunku. Ale mamy wszelkie dane na wspólny sukces. Niech państwo wyobrażą sobie, że zamiast batutą, będę dziś dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci. Otwórzmy je wspólnie.

Ktoś z boku mruknął:

- Kluczem francuskim se podyryguj - a z tyłu dobiegł mnie szept: - Żeby mu tylko nie zardzewiał...

Ot, takie orkiestrowe dogadywanki... Muszę przyznać, że i mnie znieśmaczył kabotyński występ mistrza. Ale osoba, której był dedykowany, robiła wrażenie zachwyconej. Po chwili dyrygent zdjął wzrok z zarumienionej i patrzącej na niego błyszczącymi oczami wiolonczelistki i z namaszczeniem rozpoczął finał symfonii.

Koncert okazał się wielkim sukcesem; jego nadzwyczajność dawała się wytłumaczyć w wieloraki sposób: ostatnia symfonia Beethovena, finałowy koncert Festiwalu, galowość, uroczystość, odświętność... Wszyscy wspięli się na wyżyny własnych możliwości, mnie zaś muzyka całkowicie porwała swoim żywiołem, czemu z przyjemnością się poddałem, bo to właśnie kochałem najbardziej.

A o reszcie zdążyłem już powiedzieć: bankiet, na który nie poszedłem, wieczorny spacer z Estonem, gdy dźwięki nie wywietrzały jeszcze z mojej głowy, a maestro przygotowywał się na indywidualną próbę sekcijną - tak mi się przynajmniej wydawało. I w końcu teatrzyk księżycowych cieni, brawurowa akcja Estona, przymusowa wizyta w komendzie policji i powrót na Kanoniczną, gdzie czekał na mnie Sebastian Mars wspólnie z psem, który bezbłędnie odczytał moją komendę i odnalazł drogę do domu.

I oto miałem pierwsze wnioski: pojawiła się grupka kandydatów mogących mieć mniej lub bardziej wyraźny powód, mówiąc delikatnie, niechęci do dyrygenta. Czy któryś z nich byłby skłonny posunąć się do próby zabójstwa? To akurat wydawało się mało prawdopodobne, niemniej ktoś wczoraj pchnął nożem maestra Rucacellego i miał to być cios śmiertelny.

Pan Zbyszek - upokorzony publicznie muzyk z grupy drugich skrzypiec - był kandydatem numer jeden; numer dwa przypadał w udziale znanemu z krewkiego temperamentu waltorniście. Kolejny na liście mógł być ktoś, kto dostrzegł, co się dzieje między nieobojętną mu wiolonczelistką a dyrygentem. Jak mówiłem, grono jej wielbicieli wydawało się liczne (jak obrazowo

wyraził się jeden z kolegów: był na nią spory popyt), ktoś jednak mógł być bardziej od innych zaangażowany uczuciowo. Chyba że cios zadała zbiorowa ręka zauroczonych dziewczyną; pamiętałem motyw rozpisanego na role *Morderstwa w Orient Expressie*. Tyle tylko że...

No właśnie, co z tą batutą? Czy gest rzucającego nią w wodę maestra był irracjonalny? Ale przecież sylwetki najwyraźniej chciały ją odzyskać. Czy wiedziały, co znajduje się w pudełku? Rozmawiali na moście. O czym? Jeśli to pan Zbyszek był jedną z księżycowych sylwetek... Nie, absurd. Nie mogłem wyobrazić sobie pocziwego skrzypka z niczym innym niż smyczek w ręce. A waltornista? Jemu też maestro załaził za skórę. Mimo wszystko nie słyszało się powszechnie o muzykach mordujących dyrygentów. Nie żeby nie miewali na to od czasu do czasu ochoty; jednak konsekwencje podobnego czynu okazałyby się dla obu stron zbyt daleko idące; do samego końca, powiedziałbym. Więc może to zmowa pokrzywdzonych muzyków? Takie popełnione do spółki z kimś zabójstwo nie jest już zabójstwem. Oczywiście bzdura, ale jej absurdalność może uderzyć dopiero po fakcie... Lub koalicja tychże z zazdrosnym kochankiem, lub potencjalnymi - a już zazdrosnymi - kochankami.

Ale ta batuta...

Może więc po prostu była to próba rabunku cennego przedmiotu? Właśnie, trzeba by się w końcu dokładniej przyjrzeć wciąż leżącej obojętnie na stoliku pałeczce.

Tak, zdecydowanie pociągały mnie kryminalne zagadki. Lubiłem je, traktując przestępstwa i trupy wyłącznie jako materiał kompozycyjny, rekwizyty układanki. Należałem do gatunku wielbicieli kryminałów, zapaleńców prowadzących śledztwo, że się tak wyrażę, na własną rękę. I oto nieoczekiwanie znalazłem się w obliczu prawdziwego przestępstwa, w dodatku - jak na zachętę - obdarowany bonusem wiedzy, której nie miał nikt inny; tajemnicą w dramatycznych okolicznościach zdobytej batuty.

To jednak nie była książka. Krew okazała się prawdziwa, próba zabójstwa stała się faktem, a ofiara nie opuściła tego padołu tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi. To nie jakiś wydumany scenariusz. Ale może dlatego było jeszcze ciekawiej...

Oto dlaczego zachowałem informację dla siebie; uruchomienie instynktu łowcy zagadek kryminalnych nastąpiło automatycznie! I dlatego, zamiast ćwiczyć, **ĆWICZYĆ!** - siedziałem teraz na kanapie, próbując kojarzyć w jakąś całość wszystkie znane mi fakty odnoszące się do tej sprawy. Czułem jednak, że powoli gubię się w gąszczu połączeń, a świadomość, wyczerpana intensywnością przemyśleń, próbuje wymknąć mi się spod kontroli. Odplynąłem.

Obudził mnie dźwięk komórki. Ile mogłem spać? Niedługo, góra kilka minut. W słuchawce usłyszałem głos inspektora. Ale nie policji; Orkiestry Radiowej. Inspektorzy w orkiestrach to tacy ludzie od wszystkiego. Muszą odznaczać się niepoślednim talentem organizacyjnym, a oprócz mnóstwa spraw, które mają na głowie, są też często muzykami danego zespołu. Marzeniem każdego wolnego strzelca jest znaleźć się na liście inspektora orkiestry; to oni realnie proponują pracę, wiedząc, jakie są potrzeby personalne zespołu w poszczególnych tygodniach.

Dlaczego jednak orkiestra, dysponując etatowymi muzykami, tak często potrzebuje dodatkowych?

Repertuar orkiestrowy jest bardzo zróżnicowany. Pomiedzy zespołem potrzebnym do wykonania utworów barokowych a późnoromantycznych różnica jest olbrzymia, a dotyczy przede wszystkim liczebności. Mało jest orkiestr, które mogą pozwolić sobie na stałe zatrudnienie muzyków niezbędnych do wykonywania całej gamy repertuarowej. Istniejące luki w miarę potrzeb i środków wypełnia się muzykami doangażowanymi. Orkiestrowe plany tworzone są z mniej więcej rocznym wyprzedzeniem; można więc „zakontraktować” potrzebnych ludzi odpowiednio wcześniej. Ale są też sytuacje typu last minute, gdy któryś ze stałych członków orkiestry po prostu zachoruje.

Inspektor Radiówki prócz wymienionych funkcji posiadał jeszcze jedną, która czyniła go prawdziwą żyłą złota: organizował pozaorkiestrowe obsady do szczególnie dobrze płatnych nagrań muzyki filmowej. I z taką właśnie propozycją zadzwonił:

- Panie Bartku, sytuacja podbramkowa, potrzebuję altowiolisty, dwa dni - wtorek, środa - dobrze płatne i od razu po nagraniu. - Z precyzją profesjonalisty zawarł w jednym zdaniu wszystkie kluczowe informacje.

„No tak, tylko tego mi trzeba”, pomyślałem, ze zdziwieniem słysząc swój głos, który jakby niezależnie i bez zająknięcia wypowiedział dwa słowa:

- Ależ oczywiście!

Czyżby początki schizofrenii? Po całej argumentacji, jaką przedstawiłem wcześniej, moja odpowiedź powinna być jasna i krótka: „Nie ma mowy!”.

Ale z trzech kwestii: przesłuchania, morderstwa i nagrania tylko ta ostatnia miała pewne, szczęśliwe zakończenie: wypłatę gotówki.

Z punktu widzenia relacji: czas/wysiłek - korzyść finansowa nagrania muzyki do filmów nie mają sobie równych. Moja sytuacja nie pozwalała

na odrzucenie podobnej okazji, choć towarzyszyła mi refleksja, że od wczoraj już drugi raz reaguję automatycznie; najpierw jako łowca zagadek kryminalnych, a teraz jako łowca chałtur. Zdecydowanie musiałem wzmocnić w sobie instynkt łowcy stałej pracy.

Gdy myśli moje zaczęły krążyć wokół psa Pawłowa, mój pies zaczął krążyć wokół mnie. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie z lekką przyganą (chodziło o to nagranie, wiedziałem), ale pod warunkiem natychmiastowego spaceru był chyba skłonny mi wybaczyć.

Powinienem też wstąpić do filharmonii i umówić się na próbę z pianistką. Co prawda każdemu konkursowiczowi przysługiwała kilkuminutowa rozgrzewka z fortepianem w dniu przesłuchania, ale wolałem spotkać się wcześniej i bez tak radykalnego limitu czasowego. Prócz tego chciałem, by próba odbyła się w sali koncertowej; znałem ją dobrze, ale tylko z gry w orkiestrze, a nie z solowych występów, a to jednak zupełnie co innego. Miałem również nadzieję, że na miejscu dowiem się czegoś nowego o próbie zabójstwa Damiana Rucacellego i jego aktualnym stanie. Spraw było mnóstwo, należało zacząć działać.

Być może ktoś zastanowił się przez moment, o co chodziło z tym *Don Juanem*? Generalnie wiadomo, kto zacz. Ale co robi w opowieści altowiolisty i dlaczego będę musiał do niego powrócić? Wymaga to kilku słów wyjaśnienia.

Audycja lub konkursowe przesłuchanie do orkiestry - tych pojęć używa świat muzyczny - składa się przeważnie z trzech etapów. W pierwszym kandydat musi udowodnić, że potrafi grać. Najłatwiej jest to uczynić (a właściwie najłatwiej jest delikwentowi uświadomić, że grać nie potrafi) na bazie transparentnego, wymagającego nieskazitelnej techniki repertuaru z epoki klasycznej. I tak dla skrzypków będzie to któryś z pięciu koncertów Wolfganga Amadeusza Mozarta, dla wiolonczelistów jeden z dwóch koncertów Josepha Haydna i - uwaga! - koncerty Stamitza lub Hoffmeistera dla altowiolistów. Kto w ogóle słyszał o takich kompozytorach? Niekiedy miejsce koncertu klasycznego zajmuje któraś z solowych suit Jana Sebastiana Bacha, tyle że są to transkrypcje wiolonczelowych oryginałów.

Szczęśliwcy, którzy pokonają pierwszą przeszkodę, mogą teraz zaprezentować się w repertuarze romantycznym. Szczególnie skrzypkowie mają z czego wybierać; ich lista pełna jest wybornych koncertów: Beethoven, Brahms, Czajkowski, Sibelius - by wspomnieć tylko niektóre. Wiolonczeliści, ze swoim Dvořakiem i Schumannem na czele, też nie mogą narzekać. Nasz wybór ogranicza się do: Waltona, Hindemitha i Bartóka, który w

chwili natchnienia zlitował się nad biednym altowiolistycznym ludkiem, komponując dlań dzieło wybitne. Są orkiestry, które miast romantycznego koncertu wolą w tej rundzie wysłuchać utworu na altówkę solo, na przykład *Suity* Maxa Regera lub *Konzertstück* rumuńskiego kompozytora George Enescu; przynajmniej jednak uczciwie, że to również nie są dzieła otwierające listy przebojów muzyki poważnej.

Ci, którzy teraz znajdują uznanie w oczach wysokiej komisji, mogą wystąpić w finale, gdzie czeka na nich zestaw najtrudniejszych fragmentów z literatury orkiestrowej. Ich dobór zależy od fantazji wybierających: koncertmistrzów poszczególnych grup smyczkowych, kraju (dla przykładu Jeana Sibeliusa można się spodziewać w Finlandii, a Manuela de Falli w Hiszpanii), tradycji poszczególnych orkiestr... Z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem należy oczekiwać wyjątków z dzieł: Mozarta, Beethovena, Schumanna, Szostakowicza, Smetany, Mahlera, Lutosławskiego... Krótko mówiąc, wszystkich kompozytorów, których utwory znajdują się w repertuarze sal koncertowych świata.

Teraz jednak w końcu możemy czuć się równi naszym mniejszym i większym braciom (i siostram), bo na czele listy w przypadku każdego instrumentu smyczkowego i każdej chyba orkiestry znajduje się pierwsza strona słynnego arcytrudnego poematu symfonicznego *Don Juan* Richarda Straussa; jego jednego można być pewnym zawsze i wszędzie. I dlatego warto go ciągle mieć w palcach, w przekonaniu, że prędzej czy później stanie na naszej drodze.

Przed wyjściem z domu postanowiłem więc sprawdzić jego aktualne samopoczucie. Hm, gdyby Don Juan mojej wersji był prawdziwy, to przypuszczam, że nigdy w życiu nie udałoby mu się uwieść żadnej kobiety. I dlatego złożyłem uroczyste ślubowanie: choćby dyrygencki trup padał gęsto, i to tuż przed moim nosem, popołudnie poświęcę na ćwiczenie.

Po krótkim spacerze z psem wyruszyłem w kierunku filharmonii, tym razem na rowerze, moim idealnym środkiem lokomocji (szkoda że nie na każdą pogodę). W niespełna pięć minut znalazłem się koło gmachu, który mimo że orkiestra nie pracowała, był otwarty i żył bytem instytucji kulturalnej na nieco zwolnionych obrotach. Portier, bez którego wiedzy i zgody nie chciałem wchodzić na piętro, gdzie znajdowały się sekretariat i inne pomieszczenia administracyjne, zajęty był rozmową telefoniczną. Czeka-
jąc, aż skończy, dostrzegłem leżącą na kontuarze poranną gazetę, otwartą na stronie poświęconej zakończonemu Festiwalowi. O dramatycznych wydarzeniach minionego wieczoru nie mogło być jeszcze mowy. Powinienem

był raczej sprawdzić wiadomości, jakie do tej pory pojawiły się w internecie. Obiecałem sobie solidną sesję informacyjną, ale dopiero wieczorem, po ćwiczeniu.

Jeden z artykułów w leżącym przede mną dzienniku mówił o pełnym rozmachu wykonaniu *IX Symfonii* Beethovena, które stało się ostatnim, mocnym akordem, godnie zamykającym muzyczne święto. Drugi podsumowywał Festiwal jako całość. Zawierał też informację, która wcześniej krążyła już wśród muzyków: dokładnie na poniedziałkowe południe maestro Rucacelli zapowiedział konferencję prasową w filharmonii. Nieoficjalnie mówiło się, że dotyczy będzie nagrania płytowego, które orkiestra miałyby realizować pod jego batutą. Ale szczegółów nikt nie znał, nawet dyrekcja nie pozwalała sobie na aluzje mogące rzucić trochę światła na domysły. Taki był pewnie element umowy: Damian Rucacelli rezerwował sobie prawo osobistego ogłoszenia projektu. Niektórzy - a konkretnie dwójka tak zwanych dobrze poinformowanych osób - widzieli już zespół występujący i nagrywający w najbardziej prestiżowych salach Włoch i innych krajów, ale wiarygodność ich informacji pozostawiała przeważnie sporo do życzenia.

Oczywiście konferencja nie mogła się odbyć. Byłem jednak ciekaw, czy zostanie ogłoszony jakiś oficjalny komunikat. Wiszący nad portiernią ścienny zegar pokazywał za kwadrans dwunastą. W hallu głównym, który widziałem poprzez oszklone drzwi, kłębił się tłumek reporterów z kamerami i mikrofonami gotowymi do akcji.

- I widzi pan, co się porobiło? - wyrwał mnie z zadumy głos portiera, który właśnie zakończył telefoniczną konwersację. - A taki był spokojny człowiek, kto by się spodziewał? - zakończył retorycznie.

- Kto spokojny człowiek? - Nie zrozumiałem; te słowa nie bardzo mi pasowały do Damiana Rucacellego.

- Jak to kto? - zdziwił się portier. - Pan Zbyszek - wyjaśnił.

- Ale co pan Zbyszek? - Moje szeroko otwarte oczy musiały wyrażać niezrozumienie.

- No, co pan Zbyszek - dziwił się z kolei mojej niedomyślności portier - dźgnął go nożem, tego dyrygenta.

- A pan skąd o tym wie? - spytałem niedowierzająco.

- Jak to skąd? Wszyscy o tym mówią. - Myślę, że był mizernego zdania o mojej zdolności kojarzenia faktów.

- Wszyscy, to znaczy kto? - nie ustępowałem.

- No pan Michał i pani Melpomena - (słowo daję, była w orkiestrze pani o tym imieniu, fakt, że niezupełnie zgodnie z powołaniem) - i policja już o niego pytała.

Więc już wiedziałem, jacy to wszyscy. Jednostki, owszem, opiniotwórcze, ale mało wiarygodne, zresztą tylko co o nich wspominałem.

Skoro jednak portier tyle wiedział, to może znał również adres pięknej wiolonczelistki? Przyszło mi do głowy, żeby z nią porozmawiać, ale nie przez telefon; nie wiedziałyby nawet, kim jestem...

- Pani Wanda? A gdzie miałyby mieszkać? Z ojcem. To jednak coś pan słyszał?

Znowu nie rozumiałem, ale sens słów powoli zaczął do mnie docierać:

- To znaczy, że pani Wanda jest...

- ...córką pana Zbyszka - dokończył, przyglądając mi się ze zdumieniem. - Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

Znowu ci wszyscy. Chociaż jeśli tak się sprawy miały, to jednak oni mogli mieć rację...

Nie chciałem dłużej rozmawiać, przynajmniej na razie, bo logika poznanych faktów miała eksplozywną moc; podwojony motyw zdawał się wyraźnie wskazywać na sprawcę, choć pozostawało całe mnóstwo pytań. Czyżby więc zagadka już się wyjaśniła? Miałoby to pozytywy - mógłbym skoncentrować się na swoich sprawach, ale...

Coś, jakby cień, przemknęło przez moje myśli; rozczarowania, że już po wszystkim, i smutku, że oto życie co najmniej dwojga ludzi musi ulec radykalnej zmianie. Bo pojawił się w nim ktoś, kto rościł sobie prawo do bezkarnego igrania z emocjami bliźnich.

A tajemnicza batuta? W tej sytuacji traciła na znaczeniu. Może maestro w ostatniej chwili poczuł skruchę i chciał ją wyrazić jakimś retorycznym, dramatyczno-symbolicznym gestem? Ot, prawdziwy dyrygent, do końca posługujący się atrybutem swojej niezwykłości:

- Przeklinam chwilę, gdy wziąłem cię do ręki...

lub:

- I zobacz, dokąd mnie zawiodłaś, a więc zgiń w otchłaniach...

Hm, trochę to naciągane. Co jednak zrobić, jeśli w układance wszystko z wyjątkiem jednego elementu trafia na swoje miejsce? Można próbować go na siłę gdzieś wcisnąć lub uznać, że... cała układanka jest do bani.

Podziękowałem portierowi, który okazał się źródłem cennych informacji. Specyfika zawodu: dużo widzi, dużo słyszy; i charakteru: jak chce, może o tym opowiedzieć. Poinformowałem go, jaki jest konkretny cel mojej wizyty, i ruszyłem na górę, aby wysondować możliwość próby z pianistką. Miałem szczęście; sekretarka skierowała mnie bezpośrednio do jednej z ćwiczeniówek. Znałem akompaniаторkę, więc umówienie się na próbę, i to - po sprawdzeniu w sekretariacie grafiku zajęć - w sali koncertowej, przebiegło bez problemów. Mieliśmy spotkać się w czwartek o

dwudziestej; zdaje się, że prócz mnie było już umówionych kilka innych osób.

Zbiegłem na dół akurat w momencie, gdy do mikrofonu w hallu głównym podchodził dyrektor administracyjny filharmonii. Postać nieszczerólnie przez muzyków lubiana, ale trudno było mu odmówić zawodowych kompetencji. Rozległ się szum dziennikarskiego sprzętu. Pozostałe odgłosy ucichły. Wszyscy w napięciu oczekiwali na wiadomości.

- Szanowni państwo, jak wszyscy tu zapewne wiedzą, o godzinie dwunastej miała rozpocząć się konferencja prasowa znakomitego dyrygenta Damiana Rucacello, którego sztuka tak wspaniale uświetniła nasz Festiwal. Zapewne jednak słyszeli już państwo o tragicznych wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

Kątem oka zauważyłem, że mój znajomy oficer śledczy jest wśród zgromadzonych.

- Otóż krótko po opuszczeniu bankietu zorganizowanego na zakończenie Festiwalu maestro Rucacelli padł ofiarą bandyckiego napadu. Pozwolą państwo, że oddam głos panu nadkomisarzowi Bielskiemu, który z ramienia Komendy Wojewódzkiej zajmuje się tą sprawą.

Policjant - nareszcie wiedziałem, jak go tytułować - podszedł do mikrofonu i bez zbędnych ceregieli zaczął:

- Wczoraj, krótko przed północą otrzymaliśmy - byłem pewien, że inspektor mnie widzi, ale w pełni profesjonalnie trzymał oczy na wodzy - informację o znalezieniu w parku nieprzytomnego mężczyzny. Na miejsce dotarliśmy po siedmiu minutach; znajdował się tam już ambulans, który niezwłocznie przetransportował poszkodowanego do szpitala. Wedle wstępnych ustaleń dyrygent Damian Rucacelli, bo to on okazał się rannym mężczyzną, padł ofiarą napadu rabunkowego. Pan Rucacelli przeszedł natychmiastową wielogodziną i skomplikowaną operację. Według ostatniego komunikatu lekarskiego jego stan jest ciężki, ale stabilny. To wszystko, co mam na razie państwu do powiedzenia. O postępach w śledztwie będziemy informować.

Nadkomisarz Bielski błyskawicznie opuścił punkt przy mikrofonie, nie dając nikomu żadnych szans na zadanie dodatkowych pytań. Do głosu powrócił dyrektor administracyjny, ale tylko po to, aby podziękować za udział w konferencji.

W jednej chwili zrobiło się niezwykle gwarno. Dyrektor przez chwilę stał w milczeniu, po czym z lekkim jakby uśmiechem - zawodowym, bo sytuacja wszak zabawna nie była - powiedział:

- Proszę państwa, proszę mi wierzyć, że dla dobra postępowania zdecydowaliśmy się na razie nie udzielać żadnych dodatkowych informacji.

Postanowiłem zrobić malutki wyłom i odpowiedzieć na jedno pytanie, które tutaj przed chwilą usłyszałem. Nie był, podkreślam, nie był nam znany temat konferencji zaplanowanej przez maestra na dzisiejsze południe. Ponieważ już pojawiały się w tej sprawie liczne spekulacje, raz jeszcze je dementuję: temat konferencji był znany jedynie panu Damianowi Rucacellemu. To wszystko, dziękuję państwu za przybycie. Do widzenia.

Piekło pytań, które się rozpełtało, trwało jeszcze czas jakiś, ale ponieważ jedyni poinformowani zniknęli, również dziennikarze zaczęli się pakować i opuszczać gmach filharmonii. W pogoni za kolejną sensacją, którymi żywi się ich zawód.

I ja chciałem odejść, ale nieoczekiwanie usłyszałem znajomy głos:

- Panie Bartoszu, możemy chwilę porozmawiać?

Nie mogłem odmówić nadkomisarzowi. Zresztą ciekaw byłem, czy jego wiedza jest w istocie tak anemiczna, jak próbował wmówić dziennikarzom. Przeszliśmy do bardziej ustronnego korytarza przy portierni.

- Panie Bartku, czy jest pan pewien, że wszystko mi pan wczoraj opowiedział? Może coś się panu jednak przypomniało. Był pan w szoku, zmęczony...

- Czy to naprawdę nie pan Zbyszek? - odpowiedziałem pytaniem. - Bo zdaje się, że były jakieś obciążające go poszlaki.

- Nawet jeśli były, to już ich nie ma. - Nadkomisarz natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi. - Skrzypek, o którym pan mówi, od czwartkowego wieczoru znajduje się w szpitalu i bez trudu sprawdziliśmy, że go w tym czasie nie opuszczał. Ale ja też pana o coś pytałem.

Poczułem coś w rodzaju potrójnej ulgi: za pana Zbyszka, Wandę i za siebie - bo pozostawałem w grze. A zarazem uznania dla Bielskiego, który nie dał się łatwo zbić z tropu.

- Nie, nic nowego sobie nie przypomniałem. - Choć przez sekundę czułem pokusę, aby uwolnić się od brzemienia tajemnicy, to odrzuciłem ją, pozostając wierny raz przyjętej wersji. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. - Proszę mi powiedzieć, jeśli pan może, czy naprawdę podejrzewacie napad rabunkowy?

Inspektor nie odpowiedział od razu. Zapalił papierosa; znowu zaczął te swoje cyrki.

- Nie mamy innych poszlak. Przeszukaliśmy miejsce przestępstwa, pokój hotelowy Rucacellego, jego gabinet tu, w filharmonii. Nigdzie nic, co mogłoby nam podsunąć inny trop. Było więc pewnie tak, że mistrz wyszedł do parku przewietrzyć się po koncercie i bankiecie, a jakiś dwóch obwiesiów wzięło go na celownik i postanowiło sprawdzić zasobność jego kieszeni.

- A czy znaleziono coś przy nim?

- No, właśnie niewiele, a portfel z niezłą sumą i wszelkimi możliwymi kartami debetowymi i kredytowymi był w hotelu. Ale rabusie mogli sądzić, że ma go przy sobie.

- No a inne tropy... muzyczne?

- Mówi pan o waltorniście? - Bielski wiedział wszystko. - On w tym czasie był jeszcze na bankiecie. A jeśli chodzi panu o tę Wenus z wionoczelą - ba, nawet o tym słyszał - to ona, owszem, ma chłopaka, tylko że chwilowo za granicą.

Hm, krąg podejrzanych i motywów dramatycznie się zmniejszał. Rabunkowy charakter napadu.

- Pozostaje jeszcze ta konferencja prasowa...

- No i co z nią?

- Pan się mnie pyta?

- Tak, pytam, bo mnie o niej nic nie wiadomo.

Krążące wśród muzyków pogłoski brzmiały jednak prawdopodobnie; mistrz chciał zaproponować orkiestrze wspólne nagrania płytowe, a dla większego efektu pragnął to zrobić sam i w blasku kamer. Podobno na próbie generalnej obecni byli przedstawiciele firmy nagraniowej, z którą związany jest kontraktem (po południu lecieli dalej, ponoć na Festiwal Czajkowskiego do Petersburga; taki zawód). Czy te plany mogły komuś przeszkadzać? Komu: konkurencji, która postanowiła się go pozbyć? Raczej bez sensu. Znowu odczułem pokusę, aby powiedzieć o batucie. Ale czy to coś mogło zmienić? Wyglądało na to, że sylwetki na moście zażądały portfela, zegarka i takich tam innych kieszonkowych drogocЕННОści. Nie otrzymawszy nic, chciały wziąć cokolwiek, na przykład ciekawie wyglądające pudełko, które mistrz wyjął z kieszeni, opróżniając je na żądanie oprychów. Ale etyka zawodowa nie pozwoliła mu skalać magicznego sprzętu dotknięciem profana; wolał go wrzucić do wody. A to się mogło nie spodobać bandytom i zareagowali po swojemu, czyli nożem. Jeśli tak było, to Bielski miał rację i nie musiałem go w tym utwierdzać. Wyobraziłem sobie za to zdumienie i radość maestra, któremu wręczę jego ceną własność, gdy już odzyska przytomność...

- Mam jeszcze ostatnie pytanie. - Z zadumy wyrwał mnie głos nadkomisarza, który, uświadomiłem to sobie, nie spuszczał ze mnie wzroku. - Czy rozpoznaby pan kogoś z bandytów przy ponownym spotkaniu?

- Panie komisarzu, to mógł być każdy człowiek przeciętnego wzrostu, ubrany w długi płaszcz. Z pewną dozą ryzyka mogę jedynie wykluczyć, by któraś z sylwetek była kobietą. Tylko tyle.

- A, to jednak jest coś. - Bielski robił wrażenie zadowolonego, że rozmowa zakończyła się konstruktywnym wnioskiem.

Na pożegnanie obiecałem zatelefonować, gdyby mimo wszystko coś mi się przypomniało. Zostawiałem sobie taką małą furteczkę...

Komórka Bielskiego zadzwoniła. Nadkomisarz, nie zwracając już na mnie uwagi, szybko wyszedł z budynku. Świat (przestępstw) nie ograniczał się do próby zabicia jednego, nawet tak znamienitego dyrygenta. I ja chciałem już wyjść, gdy tknięty nagłym impulsem i chwilową nieobecnością portiera, postanowiłem wspiąć się dwa piętra wyżej. Tam znajdowały się pokoje solistów oraz - szczególnie interesujący mnie w tej chwili - gabinet dyrygenta. Korzystając z faktu, że filharmonia była pusta - muzycy mieli wolne, a dziennikarze już ją opuścili - niezauważony, miałem nadzieję przeprowadzić małą śledztwo.

Po chwili w zupełnej ciszy nacisnąłem klamkę. Niestety, drzwi były zamknięte.

Rozdział III

Poniedziałek cd.

W nowej sytuacji postanowiłem za wszelką cenę odnaleźć piękną Wandę. Wydawała się jedną z niewielu osób, które mogły rzucić jakieś światło na tło wydarzeń związanych z maestro Rucacellim. Domyślałem się bardziej, niż wiedziałem, że w ostatnich dniach miała z nim kontakty częstsze i intensywniejsze, niż wynikałoby to z grafiku prób. Teraz, gdy okazało się, że pan Zbyszek jest poza podejrzeniem, poczułem, że tym bardziej powinienem z nią porozmawiać.

Mieszkała z ojcem, co świadczyło, że nie mieszka ze wspomnianym przez Bielskiego chłopakiem. Nie zmartwiło mnie to. Adresu pana Zbyszka jednak również nie znałem.

Tym razem to ja zaskoczyłem portiera:

- No i co pan naopowiadał - nie dałem mu dojść do słowa - pan Zbyszek leży w szpitalu, a pan za łatwo daje wiarę plotkom.

Portier rozejrzał się wokół, po czym nachylił nieco, jednocześnie ręką dając znak, abym nadstawił ucha:

- Panie, mi się tu od początku coś nie zgadzało, ale jak pan Michał, a zwłaszcza pani Melpomena, zaczęli nadawać, jak to ten maestro najpierw pana Zbyszka załatwił przed orkiestrą i co potem z jego córką wyrabiał, to oni, mówili, sami by na jego miejscu to zrobili. I tak mnie skołowali... Ale ja czułem, że to nie on. - Portier jeszcze bardziej ściszył głos: - A ten dyrygent to się mnie wczoraj po koncercie pytał, czy ja zostaję na noc, bo on musi wrócić do swojego gabinetu, bo musi jeszcze popracować, co mi się dziwne wydało, co on tam jeszcze chciał robić po koncercie, ale to nie moja sprawa, a za artystą pan czasem nie nadążysz, a ja mu na to, że nie, że na nocnej będzie kolega, a on, żebym ja jednak tego kolegę uprzedził, że on na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba, ale jak zmieniałem kolegę rano, to mi powiedział, że go nie było, ale jak mógł być, kiedy on tam już wieczorem półmartwy leżał...

Tę nieprawdopodobną frazę wypowiedział na jednym oddechu; gdy jednak musiał zaczerpnąć powietrza, wpadłem mu w słowo:

- Tak powiedział, że to będzie straszna bomba? - spytałem zaskoczony.

- Dokładnie tak, ale, panie, ja nie mam pojęcia, o czym on mówił. Że pracował nad czymś u siebie, w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami

i po próbach, jakiś projekt szykował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali...

- Zaraz, zaraz, niech pan troszkę zwolni. A policji pan o tym wszystkim mówił?

- A co, policja tego nie wie? Ja nie mówiłem, bo jak przesłuchiwali kolegę, to mnie tu nie było, a kolega nie wiem, czy mówił? Może i nie, bo nie miał o czym; jakby dyrygent w nocy przyszedł, to co innego, a tak? A myśli pan, że powinienem? - zaniepokoił się.

- Ależ nie, skądże - odpowiedziałem w najgłębszej niezgodzie z absolutnym przekonaniem, że powinien (znowu ten instykt). - Nie ma co im zawracać głowy głupstwami - dokończyłem, myśląc po cichu, że w wyścigu do rozwiązania zagadkowej próby morderstwa znowu zyskuję jakiś mały ślad, jakieś parę metrów przewagi. Ale co tam; w końcu policja dysponuje całą machiną, całym aparatem śledczym, a ja? Szczątkami wiedzy i mózgiem... altowiolisty; nierówne siły, nie ma co gadać. Ostatecznie jednak to nie policja była moim wrogiem i nie miałem nic przeciw temu, żeby odkryli prawdę jak najszybciej. To znaczy... zaraz po mnie.

- Niech mi pan powie, tak między nami - próbowałem wytworzyć nastrój pewnej zażyłości - czy pokoje na drugim piętrze są zawsze zamknięte? - Portier spojrział na mnie uważniej, więc natychmiast dodałem: - Za tydzień gram tu przesłuchanie i tak myślałem, czy gdzieś będę mógł się rozebrać.

Chyba udało mi się wybrnąć, bo w odpowiedzi usłyszałem:

- Normalnie są zamknięte, ale codziennie o dziesiątej przychodzi sprzątaczką i czy są artyści, czy ich nie ma, sprząta wszystkie pokoje na górze.

Rozumiałem, że słowa „artyści” użył w stosunku do bywalców drugiego piętra, dla reszty rezerwując określenie „muzycy”. Niech i tak będzie.

- Wie pan co, tak się panu przyglądam; przydałby nam się w orkiestrze taki bystry chłopak; powiem panu, że jak ja bym był w komisji, to już by pan miał u nas miejsce.

Podobało mi się to „u nas”, jak i zresztą cały pomysł z dokooptowaniem pana portiera do szacownego, komisyjnego gremium. Nie wiedząc, czym zasłużyłem sobie na tak pochlebną opinię i sympatię, uśmiechnąłem się z wdzięcznością i na odchodnym wydebiłem jeszcze adres wiolonczelistki.

Pojechałem do niej od razu. Co prawda, nie miałem pojęcia, jak zabrać się do tej rozmowy i czym w ogóle wytłumaczyć moją wizytę, lecz zwlekanie nic by nie zmieniło; miałem do przejechania ze trzy kilometry, dla roweru dystans w sam raz, i po drodze postanowiłem coś wymyślić. Ale

zanim mi się to udało, byłem już na Morelowej, ulicy jednorodzinnych domków z ogródkami. Bez trudu odnalazłem niewielki biały budynek z numerem 5. Miałem właśnie zadzwonić, gdy furka w ogrodzeniu otworzyła się nagle z impetem.

Młody mężczyzna, który z niej wyszedł, był na szczęście zbyt wzburzony, by mnie zauważyć. Po chwili z posesji wybiegła - tak, tak - panna Wanda, krzycząc za nim:

- Jędrak, poczekaj!

Ale Jędrak nie chciał czekać; gwałtownie otworzył drzwi zaparkowanego przyjeźdni nowiutkiego bmw serii 1 cabrio i - kontynuując serię gwałtownych czynności, odjechał z piskiem opon. Miałem wrażenie, że widziałem go już kiedyś; nie wydawał mi się jednak muzykiem, choć nie potrafiłbym od razu wytłumaczyć dlaczego. Nawet gdybym miał co do tego wątpliwości, bmw serii 1 cabrio je rozwiewało: w naszym kraju muzycy nie jeżdżą takimi samochodami, w innych chyba też nie należy to do reguły.

Dziewczyna chwilę postąła na ulicy, w końcu obróciła się, by wejść do domu. I wtedy mnie dostrzegła.

- O, to ty - powiedziała głosem osoby, której nic już nie jest w stanie zaskoczyć. Byłem zdumiony, że mnie od razu poznała, i wdzięczny, że odrzuciła ceremonialną formę pan/pani, bo to od razu skróciło dystans między nami.

- Tak, to ja - zacząłem nie nazbyt błyskotliwie. - Pewnie ci przeszkadzam, ale bardzo chciałbym zamienić z tobą parę słów.

- Wiesz co, ja już sama nie wiem, co mi przeszkadza, a co nie, ale jak taki kawał przyjechałeś, to wejdź do środka, napijemy się herbaty.

Wanda dokładnie zamknęła furtkę, a potem drzwi od domu. Koło naszych nóg zaczęły łaścić się dwa, imponująco bure koty. Znalazłem się w salonie, skromnie umeblowanym, lecz pełnym bliskich sercu drobiazgów, świadczących, że w tym domu mieszkają muzycy.

Po chwili w pokoju zapachniało świeżo zaparzoną, jaśminową herbatą, której dwa kubki dziewczyna wniosła na tacy.

- No, powiedz, co cię sprowadza - zaczęła. Jak na ilość przeżyć, które los jej w ostatnich godzinach zgotował, była zadziwiająco spokojna; odnosiło się wrażenie, że w pełni panuje nad sobą i sytuacją.

Pierwszy raz miałem okazję przyjrzeć jej się z bliska. Bładość pozbawionej dziś makijażu twarzy kontrastowała z czernią prostych, ujętych dwiema szylkretowymi spinkami włosów i lekko podkrążonych, pozbawionych blasku oczu. Przeżycia i zmęczenie sprawiały, że wyglądała prawdziwiej niż zazwyczaj. Zdawała się ukrywać przed nieżyczliwym światłem, opatulona zbyt dużym, porozciągany swetrem. Sięgał jej

prawie do kolan i skutecznie zasłaniał zgrabną, kształtną sylwetkę, której obraz zdążył już odcisnąć się w mej pamięci. Porwane dzinsy i ciepłe, zimowe kaptcie dopełniały obrazu domowej zbroi, w której chciała przetrwać ciężkie chwile. Nawet dłonie, jak gdyby w odruchu obrony, skryły się w powyciąganych rękawach wełnianej kołczugi. Nie była to Wanda, którą widywałem do tej pory: pewna siebie, zadbana do ostatniego szczegółu i świadoma swoich walorów, a jednak...

Ta podobała mi się jeszcze bardziej. Dziwiłem się, że niejaki Jędrak nie uległ przed chwilą jej urokowi. Ja byłem bliski, aby znaleźć się pod jego działaniem, gdyż najbardziej pociągały mnie zawsze kobiety nieświadome swojego czaru. Ale zastanawiało mnie jeszcze coś; miałem wrażenie, że ona istniała już w mojej pamięci na długo przedtem, zanim jej się tak dokładnie przyjrzałem. I nagle wiedziałem już: ta z bliska i na nowo odczytana Wanda stanowiła ucieleśnienie moich wyobrażeń o... Annie Kareninie.

Oby tylko nie zacząć rozmowy po rosyjsku...

- Pewnie się domyślasz, o co chodzi... - zacząłem ostrożnie, ale Wanda mi przerwała:

- Wiesz co? Nie traćmy czasu. Facet, który przed chwilą stąd wybiegł, to jest mój chłopak, ojciec trafił do szpitala, tak samo jak człowiek, który pośrednio go tam wysłał. Widzisz więc, że mam o kim i o czym myśleć. Czy sądzisz, że to dla mnie najlepsza chwila na rozmowę?

Nie byłem zbyt pożądanym gościem; zresztą, dlaczego miałbym być?

- Nie wiedziałem, że pan Zbyszek jest pani... twoim ojcem, naprawdę bardzo mi przykro, że znalazł się w szpitalu...

- Mówiąc precyzyjniej, to mój ojczym, a w szpitalu znalazł się trochę na własne życzenie.

- Jak to? Na własne życzenie zdenerwował się sytuacją na próbie?

- Nie, skąd, nie o to chodzi. Chociaż ja akurat nie bardzo rozumiem, co takiego się właściwie wydarzyło: miał zagrać parę nut i to był taki problem? Ale nie; chodzi mi o to, że mógł równie dobrze odpoczywać w domu, a wybrał szpital. Widocznie chciał mieć dwieście procent pewności, że już nie zobaczy Damiana. - Dziewczyna się zarumieniła.

Niejedyn malarz chciałby ją teraz sportretować, ale ja poczułem ukłucie zazdrości; moje wcześniejsze domniemania znajdowały pierwsze, realne potwierdzenie. Mało tego, w konflikcie między dyrygentem a skrzypkiem zdawała się przyznawać rację temu pierwszemu.

- To ja znalazłem wczoraj Rucacellego w parku - spojrzała na mnie z żywszą uwagą - a wręcz byłem świadkiem napadu na niego. Pomyślałem,

że może będziesz tym zainteresowana, a może sama powiesz coś, co pozwoli mi zrozumieć wczorajsze zdarzenie.

I zaczęliśmy rozmawiać. Z oczywistych powodów to nie Jędrak mógł stać się adresatem jej wynurzeń, a ja znalazłem się pod ręką w odpowiedniej chwili.

Rucacelli, którego znała z niejednego nagrania wideo, zawsze się jej podobał. Jako muzyk i jako mężczyzna. Kiedy pojawił się przed orkiestrą, poczuła, że podświadomie zawsze czekała na ten moment. Gdy zaczął jej okazywać zainteresowanie, przyjęła to jako zapowiedź niezwyklej przygody. Kiedy zaś doszło do konfliktu, dość jednostronnego powiedziałbym, między dyrygentem a jej ojczymem - dziwiła się przede wszystkim gwałtowności reakcji tego drugiego; ona sama była na tyle młoda, że solowe odpytywania stanowiły część jej wyobrażeń o sposobach pracy co większych mistrzów batuty. Po feralnej próbie podeszła jednak do Rucacellego, który strasznie się zmieszał, dowiedziawszy się, że nieszczęsny skrzypek jest jej ojcem. Gdy trafił do szpitala, maestro zadzwonił do dziewczyny, proponując wspólne odwiedziny u chorego, do czego oczywiście nie doszło, bo Rucacelli był ostatnim człowiekiem, którego pan Zbyszek miałby ochotę widzieć. Dziewczyna była jednak poruszona troskliwością Damiana - tak przynajmniej mówiła - i zgodziła się na spotkanie, które miało nastąpić nazajutrz, po próbie z chórem.

Pamiętałem ten wieczór. Wracając do domu, zaobserwowałem scenkę, która z jednej strony mnie zmartwiła, z drugiej natomiast potwierdziła trafną interpretację ledwo zauważalnych gestów.

W pewnym momencie z głównego filharmonicznego hallu wyszło kilkoro muzyków, wśród których rozpoznałem wiolonczelistkę. Po chwili przystanęli, jakby naradzając się, co dalej. Z gestykulacji można było wywnioskować, że dziewczyna nie pójdzie z nimi, gdyż czeka na kogoś. Pożegnali się, a kiedy grupka rozgadanych kolegów zniknęła za rogiem, Wanda rozejrzała się i ruszyła w kierunku hotelu Luxor. Obrotowe drzwi pochłonęły ją żarłocznie. Domyślałem się, co to oznacza. Poszła do hotelu, w którym mieszkał maestro Rucacelli, z oczywistych powodów nie czekając na niego i nie afiszując się z tą nagłą, a wykraczającą poza zawodowe sprawy znajomością.

Być może nie połączyłbym ze sobą tych zdarzeń, gdyby nie fakt, że sam, ukradkiem obserwując dziewczynę, zauważyłem jej maskowane, ale dalece nieobojętne spojrzenia kierowane do dyrygenta, który - stary wyga - musiał rozumieć ich znaczenie i postanowił nie przepuścić okazji. Parę scen było zagranych najwyraźniej pod adresem zauroczonej piękności.

Bardzo chciałem się mylić, nie opuszczała mnie nadzieja, że zarzewie tego romansu istnieje tylko w mojej przewrażliwionej wyobraźni, ale coś mówiło mi, że mam rację.

Nie dziwiła mnie fascynacja młodej, wrażliwej dziewczyny słynnym dyrygentem, niepozabawionym przy tym pewnych walorów mogących uchodzić w kobiecych oczach za atrakcyjne. Zresztą, z całej litanii przymiotników, którymi ją obdarzyłem, mogłem być pewny jedynie tego, że jest młoda. Pozostałe dodałem na podstawie własnych wyobrażeń, a może oczekiwań; równie dobrze mogła być po prostu cyniczna, choć i to nie przeszkadzałoby mi zrozumieć jej zainteresowanie maestrem.

Ale on, na którego w podobny sposób musiało patrzeć już mnóstwo zachwyconych niewieścich oczu? Kim on musiał być? Kolekcjonerem? Niewyżyty samcem? Czy płonąłym żywym ogniem artystą, szukającym chwilowych ukojeń wszędzie tam, gdzie dawały się znaleźć?

Gdy nazajutrz wspomniałem o tym zjawisku - nie konkretnym przypadku - panu Sebastianowi, odpowiedział mi:

- No cóż, mężczyźni około pięćdziesiątki zaczynają bać się śmierci, bardziej eufemistycznie zwanej też przemijaniem. Najlepszym lekarstwem na te lęki są silne, gwałtowne wręcz wrażenia, których słabością jest jednak krótkotrwałość i ciągła potrzeba szukania następnych (następczyń raczej).

- No dobrze - spytałem - a gdzie moralność, gdzie uczucia?

- Jak to, uczuć tam pełno, tyle że swoiście pojmwanych. A moralność? Niektórzy sądzą, że więcej dając, więcej mogą brać; sami przyznają sobie większe prawa. Ich moralność jest jak guma, daje się rozciągać...

Nie przekonał mnie do końca, ale jego doświadczenie życiowe było w oczywisty sposób większe i taką właśnie odpowiedź mu podsunęło. Miłosne podboje jako antidotum na lęk przed śmiercią. Byłżeby to naczelny motyw działań samego Don Juana? Niestety, w mojej głowie ten amant budził zupełnie inne asocjacje.

- Panie Sebastianie, czyli pan nie boi się śmierci? - prowokacyjnie uprościłem zagadnienie.

- No cóż - jak zwykle, choć po chwili zastanowienia zaczął antykwariusz - powiem tak: po pierwsze, nie jestem artystą, a po drugie, odpowiedzi na nurtujące mnie problemy poszukuję tutaj. - Zatoczył ręką koło, wskazując setki, a raczej tysiące tomów wypełniających półki na wszystkich ścianach. - Nie uwierzyłbyś, ile emocji i adrenaliny można w nich odnaleźć - zakończył, uśmiechając się żartobliwie.

Tamtego wieczoru towarzyszyło mi jednak uczucie rezygnacji. Oto bowiem pojawia się ktoś, kto wzbudza moją więcej niż sympatię, i

natychmiast okazuje się, jak niewłaściwy wybrałem kierunek.

Jaki miał być - lub był - ciąg dalszy wieczoru, nietrudno się było domyślić. Wanda twierdziła jednak, że spotkanie nie trwało długo i wkrótce wróciła do domu. Rucacelli zaczął bowiem odbierać telefony, które zupełnie odmieniły mu nastrój. Zamówił dla niej taksówkę, a sam zamierzał przeprowadzić jeszcze parę rozmów telefonicznych w sprawie ważnego kontraktu płytowego. Przedstawiciele firmy mieli się zjawić nazajutrz. Pożegnał się z nią czule, pytając, czy zgodzi się na spotkanie również następnego dnia, i obiecując niezapomniany wieczór. Wanda nie odmówiła. W trakcie pokoncertowego bankietu Rucacelli poprosił dziewczynę, by cierpliwie na niego czekała. Prędzej czy później będą mieć czas tylko dla siebie, maestro zaś zamierzał dotrzymać złożonych wcześniej obietnic.

Można powiedzieć, że mu się udało, choć niekoniecznie w zaplanowanej formie, pomyślałem nie bez odrobiny ponurej satysfakcji; niedzielny wieczór miał się okazać niezapomniany dla wielu osób.

Nie miałem pojęcia, ile w tej opowieści jest niedomówień i nieściłości, ale sam fakt, że dziewczyna tyle mi powiedziała, był zastanawiający. A najbardziej zaskakujący był sposób, w jaki mówiła o Rucacellim; każdą intencję, nawet z daleka wyglądającą niejednoznacznie, tłumaczyła na jego korzyść. Oto skrajny przykład zauroczenia; ciekaw byłem, kiedy Wanda się z niego otrząśnie. Zastanawiałem się też, czy perfidia Rucacellego mogła sięgać tak daleko, że postanowił psychicznie zdegradować ojca dziewczyny, byle tylko usunąć go z drogi ewentualnego podboju? Z drugiej strony, niepodyktowana faktyczną, medyczną potrzebą ucieczka skrzypka do szpitala, wyglądała jak klasyczna próba zapewnienia sobie alibi. Wiedziałem, że ponosi mnie wyobraźnia; jedno i drugie było prawdopodobnie nonsensem, ale przyznaję, że takie myśli przebiegały mi przez głowę. Widać mój instynkt łowcy kryminalnych zagadek zaczął przerastać rzeczywistość.

W rewanżu powiedziałem Wandzie o swoim wieczornym spacerze, o teatrze księżycowych sylwetek oraz szoku, który przeżyłem, odkrywając tożsamość ofiary. W kwestii batuty postanowiłem być bardzo oględny. Ostatecznie, nie ujawniając epizodu policji, tym mniejszy miałem powód, aby wyjawiać go komukolwiek.

- Wydawało mi się, że Rucacelli wrzucił coś do wody - powiedziałem tylko, kładąc nacisk na słowo „wydawało” i fakt, że nic nie zostało znalezione. Ku mojemu zdziwieniu, ten drobiazg zainteresował Wandę. Próbowała nawet dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie miałem nic do dodania.

Po raz kolejny pomyślałem natomiast, że być może warto zaktualizować wersję przedstawioną nadkomisarzowi Bielskiemu, aby prędzej czy później nie paść w pułapkę własnych nieścisłości.

Dlaczego Wandę tak to zainteresowało? Nie miałem pojęcia. Może potrzebowała romantycznego gestu, ubarwiającego obraz kogoś, kto tak mocno zawładnął jej wyobraźnią?

Zastanawiałem się też, skąd na ulicy Morelowej pojawił się chłopak wiolonczelistki; ze słów nadkomisarza Bielskiego wynikało, że jest za granicą. Czyżby życzliwi już zdążyli mu donieść o ponadprzeciętnej sympatii, którą jego dziewczyna obdarzyła dyrygenta?

- Czy miałś duże... problemy ze swoim chłopakiem? - Nie wiedziałem, czy mogę sobie pozwolić na to pytanie, ale widocznie musiało przemknąć przez moją głowę echo przysłowia: „Gdzie dwóch się bije...”.

Wanda znów spojrzała na mnie wzrokiem, którego nie rozumiałem.

- Nie, to nic takiego, on przyleciał rano z Brukseli i kiedy mnie nie zastał w domu, przyjechał tutaj.

- To nie jest twój dom? - Wiedza portiera była niekompletna.

- I tak, i nie. Od pewnego czasu mieszkamy razem z Jędrzejem, ale jego nie było, a skoro ojciec wylądował w szpitalu, ktoś musiał zaopiekować się kotami. Jędrzej i mój ojciec, no cóż, oni nie przepadają za sobą.

„To jeszcze nie powód do awantury”, pomyślałem.

- Nie zdążyłam Jędrzejowi wytłumaczyć, co się stało, on jest dość porywczy.

- Tak, byłem tego świadkiem.

- Jak go znam, zaraz tu wróci, żeby mnie przeprosić.

Była pora na mnie. Czy to naprawdę Jędrzej powinien przeproszać - miałem co do tego wątpliwości, ale nagle poczułem nieodpartą potrzebę, aby znaleźć się daleko, daleko stąd. I nie chodziło tylko o chęć uniknięcia porywczego Jędrusia, choć niewykluczone, że zanim zdążyłbym mu wytłumaczyć charakter mojej wizyty na ulicy Morelowej, doszłoby do kolejnej próby morderstwa. Zrezygnowałem z pytania o charakter zajęć chłopaka/narzeczonego Wandy, jak również o to, dlaczego jego twarz wydała mi się znajoma. Z tym charakterkiem byłby murowanym podejrzanym, gdyby nie to, że dopiero co przyleciał z Brukseli. Zaraz, zaraz: z Brukseli? Coś mi zaczęło świtać... Wymieniliśmy się numerami telefonów i pożegnaliśmy jak dość dobrzy znajomi. Jeszcze dwa dni wcześniej ten rodzaj zażyłości z piękną wiolonczelistką wydawał mi się zarezerwowany tylko dla wybranych. Cóż z tego, skoro lista oczekujących wydłużała się z każdą chwilą...

W drodze do domu starałem się powiązać pewne fakty. Ruch na świeżym powietrzu zawsze sprzyjał moim procesom myślowym. Ale nie tym razem. Wziąłem na siebie, nie wiedzieć czemu, trud rozsypłania zagadkowych węzłów. Dobrze, posiadałem ten nieszczęsny instykt, ale do tej pory ograniczał się on do prób rozwikłania intryg istniejących jedynie na kartkach powieści kryminalnych. Teraz było inaczej; był prawdziwy nóż i niemal prawdziwy trup. Zacząłem przepytwać ludzi jak jakiś domorosły, samozwańczy detektyw, pewnie bez sensu i w niewłaściwej kolejności. Zdobytymi informacjami(?) mogłem... No właśnie, co ja z nimi mogłem? Raczej niewiele; w jaką sensowną całość połączyć prawie martwego dyrygenta ze znerwicowanym, leżącym w szpitalu skrzypkim i jego córką, piękną nimfomanką, której nie wystarczył przystojny i zakochany w niej chłopak oraz wianuszek orkiestrowych wielbicieli? Wzięła lub pozwoliła się wziąć na celownik przybyszowi, któremu do pełni obrazu brakowało tylko białego konia. Jeśli nawet nie do końca zdawała sobie sprawę z nie zawsze romantycznych mechanizmów rządzących współczesnym światem, to ów fakt niczego nie wyjaśniał. Mógł świadczyć jedynie, że próbuję wytłumaczyć postępowanie dziewczyny.

Miałem też batutę, najwyraźniejszy, lecz zarazem najbardziej tajemniczy element w sprawie, były pogłoski mówiące o przygotowywanym kontrakcie płytowym, domniemanie, że dyrygent zamierzał wrócić w koncertowy wieczór, nawet późną nocą, do filharmonii i, jeśli wierzyć portierowi, miała z tego wyniknąć prawdziwa bomba. A jeszcze to nie do końca rozumiałe zainteresowanie Wandy przedmiotem wrzuconym przez dyrygenta do wody.

W sumie niewiele... A może i niemało, tylko jak w tym doszukać się sensu?

Niewiele miałem też w swojej lodówce. To był dobry moment, aby przekąsić coś w quasi-hinduskiej restauracyjce; mówię - quasi, bo Hindusa nie można tam było uświadczyc, nie miałem też skali porównawczej, aby stwierdzić, czy serwowane dania są w istocie hinduskie; okazały się jednak bardzo smaczne i bezmięsne, a to nie było dla mnie bez znaczenia...

Znajomy, a wręcz zaprzyjaźniony ze mną dziennikarz, człowiek wielu zainteresowań i talentów, pisarz, filozof i miłośnik kisielu, popełnił kiedyś filmik i opublikował go w internecie. W pierwszym ujęciu urocza dziewczynka uśmiechała się radośnie na widok apetycznego, różowutkiego kawałka szynki. Potem kamera koncentrowała się już tylko na kawałku wędliny, który zaczął przeżywać odwrotną podróż w czasie. Stawał się kawałkiem coraz większej całości, przybierając w końcu postać martwego zwierzęcia - drastyczność kolejnych scen pomijam - które ostatecznie przemieniło się w uroczą, różową świnkę, trzymaną przez tę samą i równie

uśmiechniętą dziewczynkę na rękach.

Przesłanie było proste; czy naprawdę jedna z dwóch szczęśliwych istot musi przejść drogę przez mękę po to tylko, żeby wywołać na twarzy drugiej z nich uśmiech i tak już - i może z bardziej godnych człowieka powodów - istniejący? Dla mnie odpowiedź była jasna, ale, przyznaję, problematyka trafiła na podatny grunt.

Na forach dyskusyjnych rozpętała się burza. Jedni rozumieli przesłanie, inni atakowali twórcę filmiku za pokazywanie niepotrzebnego okrucieństwa i wyciąganie fałszywych wniosków. Znajomy ripostował: zastanówcie się, mówicie o pokazywaniu niepotrzebnego okrucieństwa, a nie o niepotrzebnym pokazywaniu okrucieństwa. Czy ten semantyczny błąd jest dziełem przypadku? Inni znów mieli pretensje o wykorzystanie wizerunku nieświadomego dziecka. Znajomy odpowiadał, że świadomość kształtuje się w dzieciństwie i może miałoby sens uświadamianie dzieciom, skąd się bierze szyneczka. Nauka moralności narzuca mnóstwo różnych ograniczeń, z jednym wielkim przyzwoleniem - na zabijanie.

Więc inni jeszcze atakowali autora, że próbuje kwestionować porządek rzeczy ustalony przez Boga. Na to odpowiadał, że Biblia pełna jest fragmentów świadczących, że ofiary ze zwierząt wcale nie są Bogu miłe, zaś jedno z podstawowych przykazań - NIE ZABIJAJ, nie precyzuje dalej, kogo mianowicie nie należy zabijać; z całą pewnością jednak nie ogranicza się do zakazu: nie zabijaj człowieka.

Znajdowali się zdesperowani, którzy pytali: to co właściwie mamy jeść? Nasz organizm jest organizmem mięsożercy. I tę tezę znajomy obalał, mówiąc, że bez większego trudu można udowodnić coś dokładnie odwrotnego, a mity o niezbędności mięsa do prawidłowego rozwoju i funkcjonowania organizmu oraz niemożności prowadzenia bez niego smacznej, twórczej i zdrowej kuchni już dawno zostały obalone, zwłaszcza jeśli chodzi o ten ostatni aspekt. Znajomy kończył dyskusję i polemiki takim oto stwierdzeniem:

- Nie chcę być fałszywie rozumiany. Nie nawołuję do natychmiastowego zaprzestania spożywania mięsa. Jestem realistą i wiem, że świat nie zmieni się z dnia na dzień. Żądanie niemożliwego nie przynosi żadnego skutku. Ale wołam o refleksję. Tylko tyle. Być może przyszedł już na nią czas. I niech w pierwszym rzędzie dotyczy ona skali tego, co robimy. Czy naprawdę warto pozbawiać życia czterdzieści miliardów istnień rocznie - a mowa tu tylko o zwierzętach hodowlanych - aby zadośćuczynić mniej lub bardziej wyszukany potrzebom naszego podniebienia? Zwłaszcza że - dodawał już na zakończenie - parę miliardów ludzi i tak pozostaje głodnych. Może więc naprawdę poruszamy się po fałszywej drodze? I nie

wierzcie tym, którzy mówią, że indywidualny wybór w skali globalnej nic nie zmienia. Bo zmienia. Jest zaczynem i fundamentem. Wszystkie znaczące zmiany w historii zaczynały się od indywidualnej decyzji.

Po smacznym posiłku wracałem do domu pokrzepiony. W innej sytuacji wpadłbym pewnie na krótką rozmowę do pana Sebastiana, ale dziś nie miałem czasu. Wiedziałem, że jeśli za chwilę nie zabiorę się do solidnego ćwiczenia, perspektywa rezygnacji z udziału w przesłuchaniu niebezpiecznie się przybliży, a do tego nie chciałem w żadnym razie dopuścić. Eston wymógł na mnie spacer, ale zdecydowałem, że był to spacer krótki. Gdy zaczynałem swoje sam na sam z instrumentem, mój zegarek pokazywał godzinę szesnastą; powiedziałem sobie, że do wpół do ósmej, świat zewnętrzny dla mnie nie istnieje.

Dokładnie o tej porze rozkręciłem smyczek, odłożyłem do futerału altówkę i zmęczony, ale zadowolony usiadłem w fotelu. Mięśnie obu rąk, rozgrzane wielogodzinnym ćwiczeniem, przyjemnie pulsowały. Czułem się jak człowiek spacerujący po linie, który mimo silnego podmuchu wiatru nie dał się z niej zepchnąć. Uczucie satysfakcji towarzyszy pewnie każdej dobrze wykonanej pracy. Świadomość, że zrobiło się to, co najważniejsze, posiada funkcję silnie terapeutyczną; pozwala w końcu rozluźnić się i pomyśleć o wszystkim bez nerwowego napięcia, od którego inaczej uwolnić się nie sposób.

Nadeszła pora coś zjeść, wypić, włączyć inną niż tylko co grana muzykę. Ach, jak wtedy smakuje najprostsze nawet spaghetti z łykiem czerwonego wytrawnego wina, udekorowane jeszcze frazą Pata Metheny'ego...

Wreszcie mogłem z czystym sumieniem włączyć internet. Żądny wielu ciekawych wiadomości, zacząłem poszukiwania. Czołowe portale krajowe informowały o wydarzeniach w lakonicznych słowach:

Wczoraj wieczorem, w parku nieopodal filharmonii, znaleziono nieprzytomnego dyrygenta Damiana K, który kilka godzin wcześniej poprowadził koncert zamykający I Festiwal Symfonii Ludwika van Beethovena. Według nieoficjalnych źródeł artysta padł ofiarą napadu rabunkowego. Jego stan lekarze określają jako ciężki, ale stabilny.

Przy informacji można było odczytać porę, o której się ukazała: ósma trzydzieści. Kolejna pochodziła z godziny piętnastej trzydzieści i wyglądało na to, że od rana niewiele się zmieniło:

Lekarze nadal walczą o życie słynnego dyrygenta, który wczoraj wieczorem... - i tak dalej. Krótko mówiąc, informowano jedynie o powszechnie znanych już faktach; mogła to być kolejna ze spraw, która przez chwilę zaistniałszy na czołówkach mediów, powoli wyparowuje z powszechnego obiegu z powodu braku dalszego ciągu.

Wyszukiwarka, której powierzyłem hasło składające się z imienia i nazwiska dyrygenta, odpowiedziała plikiem stron przytaczających krótkie lub bardziej rozbudowane życiorysy maestra (był w jednej z czołowych europejskich agencji impresaryjnych), zapowiedzi odbytych lub mających dopiero nastąpić koncertów; zamieszczono też recenzje z nagrań (naliczyłem tego ze szesnaście sztuk - całkiem pokaźny dorobek, choć z pewnością nie było to kompendium dyskografii mistrza), zrealizowanych dla kilku mniej lub bardziej renomowanych wytwórni płytowych, głównie - znanej włoskiej marki.

W części dotyczącej koncertów uderzyła mnie spora ich liczba we Włoszech i w Szwecji; widać związki mistrza z Włochami nie były jedynie symboliczne. A może takie właśnie brzmienie nazwiska ułatwiało mu karierę na Półwyspie Apenińskim? Przedstawiciele agencji artystycznych i menedżerowie niejednokrotnie sugerują drobne korekty w nazwiskach lub imionach artystów, którzy mają ochotę zaistnieć na różnojęzycznych rynkach. Trzeba przyznać, że Damian Rucacelli brzmiało jak pseudonim artystyczny i to niekoniecznie muzyka; raczej jakiegoś prestidigitatora. Wszystko wskazywało jednak, że nie ingerowano w kształt imienia i nazwiska mistrza, to było ich autentyczne brzmienie.

Jeśli chodziło zaś o Szwecję, to - jak przeczytałem w jednym ze znalezionych materiałów - była ona jego drugim miejscem zamieszkania.

Cudowna równowaga północy i południa, chłodu i żaru, dystansu i pasji. Pozazdrościć.

Kontakt z materiałami internetowymi dawał jasną wizję: maestro Damian Rucacelli był w świecie muzycznym postacią dużego formatu. Nigdy zresztą nie miałem co do tego wątpliwości: Damian Rucacelli - to hasło wywoływało natychmiastowe skojarzenia i podobnie jak na przykład Luciano Pavarotti, musiało być znane szerokiej publiczności, nawet jeśli nie potrafiła ona zestawić poszczególnego nazwiska z konkretną postacią lub kategorią.

Prosta konsekwencja była następująca; dyrygent należał do ludzi zamożnych, bardzo zamożnych. Takich, którzy w każdej chwili mogą mieć przy sobie coś cennego. Tak po prostu, w kieszeni, w portfelu, na palcu lub gdzie tam jeszcze... (właśnie dramatycznie ograniczyłeś liczbę pozostałych

schowków - powiedziała by mój angielski kolega...). Czy policja naprawdę nic nie wie, czy też informacja o rabunkowym podłożu napadu ma jakieś podstawy?

Rabunek, zazdrość, zemsta, nagrania, batuta... Czy to się da połączyć w jakąś logiczną całość? Dobre pytanie. Nie posunąłem się ani o krok. Zresztą miałem już na dzisiaj dość, byłem po prostu zmęczony. Cieszyła mnie perspektywa jeszcze jednego spaceru z Estonem. Marzyłem o świeżej porcji demi, która będzie jak łyk nasennego eliksiru.

Tym razem ruszyliśmy w kierunku rzeki. Naszła mnie refleksja, że wszystkim rządzi przypadek. Przecież wczoraj mogliśmy też tu przyjść. Świat toczyłby się jednak trochę inaczej. Damian Rucacelli byłby pewnie martwy, o tajemniczej batucie nie wiedziałby nikt z wyjątkiem księżycowych sylwetek. A więc może to jednak nie przypadek? Może istotnie wypełniamy role w dawno i dobrze(?) zaplanowanym scenariuszu?

Na dobranoc postanowiłem jeszcze raz, na spokojnie przyjrzeć się batucie. Może w zmęczeniu przeoczyłem jakiś element, który rzuciłby więcej światła na jej związek z dramatycznymi wydarzeniami wczorajszego wieczoru?

Była dość masywna, niezbyt długa i znacznie grubsza od współczesnych pałeczek. Owszem, była piękna; jak wiele pochodzących z przeszłości przedmiotów, zachwycała swoim wyglądem. Do jej wykonania nie pożyczano szlachetnych materiałów, połączonych kunsztem wysokiej próby.

Pałeczkę zrobiono z drewna palisandrowego, gustownie inkrustowanego szylkretem i w trzech dość równomiernie rozłożonych miejscach ozdobiono złotymi pierścieniami. Dostojne cechy wskazywały, że może pochodzić nawet z XIX wieku. Być może w przeszłości należała do jakiegoś wybitnego dyrygenta, nie wiem: von Bülowa, Toscaniniego, Bernsteina czy von Karajana? To z kolei mogło stanowić o jej niezwykłej wartości, nie tylko materialnej, ale historycznej i kolekcjonerskiej. Na razie jednak pozostawałem wyłącznie w sferze domysłów.

Dyrygencka pałeczka - jak większość mniej lub bardziej specjalistycznych przyrządów - ewoluowała z upływem czasu. Kiedyś, jeszcze w baroku, była to raczej buława przypominająca łaskę marszałkowską. Uderzeniami w podłogę dyrygent wybijał nią rytm utworu. W 1687 roku francuski kompozytor Jean-Baptiste Lully, prowadząc wykonanie *Te Deum* na cześć Ludwika XIV (z okazji powrotu króla do zdrowia po długiej chorobie...), uderzył się nią w duży palec u nogi, co w konsekwencji doprowadziło do gangreny i śmierci artysty. I jak tu zaprzeczyć, że muzyk to zawód wysokiego ryzyka?

Ale nie był to powód, dla którego rozmiary batuty zaczęły się zmniejszać. Zmieniała się muzyka, wymagając od dyrygentów coraz większej precyzji z jednej strony, z drugiej - wydatnie zwiększając potrzebę ekspresji.

Pałeczkę w postaci znanej nam do dzisiaj zaproponował niemiecki kompozytor Ludwig Spohr. Na stałe do dyrygenckiego asortymentu wprowadził ją Feliks Mendelssohn-Bartholdy. Współczesne batuty są przeważnie proste, wykonane z włókna szklanego, zakończone uchwytem z korka. Osobiście miałem przyjemność grać z dyrygentami używającymi, uwaga: ołówka, chińskiej pałeczki do ryżu lub posługującymi się tylko dłońmi; niektórzy potrafią niezwykle sugestywnie kształtować nimi dźwięk.

Maestro Rucacelli był w tym względzie wyznawcą (praktykującym) starej szkoły, a podpieranie się autorytetem wszystkich poprzednich użytkowników pałeczki (jeśli tacy byli), świadczyć mogło o wadze, jaką przykładał do naszego wspólnego koncertu.

Magia. Cząstki osobowości mistrzów, w których rękach kiedyś się znajdowała, wzbogacały siłę przekazu, nadając jej moc nieomalże czarnoksięską. To dlatego wołał, by przepadła, niż dostała się w niepowołane ręce?

Czarodzieje i dyrygenci... Czy ktoś jeszcze posługuje się podobnym atrybutem? A tak, prezenterzy pogody; i oni na swój sposób należą do kategorii władców wyobraźni.

Przyglądałem się z uwagą batucie, ale oprócz wymienionych cech nie mogłem doszukać się innych, popychających myśli w nowym kierunku. Pozostawało domniemanie, że pałeczka była po prostu cenna, bardzo cenna, a dla kogoś, kto należycie potrafił ocenić jej wartość - wręcz bezcenna. Czy chodziło jednak o wartość materialną - nie wiem, może od wewnątrz wykładana była brylantami? (tylko dłaczego od środka?); kolekcjonerską - bo niegdyś należała, powiedzmy, do Schuberta - czy też sentymentalną albo jakąkolwiek inną - ta kwestia pozostawała tajemnicą. Batuta, będąc sama zagadką, stanowiła też najprawdopodobniej jej rozwiązanie, lub klucz do jej rozwiązania. Ale wraz z tym wnioskiem nasunął mi się inny: być może Rucacelli pragnął odwrócić uwagę księżycowych sylwetek od czegoś jeszcze cenniejszego, poświęcając w tym celu nietuzinkową pałeczkę? No tak, tak można w nieskończoność. Poczulem, że mąci mi się w głowie.

- Fakt, że dyrygent ma przy sobie batutę, jest tak samo naturalny jak kwiat w ręku kwiaciarza lub skalpel w dłoni chirurga - mówiła jedna półkula mego mózgu.

A druga odpowiadała:

- Zgadza się, ale w sali koncertowej, kwaciarni lub w szpitalu, a nie zawsze i wszędzie. Zresztą i kwiat, i batuta, i skalpel nabiorą innego kontekstu, kiedy staną się elementem kryminalnych zdarzeń - dodawała.

- Ale nie można też wykluczyć czystego przypadku - ripostowała pierwsza.

Jedno z drugim mogło nie mieć nic wspólnego, a ja, ogarnięty ideą rozwiązania - być może nieistniejącej - zagadki, posuwałem się do przemilczeń, kłamstw i kręctw, z przywłaszczeniem cudzej własności włącznie. Pora była kończyć rozważania, bo nie tylko nie przynosiły odpowiedzi na żadne z pytań, ale i warzyły mój jeszcze tak niedawno optymistyczny nastrój. To zmęczenie, powtarzałem sobie, bo rzeczywiście: nierozwiązane problemy nabierają przed nocą ponadnaturalnych kształtów i rozmiarów.

Aby jednak nie zasypiać w poczuciu totalnego chaosu, postanowiłem zwieńczyć dzień konstruktywnym wnioskiem: ustalenie historyczno-muzealnych walorów batuty mogło dać choć przybliżone pojęcie o jej czysto materialnej wartości.

Tu mogłem liczyć na pomoc antykwariusza, którego rozległe znajomości w pochodnej branży kolekcjonerskiej (antyki, starocie itp.) dawały szansę na zgłębienie sprawy. Pojawiało się jednak kolejna kwestia: powinienem był wyjaśnić, w jaki sposób wszedłem w posiadanie rzeczonoego rarytasu, a to wydawało się niemożliwe bez wtajemniczenia pana Sebastiana w całokształt wypadków. Gdy przemożnej chęci snu towarzyszyły chaotyczne migawki minionego dnia, jedna z myśli wydała mi się nagle ważniejsza od innych; już prawie miałem ją, gdy zaczęła przede mną uciekać, jak motyl, który na odlotnym przekształcił się w małą ćmę. Odfrunął. Zazwyczaj nie rejestrujemy momentu przejścia z jawy w sen; tym razem poczułem jakby kliknięcie i zapadłem się w sobie.

Rozdział IV

Wtorek

Pierwsze smużki zapachu świeżo parzonej kawy, z wolna docierające od strony kuchennej wnęki, obiecująco podrażniły moje nozdrza. Choć noc upłynęła na daremnych próbach połączenia najróżniejszych, często nieprzystających do siebie faktów, dzisiejszy dzień musiał być dobrze zaprogramowany. Oprócz oczywistych obowiązków, takich jak... konieczność życia, ze wszystkimi jego wymogami, miałem przed sobą parę godzin radiowego nagrania; resztę czasu i sił zamierzałem poświęcić na ćwiczenie, a pozostałe fragmenty na moje detektywistyczne, pozał się Boże, wysiłki.

Timer. To drobne, a jednak wiekopomne urządzenie wpłynęło znacząco na zmianę organizacji czasu i przestrzeni. Nawet nie mogąc liczyć na pomocną dłoń, która w odpowiedniej chwili przycisnie guzik, rozpoczynając parzenie rozbudzającego napitku, proces można zaprogramować. Stworzyć iluzję czyjejs obecności lub jeszcze czegoś: panowania nad czasem.

Czujne ucho wyłowiło jednoznaczne skrzywienie łóżka; czarny, wilgotny i zimny nos błysnął światłem odbitym od ulicznej latarni. Za nim, już na całego, runął w wesołych przymerdach pies właściwy, wraz z obłokiem aromatu zaparzonej kawy. Noc była ciężka, ale teraz poczułem w sobie nowy zapas energii. Otworzyłem szeroko okno, spojrzałem na ulicę i nagle ujrzałem... siebie, jak pół roku temu posuwam się nią, objuczony kartonami, zza których z trudnością odnajduję właściwy kierunek.

Była niedziela, dzień przeprowadzki. Dziwiło mnie, że sąsiedzi, zamiast cieszyć się, że ich opuszczam, robili wrażenie zmartwionych. Czułem się otoczony ich smutkiem i zazdrością jak ktoś, kto wyjeżdża w daleką, atrakcyjną podróż, dla nich jednakże niedostępną. Na szczęście - w tym przypadku należało mówić o szczęściu - dobytek miałem niewielki. O meblach żadnych nie było mowy, jedynym quasi-stałym elementem wyposażenia był sporych rozmiarów materac. Tak więc wszystkie moje nuty, książki, ubrania i drobiazgi zmieściły się do wnętrza niewielkiego, francuskiego auta, którym stary przyjaciel postanowił wspomóc mnie w przenosinach, a moje łóżko zostało przymocowane - w dość chałupniczy zresztą sposób - do dachu samochodu. (À propos niewielkich aut: koledzy badali kiedyś granice pojemności małego fiata: do chluby krajowej motoryzacji udało im się wepchnąć w sześciu, plus kontrabas).

Nie wiedziałem, co zrobić z Estonem; nie chciałem zostawiać go w opustoszałym mieszkaniu, by nie budzić złych skojarzeń, z kolei w samochodzie nie było już miejsca na nic, nie mówiąc o całkiem sporym psie - ambicji ustanawiania nowych rekordów nie mieliśmy wcale - a ponowne rozpakowywanie auta byłoby stratą czasu i dodatkową pracą, której i tak nie brakowało. Nie widząc lepszego rozwiązania, zdecydowałem się na krok desperacki: w nogach czując jeszcze kilometry przemierzone poprzedniego dnia, poprosiłem przyjaciela, żeby pojechał beze mnie - dzięki temu mogliśmy dopchać autko ostatnimi drobiazgami - ja zaś postanowiłem pokonać drogę pieszo, razem z moim czworonogiem, ale dopiero po uprzątnięciu starego mieszkania i oddaniu kluczy właścicielowi; raz opuściwszy to miejsce, nie chciałem ponownie tu wracać.

Umówiliśmy się - w najbliższej osiągalnych okolicach antykwariatu - na godzinę szesnastą. Do tego czasu miałem nadzieję uporać się ze wszystkim i znaleźć w bardziej przyjaznej części miasta - od tej pory mojej nowej przestrzeni życiowej. Choć z wywieszonymi językami, ale zdążyliśmy. Właściciel kawalerki za wszelką cenę starał się znaleźć ślady naszej dewastacyjnej działalności, ale w końcu, zniechęcony, dał za wygraną i machnął tylko ręką. Był to dla nas znak do wymarszu.

Gdy zmordowany, ale szczęśliwy, zbliżałem się z psem w okolice nowego mieszkania, z przeciwnej strony ulicy nadjechał niewielki renault. W tym momencie - dobrze, że nie wcześniej - puściły nieudolne wiązania materaca. Sprężysta gąbka wylądowała przed nami niczym czarodziejski dywan zapraszający do podróży. Eston nie wahał się ani chwili; wskoczył nań i rozłożył się w najlepsze.

Wniesienie kartonów po schodach przebiegło jednak sprawnie i po godzinie od przyjazdu byliśmy już z całością mojego inwentarza - żywego i nieożywionego - na górze. Oglądałem przez okno nową okolicę; jakżeż różniła się od dopiero co opuszczonej.

Miasto niby to samo, a przecież inne; organizm pełen sinusoid architektury i klimatów...

Z tego samego okna patrzyłem teraz na ulicę, która powoli budziła się do życia. To głównie zaopatrzeniowcy lokalnych sklepików robili hałas, bez zbytej ostrożności stawiając skrzynki i kartony. Czasami stukot obcasów zdradzał płeć wyłaniających się z mgły i ginących w niej, szczerze opatulonych postaci. Niekiedy zaś chmura dymu, unosząca się wysoko, aż do granic mojego okna, oznajmiała, że właśnie przeszedł tędy spieszący - może już do pracy, a może dopiero do domu - mężczyzna, który witał lub żegnał dzień wspomagającym haustem nikotynki.

Sprawdziłem internet; żadnych nowych wieści. Sprawa zatrzymała się w miejscu - skonstatowałem nie bez przyjemnego dreszczyku emocji, bo to znaczyło, że na zamykanie kryminalnej wyobraźni na cztery spusty jeszcze za wcześnie. Pijąc gorącą kawę, zastanawiałem się, jaki kierunek spaceru wybrać tego ranka.

Park był chwilowo spalony. Ale właściwie dlaczego? Czy naprawdę należało sądzić, że księżycowe sylwetki od dwóch dni nie robią nic innego, tylko czatują przy bramie na dziwnego psa, który wyłonił się jak spod ziemi i zgarnął im sprzed nosa cenny łup? To prawda, Eston był ich jedynym łącznikiem ze sprawą; mnie nie widzieli, natomiast zwierzęciu zdążyli się przyjrzeć w pełnym świetle księżyca z odległości zaledwie metra. A idę o zakład, że ktokolwiek raz zobaczył Estona, nie mógł mieć już nigdy problemów z jego rozpoznaniem. Wniosek nasuwał się sam: sylwetki będą próbowały odszukać psa, a przez psa - jego właściciela (wypada na to, że mnie...) i porwany przedmiot. Park stanowił jedyne miejsce, dające im na to cień szansy.

Logiczne wydawało się więc, że pójście do parku stanowi ryzyko, tym większe, im bardziej niezwykle były właściwości batuty; odpowiedzi na pytanie, czy i jakie one są, w dalszym ciągu nie znałem. W przeciwnym razie sylwetki mogły już nigdy tam się nie pojawić, bo i po co? Niewykluczone, że sytuacja zmieniła się, zdezaktualizowała. Po prostu przestać istnieć. Teoria, że złoczyńcy zawsze wracają na miejsce przestępstwa, wydawała mi się co najmniej mało logiczna, powiązana raczej z jakimś romantycznym pojmowaniem świata zbrodni w stylu Arthura Conan Doyle'a. Czynią tak, jeśli mają powód, w przeciwnym razie nie będą sami pchać się do saka. Innymi słowy: moje obawy przed spacerami do parku mogły nie mieć podstaw. A jeśli miały? Wówczas powinienem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chodzi mi o znalezienie niedoszłych zabójców dyrygenta, czy o rozwikłanie zagadki batuty. Wszystkie dotychczasowe przemyślenia wskazywały, że prawdopodobnie nie sposób tych dwóch spraw rozdzielić. A skoro tak, to nie można było unikać dróg wiodących do rozwiązania, nawet jeśli miałbym troszeczkę sprowokować los.

Zresztą, powtarzałem sobie, muszę żyć normalnie. Dokąd zaprowadzi mnie popadanie w psychozę księżycowych sylwetek? Tym bardziej że z każdym dniem, z każdą godziną, na plan pierwszy powinna wysuwać się audycja, spychając wszystko inne z pola widzenia.

Poszliśmy więc do parku. Ale czekała nas niespodzianka: był zamknięty. Nie pamiętałem takiej sytuacji. Na metalowej bramie wisiał potężny łańcuch, spięty nowiutką, mosiężną kłódką. Widocznie na wniosek policji

władze miasta podjęły decyzję o czasowym - do chwili zakończenia śledztwa, a może zimy? - wyłączeniu niebezpiecznego miejsca z ogólnego dostępu.

Park był ogrodzony, ale czy istnieje gdzieś publiczny płot bez choć jednej dziury? I ja taką znałem, dzięki Estonowi oczywiście, choć okoliczności jej odkrycia - pościg za kotem, uwieńczony udaną, z punktu widzenia kota, ucieczką na drzewo - były dość nerwowe. Dobra nasza, kłódka na bramie oznaczała, że park będzie tego ranka do naszej wyłącznej dyspozycji. Ale i tym razem się myliłem. Na szczęście nie spuściłem jeszcze psa ze smyczy. Jego zachowanie dało mi do zrozumienia, że dziś również nie jesteśmy tu sami. W szarym świetle poranka zauważyłem czarnego jeepa stojącego nad brzegiem jeziora. Ku mojemu pełnemu zdumieniu, z wody wyłonił się płetwonurek. Zaczął coś tłumaczyć mężczyźnie, który właśnie wysiadł z auta. Po chwili ubrana w gumowy kombinezon postać ponownie wśliznęła się pod wodę, zaś mężczyzna zniknął wewnątrz samochodu.

Zadziwiające, że wszystkie te parkowe spektakle odbywały się w ciszy przerywanej tym razem jedynie charakterystycznym skrzekiem konwersujących kawek. Była pora się wycofać. Chciałem nowego tropu, to go miałem, tyle tylko że niewiele wyjaśniał, a przeciwnie, dorzucał kolejny kamysek do kopca komplikacji. Ale przecież któregoś dnia wszystko poukłada się w czytelną mozaikę, mówiłem sobie.

Kim byli mężczyźni w parku? Policja? Czy raczej księżycowe sylwetki? A może wariant trzeci: przypadek, czyli zbieg okoliczności. Jeśli policja, to spóźniona, jeśli sylwetki - to znaczyło, że Rucacelli wrzucił do wody więcej niż jedną rzecz... Ale czy księżycowi ludzie zdecydowaliby się wyjść na światło dzienne?

Jedynie wariant trzeci zwalniałby mnie z obowiązku myślenia. Tyle że to by było za proste... Mimo wszystko postawiłem na policję. Czy jednak w takiej sytuacji tym bardziej nie powinienem był podzielić się z nimi swoją wiedzą? W takiej oto płataninie myśli oddalaliśmy się od parku. I nie wiedziałem już, czy to sprawa się komplikuje, czy też moja rola w niej staje się coraz bardziej zawiślana.

Na poddaszu nie zabawiłem długo; co prawda nagranie zaczynało się o jedenastej, a do siedziby radia nie było daleko, ale korciło mnie niesamowicie, żeby po drodze wpaść do filharmonii, zamienić słowo z gadatliwym portierem i pod byle pretekstem udać się na drugie piętro; o tej porze sprzętaczka powinna właśnie porządkować pokoje. Tym razem trafiłem na

zmiennika mojego recepcjonisty, tego, do którego Rucacelli miał się jako by zgłosić nawet późno w nocy. Zgodnie z zasadą jakiejś kosmicznej równowagi był on małowówny, mało kontaktowy i miałem wrażenie, że niczego się od niego nie dowiem i nie zrealizuję planu. Trzeba było posunąć się do małego kłamstwka:

- Muszę pójść do sekretariatu, żeby dostarczyć brakujące dokumenty - zełgałem - w przeciwnym razie nie będę mógł wziąć udziału w poniedziałkowym przesłuchaniu - dodałem zrezygnowanym głosem.

Portier spojrział na mnie bezcłowa i podniósł słuchawkę. No cóż, kłamstwo ma krótkie nogi; przecież wszystkie papiery dostarczyłem na czas i nieuchronnie musiałem wyjść na krętacza, nie osiągnąwszy w dodatku celu. W napięciu czekałem na demaskację; jednak portier zniecierpliwionym ruchem odłożył słuchawkę na widelki, mrużąc pod nosem: - Te to zawsze gadają... - Głośno zaś powiedział: - Niech pan idzie, tylko szybko, i przy okazji powie im, żeby mniej gadały przez służbowy telefon.

Mrugnąłem porozumiewawczo i z ulgą pognałem w górę po schodach.

Wbiegłem od razu na drugie piętro. Pokoje rozlokowane były po lewej stronie korytarza. U jego końca, na prawo, znajdowało się specjalne wejście do sali koncertowej, zastrzeżone do wyłącznego użytku solistów i dyrygentów. Z oddali dochodziło buczenie odkurzacza. Drzwi od dwóch pokojów solistów i gabinetu dyrygenckiego - celu mojej wizyty - były szeroko pootwierane. Sprzątaczką miała widocznie swój system pracy; zaczynała od pomieszczenia najdalszego, by sukcesywnie zbliżać się w kierunku schodów. Pokój dyrygencki był więc ostatni na jej szlaku, a pierwszy na moim. Rzut oka przekonał mnie, że wewnątrz nie ma nikogo.

Wszedłem i rozejrzałem się wokół. Pomieszczenie, przestrzenne i kameralne zarazem, nie obfitowało w nadmiar sprzętów, wyposażone było jednak we wszystko, co niezbędne do pracy i odpoczynku mistrza batuty. Na środku podłogi z dwukolorowego drewna leżał puszysty dywan w kolorze starego burgunda. Ogarniając wnętrze wzrokiem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, widziałem, co następuje: lewy róg zajmował fortepian, domowa wersja marki Bösendorfer. Patrząc dalej, na środku ściany napotkałem dzieło znane mi do tej pory wyłącznie z reprodukcji. Było to płótno autorstwa znakomitego impresjonisty Piotra Siemielnianego, namalowany w 1906 roku obraz *Filharmonia*. Na pierwszy rzut oka wśród setek kolorowych plam trudno było odnaleźć znajome kształty. Dopiero dobrze ustabilizowany wzrok pozwalał nie tylko je odszukać, ale i zachwycić się niezwykłą, jakby z naturalnego źródła pochodzącą, światłością obrazu.

Przypomniało mi się inne płótno, również przedstawiające budynek filharmonii, choć namalowane w zupełnie innej manierze. Wiszące w miejscowym muzeum dzieło składało się z geometrycznych figur - do czego, przynajmy, prostota filharmonicznej bryły nieco prowokowała - nasączo-nych intensywnymi kolorami, o bogactwie i rozpiętości tęczy. Moja eks-dziewczyna zareagowała kiedyś na jego widok słowami:

- Kubizm. A nawet puchatyzm.

Widząc tu obraz Siemielnianego, byłem jednak zaskoczony, że tak po prostu wisi sobie w dyrygenckim gabinecie. Z pewnością zasługiwał na nieco większe środki bezpieczeństwa.

W kolejnym rogu znajdował się stolik, z wazonem całkiem jeszcze świeżych kwiatów. Rozpoznałem w nim bukiet wręczony Rucacellemu po koncercie. Byłem prawie pewien, że jeszcze na scenie przekaże go Wandzie, ale widać postanowił być ostrożny lub czekał na bardziej intymną sytuację. Tuż za nim stał postument z popiersiem Mieczysława Karłowicza, któremu filharmonia zawdzięczała swoje imię. Podobizna kompozytora wykonana była w skali mniej więcej jeden do dwóch; wizerunek uzupełniony był nieczytelnym podpisem twórcy i rokiem wykonania: 1937.

Ściana naprzeciwko drzwi wejściowych, po swojej lewej stronie zastawiona była półkami pełnymi książek i partytur, po prawej stało biurko z lampką, telefonem i artykułami piśmienniczymi. Jej środek wypełniało rozetowe okno, którego część wewnętrzną stanowił szklany okrąg, zewnętrzna zaś ozdobiona była i wzmocniona zarazem rozchodzącymi się promieniście, drewnianymi listwami. Po prawej ręce, pod ścianą, stał fotelkozetka. To na nim, niczym w trakcie wizyty u psychoanalityka, dyrygenci mogli odreagowywać trudy prób i koncertów. W rogu znajdowały się otwarte na oścież drzwi wiodące do łazienki.

Ta lustracja trwała sekundy, szum odkurzacza zaczął się bowiem niebezpiecznie przybliżać. W tym momencie, unosząc nieco głowę, ujrzałem najbardziej niezwykły element pokoju.

Sufit.

Jak go opisać? Widziałem nad sobą jakby szachownicę, której pola oddzielały od siebie misternie ornamentowane listwy ze szlachetnego drewna, tworzące kasetonowy wzór. Wykonana była, tak jak podłoga, z na przemian jasnego i ciemnego, niewątpliwie również szlachetnego drewna. Ale zamiast wizerunków szachowych figur, znajdowały się na niej podobizny - trochę na podobieństwo głów wawelskich - kompozytorów. Szybko policzyłem; było ich szesnaście. Umieszczone na dwóch przekątnych osiach, zaczynały się w czterech rogach i dochodziły do pól środkowych, w których bezpośrednio sąsiadowały ze sobą.

Sufit był nie tylko niezwykły, ale i wyjątkowo piękny, lecz nie mogłem mu poświęcić więcej czasu. Z żalem oderwałem wzrok.

Czego tu właściwie szukałem? Ba, żebym to ja wiedział. Inspiracji, przypadku, który otworzy mi oczy na jakiś istotny szczegół? Tego czegoś, po co Rucacelli był tu gotów przyjść nawet w nocy?

Miałem czas na jeden, jedyny ruch; wybór mój padł na fortepian. Podniosłem wieko klawiatury, ale oprócz filcowej szmatki, nic na niej nie było. Uniosłem więc masywną, górną płytę, opierając ją na dłuższej, koncertowej nóżce. Zajrzałem do środka. C[^]y naprawdę spodziewałem się tam coś znaleźć?

Zdawało mi się, że za plecami wyczuwam obecność drugiej osoby.

Jedynym elementem nieprzystającym do pudła rezonansowego była papierowa kulka, wrzucona do środka: kaprysem, natchnieniem, niedbalstwem albo podmuchem. Wrzucona i zapomniana. Gdyby trafiła do kosza, jej los byłby już dawno rozstrzygnięty. Ekwilibrystycznym ruchem, nie zastanawiając się, czy to gest racjonalny, wydobylem papier z płataniny strun. Tak szybko, jak byłem w stanie, opuściłem ciężką klapę. Dźwięk odkurzacza gwałtownie ucichł; w powstałej nagle ciszy dał się słyszeć wybrzmiewający klaster strun bösendorfera, poruszonych do żywego zbyt gwałtownym zamknięciem. Moja dłoń mocno zacisnęła się na znalezisku.

- A pan co tutaj robi? - Spodziewałem się tego pytania. - Przecież tu nie wolno nikomu wchodzić. - Pani sprzątaczką była tak zdziwiona, że nie zdążyła jeszcze nadać głosowi zagniewanej barwy.

- Tak, przepraszam bardzo. - Starałem się być odpowiednio zakłopotany i zagubiony. - Ja, hm, szukam biura, bo mam tu grać przesłuchanie... - mówiłem trochę bez składu i nieco głośniejsze, niż było trzeba, by zagłuszyć wibrujące jeszcze w powietrzu fale dźwiękowe, które - jak dla mnie - miały ciągle moc kościelnych dzwonów. Ale chyba tylko dla mnie. Pani sprzątaczką złagodniała nieco i powiedziała:

- Biura są na pierwszym piętrze, a tu nikomu nie wolno wchodzić, niech pan sobie zapamięta!

Nikomui prócz dyrygentów i sprzątaczkii - dodałem w myśli. Uśmiechnąłem się jednak z wdzięcznością i raz jeszcze przepraszając, ruszyłem w kierunku schodów. Wyszedłem na gapiowatego(i) młodego(?) człowieka - i bardzo dobrze; udało mi się wybrnąć z kolejnej potencjalnej opresji. Zapomniałem natomiast, aby dla przyzwoitości wpaść pod byle pretekstem do biura. Przy wyjściu portier zapytał mnie: - I co, powiedział im pan? - Mój Boże, co ja im miałem powiedzieć?

- Nie, bo wie pan, one ciągle jeszcze rozmawiają, a ja już nie mogę dłużej czekać, dziękuję panu, do widzenia - rzuciłem pośpiesznie i czym prędzej wycofałem się z dostojnego przybytku sztuki.

Sesja nagraniowa dłużyła mi się. Nie była to praca stresująca, odbywała się w dość luźnej i wesołej atmosferze, ale nie mogłem pozbyć się uczucia, że w tym momencie jest dla mnie stratą czasu. Nagrywaliśmy muzykę do filmu rysunkowego. Przyjemną dla ucha, i wcale niełatwą do grania. Kto uważnie posłucha ścieżek dźwiękowych do, powiedzmy, disneyowskich superprodukcji, zrozumie, co mam na myśli. Zespół był nieduży, oprócz pojedynczej obsady instrumentów dętych i nieco bardziej rozbudowanej perkusji tworzyły go jeszcze: harfa, skrzypce, altówka (czyli ja), wiolonczela i kontrabas. Większość muzyków znałem, choć młodego wiolonczeliste i jasnowłosą harfistkę widziałem po raz pierwszy.

Podstawowy problem filmowych nagrań polega na dokładnym zgraniu obrazu z dźwiękiem, co w praktyce oznacza zmieszczenie się z poszczególnymi fragmentami muzycznymi w ściśle przewidzianym czasie z dokładnością do sekundy. Im dłuższy fragment, tym zadanie trudniejsze. Praca polega na wielokrotnym powtarzaniu tych samych numerów, aż w końcu z reżyserki padną oczekiwane przez wszystkich słowa: mamy to! I tak, po kawałku, do przodu, aż cały materiał zostanie nagrany. Starłem się nie niecierpliwić, choć momentami było to trudne. Po pierwsze, śpieszyłem się do ćwiczenia, po drugie, bardzo chciałem porozmawiać z panem Sebastianem. Uznałem, że sytuacja dojrzała, aby podzielić się z nim wydarzeniami ostatnich dni. Co prawda to właśnie on usłyszał Estona szczekającego na ulicy w niedzielę wieczorem i wpuścił psa do antykwariatu, a potem wysłuchał mojej opowieści, ale informacje, którymi wówczas uraczyłem starszego pana, były dziurawe jak szwajcarski ser. Chcąc liczyć na jego pomoc - a rzeczywiście potrzebowałem jej - byłem mu winien absolutną szczerość.

Antykwariusz był dla mnie kimś więcej niż osobą odnajmującą mieszkanie. Życzliwość, jaką mi okazał w trudnych chwilach, a także jego spokój, kultura i rozległa wiedza sprawiały, że kontakty z nim były dla mnie zawsze przyjemnością, o pożytku nie wspomnę.

W przerwach nagrania porozmawiałem trochę z kolegami, udało mi się też zjeść przyzwoity posiłek w radiowej kantynie. Dokładnie o piętnastej prowadzący nagranie kompozytor powiedział:

- Dziękuję państwu na dzisiaj, nagraliśmy ponad połowę materiału, myślę, że jutro powinno pójść sprawnie. Widzimy się ponownie o dziesiątej rano.

Mimo zmęczenia pośpieszyłem do domu. Czekały na mnie Eston i ćwiczenie. Po wczorajszej sesji moje ręce i palce były nieźle rozruszane; tego

miłego każdemu smyczkowcowi uczucia nie mogłem zaprzepaścić, wręcz przeciwnie - należało je podgrzewać. Przed antykwariatem natknąłem się na pana Sebastiana.

- Bartek, co nowego u ciebie, wszystko w porządku? - zapytał życzliwie.

- Tak, wszystko OK, chociaż trochę się dzieje... Wspaniale, że pana widzę, bo chciałbym zamienić kilka słów.

- Wiesz co, może wpadłbyś do nas dziś wieczorem, na kolację, z Estonem oczywiście?

- Oczywiście, bardzo chętnie. - Ucieszyłem się. Sprawy układały się po mojej myśli; sprawy, bo oto rozwiązywał się też problem wieczornego posiłku. Kuchnia pani Sabiny miała walory niepoślednie, pan Sebastian zaś zwykł był przy takich okazjach otwierać butelkę niezłego wina.

- No, to bądźcie u nas o dwudziestej. - Sebastian Mars zniknął w drzwiach antykwariatu, a ja podążyłem na górę.

Nadeszła pora, aby coś sprawdzić. Wykazałem chyba wystarczająco dużo cierpliwości.

Nie, ani na chwilę nie zapomniałem o kulce papieru. Nosilem ją przez te parę godzin, jak nosi się los na loterię: dopóki nieotwarty, jest się potencjalnym milionerem. Stąd odwlekanie - statystycznieomalże nieuchronnego momentu rozczarowania. Delikatnie rozwinąłem i wygładziłem zwitek papieru.

Z jednej strony, w centralnej części kartki, znajdowały się rozmazane pozostałości jakiegoś napisu. Starego napisu na starej kartce, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Słów, na które nie wiadomo kiedy spadły krople; wody, łez, potu, kawy? Czegoś, co rozmazało atrament i pozbawiło napis czytelności.

Na stronie drugiej, którą kataklizm oszczędził, znajdowały się tylko trzy, zapisane w jednej linii wyrazy:

Opus - Opas - Opos

Charakter pisma wydawał się niedzisiejszy. To było wszystko, co udało mi się odczytać. Wstrząsające odkrycie... No i fajnie. Miło. Sympatycznie. A czego się, do cholery, spodziewałem? Zdania w rodzaju:

Uprzejmie informuję, że dzisiaj wieczorem zostanę napadnięty przez dwóch bandytów (nazwiska i rysopisy); będą chcieli mi ukraść batutę, w której przemycam diamenty.

*Z poważaniem
D.R.*

Skąd w ogóle zrodziła się myśl, że papierek może mieć jakikolwiek związek z tą sprawą? Z prostego skojarzenia. Przecież Rucacelli był ostatnim użytkownikiem pokoju. A obecność dyrygenta w konkretnym, nawet tak twórczym pomieszczeniu, może zaowocować nie tylko muzyczną kreacją, ale i bardziej materialnymi dowodami jego bytności. Może nie od razu: dyrygent + pokój = papierek, ale...

Ale istniało, plus minus pięćdziesiąt procent szans, że kartka należała do Rucacellego; z tych pięćdziesięciu kolejne pięćdziesiąt, że mogła mieć związek ze sprawą. Prawdopodobieństwo, że istotnie jest częścią zagadki było więc wcale wysokie, zwłaszcza że jego zagadkowość - nic nie wyjaśniając - niczego też nie wykluczała. Choć był moment, w którym chciałem zgnieść papier ponownie i go wyrzucić, coś mnie powstrzymało.

W trakcie spaceru zadzwęczała komórka. Ku mojemu zaskoczeniu dzwoniła Wanda.

- Cześć, Bartek, nie przeszkadzam?

- Nie, nie, skądże - odpowiedziałem niezgodnie z prawdą, gdyż w tym właśnie momencie Eston uległ jednej ze swoich chwil zapomnienia i pobudzony intrygującym zapachem lub czyjąś obecnością, ruszył ostro do przodu. By utrzymać się na nogach, musiałem zrobić to samo: krótko mówiąc, rozmawiałem w biegu, lecz mimo to nie chciałem spłoszyć mojej rozmówczynie.

- Posłuchaj, Bartku, ty jesteś freelance (tak, z angielska określiła mój status wolnego strzelca), to masz pewnie dojścia do różnych nagrań? Wiesz, ja najchętniej bym się teraz czymś zajęła, mam za dużo czasu i za dużo myśli, więc jakbyś coś wiedział...

A Jędrzej? Pokłócili się definitywnie?

No tak, filharmonia w tym tygodniu nie pracowała. Nie chciałem jej mówić, że dalece przecenia moje wpływy w intratnym świecie chałtur oraz że nie pojawiają się one jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... Zaraz! A może wypróbować batutę Rucacellego?!

- Tak, oczywiście, doskonale cię rozumiem, jak tylko coś będę wiedział, odezwę się.

Jakoś trudno mi było wykrztusić, że przecież możemy kontynuować naszą znajomość również bez instrumentów w dłoniach. Ostatecznie dzwoniła do mnie z konkretną sprawą, a nie towarzysko, choć i tak czułem się tym faktem mile wyróżniony.

Ciągle nie znałem dobrze tej dziewczyny, ba, właściwie nie znałem jej wcale, ale - może na skutek uroku, któremu nie pozostawałem obojętny - było mi jej trochę żal; bez względu na to, w jakim stopniu sama namieszała w swoim życiu, nie zazdrościłem sytuacji, w jakiej się znalazła.

Wracając do domu, zastanawiałem się, co dalej? Jakie miejsca, w których mógł przybywać ostatnio dyrygent, powinienem odwiedzić? Na wizytę w pokoju hotelowym nie miałem szans. Mogłem najwyżej wybrać się do hotelowego baru, w którym Wanda z Rucacellim byli - według jej relacji - w piątek wieczorem. Powinienem skontaktować się też z Bielskim, by się upewnić, że policja dziś rano poszukiwała w stawie... nie wiadomo czego. Gdyby potwierdził, że to oni, należałoby się zastanowić, jak dyskretnie odwrócić kota do góry ogonem, to znaczy zaoszczędzić im wysiłku, z góry skazanego na niepowodzenie. No i batuta; ze względu na jej domniemaną wartość, coraz częściej przychodziło mi do głowy pytanie, czy jest bezpieczna w moich rękach? Jakoś na razie nie miałem odwagi o tym myśleć... Dojrzało we mnie postanowienie, by przekazać ją w depozyt panu Sebastianowi, tak samo, jak przekonanie, że muszę wtajemniczyć go w całą sprawę; bałem się, że bez jego pomocy nie ruszę z miejsca. Uznając, że chwilowo nic lepszego nie wymyślę i dość udatnie wyciszając sumienie, postanowiłem zabrać się do grania.

Ale szło mi tego popołudnia nietęgo. Kiedyś wspominałem już, że czysto automatyczne powtarzanie, choćby w nieskończoność, pewnych fraz, nie przynosi spodziewanego efektu; dopiero zaangażowanie mózgu pozwala uzyskiwać realny postęp. Bo granie na instrumencie jest, w gruncie rzeczy, rozwiązywaniem większych i mniejszych problemów; w przypadku altówki: intonacji, palcowania, smyczkowania, frazowania... Praca ta zdaje się nie mieć końca, bo zawsze można znaleźć warianty, które będą lepsze od poprzednich.

W tym aspekcie ćwiczenie jest bez wątpienia pracą twórczą, czyli taką, która nie ma z góry określonego limitu doskonałości. Ale, o ile artyści tworzący dzieło skończone, czyli poeci, pisarze, kompozytorzy, plastycy, w pewnym momencie mogą, czy wręcz muszą, się od niego odciąć, skazując owoc pracy na samodzielny byt, o tyle muzyk wykonawca, czy też na przykład aktor, do końca nie może wyzwolić się ze swojej kreacji; bez ich bezpośredniego udziału ona po prostu nie istnieje. Dlatego jest im potrzebny trening tak jak sportowcom. I tak jak w sporcie, istnieje pewna ilość ćwiczeń utrzymujących poszczególne mięśnie w wyczynowej dyspozycji.

Widząc, że mój mózg jest dziś zbyt pochłonięty innymi sprawami, zdecydowałem się na mechaniczne trenowanie rąk za pomocą gam, dwudźwięków, wprawek technicznych. Nic innego nie mogłem sobie zaproponować. Zacząłem więc monotonne, ale uparte i siłowe rozciąganie i wzmacnianie palców na strunach, jednocześnie pozwalając odlecieć myślom tam, gdzie je ciągnęło.

A ciągnęło je: do parku, w którym dzisiejszy poranek przyniósł kolejne niezrozumiałe wydarzenia. Było w tym coś dziwnego, bo nawet jeśli założyć, że to policja przeszukiwała jezioro, to właściwie dlaczego? Szukała hipotetycznego narzędzia zbrodni? Wątpliwe.

Jedynym widzom teatryku chińskich cieni byłem ja. A jeśli ponownie byłem w błędzie? Jeśli policja odnalazła nowego świadka? W takim razie już wkrótce mógłbym spodziewać się nie najmielszej rozmowy z panem nadkomisarzem, gotowym zarzucić mi ukrywanie faktów.

Potem znów myśli moje zmieniły kierunek na przyjemniejszy, choć też niepokojący. Pobiegły w kierunku wiolonczelistki. Przez co najmniej kilka miesięcy, od czasu gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, nie miałem odwagi zamienić z nią choćby kilku słów, a tu nagle w ciągu dwóch dni stajemy się dobrymi znajomymi. Najpierw jestem prawie jej powiernikiem, potem dzwoni do mnie z pytaniem o chałturę... Gdyby tylko nie te Jędrzeje i Damiany... Odnosiłem wrażenie, że reszta potencjalnej konkurencji - wianuszek zachwyconych, tak ich chyba kiedyś nazwałem? - nagle została w tyle.

Moje palce uparcie i wściekle waliły w gryf. Tym mocniej, im dalszy byłem od przeniknięcia otaczającej mnie mgły. Zdesperowany, odłożyłem w końcu instrument; jego miejsce w moich dłoniach - po raz kolejny - zajęła tajemnicza batuta.

I wtedy zadzwoniła komórka. To był inspektor Radiówki:

- Panie Bartku, dzień dobry, mam problem - zaczął bez wstępów.

Przez chwilę pomyślałem, że reszta nagrania odwołana lub przełożona, i poczułem nawet coś w rodzaju ulgi. Ale chodziło o coś innego.

- Rozchorował się nagle wiolonczelista. Dzwoniłem już w parę miejsc, ale nikogo nie mogę złapać, co oni wszyscy, powyjeżdżali czy jak?

Rzeczywiście, mogli powyjeżdżać. Filharmonia odpoczywała, inne orkiestry... A zresztą, co mnie obchodzi inne orkiestry?

- Nie zna pan kogoś, kto mógłby jutro zagrać?

W duszy rozbrzmiała mi pieśń dziękczynna. Przy akompaniamencie małego lęku. Batuta Rucacellego objawiła swoją moc.

- Tak, chyba tak, wiem o kimś, kto prawdopodobnie jest na miejscu i może zagrać, zaraz podam panu numer.

Ucieszyłem się, że tak nieoczekiwanie szybko mogę zadośćuczynić prośbie Wandy i choć na trochę wyrwać ją z ponurej rzeczywistości, sam zyskując możliwość paru chwil spokojnej rozmowy i ewentualnego zdobycia nowych tropków (o pełnowartościowe tropy mogło być trudno) w nieczytelnej sprawie maestro Rucacellego, o samej przyjemności ujrzenia dziewczyny już nie mówiąc.

Mój rozmówca podziękował za pomoc i szybko się pożegnał, bo chciał od razu zadzwonić do Wandy. Ja natomiast postanowiłem choć na godzinę przełączyć swój mózg w sferę ćwiczeń. Dalsze łomotanie palcami po altówce miało się z celem, zbliżała się próba z fortepianem, zbliżała się audycja, a ja ciągle miałem przed sobą mnóstwo pracy.

Zaparzyłem zieloną herbatę i zacząłem ponownie. Grając, natykałem się co chwila na rafy technicznych trudności, własnych ograniczeń, roztargnienia...

Zazwyczaj na pewnym etapie pracy używałem magnetofonu. Nie wiem, czym wytłumaczyć, że słuchanie własnego nagrania przynosi zupełnie inne wrażenia niż odbieranie siebie w trakcie gry. Nagle wszystko staje się oczywiste, błędy są wyraźne, wiadomo, co trzeba natychmiast poprawić. Może dlatego tak łatwo jest krytykować innych? Słuchając nagrania, słyszałem więcej; stawałem się krwiożerczo obiektywny i bezdusznie niewyrozumiały. Ale takie seanse prawdy są konieczne, tędy wiedzie bolesna droga do postępów.

Wyjątek stanowiły nagrania koncertowe. W ich przypadku zawsze byłem mile zaskoczony. Efekt nagrany przewyższał wrażenia z koncertu.

Ale dzisiaj nie potrzebowałem się nagrywać. Wyostrzonymi zmysłami słyszałem wszystko takim, jakim było naprawdę, a więc tak naprawdę - byle jakie. Zacząłem dostrzegać trudności przy najprostszych nawet zmianach pozycji czy zmianach kierunku smyczka. Czyżby w końcu udało mi się... wyjść ze skóry?

I gdy tak grałem, przyszedł mi na myśl maestro Lewler Terwal. To z nim, dyrygentem o skandynawsko brzmiącym nazwisku, przyszło nam kilka dni wcześniej grać *VII* i *VIII Symfonie* Beethovena...

Z nazwiskami kapelmistrzów występujących na Festiwalu była w ogóle dziwna sprawa: ich brzmienie nie dawało jasnej odpowiedzi na pytanie, skąd przyjechali. Dla nas oraz lepiej zorientowanych melomanów nie było to rzecz jasna tajemnicą, ale... nie bądźmy drobiazgowi. W końcu chodzi o ich kunszt dyrygencki, a nie o kraj pochodzenia.

Przed dyrygentem stoją dwa zadania. Pierwsze to przygotowanie orkiestry do koncertu, drugie - poprowadzenie go. O ile etap prób wymaga przede wszystkim wiedzy o muzyce spoczywającej na pulpitach muzyków i umiejętności pracy z dużym zespołem tychże, o tyle dobrze, jeśli w trakcie koncertu kapelmistrz prezentuje coś więcej niż tylko rzetelność; słowo „charyzma” jest tu może nieco na wyrost, ale chwilowo nie znajduję lepszego. To jednak wartość dodana, a nie zastępująca profesjonalizm.

Myślę, że zawodowcy zgodziliby się ze mną na następującą trój-kategoryzację:

1 - pałeczkarze, pozbawieni obu cech; na takie przypadki proponuję spuścić miłosiernie zasłonę milczenia.

2 - sprawni machacze; pewnie powstaną kiedyś automatyczni dyrygenci zaprogramowani na konkretny utwór; uzyskają oni podobny walor artystyczny wykonania.

3 - dyrygenci, którzy autentycznie zespalają się z muzyką i naprawdę prowadzą orkiestrę w trakcie koncertu. Ale to zdarza się bardzo rzadko...

No dobrze; na upartego można jeszcze mówić o kategorii czwartej - pozbawionych profesjonalizmu, a obdarzonych znacznie nadmierną nieraz charyzmą, szarlatanach; przed takimi niech ręka boska broni...

Natomiast w potocznej opinii istnieją dwa spojrzenia na rolę dyrygenta: przeceniające i niedoceniające. W pierwszym przypadku, dyrygent uchodzi za czarodzieja czy szamana, który ożywia swoją sztuką materię dźwięków, a orkiestra staje się tylko powolnym mu narzędziem. W drugim kwestionuje się w ogóle jego przydatność; istotnie, dźwięków nie produkuje - a swoim machaniem sprawia wrażenie, jakby chciał muzykom pomieszać szyki.

W tak ekstremalnej formie obie opinie są fałszywe. Aby jednak właściwie zrozumieć relację orkiestra-dyrygent, trzeba wziąć pod uwagę pewien bezsporny fakt: mianowicie dyrygent bez orkiestry nie zagra, a orkiestra bez dyrygenta tak...

Zawód ten, jak mało który, zawiera w sobie potężną pokusę autokreacji i gwiazdorstwa, wyczuwalną bezbłędnie przez orkiestrowych muzyków, a braną często za dobrą monetę przez* publiczność. To dlatego jej ulubieńcy nie zawsze są faworytami orkiestr. Ale może też się zdarzyć pełna zgodność opinii.

I tak było w przypadku maestra Terwala; był to dyrygent-marzenie. Ktoś, kto potrafił porwać orkiestrę do lotu siłą wyobraźni, magią osobowości, profesjonalizmem i urokiem swojej wizji. Domieszka tyranii nie była potrzebna; on nie musiał niczego udawać ani grać. Był po prostu sobą i to wystarczyło. Wydawało się, że bez wysiłku wyczarowuje kwintesencję obu utworów: roztańczonej, ekstatycznej i pełnej nieziemskiej wprost energii *VII Symfonii A-dur op. 92*, w której nawet część wolna nie ma czasu na zadumę, a o finale której Wagner miał powiedzieć: „po wszystkich szaleństwach części poprzednich w tej, świat zawałił się na głowę”, i klasyczne przesłanie *VIII Symfonii F-dur op. 93*, będącej ukłonem dla poprzedników kompozytora - zwłaszcza Josepha Haydna - a zarazem najpogodniejszym chyba jego dziełem symfonicznym. Maestro Terwal nie uległ pokusie, której nie oparłoby się wielu dyrygentów pragnących zachować imponujący finał na koniec koncertu; nie zmienił kolejności wykonania utworów.

I w tym również przejawiała się jego wielkość; nie usiłował poprawiać, czy też uatrakcyjniać Beethovena, odnosił się z pokorą nie tylko do chronologii powstawania symfonii, ale też do tekstu, który z żelazną konsekwencją próbował wyegzekwować w całej jego wierności. Nie musiał zwracać się do orkiestry per „koledzy”; daleki był od osobistych wycieczek i przycin-ków, nie szczędził też pochwał dla poszczególnych instrumentalistów lub grup instrumentalnych, a w jego słowach i gestach pełno było szacunku dla muzyków. Gdy zdarzało się jakieś miejsce szczególnie trudne, a więc nie od razu perfekcyjnie zagrane, przerywał, mówiąc:

- Odnośnie tego fragmentu chciałbym zdradzić państwu pewien sekret: trzeba to zrobić tak i tak - tu używał objaśnień charakterystycznych dla poszczególnych instrumentów.

I rzeczywiście, kolejne zagranie pokazywało, że trafiał swoimi uwagami w dziesiątkę. Maestro Terwał zaskarbił sobie pełną sympatię orkiestry, praca z nim była prawdziwą przyjemnością i lekcją artystycznej i ludzkiej klasy w każdym calu, a publiczność była zachwycona, bo dyrygent oprócz wszystkich wymienionych wcześniej przymiotów, dysponował jeszcze scenicznym szarmem i wdziękiem, zaś jego mefistofeliczna (w najlepszym tego słowa znaczeniu) twarz musiała wzbudzać przyspieszone bicie serca u płci pięknej.

Nawet krytycy, których zazwyczaj trudno zadowolić - ale to po trosze należy do charakteru ich pracy - byli pod wrażeniem niespotykanej siły przekazu, choć znaleźli się i tacy, którzy mieli zastrzeżenia co do stylu wykonania, według ich opinii utrzymanego w jednostajnym, niecierpiącym z najnowszych tendencji wykonawczych, charakterze.

No cóż, dwa koncerty wcześniej gościliśmy u siebie guru, posiadające-go pełnię wiedzy co do stylu wykonawczego epoki. Czym to się skończyło, opowiem innym razem.

- Kontakt z tej klasy artystą przywraca wiarę w dyrygenta - powiedział na poły żartobliwie któryś z kolegów skrzypków. Trafił w sedno. Ta wiara bowiem często bywa mocno nadwątlona.

Korzystając z okazji, że stoję jakby obok siebie, postanowiłem spróbo-wać metody, którą z takim powodzeniem stosował Lewler Terwał (czemu dodatkowego sensu przydawał fakt, że maestro był również znakomitym skrzypkiem).

- Panie Bartku, zdradzę panu pewien sekret: te kilka taktów należy za-grać na strunie A.

Cholera, pomogło, szybko zapisałem w nutach zmiany i zająłem się ko-lejnym miejscem.

- Tutaj radziłbym panu skoncentrować się na pierwszej grupie szesnastek; reszta już zagra się sama, rozpedzoną ręką.

I znowu dobrze!

- Teraz niech pan spróbuje zmienić kierunek smyczka całym ramieniem, a nie tylko kciukiem.

Nareszcie osiągnąłem legato! Mój Boże, czy ja zwariowałem? Czy, mówiąc delikatnie, rozszczepiła mi się jaźń?

Mózg zadawał takie pytania, w gruncie rzeczy całkowicie je lekceważąc; liczyło się tylko to, że znalazłem sposób na ćwiczenie i poprawę poszczególnych elementów gry. Postanowiłem go zapamiętać. W swojej nieortodoksyjności metoda godna altowiolisty.

Ale o co właściwie chodzi z tymi altowiolistami? Już najwyższa pora, aby poruszyć drażliwą kwestię. Co tak specyficznego jest w instrumencie noszącym tę dumną nazwę i grającym na nim muzykę? Dlaczego stali się dla orkiestry celem drwin i niezliczonej ilości dowcipów? Spróbujmy się temu przyjrzeć.

Naczelną cechą altówki jest jej uśrednienie lub międzowatość (mówimy o altówce - zaczynają się problemy...). Określmy to tak - bycie pomiędzy skrzypcami a wiolonczelą, i to zarówno w sensie wielkości, skali dźwiękowej, jak i usytuowania w orkiestrze. Znane są modele orkiestry, w których altówki zajmują miejsca zewnętrzne - przez zamianę z wiolonczelami na przykład - ale i w tym dopatrywałbym się raczej desperackiej próby wyrwania tego instrumentu z zakłętą kręgą średniości niż przyznania mu właściwego miejsca w orkiestrowej hierarchii.

Altowiolista to nieudany skrzypek lub niedoszły wiolonczelista. Rzeczywiście; altówka, jako większa od skrzypiec, stwarza większe techniczne ograniczenia. Ale ten, kto choć raz słyszał, jak grają na niej Jurij Baszmet czy Kim Kaszkaszian, nie ma wątpliwości, że i ten instrument można traktować wirtuozowsko. Niestety jej dźwięk jest przeciętnie kojarzony z donośnym brzęczeniem pszczoły; gdzie tu mówić o szalonych możliwościach sopranowych skrzypiec, czy basowych - wiolonczeli? Czemu więc niektórzy decydują się grać na tym budzącym kontrowersje instrumencie? Może dlatego, że nie wszyscy mają naturę skrzypcowych primadonn lub wiolonczelowych paraintelektualistów, a altówka jest syntezą najlepszych cech obu spokrewnionych instrumentów czy symbolem klasycznego złotego środka wreszcie. Inna sprawa, że jest po prostu niezbędna, wypełniając nieosiągalny dla innych instrumentów zakres skali i barw, i tak naprawdę nikt nie wyobraża sobie orkiestry symfonicznej czy kwartetu smyczkowego

bez jej szlachetnego brzmienia. Ale o tym wszystkim głośno się nie mówi, a altówka stała się dla muzyków odgromnikiem negatywnych emocji; jeśli trzeba sobie na kimś pojeździć, to najlepiej na altówce i altowiolistach.

Kiedyś w młodszej naiwności sądziłem, że niektóre instrumenty dęte o wiele bardziej nadawałyby się na bohaterów muzycznych dykteryjek, ale czas zweryfikował ten pogląd; jako głosy w większości solowe, mają one w orkiestrze pozycję silniejszą niż przeważająca część kwintetu smyczkowego, który - w pojęciu dęciaków - pławi się w morzu względnej anonimowości, a więc i nieporównanie mniejszej odpowiedzialności. Po szczególnym instrumentom i grającym na nich muzykom poświęcę kilka słów w innym miejscu mojej opowieści, ale nie teraz. Teraz - niech wszyscy mi wybaczą - zostanę przy mojej ukochanej altówce.

Nie mam oczywiście zamiaru opowiadać tutaj altówkowych dowcipów; jeszcze by tego brakowało. No, może z wyjątkiem jednego, za to z gatunku bardziej już ekstremalnych, aby uświadomić, do czego są zdolni koledzy muzycy.

Otóż, czym różni się altówka od trumny? Ano tym, że w przypadku trumny zwłoki są wewnątrz.

Bez komentarza.

Oczywiście niektóre z tych niekiedy rzeczywiście śmiesznych historyjek, można by z powodzeniem przypisać blondynkom, policjantom, czy sąsiednim nacjom. Kiedyś ze zdumieniem usłyszałem, że kawał, opowiedziany u nas o Słowakach, w identycznej wersji funkcjonuje w Szwecji jako narodowy omalże dowcip o Norwegach.

Przy okazji przypominało mi się coś jeszcze. We wczesnych latach studenckich brałem udział w ogromnym festiwalu młodzieży muzycznej w USA. Mieszkaliśmy w kilkunastoosobowych bungalowach, a choć udział młodych muzyków ze wszystkich stron świata był znaczny, to jednak dominowali Amerykanie. W naszym domku byłem jedynym obcokrajowcem wśród jankesów. Utał się zwyczaj, aby wieczorami, przed zaśnięciem opowiadać dowcipy; wraz z rosnącą znajomością języka angielskiego, z przykrością zauważałem, że poczesne miejsce zajmują wśród nich Polish jokes. Nawet jeśli nie były wymierzone bezpośrednio we mnie, postanowiłem z tym skończyć i pewnego wieczoru wygłosiłem przygotowaną wcześniej frazę: „No more Polish jokes, please”, kładąc nacisk na słowie „please”, które miało zabrzmieć może nie jak groźba jeszcze, ale już na pewno nie jak prośba. Okazało się, że nie było problemu; w zamian ktoś zaproponował Jewish jokes. Lecz i ta propozycja spotkała się z negatywną reakcją ze strony kolegi o niewątpliwie semickich korzeniach, zachęconego widać moimi słowami.

Problem kawałów etnicznych umarł śmiercią naturalną i odnosiłem wrażenie, że nikomu ich nie brakowało.

Co dowodzi, że czasami wystarczy wyartykułować swoje zdanie, aby wzięto je pod uwagę.

Czy jestem jednak w stanie wyobrazić sobie koncertmistrza grupy altówek, który na początku próby wstaje, by głośno i wyraźnie powiedzieć: „od dzisiaj koniec z dowcipami o altowiolistach” (w jakimkolwiek języku zresztą, bo - uwierzcie mi - problem jest międzynarodowy)? Nie, nie jestem; wystąpienie takie potraktowano by jako nowy, może najlepszy z dotychczasowych, kawał z tego gatunku.

Tymczasem jednak poczułem zmęczenie. Przynajmniej na trochę udało mi się uwolnić z nadbagażu rozprasających myśli i wykonać kawałek niezłej pracy. Muzyczne sumienie przymilnie śpiewało mi do ucha, kiedy odkładałem instrument.

Rozdział V

Wtorek cd.

Ostatnia godzina ćwiczenia podreperowała moje altowioliście ego. Stwierdziłem, że mimo przeciwności, mimo tego wszystkiego, co działo się wokół mnie i ze mną, powoli zbliżam się do formy, która upoważni mnie do wzięcia udziału w przesłuchaniu. Nieraz już przekonywałem się, że natłok zajęć i spraw wymusza racjonalne gospodarowanie czasem, podczas gdy jego nadmiar może mieć wpływ destrukcyjny.

Tym milej było pomyśleć o czekających na mnie życzliwych ludziach, przysmakach, które - byłem pewien - przygotowali, chwilach, które zawsze miały u nich sympatycznie; pozytywnie - bo filozoficznie - nastrajając do życia z wszystkimi jego zawirowaniami i znakami zapytań. I to wszystko znajdowało się tak niedaleko, nie musiałem jechać na drugi koniec miasta ani nawet przechodzić przez ulicę. Wystarczyło wyjść na nią, stanąć twarzą w twarz z oświetloną witryną, pełną zawsze pociągających, starych tomów, których wartości nigdy nie byłem w stanie ocenić; na mnie działały urokiem chwil minionych. Były niemymi świadkami wydarzeń i powiernikami dotyku rąk, wielu dłoni, którym przez lata przekazywały trochę ze swojej mądrości, w zamian chłonąc ich niewidzialne i niepowtarzalne wibracje.

Odświeżony i trochę już choć zadowolony z siebie, stanąłem wraz z Estonem przed drzwiami antykwariatu; nawet tak niedalekie wyjście pies powitał z entuzjazmem. Dzwonek, który w ciągu dnia automatycznie uruchamiał się przy ich otwieraniu, oznajmił nasze przybycie.

Pan Sebastian mnie nie rozczarował: począwszy od czarnych lakierków, poprzez sztuczkowe spodnie i kamizelkę, aż do kraciatej koszuli ozdobionej czarną muchą i - last but not least - wieńczącej całość aury wytwornej wody toaletowej, był to ten sam Sebastian Mars, którego pamiętałem z wszystkich naszych wcześniejszych spotkań. Jeśli chodzi o wizerunek względem bliźnich - nie pozwalał sobie na kompromisy. Prezentował ten rodzaj niewymuszonej elegancji, która musiała w nim po prostu być od zawsze - nie wyuczona, a przekazana w genach.

- Witaj, Bartku - powiedział, wyciągając do mnie rękę. Estona przywitał poczochnieniem jego czupryni, co pies skwitował pełnym aprobaty zmrużeniem oczu.

Weszliśmy do salonu, który zawsze przemawiał do mnie - tak jak jego gospodarz - nienarzucającą się klasą; nawet jeśli trudno było się oprzeć wrażeniu pewnego chaosu, był to chaos pełen finezji. Nadmiar, który w tysiącu innych przypadków przygnębiałby, tutaj - sędzę, że dzięki jakości poszczególnych, tworzących go elementów - przeobrażał się w coś, co różne języki różnie określają: spirit, esprit lub po prostu czar.

Żona antykwariusza, pani Sabina, inaczej niż mąż, nigdy nie pozwalała sobie zwracać się do mnie bezpośrednio po imieniu. Wciąż była piękną i elegancką kobietą. O ile Sebastian Mars sam się nieco postarzał tą swoją antykwaryczną powierzchownością, o tyle jego lepsza połowa reprezentowała typ kogoś z bohemy, ale bohemy dopracowanej, zadbanej w każdym detalu. Kiedyś moje przypuszczenia miały znaleźć potwierdzenie; aktorska uroda była rzeczywiście znakiem zawodu, który uprawiała. Z jakich powodów wycofała się - nie wiedziałem.

Kolacja, którą pani Sabina wyczarowała na modłę śródziemnomorską, okraszona jeszcze wybornym włoskim winem, minęła w rytmie właściwym, to znaczy jedzenie i picie nie było zakłócanie tematami mogącymi umniejszać kulinarne doznania. Eston zajmował się podarowaną mu przez gospodarzy kością, aż w końcu zmęczony, ale najwyraźniej ukontentowany zasnął skulony pod stołem. Po kolacji pani Sabina poszła na górę odwiedzić starszą panią, matkę Sebastiana Marsa, której obecność w kamienicy znałem tylko z opowiadań. Na ich podstawie wyobrażałem sobie, że jest pełną ciepła, uroku i humoru leciwą damą, która z takich lub innych powodów, najprawdopodobniej zdrowotnych, nie opuszczała nigdy swojego pokoju.

My natomiast przenieśliśmy się na kanapę. Z przyjemnością chwyciłem w dłonie kielich z pełną aromatu grecką brandy, którą antykwariusz zaproponował mi na dalszą część wieczoru. Odmówiłem natomiast cygara; mój gospodarz zapalił, by po chwili zadać mi pytanie:

- Bartku, to opowiedz, proszę, co się tak naprawdę wydarzyło? Wiesz, ludzie na mieście coś tam zawsze gadają, ale dobrze byłoby usłyszeć wszystko po kolei, od ciebie.

Więc zacząłem opowieść. W gruncie rzeczy czułem ogromną potrzebę, aby się z kimś podzielić wypadkami ostatnich dni, raz - w nadziei, że świeże spojrzenie pozwoli dostrzec coś, co mi do tej pory umykało, dwa - że reasumując zdarzenia, sam wpadnę na pominięty trop. Antykwariusz był jedną z niewielu osób, którym mogłem powierzyć tajemnicę, ot, z powodu czysto elementarnej zaufania i wiary w jego wiedzę i przenikliwość. Nie zdziwiłbym się, gdyby wniósł do sprawy twórczą interpretację.

Opowiedziałem więc o całym Festiwalu Beethovenowskim, o plejadzie mistrzów batuty, prowadzących pięć festiwalowych koncertów, a zwłaszcza o ostatnim, maestro Damianie Rucacellim; jego pierwszym pojawieniu się przed orkiestrą, kontrowersyjnych próbach z mniej lub bardziej celowym ośmieszeniem jednego z muzyków orkiestry, ojca przepięknej wiolonczelistki, której to uroki zresztą maestro dostrzegł był. Nie bez wzajemności. Mówiłem o recepcji, którą postanowiłem pominąć, by w spokoju zająć się istotnymi sprawami, i o wieczornym spacerze, w trakcie którego byłem świadkiem pantomimy w świetle księżyca. Powiedziałem - tym razem zgodnie z prawdą - o Estonie, który z jakichś powodów wskoczył do wody i przechrztywszy złoczyńców, przyniósł mi przedmiot wrzucony do jeziora przez dyrygenta. Potem o wizycie na policji, zupełnie niedorzecznie rozpowszechnianych plotkach o domniemanej winie pana Zbyszka, obalonych później faktem jego pobytu w szpitalu. Mówiłem o Wandzie, o jej zazdrośnym narzeczonym. I o stróżach prawa, którzy prawdopodobnie wiedzą niewiele, choć czynią usilne starania, by ów stan rzeczy zmienić - tu wspominałem o porannym przeszukiwaniu stawu.

Gdy skończyłem, pan Sebastian milczał; najwyraźniej czekał na coś jeszcze. Opowiedziałem więc - bo i tak to chciałem zrobić - o batucie, która znajdowała się w pudełku i o wizycie w pokoju dyrygenckim, która jednak - poza zamazanym kawałkiem papieru - nic nie przyniosła.

Eston nie spał już; przyglądał się nam i zdawał czekać na opinię pana Sebastiana. A ten - dawno przestał mnie słuchać i był pochłonięty całkiem innymi myślami, albo przetrawiał to, co mu właśnie powiedziałem. W końcu, gdy obłoki cygarowego dymu wypełniły już wystarczającą przestrzeń salonu, pan Sebastian westchnął głęboko i powiedział:

- Czy mógłbyś pokazać mi tę batutę?

Na nic innego nie czekałem; poczułem ulgę, że antykwariusz przeszedł do porządku dziennego nad nieścistością mojej poprzedniej relacji, miałem też nadzieję, że nie tylko uda mi się usłyszeć coś w rodzaju wstępnej ekspertyzy przedmiotu, ale i przechować go w antykwariacie, w którym musiały przecież być schowki na co bardziej cenne pozycje bibliofilskie. Wstałem, aby pójść na górę i przynieść jedyny, materialny element, który w jakiś sposób łączył się ze sprawą. Na moje krótkie: zostań!, Eston zareagował podniesieniem się i stanowczą wolą dotrzymania mi kompanii. Nie próbowałem go powstrzymać, w końcu nie było nic złego w fakcie, że chciał mi towarzyszyć.

Ten pies sam decydował, kiedy mnie posłuchać, a kiedy słuchać samego siebie. Z punktu widzenia relacji przewodnik-zwierzę, była to sytuacja nie

do zaakceptowania. Ale Eston, prócz niewątpliwie silnego i niezależnego charakteru, posiadał cechy, które musiały być wynikiem specyficznego treningu. Dlatego zaskakiwał mnie niejednokrotnie, reagując w różnych sytuacjach w dziwny, chciałoby się rzec - nieadekwatny sposób. Niekiedy sprawiał wrażenie, że lepiej ode mnie wie, jak należy postąpić. Koronnym przykładem samodzielnej decyzji była nocna akcja w parku zakończona wyłowieniem pudełka z batutą i skutecznym wyprowadzeniem w pole ścigających. A co by było, gdyby nie podjął wówczas inicjatywy? No właśnie, nic by nie było... Nawiasem mówiąc, po tym postępku zacząłem przypuszczać, że Eston był przyuczony i wykorzystywany do wyławiania jakichś podejrzanych pakunków - bez względu na istniejące niebezpieczeństwo. Tak długo jednak, jak jego logika nie stawała na drodze mojej - a to się właściwie nie zdarzało - akceptowałem, bo i prawdę mówiąc, niewielki miałem wybór, jego niezależność. Uczyliśmy się siebie wzajemnie.

W trakcie krótkiego przemarszu od drzwi antykwiariatu do wejścia na poddasze wydawało mi się, że pies spał się nagle; nie mogłem tego widzieć, ale czułem, że sierść mu się zjeżyła; wrodzona słabość do kotów była chyba zjawiskiem nieuleczalnym, choć zazwyczaj reagował na nie znacznie gwałtowniej. Wahałem się, czy jest sens zabrania ze sobą świstka papieru odnalezionego w fortepianie. Mimo wątpliwości chwyciłem nuty koncertu altówkowego Bartóka, w którym paperek poddawany był procesowi wygładzania.

Wkrótce ponownie byliśmy w antykwariacie. Pani Sabina pojawiła się jeszcze na chwilę, z kubkiem aromatycznej herbaty w dłoniach, ale po to tylko, aby w imieniu starszej pani i swoim życzyć nam dobrej nocy.

Przekazałem futerał wraz z zawartością w ręce antykwariusza. Przyjął pudełko z namaszczeniem i z nie mniejszym zabrał się do jego otwierania.

Znowu przypomniał mi się Rucacelli i jego pełne pietyzmu zabiegi przy dyrygenckim etui w trakcie pierwszej próby, choć znajdująca się wówczas w pudełku batuta była inna, zwyczajna. Celebrowanie momentu wynikało zapewne nie tyle z szacunku do dzieła sztuki, ile do atrybutu władzy i siły.

Pan Sebastian obejrzał palisandrową pałeczkę i zamyślił się. Nie chcąc mu przeszkadzać, milczałem i ja. W końcu jednak sformułowałem pytanie, z którego zadaniem nosiłem się już od pewnego czasu:

- Czy, pana zdaniem, jest to, sam nie wiem, antyk, zabytek muzealny lub coś z innych powodów szczególnie cennego? Tak cennego, że mogłoby popchnąć kogoś do próby zabójstwa?

Antykwariusz przyjrzał mi się z powagą i rzekł:

- Bartku, nie bądź naiwny; człowieka można zabić dla dziesięciu złotych.

- Tak albo dla ideologii, lub z powodu krzywego spojrzenia. Słyszałem o takich przypadkach, ale jakoś nie mogę ich dopasować do tej sytuacji.

Już przedtem zastanawiałem się, jak wygląda u nas rynek dzieł sztuki: czy znajdują się na nim przedmioty mogące budzić emocje światowych kolekcjonerów lub muzeów, a których wartość motywowałyby uruchomienie maszyny przestępczej, eliminującej ludzkie życie, jeśli stanęłoby ono na drodze do spodziewanego zysku? I czy może do nich należeć dyrygencka batuta? Odpowiedź na drugą część moich wątpliwości w pewnym sensie przyniosły wydarzenia ostatnich dni. Pragnąc zachować pozytywny obraz świata, nie warto pograżyć się w naiwności: w rzeczywistości trzeba niewiele, by wywołać zawiść, zazdrość, nienawiść, a pieniądź wydaje się władcą absolutnym - remedium na wszystkie możliwości i niemożliwości. W świecie tym wartość ludzkiego życia zdevaluowała się - choć w słowach jest ono niezmiennie podnoszone do rangi najwyższej, stało się z drugiej strony niczym więcej aniżeli poziomem do przejścia w komputerowym surogacie świata, zwanym wirtualnym.

Antykwariusz odniósł się natomiast do pierwszego elementu moich rozważań;

- Jeśli chodzi ci o to, czy są u nas eksponaty o wyjątkowej, niewyobrażalnej wartości historycznej, muzealnej, a przez to bezcenne, to odpowiedź brzmi: tak, oczywiście że są...

Poczułem się nieco zaskoczony. Z jednej strony trudno się dziwić, że w kraju o tak bogatej historii i terytorialnie rozległym znajdują się rozliczne dobra kultury materialnej. Z drugiej - zawsze żyłem w przeświadczeniu, że właśnie ten rozbuchany, a w większości niekorzystny bieg dziejów pozbawił nas ogromnych zbiorów o wartości trudnej do oszacowania.

- ...tylko że nie zawsze wiemy gdzie... - dokończył pan Sebastian.

Aha, więc tu była puenta. Rzeczywiście, czasami słyszało się o trafieniu na ślad dawnych kolekcji lub poszczególnych ich egzemplarzy, które potem wypływały na światło dzienne... wystawiane na licytację przez znane domy aukcyjne, swoją renomą gwarantujące autentyczność eksponatów. Jedyłą możliwością ich odzyskania pozostawało... kupno, często niestety przekraczające możliwości finansowe naszych instytucji kulturalnych.

Pan Sebastian znów zaczął w milczeniu przyglądać się batucie; w końcu odłożył ją i zdecydowanym krokiem podszedł do biurka pełnego antykwarycznych bibelotów. Bez wahania wziął w rękę szkło powiększające.

- Ten przyrząd nazywam czasami swoim trzecim okiem - wyjaśnił.

Widząc, że coś go zainteresowało, powstrzymałem cisnące się na usta pytania.

A antykwariusz dokładnie lustrował pałeczkę, kiwając przy tym głową - jakby potwierdzały się jego przypuszczenia. W końcu odłożył oba przedmioty, mrużąc pod nosem:

- No tak, miałem rację...

Nieśmiałym chrząknięciem, które obudziło Estona, przypomniałem o swojej obecności. Ale gospodarz wcale o mnie nie zapomniał.

- Bartku, proszę, podejdź tu.

Zbliżyłem się do kanapy. Gospodarz wręczył mi batutę i szkło (powiększające ma się rozumieć; to z bursztynową zawartością odstawiłem na biurko).

- Przyjrzyj się dokładnie wszystkim pierścieniom i powiedz mi, czy widzisz między nimi jakąś różnicę.

Przez lupę dostrzeżało się nagle mnóstwo szczegółów, słabo lub wcale niezauważalnych gołym okiem. Szlachetnym rysunkiem - jakby nowoczesnej grafiki - objawiały się słoje palisandrowego drewna. Sieć drobniutkich zadrapań mogłaby wiele powiedzieć o utworach, w trakcie dyrygowania którymi powstawały. Ale miałem się przyjrzeć pierścieniom. Rzeczywiście, coś je różniło; mówiąc dokładniej - coś różniło fragment środkowy, wchodzący w bezpośredni kontakt z drogocennym kruszcem. O ile dwa zewnętrzne wyglądały jak wrośnięte w palisander, o tyle wokół centralnego znajdowało się kilka, ledwo zauważalnych, ale jednak wyraźnie jaśniejszych punkcików. Odnosiło się wrażenie, jakby drewno - o nieutlenionym kolorze - wy dostało się spod metalu na światło dzienne. A to mogło się stać w jednej tylko sytuacji: ktoś musiał manipulować złotym kółkiem. Być może próbował je zdjąć i założyć bez zostawiania śladów. Ale jak mógł przewidzieć, że batuta wpadnie w ręce wyczulonego na takie sprawy antykwariusza i jego trzeciego oka?

Odłożyłem szkło powiększające, czując jednocześnie, jak moje serce zaczyna bić w szybszym rytmie. Bo nagle przypomniałem sobie myśl, która błysnęła mi poprzedniego wieczoru, tuż przed zaśnięciem, lecz zaraz uciekła.

Przechowywana w futerale batuta sama mogła być schowkiem. Spojrzałem pytająco na mojego mentora; w geście zachęty przymknął powieki.

Kilkakrotnie poruszyłem pierścieniem; po chwili poczułem, że moje wysiłki przynoszą rezultat, a złote kółko nie jest przymocowane do drewna na stałe. Chwyciłem batutę po jego obu stronach, próbując delikatnie ją rozkręcić, tak jak czyni się to z długopisem przy wymianie wkładu. To było właściwe posunięcie; bez większych problemów udało mi się osiągnąć cel; jednak ze środka nic nie wypadło. Poczułem zawód. Ani drogocenne kamienie, ani nic innego, w ogóle nic nie wysypało się na zewnątrz batuty...

- No i co? Tak ładnie się zapowiadało... - nie kryłem rozczarowania.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Antykwariusz przyglądał się wnętrzu batuty przez szkło powiększające. - Czego ty się spodziewałeś: brylantów?

Trochę głupio było mi przyznać, że właśnie tak...

- Zresztą, poczekaj... tu coś było. Resztką tego ciągle jeszcze jest.

Delikatnie wyjął szczypcami malutki skrawek.

- Wygląda jak papier. Stary papier.

Przez chwilę mój osobisty komputer (mózg) zaczął pracować na wysokich obrotach. Dokonał szybkiej symulacji kilku mniej lub bardziej prawdopodobnych możliwości. Wniosek był jeden: nie zaszkodzi spytać.

Spomiędzy stron koncertu Bartóka wysunąłem włożony tam wcześniej zwitek papieru, efekt mojej wizyty na drugim piętrze filharmonii.

- Panie Sebastianie, czy w wolnej chwili zechciałby się pan przyjrzeć również temu?

- Oczywiście, a dlaczego właśnie teraz o to pytasz?

- Bo przyszło mi do głowy, ale może to bardzo naiwne, że oba skrawki mogą pochodzić z jednego kawałka. Czy sądzi pan, że dałoby się to ustalić?

- Ale co każe ci sądzić, że tak może być? - Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Nie wiem. To tylko luźne przypuszczenie.

Raz jeszcze, tym razem bardziej szczegółowo, opowiedziałem antykwariuszowi o wizycie w gabinecie dyrygenckim i wyłusaniu zworka papieru z płataniny strun fortepianowego pudła. Widziałem, że budzi się w nim zawodowa ciekawość. Pozostawało mieć nadzieję, że nie dokonałem połączenia zbyt abstrakcyjnego, próbując na siłę wyjaśniać rzeczywistość. Ale ostatecznie byłem sobie w stanie wyobrazić obecność dyrygenta, batuty i papierka w jednym miejscu i o jednej porze. Mój Boże, jak w greckiej tragedii.

Sebastian Mars wyglądał zworka, by w końcu przyjrzeć mu się trzecim okiem.

- Napis, bo to był napis, został uszkodzony, ale coś z niego da się jeszcze odtworzyć. To, o co pytałeś, można potwierdzić lub wykluczyć ze stu-procentową pewnością podczas badań laboratoryjnych. Ale ja już teraz uważam, że chyba miałeś nosa. Wygląda na to - raz jeszcze porównawczo lustrował coś, patrząc przez lupę - tak... skrawek papieru z batuty jest prawdopodobnie częścią karteczki, którą przyniosłeś. Wniosek - to ona znajdowała się w środku.

Srebrne dzwoneczki zagrały mi w głowie. Malutki kawałek układanki, nieważne, dzięki intuicji czy przypadkiem, udało się ustawić we właściwym miejscu. Symboliczny pierwszy ruch został wykonany. Oto był element, który mógł stać się osią przy rekonstrukcji całej krzyżówki.

- To dopiero początek, przed nami daleka droga. - Słowa antykwariusza ostudziły nieco mój zapał. Mimo to odczuwałem pewną satysfakcję; dwa elementy łągiłówki zostały połączone. Batuta była obiektem czyjeś pożądanie, a nam udało się odkryć jej pierwszą - i być może nie jedyną - tajemnicę. Problem polegał tylko na tym, że nieczytelna.

Dokonana z pomocą trzeciego oka analiza - z natury swojej na pewno pobieżna i wyrwykowa - upewniła jednak pana Sebastiana, że pokryty kilkoma słowami papier nie jest współczesny. Według niego był to fragment, strukturą przypominający wysokiej klasy papeterię, choć jego kształt i wielkość około pięciu na pięć centymetrów, wskazywały raczej na kartkę przeznaczoną do robienia drobnych notatek - ekskluzywną formę bloczku sprzed lat. Był złożony na pół i zwinięty w rulonik - te cechy bez trudu dało się odtworzyć mimo moich usilnych prób rozprostowywania papierka w nutach; tym sposobem, bez dalszych zniekształceń swobodnie mieścił się w komorze batuty. Wyrazy zostały napisane atramentem; nie wiadomo, co było przyczyną zawilgocenia go i rozmycia napisu z jednej strony. Gdyby papier znajdował się w batucie, w chwili gdy wpadła do wody, treść zapisu przepadłaby zapewne raz na zawsze. A tak, owszem, był niewyraźny, ale teraz i ja widziałem, że nie stanowi wyłącznie nieczytelnej plamy.

Bez trudu mogłem wyobrazić sobie dyrygenta posługującego się ekskluzywnym piórem wiecznym. Co prawda wstępne znaki czynione w partyturze musiały łatwo dać się wymazać, gdy dojrzała koncepcja wypierała pierwotną, do ich robienia służył więc ołówek. Ta ostatnia - jako obowiązująca - zaznaczana była często jaskrawoczerwonym kolorem.

Ale autografy i podpisy pod intratnymi kontraktami; to najprzyjemniej czyniło się z delikatnym oporem i szmerem złotej stalówki po papierze... Mówię, jakbym sam miał okazję to czynić; wyobrażnia czy zazdrość? A może po trosze jedno i drugie?...

Papier był stary. Tylko jak stary? Określenie wieku mogło potwierdzić lub wykluczyć udział dyrygenta w zrobieniu notatki, chyba że... napis został zrobiony współcześnie na starym papierze.

Sugestia antykwariusza była jednak klarowna: papierek został wciśnięty pod pierścień dawno i bardzo niedawno spod niego wyjęty. To dawno kształtowało się - na pierwszy rzut uzbrojonego w lupę oka - w dość szerokim przedziale, od pięćdziesięciu do stu lat, co praktycznie wykluczało maestra, jako autora napisu, bez względu na to, kiedy wszedł w posiadanie batuty.

Tak czy inaczej, sprawa palisandrowej pałeczki nabierała nowego znaczenia; jeśli była ona cenna, to prawdopodobnie nie (lub nie tylko) wartością własną, ale informacją, którą ukrywała. Szeroki gest dyrygenta, rzucającego pudełko w otchłań lodowatej wody niekoniecznie był więc

teatralnym, pasującym zresztą jak ułaf do dramatycznej sceny na moście. Był czymś więcej; miał uniemożliwić dostanie się batuty w niepowołane ręce, choć obawiam się, że do podobnego wniosku mogłoby dojść średnio rozgarnięte dziecko, i to za ledwie po chwili zastanowienia. Coś się jednak nie zgadzało: przecież zwitka papieru wówczas już w niej nie było. Czyżby Rucacelli o tym nie wiedział?

Pozostawała rzecz nie najbłahsza: treść napisu. Zakładając nawet, że w wyniku prac restauratorskich - a byłem niemal pewien, że pan Sebastian dysponuje elementarną wiedzą w tym zakresie - uda się odtworzyć notatki, to co dalej? Czy będzie to tylko odprysk trudnego do przesłedzenia wątku myślowego, czy też zakodowana informacja? A jeśli tak, to jaka i czego dotycząca? Za dużo pytań. Bez zachowania odpowiedniej kolejności nie da się ruszyć z miejsca. Należało zacząć od próby odtworzenia napisu.

Antykwariusz był zresztą ciągle zajęty kartką. Poddawał ją jakimś tajemniczym zabiegom. Z mojego ignoranckiego punktu widzenia wyglądało to jak podsuszanie, podprasowanie i posypywanie proszkiem; nie wiem, jak inaczej określić te czynności, dość, że w końcu pan Sebastian, z umiarkowaniem zadowoloną miną, oznajmił:

- Nie jest za dobrze, ale też nie jest tragicznie. Moim zdaniem mamy tu cztery wyrazy, po dwa w rzędzie. Pierwszy i drugi kończą się na literę a, trzeci to coś jak ba i - być może - symbol dolara \$, czwarty natomiast kończy się najwyraźniej literkami OK. Nie wykluczam więc, że cały napis jest w języku angielskim, ale to tylko domniemanie.

- A czy można określić liczbę liter w poszczególnych wyrazach? - Spoglądałem zza pleców notariusza na kawałek papieru, pragnąc się przekonać, czy w wyrazistości napisu zaszła dostrzegalna gołym okiem zmiana.

- Pierwszy składa się z trzech lub czterech liter, drugi z czterech lub pięciu, trzeci z trzech, a czwarty, powiedziałbym, że z czterech. Aha, rozmazane punkciki nad dwiema literami w wyrazie drugim mogły być kropkami, a więc mielibyśmy dwukrotnie literkę i.

Antykwariusz sięgnął po pióro i czystą kartkę papieru, i napisał:

*Ba\$ (.)., a
(.) i. ia . .ok*

Hm... Angielski? No tak, bo te dolary i OK. Choć, może to przedwczesny wniosek. Tak czy inaczej - spróbujmy...

Trzeci wyraz nieodparcie kojarzył mi się z filią.

Z jaką filią? Może... moją?

... moja
filia ...

A wyraz pierwszy? Jeśli to rzeczywiście literka B, wówczas mógłby brzmieć:

Sa \$ (czyli: ba, dolarów)

I ostatni: *Ile?* Dużo! Czyli:
tłok.

Ba \$ moja
filia tłok

Co na nasze można by przełożyć: „ba, dolarów moja filia tłok”, czyli idąc dalej: „moja filia ma dolarów tłok”, czyli: „nawet filia mojej firmy ma pieniądze w bród...”. I tak dalej.

No tak, nie za mądre, głupie wręcz - by nie rzec skrajnie idiotyczne - i z księżycą wzięte. Tego rodzaju kombinacji istniała niebotyczna, totolotkowa ilość.

Wiedziałem, że to nie będzie takie proste. Postanowiłem więc nie wysłać chwilowo i tak już nadszarpniętego ciąglą aktywnością umysłu altowiolisty.

Zainterесowała mnie natomiast łatwość, z jaką pan Sebastian oszacował wiek i rodzaj papieru, i pewność jego sądu. Zdając sobie sprawę, że tego rodzaju wiedza stanowi dla niego zawodowy elementarz, postanowiłem przy okazji dowiedzieć się czegoś więcej. Nie wiedziałem, co czynię; temat musiał należeć do niewątpliwych koników antykwariusza. Na szczęście zaczął od dolania kilku, no, może kilkudziesięciu kropli szlachetnego trunku do olbrzymich kielichów i zaczął swoją opowieść.

Nie potrafię odtworzyć fascynującego wykładu, pamiętam tylko, że tego wieczoru przed oczami przebiegały mi sceny rozgrywające się głęboko w historii i daleko w geografii. Szybko zrozumiałem - nie po raz pierwszy zresztą - że nawet te dziedziny, z którymi na co dzień obcujemy, pełne są ukrytej a nieprostej wiedzy, dostępnej tylko dla specjalistów lub miłośników; to, co wie o nich codzienny użytkownik, a więc w gruncie rzeczy większość z nas, to wiadomości bardzo powierzchowne. Bo na przykład - oczywistym wydaje się pochodzenie słowa „papier” od greckiego *papyrus* czy łacińskiego *papyrus*. Niemniej, ten tak zwany papirus wcale nie jest przodkiem dzisiejszego papieru; był nim wynalazek chińskiego urzędnika lub uczonego, jeśli ktoś woli - Cai Lun. To właśnie on około 105 roku naszej ery opracował metodę wytwarzania tak zwanego papieru czerpanego, technologią znaną do dzisiaj, choć obecnie stosowaną w rękodzielniczo-ekskluzywnym wariacie.

W VIII wieku naszej ery wzięci do niewoli przez Arabów, chińscy rzemieślnicy trafili do Samarkandy. Stąd umiejętność rozprzestrzeniła się dalej, do Bagdadu, potem do Egiptu, a na przełomie XI i XII wieku do Maroka, aby w połowie wieku XII przedostać się na południe Hiszpanii i upowszechnić w średniowiecznej Europie, ostatecznie wypierając mniej trwałe papirus i znacznie droższy pergamin. Rosnąca od połowy XV wieku popularność druku przypieczętowała tryumf papieru. Aż do końca wieku XVIII był on wytwarzany... ze starych szmat (oczywiście sam proces produkcji, jak wszystko z czasem, ulegał udoskonalaniu). Jednak w połowie wieku XIX, wychodząc naprzeciw rosnącym potrzebom rynku piśmienniczego, wynaleziono w Niemczech nową, tanią formę pozyskiwania papieru; surowcem do jego produkcji stał się ścier drzewny. I moment ten - z jednej strony upowszechniając produkcję - z drugiej stał się początkiem kłopotów. Papier od tej pory używany był po prostu gorszej jakości. Produkcja w tak zwanym kwaśnym środowisku zaczęła przekładać się przede wszystkim na jego ograniczoną żywotność. Wszyscy znamy pożółkłe stronicie starych książek; to właśnie jest kwaśny papier. Większość piśmienniczych zbiorów ostatnich stu pięćdziesięciu lat jest zagrożona. Paradoksalnie więc - zbiory starsze, z papierem wyprodukowanym w innej technologii, są przeważnie w znacznie lepszej kondycji od swoich następców. Dostrzegając wagę problemu, pod koniec XX wieku zaproponowano odejście od kwaśnej produkcji oraz opracowanie technologii odkwaszania papieru.

- No dobrze - wykorzystałem moment, w którym pan Sebastian głęboko przechylił swój kielich, by nie zmarnowały się ostatnie, cenne krople znajdującego się w nim trunku - możemy papier odmładzać, a czy możemy go też postarzać?

Antykwariusz odstawił puste szkło na stoliczek i pokiwał głową, mówiąc:

- Naturalnie, to żaden problem. Istnieją metody przemysłowe i chałupnicze, ale - spojrzał na mnie spod oka - czy jesteś pewien, że chcesz o nich słuchać?

W istocie sam proces mnie nie interesował, chciałem tylko zamknąć nieoczekiwany pakiet informacji o pocziwym papierze, który, ni stąd, ni zowąd, stał się bohaterem naszego spotkania. Ale coś jeszcze nie dawało mi spokoju.

- Panie Sebastianie, czy laboratoryjne badania są w stanie wykryć, że dany kawałek papieru odmładzono lub postarzano?

Antykwariusz spojrzał na mnie z nagłym zaciekawieniem, choć może mi się tylko wydawało.

- Oczywiście, zawsze istnieje stara, sprawdzona metoda C14, która pozwala dokładnie określić wiek przedmiotu - odrzekł. - Ale... co ci chodzi po głowie?

- Ehe, nic, zastanawiałem się tylko, na jakiej podstawie pan tak szybko zakwalifikował papierek spod pierścienia jako niewspółczesny - odpowiedziałem z dość swobodnie potraktowaną logiką.

Tak naprawdę, w typowy dla siebie sposób nadmuchiwałem balon możliwości do granic absurdu, aby potem z ulgą wypuszczać z niego co bardziej nieprawdopodobne koncepcje.

- To prostsze, niż ci się wydaje. Przecież papier o takiej strukturze – jak papierek lakmusowy - barwą zaświadcza o swoim wieku. Ten papier był kiedyś biały, można więc bez większego ryzyka założyć, że do jego wybielania użyto chloru, a więc dodatkowo solidnie go zakwaszono. Dopóki ten rodzaj papieru znajduje się w zamknięciu, procesy starzenia są powolne. Ale po otwarciu? Nawet jeśli papier z gatunku listowego - dobrego gatunku – ma przedłużoną żywotność, to nie może się oprzeć działaniu czasu. Dlatego mogę posunąć się jeszcze dalej: ten papier przeleżał w zamknięciu wiele lat, ale całkiem niedawno został wyjęty i rozwinięty. Stwierdzam to na podstawie... ale, zdaje się, że już rozumiesz?

Gospodarz musiał dostrzec pierwsze oznaki zmęczenia na mojej twarzy. Istotnie, powoli przestawałem nadążać. Ten długi dzień, zwieńczony próbą dotrzymania kroku historii i metodom wytwarzania papieru, powinien był już się skończyć. Resztkami świadomości odnotowywałem wagę spostrzeżeń pana Sebastiana. Dodatkowo czekał mnie jeszcze spacer z Estonem, a także próba sprawdzenia czegoś za pomocą internetu.

Pożegnałem się ze starszym panem, serdecznie dziękując za pyszny i pouczający wieczór. Na koniec poprosiłem jeszcze o przechowanie batuty; czując się mimo wszystko trochę nieswojo w roli przywłaszczającego cudzą własność, chciałem przynajmniej mieć gwarancję, że nic złego jej się nie może przytrafić. Antykwariusz zgodził się bez wahania; obiecał, że zaraz po moim wyjściu zdeponuje futerałik w domowym sejfie, w którym - zgodnie z moimi przypuszczeniami - przechowywał najcenniejsze eksponaty. Postanowiliśmy, że odnaleziona karteczka zostanie również umieszczona w schowku.

Świeże powietrze orzeźwiło mnie. Pogoda miała w sobie coś z atmosfery londyńskich opowieści o Sherlocku Holmesie. Moja głowa pełna była najróżniejszych wątków, których nie próbowałem nawet uporządkować. Wiedziałem, że nic z tego dzisiaj nie będzie, ale spacer mógł się przyczynić

do dobrego snu, a tego właśnie najbardziej w tym momencie potrzebowałem. Eston wesoło wywijał ogonem, co chwila niecierpliwie napinając smycz. I jemu należało się trochę swobody, a najwyraźniej wyczuwał, w jakim kierunku idziemy.

Bo zdecydowałem się na jeszcze jeden spacer do parku. Policja zamknęła go prawdopodobnie tylko na czas poszukiwań, a te, nawet jeśli trwały długo, na pewno nie były kontynuowane po zmierzchu. Wedle moich przypuszczeń brama powinna więc być otwarta i korciło mnie, aby się o tym przekonać.

Istotnie była gościnnie uchylona; gdy ją przekroczyliśmy, a spojrzeniem wokół upewniłem się, że jesteśmy prawdopodobnie - tryb warunkowy zaczynał wchodzić mi w krew - jedynymi spacerowiczami, odpiąłem smycz od łańcuszka okalającego szyję Estona. Bezszelestnie zniknął w zaroślach i krzakach, których istnienie raz ujawniał, kiedy indziej znów skrywał igrający z chmurami księżyc.

Zwolniłem, nie musząc już dotrzymywać kroku mojemu towarzyszowi. Z przyjemnością wdychałem późnojesienne powietrze, mające w sobie jeden z tych nieokreślonych zapachów, które lubiłem; musiał dotykać jakiegoś wspomnienia - może niejednego - którego kontekst zapisał się w moim mózgu przyjaznym kolorem. Wydychane - w okamgnieniu zamieniało się w kłęby pary i błyskawicznie unosiło, by natychmiast zniknąć w mroczkach nocy.

Zbliżałem się do mostka, proscenium dramatycznych wydarzeń sprzed czterdziestu ośmiu godzin. Trudno było, zwłaszcza o tej porze, dostrzec jakiegokolwiek ich ślady. Stałem na środku kładki, próbując raz jeszcze odtworzyć niektóre szczegóły. Falująca lekko woda odbijała księżycowe refleksy, które przywoływały w mojej głowie delikatne dźwięki preludium Debussy'ego...

Światło księżycy.

...W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że zaczynam dostrzegać w stawie niewyraźne zarysy jakiegoś kształtu, ilustrowanego również znajomymi dźwiękami... To *Zatopiona katedra* przywoływała obrazy *Katedry w Rouen*, wielokrotnie i tak różnorodnie sportretowanej przez Claude'a Moneta. Czy ją właśnie próbował oddać Debussy w swoim utworze fortepianowym? Nie wiadomo.

Muzyka towarzyszyła mi zwiewnym pianissimo, zaś kontury drgających w wodzie srebrzystych plam poczęły się zmieniać. Po chwili miałem przed sobą nigdy nienamalowany, ale właśnie wyobrażony obraz, *Zatopiona filharmonia*. Dźwięki zamarły w końcu, odprowadzone w niebyt ostatnim diminuendo, a miraż wszedł w fazę przebarwień; po chwili, z lekko

marszczącej się tafli jeziora zaczął ogrzewać mnie ciepły blask *Filharmonii* Piotra Siemielnianego. Ale księżyc schował się za chmurami, wizja zaczęła się rozmywać i zacierać, w końcu rozplynęła się w ciemnej teraz wodzie...

Te obrazy i ta muzyka były mi znane (zgoda, wyobraźnia podtopiła trochę matkę-żywicielkę muzyków...).

Czułem jednak, że jeszcze coś szuka ujścia z mojej pamięci; coś, co wbiło się w nią głęboko, choć nie znalazło natychmiastowego odzewu. Właściwy moment, poprzedzony i przygotowany wcześniejszymi skojarzeniami nastąpił właśnie teraz.

W nieprzeniknionej tafli wody - jak w lustrze - ujrzałem sufit pokoju dyrygenckiego. Od pierwszej chwili uderzyła mnie jego uroda, ale szybkość następujących po sobie zdarzeń, czytaj: brak czasu na refleksję, ją opóźniły. Za to teraz zaatakowała mnie z całą siłą. Przekonanie, że przez chwilę obcowałem z czymś niezwykłym, wróciło do mnie z pełną mocą. Przedziwny sufit kusił mnie i wabił; wiedziałem, że nie zaznam spokoju, póki nie obejrzę go ponownie. Z wolna i bezwiednie zacząłem przechylać się przez barierkę mostu, jakby falująca w wodzie wizja chciała wessać mnie w swoje otchłanie...

Otrząsnąłem się z zauroczenia i chłodu; pora na powrót do rzeczywistości i do domu; dom, jakie to ciepłe wyobrażenie...

Eston zjawił się przy mnie nagle, niewołany. Zdarzało się to niezmiernie rzadko, prawdę mówiąc nie przypominałem sobie, żeby tak było już kiedyś. Zachowywał się dziwnie; znałem skądś ten taniec uszu, teraz jednak zakończony jednoznacznym postawieniem ich na sztorc. Szedł tuż koło mojej lewej nogi, nie musiałem nawet przypinać smyczy. Miałem wrażenie, że lepiej niż ja przenikając ciemność, wyczuwa w niej coś, co go niepokoi. W pewnym momencie stanął, i przysięgłbym, że nastroszył sierść. Potem usiadł i zamarł w oczekiwaniu. Chmury odsłoniły ciągle jeszcze okrągłą tarczę księżyca. Zwierzę zadarło głowę do góry i wydało z siebie przejmujący i przeciągły odgłos. Poczułem mrowienie. Było to najprawdziwsze zawołanie wilka, przynajmniej tak je sobie wyobrażałem. Po chwili księżyc schował się znowu, a pies odprężył się, spoglądając na mnie pytająco. Mądrała, chciał, abym przypięciem smyczy dał sygnał do powrotu. Gdy mijaliśmy bramę, jedno z jej skrzydeł drżało i piszczało, jakby wprowadzone w wibracje gwałtownym podmuchem wiatru lub...

No tak, niczego nie mogłem wykluczyć. Miałem trochę duszę na ramieniu, ale słowo o kuszeniu losu się rzekło. Zresztą, w takiej scenerii nie było trudno o galop wyostrożonej wyobraźni.

Zadaniem, którym chciałem zająć się na dobranoc, było odszukanie w internecie zdjęć maestro Rucacellego. Powróciłem na strony oglądane zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Większość dokumentów okazała się jednak czysto tekstowa. Kilka recenzji okraszono fotkami, może nawet zrobionymi w trakcie koncertu, ale nieczytelnymi. Portret na stronie impresariatu, z którym był związany maestro, należał do kategorii fotografii artystycznych. Inspiracja *Myślicielem* Rodina była oczywista, ale na dyrygentką batutę zabrakło miejsca. Szkoda, bo to jej szukałem, a nie wystudiowanych póz mistrza.

Pomysł był prosty. Odnalezienie batuty na zdjęciu mogłoby dać przybliżone pojęcie, od jak dawna należała do Rucacellego. Czasami jej używał - prawdopodobnie przy specjalnych okazjach - tego byłem pewien po niedzielnym koncercie. I choć wydawała się idealnym atrybutem do zdjęcia, to niestety, żadne z nich nie udzieliło mi odpowiedzi. Ale też niczego nie wykluczyło. Miałem w zanadrzu jeszcze jeden pomysł, ze zrealizowaniem go musiałem jednak wstrzymać się do jutra.

By nie kończyć dnia z pustymi rękami, postanowiłem poświęcić jeszcze trochę czasu na poszukiwanie ukrytych sensów trzech słów - jedynych czytelnych - zapisanych na tajemniczej starej kartce. Bez względu na to, kiedy i czyją ręką zostały uczynione, były tam; ukryte w batucie, w całym bezwstydzie swojej niezrozumiałości. I mogły stanowić ślad: istotny lub bez znaczenia.

Jeśli w miarę logicznie rozumowałem, to nikt inny, tylko Damian Rucacelli znalazł i wy dostał z batuty starą kartkę. Dostarczyła mu informacji lub go rozczarowała, tak więc - jako niepotrzebną już - zmiął ją i machinalnym gestem rzucił przed siebie. A może pozbywał się jej, tak jak pałeczki, pod presją? Coś przyszło mi do głowy, ale nie próbowałem na razie formułować żadnych wniosków.

Tylko całkowity przypadek sprawił, że i batuta, i - no, tutaj już troszkę przypadkowi pomogłem - kartka znalazły się w moich rękach.

Ale nie informacja. Jeszcze nie.

Opus - z tym wyrazem żaden muzyk nie ma problemu. W sensie ogólnym oznacza dzieło, ale powszechnie używa się go do numeracji utworów muzycznych. W słowniku wyrazów obcych znalazłem jednak nieznane mi dotąd znaczenie: układ warstw kamienia przy budowie muru, układ mozaik, posadzek, rodzaje tynku (...), występuje zawsze w połączeniu z przymiotnikiem łacińskim. Jakkolwiek brzmiało interesująco, nie błyskało żadnym promyczkiem zrozumienia. Przypomniałem sobie jeszcze jeden opus: Opus Dei. Religijna organizacja Dzieło Boże, niejednokrotnie

demonizowana w literaturze i filmie. Ale, na litość boską, czy my jesteśmy na kartach powieści sensacyjnej?!

Opas - wszystkie znane mi konteksty tego słowa były jednoznaczne i znacznie bardziej odległe od pojęcia tajemnicy, jeśli rzecz jasna jakiejś tajemnicy dotyczyły. Zgodnie z filozofią sprawdzania i ewentualnego eliminowania wszystkich przesłanek, nie należało jednak kolokwialnego opasa lekceważyć. I chyba słusznie, bo po wpisaniu hasła do wyszukiwarki otrzymałem przynajmniej jedną odpowiedź, która wydała mi się bardzo interesująca.

Nazwa kryła skrót amerykańskiego programu komputerowego określonego mianem światowego, informatycznego lidera w dziedzinie orkiestrowego zarządzania: Orchestra Planning and Administration System. Brzmiało ciekawie, tyle tylko że... jaki mogło mieć związek ze znaną mi rzeczywistością?

Ale z wnioskami nie należało się spieszyć; na razie szukałem tropów. Któryś z nich mógł być właściwy, lecz równie dobrze wszystkie mogły okazać się fałszywe. Program OPAS wydawał mi się dokładnie tym, czym miał być: profesjonalnym narzędziem do administrowania dużą jednostką kulturalną za oceanem. Pasjonujące, ale raczej dla specjalistów. Mimo wszystko postanowiłem go zapamiętać; w jakiś sposób dotyczył problemów orkiestrowych, co wyróżniało go na tle innych skojarzeń.

Pozostawał opos. Jakkolwiek by na niego patrzeć, sympatyczny zwierzak i tyle, choć zdaje się, że dla niektórych był czymś więcej: dostarczycielem materiału na futra, czapki lub kołnierze. To, że jest torbaczem, wydawało się arcyciekawe - do tej pory nie miałem o tym pojęcia - ale nie wносиło nic nowego do sprawy... Przez chwilę serce zabiło mi mocniej, bo odesłano mnie do intrygującego hasła *dydelf*. Okazało się jednak, że *dydelf* (brzmiało trochę jak Gandalf), to po prostu opos - inaczej.

Słowa z drugiej strony kartki w swoim aktualnym brzmieniu nie wydawały mi się warte zachodu. Dla świętego spokoju wpisałem do wyszukiwarki jedno, mające jakiś związek z muzyką, i to przy założeniu, że symbol dolara \$, był pocziwą literką S. Oprócz standardowych stron i tłumaczeń otrzymałem jedną ciekawą, ba, bardzo ciekawą (British Antarctic Survey), ale dowieść jej związku z wydarzeniami, których byłem świadkiem, a po trosze już uczestnikiem - graniczyło z niemożliwością lub obłędem.

I tyle; mętlik w mojej głowie sięgnął stanów górnych. Miałem poważne wątpliwości, czy którykolwiek z sondowanych kierunków był właściwy, ale nie żałowałem włożonego wysiłku. W końcu sam często powtarzałem (sobie), że sztuka życia to sztuka eliminacji. Obawy, że skotłowane myśli

długo nie pozwolą mi zasnąć, okazały się na szczęście płonne; z trudem zdołałem jeszcze wyłączyć światło i... w tym momencie ujrzałem małą ćmę. Tę samą, która wczoraj przez chwilę, miała postać pięknego motyla. Krążyła gdzieś wysoko nade mną, ale bez widocznej intencji zniesienia lotu. Pozostawała w bezpiecznej odległości, zazdrośnie strzegąc tajemnicy swojego wyglądu. Przyglądałem się jej, przyglądałem, zacząłem chyba nawet liczyć kółka, które kręciła nad moją głową.

Można liczyć barany, można i ćmy - zwłaszcza jeśli samemu jest się baranem.

Niestety, reszty nie pamiętam, ale nie z powodu jakichś dramatycznych zdarzeń; po prostu zasnąłem.

Rozdział VI

Środa

Środowe nagranie nie przebiegało tak sprawnie, jak można się było spodziewać. Na początek spóźnił się oboista, potem okazało się, że nuty są źle odbite, w końcu nieprzewidziane odgłosy ekipy remontowej pracującej za ścianą przerwały sesję. O ile martwiło mnie to w kontekście uciekającego czasu, coraz cenniejszego, bo w coraz większym deficycie, o tyle zyskałem dodatkową sposobność do porozmawiania z Wandą, która ku mojej skrytej radości pojawiła się tego poranka na nagraniu. Radości przytłumionej wszakże pojawieniem się u jej boku wysportowanego Jędrka. Widać kryzys mieli już za sobą. Jego widok zaprawił goryczą przyjemność ujrzenia dziewczyny.

Gdy rano wysiadłem z autobusu w pobliżu studia nagrań, spotkałem nadchodzących z prostopadłej ulicy kolegów: skrzypka i kontrabasistę. Przywitaliśmy się, jak to muzycy, narzekaniem. W tym przypadku chodziło o to, że przecież mogliśmy jeszcze smacznie spać, a tu nie, zachciało się nagrywać... Sensu w tym nie było żadnego, ale była tradycja. A tradycja, tak jak chałtura zresztą, rzecz święta.

Czasami tylko przychodzi mi do głowy, że złe lub głupie tradycje należałyby zmieniać.

W tym momencie, dokładnie naprzeciw drzwi wejściowych do studia, z piskiem opon zatrzymało się stalowosrebrne bmw serii 1 cabrio. Auto w sam raz na zimę. Wysiadła z niego przepiękna wiolonczelistka.

- O, pan posioł jeszcze nie w Brukseli - z fałszywą troską stwierdził Jacek, koncertmistrz Orkiestry Kameralnej Johannes. Zналиśmy się od dawna, jeszcze sprzed studiów; myślę, że można było mówić nawet o rodzaju przyjaźni; nie musieliśmy widywać się codziennie i często rozmawiać, aby rozumieć się bez przeszkód. To się chyba nazywa nadawaniem na tych samych falach? Ale tym razem zaskoczył mnie zupełnie.

- Jak to, pan posioł? - zdziwiłem się.

Jacek przyjrzał mi się z niedowierzaniem.

- Nie mów mi, że go nie znasz. Pan Jędrzej Jędrzejczyński, poseł do europarlamentu z ramienia, tych, no jak im tam... a zresztą, czy to nie wszystko jedno?

- A niech to...

Przypomniałem go sobie. Przypomniałem, bo twarz pozostała ta sama, tylko strój i fryzura się zmieniły. Włoski odrosły, a dresik został

przenicowany w szykowny garniturek od Hugo Bossa. Ciekawe, że od razu uderzył w Brukselę. A zresztą, miał rację; co się będzie szczypał, tam diety są na pewno wyższe, dużo wyższe...

Dziwiło mnie, że w filharmonii nikt nie wiedział o szacownym deputowanym, który zgarnął konkurencji Wandę sprzed nosa. Może ona sama, na razie, nie chciała się nim chwalić. Jedno trzeba mu przyznać, chłopak był z niego przystojny i prezentował się okazale. W zasadzie taki supermenek, tyle że bez pelerynki. Z kolei wybór bogdanki stawiał jego gust w jak najlepszym świetle.

Stalowo srebrne bmw serii 1 cabrio ruszyło z piskiem opon spod budynku. Widać Jędrzej startował z piskiem bez względu na aktualny humor; chłopak po prostu miał klasę, ot co.

Kiedy zdenerwowany reżyser nagrania ogłosił przerwę do godziny dwunastej, podszedłem do Wandy i zaprosiłem ją na kawę i ciastko - jak ekscentrycznie - do radiowego barku. Trochę ryzykowałem; gdyby Jędrzej, tak na wszelki wypadek, postanowił sprawdzić, jak przebiega praca, mógłby nie być zadowolony, że dotrzymuję towarzystwa jego dziewczynie. Wanda w naturalny sposób przyjęła moje zaproszenie; wyobrażałem sobie, ile takich wspólnych kaw musiała już wypić. Była w o wiele lepszej formie niż poprzednio, ale nie dziwiło mnie to. Jej ojciec wrócił ze szpitala i czuł się całkiem dobrze. Na wiadomość o wypadku swojego gnębiiciela zareagował bez większych emocji, powstrzymał się nawet od często wygłaszanego sądu, że na każdego przychodzi sprawiedliwość.

Dziewczyna pogodziła się z Jędrzejem. Przekonała go, że między nią a Rucacellim w istocie nic się nie wydarzyło. Sprawiała zresztą wrażenie, jakby urok, któremu poddawała się w towarzystwie maestra, przestał działać. Skrajny przypadek fascynacji rzeczywiście szybko minął, ale nie zapominajmy, że powrócił Jędrzej; przy nim każdy musiał zblaknąć. Owszem, pełna była współczucia i niepokoju o dyrygenta, ale przypominało mi to teraz troskę o wujka lub znaną i lubianą postać z życia publicznego, innymi słowy - całkowicie wyzute było z nie tak dawno jeszcze wyuczwalnego, uczuciowo-erotycznego kontekstu. Nie wiem, czy Damian byłby zachwycony...

Dziewczyna wiedziała, że to ja podałem numer jej telefonu inspektorowi Radiówki, spodziewała się również naszego spotkania. Gdy po paru chwilach rozmowy zamilkliśmy, wyczerpując - zdawało się - powierzchniowy zakres tematów, Wanda otworzyła torebkę. Byłem pewien, że zręcznym ruchem wyłowi z niej któryś z damskich imponderabiliów. Myliłem się jednak; to, co wyciągnęła, nie było ani szminką, ani różem, ani tuszem do rzęs. Popatrzyła z wahaniem i powiedziała:

- Zastanawiałam się, czy ci to pokazać. Pamiętasz, ostatnio pytałeś mnie, czy w trakcie tego wieczoru z Rucacellim - jednak zarumieniła się trochę, czar znowu zaczynał działać - nie uderzyło mnie coś w jego zachowaniu. Otóż, tego wieczoru nie, ale poprzedniego...

Aha! Jesteśmy w domu; spotkali się już pierwszego wieczoru! Chyba po to, aby na gorąco omówić casus pana Zbyszka... Wanda musiała zobaczyć, że oczy powiększają mi się ze zdumienia.

- Po prostu zaprosił mnie do karczmy na barszcz i pierogi - mój Boże, jak romantycznie! - a więc poprzedniego było coś, o czym chcę ci powiedzieć. Czemu tak na mnie patrzysz? Chyba tobie nie muszę się tłumaczyć ze swoich wieczorów? Mam mówić dalej?

Miała rację. Nie musiała mi w ogóle nic mówić, a fakt, że to robiła, świadczył... właśnie, o czym świadczył? Chyba wyłącznie o chęci podzielenia się ze mną jakąś informacją. Tylko tyle. A może, aż tyle? Spojrzałem obojętnie, by zbyt wiele wyrażającym wzrokiem nie zniechęcić jej do dalszych wynurzeń.

- Damian powiedział mi, że będąc w kraju, jada wyłącznie dania naszej kuchni.

I jeszcze patriota, popatrz pan, cnót wzór wszelkich albo wzór cnót w szelkach - nie wiem, skąd brały się we mnie te pokłady, oczywiście głośno niewypowiadanych, złościwości. Może z zazdrości? Tylko o co właściwie: przecież nie o barszcz z pierogami czy tęsknotę za rodzimą kuchnią - ja, jeśli za jakąś tęskniłem, to za dobrym Włochem, bo smakowy triumwirat makaronu, pomidorów i sera (no, może jeszcze wina) wydawał mi się bliiski doskonałości (cóż, nieskomplikowane podniebienie altowiolisty...). Chodziło oczywiście o względy wiolonczelistki, a właściwie o ich zakres, bo że obdarzyła nimi dyrygenta, wydawało się przesądzone.

Za dużo we mnie zgryźliwości, pomyślałem, i to zarówno wobec Damiana, jak i Jędrzeja, że tak familiarnie pozwoliłem sobie ich nazwać. To musiała być normalna, męsko-samcza zazdrość...

- Bartek, popatrz, w czasie gdy wyszłam na chwilę do łazienki, on zrobił dla mnie to. - W końcu otworzyła dłonie, delikatnie, jakby chciała z nich wypuścić uwięzionego kolibra. Ujrzałem... serwetkę z podobizną bliżej nieokreślonego zwierzęcia.

- Zobacz, Damian barszczem namalował dla mnie kotka... - Wanda była wzruszona. Im bardziej stawał się Damianem, tym bardziej przestawał być wujkiem.

Ja natomiast z trudem powstrzymałem wybuch śmiechu. Rucacelli był wirtuozem zasługującym na najwyższy szacunek: żeby w tak twórczy, nieszablonowy i prawdopodobnie skuteczny sposób wykorzystać zupeł

naprawdę, chapeau bas! Ciekaw tylko byłem, czy miał ten numer opracowany...

Oczami galopującej wyobraźni zobaczyłem tęczę rozmaitych roślin i zwierząt wyczarowanych a to ogórkową, a to gazpacho albo minestrone, to znowu chłodniczkim litewskim; szczawiowa też mogła dać ładny efekt - gdyby jeszcze dla uzyskania impresjonistycznych barw maznąć jajeczkiem... I te rozognione oczy, przyglądające się z niemym zachwytem obrazkom i ich twórcy. A na domowe podrywy używał zupy z torebki?

Cholera, znowu zgryźliwość...

- I tak naprawdę, to oprócz uroku nie ma w tym nic niezwykłego - nie, oczywiście, że nie, malowanie kotów barszczem to normalka, zwłaszcza tak pięknych - ale Damian wręczając mi go, powiedział coś dziwnego, że niektóre koty mają ludzką twarz albo odwrotnie, trzeba tylko dobrze się przyglądać - czy jakoś tak...

- Tak powiedział? A powiedział coś jeszcze? - Czułem, że wzbiera we mnie złość na całą tę idiotyczną sytuację.

- No właściwie nie...

Wanda nie była pewna. Ostrożnie podała mi rysunek. Z należną ciężą ująłem drogocenną serwetkę w dłoń. Gdybym w swoich własnych oczach nie chciał narażać się na śmieszność, powiedziałbym, że kot rzeczywiście był uroczy.

W wyniku plastycznych manipulacji mistrza serwetka straciła swój kulinaryny charakter. Nosila za to znamiona artystycznej improwizacji - czym w istocie całe to zdarzenie musiało być. Chyba że moje złośliwo-cyniczne podejrzenia, co do seryjnego sposobu działania dyrygenta, nie były bezpodstawne. No dobrze, ale co znowu z tym podobieństwem ludzi i kotów? Czy Rucacelli ani na chwilę nie mógł wyjść ze świata metafor, nazywania wyszukanyim słowem prozaicznych nawet rzeczy? Może rzeczywiście był niepoprawnym artystą? Zresztą miał rację; ludzkie twarze często odzwierciedlają podobieństwo do fizjonomii zwierząt, ale raczej w sferze charakteru, poprzez jakiś grymas, uśmiech, spojrzenie czy tik. Rzadziej chodzi o podobieństwo dosłowne.

Jestem to w stanie zrozumieć, myślałem dalej, artysta idzie za podmuchem chwili, jest nieobliczalny, a dzięki temu atrakcyjny. A ten obrazek? Logiczne byłoby, gdyby kot budził skojarzenia z jakąś znaną osobą, ale czy to z racji niedostatków warsztatowych, czy może stylu, którego nie potrafiłem zdefiniować - nic nie przychodziło mi do głowy. Kot był po prostu sympatyczny, a gdybym miał doszukać się jakiejś cechy charakterystycznej, stwierdziłbym, że właściwie jest to kotka...

Obrazy... Czy wystarczy patrzeć, aby widzieć? Widzieć, aby rozumieć?

Oczywiście nie, choć akurat od namalowanego barszczem kota trudno było oczekiwać przepastnych znaczeń. Ale czyż nie prostota właśnie jest najbardziej wieloznaczna i zagadkowa?

Na szczęście Wanda przerwała rozważania wiodące mnie prosto w ślepią uliczkę.

- I pomyślałam sobie, że może tobie się to do czegoś przyda... - mówiła bez przekonania, a ja wiedziałem już, że chciała się pozbyć dowodu wskazującego na jakikolwiek związek z Rucacellim. Wołała nie tłumaczyć się wybuchowemu Jędrzejowi, w razie gdyby odnalazł dziecko, ale nie potrafiła go ot, tak po prostu wyrzucić.

Nieoczekiwanie, każde z nas coś zyskiwało: ona - nadzieję, że niewygodna, ale znacząca pamiątka zostanie zachowana (musiała uznać mnie za kolekcjonera pamiątek po mistrzu), ja - drobiazg, który miał jakiś związek z Rucacellim, na krótko przed próbą pozbawienia go życia. Mój materiał śledczy był zaiste fenomenalny. Ale może lepszy taki niż żaden?

W głośnikach odezwał się głos reżysera wzywającego nas do studia; podobno dogadali się: ekipa miała zaprzestać hałasów, nasz czas został natomiast ograniczony do godziny czternastej trzydzieści. Ruszyliśmy więc do przodu z kopyta i... jednym ciągiem nagraliśmy resztę materiału. Kiedy reżyser rzucił sakramentalne:

- OK, mamy to, mamy wszystko, dziękuję państwu za owocną współpracę! - zegar w studio pokazywał cztery minuty po drugiej. Ku mojemu zaskoczeniu Wanda podeszła do mnie i zaproponowała jeszcze chwilę pogawędki w barku. Wzięliśmy po szklance soku i usiedliśmy w wygodnych fotelach; trzeba przyznać, że warunki socjalne mają w Radiówce godziwe. Dziewczyna popatrzyła na mnie i powiedziała:

- Bartek, proszę, powiedz mi coś więcej. Ja ci się prawie zwierzam, a ty tylko wspomniałeś, że Damian wrzucił coś do wody. Naprawdę nie wiesz, co to było? Bo to wszystko wydaje mi się trochę dziwne. Czasami miałam wrażenie, że Damian chciał mi coś przekazać, trochę jakby igrał ze mną. - No i się doigrał. - Nie wiem, o co chodziło, ale coś go szalenie ekscytowało.

- Wybacz pytanie, ale czy coś mogło go ekscytować bardziej niż... ty? Uśmiechnęła się, ale tylko na chwilę.

- Wydaje mi się, że tak właśnie było.

No jasne, tego nie lubimy. Musimy być numerem jeden.

- Damian ze mną rozmawiał, flirtował i w ogóle - rozumiałem szeroką pojemność sformułowania - ale momentami odpływał jakby i zapominał, że przy nim jestem. Raczył mnie jakimś idiotycznymi obrazkami i wierszykami.

To było coś nowego; ciekaw byłem, czy liryka Rucacellego godna jest jego prób plastycznych.

Wahałem się. Dziewczyna starała się uporać z sytuacją i uporządkować burzę ostatnich dni. Była ze mną szczerą. Czy nie byłem jej winien tego samego? Poza tym, jeśli chciałem mieć nadzieję na usłyszenie poezji dyrygenta, musiałem dać coś w zamian.

- No dobrze, Wanda, posłuchaj. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przedmiotem, który Rucacelli wrzucił wtedy do wody, była batuta...

- Batuta?! - Nie spodziewałem się, że zrobi to na niej takie wrażenie.

- Tak, ta sama, którą prowadził koncert.

- A co się z nią stało? - zapytała trochę mniej już gwałtownie.

- Powiedzmy, że jest w... bezpiecznym miejscu.

- A ty wiesz, co to za miejsce? - W jej głosie pojawiły się inne, jakby syrenie nuty. Postanowiłem mieć się na baczności.

- Nie wiem. Ale może będę wiedział - klasyczna pół-, a może i ćwierćprawda...

Myślę, że rozczarowałem Wandę swoimi informacjami. Zresztą powoli wracała do świata realnego. Wyjęła telefon i zadzwoniła, jak mogłem się domyśleć, do eurodeputowanego:

- Jędrus, kochanie, skończyłam, możesz po mnie przyjechać? – Prawie widziałem, z jaką gwałtownością odpalał już silnik stalowosrebrnego bmw serii 1 cabrio. Ale Wanda nie schowała jeszcze telefonu; manipulując przy klawiaturze, powiedziała: - Chciałabym, abyś tego posłuchał, zanim skasuję, a zrobię to za chwilę. Uparł się, że coś dla mnie nagra, na pamiętkę.

Telefon leciutko zaskrzeczał, lecz po chwili popłynęły z niego słowa wymawiane przez... Damiana Rucacellego. Głośniczek zniekształcał nagranie, a mimo to głos brzmiał przyjemnie. Inaczej niż w trakcie prób, bardziej intymnie:

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

Zapanowała cisza, nie taka prawdziwa - o nią trudno w jakimkolwiek publicznym miejscu. Ale cisza myśli.

Powstrzymałem złośliwe komentarze, które już, już cisnęły mi się na usta. Nie zawsze i nie wszystko trzeba obracać w żart, kpinę, złośliwość. Bo albo facet miał odjazd, albo się zakochał, co w zasadzie na jedno wychodziło. Nawet jeśli czterowiersz nie był arcydziełem, to jednak coś w

nim było, jakiś nastrój, który powstrzymał mnie od wypowiedzenia zbędnych słów. Wandzie zaszkliły się oczy.

Mimo wszystko byłem zdziwiony. Jaki miała cel, odtwarzając nagranie? Traktowała mnie jak dobrą koleżankę, która ma przechować w pamięci adresowaną do niej liryczną miłosną?

Ja, jako pamięć zewnętrzna.

Bartosz Czarnoleski - strażnik seraju.

Człowiek - flash drive.

Dziwne to wszystko. Ale w końcu dzieliła się swoimi skarbami na moją własną prośbę. Trudno, żebym teraz miał jej to za złe. Byłem zresztą chyba jedynym dodatkowym słuchaczem nagrania - i tak już miało pozostać - bo dziewczyna powiedziała:

- Kasuję.

I dobrze. Lepiej, aby Jędrzej nigdy tego nie usłyszał; to był macho, nie jakiś tam eunuch... Wanda przycisnęła klawisz w telefonie - prawdopodobnie opcję „usuń” - po czym, najwyraźniej wzruszona, wstała i wyszła poprawić makijaż; też byłem zdania, że Jędrus nie powinien jej widzieć w takim stanie.

Nawiasem mówiąc: kobieta. Dla Rucacellego roni łzę, do mnie mówi głosem, od którego ciarki chodzą po grzbiecie, a Jędrusia tytułuje kochaniem i wszystko to w tym samym czasie.

Ale myślałem o czymś jeszcze. Być może nikt z nas nie docenił Rucacellego. A na pewno nie doceniłem go ja; facet miał szeroką gamę oddziaływania na kobiety, ale nie tylko; zacząłem podejrzewać, że w tym, co mówił i robił, było więcej sensu, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Tak jakby chciał się czymś podzielić; czymś, co z niejasnych powodów musiało pozostać tajemnicą, przynajmniej do czasu. Dlatego mówił zagadkami. W oczekiwaniu na ujawnienie czegoś istotnego dzielił się strzępkami swojej wiedzy. Nie wyjawiając, o co chodzi, bawił się, dając upust swojej skłonności do kalamburów.

Chyba wszyscy znamy to uczucie: podzielić się informacją o gwiazdkowym prezencie na dwa tygodnie przed świętami; to ma prawie smak zakazanego owocu, więc jedynie rozbudzamy czyjeś domysły półsłówkami.

Pozostawały dwa pytania: co i dlaczego było tajemnicą? Gdyby chodziło tylko o kontrakt płytowy, nie widziałem powodów, dla których Rucacelli nie mógłby o tym wspomnieć Wandzie w sposób bardziej czytelny. Chyba że...

No tak, już mi to wcześniej przychodziło do głowy. Filharmonia Krakowska pozbawiona była aktualnie dyrektora artystycznego, czyli dyrygenta-szefa. Tak się poukładało, że poprzedni odszedł przed upływem

podpisanego kontraktu - nie wiedziałem, z jakiego powodu - a znalezienie odpowiedniego następcy nie było prostym zadaniem. Spekulowano nawet, że Festiwal Beethovenowski będzie nieoficjalnym konkursem na nowego szefa, ale tak naprawdę nikt nie brał tego na poważnie. Wydawało się, że wszyscy zaproszeni mistrzowie batuty byli daleko poza - przede wszystkim finansowym - zasięgiem filharmonii. Czy jednak Rucacelli nie prowadził tajnych negocjacji z dyrekcją, a może wręcz z przedstawicielami ministerstwa?

Tak, to by była prawdziwa bomba. Przypomniał mi się fragment rozmowy z portierem:

„On na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba”.

„Tak powiedział, że to będzie straszna bomba?”

„Dokładnie tak, ale, panie, ja nie mam pojęcia, o czym on mówił. Że pracował nad czymś u siebie w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami i po próbach, jakiś projekt szykował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali”.

A może to byli ludzie z ministerstwa? Portier - przy całym szacunku - mógł ich pomylić. Dogadywali szczegóły, a w poniedziałek rano na konferencji prasowej bomba miała wybuchnąć. Bo rzeczywiście, gdyby dyrygent formatu Rucacellego miał zostać w Krakowicach szefem, oznaczałoby to podniesienie artystycznej rangi naszej filharmonii.

Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy...

Pewnie wahał się, czy przyjąć nieoczekiwaną propozycję.

Musiałem odkryć cztery spojrzenia...

Chciał dobrze poznać intencje swoich rozmówców? Dlaczego czterech? Może dwóch z ministerstwa i dwóch z filharmonii?

Dopiero twoje oczy mnie natchnęły...

Postanowił zostać dla niej?

Jutro zabiorę cię tam ze sobą.

Chciał, żeby przy nim była, gdy będzie ogłaszał sensacyjną decyzję?

No dobrze, ona była koteczkiem, tym miłym z rysunku. A kim były inne koty, te, które upodabniają się do ludzi: osobami mu niechętnymi? Czy ktoś mógł go dźgnąć nożem, aby stanąć na przeszkodzie projektowi? I dlaczego? Czy Rucacelli stanowił dla kogoś zagrożenie?

Podsumowując: czy wszystko, co przekazywał dziewczynie, a czym teraz ona dzieliła się ze mną, to były zakodowane informacje?

Tak czy inaczej, to Wanda była adresatką wiersza i rysunku, oraz słów o podobieństwie ludzi i kotów.

A może Wanda jest... kobietą-kotem? Tak, to by wszystko tłumaczyło...

Moja fantazja łowcy kryminalnych zagadek została nagle wzbogacona zapładniającą wyobraźnię domieszką thrillerowo-horrorową...

Pod nieobecność dziewczyny do stolika dosiedli się Jacek i Andrzej (kontrabasista), którzy najwyraźniej nie wiedzieli, co począć z tak pięknie rozpoczętym dniem. Świeża gotówka paliła im kieszenie, ale tym razem nie mogli na mnie liczyć. Czułem się jak zaprogramowany robot z czasowo usuniętą funkcją „rozrywka”.

Wanda nie wracała, za to w drzwiach barku pojawił się pan europoseł we własnej osobie. Musiał kjarzyć kóregoś z nas, bo bezceremonialnie dosiadł się do stolika, z miejsca atakując wyszukany poczuciem humoru.

- Panowie, wiecie, co to jest? - Rozczapierzył nam przed nosem cztery palce lewej ręki, zewnętrzną częścią, tak że kciuk pozostał niewidoczny.

- Ręka? Dłoń? Cztery? Aha, palce... - nieśmiało próbowali Jacek z Andrzejem.

Jędrzej spojrział ze zniecierpliwieniem.

- To jest symbol dupy.

- Du...py? - Dobrze, że poseł poszedł na myślowe skróty, bo długo musielibyśmy zgadywać, ale nie przesadzajmy z intelektualnymi wymaganiami wobec muzyków.

- A co, nie nasuwa się?

Jakoś nie chciało, no chyba żeby przyjąć optykę pewnego szeregowca, którego skojarzenia dotyczyły wyłącznie tej, szlachetnej skądinąd, części ciała. Biorąc nasze milczenie za dobrą monetę, europoseł kontynuował:

- Dobrze, a to? - Tym razem ułożył dwa palce prawej ręki w powszechnie znany i w oczywisty sposób odczytywany symbol litery V.

Milczeliśmy w przekonaniu, że i tak nie zgadniemy. I mieliśmy rację, choć tym razem Jędrzej wspaniałomyślnie próbował nas usprawiedliwić.

- Tego też nie możecie wiedzieć, bo to nowości z Brukseli, owoce naszych długich obrad w gronie kolegów. To symbol członka. - Powiódł po nas wzrokiem niepozbawionym pewnej twórczej dumy.

- Członka europarlamenti? Ale jakiegoś konkretnego ugrupowania?

- Jakiś taki rozdwojony... - z nutą smutku dodał Jacek. I ja się ocknąłem:

- Członek z ramienia? - Daleki byłem od szczytowej formy... Jędrzej cierpliwie przeczekał nasze niedorzeczne komentarze.

- Jeszcze jakieś wątpliwości? - Liczył na to, że bez dalszych oporów zaakceptujemy jego wizję. - Członek, penis, mówi wam to coś? - pytał cierpliwie.

W zasadzie mówiło, choć w swojej prostackiej wyobraźni sądziliśmy, że chodzi o skojarzenia bardziej polityczne. A zresztą, co tu się czepiać szczegółów: jeśli W to dupa, to dlaczego V nie może być penisem? To się nawet jakoś nazywa: licentia poetica, czy nie tak? Ale najlepsze dopiero było przed nami.

- Panowie, teraz się skupcie - wręcz słychać było, jak nasze mizerne intelekty trzeszczą z przegrzania - z czym wam się to kojarzy?

Przyszła pora na zsumowanie liter; używając obu rąk, pan poseł połączył symbole w formę jednoznacznie kojarzącą się z logo znanej firmy motoryzacyjnej. Popatrzył tryumfalnie; chyba czekał na oklaski.

- Dobrze, co? Finezyjne, a czytelne zarazem.

Siedzieliśmy z kolegami jak trzy mumie, którym opadły szczęki. Faktycznie. Finezyjne jak popękany i pożółkły kieł niedorozwiniętego mamuta w schyłkowej fazie demencji, tuż przed wyginięciem, z całym szacunkiem dla mamuta, rzecz jasna. A czytelne jak fanga w nos. Żeby tak misternie i subtelnie zarazem uchwycić drażliwą tematykę, tak ślicznie wyczelować i twórczo rozwinąć ponadnarodową poetykę środkowego palca. Ja tam bym od razu przyznał za to jakąś paneuropejską nagrodę.

Pierwszy otrząsnął się Jacek:

- A to znacie?

Widziałem, że podjął desperacką próbę udowodnienia, że nie śnimy, a rzeczywistość nie oszalała. Spojrzał na mnie i już wiedziałem, że będzie o altowiolistach. No cóż, świat bez nas nie byłby taki sam.

Nie myliłem się. Ależ obniżył intelektualny poziom dyskusji...

- Jaka jest różnica między dwoma altowiolistami siedzącymi przy jednym pulpicie?

Mój Boże, znałem wiele takich różnic, ale byłem pewien, że nie tę najśmieszniejszą.

- Pół tonu - brzmiała właściwa odpowiedź. - A pomiędzy pierwszym a ostatnim pulpitem altówek? Dobra, od razu mówię: pół taktu.

Znając konwencję, mogłem się szczerze zaśmiać. Ale Jędrzej patrzył na nas ze zdziwieniem. Prawdopodobnie nie znał takich pojęć, jak pół tonu czy pół taktu; mało tego, pojęcie taktu było mu w ogóle obce, a „pół” kojarzyło się prawdopodobnie z czymś całkiem innym, płynnym dodajmy. Andrzejowi wystąpienie deputowanego nie dawało jednak spokoju, bo zapytał:

- A ten VW kawał, to miał być taki bardziej wymierzony w jakąś konkretną firmę? - Grubymi - dla mnie - niemi zastawiał pułapkę.

- No pewnie; panowie, te ich samochody to przereklamowany szajs, nigdy bym czymś takim nie jeździł.

- ???

- Przepraszam, że spytam, ale wydawało mi się, że widziałem pa... znaczy ciebie za kierownicą bmw? - niewinnie dokręcał Andrzej.

- No pewnie: bi em dablju, dobry, amerykański samochód - z pełnym przekonaniem odpowiedział Jędrzej. Był idiotą lub świetnie grał taką rolę. Dyskusja okazała się bezprzedmiotowa, czuliśmy, jak - już nie opadają, ale - odpadają nam ręce.

- A, co u was nowego, panowie? - nieoczekiwanie wszedł na nutę quasi-zatroskanego wybrańca narodu, który może mógłby coś uczynić dla maluczkich. - Pensje dalej takie kiepskie? - Nikt jakoś nie kwapił się do narzekania; na pewno nie przed takim typem. - Nie musicie mówić, ja tam swoje wiem, ale przecież w Londynie czy tam innej Irlandii to można na zmywaku chyba nieźle zarobić, nie myśleliście o tym? - Niczym dobry władca, który właśnie udzielił drogocennej rady, popatrzył na nas w słusznym oczekiwaniu wdzięczności.

Stało się to, czego się obawiałem. Pierwszy nie wytrzymał Andrzej. Wstał, zwracając się w kierunku europośła, najwyraźniej z zamiarem naruszenia jego immunitetu. To mogło mieć przykre konsekwencje: najpierw dla Jędrzeja, potem dla całej naszej trójki. Na szczęście w tym momencie pojawiła się Wanda. Na jej widok poseł poderwał się gibko, zupełnie nieświadomie unikając ciosu, kiedy pięść wyprowadzonego z równowagi Andrzeja przeszła powietrze. W pośpiechu wstaliśmy z miejsc, chcąc ogólnym zamieszaniem uśmierzyć burzę, przez chwilę wiszącą na włosku. Widok Wandy podziałał jednak na wszystkich kojąco. Pożegnaliśmy się z nią i z jej chłopakiem, który nic nie zauważył, zachowując pozory poprawności.

Kontrabasista, z wolna dochodząc do siebie, wysapał w końcu:

- Przynajmniej jasne, dlaczego jest jego dziewczyną.

Spojrzeliliśmy z zainteresowaniem. Czy oprócz wstrząsającej urody wionczelistki, pan poseł kierował się innymi przesłankami? Względy reprezentacyjne?

- Wiesz coś więcej?

- Oczywiście. A wy się nie domyślacie? - Popatrzył na nas z błyskiem w oku.

- Nie, nic a nic, powiedz w końcu.

- Bo widzicie, wiele, wiele lat temu, może nawet kilkaset, Wanda w dramatyczny sposób odrzuciła starania pewnego Niemca...

Wybuch śmiechu, który nami wstrząsał, miał działanie oczyszczające. Na mnie jednak była pora; wiedziałem, że moi towarzysze mają ładnych parę godzin, aby odreagować, ja niestety nie mogłem sobie na to pozwolić.

Niewiele pamiętałem z nagrywanej wcześniej muzyki.

Jednego natomiast byłem pewien: rozegrany w czasoprzestrzeni pojedynków literacki maestro Rucacellego z Jędrzejem Jędrzejczyńskim wygrał ten pierwszy. Przez nokaut.

Wracając do domu, pomyślałem, że wydarzenia i zajęcia ostatnich dni odbijają się niekorzystnie na Estonie. Niby ma swoje spacerunki, jednak przez większą część dnia siedzi sam. Postanowiłem mu to zrekompensować. Ponieważ od rana korzystałem z usług komunikacji publicznej, sam myślałem z przyjemnością o rowerowej wyprawie wzdłuż rzeki.

Pies czekał na mnie. Robił wrażenie troszkę obrażonego, czemu tak do końca się nie dziwiłem. Jednak wraz z przygotowaniami do wycieczki jego nastrój zaczął ulegać poprawie.

Kiedy postanowiłem zaopiekować się Estonem, moja decyzja miała silnie emocjonalny charakter.

Trudności wynikające z faktu posiadania dużego, wymagającego ruchu psa przez singla bez mieszkania (o ogrodzie nie mówiąc), o nieregularnym i nieunormowanym trybie życia, i w dodatku mieszkającego w centrum miasta, zaczęły z upływem czasu wyraźnie do mnie docierać. Rozwiązania dramatyczne nie wchodziły jednak w grę. Przy całym nagromadzeniu moich wad wiedziałem jedno: wziąłem na siebie odpowiedzialność za los żywej istoty i wytrwam w tym; wierności dochowam.

Wszystko zaczęło się w maju. Krótco po tym, gdy zdecydowałem, że nadeszła pora na znalezienie stałej pracy, przyszło mi do głowy, że może to być ostatni taki maj. W którym ciągle jeszcze swobodnie dysponować mogę czasem i który pozwala unikać wakacyjnych szczytów, przesileń i przedludnień; krótko mówiąc, ostatni maj, w którym bezkarnie i bezproblemowo mogę chwycić plecak i wyjechać, gdzie mnie oczy i fantazja poniosą.

Od słów, czy raczej przemyśleń, do czynów droga była krótka, a podjęciu szybkiej decyzji sprzyjała piękna pogoda, chwilowy brak zajęć oraz poczucie obowiązku, który dobrze zamierzałem wypełnić - moja własna wariacja na temat poczucia dobrze spełnionego obowiązku. Chodziło o postanowienie wzięcia udziału w audycji do filharmonii, której termin w tamtych dniach właśnie został ogłoszony na trzeciego grudnia. Od stycznia dwóch muzyków z grupy altówek miało odejść na emeryturę; zorganizowanie konkursowych przesłuchań jeszcze przed końcem roku pozwalało realnie myśleć o zatrudnieniu się od początku następnego. Był oczywiście jeden mały drobiaz: należało audycję wygrać, a pobieżnie licząc, od kilkunastu do kilkudziesięciu altowiolistów miało taki zamiar. Wtedy jednak

o tym nie myślałem.

Była piękna pora roku, powzięcie decyzji o przystąpieniu do konkursu rozpoczynało nowy etap w moim życiu; wiedziałem, że od teraz aż do dnia X wszystko zostanie podporządkowane jednemu celowi, a piękna, wiosenna przyroda miała dać mi solidnego kopa do pracy.

Wybrałem Krainę Wodospadów. Z kilku powodów. Miałem taki niepisany system wakacyjny, polegający na odwiedzaniu coraz to nowych rejonów. Za każdym razem stawiałem kroki w miejscach, których wcześniej nie widziałem. A ilość i różnorodność tych zakątków ciągle wprawiała mnie w zdumienie. Pomijam fakt, że większość regionów była zeszpecona koszmarną architekturą drugiej połowy XX wieku, że cywilizacyjne zaniedbania stanowiły w wielu okolicach standard, i że te wszystkie negatywy - tak charakterystyczne i tak do siebie podobne - przekonywały mnie, że ciągle jestem w tym samym kraju. Bo już bogactw natury i niezwyklego piękna przeróżnych krajobrazów wystarczyłoby do obdarowania wielu krain. Ale teraz zaczęto mówić, że to również ma się zmienić. Na razie nieśmiało, jednak coraz wyraźniej padały głosy o konieczności przecięcia Doliny Wodospadów drogą szybkiego ruchu, właśnie w imię podwyższenia owych standardów cywilizacyjnych. Nie miałem w tej kwestii wyrobionej opinii; chciałem zobaczyć miejsca, których jeszcze nie widziałem, póki człowiek ich nie zszpeciał i póki miałem na to czas.

Kursujący w tamte rejony pociąg pośpieszny wydawał się idealnym środkiem lokomocji, tym bardziej że przewoził rowery. Zanosilo się na pełną niezależność. Jak zazwyczaj, pewne sprawy pozostawiłem przypadkowi, traktując je jak element wakacyjnej przygody. Jeśli ktoś zaznał słodczy skrzypiącego łóżka w starej chacie, które znalazł, gdy już, już szykował się do spędzenia nocy pod gołym niebem - ten wie, o czym mówię.

Bez wnikania więc w nieistotne tutaj szczegóły - wszystko przebiegało znakomicie; nie miałem problemów z noclegami, turystów było jak na lekarstwo, udało mi się nawet znaleźć życzliwych miejscowych, którzy za symboliczną opłatą udostępnili mi kajak, a wszystko wokół kąpało się w łagodnym majowym słońcu.

I właśnie w trakcie kajakowej wycieczki zobaczyłem psa. Siedział na polanie, nieopodal rzeczki. Podpłynąłem bliżej. Był przywiązany do drzewa, a sznur umożliwiał mu poruszanie się w promieniu góra jednego metra. Zatrzymałem się i wyciągnąłem kajak na brzeg. W naturalnym odruchu zacząłem rozglądać się za właścicielem, ale okolica robiła wrażenie bezludnej. Nic nie mąciło ciszy panującej wokół. Podeszedłem do zwierzęcia,

na bezpieczną odległość rzecz jasna. Jego reakcja była bardzo słaba, natychmiast zrozumiałem, że siedział tu już od pewnego czasu. Pies położył się, robił wrażenie najzupełniej obojętnego, gdy jednak zbliżyłem się jeszcze trochę, usłyszałem dochodzące z jego gardła ostrzegawcze dźwięki. Nie wiedziałem, jak długo tak siedział, ale musiał być spragniony. Na szczęście lina umożliwiała mu przechodzenie w cień, gdy słońce stawało w zenicie. Trawa wokół psa była wydeptana; osiadające na niej poranne krople rosy, musiały stanowić dla niego jedyne źródło wody. Żwawym krokiem ruszyłem w poszukiwaniu najbliższych zabudowań. Po kilkunastu minutach udało mi się znaleźć coś w rodzaju sioła, a w nim - jednego z mieszkańców. Stopniowo dołączali do nas inni.

Okazało się, że tubylcy wiedzieli o psie przywiązany do drzewa.

- Panie, tu przyjeżdżały jakieś Ruskie - zaczął rozgarnięty gospodarz.

- Nie Ruskie, nie Ruskie, tylko Łotyszce czy Estońce jakieś. - Chłopak o wyglądzie Piasta Kołodzieja dał wyraz swojej geograficznej edukacji.

- Tak, tak - tłumek zaczął wtórować - to mafia jakaś, oni tu coś z samochodami chyba kombinowali, bo my znaleźlim kiedyś parę tablic z różnych krajów. - Korpulentna jejmość wyrastała na rzeczniczkę miejscowych.

- Tak, panie, my tu ich nieraz widzielim i tego sobakę też, ale kto by tam się wtrącał, to gangstery jakieś, lepiej od nich z daleka...

- No dobrze, ale co z tym psem? - spytałem, przerywając niewątpliwie interesujące wywody.

- Co z psem, panie, one tak wczoraj spie... szyły, że mało butów nie pogubiły i psa albo zapomniały, albo nie miały czasu zabrać. - Te słowa wygłosił sympatyczny właściciel aż dwóch zębów.

- To już po psie, panie, ile on tam wytrzyma?

Tak postawione, retoryczne pytanie uświadomiło mi, że mentalność mieszkańców wioski nie dopuszcza możliwości ingerencji w los nieszczęsnego zwierzaka.

- Panie, to gangsterski pies, szkoda go, ale to gadzina jakaś, strach się do niego zbliżać...

- Ale może oni wrócą po niego? - zapytałem bez większego przekonania.

- Jak wróco, gdzie wróco? Jak za rok wróco, to dobrze, tu im ktoś mocno kota popędził... czy to nie lepiej by go od razu ukatrupić? A tak sie będzie męczył...

Czym pies naraził się swoim poprzednim właścicielom? Na pewno nie zdradą, bo w odróżnieniu od ludzi, psy nie zdradzają. Niemożliwością było odtworzenie łańcucha zdarzeń, który zmusił łotewskich czy estońskich gangsterów do salwowania się ucieczką; albo policja deptała im po piętach,

albo weszli w paradę konkurencji. Na pewno stał się dla nich niewygodnym balastem. To było teraz nieważne.

Jedyny istotny dla mnie element sprawy siedział przywiązany do drzewa, skazany na śmierć w męczarniach, bo i ci, którzy go zostawili, i ci, z którymi rozmawiałem, wydali już na niego wyrok, choć ci pierwsi mogli mieć nadzieję, że ktoś się jednak nad nim zlituje, i to pewnie powstrzymało ich przed wpakowaniem kulki między oczy starego druha... A może mieli nadzieję odnaleźć go kiedyś?

I właśnie mnie niepojęty los rzucił w to miejsce, w tym momencie, abym spróbował powstrzymać, już, już zaciskające się na szyi zwierzaka kleszcze. Ludzie, z którymi rozmawiałem, byli groźni swoją biernością. Od niej już tylko krok do przyzwolenia, chociaż nie - ona już jest przyzwoleniem.

Bali się, i to podwójnie. To akurat byłem w stanie zrozumieć. Ja też się bałem.

Jeszcze nie wiedziałem, co chcę zrobić, ale jedno było dla mnie jasne: tę sytuację należało jakoś rozwiązać.

Nawiasem mówiąc, zawsze zadziwiało mnie, jak tłum czy chociażby tłumek, wyzwala w zgromadzonych ludziach niebezpieczne instynkty. Tak jakby każdy, nawet zbrodniczy zamiar wspólnie pomyślany i wyrażony znajdował natychmiastowe uzasadnienie i usprawiedliwienie, rozlany na wszystkich po równo.

Osobiście znane mi były zdarzenia, kiedy to z pozoru uśpiony i życzliwie obojętny ogół orkiestrowy, zaczynał nagle rezonować intrygami knutymi przez niewyżyte społecznie jednostki próbujące przy okazji upitrasić własną pieczeń.

A przecież wiedziałem, że wśród otaczających mnie ludzi (może nie u wszystkich) znalazłbym zrozumienie, wrażliwość i współczucie, gdybym tylko mógł porozmawiać z każdym z osobna.

Teraz jednak sytuacja była groźna. Żeby uciąć od razu wszelkie nieporozumienia, powiedziałem głośno:

- Ja tego psa biorę. Od teraz to jest mój pies, czy wyrażam się jasno?

Musiałem chyba zaimponować miejscowym, bo ucichli, popatrzyli na mnie z przestachem, a ja zrozumiałem, że wzięli mnie za któregoś z rywalizujących mafiosów z grupy, która przegnała konkurencję. Było mi wszystko jedno, a nawet było mi to na rękę; wiedziałem, że powodowani strachem nie popełnią żadnego głupiego uczynku, w ramach swoiście pojmanego współczucia (współczucia inaczej) dla żywej istoty.

Jak tak, to tak: ludzie zaczęli się rozchodzić, czasami spoglądając na mnie ukradkiem. Ten i ów próbował jeszcze coś powiedzieć, jakieś:

- No tak, to przecież ładny pies - albo: - no pewnie, bo jak tak zwierzę można zostawić. - Szukali racjonalnych przesłanek dla mojej decyzji, ale w końcu dali spokój i machając rękami, zniknęli w swoich zagrodach.

Pozostał tylko chłopiec, tak podobny do wygadanego Piasta Kołodzieja, że musiał być jego młodszym bratem.

- Hej, mały, jak ci na imię?

Do tej pory stał ze spuszczoną głową, ale skoro został - nie mógł być taki nieśmiały.

- Wojtuś. - Spojrzał na mnie, ukazując sympatyczną twarz, pełną piegów i dwa dołeczki w uśmiechniętych policzkach.

- Posłuchaj, Wojtuś, czy potrafiłbyś zorganizować jakąś miskę albo wiadro?

Jeszcze nie skończyłem, a dzieciak obrócił się na pięcie i tyle go widziałem. Zanim jednak zacząłem się zastanawiać, co go spłoszyło, był już z powrotem. Uśmiechnięty od ucha do ucha, trzymał w ręku talerz do zupy. Miałem nadzieję, że jego rodzina była już po obiedzie. Podziękowałem i wziąłem naczynie, a potem ruszyłem w kierunku rzeczki, ale on ani myślał mnie zostawiać; potraktował talerz jako przepustkę do uczestnictwa w dalszych wydarzeniach. Nie miałem nic przeciwko temu, a nawet pomyślałem, że to dobrze, bo w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziałem, co robić. Na razie tylko jedno było jasne: trzeba było czym prędzej napoić spragnione zwierzę.

Pies leżał, trzymając łeb na wyciągniętych przednich łapach. Podszedłem do leniwego nurtu i mając nadzieję, że woda z rzeki nadaje się do picia, napełniłem talerz po brzegi. Z ulgą ujrzałem, że jest kryształowo czysta. Napilem się trochę, stwierdzając, że i smak ma wyborny. Niosąc naczynie, uroniłem chyba z połowę jego zawartości, ale nie to mnie zaprzętało.

Zastanawiałem się, jak podejść do zwierzaka na tyle blisko, by mógł dosięgnąć do miski, nie budząc jednocześnie jego agresji. Przyjąłem następującą metodę: zbliżając się małymi, spokojnymi kroczkami, cały czas mruczałem pod nosem jakieś uspokajające słowa, unikając jednocześnie patrzania na czworonoga. Gdy byłem już wystarczająco blisko, zacząłem się powoli zniżać; zwierzę nie spuszczało ze mnie oczu, a z jego gardła zaczął się wydobywać raz już dzisiaj słyszany odgłos, który na chwilę przerwał ziajanie. Wycofałem się, zachowując podobną taktykę.

Dopiero wtedy pies wstał, podszedł do wody, obwąchał ją i zaczął łapczywie pić. Po chwili talerz był pusty, lecz zwierzę dalej szorowało językiem po dnie. Tak jak poprzednio zbliżyłem się, zabrałem bez kłopotów talerz, by po chwili powtórzyć całą operację. Wojtuś przyglądał się temu w milczeniu.

Dopiero czwarta dolewka zaspokoila pragnienie psa - zostawil troche wody na porcelanowym dnie.

Usiadl i zaczal mnie obserwowac - nie wrogo, ani nie przyjaznie; neutralnie. Jak na poczatok znajomosci w tak trudnych okolicznosciach zawieranej, bylo to calkiem niezle. Najwazniejsze, w tej chwili najwazniejsze, zrobione, nalezalo zastanowic sie, co dalej. Na szczescie nie odplynalem daleko od portu macierzystego, leniwy nurt rzeczki czynil tez wlasciwie obojetnym, czy plynie sie zgodnie z nim, czy tez pod prad. Ale trudno mi bylo sobie wyobrazic, ze ten wielki a poddany ciiezkiemu stresowi pies poslucha mojej zachety, aby wejsc do kajaka. Malo tego, obawialem sie, ze uwolnienie go z pet spowoduje natychmiastowa ucieczke w siną dal. Pominajac juz fakt, ze w ogole nie wiedzialem, jak zareaguje na manipulacje przy szyi.

Musialem pomyslec. A myslac, moglem mu sie w koncu dokladniej przyjrzec.

Pierwsze skojarzenie nie budzilo watpliwosci: wilk. Dopiero kiedy stawal, widać bylo jego rogalnie zawiniety ogon i zad, który w przeciwnieństwie do dzikiego kuzyna nie byl opuszczony. Niepowtarzalne byly jego kolory. Tak przedziwnej mieszanki wszystkich odcieni szarości i burości, z zolcia na poczatku i czernia na koncu jeszcze nie widzialem. A deseni, ktore pokrywaly jego ciało kropkami, paskami, maźnieniami, aż do wyraźnego rysunku zebry na pysku, nie znalazlbym chyba nawet w Afryce. I migdalowe oczy.

Byl to pies dziwny i piekny. Ktora to konstatacja nijak nie zblizyła mnie do znalezienia odpowiedzi na pytanie, co teraz. W koncu jednak podjalem decyzje.

- Wojtuś, czy mozesz tu zostac i popilnowac go, dopoki nie wrócę? Jakby ktos z wioski przyszedl, to powiedz, ze ten pan, który go zabiera, zaraz wróci i nikomu nie wolno sie do psa zblizac. A ja za godzinke bede z powrotem i przynose ze soba dobre cukierki, zgoda?

Twarz Wojtusia zaswiecila sie jak uradowane slonce; wiedzialem, ze maly rezolut dobrze wykona swoje zadanie, on jednak sam z siebie dodal:

- Ale niech pan chwile poczeka, pojde jeszcze po brata, bo jakby starsze chlopaki cos chcialy zrobic, to nie wiem, czy bym dal rady...

Brzmialo to rozsadnie. W czasie gdy Wojtuś zniknal za zagajnikiem, zblizyłem sie troche do zwierzaka, przykucnalem i patrzac na niego, zaczalem lagodnie przemawiac:

- No i skad ty sie tutaj wziales? Kto cie zostawil? Jak sie nazywasz?

Nie, nie spodziewalem sie odpowiedzi, ale probowalem oswoic psa ze swoim glosem. Patrzyl na mnie, smiesznie strzygac uszami i przekreczajac glowe na boki. Po chwili Wojtuś wrócił z Piastem Kołodziejem.

- Pan spokojnie sobie załatwi sprawy, a my tu już zwierza popilnujemy...

Ruszyłem więc czym prędzej, na pożegnanie wydając psu pierwszą komendę: czekaj! Gdy odpływałem, przyglądał mi się, stojąc, a gdy zniknąłem za zakrętem rzeki, usłyszałem nawołujące szczeknięcie...

Ale rzeczywiście, w niecałą godzinę byłem z powrotem, tyle że zmieniłem środek lokomocji. Na szczęście wzdłuż wijącej się rzeki wiodło coś w rodzaju ścieżynki; na szczęście, bo wiele było tu terenów bagnistych.

Chłopcy siedzieli po turecku, długimi trawami odganiając się od much. Według ich relacji nic ciekawego się nie wydarzyło. I dzięki Bogu, pomyślałem. Od pewnego rodzaju ciekawych zdarzeń wolałem być zawsze z daleka. Pies zareagował na mój widok. Wstał i dwa razy ruszył ogonem. Bardzo dodało mi to otuchy, bo zbliżał się najtrudniejszy moment. Zanim nastąpił, podziękowałem jednak chłopcom i wręczyłem im torbę pysznych geesowskich raczków i malutkie tranzystorowe radio z dwiema parami słuchawek - tani jak barszcz jednorazowy zestaw turystyczny, ale widziałem, że obaj byli wniebowzięci.

Fajne chłopaki. Miałem nadzieję, że dzisiejszy dzień zachowają w pamięci.

Wolno, lecz zdecydowanie zbliżyłem się do psa. Sznurek, którym przywiązany był do drzewa, z drugiej strony zapętleł się wokół psiej szyi. Na szczęście moi gospodarze znaleźli w domu starą obrozę i smycz, pozostawało tylko, bagatela, użyć ich zgodnie z przeznaczeniem. Musiałem zaryzykować. W momencie gdy moje ręce zbliżały się do głowy psa, zaczął mrużyć oczy, tak jakby spodziewał się ciosu. Na samo założenie obroży zareagował jednak spokojnie. Po chwili, już wyzwolony od sznurka, niecierpliwie zaczął dreptać w miejscu, nie wiedząc, w którym kierunku pójdziemy.

Był jednak najwyraźniej zadowolony, że niewola wokół drzewa dobiegła końca. Reszta poszła łatwiej, niż mogłem się spodziewać. Wsiadłem na rower, w prawej ręce trzymając smycz dość krótko, ale luźno, i ruszyłem. Pies szybko rozumiał, na czym polega zabawa, i starał się biec równolegle do roweru, dostosowując szybkość. Od czasu do czasu próbował na mnie łypnąć oczami. Po małej półgodzinie byliśmy na miejscu. Ponownie napiłem go i poczęstowałem suchą karmą z pobliskiego geesu. Nie musiałem przywiązywać; po zagrodzie mógł biegać luzem, bo była ogrodzona, nie było tam też innych zwierząt. Smycz i obroża należały do ulubionego psa moich gospodarzy, którzy po jego śmierci nie zdecydowali się już na nowego pupila.

Wieczorem siedzieliśmy pod kwitnącą gruszą, rozmawiając i jedząc za

pyszny, domowy nabiał ze świeżo wyjętym z pieca chlebem. Popijaliśmy nalewkę orzechową, również domowej produkcji. Pies cały czas trzymał się przy mnie. Ale nie kładłem tego na karb nadzwyczajnej wdzięczności wybawienie z opresji. Wyczuwał chyba, że w jego interesie jest być blisko mnie - co może w sumie na jedno wychodziło.

Wiedziałem już, że wakacje się skończyły. Wiedziałem też, że zaczyna się nowy etap w moim życiu, i chociaż byłem gotów podjąć wyzwanie, to nie byłem pewien, czy słusznie czynię. Nie chodziło rzecz jasna o uratowanie zwierzęcia od głodu, pragnienia, opuszczenia i ludzkiej złości, a o to, czy nie powinienem poszukać kogoś, kto mógłby mu zaoferować lepsze warunki. Ale dramatyczny początek naszej znajomości znaczył wiele. Pies zadziwiająco szybko zaczynał okazywać mi elementarne zaufanie. Nie mogłem go zawieść, bo po prostu bardzo lubiłem psy. Zawsze chciałem mieć czworonoga i wiedziałem, że to kiedyś nastąpi, ale nie przypuszczałem, że tak, że teraz, bez przygotowania, że takie wielkie psisko...

Z drugiej strony powtarzałem sobie, że pewne odwołane w nieskończoność decyzje nigdy nie zostaną zrealizowane, budząc po latach refleksję i żal, że przecież można i warto było spróbować... A przypadek pomaga. Pomaga w ich podjęciu, w osiągnięciu dojrzałości do ich podjęcia w przeciągu paru chwil niekiedy.

- To jak ty się będziesz nazywał? - zapytałem, wiedząc, że nigdy się nie dowiem, jakie było jego imię w poprzednim życiu. - Gangster? Łotysz? Estończyk?

Pies kręcił głową.

- A może Eston?

Szczeknął metalicznie.

- Eston?

Szczeknął dwa razy.

- Eston?

Podoba ci się?

Podobało mu się...

Zaszczekał dwa razy,

zamachał ogonem,

popatrzył mi w oczy

i został Estonem.

Taki wierszyk ułożyłem tamtego, cudownego majowego wieczoru w Krainie Wodospadów, gdy kwiecie gruszy sypało się nam na głowy, owoc orzecha wypełniał nasze trzewia, a na ziemi, koło moich nóg, ufnie leżał nowo pozyskany przyjaciel.

Rozdział VII

Środa

Przez trzy jeszcze dni zostaliśmy z Estonem w gościnie. Pies zdawał się do mnie przyzwyczajać, nie budziło też wątpliwości, że był wyszkolony, ale w specyficzny, zgodny z interesem jego poprzednich właścicieli, sposób. Nieraz reagował na moje słowa lub gesty w sposób zgoła nieoczekiwany. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem tego, co wiedział on, on zaś nie zawsze wiedział, czego ja od niego oczekuję. Ale te trzy dni pozwoliły mi poznać go na tyle, że zacząłem realnie myśleć o wspólnej podróży pociągiem; w przedziale rowerowym ma się rozumieć, ale jednak. Z żalem żegnałem uroczą Krainę Wodospadów. Na własne oczy przekonałem się o jej niezwykłym pięknie. I mnie przeraziły stada ciężarówek jeżdżących po miastach regionu; bez większego trudu zrozumieć mogłem desperację mieszkających tam ludzi. Twierdzenie jednak, że coś musi być zrobione tak i tylko tak, jest urąganiem zdrowemu rozsądkowi: nie można zaścianać się interesem społecznym, chcąc za wszelką cenę przeforsować od początku źle wymyślony i - wbrew oczywistym przeciwwskazaniom - realizowany projekt. Przysłowie: „i wilk syty, i owca cała”, ma naprawdę swój głęboki sens. Bo, odwróćmy je, choć w połowie: wilk przez chwilę będzie syty, ale znowu zgłodnieje, natomiast owcy już nie będzie...

Wyjeżdżałem, trapiiony obawą, że nigdy już nie odnajdę tego wspaniałego miejsca takim samym, ale wiedziałem, że i ja już taki sam nie będę. Ot, po prostu, jakiś tam etap w życiu się kończy, a inny zaczyna. Sprawdzonym systemem filozofów zamiast oglądać się za siebie - postanowiłem patrzeć do przodu.

Gdy szczęśliwie, choć nie bez przygód - z mrozącym krew w żyłach poszukiwaniem Estona między peronami, pełnymi ruszających i zatrzymujących się pociągów i tłumy kłębiących się pasażerów - dotarliśmy do domu, wkrótce się okazało, że mój nowy współlokator nie wszystkim przypadł do gustu. Ale o tym i o zakończonych sukcesem poszukiwaniach nowego lokum już mówiłem.

Mieszkaliśmy w centrum miasta i choć nasz ulubiony park - świadek ostatnich dramatycznych wydarzeń - znajdował się blisko, jednak nie zaspokajał wszystkich potrzeb ruchowych Estona. Postanowiłem więc wykorzystać jego naturalną umiejętność towarzyszenia rowerowi, którą z takim

wdziękiem zademonstrował już pierwszego dnia naszej znajomości. Musiałem to jednak udoskonalić. Jazda z ponad czterdziestokilowym zwierzem prowadzonym jedną ręką na smyczy, podczas gdy druga kieruje rowerem, mogła się w każdej chwili zakończyć tragicznie. Wystarczył kot, pies lub inny, dla mnie nawet niezauważalny powód, aby Eston z niezwykłą siłą próbował gwałtownie zmienić naszą trajektorię. Był odcinek bezpieczniejszy, wiodący wyasfaltowaną ścieżką wzdłuż rzeki, ale i tam zdarzali się biegacze, rolnicy i polne koniki, poza tym fragment dojazdowy prowadził przez miejskie ulice. Znalazłem jednak rozwiązanie: udało mi się kupić urządzenie, które było na stałe przymocowane do roweru, i miało element na czas spaceru przyczepiany do specjalnej psiej uprząży. Stanowiąca główną jego część sprężyna znakomicie amortyzowała wszystkie gwałtowne ruchy psa, nie ograniczając jednocześnie jego swobody, rowerzyście zaś zapewniając pełną kontrolę nad pojazdem.

Na taką właśnie rowerową przejażdżkę miałem zamiar wziąć Estona. Jego radość zdawała się nie mieć granic. Ale jeszcze jeden pomysł przyświecał mi tego popołudnia. Prawie na drodze naszej rowerowej wyprawy, w pobliżu pierwszego mijanego mostu znajdował się pewien szczególnie sklep z płytami. Kultowy, dlatego że przeważającą część jego oferty stanowiły płyty analogowe. Szperanie w zakurzonych kartonach stanowiło swoistą podróż sentymentalną; niektóre z czarnych krążków pamiętałem jeszcze z kolekcji moich rodziców. Płyty z muzyką poważną nie stanowiły większości - jak zresztą w rzadko którym sklepie tej branży - śmiało mogę jednak stwierdzić, że ich asortyment prezentował się zastanawiająco okazale. No cóż, przemysł fonograficzny przez długi czas był związany z dużym formatem. Trudnością, ale i urokiem zarazem, była konieczność manualnego przekładania płyt jedna za drugą; o alfabetycznym lub tematycznym uporządkowaniu można było tylko pomarzyć. Nawet jeśli odwiedzało się sklep w ciągu kilku zaledwie dni, poszukiwania należało zaczynać od początku; przy zawsze sporej liczbie kupujących miejsce to przypominało wielki mikser nieustannie obracający swoją zawartość.

Eston otrzymał zadanie pilnowania roweru; wiedziałem, że wywiąże się z niego bez zarzutu. Wszedłem do środka i wziąłem się do przeszukiwania stojących po różnych zakamarkach kartonów. Już po chwili zacząłem kichać i prychać; wzbijany w powietrze kurz minionych dziesięcioleci zdawał się wypełniać każdą drobinę wdychanego powietrza. Przy przerzucaniu płyt w siódmym chyba już z rzędu pudle mój trud został jednak nagrodzony; pomiędzy okładkami *Króla Rogera Szymanowskiego* i *Daphnis i Chloé* Ravela mignęła mi nagle znajoma sylwetka. Tylna strona nagranej

dla włoskiej wytwórni płyty z utworami francuskiego impresjonizmu, opatrzone była wyraźnym zdjęciem maestra w akcji. Wiele lat młodszy i ładnych parę kilo szczuplejszy, był to jednak niewątpliwie on. Co prawda zdjęcie nijak miało się do delikatnego uroku muzyki Debussy'ego, ale w tym przypadku było to dla mnie bez znaczenia. Dyrygent został uchwycony w pozie atakującego szermierza; wyraz twarzy świadczył, że szykuje się do zadania decydującego ciosu. To nie fehmistrz jednak znalazł się na pierwszym planie, tylko jego szpada, przepraszam, batuta. I nie miałem najmniejszych nawet wątpliwości; to nie była ta batuta. Mogłem więc przyjąć założenie, że pałeczka będąca zarzewiem dramatycznych wydarzeń nie znajdowała się jeszcze wówczas w rękach Rucacellego, choć - z logicznych powodów - nie można było tego wykluczyć. Nagranie pochodziło z roku 1989, prawdopodobnie więc dopiero po tej dacie Rucacelli wszedł w jej posiadanie.

Hm, kolejny ślad wart funta kłaków.

Postanowiłem jednak - za rozsądną cenę - płytę odkupić, nie mogłem jej tam tak po prostu zostawić. Słabe znalezisko, a właściwie żadne, mogło służyć jedynie do wzmocnienia jednej hipotezy kosztem innej, ale trudno oczekiwać, że wszystkie nasze pytania i wątpliwości znajdą odpowiedź natychmiastową i definitywną. Życie jest drogą, a nawet najdłuższa podróż rozpoczyna się od pierwszego kroku, kroczy nawet, po którym następuje całe mnóstwo kolejnych - to swobodna interpretacja japońskiej bodajże mądrości; na własny użytek uzupełniałem ją stwierdzeniem, że ani ten pierwszy, ani pozostałe niekoniecznie muszą być wykonane we właściwym kierunku.

Zadowoleni z udanego spaceru i - będącego jego pośrednim celem - znaleziska, wracaliśmy do domu. Próbowałem opracować strategię na resztę dnia. Punkt pierwszy był niezmienny: bezwzględnie wziąć się do grania. Chciałem też ponownie obejrzeć batutę, bo miałem wrażenie, że podekscytowani naszym odkryciem, zbyt łatwo odstąpiliśmy od dalszych oględzin. A coraz wyraźniej do mnie docierało, że przecież pierścienie były trzy. Przy okazji mógłbym poinformować pana Sebastiana o dzisiejszych tropach; kto jak kto, ale on mnie nie wyśmiej, mówiłem sobie - a może znów dostrzeże coś, co przeoczyłem. Obiecywałem sobie też, że zatelefonuję do nadkomisarza Bielskiego. Mogłem to zrobić pod byle pretekstem, a zawsze istniała możliwość, że policja wie coś nowego i a nuż wyciągnę to od nich. Jeśli chodzi o moje postępy w śledztwie, to konsekwentnie nie zamierzałem się nimi dzielić z nadkomisarzem, bo w końcu czym: wymalowanym zupą kotkiem czy czterowerszem mistrza, który zresztą w sensie materialnego zapisu - nagrania, przestał już istnieć? Dojrzywał też we mnie zamiar odwiedzenia hotelu Luxor. Oczywiście mowy nie było o podpytywaniu

recepjonistów, bo niby w jakim charakterze miałbym to robić? Bardziej celowe wydawały się odwiedziny hotelowej kawiarni i próba niezobowiązującej pogawędki z barmanem.

Po wykonaniu tych wszystkich czynności obiecywałem sobie coś w rodzaju burzy mózgu. Nadchodziła pora uporządkowania posiadanych wiadomości, wyciągnięcia wniosków i odpowiedzi na pytanie: czy to moja wyobraźnia buduje intrygę, czy istnieje ona naprawdę i da się wytłumaczyć posiadanymi strzępkami dowodów?

Gdyby to było takie łatwe: zadać proste pytanie i uzyskać na nie klarowną odpowiedź. Cóż, kiedy prostota, także w sztuce, jest najtrudniejsza...

Kolejność działań została jednak wymuszona przez czynniki zewnętrzne.

Gdy po powrocie do domu odczepiałem psa od roweru, z antykwariatu szybkim krokiem wyszedł Sebastian Mars.

- Bartku, czekałem na ciebie, możesz zaraz do mnie przyjść? - Był najwyraźniej bardzo poruszony, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Już sam fakt, że zrezygnował z grzecznościowego wstępu, był niezwykły.

- Oczywiście, zaraz przyjdę, tylko...

Pokazałem wymownie na ziejącego psa. Antykwariusz kiwnął głową i wszedł do środka; wiszący na szybie napis głosił: zamknięte. A Eston zachowywał się dziwnie. Odczepiony od roweru runął na drzwi, które ustąpiły pod jego naporem. Czyżbym zapomniał je zamknąć? Odstawiłem rower i szybko podążyłem za nim. Drzwi od poddasza też były otwarte; to mnie nie dziwiło, bo rzadko kiedy je zamykałem. Tylko jak psu udało się wejść, skoro otwierały się na zewnątrz? Jeden rzut oka dał odpowiedź: ktoś odwiedził mieszkanie pod naszą nieobecność. Ktoś mało sympatyczny. Narobił bałaganu. Pewnie szukał czegoś, ale się spieszyli nie zdążył posprzątać. Eston, mimo zmęczenia, znowu zachowywał się jak oficer śledczy na miejscu zbrodni.

Pobieżna lustracja poddasza pozwalała sądzić, że prawdopodobnie nic nie zginęło. Przez chwilę pomyślałem, że może altówka, ale nie; była na swoim miejscu, choć futerał był otwarty i również nosił ślady przeszukiwania.

Nie spieszyłem się z wnioskiem, choć wiedziałem, że nie zdołam od niego uciec. Trochę się go obawiałem, ale przecież należało nazwać rzecz po imieniu.

Jakoś trudno było mi uwierzyć w przypadkowość zdarzenia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa księżycowe sylwetki nas odnalazły. Bo nie ustawały w poszukiwaniach przedmiotu ciśniętego do wody. Gdy Eston po trudach śledztwa zanurzył w końcu język w misce pełnej świeżej wody, chwyciłem płytę oraz sztywną okładkę koncertu Bartóka i z głośnym

tupotem zbiegłem po schodach. Poddasze mogło poczekać; co się miało wydarzyć, już się wydarzyło. I właśnie w tym kontekście zachowanie antykwariusza wydało mi się niepokojące. W pierwszej chwili pomyślałem, że może coś nie tak ze starszą panią, ale odrzuciłem tę możliwość; nawet gdyby pan Sebastian chciał się ze mną podzielić jakąś smutną nowiną, to na pewno nie w tej formie.

Odpowiedź była blisko.

Pan Sebastian natychmiast zamknął drzwi na dwa największe spośród dość imponującej liczby zamków. Zaprosił mnie w głąb antykwarycznych pomieszczeń, dokładnie mówiąc tam, gdzie jeszcze wczoraj spędziliśmy „papierowy” wieczór. Najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć, w końcu bez słowa wskazał leżący na ziemi domowy sejf. Został wypchnięty z wnęki w ścianie, którą w naturalny sposób wypełniał. Naturalny do tego stopnia, że ani poprzedniego, ani żadnego innego dnia nie wpadł mi w oko.

- Panie Sebastianie, niech pan powie, co się stało - sam fakt, że metalowa skrzynka, nieco większa od kuchenki mikrofalowej, leżała na ziemi, niczego jeszcze nie wyjaśniał.

- Dobrze, Bartku, posłuchaj, to było tak: niecałą godzinę temu, może kwadrans po tym, kiedy z Estonem śmignęliśmy za szybą, do antykwariatu weszło dwóch mężczyzn. Eleganckich, dobrze ubranych; na pierwszy rzut oka wyglądali na cudzoziemców, ale przecież mogłem być w błędzie. Rozglądali się po sklepie, oglądali książki, wyjmowali je i z powrotem wkładali na półki. Po chwili, wystarczająco dłużej, by nie musieli czuć się indagowani, spytałem, czy mogę im jakoś pomóc. Robili wrażenie, że nie rozumieją, więc powtórzyłem pytanie po francusku. I wtedy - antykwariusz otrząsnął się - jeden z nich podszedł do gabloty, w której za szkłem trzymam kilka atrakcyjnych wizualnie książek i kilkoma kopnięciami ją rozbił. Po czym chwycił jej zawartość, wybiegł na ulicę i zaczął uciekać. W pierwszej chwili mnie sparaliżowało, ale już w drugiej byłem na ulicy i zacząłem gonić złodzieja. Albo ja nie jestem jeszcze taki wolny, albo on przeliczył się z siłami, dość że po kilkudziesięciu metrach dystans między nami zaczął się zmniejszać. Bandyta obrócił się jeszcze dwukrotnie w moim kierunku i widząc, że go dochodzę, cisnął książkami o ścianę kamienicy, koło której właśnie przebiegał. I dobrze się stało, bo po pierwsze, nie miałem już siły biec, a po drugie, nawet jeśli bym go doścignął, to co dalej; negocjowałbym? Zacząłem zbierać sponiewierane książki, gdy nagle poraziło mnie coś innego: drugi z bandytów został sam w antykwariacie. Sabiny nie było w domu i tylko to mnie trochę uspokajało. Tak szybko, jak tylko byłem w stanie - czyli nie za szybko - ruszyłem w drogę powrotną. Pojedyncze kartki wysuwały mi się z rąk i fruwały w powietrzu. W momencie

gdy byłem już blisko, w drzwiach antykwiariatu pojawił się drugi z opryszków. Widząc, że nadbiegam, rzucił się do ucieczki w przeciwną stronę. Nawet nie próbowałem biec za nim, zresztą, po co?

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był leżący na ziemi sejf. Złodziej próbował otworzyć go łomem, bez trudu przemyconym pod eleganckim płaszczem. Gdy to się nie powiodło, z wściekłości zrzucił sejf na ziemię, w nadziei, że niepozorna skrzynka nie wytrzyma upadku; naiwny - uśmiechnął się antykwariusz. - Jestem pewien, że rozważał zabranie całego sejfu, ale ta szafka waży prawie sto kilo. - Pan Sebastian zrobił przerwę.

- Mówi pan - zacząłem wolno, próbując uporządkować tylko co usłyszane sensacje - że dwóch elegancko wyglądających obcokrajowców najpierw próbowało uśpić pana czujność, a potem, odwracając pańską uwagę od istoty rzeczy, próbowało dostać się do sejfu, w którym - na moją prośbę - schował pan batutę Rucacello? Czy dobrze zrozumiałem?

- Teraz, jak mówisz, mnie również wydaje się to oczywiste. Można by naturalnie założyć, że chodziło o zawartość sejfu w ogóle, ale za dużo tu zbiegów okoliczności.

- Panie Sebastianie, ale przecież sejf nie otwiera się łomem!

- Wiesz co, Bartku, są różne sejfy, niektóre mają charakter takiej nieco poważniejszej zabawki, która nie wytrzyma konfrontacji z fizyczną siłą. I myślę, że ci dwaj na taki właśnie model mieli nadzieję się natknąć, ale się przeliczyli. Wybrali metodę prymitywną, lecz najłatwiejszą. Martwi mnie co innego. Nie osiągnęli celu, więc pewnie spróbują ponownie. Jediną drogą do jego osiągnięcia jest poznanie kodu. A ten znam tylko ja.

Była pora na moją opowieść.

- Kwadrans, który minął od naszego wyjazdu na spacer, ta sama, jak sądzę dwójka wykorzystała na przeszukanie poddasza. Bez trudu otworzyli zamek w drzwiach i wdarli się na górę. Nietrudno się domyślić, czego szukali, choć muszę przyznać, że zastanawia mnie, czy oni wiedzą, że szukają batuty, czy po prostu czegoś, co Rucacelli przed ich nosem wyrzucił do jeziora. Tak czy inaczej, szybko musieli dojść do wniosku, że u mnie już tego nie ma. Przypuszczam, że od wczoraj byliśmy pod obserwacją; złodzieje czekali na właściwy moment, a ten nadszedł, gdy nie tylko mnie, ale przede wszystkim Estona nie było w pobliżu.

Czułem się podwójnie nieswojo. Z powodu mojej zabawy w detektywa ten łagodny i uroczy człowiek znalazł się w realnym niebezpieczeństwie. W dodatku poniósł straty w wyniku zdewastowania kilku starodruków. Ale ostatnią z moich trosk antykwariusz skwitował uśmiechem.

- Nie bez powodu użyłem sformułowania „książki atrakcyjne wizualnie”. W rzeczywistości są niewiele warte, stanowią raczej rodzaj dekoracji. Przypuszczam, że ubezpieczenie pokryje zniszczenia z nawiązką, zaś z punktu widzenia kolekcjonerskiego strata jest niewielka, nie mówiąc już, że pewnie uda mi się przywrócić do jakiejś takiej formy.

Odetchnąłem. Przynajmniej jedna sprawa przestała mnie martwić.

Wspólnymi siłami, z nie lada wysiłkiem udało nam się podnieść elektronicznie zamykaną skrzynkę i postawić z powrotem na miejscu.

Był to rodzaj domowego sejfu z możliwością resetowania i ponownego komponowania czterocyfrowego kodu. Właściwie rodzaj skrytki, jakie znają dworce i lotniska, ale, jak się okazało, skutecznie opierającej się niekonwencjonalnym formom otwierania. Pytanie, jak długo strzegłaby swej zawartości przed ową fizyczną przemocą?

Solidna robota, choć sejf na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak niedostępna kasa pancerna. Tak czy inaczej, złodzieje się przeliczyli. Szybkość działania zdawała się jednak świadczyć, że dokładnie wiedzieli, czego szukają. Czy rzeczywiście chodziło o batutę Rucacellego oraz skąd wiedzieli o sejfie? Te pytania pozostawały na razie bez odpowiedzi.

- Bartku, zdajesz sobie sprawę, że zawiadomienie policji będzie równo znaczne z koniecznością opowiedzenia paru szczegółów?

Tak, wiedziałem o tym, ale nagle taka ewentualność przestała mnie martwić. Wydawała się jedyną realną możliwością, aby oddalić niebezpieczeństwo, które zawisło nad antykwariuszem i jego rodziną. Wiązało się to z pewną propozycją, ale miałem nadzieję, że pan Sebastian ją zaakceptuje. Stało się nawet więcej; koncepcja została przez niego wzbogacona. Antykwariusz udał się na piętro, do mieszkalnej części budynku. Po chwili wrócił, niosąc coś ze sobą. Tak, pomysł mógł się okazać skuteczny w swojej prostocie.

Pozostawała mi nieprzyjemność wytłumaczenia nadkomisarzowi okoliczności, w jakich wszedłem w posiadanie batuty, ale cena nie była wygórowana, zresztą wchodziło to w skład mojego planu.

Przedtem jednak postanowiliśmy jeszcze raz pozbierać wszystkie materialne i niematerialne elementy sprawy, których właściwie z każdą chwilą przybywało.

Upewniwszy się, że drzwi są dobrze zamknięte, alarm włączony (obecność alarmu tłumaczyła, dlaczego złodzieje nie próbowali włamania), zaczęliśmy zbierać fakty i dowody.

Położyłem na stole płytę ze zdjęciem Rucacellego. Antykwariusz przyjrzał się, skinął głową i otworzył sejf; po chwili koło czarnego krążka znalazła się dyrygencka pałeczka. To był moment na sprawdzenie pierścieni zewnętrznych.

Przez chwilę łudziłem się, że być może je również można po prostu odkręcić lub ściągnąć, ale nie, ani drgnęły.

Batuta i zdjęcie się wykluczały, przyjęliśmy więc założenie, że stała się ona własnością dyrygenta stosunkowo niedawno, mieliśmy wszakże świadomość niedoskonałości takiego rozumowania. Spomiędzy nut koncertu Bartóka wyjąłem dzieło maestra, namalowanego dla Wandy kota. Pan Sebastian przyjrzał mu się zaskoczony, ale nic nie powiedział, i sam wykonał kolejny ruch; delikatnie wyluskał z sejfu kawałek papieru z rozmazanym napisem

*Ba\$ (. . . a
(.) i, i a . . ok*

z jednej strony, a dobrze zachowanym:

Opus - Opas - Opos z drugiej.

Mój ruch.

To, co robiliśmy, przypominało jakąś przedziwną grę. Tym niezwyklejszą, że bez określonych zasad.

Poprosiłem pana Sebastiana o czysty arkusik papieru.

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

Nie bez wahania położyłem karteczkę na stole, tłumacząc, skąd pochodzi czterowiersz.

Ku mojej uldze antykwariusz nie wybuchnął śmiechem. Robił wrażenie zamyślonego.

To były materialne lub zmaterializowane elementy naszej układanki. Siedzieliśmy w milczeniu po obu stronach stołu. Gdy każdy z nas wypracował jakąś wersję zdarzeń, podzieliliśmy się nimi i metodą korekt i uzupełnień doszliśmy do pewnych wniosków. Właściwie dwóch: po pierwsze, to, co się dzieje, nie jest grą wyobraźni; kolejne akty przemocy usuwały ostatnie, istniejące w tej kwestii wątpliwości; po drugie, batuta była i ciągle jest obiektem pożądania przestępców.

Niestety, reszta dowodów wciąż była niepojęta, nie dając nawet odpowiedzi na zupełnie podstawowe pytanie: czy mają jakikolwiek związek ze sprawą?

Wątpliwości było więcej niż danych. Można było tylko żywić nadzieję, że niedaleka przyszłość odwróci te proporcje. Bo... nadzieję mieć zawsze można, a wręcz trzeba; nawet jeśli niektórzy wzięliby nas za głupców.

Zastanawiałem się, czy ktokolwiek, na przykład nadkomisarz Bielski, dysponując:

- a) batutą,
 - b) zapisaną kartką papieru, z częściowo nieczytelnym napisem, pochodzącą prawdopodobnie ze schowka w batucie,
 - c) portretem kota wykonanym techniką barszczową,
 - d) próbką poetycką autorstwa dyrygenta,
- byłby w stanie uchwycić przedzę wydarzeń i powiązać je w sensowny motek?

Nie bez powodu pomyślałem o nadkomisarzu. Mój plan zakładał poinformowania policji o ostatnich wydarzeniach, ale wspólnie z antykwariuszem doszliśmy do wniosku, że niejako tradycyjnie już pewne szczegóły zachowamy dla siebie. Wydawało mi się, że wciągnięcie organów ścigania w sprawę ataku na antykwariat, a zwłaszcza puszczenie w medialny obieg informacji, że policja przejęła opiekę nad zawartością sejfów pana Sebastiana, stanowi jedyną szansę na odwrócenie niebezpieczeństwa, które zawisło nad jego głową. Przy okazji miałem nadzieję wyłudzić jakieś nowe informacje od Bielskiego, choć jeśli wziąć pod uwagę ich dotychczasową ilość - zalecany był sceptycyzm.

Nadkomisarz zgłosił się natychmiast i mimo że nie był na służbie, obiecał zaraz przyjechać. Nie bez pewnej satysfakcji odniosłem wrażenie, że to raczej on ma nadzieję usłyszeć coś nowego. Ekipa dochodzeniowa rzeczywiście zjawiała się błyskawicznie. Antykwariusz związł a konkretnie poinformował, co się wydarzyło.

Była kolej na ujawnienie przeze mnie związku pomiędzy próbą obrabowania sejfów a usiłowaniami zabójstwa maestra Rucellego. Rozpocząłem więc swoją barwną opowieść, jak to w dzień po feralnym dniu odwiedziłem filharmonię, aby umówić się na próbę z fortepianem, jak pani sekretarka skierowała mnie do pokoju dyrygenckiego, w którym miała właśnie ćwiczyć pianistka akompaniorka i jak - pod jej chwilową nieobecność - ujrzałem w otwartym fortepianie pałeczkę dyrygencką, tę samą, którą maestro poprzedniego dnia prowadził symfonię Beethovena. Powodowany troską o cenną własność wybitnego dyrygenta postanowiłem się nią opiekować, w najlepszy z możliwych sposobów; przekazując ją w depozyt wielce szanowanemu panu antykwariuszowi, który, jak wiedziałem, dysponuje bezpiecznym schowkiem, czyli sejfem. Gdy jednak okazało się, że ktoś interesuje się dyrygencką pałeczką, postanowiłem natychmiast poinformować o tym nadkomisarza.

- No cóż - łągałem dalej - miałem nadzieję, że sam wręczę drogocenną batutę mistrzowi Rucacellemu, gdy ten w końcu odzyska przytomność - a jak on się w tej chwili czuje? - ale głos sumienia i poczucie obowiązku każą mi zwrócić się do policji z prośbą o pomoc.

Oficer przyglądał mi się beznamiętnie. Gdy skończyłem, popatrzył na ścianę, przygryzając wargę. Zachodziła obawa, że się porani.

- Czy wymienił pan już dowód osobisty, panie Bartku? - Nie takiego pytania się spodziewałem.

- Nie, nie miałem kiedy się tym zająć. - Nie musiałem udawać zaskoczonego; pytanie nadkomisarza zbiło mnie z tropu. Ale było to z jego strony tylko złośliwe ukąszenie; sam chyba za bardzo nie wiedział, co powiedzieć.

- Niech pan mi da tę pałeczkę. - Spod groźnie zmarszczonych brwi przyjrzał się podanemu przeze mnie przedmiotowi.

- I toto jest takie cenne? Żeby ludzi dla tego czegoś zabijać i napadać, i rabować, no, no... - Krytycznie lustrował batutę, poświęcając nagle więcej uwagi jej metalicznym inkrustacjom.

- No tak, złoto...

Pan Sebastian ze zgrozą przyglądał się rzekomej ignorancji śledczego.

- Pozwoli pan zauważyć, że w grę wchodzić może wartość zgoła inna od materialnej.

Policjant z błyskiem oka spojrzął na mówiącego; przejrzałem jego gierkę; próbował sprowokować fachowca do kilku wnikliwych sądów. Nie przeszkadzał antykwariuszowi, który wygłosił krótką rozprawkę na temat: co i z jakich powodów może okazać się wartościowe. Mnie również odpowiadał taki rozwój rozmowy. Gdy pan Sebastian skończył, a nadkomisarz dopiero otwierał usta, aby zareagować, wstrześliem się z taką oto kwestią:

- A więc mamy odpowiedź. W świetle tego, co powiedział pan Mars, nie dziwi, że ludzie gotowi są do ciężkich występków, byle tylko wejść w posiadanie czegoś tak cennego. Rozumiem, że panowie zabezpieczyli wszystko, co było własnością dyrygenta. Tam mogły być jeszcze inne cenne przedmioty.

Nie byłem pewien, co oficer o mnie myśli; ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, wnioskowałem, że uważa mnie za idiotę lub spryciarza, ewentualnie ich kombinację, z trudnym do uchwycenia stosunkiem procentowym. Nie musiałem mu ułatwiać rozstrzygnięcia tej kwestii, a on nie musiał mi odpowiadać. Ale uczynił to.

Każdy z nas rozgrywał swoją partyjkę.

- Tak, przeszukaliśmy pokój ofiary w hotelu Luxor i zabezpieczyliśmy wszystko, co się w nim znajdowało. - Jasne, dla nas maestro, dla niego

ofiara. - Pomieszczenie nosiło ślady przeszukiwania. Nie stwierdziliśmy włamania, ale najwyraźniej ktoś czegoś tam szukał. Być może chodziło o ten przedmiot - niedbałym ruchem wskazał batutę - którego, przynajmniej, nie odnaleźliśmy także w trakcie oględzin pokoju dyrygenckiego w filharmonii. Chyba nikomu nie przyszło do głowy, aby szukać we wnętrznościach fortepianu. - Wnętrznosci fortepianu zabrzały w jego ustach taką ohydą, że wcale nie zdziwiło mnie ich pominięcie. - Oczywiście sprawdzimy to, co pan mówił, porozmawiamy z sekretarką i z tą - jak jej tam - pianistką animatorką, czy faktycznie było tak, jak pan mówi i dlaczego właściwie to nie ona znalazła batutę.

Tego właśnie się obawiałem...

- Pewnie był pan nieraz na grzybach. Przecież często się zdarza, że tam, gdzie my nic nie widzimy, ktoś inny znajduje dorodne borowiki. - Miałem wrażenie, że w spojrzeniu Bielskiego pojawiła się jakaś nowa nuta; podobna do tej, którą widziałem kiedyś na filmie w oczach niejakiego inspektora Dreyfusa. Nie należało przesadzać.

- Szukajcie, a znajdziecie: zauważyłem, zaopiekowałem się, a gdy okazuje się, że niewystarczająco, to zwracam się do pana. To chyba wystarczający dowód obywatelskiej postawy? - próbowałem bez szwanku wyjść z sytuacji, która lada chwila mogła przyjąć niekorzystny dla mnie obrót.

Ale przecież była jeszcze jedna interesująca mnie kwestia. Nie wymyśliłem nic lepszego niż zadanie pytania z tak zwanego głupia frant (cokolwiek by to miało oznaczać) :

- Panie komisarzu, wydawało mi się, że widziałem wczoraj waszych ludzi w okolicach jeziorka. Czy słusznie podejrzewam, że je przeszukiwaliście? Czy sądzi pan, że dyrygent mógł tam coś wrzucić?

Bielski robił wrażenie zupełnie zaskoczonego.

- My, jeziorko? A dlaczego niby mielibyśmy to robić?

- Ba, jakbym to wiedział, pewnie bym pracował w policji.

Nadkomisarzowi nie spodobał się ten żart, więc czym prędzej dodałem:

- Wydawało mi się, że pan sam o tym mówił...

Zrobił dziwną minę. Nie wiedziałem, czy mnie kocha, czy nienawidzi.

- Nie, zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, zresztą, według pańskich słów, nie wydarzyło się nic, co kazałoby nam to uczynić. - Spoglądał na mnie wzrokiem, którego nie lubiłem.

- Oczywiście, oczywiście, ale przecież panowie mają swoje informacje... Tego już naprawdę nie rozumiałem; jedno moje słowo miało dla policji moc sprawczą? A może Bielski po prostu potrafił słuchać i dzięki inteligencji lub intuicji wyciągał właściwe wnioski? Nie trwoniał sił i środków na

bezcelowe działania.

- Nie, to nie my, ale sprawa wygląda interesująco. Może pan powiedzieć, co pan właściwie widział?

Wyglądało na to, że nieopatrznie sprzedałem policji nieznaną jej informację. To co oni właściwie wiedzieli?!

- Tak, teraz jestem prawie pewien, że to było logo klubu płetwonurków, stąd pewnie wszystko mi się pomieszało. - Mój Boże, nigdy nie widziałem na oczy logo klubu płetwonurków, nie wiedziałem, czy taki klub w ogóle u nas istnieje, a moje tłumaczenie było mało przekonujące, ale w gatunku literackim zwanym mataczeniem dochodziłem do coraz większej wprawy.

- Dobrze, mniejsza z tym, sprawdzimy. - Bielski zdawał się bagatelizować nowy wątek. - Panie Czarnoleski, najważniejsze, że udało się ustalić, o co chodzi przestępcom. Bo z tym mieliśmy dotąd największy problem. Brakowało nam właśnie tego czegoś, motywu ich działania.

Wiedziałem o tym, nie da się ukryć.

- Jestem na pana wściekły, że na własną rękę bawił się pan w strażnika batuty, ale paradoksalnie, pomógł nam pan. Ten dzisiejszy napad na antykwariat wydaje się rozstrzygać sprawę. Sprawcom zależy właśnie na tym przedmiocie. Przejmuję go więc i natychmiast skontaktuję się z naszymi specjalistami; oni dokładnie powiedzą, co aż tak cennego jest w tym pięknym, przyznaję, kawałku drewna. Ale pan niech już nie bawi się w konserwatora zabytków; u nas pracuje paru niezłych fachowców z tej branży.

Nie kwestionowałem ani słowa z wystąpienia Bielskiego. Pewnym dreszczem przejmowała mnie świadomość, że jestem w stosunku do niego znacznie mniej szczerzy, niż mógł przypuszczać. Na koniec wystąpiłem z dramatycznym apelem o nagłośnienie przejęcia przez policję zawartości sejfu; oficer podzielał mój pogląd, z przyganą zauważył jednak, że to ja jestem sprawcą całej sytuacji. Z pokorą przyznałem rację, w zamian otrzymując zapewnienie, że jeszcze dziś radio, lokalna telewizja i portale internetowe, a jutro także gazety doniosą o napadzie na antykwariat i przedsięwziętych z tego powodu krokach i środkach ostrożności.

Po spisaniu protokołu ekipa śledcza wraz ze swoim szefem opuściła antykwariat. A nam wypadało zastanowić się, co dalej. Z mieszanymi uczuciami przyglądaliśmy się... batucie Rucacellego, która znowu leżała na stole.

No tak, pora się przyznać. Z zestawu, którym uraczyliśmy inspektora Bielskiego, jedynie futerał był oryginalny. Do środka włożyliśmy dyrygencką pałeczkę, przyniesioną przez pana Sebastiana z góry. Była jednym z wielu bibelotów stanowiących kolekcję rzeczy nieprzydatnych a niewyrzucalnych, jak zwykł to określać. Teraz przyszło jej zagrać rolę życia.

Oddanie batuty Rucacellego wyeliminowałoby nas z gry. Gry, której dyscypliny nie byliśmy w stanie, na razie, zdefiniować.

Rozpowszechnienie informacji, jakoby pałeczki nie było już w naszych rękach, dawało szansę na zmylenie coraz bardziej zdeterminowanych przestępców.

Czy mogłem jednak liczyć, że bandyci śledzą na bieżąco internet, słuchają radia i oglądają telewizję? A jeśli rzeczywiście są obcokrajowcami i nie rozumieją naszego języka? Nadkomisarz obiecał, że patrole będą częściej zaglądać w ten zazwyczaj spokojny zaułek, zostawił też dwa numery telefonów, w razie gdyby cokolwiek wzbudziło niepokój antykwariusza. To wszystko wydawało mi się jednak niewystarczające.

Zaproponowałem więc, że najbliższą noc spędzę na kanapie w antykwariacie, z Estonem u boku. Pomimo alarmu zainstalowanego w drzwiach i oknach przyda się jeszcze tak imponujący strażnik - nie ja, tylko pies oczywiście. A dla jego psychiki będzie lepiej, gdy zostanę w pobliżu.

Pan Sebastian opierał się trochę, w gruncie rzeczy ucieszyła go jednak moja propozycja. Musiał być mocno zaniepokojony, choć starał się tego nie okazywać. Widziałem, że zastanawia się jeszcze nad jakąś sprawą.

- Nie byłem pewien, czy to może mieć związek - zaczął - dlatego nic nie mówiłem policji, ale tobie powiem. Dziś rano odwiedził mnie pewien jegomość. Powiedział, że ma do zaoferowania unikatowe, gdańskie wydanie astronomicznego dzieła *Selenographia* Jana Heweliusza z tysiąc sześćset siedemdziesiątego trzeciego roku, czym wprowadził mnie w prawdziwe zdumienie. Nie chciał jednak pokazać rarytasu, wizytę zaś tłumaczył chęcią sprawdzenia środków bezpieczeństwa, którymi dysponuje antykwariat, zanim zdecyduje się powierzyć mi starodruk. Powiedziałem mu o systemie alarmowym i niewielkim, lecz solidnym sejfie znajdującym się poza zasięgiem wzroku klientów, ale pod moją kontrolą, czyli na zapleczu. Aby go przekonać, napomknąłem, że nie dalej jak wczoraj znajomy prosił mnie o przechowanie w nim czegoś cennego. - Spojrzał na mnie, jakby wychwytyjąc niepokojącą myśl. - Nie, nie - broń Boże, nie mówiłem, że chodzi o batutę Rucacellego. Upierał się, żeby zobaczyć sejf, ale powiedziałem, że wolę najpierw zobaczyć jego białego kruka, który a nuż okaże się falsyfikatem. Trochę się obraził, choć w sumie wydawał się zadowolony. Miał przyjść po południu, ale jeszcze go nie było, zresztą przecież jest zamknięte...

Pocziwy pan Sebastian. W pewnych sprawach genialny, w innych naiwny jak dziecko. Czy naprawdę sądził, że tajemniczy klient się zjawi? Przecież nie ulegało wątpliwości, że rzekomy koneser rozpracowywał

system bezpieczeństwa antykwariatu. Nawiasem mówiąc - kim był? Fakt, że wykonał zadanie zlecone mu przez późniejszych agresorów, wydawał się bezsprzeczny. Przynajmniej dla mnie. Jeśli więc nie chodziło o żadne białe kruki, ani też nie grał na własną rękę, mogło to oznaczać, że księżycowe sylwetki - bo nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że to one zaatakowały antykwariat - zyskały jakiegoś lokalnego sprzymierzeńca lub choćby tylko pomagiera. Dlaczego jednak włamali się też do mojego mieszkania? Prawdopodobnie chcieli mieć stuprocentową pewność, że batuty już u mnie nie ma. Zaatakowanie antykwariatu wiązało się z większym ryzykiem niż przeszukanie pustego i bezbronnego poddasza.

Nagle poczułem, że muszę wyjść, pospacerować, zrobić coś, bo wypadki nabrały takiego tempa, że coraz trudniej mi za nimi nadążyć. Wydarzenia zdawały się żyć własnym życiem, a ja nie wiedziałem, w którą stronę obrócić głowę. Pewnie dlatego, że brakowało mi dystansu.

Przeprosiłem pana Sebastiana, który zresztą chciał uporządkować antykwariat, i wyszedłem na ulicę.

Ile razy można wałkować ten sam materiał? Pewnie wiele, na tym zresztą polega praca detektywa; efektowne wolty, piorunujące odkrycia i momenty olśnień są zapewne jedynie przysłowiową wisienką na olbrzymim torcie dociekań, błędnych wniosków i ponownych zestawień faktów.

Szedłem więc przed siebie, odrzucając myśli dotyczące próby zabójstwa Damiana Rucacellego. Zrezygnowałem z zamiaru wizyty w barze hotelu Luxor. Nie byłem sobie w stanie poradzić z już posiadanymi informacjami; chwilowo nie potrzebowałem następnych. Nogi same zaniósły mnie nad rzekę; monotony przepływ wody uspokajał nerwy, przywracając poczucie niespieszności i konsekwencji świata, który bez względu na wszystko i tak zdąża w swoim, sobie tylko znanym kierunku. Zamknąłem oczy i jeszcze bardziej odsunąłem od siebie wszystkie myśli, również te, które przez ostatnie dni towarzyszyły mi nieustającym kontr napięciem: na finiszu przygotowań do konkursowych przesłuchań, zamiast poświęcić im cały swój czas i wszystkie siły, dałem się porwać wydarzeniom, które skutecznie mnie odciągały, a którymi tak naprawdę nie ja powinienem się zajmować.

Kiedy więc udało mi się na chwilę wszystko odrzucić, gdy byłem tylko ja, chłód jesiennego wieczoru i szum rzeki, wyobraziłem sobie, że moja głowa jest pudełkiem z pomieszaną zawartością. Wziąłem je w ręce, odwróciłem do góry dnem i wysypałem na ziemię. Teraz, po kolei podnosiłem wszystko, co z niego wypadło, i w odpowiednim porządku na powrót wkładałem każdą rzecz do pudełka, a w końcu osadziłem je na właściwym miejscu - mojej głowie.

Ciekawa terapia, nigdy wcześniej jej nie próbowałem, ale poczułem nagle, że dwie rzeczy, jedna po drugiej, stają się bezwzględnie oczywiste. Po pierwsze: nie mogę odpuścić ćwiczenia i zrezygnować z udziału w przesłuchaniu; jest to absolutny warunek mojej psychicznej higieny. Tylko wtedy będę mógł być twórczy w innych dziedzinach, nawet kryminalnych. I jakby fakt potwierdzenia lojalności wobec samego siebie miał moc sprawczą, pojawił się wniosek drugi. Dziwiło mnie, że do tej pory nie byłem w stanie zdefiniować go.

Otóż batuta stanowiła klucz do zagadki, ale klucz zaledwie otwiera drzwi tajemnicy. Przypomniały mi się słowa Rucacellego, wypowiedziane podczas próby generalnej:

„Muzyka jest jak życie, pełna zagadek i znaków zapytania. Trzeba bardzo uważać, aby nie zgubić właściwego kierunku. Ale mamy wszelkie dane, aby nam się to wspólnie udało. Niech państwo wyobrażą sobie, że zamiast batutą będę dziś wieczorem dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci. Otwórzmy je wspólnie”.

Wówczas brałem je za popisową scenkę odegraną dla pięknej wiolonczelistki, bo w istocie, na nią patrzył w trakcie wygłaszania przemowy. Były tam muzyka i życie, ale też zagadki i znaki zapytania. Była batuta, ale też klucz. Czy wszystkie te słowa miały jedynie symboliczny charakter? Wiolonczelistka była adresatką rysunków i wierszy; w zawołowanej formie Rucacelli coś jej przekazywał. Aż do czasu gdy mógłby mówić bardziej zrozumiale. Czyli kiedy? Po konferencji prasowej? Czy wcześniej, gdy obiecywał dziewczynie niezapomniany wieczór, do którego z wiadomych powodów nie doszło?

Było oczywiste, że moją rolę w opowieści napisał przypadek. Ale, znalazłszy się w środku, wcale nie miałem zamiaru jej opuszczać. Byłem zbyt ciekawy dalszego ciągu.

Zatrzymałem się w inwentaryzacji pudełka, bowiem klocki, które zaczynały się teraz, nie tworzyły klarownego obrazu. Nie po to je porządkowałem, aby znów pogubić się w chaosie niespójnych domysłów.

Pływające po wodzie śmieci wpadały co chwila w mniejsze lub większe wiry zakłócające spokojny nurt. Kręciły się bezradnie w kółko, w lewo albo w prawo, lewoskrętnie albo prawoskrętnie...

Znad nurtów posępnej o tej porze roku rzeki wzbijała się mała ćma, ta sama, która od dwóch dni towarzyszyła mojemu zasypianiu. Obawiałem się, że już na zawsze pozostanie wyłącznie niezrozumiałym, przedsennym

mirażem. Teraz jednak widziałem ją znowu, odległą na razie, niepodobną do barwnego motyla, którym wydawała mi się przez moment, ale realną. Miałem nadzieję, że ten mały przybysz z krainy przeczuć od tej chwili będzie mi wiernie towarzyszyć.

Rozdział VIII

Środa cd.

Wracalem do domu z determinacja i niecierpliwoscia. Nie moglem sie doczekac, aby otworzyc futerał i z miejsca rzucic sie na najtrudniejsze fragmenty utworow. Przeciez bylem przede wszystkim muzykiem; rozumialem specyfike swojego instrumentu i instrumentow smyczkowych, znałem - z dobrej i zlej strony - psychike poszczegolnych grup instrumentalnych orkiestry, pojmovalam funkcjonowanie tego paradoksalnego, niemozliwego zdawaloby sie tworowi, który w heroicznym wysilku probowal laczyac ogien z woda: skrajny indywidualizm muzykow, ich przeswiadczenie o swojej wyjatkowosci, niepowtarzalnosci, nieomylnosci, z potrzeba - ba, koniecznoscia - dyscypliny, bolesnego nieraz podporzadkowywania sie dobru nadrzednemu, jakim jest fenomen koncertu. Jakby dopiero suma wszystkich roztopionych we wspolnym tyglu kruszcow mogla dac ten jeden niepowtarzalny, o najwyzszej probie i niemozliwej do podrobienia szlachetnosci...

Trudno jest rozpatrywac zjawisko orkiestry, która wydaje mi sie bez mala ziemską próbą odtworzenia kosmicznego ladu (a moze chaosu?), w oderwaniu od potraktowanej w najwiekszym chocby skrocie historii muzyki.

Czy jesli powiem, ze jej narodziny byly zarazem narodzinami chóru i orkiestry rozumianych jako grupa ludzi zjednoczonych we wspolnym wysilku dzwiekowym - bede bardzo daleki od prawdy? Czy pierwsze improwizacje wokalne i rytmiczne na cześć: słońca, księzyca, a moze udanych łowow, wykonywane wspólnie, bo stanowiacie istotny element rodzacego sie zycia socjalnego, nie byly w istocie praprzejawami obu wymienionych formacji?

Musialo minac wiele tysiacleci, przez które sztuka zdołala wyrwac sie do samoistnego bytu, aby zostaly nazwane, choc jeszcze nie w sensie, w jakim rozumiemy je dzisiaj: orchestra, slowo pochodzace z antycznej greki - a znane rowniez w starozytnym Rzymie - oznaczalo miejsce na scenie, na którym miał wystepowac choros.

Dopiero kolejne stulecia stopniowej transformacji doprowadzily oba pojecia na granice wspolczesnego ich odczytania.

W renesansie, az do roku 1600, nie doszlo jeszcze do wyraźnego rozgraniczenia głosow wokalnych i instrumentalnych w ramach jednego utworu. W baroku natomiast instrumentarium orkiestrowe nie bylo ściśle

określone. Jeśli przyjrzymy się orkiestrowej twórczości Jana Sebastiana Bacha - dla przykładu, sześciu *Koncertom brandenburskim* - okaże się, że każdy z nich był stworzony dla zupełnie innej grupy instrumentów.

W rozumianym przez nas znaczeniu - jako określony typ zespołu instrumentalnego - termin „orkiestra” zaczął funkcjonować w drugiej połowie wieku XVII. To wtedy, w okresie klasycyzmu (późna szkoła neapolitańska, szkoła mannheimska) ostatecznie wykluła się mała orkiestra symfoniczna: archetyp zespołu, który jako załążek wszystkich późniejszych pęcznień i eksplozji przetrwał do dziś.

Okres romantyzmu zaowocował orkiestrowym rozkwitem, którego konsekwencją staje się przemiana małej w wielką; za twórcę wielkiej orkiestry symfonicznej (*Lohengrin, Tristan i Izolda*) - w przyszłości jeszcze powiększonej (tetralogia *Pierścień Nibelunga*) - uchodzi Richard Wagner.

To wtedy rozpoczynało się zjawisko przez wybitnego muzykologa Bohdana Pocięja określone słowami: „orkiestra symfoniczna jako romantyczne szaleństwo muzyki”. W konsekwencji tego szaleństwa runęły granice wyobraźni.

O ile w prawykonaniu *VII Symfonii* Beethovena uczestniczyło 27 muzyków, o tyle do pierwszego wykonania swojego *Requiem* Hector Berlioz zatrudnił zespół 465 instrumentalistów i 360-osobowy chór. Za symboliczny szczyt rozwoju można by chyba uznać *VIII Symfonię* Gustava Mahlera, utwór, do wykonania którego potrzeba około... tysiąca wykonawców (instrumentalistów i wokalistów).

Wiek XX to symfonia Dymitra Szostakowicza, operowy paroksyzm Richarda Straussa, ale też francuski impresjonizm z Debussym i Ravelem, szkoła wiedeńska z Bergiem, Webernem i Schönbergiem, niezwykle dzieła Bartóka, Szymanowskiego, Prokofiewa i Strawińskiego, w końcu Messiaen, Stockhausen, Lutosławski... Dla nich i wielu, wielu innych - wszystkich nie zdołam, a nawet nie próbuję wymienić - orkiestra stanowiła naturalne medium; doskonałą i nieograniczoną paletę możliwości, którą i dla której barwili swoje genialne konstrukcje. Jak jednak muzyka XX wieku, która eksplorując coraz odleglejsze dźwiękowe łądy, stąpała po coraz bardziej kruchym i niepewnym lodzie, tak i orkiestra, stając się w tych poszukiwaniach partnerem, naraziła się na trud pionierskich niepowodzeń.

Z drugiej strony, spychana do roli katarynki, powtarzającej nieustannie kilkadziesiąt najchętniej słuchanych utworów, doczekała się oskarżeń o epigonizm.

Czy jednak odkrywanie i cykliczność nie stanowią dwóch podwalin ludzkiej cywilizacji? Bez odkryć stalibyśmy w miejscu; pozbawieni historii - utracilibyśmy tożsamość...

Nieoczekiwanie to film, przeżywający swój nieustanny, żywiołowy rozwój, zaczął korzystać pełną garścią z nieograniczonego potencjału ilustracyjnego orkiestry symfonicznej, ale cokolwiek by mówić, muzyka pełni w filmowym obrazie funkcję służebną.

Czym więc orkiestra jest dzisiaj? Czy w dalszym ciągu ewoluuje? Wydaje się, że tak, choć trudno jednoznacznie określić kierunek tej ewolucji. Osiągnąwszy szczyty rozpasania dźwiękowego, jest od połowy XX - a już na pewno w XXI wieku - tworem, który dla wielu stanowi anachronizm. Po co zatrudniać i opłacać dziesiątki muzyków, kiedy ich pracę ze zbliżonym efektem może wykonać komputer i syntezytor?

I ja skłaniam się do teorii, że jeden ze szczytów, kiedy pyszna i dumna, zdawała się mówić: dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych, orkiestra symfoniczna ma za sobą. Ale to nie znaczy, że straciła rację bytu; wręcz przeciwnie, jest i pozostanie niezbędna do uprawiania w życie stworzonych przez wieki arcydzieł. A poza tym - jej kolejny szczyt może wyglądać całkiem inaczej...

Bycie muzykiem nie oznaczało i nie oznacza konieczności grania w orkiestrze. Wystarczy jednak spojrzeć na sprawy statystycznie; to orkiestry ciągle jeszcze są - bo nie jestem pewien, czy będą - największymi pracodawcami na muzycznym rynku. Ale prócz gwarancji stałej pracy dają one coś więcej; szansę przeżycia wrażeń, które dla innych pozostają niedostępne, scalenia z muzycznym uniwersum. Czy można wyobrazić sobie udział w tworzeniu, na przykład, *Ostatniej Wieczery* Leonardo da Vinci? Oczywiście, monumentalne dzieła architektury, rzeźby czy malarstwa wymagają niejednokrotnie pracy całej armii artystów i rzemieślników. I nikt nie może im odebrać twórczej satysfakcji. Jednak o ile wzniesienie *Piramidy* egipskiej, wybudowanie katedry w Barcelonie lub ozdobienie freskami Kaplicy Sykstyńskiej jest artystycznym mozołem rozłożonym na lata, o tyle bycie elementem orkiestrowej maszyny, powołującej do brzmienia zaklętą w partyturze *IX Symfonię* Beethovena jest jak akt miłosny, jak błyskawica zesłana z nieba i kreśląca dźwiękowy obraz, który trwa tylko chwilę, tu i teraz, i znika, bo taka jest natura najbardziej niematerialnej ze sztuk.

Istnieje przecież ogromna przestrzeń pomiędzy pojedynczym instrumentem a wieloinstrumentalnością orkiestry. Pomiędzy nimi, jak między dwoma biegunami, rozlewa się morze duetów, tercetów, kwartetów, i wszystkich innych „-etów”, najróżniejszych zestawów instrumentalnych, zespołów i orkiestr kameralnych.

Ale bez względu na to, w jakiej formacji się występuje, istota indywidualnego grania zawsze pozostaje niezmienna, bo jest z nią trochę tak jak

z modlitwą: nawet jeśli modlisz się w pełnym ludzi kościele, czyń to w swoim własnym imieniu - inaczej nie zostaniesz wysłuchany...

Nie chcę przez to powiedzieć, że wykonanie każdej muzyki, w każdych okolicznościach i przez jakichkolwiek muzyków gwarantuje artystyczną kreację. Na pewno nie. Zbyt dużo wysublimowanych warunków musi zostać spełnionych, aby tak było. Ale to się zdarza. I dla owych chwil zawód ten warto uprawiać.

Tymczasem jednak przysłała już pora, by zstąpić z połonin ducha, chociaż było mi na nich całkiem niezłe. Należało wziąć się do pracy, bez której najwznieślijsze nawet słowa nie przybiorą realnego kształtu.

Najpierw musiałem uprzątnąć nieład spowodowany wizytą nieproszonych gości. Na szczęście przeszukanie mojego mieszkania było powierzchowne i pozbawione cech niszczycielskich. Sprawcy musieli być prawie pewni, że batuty tu nie znajdują, ale zawodowa skrupulatność nakazywała im wyeliminowanie takiej możliwości w stu procentach.

Potem przysłała pora na gamy, dwudźwięki, pasaże - coś dla lewej ręki, oraz różne rodzaje artykulacji - co nieco dla prawej. Później etiudy, muzyczne miniatury, które ogniskują swoją uwagę na rozmaitych zagadnieniach technicznych. Często są to żmudne ćwiczenia o zróżnicowanym stopniu trudności i poprawnej jedynie, drugorzędnie potraktowanej wartości artystycznej. Ale znane są przypadki etud - muzycznych perełek; piekielnie trudne 24 kaprysy op. 1 Niccolò Paganiniego dla skrzypków, a przede wszystkim genialnych 12 etud na fortepian op. 10 Fryderyka Chopina.

Nie muszę dodawać, że na altówkę takich arcydzieł nie ma, choć *Kaprysy* Paganiniego można na niej grać, tyle tylko że z uwagi na wielkość instrumentu stają się jeszcze trudniejsze. Tego wieczoru rozciągałem rękę na wszystkie strony, mierząc się z co najmniej pół tuzinem najtrudniejszych z nich...

A gdy przysłała pora na Stamicza i Bartóka, odłożyłem instrument, wziąłem do ręki nuty i zacząłem grać w wyobraźni; znałem te utwory nie od dzisiaj, a porcję altówkowego fitness, miałem już za sobą.

Gra na instrumencie jest projekcją wewnętrzną koncepcji; silne i wytrenowane ręce są jej wykonawcami, ale wynika ona z wiedzy i wrażliwości (talentu?), a rozgrywa się w wyobraźni muzyka.

W końcu sięgnąłem po wymagane na nadchodzącym egzaminie fragmenty partii orkiestrowych. Włożyłem do odtwarzacza płytę z kompilacją odpowiednich nagrań i włączyłem się w nurt orkiestrowego grania. Za

cel postawiłem sobie jak najwierniejsze realizowanie tekstu partytury; tu kończyła się licencja na interpretację. Tak na marginesie - to byłby ładny film:

License to Interpret

Starring The Viola Player - agent 000, or even less...

„My name is Player, Viola Player”

Taką sesję zaordynowałem sobie tego wieczoru; gdy katedralne dzwony wybiły godzinę dwudziestą pierwszą, byłem wyczerpany. Za to mentalnie gotowy, aby zająć się wszystkim pozostałym. A było tego wcale niemało...

Zacząłem od internetu i sprawdzenia, czy pojawiły się w nim oczekiwane wieści. Tak, na szczęście tak; nie tylko lokalne, ale wszystkie ważniejsze portale informacyjne przynosiły wiadomość o próbie kradzieży starodruków z antykwariatu przy ulicy Kanonicznej oraz - w konsekwencji - przekazaniu eksponatów z sejfów w depozyt policji aż do wyjaśnienia sprawy - czytaj: złapania sprawców. Od antykwariusza dowiedziałem się później, że podobnej treści newsy były słyszalne i widzialne w programach informacyjnych radia i telewizji. Byłem wdzięczny nadkomisarzowi za szybkie i skuteczne rozgłoszenie adresowanego w gruncie rzeczy do następników przesłania. Nic lepszego nie można było na razie zrobić, choć oczywiście ze spędzenia wraz z Estonem nocy w antykwariacie, w charakterze strażników, nie zamierzałem rezygnować.

Po spacerze znaleźliśmy się więc na parterze kamienicy. Pan Sebastian był w doskonałej formie, sklep został uporządkowany i tylko zięjące brakiem szyb półki ozdobnej gabloty przypominały o wydarzeniach popołudnia. Antykwariusz zajęty był reperacją i konserwacją uszkodzonych książek; aż miło było patrzeć, jak w jego sprawnych i wrażliwych dłoniach odzyskiwały swój dawny wygląd.

- Wchodźcie, wchodźcie, ja już zaraz kończę. - W powietrzu unosił się przedziwny chemiczno-żywczy zapach wydzielany przez specjalny rodzaj kleju. - Rozgośćcie się, zaraz napijemy się herbaty.

Eston kichnął kilkakrotnie.

- Wiesz, Bartku, chciałem ci coś pokazać. Przyjrzyj się temu.

Obok siebie na stole leżały dwie kartki: z kotem, autorstwa Rucacellego, i ta obustronnie zapisana, wyjęta z fortepianu marki Bösendorfer, a wcześniej z batuty.

- Przyglądam się, ale nic nie widzę...

- Pod twoją nieobecność przeprowadziłem porównawczą analizę grafologiczną obu charakterów pisma. - Teraz dopiero zauważyłem, że portret

kota był podpisany autografem maestra. - Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mogę powiedzieć, że ten, kto podpisał się pod kotem, nie jest autorem słów na drugiej kartce, co oznaczałoby...

- ...co znaczyłyby ostatecznie - wpadłem mu w słowo - że ich autorem nie jest Rucacelli. Hm, to właściwie nic nowego. Przecież jeśli kartka, na której wykonano napis, pochodzi sprzed pięćdziesięciu do stu lat, to dyrygent nie mógł go wykonać.

- Teoretycznie mógł napisać coś na starym kawałku papieru.

- To prawda, ma pan rację, dobrze jest porządkować fakty. Panie Sebastianie, chciałbym raz jeszcze przyrzeć się batucie.

Lewoskrętnie albo prawoskrętnie... Jak nie można w lewo, to spróbuj w prawo, podpowiadała mi ćma znad rzeki. Szansa nie wydawała się duża, ale czy nie należało mimo wszystko spróbować?

Początkowo napotykałem opór, ale coś mi mówiło, żebym nie poddawał się za łatwo. I rzeczywiście, po chwili pierwszy z pierścieni drgnął...

Prawoskrętny gwint. Proste, a jak skuteczne zabezpieczenie.

Wkrótce oba pierścienie zostały odkręcone. Lekko drżącą ręką, jakbym miał do czynienia z wiekową chińską porcelaną, położyłem nakrętki na stole. Kształt, który się spod nich wyłonił, nie od razu stał się dla mnie oczywisty. Dla mnie nie, ale antykwariusz nie wahał się ani przez chwilę.

- Klucze.

Poczułem lekki dreszcz. Musiała minąć kolejna chwila, gdy w uszach ponownie zadźwięczały mi słowa Rucacellego:

„Zamiast batutą będę dziś dyrygował kluczem: do ludzkich serc, uczuć i pamięci”.

Teraz było już pewne, że nie chodziło mu wyłącznie o figurę retoryczną. To musiało być coś więcej. Tylko co i o ile więcej? Batutę i klucz już mieliśmy, pozostawały więc: serca, uczucia i pamięć...

Cokolwiek by to miało oznaczać, posuwaliśmy się do przodu.

- Panie Sebastianie, jak pan myśli: dlaczego są dwa klucze? Antykwariusz spojrział na mnie zdumiony.

- Bo są dwa zamki albo...

Rzeczywiście chyba zmęczenie odbierało mi zdolność wyciągania najprostszych nawet wniosków. Albo?

- Albo jeden, ale podwójny; klasyczny rodzaj zabezpieczenia sejfów.

- Aha...

Nagle, po kilku dniach poszukiwania wniosków, które przed uformowaniem rozwiewały się jak przepędzane wiatrem chmury, padło słowo obleczone bardzo konkretnym znaczeniem. Tylko słowo.

Na początku było Słowo...

Myśl moja podryfowała za daleko i zbyt głęboko, a jednak poczułem, jakby moja szyja, łagodnie ściśnięta dwoma palcami, na moment zdrętwiała.

Podekscytowani, próbowaliśmy zrozumieć sens odkrycia. Ale tego dnia nie posunęliśmy się już do przodu. Po kilku kwadransach łamania głów, mając przeświadczenie, że nic a nic nie posuwamy się do przodu, zaniechaliśmy wysiłków. Gawędziliśmy jeszcze chwilę, ale nie za długo, bo każdy z nas był zmęczony i marzył o odpoczynku. Miałem jednak pewność, że świeżo odkryte klucze rzucają swój zagadkowy cień na wszystko, o czym mówimy i myślimy.

Noc przebiegała bez żadnych niespodziewanych wydarzeń. Zasnąłem bez problemu, na całkiem wygodnej kanapie, a gdy czasami otwierałem oko, widziałem, że Eston czuwa, więc uspokojony zasypiałem ponownie.

Szedłem korytarzem filharmonicznym, gdy naprzeciw mnie pojawiło się dwóch dobrze ubranych ciemnowłosych mężczyzn. Z ich ruchów wnioskowałem, że niosą jakiś niewidoczny przedmiot, na przykład taflę szkła. Nie zamierzali jednak zwolnić, więc pomyślałem, że to tylko złudzenie; ich nienaturalne pozycje mogły wynikać z chęci zrobienia mi miejsca w dość wąskim przejściu. Wszedłem więc śmiało między nich i to był błąd. Odgłos pękającej szyby i - jak w zwolnionym tempie - opadającego na ziemię szklanego deszczu, oszołomił mnie i przeraził. Poczułem, że się przewracam, rękami próbując osłonić głowę przed gradem ostrych, szklanych drzazg.

Wtem wśród szczątków rozprysniętej szyby dostrzegłem jakiś przedmiot. Nie zważając na kaleczące rękę odłamki, zanurzyłem ją w połyskującym szkłe. Już, już prawie miałem go w ręku, gdy jeden z mężczyzn wycełował we mnie batutę dyrygencką z trzema pierścieniami i jak czarnoksiężnik pałeczką, odebrał mi zdolność ruchu. Drugi podniósł z ziemi tajemniczy przedmiot i obaj oddalili się z szyderczym śmiechem.

Jak w koszmarnym śnie - nic nie mogłem zrobić; byłem unieruchomiony.

Zaległa cisza - i to ona mnie obudziła. To był naprawdę sen, w antykwaracie nie działo się nic podejrzanego, jedynie Eston zmienił pozycję z leżącej na siedzącą i przyglądał mi się bacznie.

Do rana jednak nie wydarzyło się nic niepokojącego, a żadna senna fantazja nie zmaciła już mojego odpoczynku.

Obudziłem się w całkiem przyzwoitej formie. Z nowym zapasem sił wzięłem się do sprawdzania porannych dzienników; dziś już wszędzie można było znaleźć informacje dotyczące napadu na antykwariat i otoczenia policyjną opieką zawartości sejfu. Wierzyłem, że metoda „usuń powód, a zniknie skutek”, okaże się skuteczna, jeśli tylko powód został prawidłowo zdefiniowany (to wydawało się pewne), a informacja o jego przemieszczeniu - że jedynie pozornym, nikt nie miał prawa wiedzieć - dotrze do tych, do których powinna trafić (tej pewności, niestety, nikt nie mógł zagwarantować). Wiedząc, że mimo najszczerzych chęci niewiele więcej mogą zrobić, postanowiłem żywić niezłomną nadzieję, że problem bezpieczeństwa antykwariusza, jego rodziny i samego antykwariatu jest przynajmniej czasowo rozwiązany (chyba w myśl kolejnej metody, „żyw niezłomną nadzieję, a ziści się ona”).

Warto było popracować, zanim dzień rozpocznie się na dobre. Przeczuałem, że znów może być bogaty w wydarzenia, i byłem gotów stawić im czoło, a nawet sam je trochę sprowokować, odbywając w końcu wizytę w hotelowym barze. Ale zgodnie z wczorajszym postanowieniem chciałem i musiałem zacząć od instrumentu.

Gdzieś po godzinie zadzwonił telefon. To była Wanda.

- Cześć, Bartosz, czy w związku z naszą wczorajszą rozmową przyszło ci coś do głowy?

- Nie, właściwie nie - zacząłem ostrożnie - a... dlaczego pytasz?

- Bartek, przecież ty sam szukałeś kontaktu ze mną, przecież to ty wypytywałeś mnie o Damiana. Podzieliłam się z tobą wszystkim, co wiedziałam, nawet bardzo osobistymi pamiątkami; w zamian, oprócz kilku słów o batucie, nie powiedziałeś właściwie nic. A przecież zauważyłeś chyba, że Damian był... jest mi nieobojętny...

Przez chwilę poczułem się zaskoczony; sądziłem, że dziewczyna po to pozbywała się dowodów swej znajomości z dyrygentem, aby się ostatecznie uwolnić od niego i wspomnień o nim. Kiepski ze mnie psycholog kobiet. Za to powoli awansowałem na etatowego powiernika pięknej wiolonczelistki. Ale dziewczyna miała rację. Traktowałem ją jak źródło potencjalnych informacji o Rucacellim bez zamiaru wzajemności. Czy nie było to z mojej strony nieco... instrumentalne?

Oczywiście zastanawiałem się nad rysunkami i wierszykami Rucacellego, ale do tej pory nie wiedziałem, jak je traktować.

Batuta pozostawała kluczowym elementem sprawy, ba, z dnia na dzień jej ranga rosła, ale działało się to bez związku z Wandą i bez jej udziału.

W kwestie okołopałaczkowe nie wtajemniczałem nawet policji; wyjątek stanowił antykwariusz, ale jego status był szczególny.

- Wanda, posłuchaj, chętnie z tobą porozmawiam, ale nie przez telefon. Może spotkamy się na mieście, tylko...

- Jędrzek? Nie przejmuj się nim, jest zajęty swoimi sprawami.

Jeszcze kilka dni temu perspektywa ujrzenia dziewczyny wprawiłaby mnie w euforię. Dziś już nie, choć możliwość zobaczenia jej ciągle nie była mi obojętna. Co natomiast robił w mieście Jędrzej? Miejsce eurodeputowanego - w środku tygodnia pracy - było w Brukseli. Do tej pory sądziłem, że na miejscu trzyma go zażegnywanie nieporozumień z narzeczoną, ale okazało się, że był zajęty swoimi sprawami. No dobrze, trudno, żebym i tym się przejmował...

Ciągle nie wiedziałem, co powiedzieć Wandzie. A może to ona miała w zanadrzu jakąś informację - znów zaskoczy mnie, nie wiem: uplecionym ze sznurka kwiatem albo etiudą, też autorstwa Rucacellego, zagraną na liściach brzozy i utrwaloną na magnetofonie (przesadziłem: liście brzozy w grudniu?) - która nieoczekiwanie okaże się brakującym fragmentem układanki?

Umówiliśmy się na popołudnie. Rano chciałem poświęcić granium i wizycie w hotelu, wieczorem zaś czekała mnie próba z fortepianem.

Zostawiłem sprawy swojemu biegowi; nie wszystko da się zaprogramować, a do popołudnia było jeszcze sporo czasu. Czasu, który pędził nieubłaganie.

Ponownie zabrałem się do pracy.

Około południa moja komórka odezwała się ponownie. Dzwonił Jacek - skrzypek, z którym wspólnie nagrywaliśmy muzykę do filmu. Był wzburzony:

- Bartek, słyszałeś już, co przytrafiło się Konradowi? - mówił o wiolonczeliście, którego zastąpiła Wanda.

- Słyszałem, że zachorował; inspektor sam do mnie dzwonił z pytaniem, czy nie znam kogoś, kto mógłby go zastąpić. - Poczuję niepokój.

- Nie zachorował, tylko został pobity! Przez kilku łysych. Napadli go w biały dzień, gdy wracał do domu po nagraniu. Jeden z nich rzucił jakiś chamski tekst, coś w rodzaju: tylko cioty grają na ciotowatych instrumentach, a jak Konrad im coś odpowiedział, to go przewrócili i skopali; jego i wiolonczelę. Chłopak ma złamaną rękę i jest cały potłuczony, a z instrumentu zostały drzazgi, nie wiadomo, czy w ogóle da się go odrestaurować.

Jakbym dostał obuchem w głowę. Wyobraziłem sobie ciężkie, podkute glany łysoli, pastwiące się nad kilkusetletnim drewnem szlachetnego instrumentu.

- Ale jak to? To jaki on miał futerał?
- Futerał miał dobry, ale nie zamykał go na klucz. Wystarczyło otworzyć dwa zatrzaski...

No tak, reszty nie musiał dopowiadać... Biedny chłopak, w parę sekund przeszedł bolesną lekcję dojrzałości. Czyżby takim nonsensem miała zakończyć się jego przygoda z wiolonczelą?

- Czy Konrad jest w szpitalu?
- Nie, już w domu. Po napadzie miał jeszcze tyle przytomności i zimnej krwi, że zadzwonił do inspektora Radiówki i nie wdając się w szczegóły, poinformował go o chorobie. Dziś złapałem go na czacie; zaczęliśmy rozmowę i wszystko mi opowiedział.

Nie znałem Konrada do tej pory, ale sytuacja zdawała się krzyknąć o jakiś rodzaj ludzkiej i zawodowej solidarności. Wiedziałem, że Jacek jest z wiolonczelistą zaprzyjaźniony.

- Czy masz zamiar odwiedzić go w najbliższym czasie? Dzisiaj nie bardzo mogę, ale na przykład jutro chętnie bym się z nim spotkał.
- Hm, właśnie myślałem, żeby się do niego wybrać. Może być jutro. Jak chcesz, to wpadnę po ciebie koło południa.
- Super, dzięki za telefon i do jutra.
- I tobie dzięki, do zobaczenia. - Jacek się rozłączył.

Teraz dopiero zaczęło do mnie docierać, co się właściwie wydarzyło. Paru kolesiów o mało nie zabiło człowieka, niszcząc mu przy okazji instrument - być może jedyną wartościową rzecz, jaką posiadał - tylko dlatego, że nie spodobała im się jego wiolonczela. Ciarki przeszły mi po plecach. Szkoda, że zapomniałem spytać, czy ich złapali.

Nie było już mowy o powrocie do ćwiczenia. Telefon Jacka zupełnie wybił mnie z nastroju do grania. Pomyśleć, że wkładasz w coś całe swoje siły, a tu paru bandziorem nie podoba się na przykład kolor twoich skarpetek i rujną ci życie.

A jeszcze jak ich złapią, to zaraz wypuszczą, twierdząc, że szkodliwość społeczna czynu była niewielka.

To niesłychane, jak wielu różnym nastrojom można podlegać w ciągu jednego dnia; czasami jesteśmy jak stacja odbiorcza, przedstawiamy się na fale, które nas przenikają i programują. To był kolejny stan, w ciągu zaledwie paru godzin, lecz z gatunku tych najgorszych, wyjątkowo dotkliwy. Jeśli przeznaczenie musi czasami pokazywać swoje ciemne strony, to dlaczego akurat tak? Dlaczego bezrozumną gębą bezmózgiego oprycha? Choć znów; czy lepiej być ugodzonym przez nieprzypadkowego nożownika? Pytania bez odpowiedzi. Najlepiej być zdrowym i bogatym... a przynajmniej zdrowym.

Osobiście nic mi nie dolegało, przerwałem więc swoje łzawe rozważania, bo to nie mnie potrzebne było współczucie. Postanowiłem zmienić kolejność spotkań i to z Wandą przełożyć na jutro, zresztą w nadziei, że zyskany czas pozwoli mi lepiej zastanowić się nad informacjami, którymi zdecyduję się z nią podzielić. Ciągle nie byłem pewien, jak mam ją traktować, a możliwości rysowało się kilka. Moja komórka trwała, niestety, w stadium odbiorczym. Na szczęście na rogu pobliskiej ulicy znajdował się automat telefoniczny. Zachodziła obawa, że któregoś dnia po prostu zniknie, tak jak całkiem niedawno instytucja telegrafu - w swoim czasie najszybszego środka łączności i komunikacji. Miałem nadzieję, że do tej pory moja sytuacja życiowa ulegnie stabilizacji.

Bez problemu dodzwoniłem się do Wandy i Jacka; o ile dziewczyna robiła wrażenie niezadowolonej z przełożenia spotkania - moja próżność poczuła się mile połechtana, choć pewnie bez powodu - o tyle Jacek był bardzo rad. Widocznie i on odczuwał dyskomfort z powodu opóźnienia wizyty u Konrada. Postanowiliśmy udać się do niego niezwłocznie; chwilowo było to jedyne i najlepsze, co mogliśmy zrobić.

- Aha, zabierz tego swojego cudaka, Konrad przepada za psami - rzucił na koniec Jacek, który sam należał do ich miłośników.

Zawsze narzekał, że nie ma warunków i możliwości do posiadania czworonoga, a ja mu niezmiennie odpowiadałem, żeby wziął przykład ze mnie: znajdź psa, a znajdą się warunki. Był jednak bardziej ode mnie pragmatyczny czy może praktyczny, a prawda - jak zwykle - leżała pewnie gdzieś pośrodku.

Zabranie Estona było dobrym pomysłem; pies ostatnio dużo przebywał sam, a do Konrada można się było, według Jacka, dostać na piechotę, pokonując większość dystansu wzdłuż rzeki.

Skrzypek dotarł po kwadransie, a reszta drogi zajęła nam niecałe pół godziny. Konrad mieszkał na trzecim piętrze w bloku, chyba z dziewczyną, o tej porze nieobecną. Autentycznie ucieszył się na nasz widok. Poruszanie się sprawiało mu lekką trudność, twarz miał posiniaczoną, a lewa ręka otulona była sztywną, gipsową rękawicą. Mimo tego był pogodny, a na widok Estona uśmiechnął się dość zawadiacko.

Na naszą prośbę raz jeszcze opowiedział o całym zdarzeniu.

Kiedy po wtorkowym nagraniu wracał do domu, po obu stronach wąskiej uliczki między osiedlowymi blokami pojawiło się nagle po dwóch na łyso ogolonych facetów w czarnych kurtkach, wojskowych spodniach i ciężkich, podkutych buciorach. Chciał ich bezkonfliktowo wyminąć, ale wtedy tamci zaczęli słowną agresję. Gdy Konrad powiedział: „Odczepcie się ode mnie” - tylko tyle - dwóch zaczęło pilnować wejść na ulicę, a

pozostali bez dodatkowych słów, przewrócili go i skopali. Potem podeszła jeszcze ubezpieczająca dwójka i każdy dodał po kopniaku, a jeden z nich, skoczył chłopakowi na rękę, łamiąc ją. Któryś zapytał: „Ryży, a ciotowata wiolonczela?” - pytanie było skierowane do skoczka łamacza. Ryży bez słowa otworzył futerał i wytrząsnął jego zawartość na ziemię. Spojrzał na swoich kompanów, a ci paroma kopniakami glanów zniszczyli trzysta lat historii.

Milczeliśmy, oczami wyobraźni widząc rozgrywającą się scenę.

- Skurwysyny - to był krótki, ale adekwatny komentarz Jacka.

Mnie zastanawiało coś innego: cała akcja robiła wrażenie polowania; ciekaw byłem, czy ofiarą musiała paść przypadkowa osoba, która akurat miała nieszczęście znaleźć się w fatalnej uliczce?

- Czarnokurtkowcy oddalili się bez większego pośpiechu. Pozbierałem się jakoś, a przechodzący ludzie pomogli mi pozbierać to, co zostało z instrumentu, i zadzwonili po pogotowie i policję. To chyba tyle...

Wiolonczelę, a właściwie jej szczątki, odwiózł Konrad dnia następnego do czołowego lutnika w mieście, który na ów widok o mało się nie rozpląkał. Przyrzekał zrobić, co w jego mocy, ale żadnych gwarancji nie dawał. Nawet jeśli udałoby się instrument ponownie scalić, mówił, to nigdy już nie będzie taki sam jak wcześniej.

- Nic bardziej oczywistego - skomentowałem - choć znam człowieka, którego skrzypce po wypadku i remoncie zaczęły brzmieć lepiej niż przedtem.

W oczach obu muzyków zapaliły się iskierki, a raczej ogniska niedowierzania, ale moje dobre intencje były dla nich czytelne.

Szczęście w nieszczęściu - złamanie przedramienia było dość klasycznym przypadkiem ortopedycznym i wszystko wskazywało na to, że Konrad po parotygodniowej przerwie powinien znowu przebierać palcami po gryfie. Podziwiałem - a Jacek chyba też - spokój i opanowanie, z jakim Konrad nam o wszystkim opowiadał. Był strasznie sympatycznym gościem, tym bardziej było nam żal, że właśnie jego spotkała taka fatalna historia.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę, rozmawiając o sprawach zawodowych. Niedawno zakończony Festiwal dał nam rzadką okazję współpracy z plejadą dyrygentów. Jacek i Konrad ciekawi byli moich opowieści o ich sposobie pracy i komunikowania się z orkiestrą. Interesował ich zwłaszcza gwiazdor pierwszego wieczoru - Heerp Phipher-Legwie, bo żaden z nich nie mógł być na koncercie z jego udziałem. Jak każdy z zaproszonych na Festiwal mistrzów batuty, był przecież postacią nietuzinkową, natomiast kontrowersje, które wzbudził, zdążyły już roznieść się po mieście...

Próby do pierwszego koncertu Festiwalu zaczęły się bardzo nietypowo, bo w niedzielę. Ale przecież cały projekt był nietypowy. Pięć koncertów, dziewięć symfonii, a wszystko w okresie dwóch tygodni. Ambitny program wymagał specjalnych uregulowań i wszyscy zdawali się to rozumieć. Dwa tygodnie pracy bez dnia odpoczynku - to rzeczywiście wydawało się dużo, jednak dzięki systemowi rotacji w kwintecie (grupie instrumentów smyczkowych) i zdublowanej obsadzie w grupie instrumentów dętych prawie każdy muzyk miał zagwarantowany jeden wolny program. Prawie, bo od tej reguły zdarzały się odstępstwa i - niestety - ja do nich należałem. Muzyk zaangażowany w ogóle jest traktowany trochę jak ktoś drugiej kategorii - dlatego między innymi postanowiłem wreszcie powalczyć o stałą posadę - no, ale zawsze słyszałem argument, że jestem płacony od prób i koncertów, a nie od siedzenia w domu.

W inauguracyjny przygotowania niedzielny poranek mieliśmy poczucie, że stoimy u progu długiej, artystycznej podróży; orkiestra oczekiwała jej z podekscytowaniem, tym bardziej że kapitanem pierwszego rejsu miał być nie byle kto: oto przybywał do nas Heerp Phipper-Legwie - bożyszcze zwolenników interpretacji zwanych historycznymi, odwołującymi się bezpośrednio do tradycji wykonawczych minionych epok.

Kierunek powstawał w drugiej połowie ubiegłego stulecia; w świadomości odbiorców zaczął istnieć na dobre w jego ostatnim ćwierćwieczu. Muzykę dawną zaczęto interpretować w sposób, w jaki hipotetycznie mogła być wykonywana w okresie powstawania. Zachowały się dość liczne traktaty, analizujące techniki instrumentalne i interpretacyjne obyczaje minionych epok. Z nich właśnie - oraz z dość bogatej ikonografii - kapłani nowego kierunku czerpali swoją wiedzę. To nowe stare podejście do dawnej muzyki na pewno zmieniło wrażliwość kolejnego pokolenia artystów. Nastąpiło oczyszczenie jej z bagażu narastających latami nawyków interpretacyjnych i manieryzmów. Zdarza się, że w trakcie konserwacji starych płócien lub fresków, spod spodu, zupełnie nieoczekiwanie wyłania się jeszcze starsze, piękniejsze, wartościowsze malowidło; to zdejmowanie patyny naddatków jest w obu sytuacjach procesem porównywalnym. Dziś już dla każdego jest oczywiste, że na przykład *Suity orkiestrowe* Bacha, grane przez pełnowymiarową orkiestrę symfoniczną, w sposób tożsamy, jak powiedzmy *Symfonie* Brahmsa, są karykaturą. I właśnie ten rodzaj podniesienia stanu powszechnej świadomości wydaje mi się największą zasługą kierunku.

W konsekwencji powstały zespoły specjalizujące się w wykonywaniu muzyki różnych epok, zaczęto ponownie grać na starych - czytaj

historycznych, lub na nich wzorowanych instrumentach. Bo skrzypce współczesne i barokowe różnią się między sobą. Inna jest technika gry, efekt dźwiękowy też jest różny.

Moje wątpliwości budził fakt, że takie pójście pod prąd historii było właśnie dokładnie tym: przecież technika wykonawcza rozwijała się, a więc nieustannie poszerzała swoje możliwości, podczas gdy tutaj ponownie je ograniczano. Czy można wykluczyć, że Domenico Scarlatti zachwyciłby się brzmieniem fortepianu i uznał, że to na nim właśnie, a nie na klawesynie, należy od teraz wykonywać jego *Sonaty*? Wykluczyć nie można, ale postawienie tezy przeciwstawnej jest równie uzasadnione...

A że wśród wykonawców dawnej muzyki pojawili się muzycy i zespoły próbujące rzekomym autentyzmem wytłumaczyć własne techniczne niedostatki? No cóż, każde zjawisko ma swoje ogony...

Wątpliwości znikają, gdy słyszy się znakomite interpretacje dawnej muzyki. Zaczyna ona ukazywać nieznane piękno, urzekać przejrzystością i lekkością. W tym sensie można więc z całą pewnością mówić o wzbogaceniu, a nie zubożeniu technik wykonawczych.

I właśnie pod batutą dyrygenta o ugruntowanej pozycji barokowego specjalisty - posiadającego i u nas grono wyznawców - przyszło nam zainaugurować Festiwal.

Powierzenie właśnie jemu dwóch pierwszych symfonicznych opusów mistrza z Bonn wydawało się ze wszech miar słuszne; zarówno *I Symfonia C-dur op. 21*, jak i *II Symfonia D-dur op. 36*, tkwią jeszcze wyraźnie w epoce klasycznej, a o nią maestro Phipper-Legwie też zahaczał w swojej działalności dyrygenckiej.

Emanujące z mistrza skromność i pokora wobec wykonywanych dzieł zjednały mu uznanie i sympatię muzyków. Czar zaczął jednak pryskać już w czasie drugiej próby. Długie i monotonne powtarzanie wymyślnych konfiguracji harmonicznyc, niemające wiele wspólnego z potocznie rozumianą pracą z orkiestrą, zaczęło najpierw intrygować, potem nużyć, a w końcu irytować. Postęp był zerowy, trudne miejsca nieruszone, jedynie jakies specyficzne współbrzmienia między, mówiąc symbolicznie, fagotem a kontrabasem ćwiczone były z uporem godnym lepszej sprawy. Technika dyrygencka mistrza sprawiała wrażenie, jakby służyła mu jedynie do zachowania równowagi - w sensie dosłownym.

W drugim dniu prób doszły do nas słuchy, że dyrygent skarżył się na niektórych muzyków rzekomo „mentalnie niegotowych na twórczą współpracę” i, rzecz niesłychana, sugerował przemeblowanie orkiestry, zgodnie z własną, chyba tylko dla geniuszy zrozumiałą, logiką. Sprawa wyszła na

jaw przypadkiem, ale rzuciła światło na umiejętności i możliwości (poza-muzyczne) maestra Phiphera-Legwie.

W pewnym momencie orkiestra zdała sobie sprawę, że koncert trzeba będzie zagrać, praktycznie nie licząc na pomoc dyrygenta. Tak się oczywiście zdarza, a grać po prostu trzeba. Bo o recenzję w stylu: *mimo wizji i starań wspaniałego, stojącego za dyrygenckim pulpitem artysty orkiestra po raz kolejny ujawniła wszystkie swoje aż nadto znane słabości...* nie było wcale trudno.

(Ach, krytycy, prawdziwi kreatorzy rzeczywistości; koncertu wysłucha - powiedzmy - tysiąc osób, recenzję przeczyta dziesięć tysięcy; i kto będzie miał rację?).

Próbowałem zrozumieć, na czym polega fenomen sukcesu Phiphera-Legwie. I po części chyba mi się to udało. Rola dyrygenta w muzyce barokowej jest bardzo ograniczona. Wystarczy pokazać początek utworu, a doskonali muzycy zrobią resztę. Że doskonali muzycy mogli ściągać do maestra było bardzo prawdopodobne: miał rozległą wiedzę teoretyczną, prowadził też dobry chór - bo oto, kim w istocie był: muzykologiem i chórmistrzem. Dysponował również niezłymi kontaktami w świecie muzycznym i... tak to się wzajemnie nakręcało...

Koncert okazał się - a jakże - sukcesem; muzycy sprężyli się maksymalnie, a magia nazwiska i misjonarskiego wyglądu dyrygenta zrobiła swoje. Ujmijmy to tak: inauguracja Festiwalu była bardzo udana, publiczność niemal ze łzami w oczach żegnała szlachetną sylwetkę mistrza, a i krytycy byli w siódmym niebie, choć nie zabrakło tezy, że dopiero dłuższa współpraca z protagonistą mogłaby zaowocować rzeczywiście wybitnymi kreacjami... Brrr...

W filharmonii natomiast utarł się od tej pory pewien zwyczaj: nieszczęśliwie udane koncerty muzycy kwitowali powiedzeniem, że było: legwie-legwie...

Przyszła pora się pożegnać. Uścisnęliśmy Konradowi zdrową rękę. Eston zadziwił wszystkich, sam z siebie, z życzliwą godnością wyciągając łapę do wiolonczelisty. Znakomicie sprawdzał się w roli terapeuty.

Nie będę przytaczać rozmowy, jaką odbyliśmy z Jackiem w drodze powrotnej. Nawet Eston kręcił głową, zdziwiony dużą ilością nieczęsto słyszanych słów. Ale tych ze słownika poprawnej polszczyzny po prostu nam brakowało.

Pies z ulgą został tym razem w domu, a ja zaproponowałem Jackowi wspólną przekąskę. Pora była odpowiednia. Co prawda opowieści Konrada

odbierały apetyt, ale długi spacer zrobił swoje. Nasz smakowo-ekonomiczny wybór padł na hinduską knajpkę.

Ale skrzypek grał tego popołudnia rolę w większej całości; po posiłku zaprosiłem go na kawę do baru w hotelu Luxor. Ta odkładana wizyta dawno już powinna była się odbyć. Miałem wrażenie, że jeśli pojawię się w czymś towarzystwie, wypadnie bardziej naturalnie.

Siedliśmy przy barze.

To niewątpliwie strategiczne miejsce kawiarnianych wnętrz. A stojący za kontuarem barman jest jak dowódca gwiazdowego statku za konsolą pełną przyrządów nawigacyjnych. Podobnie jak on, powinien mieć je pod ciągłą kontrolą, a nic z tego, co się dzieje na pokładzie, nie może umykać jego uwagi. Jak dobry kapitan - widzi i wie najwięcej. Ale czy skłonny jest do dzielenia się tą wiedzą - to już zupełnie inna sprawa. Na niejednym filmie widziałem, jak wypytywany barman najpierw długo zaprzeczał, że cokolwiek wie o sprawie, by dopiero mniejsze lub większe nominały - przeważnie zielonych - papierków skłaniały go do nieco większej wylewności. Czasami miejsce zielonych papierków zajmowały pogrożki lub szantaż.

Nie dysponowałem banknotami w jakimkolwiek kolorze, karta kredytowa - z różnych przyczyn - też nie wchodziła w grę, a gdy wyobraziłem sobie, jak grozę barmanowi lub go szantażuję, ogarnął mnie pusty śmiech. Mówiąc krótko, nie dysponowałem żadnymi walorami ułatwiającymi wyciągnięcie jakiegokolwiek informacji od człowieka za kontuarem, ale po pierwsze, mógł to być nie ten barman, a po drugie, gdzie było powiedziane, że nawet ten właściwy wie cokolwiek, co może mieć dla mnie znaczenie?

Czasami zdarzało mi się, że gdy już, już zabierałem się do dawno zaplanowanej czynności, nagle ogarniało mnie poczucie jej bezcelowości. Ale potem to się zmieniało. Więc przestałem hamletyzować i zamówiliśmy dwie kawy, dwie szklanki wody i dwa wybitnie wyglądające ciastka. To posunięcie musiało mnie zrujnować, ale z punktu widzenia strategii śledczej - przynajmniej tak, jak ją sobie wyobrażałem - było niezbędne.

Nie mogłem jakoś zdobyć się na zadanie barmanowi bezpośredniego pytania. Zaczęliśmy więc z Jackiem rozmowę. Wszystkie jej wątki w naturalny sposób powracały do tematu dnia, jakim była dla nas przygoda Konrada (Boże, strzeż nas od takich przygód).

A stąd był już tylko krok do przypadku maestra Rucacellego, ofiary bezmyślnej (?) przemocy, nadal leżącego w komie w miejskim szpitalu. Barman, który bardzo przepisowo zdawał się do tej pory nie słyszeć ani

słowa z naszej rozmowy, w momencie gdy padło po raz pierwszy nazwisko dyrygenta, spojrział na nas z wyraźnym zainteresowaniem. Prawdopodobnie nie zauważyłbym tego, gdybym w gruncie rzeczy nie czekał na jego reakcję. Szybkie jak odbity refleks słoneczny spojrzenie nie uszło mojej uwagi. I o to właśnie chodziło. Kolejne słowa zacząłem kierować już nie bezpośrednio do Jacka, ale w międzyprzestrzeń pomiędzy nim a barmanem. Taktyka okazała się słuszna. Po chwili mężczyzna podszedł do nas i polerując szklankę, która lśniła już jak lód w bożonarodzeniowej rewii *Disney On Ice*, powiedział:

- Panowie mówią o tym dyrygencie, co to go zasztyletowali, czy prawie zasztyletowali?

- Tak, dokładnie tak, a ja - tu wskazałem na siebie palcem - znalazłem go w niedzielę wieczorem, prawie martwego.

- Ach, to pan. - Barman przyjrzał mi się z jeszcze większym zainteresowaniem, a ponieważ ruch w barze nie należał o tej porze do szczególnie ożywionych, przyjął po drugiej stronie kontuaru pozycję znamionującą gotowość do pogawędki.

- Taaak... - z wdziękiem próbował wkomponować się w dyskusję - wie pan, ja go tutaj codziennie widywałem, ostatnim razem to na pewno było w sobotę, w sobotę wieczorem, bo w niedzielę już się nie pokazał, a potem okazało się dlaczego. Nawet coś tam do mnie żartował, że mamy podobne stroje robocze, i pytał, czybym się nie chciał z nim zamienić; ja miałbym dyrygować, a on roznosić drinki. W ogóle był w wybornym humorze, ale wie pan, z taką du... z taką dumną dziewczyną - zająknął się trochę nielogicznie - to miał prawo czuć się nieźle.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia: bez słowa indagacji z mojej strony barman podawał jak na tacy interesujące mnie fakty.

- Powiem panu więcej - kontynuował - jak dowiedziałem się następnego dnia, co się stało, to pierwsze moje skojarzenie było jasne: to musiał zrobić zazdrosny kochanek. Bo, widzi pan - barman nachylił się jeszcze bardziej, jakby przekraczał właśnie kolejny krąg konfidencji - ja tę dziewczynę już tu widywałem w towarzystwie zupełnie innego faceta. A przecież ten dyrygent nie jest stąd, więc to się musiało szybko dziać; oni ze sobą najnormalniej flirtowali.

Na twarzy naszego rozmówcy odmalowała się jakby ulga; wyobraziłem sobie, jak nieraz musiał ciążyć mu posiadany i niespożytkowany nadmiar informacji. Zauważyłem też, że próbuje interpretować fakty; z punktu widzenia swoich życiowych doświadczeń mógł mieć rację, ale mógł też się mylić.

- Nam też się tak na początku zdawało, ale ponoć policja wykluczyła motyw zazdrości. - Nagle przestraszyłem się, że barmanowi minie nastrój do zwierzeń albo pojawi się nowy klient. - A pamięta pan coś jeszcze z tego wieczoru?

Chyba zadałem niewłaściwe pytanie, bo barman przyjrzał się nam uważniej i odchylił nieco, odzyskując zawodową rezerwę:

- Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem policji...

- Nie chciałem, żeby pan nas źle zrozumiał, my nie jesteśmy z policji, tak po prostu rozmawiamy na bądź co bądź aktualne tematy. Jeśli pan nie ma ochoty mówić, to nie.

Ale uspokojony takim postawieniem sprawy barman miał ochotę. Ba, przechylił się tak, jakby ostatecznie chciał przekroczyć granicę dzielącego nas kontuaru. Najwyraźniej musiał od czasu do czasu uchylić rąbka swojej pamięci, w której przechowywał nadmiar obrazów ludzkich konstelacji: uzależnień, problemów i namiętności.

- Widzi pan, siedzieli tam, przy tamtym stoliku - wskazał ręką miejsce w rogu sali, na lekkim podwyższeniu - i robili wrażenie flirtującej pary, ale potem coś się zmieniło. Dyrygent zaczął odbierać telefony, najpierw jeden, potem drugi, przy trzecim wstał i odszedł od stolika, jakby nie chciał rozmawiać przy dziewczynie.

- I myśli pan, że to mogło mieć związek z tym, co zdarzyło się później? - czułem, że dochodzimy do sedna sprawy.

- Nie wiem, tego nie wiem. Wiem tylko, że jak odszedł od stolika po trzecim telefonie, to przeszedł blisko baru i - o ile się na tym znam - wydawało mi się, że mówi po włosku.

- W tym akurat nie ma nic dziwnego, Rucacelli mieszka we Włoszech, ma tam chyba jeden ze swoich domów.

- Naprawdę? - zdziwił się barman. - Tego nie wiedziałem.

Co go właściwie zdziwiło: to, że dyrygent ma dom we Włoszech, czy to, że on o tym nie wiedział?...

- Podobno - strzelałem ślepą amunicją - jakaś włoska firma proponowała mu nagranie, przypuszcza się, że z naszą orkiestrą. Myśli pan, że telefony mogły tego dotyczyć?

- Tego to ja panu nie powiem. Mogło tak być, chociaż gdyby ktoś mi proponował kontrakt płytowy, to reagowałbym chyba inaczej; nie wzburzeniem. Pan dyrygent stracił spokój i dobry humor. W pewnej chwili, powiedziałbym nawet, że w pewnym pośpiechu, dał do zrozumienia dziewczynie, że muszą wyjść. Nie robili już wrażenia zafascynowanej sobą pary; ona była lekko zdezorientowana, a on najwyraźniej zdenerwowany. Wyszli

z baru na górę; nie musiał płacić, bo wszystkie rachunki szły na numer jego pokoju. Z tego, co dowiedziałem się później od kolegów z recepcji, zamówił taksówkę i osobiście odprowadził do niej dziewczynę. Nie było jeszcze tak późno, gdzieś około dwudziestej trzeciej; myślę, że mogli tu przesiedzieć jakieś dwie godziny.

- No tak, próba skończyła się przed dziewiątą - powiedziałem.

Czułem, że od pewnego czasu Jacek przygląda mi się z rosnącym zdziwieniem. Musiał być zaskoczony tak dociekliwym drążeniem tematu dyrygenta. Ale nawet jeśli moje motywy nie były dla niego jasne, to przynajmniej mi nie przeszkadzał. Postanowiłem później to i owo wyjaśnić.

- I to właściwie wszystko, co widziałem. - W głosie barmana pobrzmiwała nutka smutku. Chętnie ubarwiłby swoją opowieść jakąś sensacyjną pointą. - A półtora dnia później dowiedziałem się, że go znaleźli ledwie żywego. Nie wiedziałem oczywiście, że to pan - spojrzał na mnie z czymś w rodzaju uznania - można powiedzieć, że pan mu uratował życie.

- Ee, to lekka przesada, czysty przypadek i tyle, ale od tamtej chwili czuję się trochę związany z całą sprawą. To miło z pana strony, że zechciał pan nas uraczyć tak ciekawą opowieścią. Ale teraz, niestety - spojrzałem na zegarek - na nas już pora, chociaż... O coś jeszcze pana zapytam - jeśli ma pan ochotę odpowiedzieć.

- Niech pan pyta, ale boję się, że to już wszystko, co wiedziałem...

- Czy kojarzy pan tego innego faceta, z którym widywał pan tu wcześniej dziewczynę?

- Tak, trudno go nie kojarzyć, od czasu do czasu widuję jego sympatyczną buźkę w telewizji, ale nie rozmawiałem z nim i nie mam w przyszłości takiego zamiaru.

Rozumiałem go w stu procentach.

Barman musiał w końcu wrócić do swoich obowiązków. Podziękowałem mu i pożegnaliśmy się.

Moje zainteresowanie tematyką dyrygenta było ponadprzeciętne, ale miałem nadzieję, że nie wyszło poza ramy zdrowego rozsądku faceta, który chcąc nie chcąc - był w sprawę trochę uwikłany. Postanowiłem odprowadzić skrzypką, przy okazji wyjaśniając mu moje motywy. Okazało się to jednak zupełnie zbędne.

- Stary, nie musisz mi się tłumaczyć, przecież widziałem, jak ty na tę Wandę patrzysz. Myślisz pewnie tak: jak ona jest z tym tłumokiem europo-
stłem, to pół biedy, jak była jeszcze z maestrem, to już cała bieda, ale ja ci mówię: daj sobie spokój, ta dziewczyna to zarzewie tysiąca problemów...

Było mi na rękę, że Jacek tak zinterpretował moje śledztwo w barze. Nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu. No cóż, Wanda mi się podobała, ale ona podobała się chyba wszystkim facetom. I o ile z dużą dawką niechęci mogłem po części zrozumieć jej zafascynowanie dyrygentem, o tyle związek z Jędrzejem przekraczał moje zdolności percepcyjne. Chyba że istniało coś, o czym nie wiedziałem; musiało coś takiego być. Wszystko razem wystarczyło jednak, aby zdmuchnąć jak świecę rodzące się we mnie zauroczenie. Ale Jacek nie musiał o tym wiedzieć.

Skrzypek życzył mi powodzenia na poniedziałkowej audycji. Bez względu na wynik obiecałem mu coś w rodzaju imprezy; o jej terminie mieliśmy powiadomić Konrada.

Wizyta w barze nie pogłębiła zaudytu mojej wiedzy. Wracałem do domu niewiele mądrzejszy, za to uboższy o ładnych parę złotych - zainwestowanych w ciastka i kawę. O tym, że Wanda była w barze z dyrygentem, wiedziałem już wcześniej. Potwierdził się też fakt, że wróciła wówczas do domu, a więc mówiła prawdę.

Były też telefony, które niepokoiły Rucacellego. Dlaczego? Jeśli istotnie chodziłoby o kontrakt płytowy, nie byłby to powód do zdenerwowania. Inna sprawa, że Włosi nawet o spaghetti potrafią rozmawiać tak, jakby chodziło o grubszą aferę.

Należało jednak przypuszczać, że rozmowa nie dotyczyła ani spaghetti, ani risotto, ani nawet pizzy. Dyrygent był jeszcze wówczas w posiadaniu batuty, a to ona okazała się źródłem emocji, zdenerwowania i dramatycznych wydarzeń. Czy wiedział już wówczas, że skrywała klucze, jak przypuszczał antykwariusz, klucze do sejfu? Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Miałem natomiast nadzieję, że pan Sebastian, wykorzystując swoje rozległe znajomości w antykwarycznym świecie, zdobędzie jakiś cień informacji, potwierdzających lub wykluczających sformułowaną przezeń hipotezę.

Zgodnie z logiką dokonywanych odkryć, batuta okazała się kluczem do zagadki. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Mało tego: z całą świadomością możliwej pomyłki określony został obiekt, który miał(y) otwierać. Cóż jednak po posiadanym kluczu (nawet podwójnym) i hipotetycznym zamku (nawet podwójnym)? Przecież mógł on się znajdować w dowolnym miejscu świata...

A jednak moja ćma mówiła mi, że wiem już dużo. Towarzyszyła mi w

bezpiecznej odległości i zachęcała do dalszych poszukiwań. Do zniwelowania różnicy między wiedzieć dużo a wiedzieć wystarczająco dużo. Czy była to przepaść, czy szczelina? - tego też na razie nie wiedziałem.

Rozdział IX

Czwartek

Przed wieczorną próbą z fortepianem miałem jeszcze w planie odwiedzić antykwariat i w zależności od czasu wyprowadzić Estona na spacer; w trakcie grania nie chciałem nerwowo spoglądać na zegarek, a po powrocie do domu - miałem co do tego pewność - będę marzył wyłącznie o łóżku.

Antykwariusz miał dość tajemniczą minę. Widziałem, że chce mi coś powiedzieć. Z niepokojem myślałem, czy ponownie nie wydarzyło się coś niepokojącego. Ale to nie było nic z tych rzeczy. Możliwe, że intensywne rozsiewanie informacji o przejściu przez policję opieki nad sejfem odniosło skutek. Pan Sebastian nawet nie wspomniał o wczorajszych wydarzeniach. Zaczął natomiast od pytania:

- Bartosz, czy spotkałeś się kiedyś z pojęciem Kolekcja Gudelsteina? Czy mówi ci to cokolwiek?

Nie mówiło. Owszem, nazwisko Gudelstein już słyszałem, lub raczej o nim czytałem; myślę, że we wszystkich, szanujących się leksykonach wybitnych skrzypków XX wieku, można było je odnaleźć. Ale to tyle, bo już zestawienie nazwiska ze słowem „kolekcja”, nie budziło we mnie dalszych skojarzeń.

- A dlaczego? - Było jasne, że pytanie nie padło przypadkowo.

- Widzisz - zaczął wyjaśniać - wydarzenia ostatnich dni, ale również fakt, że i ja znalazłem się w ich zasięgu, zmobilizowały mnie do przeprowadzenia pewnych, nazwijmy to, badań.

Świat antykwariuszy jest w posiadaniu wiedzy o wielu udokumentowanych zdarzeniach, o których nie śniło się innym śmiertelnikom. Lecz jest jeszcze jedna, szczególna ich kategoria: to historie, o których krążą pogłoski, legendy, nigdy niewydostające się poza dość hermetyczne grono ludzi. Ich cechą charakterystyczną jest minimalna, dotycząca ich dokumentacja, a najczęściej zupełny jej brak. W rozmowach z kilkoma spośród moich kolegów, udało mi się - w szkieletowej formie - odtworzyć jedną z takich opowieści.

Zapowiadało się ciekawie. Przystałem skanować mózg w celu odnalezienia zagubionych szczątków informacji o panu Gudelsteinie; wiedziałem, że zaraz dowiem się więcej. Zamieniłem się w słuch.

- Aaron Gudelstein, jeden z najwybitniejszych, przedwojennych

skrzypków starego kontynentu, był mieszkańcem naszego miasta. Tak, tak - powiedział, wyłapując moje zdziwione spojrzenie.

Rzeczywiście, to była dla mnie niespodzianka.

- W drugiej połowie lat trzydziestych założył kwartet smyczkowy: Gudelstein Quartet lub Kwartet Gudelsteina, jeśli wolisz. Bez wątplenia jeden z najlepszych, jeśli wręcz nie najlepszy zespół smyczkowy ówczesnej Europy. Kwartet zasłynął nie tylko ze swojego niewiarygodnego poziomu artystycznego.

Grupa najbogatszych europejskich bankierów podchwyciła pomysł jednego z nich, znanego miłośnika muzyki, aby zakupić dla zespołu lutnicze arcydzieło: smyczkowy kwartet genueńskiego mistrza Lucci Silvariego, który w początkach dziewiętnastego wieku został wykonany na zamówienie Niccolò Paganiniego i Karola Lipińskiego. Dwóch największych wiolinistów tamtych czasów zamierzało oddać się wspólnemu, kameralnemu graniu. Nie wiem, czy do tego doszło, bo żaden z nich nie chciał być drugim skrzypkami.

- Na pytanie, kto jest najlepszym wiolinistą Europy, Paganini zwykł odpowiadać: „Nie wiem, kto jest pierwszy, ale drugi jest na pewno Lipiński” - i ja mogłem dorzucić cegiełkę do coraz okazalszego gmachu opowieści antykwariusza.

- Pomińmy tutaj dalsze losy kolekcji. Dla nas ważne jest, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku została wykupiona z rąk włoskiego księcia i подарowana Kwartetowi Gudelsteina. Od tamtej chwili do arcydzieł genueńskiego mistrza, nie całkiem w zgodzie z logiką, przyłgnęła nazwa Kolekcja Gudelsteina. Pojedyncze instrumenty Silvariego niewiele ustępowały wówczas ceną mistrzowskim egzemplarzom Guarneriego czy Stradivariowego. Wartość wykonanego na zamówienie, pod każdym względem unikalnego Kwartetu Silvariego, musiała przerastać wszystko, co do tej pory świat lutniczy znał, choć szczegóły transakcji nigdy nie zostały ujawnione.

Pan Sebastian przerwał i zapalił cygaretkę. To nie zdarzało się często, a dowodziło, że mój rozmówca był zadowolony z siebie i podekscytowany zarazem.

- Druga część opowieści związana jest z naszą filharmonią - zaczął po chwili odпочynku. - Jest to, jak ci wiadomo, gmach stary, wybudowany na początku dwudziestego wieku. Podobno w pierwszych miesiącach wojny po mieście krążyły opowieści, że w jego murach znajdują się tajemne przejścia i skrytki. Tymi pierwszymi mieli przedostawać się i znikać poszukiwani przez Niemców bogaci Żydzi, w sekretnych schowkach pozostawiając najcenniejsze rzeczy ze swojego dobytku. Dyrekcja filharmonii

sprzyjała takim praktykom, oczywiście aż do momentu, w którym hitlewcy obsadzili wszystkie etaty swoimi ludźmi.

Antykwariusz przerwał na moment, przygotowując jakby kolejny rozdział opowieści. Nie myliłem się.

- I teraz dochodzimy do meritum sprawy: trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku planowany jest w filharmonii występ Kwartetu Gudelsteina. W programie mają znaleźć się trzy kwartety Beethovena z różnych opusów. Po mieście rozchodzi się plotka, że bezpośrednio po występie muzycy mają być aresztowani, a instrumenty, rzecz jasna, skonfiskowane. Koncert dochodzi do skutku, jest fantastycznym sukcesem. Większość widowni nie ma pojęcia, jaki dramat ma się za chwilę rozegrać, a jednego nie można było tej publice odmówić: wielu spośród obecnych naprawdę znało się na muzyce.

- Gdy nie wybrzmiały jeszcze ostatnie dźwięki Beethovena, przed wejściem dla artystów ustawia się grupa facetów w czarnych skórzanych płaszczach. Czekają. Oczekiwanie przedłuża się. W końcu kilku z nich otrzymuje rozkaz udania się na piętro. Ale garderoby artystów są puste.

Sebastian Mars sam zdawał się wsłuchiwać w swoje słowa, delektując się treścią, które niosły, możliwościami, które otwierały, lub... kolejnym obłokiem cygaretowego dymu.

- Zniknęli i nigdy nie zostali odnalezieni. Nie wiadomo, co stało się z instrumentami: czy zniknęły razem z muzykami, którzy wydostali się z gmachu i z pomocą dobrze zorganizowanej grupy przyjaciół zdołali opuścić teren Generalnej Guberni? Czy może zostały ukryte w bezpiecznym miejscu, zwiększając szanse: swoje - na przetrwanie wojennej zawieruchy, a artystów - na udaną ucieczkę? Kolejne i tak samo niepotwierdzone informacje mówią, że wszyscy członkowie Kwartetu Gudelsteina znajdowali się na liście pasażerów promu, płynącego z Kłajpedy do Sztokholmu. Prom, trafiony torpedą odpaloną przez Kriegsmarine, zatonął; nikt nie ocalał. Morze, nie po raz pierwszy i nie ostatni pewnie, stało się ostatecznym powiernikiem tajemnic kilkuset osób, w tym także muzyków z Kwartetu Gudelsteina. Zaginął po nich ślad, zaginął ślad po czterech instrumentach Lucci Silvariego, które od tej pory stały się już nie legendą, a jej cieniem...

Niesamowita opowieść. Iście książkowa. Sensacyjna beletrystyka w wojennym sosie. I muzyką Beethovena w de.

- Mało kto zna tę historię; istniała tylko w ustnych przekazach, które skutecznie mogły ją zniekształcać i ubierać w nieistniejące fakty, a garstka ludzi przechowująca ją w pamięci sama już nie wie, czy to prawda, czy

tylko jeden z mitów obrastających wraz z upływem czasu kokonem coraz większej tajemniczości.

Antykwariusz skończył i przez chwilę słychać było tykanie starego zegara. Ciekawe, jak długo odmierzał już czas. Czy beznamiętnie wystukiwał sekundy również wtedy, kiedy opowiedziane zdarzenia właśnie się działy?

Fascynująca historia. Jakkolwiek trudno było wpisać ją w realia dnia codziennego, głównie z racji jej hipotetyczno-balladowego charakteru, poczułem, jak po plecach przemaszerowało mi stado mrówek.

Sebastian Mars musiał wiedzieć, nad czym się zastanawiam, bo prawdopodobnie sam przechodził już ten etap rozważań.

- Ta historia sugeruje jedynie, bo przecież niczego nie przesądza, że pogłoski na temat ukrytych w gmachu filharmonii schowków i przejść (moi rozmówcy podkreślali, że z tego rodzaju domniemaniami spotkali się tylko na początku wojny), być może nie są zupełnie wyssane z palca. Jeszcze inaczej: z filharmonią mogła być związana jakaś tajemnica.

Hm, jeśli tak było w istocie, to mieliśmy kolejne słowo z krzyżówki. Antykwariusz kontynuował:

- Wróćmy na chwilę do terażniejszości: zauważ, że sprawa wiedzie od
 - a) dyrygenta, do
 - b) batuty, która okazuje się
 - c) kluczem.

- Idźmy dalej. Dyrygent ryzykuje życie - dosłownie - aby tylko batuta-klucz nie wpadła w niepowołane ręce. Musi więc mieć świadomość, jaka jest jej prawdziwa wartość. Jacyś ludzie próbują zdobyć pałeczkę i nie rezygnują mimo niepowodzeń. Widocznie też wiedzą coś, co czyni ją w ich oczach cenną, może bezcenną?

Kontynuowałem w głowie łańcuch zależności.

Mamy więc klucz (podwójny), który według antykwariusza otwiera:

d) sejf,

ukryty - być może - w

e) filharmonii,

a zawierający - być może

f) Kolekcję Gudelsteina, czyli Kwartet Silvariego...

Czy prosta wyciągniętego wniosku nie była w istocie prostacka? Po-
stanowiłem - tym razem na głos - powtórzyć pomyślaną tezę. Może ubrana
w słowa, zostanie odarta z tajemniczości?

- Panie Sebastianie, gdyby pójść na bardzo duże skróty i połączyć pa-
na opowieść z analizą sytuacji, można by zaryzykować wniosek, że w cza-
sie wojny gdzieś w naszym mieście - a tropy wiodą do filharmonii - ukryty

został Kwartet Silvariego, zaś batuta jest kluczem do schowka, w którym się znajduje... - Przypuszczenie, które ponownie sformułowałem, tym razem przypawiło mnie o zawrót głowy. - Czy myśli pan, że to możliwe? – Mój głos stał się nagle szeptem, jakby pod wpływem irracjonalnego strachu, że ktoś jeszcze może mnie usłyszeć.

Antykwariusz nie spieszył się z odpowiedzią. W końcu odrzekł:

- Wydaje się mało prawdopodobne. Bo nawet jeśli założyć, że historia nosi w sobie ziarno prawdy, to przecież jak mamy uwierzyć, że muzycy zostawili bezcenne instrumenty na pastwę losu? Po drugie, nawet przy założeniu, że tak się stało, to czy jest możliwe, by ich do tej pory nie odnaleziono? A w ogóle, to wypada mi jeszcze raz wyraźnie powtórzyć: poruszamy się na gruncie legendy.

- Dobrze, rozpalił pan moją wyobraźnię, spróbuję więc odpowiedzieć. Po pierwsze, legendy mają przeważnie za punkt wyjścia jakieś autentyczne zdarzenie. Po drugie, człowiek, który próbuje ratować własne życie, raczej jest skłonny do rozwiązań zwiększających jego szanse, chyba że coś ma dla niego wartość życie przewyższającą. Ale i wtedy, racjonalnie rzecz ujmując, lepiej jest skorzystać z dobrego schowka, niż narażać siebie i drogo-cenny przedmiot. I wreszcie, po trzecie, Bursztynowa Komnata jest nieco większa niż cztery instrumenty, w dodatku od lat poszukiwana przez armię doskonale wyposażonych badaczy, a nie znaleziono dotychczas nawet śladu po niej. Kwartet Silvariego, jeśli nie spoczywa wraz z muzykami na dnie Bałtyku, na czym zresztą może polegać jego ostateczne podobieństwo do bursztynowego cudu, nigdy chyba nie był, przynajmniej do tej pory, obiektem poszukiwań.

Pan Sebastian kiwał głową:

- Przytoczyłeś wszystkie argumenty, które i mnie przychodzą do głowy. Może więc w tej zwariowanej hipotezie jest ziarnko prawdy?

Mimo wszystko trudno jakoś było w to uwierzyć, zwłaszcza że nasze klocki nieoczekiwanie łatwo dały się poukładać. Potrzebna była wstrzeźliwość w ocenie sytuacji, by nie dać się ponieść fali emocji prowadzącej bezpośrednio... w ślepą uliczkę. Tak więc uznaliśmy, że nie tyle konkretny wniosek - ukryta Kolekcja Gudelsteina, ile kierunek rozumowania - jakiś nieznaną szczegół, związany z filharmonią - może okazać się słuszny. Spojrzałem na zegarek: zrobiło się późno. Zasiedziałem się, a mój dzień ciągle jeszcze trwał. W lekkim oszołomieniu pożegnałem się z antykwariuszem, dziękując mu za fascynującą opowieść; miałem nadzieję, że następnego dnia znajdziemy czas, aby do niej powrócić.

W filharmonii zjawiłem się krótko przed umówioną godziną. W portierni dyżurował mój znajomy, ten sam sympatyczny gaduła, który był gotów przyjąć mnie do orkiestry bez egzaminu. Na mój widok zmarszczył brwi, jakby próbował sobie coś przypomnieć, ale albo mu się to nie udało, albo się rozmyślił, bo powiedział tylko:

- A, pan Bartek, niech pan idzie na górę, niektórzy koledzy już trenują.

Spieszyłem się niepotrzebnie; chętnych do grania z fortepianem przyszło dziś więcej i trudno było utrzymać rygorystyczne godziny rozpoczęcia prób. Nie zmartwiło mnie to jednak; postanowiłem posłuchać, jak grają inni kandydaci. Musieli to być miejscowi muzycy - nikt nie przyjeżdża na audycję cztery dni przed terminem - a choć znałem większość kolegów altowiolistów, do tej pory pojęcia nie miałem pojęcia, kto będzie moim lokalnym rywalem w poniedziałkowym pojedynku.

Zbliżaniu się do sali koncertowej towarzyszyły pierwsze dźwięki koncertu Stamitza - zmory altowiolistów. Raźnie mi się do tej muzyki maszerowało (chyba raźniej, niż mi się ją grało), z rozpędu więc wspiałem się jeszcze piętro wyżej. Gdy otwierałem drzwi od balkonu, fortepian kilkoma akordami obwieścił wejście altówki.

Ktoś grał historyczną manierą. Każda dłuższa nuta była rozwibrowana, jakby śpiewała ją nie do końca panująca nad swoim aparatem wykonawczym podstarzała diva. Trochę było w tym na pewno nerwów; po tygodniach ćwiczeń w czterech ścianach stajesz oto w dużej, choć pustej jeszcze sali, przedsmak konkursowych emocji spada na ciebie nagle jak bezlitosny jastrząb i... Okazuje się, że to, co wydawało się wyćwiczone, wcale takie nie jest. Ale przed ponownym zagranieniem myślisz sobie, że wszystkie błędy już zostały popełnione, że przecież godziny pracy nie mogły pozostać bez śladu. I rzeczywiście, jest lepiej.

Histeryczny altowiolista - precyzyjnie mówiąc: altowiolistka, którą okazała się moja koleżanka ze studiów, z racji specyficznych upodobań do koloru garderoby powszechnie zwana Marchewką - w powtórnym wykonaniu Stamitza zaprezentowała się o niebo lepiej. Zniknęła nawet przesadzona wibracja. Przedtem musiała być wynikiem ciężkiego stresu; w opanowanej formie okazywała się romantyczną manierą interpretacji muzyki klasycznej. Do przyjęcia - w zależności od gustów i kryteriów.

Gdy zabrzmiały ostatnie akordy budzącego wszechstronne emocje utworu, pianistka dojrzała mnie na sali.

- Panie Bartku, ma pan jeszcze trochę czasu, jest małe opóźnienie.

- Nie ma problemu, nigdzie się nie spieszę, chętnie będę robił za publiczność.

Marchewka też mnie poznała, pomachała mi z dołu smyczkiem, ja zaś, podniesionym do góry kciukiem pokazałem, jak oceniam jej aktualną formę. Bez przekonania pokręciła głową, zapewne w geście autodezaprobaty, ale na pewno dodałem jej choć trochę otuchy. Koncert Waltona, który wybrała do drugiej rundy, odpowiadał jej zdecydowanie bardziej. Ale tak to już jest, zazwyczaj najtrudniejsze są utwory klasyczne, w których mało jest miejsca na interpretację i brawurę, a wystarczy(!) pokazać nienaganny warsztat; pierwszy próg zazwyczaj okazuje się najtrudniejszy i nie do przeskoczenia dla większości kandydatów.

W sumie jednak Marchewka zaprezentowała się bardzo przyzwoicie i pomyślałem, że jeśli tylko zdoła opanować emocje w Stamitzu, w poniedziałek będzie groźną konkurentką. Po niej grał młody chłopak, pewnie świeżo po studiach, bo nie znałem go. Był sprawny, ale dosyć surowy. Miała to być, jak sądziłem, jego pierwsza audycja. Zdarzają się szczęściarze, którzy trafiają główną wygraną za pierwszym podejściem, większość jednak musi przebyć swoją drogę (przez mękę). A gwarancja końcowego sukcesu i tak nie jest w nią wpisana... Chłopak miał pewnie jakąś szansę, ale... jeszcze nie teraz.

W końcu przyszła kolej na mnie. W chwili gdy stroiłem instrument, do sali weszła kolejna grupka muzyków.

- Mam was dzisiaj całą siódemkę - powiedziała pianistka. - O ile się orientuję, więcej miejscowych muzyków nie będzie.

Bóg zapłać! Siódemka miejscowych? Nie można było utajnić informacji o przesłuchaniu?

- I pewnie co najmniej drugie tyle przyjezdnych - dodałem. - Uzbiera się do dwudziestu kandydatów.

- Też mi się tak zdaje. Na dwa miejsca to akurat, pewnie kogoś będzie można wybrać.

I ja miałem taką nadzieję. Tylko nie kogoś, a mnie; żywiłem przecież niezłomny zamiar wypełnienia pięćdziesięciu procent wakatu. W myśl przepisów komisja nie była jednak zobligowana do przyjęcia któregoś z konkursowiczów. W przypadku braku wystarczająco dobrych organizowało się po jakimś czasie kolejną audycję i tak aż do skutku. Moment nie sprzyjał jednak rozważaniu niepomyślnych scenariuszy. Kto przystępuje do rywalizacji, musi mieć nadzieję, że ją wygra, w przeciwnym razie stoi na z góry straconej pozycji.

Nagle, po raz pierwszy od paru dni, poczułem dreszcz odmiennych emocji; nie kryminalnych i tajemniczych, a zawodowych i realnych. Mój

zołądek powędrował w górę, jakbym nieoczekiwanie znalazł się w szybko-bieżnej, startującej bez zapowiedzi windzie.

Pierwsze wykonanie poszło na straty. A to gdzie się palec omsknął, a to pamięć zawiodła. Tu i ówdzie emocje negatywnie odbiły się na intonacji, a przecucie emocji właściwych wynaturzyło dźwięk. Pamiętając, co i gdzie się przytrafiło, w powtórne granie obu koncertów starałem się włożyć dużo więcej kontroli. Emocje i tak miałem zagwarantowane. To był zresztą główny sens robienia dodatkowej próby z fortepianem; do krótkiej, w samym dniu przesłuchań, miał prawo każdy uczestnik. Tylko że wówczas naprawdę nie ma już czasu na korekty. Czy więc ci, którzy mieli dopiero przyjechać, stali na gorszej pozycji? Nie, przecież i oni mogli ćwiczyć w swoich miastach, ze swoimi pianistami; to była kwestia indywidualnego wyboru. Liczna dzisiaj obecność lokalnych kandydatów świadczyła, jak poważnie traktują nadchodzący egzamin. Ale nic dziwnego; jak w każdej dziedzinie, wymagania były coraz bardziej wyśrubowane, a konkurencji przybywało. Nawet w przypadku tak specyficznego instrumentu.

Zmęczony i zupełnie niezdolny do obiektywnej oceny tylko co zaprezentowanego poziomu, postanowiłem wrócić na górę i posłuchać jeszcze trochę, jak grają inni. Zazwyczaj wolałem nie wiedzieć, jaki potencjał prezentuje konkurencja, ale dzisiaj było mi to obojętne, w czym zresztą dopatrywałem się swojej psychicznej siły. By nie dekoncentrować grających, postanowiłem wspiąć się jeszcze wyżej, na tak zwaną jaskółkę.

Pamiętałem ją dobrze z czasów studenckich. To było jedyne miejsce osiągalne dla posiadaczy wejściówek, w naszym pojęciu kwiatu i ozdoby publiczności. Rzeczywiście: wysoko i daleko. Sylwetki muzyków wyglądały stąd jak mechaniczne lalki, a dźwięk dochodził w złagodzonej, zaokrąglonej formie.

Usiadłem wygodnie, z nogami wyciągniętymi przed siebie i dłońmi oplecionymi wokół szyi; kiedy jeszcze mógłbym pozwolić sobie na podobnie nonszalancką pozę w tak nobliwym miejscu? Ciekawe, bywałem tu często, ale zauważyłem pewną zależność: im częściej odwiedzałem jakieś miejsce, tym mniej mu się przyglądałem, traktując jego istnienie i wygląd jako oczywistość. I na odwrót: wystarczyło, bym przejeżdżał przez jakąś średnio ciekawą miejscowość, by chłonąć jej rzekome uroki wszystkimi niemal zmysłami, nie mówiąc już o robieniu dziesiątków zdjęć, z których potem może kilka okazywało się godnych uwagi. Przeświadczenie, że jestem w jakimś miejscu po raz pierwszy i może ostatni, kazało mi traktować je w wyjątkowy sposób. Co powiedziawszy, dodam: a może i słusznie?

Dlaczego jednak, przechodząc latami koło jakiegoś budynku, właściwie go nie widziałem? Dopiero gdy okazywało się, że mieści się tam,

powiedzmy, urząd, w którym miałem sprawę do załatwienia, ze zdumieniem odkrywałem jego istnienie.

Filharmonia była gdzieś między tymi kategoriami. I znałem ją, jak zna się powietrze, które nas otacza, i nie znałem, jako że powietrzu rzadko kiedy się przyglądamy. Łatwiej było o klasyfikację, emocjonalną: lubiłem ją, a gdy przebywałem w środku, z mocą przemawiały do mnie całe lata, dziesięciolecia jej historii.

Coraz mniej jest budowli pełniących funkcję, do której zostały kiedyś powołane. Znikają stare teatry, stare fabryczki stają się nowoczesnymi loftami, wiekowe kina ustępują miejsca nowym, bardziej funkcjonalnym. Ba, nawet świątynie zmieniają czasami swój charakter z sakralnego na świecki. Ale sale koncertowe trwają. Może dlatego, że w istocie nie są jeszcze takie stare, choć ważniejszym powodem jest chyba rodzaj uprawianej w nich sztuki - niedezaktualizującej się wraz z upływem czasu.

Gdy oglądamy film z początku XX wieku, wzrusza nas on i zachwyca, ale też... niepomiernie śmieszy. Muzyka powstała nawet wiele wieków wcześniej nie ma w sobie nic komicznego, chyba że jej twórca świadomie chciał ją taką uczynić. Prawdziwa muzyka, cokolwiek by o niej mówić, nigdy się nie starzeje.

Coraz więcej jest przypadków adaptowania wnętrza o pierwotnie zupełnie innym przeznaczeniu (stare stajnie, młyny, fabryczki, a nawet szpitale psychiatryczne) na pomieszczenia z powodzeniem służące życiu koncertowemu. Może dlatego że doznań przeżytych w czasie koncertu nie zastąpi żadne nagranie, najdoskonalsze nawet i odtworzone na sprzęcie najwyższej klasy. Tajemnica obcowania z żywą muzyką, bycie świadkiem stawania się dźwięku, wyprawa w przestrzenie ulotne a niepowtarzalne - oto dlaczego najsłynniejsze sale koncertowe świata są natychmiast rozpoznawalną marką, tak silnie działającą na wyobraźnię.

Czy nie uruchamia jej Carnegie Hall w Nowym Jorku, a w Europie na przykład amsterdamska Concertgebouw? Gdy już znajdziesz się w takiej sali, pierwszą reakcją jest coś w rodzaju rozczarowania. Bo okazuje się, że sala jak sala - owszem piękna, ale podobnych na świecie jest wiele. Dopiero kiedy ożywa w niej muzyka, oczywiście się staje, czemu zawdzięcza swą legendę. Wszystko razem: wygląd, akustyka i opierająca się słowom atmosfera tworzą jej całościową wersję.

Filharmonia nie była może aż tak renomowaną budowlą, ale ręczę, że każdy muzyk natychmiast by ją docenił. Secesyjny styl, w którym została zaprojektowana i zbudowana w początkach XX wieku, rozmach, szczególnie architektoniczne i wspaniałe wykończenia sali koncertowej -

od drewnianych, mozaikowych podłóg, poprzez akantowe złączenia ścian, opatrzonych dziesiątkami sypiących diamentowe refleksy kandelabrow, do dekorowanego wielkimi, kryształowymi żyrandolami, stiukowego, w części urozmaiconego aksamitnymi kasetonami sufitu oraz jej zupełnie niepoślednie walory akustyczne powodowały, że odwiedzający nasze miasto artyści wypowiadali się na jej temat z podziwem i uznaniem.

Bezmiar rozbrzmiewającej w niej przez lata muzyki stworzył trudną do określenia, ale wyczuwalną atmosferę i klimat, które pozwalały czuć się w jej wnętrzach dobrze zarówno muzykom, jak i słuchaczom.

Z tego, co było mi wiadomo, budynek rzeczywiście nie uległ w czasie wojny poważnym zniszczeniom. Przez pewien czas jej trwania odbywały się w nim nawet koncerty. Jakim dramatom na zewnątrz lub rozgrywanym się w ludzkich sercach musiały towarzyszyć?

Moje dotychczasowe wyobrażenia o piekle okupacji miały charakter wyłącznie ekstremalny, tak jakby wtedy nie było już miejsca na normalne życie. Do głowy mi nie przychodziło, że mogło istnieć życie koncertowe. A mogło? Chyba tak, bo ludzie, choć zajęci codzienną walką o przetrwanie, nie chcieli automatycznie wyłączyć potrzeb wyższego rzędu. Czytali książki, łaknęli wiedzy, kochali się... Może muzyka dawała im siłę i nadzieję, pozostając jedną z enklaw wolności ducha? Nie z własnego wyboru przychodzi nam żyć tu i teraz. Czy nie do nas należy troska, aby to życie, nasze życie, było jak najlepsze - bez względu na okoliczności, a może nawet im na przekór?

Nie wydawało mi się jednak możliwe, aby w budynku od początku jego istnienia nie zaszły żadne zmiany. Przecież w swej ponad stuletniej historii musiał być kiedyś remontowany. Czy działania wojenne nie zniszczyły choć fragmentu gmachu? Aż dziwiło mnie, jak powierzchowne są moje wiadomości. Czy i w tym względzie mogłem liczyć na pomoc niezawodnego pana Sebastiana?

Mój wzrok zatrzymał się na przykuwającym uwagę ciemnym szkarłacie aksamitu, którym wyłożone były poszczególne kasetony nad jaskółką. Jakiś fragment, detal czy może cały sufit próbował do mnie przemówić, lecz mimo wysiłków nie rozumiałem tego języka. Ponownie spojrzałem na estradę, gdzie ostatni z kandydatów niemiłosiernie kaleczył koncert Hoffmeistera, i jak ryba gwałtownie potrzebująca świeżej porcji tlenu powróciłem myślą do ciągle żywych wspomnień z Festiwalu.

Po dość neurotycznym przeżyciu i co tu dużo mówić, rozczarowaniu, którym okazał się dla orkiestry pierwszy program, z tym większym napięciem

i nadzieją oczekiwaliśmy następnego. *III Symfonię Es-dur op. 55* i *IV Symfonię B-dur op. 60* miał poprowadzić znany dyrygent Kumys Makirzyje. Niektórzy z kolegów mieli już okazję z nim współpracować i obiecywali sporo emocji. I nie mylili się. Maestro Makirzyje nie zawiódł oczekiwań. Pojawił się przed orkiestrą z rozwianym włosom i w barwnej koszuli, i z miejsca przystąpił do pracy nad *Eroica*. Przegraliśmy po kilkadziesiąt kluczowych taktów każdej z części, po czym dyrygent powiedział:

- Proszę państwa, bardzo państwu dziękuję, spotykamy się jutro!

Trzeba przyznać, że wywołał niezłe zamieszanie, jako że od początku próby upłynęło raptem pół godziny. Tłumaczyliśmy to chęcią racjonalnego gospodarowania siłami orkiestry, zresztą większość muzyków była zadowolona z dodatkowych godzin odpoczynku. Ale jak zwykle znaleźli się malkontenci; według nich mieliśmy do czynienia z karykaturą próby i należało to dyrygentowi uświadomić. A ten był zaskoczony; przyjechał prosto z Anglii, gdzie ekonomia z jednej, a profesjonalizm z drugiej strony nakazują do niezbędnego minimum ograniczać czas poświęcony na próby. Zwłaszcza w wypadku tak żelaznych pozycji symfonicznego repertuaru. Dyrygent nie musiał sobie jednak długo przypominać współpracy z jedną z najlepszych w swoim czasie orkiestr kameralnych świata. Następnego dnia wziął się do morderczej pracy, cyzelując poszczególne frazy tak długo, aż... zaczęły świecić niezwykłym blaskiem, chyba że wcześniej muzykom opadały ze zmęczenia ręce. Dodatkowo zarządził próby sekcyjne po południu. Część muzyków znowu była niezadowolona (ta sama część co poprzednio, dodajmy); no bo jak to, wczoraj skracamy, dzisiaj wydłużamy... Dyrekcja przystała jednak na propozycję dyrygenta.

Poprzez powszechne zmęczenie zaczęło przebijać się poczucie, że możemy zagrać niezwykły koncert. Bo dyrygent, w pozornym chaosie, wykonał jednak kawał dobrej roboty, zarażając swoim sterowanym lub spontanicznym szaleństwem większość muzyków. Gdzie przebiegała u niego granica naturalności i autokreacji, nigdy nie byłem w stanie określić. Na próbie generalnej w dniu koncertu dalej pracowaliśmy intensywnie; o krótkim, środowym preludium wszyscy już dawno zapomnieli. Ukoronowaniem tej tytanicznej pracy był fenomenalny występ. Patos i emocje pierwszej symfonii romantycznej, jak zwykle się określać *Eroicę*, oraz będąca istnym pokazem wirtuozowskich możliwości orkiestry *W Symfonia* porwały publiczność. Kumys Makirzyje nie oszczędzał orkiestry, ale nie oszczędzał również siebie; jeśli muzycy byli po koncercie mokrzy, to on wyglądał, jakby właśnie wynurzył się z morza muzyki - dosłownie i w przenośni. Mimo świadomości, że jutrzejszy ranek to znów ciężka próba z dwiema

niełatwymi symfoniami, zyskaliśmy nagle poczucie, że temperatura Festiwalu podniosła się o parę stopni.

Zamyślony, nie zauważyłem, że ostatni z altowiolistów zakończył próbę z fortepianem. Musiałem daleko odjechać w myślach, bo do rzeczywistości przywołała mnie dopiero, zniecka ogarniająca wszystko ciemność. Należało się zbierać, i to szybko; nie mogłem mieć pewności, czy sala nie jest zamykana automatycznie po wyłączeniu głównych świateł. Na szczęście dzięki lampkom ewakuacyjnym w podłodze i na korytarzu bez trudu odnalazłem drogę.

Portier robił wrażenie zaskoczonego.

- A ja byłem pewien, że już wszyscy wyszli, inaczej bym nie wyłączył...

- E, nie ma problemu, zamyśliłem się... - zacząłem bez przekonania, chociaż zgodnie z prawdą.

- A co, pan ciągle jeszcze myśli o tym dyrygencie? Mówili w radio, że dalej jest w śpiączce, patrz pan, jak to niewiele potrzeba... tak się tu kręcił, tak tu laził, jakby był królem świata, a teraz... e, szkoda gadać... - Był wyraźnie zde gustowany marnością ludzkiej kondycji. Chętnie bym z nim porozmawiał, ale już nie dzisiaj. Po prostu nie miałem siły.

- Panie Zenonie - zażyłość między portierem a mną rosła - czy jutro ma pan też nocny dyżur? Z przyjemnością bym z panem o tym wszystkim porozmawiał, ale teraz już naprawdę muszę biec do domu.

- Będę, będę, jutro też mam nockę, niech pan wpadnie, wypijemy herbatkę albo coś do herbatki. - Pan Zenon wyraźnie mnie kusił. Musiało mu się nudzić w czasie długich, ciągnących się godzin samotnej służby.

Nęcała propozycja. *Noc w operze. Raczej Noc w filharmonii. Albo Upiór w filharmonii*, z panem Zenonem w roli upiora. No tak, byłem zmęczony. Miałem prawo być. Ale pan Zenon mnie lubił i to była dobra wiadomość. Dawała szansę na przeniknięcie do budynku poza oficjalnymi przyczynami i godzinami.

Portier wypuścił mnie, otwierając zamknięte już na noc drzwi.

Włókłem się do domu z jednym tylko marzeniem: położyć się i natychmiast zasnąć. Ale droga do tego była dłuższa, niż mogłem przypuszczać.

Gdy opuściłem oświetlony i ciągle tętniący życiem centralny skwer i wszedłem w ulicę prowadzącą bezpośrednio do Kanonicznej, z naprzeciwka zbliżyło się do mnie dwóch facetów w kapturach. Instynktownie obejrzałem się do tyłu. U wejścia w uliczkę pojawiła się podobna dwójka. Coś mi to cholernie przypominało.

Nie, niemożliwe; to musiał być przypadek...

Ale nie był.

- Słuchaj, koleś - zaczął jeden z naprzeciwka, zachodząc mi drogę - mamy mało czasu. Albo powiesz, co wiesz, albo dostaniesz natychmiastowy wpierdol.

„No tak, kurwa, tylko mi tego brakowało”, pomyślałem, dostrajając się leksykalnie do koleśków w kapturach. Głośno zaś dodałem:

- Dobra, ale co mam powiedzieć? - Czułem, że z lekka drżą mi łydki.

- Mów, kurwa, co wiesz o tej jebanej batucie, czy chuj wie czym, bo ci ryj rozwalę - ryknął mój rozmówca(?) przekonywającym barytonem. To musiał być szef. Reszta pilnowała wejść na ulicę.

Byłem zdumiony. I przerażony. Nie wiem, co bardziej, pewnie i jedno, i drugie - co logicznie się wyklucza, ale tu już nie było logiki. Przez kilka dni robię podchody, uniki, nawet policji się nie zwierzam, a tu na ulicy podchodzi do mnie grupka skinów i mówi, żebym powiedział, co wiem o batucie, tak jakby chodziło o sto złotych. Kurwa, ja chyba śnię!

Zastanawiałem się, co powiedzieć, gdy na moim splocie słonecznym wylądował cios o sile spadającego worka z mąką. Zatkano mnie. Tym sposobem Główny nie wydukał ze mnie ani słowa. Ale rozumiałem, że to ostrzeżenie, a żartów nie będzie. Łapiąc po chwili nieco oddechu, postanowiłem zaryzykować, zresztą, jakie było to ryzyko?

- No, co ty, Ryży, chcesz się bić czy rozmawiać?

Okazało się, że mój cios, choć nie fizyczny, był równie celny. Główny zerknął na mnie i nerwowo rozejrzał się dokoła. W tym momencie sprawy zaczęły się dziać bardzo szybko.

Dwóch ubezpieczających, tych zza moich pleców, znalazło się nagle tuż obok mnie. Za nimi pojawiły się trzy postacie, na pierwszy rzut oka nieznaczalnie różniące się od grupy Ryżego. Ale miałem wrażenie, że już je kiedyś widziałem.

- Ty, zobacz, mówiłem ci, że to muzyk.

Jasny gwint, to chłopaki spod mojego byłego bloku. Co oni tu robili?

Naparli na grupę Ryżego.

- Zostawcie człowieka w spokoju, to nasz ziomal - wygłosił szef moich.

Konfrontacja wisiała na włosku. Ja jednak czułem się zdecydowanie lepiej niż jeszcze przed chwilą. Ryży musiał analizować sytuację, która nieoczekiwanie wymknęła mu się spod kontroli. Nie dość, że pojawiły się przeszkody, to jeszcze został rozpoznany. Szanse na realizację misji były małe. Dał znak, a wtedy obie grupy zwarty się w pojedynku, ale miałem wrażenie, że nie była to prawdziwa walka. W chwili gdy próbowałem się w nią włączyć, jeden z grupy Ryżego mocno pociągnął moją altówkę. Pasek się urwał, a instrument znalazł się w rękach kapturowca. Zanim zdążyłem

go dopaść, otworzył futerał, którego zawartość wypadła na bruk. Wystarczył jeden cios buta...

Ryży dał znak swoim, żeby się wycofali.

Pół godziny później siedzieliśmy w jednym ze staromiejskich pubów. Całkowity zbieg okoliczności sprawił, że chłopaki wybrały się tego wieczoru na miasto. Mieli powód, aby coś uczcić. Dla lokalnej radiostacji alternatywnej nagrali swój pierwszy hiphopowy kawałek pod nazwą *Szczeżuja*.

Po którymś z rzędu piwie wyrapowali go nawet specjalnie dla mnie; Nike skandował, a dwóch ziomali robiło tło; wszyscy gestykulowali przy tym szeroko a dynamicznie, a układanymi w wymyślne kompozycje palcami o mało nie powybijali mi oczu.

Początek nie był szczególnie obiecujący; bez uciekania się do misternych rymów, mówił kogo i ewentualnie za co może rzeczona szczeżuja złapać. Z czasem utwór nabierał jednak nieoczekiwanej głębi, by w finale eksplodować bezkompromisową puentą:

- *Lecz szczeżuja, chociaż mięczak, przecież życie swe odczuwa, za to większość skórtwardzieli, co najwyżej je przeżuwa...*

Rehabilitacja szczeżui była pełna, a skórtwardzielom dostało się za swoje.

Śmiało.

Aha, pisownię „skórtwardzieli” skonsultowałem z twórcami... Albo odwrotnie. Nie jestem pewien, bo działo się to po kolejnych dwóch piwach.

Po następnym zacząłem rozmyślać, kim jestem bardziej: szczeżuja czy skórtwardzielem. To był jeden z najtrudniejszych dylematów ostatnich dni.

I w ogóle byłoby całkiem sympatycznie, gdyby nie wisielcze okoliczności, z których powodu się tu znalazłem.

Moi starzy znajomi dostrzegli mnie z daleka, a ponieważ tego dnia czuli się bardzo muzykami, postanowili mnie dogonić. W uliczkę wbiegli w momencie, gdy Ryży poczęstował mnie sierpowym w splot. Co było dalej, wiadomo. Nie wtajemniczałem ich w motywy napaści na mnie, bo sam nie mogłem się w tym połapać. Nieprawda, mogłem; powodem - jak ostatnio zawsze, wszędzie i wszystkiego - była batuta.

Tylko tyle i aż tyle rozumiałem. Całej reszty nie.

Faktem jest, że cudem uniknąłem znacznie poważniejszych opresji. Przypomniały mi się słowa ziomala w zielonej bluzie Nike, które rzucił mi swojego czasu na pożegnanie:

- Te, artysta, jakby co, to wiesz, gdzie nas szukać.

Wtedy nie wiedziałem, co to znaczy jakby co. Dzisiaj sprawa się wyjaśniła, a drobiazg, że w istocie to oni mnie znaleźli, był bez znaczenia. Może moja podświadomość wysłała smosa (SMS + S.O.S.)?

Zamówiliśmy następne piwo. I następne. Nie miałem gdzie się spieszyć. Koło mnie leżał rozpaczliwie nienaruszony futerał, ze smętnymi pozostałościami tego, co jeszcze nie tak dawno było altówką...

Rozdział X

Piątek

Elektroniczny pulpit łagodnie zapulsował. Na ekranie pojawiła się pierwsza strona poematu symfonicznego *Romeo i Julia* Czajkowskiego. Już wiedziałem, nad czym będziemy dziś pracować. Koncertmistrz dokonywał pierwszych poprawek artykulacyjnych. Zmiany natychmiast pojawiały się na naszych ekranach.

Damian Rucacelli z pasją prowadził orkiestrę; nie przypuszczałem, że w trakcie próby zechce wykrzesać z siebie tyle ognia. Słowne uwagi potwierdzał lekkimi pociągnięciami palców po monitorze pulpitu, w postaci muzycznych znaków wprowadzając je na ekrany naszych partii. Próbując przypomnieć sobie, jak zakończyła się historia słynnej batuty, zdekoncentrowałem się na moment. Wystarczyło, aby spóźnić się na jedną z fal szesnastkowego przebiegu. U dołu pulpitu pojawił mały, ale czytelny napis: *25 PLN zostało ściągniętych z twojego konta.*

Próba dobiegała końca. Dyrygent opatrzył elektroniczną partyturę podtytułem: *Wersja Rucacellego* i dopiskiem: *nie usuwać.*

Jego poczucie własnej wartości nic a nic się nie zmieniło. Większość dyrygentów po ostatnim koncercie resetowało program z konkretnym utworem, tak że wracał on do Centralnej Elektronicznej Biblioteki Nutowej w postaci niczym nieskażonego oryginału.

Byłem wściekły. Chwila nieuwagi i dwadzieścia pięć złotych poszło z... internetem. Rozkojarzony złością, wstałem z krzesła odrobinę za wcześnie; Rucacelli oficjalnie nie zakończył jeszcze próby. Coś jak elektryczny impuls eksplodowało mi w głowie. No tak, trzeba się kontrolować; w tych czasach każdy fałszywy dźwięk lub ruch jest kosztowny...

Mały elektryczny szok miał jednak działanie zbawienne: wyrwał mnie z koszmarne go snu, z przerażającej wizji orkiestry przyszłości.

A zarazem zadbał o właściwy nastrój po otwarciu oczu.

Obudziłem się z poczuciem klęski. Wypełniała mnie i oblażyła. Byłem obolały psychicznie i fizycznie, po ważącym chyba ze sto kilogramów ciosie Ryżego. Głowa pulsowała z niewyspania i od nadmiernej ilości wypitego poprzedniego wieczoru piwa. Czułem się jak człowiek, któremu przez pewien czas udawało się iść nad przepaścią po dwóch równoległych kładkach. Nie mogąc zdecydować się na żadną z nich, w końcu potknąłem się

i spadłem. Przeżyłem, to fakt, ale owego ranka czułem się prawie tak, jakbym przybywał z zaświatów. A najgorsze było to, że zupełnie zatraciłem kierunek. Oto, czym skończyła się moja zabawa w śledztwo.

Fortepian Chopina. Wiolonczela Konrada. Altówka Bartosza. Ideał sięgnął bruku. Przynajmniej w dobrym towarzystwie.

Tego poranka, który wisiał nade mną ponurym znakiem zapytania, mogłem zdać się jedynie na automatyzm. Doprowadziłem się więc prysznicem do jako takiego stanu i wyszedłem z Estonem w lekko mroźne powietrze świata zewnętrznego. Ostatni dzień listopada zwiastował nieuchronnie nadciągającą zimą. Wraz z paroma haustami świeżego powietrza moja krew zaczęła pulsować nieco żwawiej. Ciągle jeszcze żyłem.

Eston był dość niesforny. I na nim rześkość poranka musiało robić wrażenie, bo nozdrza pracowały mu jak oszalałe, próbując ogarnąć maksimum wyczuwalnych zapachów. Jego aktywność nasiliła się, gdy przechodziliśmy koło miejsca wczorajszych wieczornych wydarzeń. Pies znowu zachowywał się jak śledczy, mało tego: przysiągłbym, że kilka razy spojrzął na mnie pytająco. Ale wiedziałem, że to ludzie dorabiają interpretację zachowaniom zwierząt; pewnie tak było i w tym przypadku. Skierowaliśmy się do parku.

W zasadzie nie krył już żadnych tajemnic. Wydawał się znów miejscem bezpiecznym, zresztą, co to słowo znaczy w dzisiejszych czasach? Jeśli można zostać napadniętym na ulicy, pod własnym domem, to znaczy, że miejsc naprawdę bezpiecznych już nie ma.

A pies musiał się wybiegać, z czego chętnie korzystał; uwolniony ze smyczy rozpoczął szalenczą pracę - zabawę w zaroślach. On też miał swoje sprawy, nie mógł żyć bez przerwy moimi problemami. Każdy więc zajął się sobą. Eston co pewien czas wyłaniał się to z jednej, to z drugiej strony. Najwyraźniej mnie pilnował, mogłem więc zastanowić się nad tym i owym.

Analizowanie wydarzeń zawsze przychodziło mi łatwiej nazajutrz, gdy mogłem ujrzeć je z perspektywy czasu i gdy płynniej łączyły się z ciągiem faktów poprzedzających. Tak było i tym razem.

Po pierwsze - natchnął mnie do tego widok jeziora - wróciłem myślą do rozmowy z nadkomisarzem Bielskim. Jeśli mówił prawdę, a zakładałem, że tak było, bo w jego przypadku niemówienie prawdy polegało raczej na przemilczeniach, tutaj zaś zaprzeczył wprost - to nie policja przeszukiwała akwen. Więc kto? Kto mógł wiedzieć, przypuszczać, zgadywać, że w wodzie znajduje się coś interesującego? A jeśli niechcący trafiłem w sedno i to rzeczywiście miejscowy klub płetwonurków w ramach umowy z miastem oczyszczał miejskie zbiorniki wodne? Tylko czy takie rzeczy na pewno robi się w grudniu? Chyba że ramach treningu przed wyprawą na Antarktydę...

Teoretycznie niewykluczone. Bielski mówił, że to sprawdzi. Miałem nadzieję, że zechce się podzielić swoją wiedzą.

Lecz rozmyślanie, że tak je nazwę, o jeziorku było zaledwie rozgrzewką przed ułożeniem w jakiś sensowny obraz tego, co stało się poprzedniego wieczoru.

Gdybym został po prostu zaczepiony i zaatakowany przez grupę bandytów, to nic nie ujmując grozie takiego wydarzenia, byłoby ono bardziej zrozumiałe. Ot, chodzą chłopaki, nudzą się, szukają okazji, żeby komuś przy...paprać, żaden czarny, żółty ani inny dziwny nie chce się napatoczyć, no to biorą pierwszego lepszego z brzegu, a nawet nie takiego pierwszego lepszego, bo z instrumentem - i się wyżywają.

Tylko że im chodziło o coś innego. Przecież nawet zakładając, że byłem w stresie, nie przesłyszałem się; ich przywódca pytał o batutę. Gdyby pytał na przykład o altówkę, to mógłby być przypadek, ale on pytał o batutę...

Po drugie, w momencie, w którym mnie osaczali, jak żywa stanęła mi przed oczami opowieść Konrada; działali wedle tej samej techniki, zgadzała się liczebność napastników, podobnie jak wiolonczelista i ja miałem przy sobie instrument. Z tym Ryżym, to był oczywiście strzał na ślepo, ale jak się okazało - w dziesiątkę. Tylko skąd tu się wziął Konrad? Można by sądzić, że w naszym mieście istotnie zaczęły się polowania na muzyków... gdyby nie to pytanie o batutę.

Ile osób jej szukało? Opis eleganckich facetów, którzy dokonali napadu na antykwariat, nijak się miał do wyglądu Ryżego i jego grupy. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że skini realizowali czyjeś zlecenie - może nawet dwóch eleganckich, którzy chwilowo czuli się spaleni. A może nie... To może stawało się morzem, coraz bardziej pojemnym.

A jak zakończyłoby się moje spotkanie z Ryżym i jego drużyną, gdyby nie Chłopcy z placu przed blokiem? - nie żartuję, ich hipopowy zespół naprawdę tak się nazywał. Czy powiedziałbym coś? Czy wylądowałbym w szpitalu? O bardziej ekstremalnych rozwiązaniach nie chciało mi się myśleć.

Nie, nie potrafiłem powiedzieć, jak bym się zachował. Myślę, że najłatwiej jest robić z siebie bohatera przed faktem lub po nim, a najuczciwiej jest kwitować podobne wątpliwości znakiem zapytania.

Co innego mnie zastanawiało: Chłopcy z placu przed blokiem zjawili się niczym tajemniczy, dobry duch w baśni, w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie i z odpowiednią intencją; jaki czarodziejski flet ich przywołał? (Wraz z ulatniającymi się z mojej głowy procentami traciłem wiarę w umiejętność wysyłania smosów...).

Co w naszym życiu jest przypadkiem, a co nim nie jest? No cóż, znajomość odpowiedzi na to pytanie rozstrzygałaby definitywnie wieki filozoficznych sporów.

Wspólne popijanie piwa z Chłopcami... byłoby na pewno całkiem sympatyczne, gdyby nie szczątki altówki, które jak wyrzut sumienia leżały obok mnie.

Nie miałem innej. W swoim czasie spędziłem pół roku na kontrakcie, w pewnej włoskiej orkiestrze, ale to temat na odrębną opowieść. Zarobione wówczas pieniądze prawie w całości przeznaczyłem na zakup własnego instrumentu. Do tamtej pory grałem bowiem na altówce wypożyczonej z kolekcji lokalnego Związku Lutników. Ta, którą kupiłem, była przyzwoitą, francuską kopia Guarneriego, z początku XX wieku; cena, jaką udało mi się wówczas wytargować, była pewnego rodzaju okazją.

Czym jest instrument dla instrumentalisty? Czymś więcej niż tylko narzędziem pracy. Może nie aż jego drugą połową, ale powiedzmy, że czymś pomiędzy (zwłaszcza altówka, cha, cha).

Muzycy orkiestrowi nie muszą się martwić: ich drugie połowy ubezpiecza pracodawca. Wolni strzelcy zazwyczaj rezygnują z takiego luksusu; mało kogo na to stać. Jak było w moim przypadku, nie muszę chyba dodawać. Koszt odrestaurowania instrumentu musiał w całości obciążyć moją kieszeń. Bardziej prawdopodobne było jednak, że nikt nie podejmie się naprawy tak zniszczonej altówki, co oznaczało dla mnie jej utratę i - bardziej prozaicznie mówiąc - również pozbawienie narzędzia pracy.

O udziale w przesłuchaniu mogłem zapomnieć. Nawet jeśli jakimś cudem zdobyłbym zastępczy instrument, to przyzwyczajenie ręki do nowej menzury - a więc minimalnych choćby różnic w rozmiarze gryfu (podstrunnicy), przekładających się na wiele godzin dodatkowej pracy - nie było możliwe w czasie, który pozostał do audycji. Cały mój wysiłek, całe godziny i dni wyczerpujących ćwiczeń, tygodnie i miesiące pracy, wszystkie moje plany i nadzieje związane ze zbliżającym się konkursem, jednym uderzeniem buta zostały rozbite w drzazgi. Teraz miałem duuuużo czasu, żeby bawić się w detektywa...

A może zamartwianie się było niepotrzebne? Może walka o etat pozbawiona była sensu? Może instytucja orkiestry symfonicznej nie ma przyszłości lub wyśniona przeze mnie upiorna sytuacja stanie się rzeczywistością? Przedziwny sen aż domagał się wytłumaczenia.

Gdyby przyjąć bardzo pesymistyczny, budzący grozę wariant, bazujący na Orwellowskiej filozofii onnipotencji zwierchników, można by sobie wyobrazić elektroniczne czujniki sprawdzające w trakcie prób i koncertów

liczbę fałszywych nut zagranych przez poszczególnych muzyków. W jeszcze bardziej szokującym wariancie - każdy z takich dźwięków byłby natchmiast karany... lekkim impulsem elektrycznym lub odjęciem określonej kwoty z bankowego konta winowajcy.

Absurd? Abstrakcja?

Tak, na pewno tak. Ale są orkiestry instalujące kamery w sali prób; monitor znajduje się w gabinecie dyrektora. Czy nie jest to wcielanie w życie ideologii Wielkiego Brata? Fundując sobie nieustanny postęp technologiczny, sami nie wiemy, kiedy stajemy się jego ofiarami...

Ale zostawmy te czarne wizje. Niech nigdy nie wyjdą poza ramy książki.

Pulpity elektroniczne mogą stać się jedną z pozytywnych nowinek. Kształtem przypominając tradycyjne, nie będą jednak wymagały położenia na nich papierowych nut, same stanowiąc rodzaj ekranu. Wystarczy podłączyć komputer do centralnej biblioteki nutowej i na pulpitach pojawi się zamówiony utwór. Od tej pory każda uwaga robiona przez dyrygenta lub zmiana artykulacji zasugerowana przez koncertmistrza jednym dotknięciem wprowadzona zostanie na ekrany wszystkich muzyków. Znikną ołówki i gumki myszki... Jestem przekonany, że to rozwiązanie już dawno byłoby możliwe z technicznego punktu widzenia. Ale... no właśnie. Komu tak bardzo chciałoby się inwestować w orkiestrę symfoniczną...

I tu dotykamy innego aspektu orkiestrowej przyszłości. Mogło się wydawać, że państwa, które osiągnęły względny dobrobyt materialny, nie będą miały większych problemów z utrzymywaniem dotowanych instytucji artystycznych, w tym orkiestr symfonicznych. Okazało się to tylko częściową prawdą. Nawet najbogatsze społeczeństwa nie są wolne od kryzysów ekonomicznych. A odpowiedź na pytanie: w jakim sektorze najłatwiej i z punktu widzenia społecznych kosztów (widzianych w krótkiej perspektywie) najbezpieczniej szukać rezerw finansowych, jest bardzo prosta: oczywiście w kulturze.

Zjawiskiem już zauważalnym jest łączenie zespołów symfonicznych; robienie jednej orkiestry z dwóch (tak reklamowany syndrom 2 in 1, niebezpiecznie dryfujący w kierunku all in one, może na dłuższą metę i dla innych sektorów okazać się zabójczy). Do czego może prowadzić taki proces w reakcji łańcuchowej - nietrudno sobie wyobrazić. Aby posłuchać dobrego koncertu, być może trzeba będzie przemierzać dziesiątki, jeśli nie setki kilometrów. Argumenty decydentów będą podobne: przecież wszędzie są osiągalne nagrania najlepszych orkiestr świata, podobnie jak możliwość uczestniczenia w życiu artystycznym za pomocą telewizji i internetu,

oferujących praktycznie nieograniczony dostęp do wnętrz najslynniejszych koncertowych sal i na deski najbardziej szacownych teatrów operowych.

Pieniądże na kulturę ciągle istnieją, ale coraz większa ich część pochodzi z kieszeni prywatnych. Indywidualnym sponsorom - co naturalne - jest jednak łatwiej finansować przedsięwzięcia o charakterze jednorazowym aniżeli strukturalnym. Zaś orkiestra symfoniczna jest pod względem finansowych i organizacyjnych potrzeb o wiele bardziej wymagająca niż niejedna fabryka. A w dodatku nic nie produkuje...

Ale chwala prywatnym sponsorom. Gdyby nie oni, nasze życie kulturalne byłoby mniej kulturalne.

Wydaje się, że pozostanie pewna kategoria orkiestr niezagrożonych zmienną koniunkturą i pewnych swojego bytu. Dla przykładu: Berliner Filharmoniker, Filharmonia Narodowa, Koninklijk Concertgebouworkest, czy The New York Philharmonic Orchestra...

Orkiestry pomniki.

Ale zdecydowana większość z nich, w cyklu ewolucji i przystosowań będzie musiała sobie wywalczyć przetrwanie. Wydaje się, że zmieni się ciężki, nieruchawy, zasiedziany model z przeszłości. Nowoczesna orkiestra musi stać się organizmem żywym, prężnym, elastycznym, mobilnym i - rzekłbym - transformowalnym. Zdolnym wykreować z siebie odmienne składy i zestawy instrumentalne, tak aby w tym samym czasie dokonać kilku kameralnych desantów na miejsca pozbawione dużych sal koncertowych. Albo gdy jedna jej część przygotowuje będzie program wczesnoklasyczny (a więc o ograniczonym składzie), pozostali muzycy zajęci będą nagraniami muzyki do filmów (żegnajcie, intratne chałtury...) lub akompaniowaniem baletowi klasycznemu. I tylko co pewien czas będzie łączyć wszystkie swoje siły w symfonicznej pełni...

Taka orkiestra wymagać będzie znakomitego, prężnego zarządzania, a przede wszystkim wszechstronnych, otwartych, pracowitych muzyków, ale o nich akurat się nie boję; muzycy tacy po prostu są.

Jeśli coś budzi mój niepokój, to możliwość wylania dziecka z kąpielą. Rozdrabnianie działalności, rozmywanie symfonicznego bytu w pogoni za udowodnieniem światu swojej przydatności może prędzej czy później odbić się na poziomie artystycznym.

Wielobyłt przechodzący w niebyt...

Czy prawo Kopernika-Grishama (o gorszym pieniądzu, który wypiera z rynku lepszy) może mieć bardziej uniwersalne zastosowanie? Wydaje się, że tak. Wzrastająca ilość bytów zastępczych zdaje się to potwierdzać. Ta prawidłowość mogłaby dotknąć również orkiestry. A stąd byłby już tylko

krok do zniechęcenia i uznania, że to, co było kiedyś wzniosłą sztuką, po latach prób i walk, stało się ostatecznie okazjonalną chałturą...

Bo z kulturą jest jak z drzewem: bardzo łatwo je ściąć, ale, aby odrosło, tak samo wielkie i piękne, potrzeba lat; wielu, wielu lat...

Natłok futurystyczno-orkiestrowych rozważań musiał być pochodną quasi-depresyjnego stanu, w którym, co tu dużo mówić, znajdowałem się tego ranka. Ale lutnika postanowiłem mimo wszystko odwiedzić; przynajmniej tyle należało się mojej altówce. I to była jaśniejsza konkluzja porannego spaceru, która przywróciła mnie rzeczywistości.

Eston od pewnego czasu trzymał się mnie. Najwyraźniej był gotów do powrotu. Zawróciliśmy. Pojęcie pośpiechu opuściło mnie tego ranka. Sądziłem, że na długo. Ale nie pierwszy i nie ostatni raz byłem w błędzie.

I gdy tak człapiąc - choć odnosi się to wyłącznie do mnie, bo trucht Estona był zaprzeczeniem człapania - wracaliśmy ze spaceru, przez szybę antykwariatu dojrzał nas pan Sebastian.

- Oj, Bartek, coś nieszczególnie wyglądasz. Czy coś się stało?

Chcąc nie chcąc, opowiedziałem mu o moich wieczornych przygodach, choć prawdę mówiąc, nie byłem w nastroju do towarzyskich kontaktów. Pan Sebastian bardzo się zmartwił. Jak każdy wrażliwy człowiek reagował przegnębieniem na przejawy brutalnej agresji, zwłaszcza gdy jej bezmyślne ostrze atakowało ludzi i... stare przedmioty. Chciał mnie wysłać do lekarza i dopytywał się, czy może mi jakoś pomóc w kwestii altówki. Podziękowałem za troskę; sam nie wiedziałem, czy coś można zrobić dla instrumentu.

- Koniecznie do mnie potem wpadnij, bo zdaje się, że będę miał coś ciekawego. Wyobraź sobie, że jeden z moich znajomych, który niedawno wrócił z Włoch, a teraz dowiedział się o moim zainteresowaniu historią filharmonii, zadzwonił do mnie dziś rano z ciekawą informacją: otóż właśnie we Włoszech wpadł mu w ręce artykuł, traktujący - pan Sebastian zrobił uroczystą minę - o temacie naszych wczorajszych rozmów.

- O filharmonii? Wojnie? Kwartecie Gudelsteina?

- Dokładnie nie wiem o czym, bo znajomy widział ten materiał tylko pobieżnie. Był pewien, że bez problemu odnajdzie go w necie, ale nic podobnego. Artykuł pochodził z jakiejś toskańskiej gazety, która nie ma strony internetowej.

Antykwariusz, widząc moje zdziwienie, pospieszył z dalszymi informacjami:

- Mówiłem ci już, że moje dziecko jest we Włoszech, na stażu archeologicznym. Poprosiłem o pilne przeszukanie dostępnych czytelni, zrobienie

kopii w przypadku odnalezienia artykułu i natychmiastowe przefaksowanie go. Jeszcze dzisiaj spodziewam się odpowiedzi. Moje dziecko wie, że nie mam zwyczaju zwracania głowy sprawami nieistotnymi, a samo ma charakter dosyć, powiedziałbym, dociekliwy.

Jakieś fajne to dziecko.

Informacja powinna była wywołać u mnie przyspieszone bicie serca, ale dzisiaj wszystko było inaczej. Wszystko spadło ze dwa piętra w dół.

- Dobrze, panie Sebastianie; jak pozałatwiam kilka spraw, to pana odwiezę; zobaczymy, kto będzie miał lepsze wieści.

Bez dalszej zwłoki postanowiłem udać się do lutnika. W drodze powrotnej miałem spotkać się z Wandą. Zupełnie nie wiedziałem, co jej powiem, ale mimo wszystko świadomość, że ją zobaczę, była jakimś tam estetycznym promieniem czekającego mnie dnia.

Pan Remigiusz Solniczka należał do licznego grona Podhalan, którzy w genach i tradycji mieli zapisane tajniki sztuki lutniczej. Ich przedstawiciele można znaleźć we wszystkich zakątkach kraju. Remigiusz Solniczka był - chyba - od zawsze związany z naszym miastem. Znaliśmy się nie od dzisiaj, a instrument, którego szczątki miałem ze sobą w futerał, nieraz już znajdował się w jego rękach. Z fachowej porady i ekspertyzy pana Remigiusza korzystałem zresztą, decydując się na jego zakup.

Bez zbędnych słów otworzyłem futerał. Mistrz Solniczka załamał ręce, złapał się za głowę, westchnął dramatycznie i byłem pełen obaw, że gotów się rozplakać. Ja, na szczęście, ten etap miałem już za sobą.

- Panie Bartku, co się dzieje, epidemia jakaś czy co? Trzy dni temu wiolonczela, teraz altówka. O co tu chodzi?

- Niestety, panie Remigiuszu, obawiam się, że o to samo. Te same buty przejechały się po naszych instrumentach...

Lutnik tymczasem wyjmował już z uwagą fragmenty dolnej i górnej płyty, wiszącą na strunach główkę z podstrunnicą... Oglądał, przyglądał się, wzdychał... W końcu zatroskany powiedział:

- Panie Bartku, to będzie benedyktyńska praca. Pan miał ten instrument ubezpieczony?

Przecząco pokręciłem głową. Mistrz Solniczka zafrasował się jeszcze bardziej.

- Ludzie, musicie ubezpieczać instrumenty, inaczej albo wy, albo my umrzemy z głodu.

Wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć. Jeśli podałyby mi szacunkową cenę naprawy, a właściwie odtworzenia altówki, prawdopodobnie

musiałbym spakować jej resztki i wyjść. Ale lutnicy znają pojęcie etyki zawodowej. Dlatego pan Remigiusz powiedział tylko:

- Niech ją pan u mnie zostawi. Przyjrzę się dokładniej, ale to musi potrwać, a teraz właśnie kończę, coś na konkurs.

Remigiusz Solniczka nie tylko leczył stare instrumenty; tworzył również nowe, i to na tyle udanie, że mógł się mienić laureatem kilku międzynarodowych konkursów. Widziałem, że nad czymś się jeszcze zastanawia.

- Panie Bartku, czy ma pan w tej chwili na czym grać?

Ponownie zaprzeczyłem. Było mi trochę wstyd.

Jan bez Ziemi i Bartosz bez Altówki.

Niestety, tak przedstawiały się skromne fakty.

W lutniku dojrzewała jakaś decyzja. Nie myliłem się.

- Dobrze, w takim razie zrobmy tak; niech pan weźmie ten instrument.
- Wskazał na leżącą na stole i połyskującą świeżym lakierem altówkę. - Właściwie jest skończony, zostało tylko trochę kosmetyki. W zamian panie mi pan, co można by poprawić od strony dźwiękowej, może warto będzie jeszcze popracować nad duszą.

To nie była przenośnia. Jednym z elementów decydujących o dźwięku instrumentu smyczkowego jest właśnie dusza - a szczególnie jej trafne ustawienie. To niepozorny kołeczek łączący ze sobą dolną i górną płytę.

Na konkursach lutniczych obowiązują dwa kryteria ocen: wygląd-wykonanie oraz walory dźwiękowe. Ekspozyty konkursowe, które dominują w obu kategoriach, mają oczywiście największe szanse na końcowy sukces.

Mimo to spojrzałem na mistrza z niedowierzaniem.

- Nie boi się pan powierzyć jej właśnie mnie?

- Niech pan się nie martwi, wszystkie moje instrumenty są ubezpieczone. Tym niech pan się nie martwi.

Sytuacja znów mnie oszołomiła. Czy istnieje na tym świecie jakaś równowaga dobra i zła? Czy ktoś dba o to, abyśmy nie tracili wiary i nie załamywali się w sytuacjach jakby do tego stworzonych? Co prawda, niewiele to zmieniało w odniesieniu do audycji: przedstawienie się na nowy instrument wymagało więcej czasu, jednak nie pozostawałem bez narzędzia pracy i to już było coś.

- Panie Remigiuszu, ogromnie panu dziękuję, nawet nie wiem, co mam powiedzieć...

- Niech pan nic nie mówi, tylko coś zagra.

- Teraz? - zdziwiłem się.

- Nie, teraz może nie, niech pan ochłonie, weźmie instrument do domu, pogra i zadzwoni do mnie. Będę ciekaw pana opinii. Ale, ale, niech pan jeszcze spojrzy na to...

Wiolonczeła Konrada w nowym wcieleniu! Co prawda ciągle jeszcze w częściach, ale już oczyszczonych, mniej poranionych, jakby dobry duch położył na niej rękę. Ucieszyłem się. Będę miał dla wiolonczelisty choć namiastkę dobrej wiadomości.

Pożegnałem się z mistrzem serdecznie. Z lekka odurzony zapachami lakierów i rozpuszczalników, kombinacjami naturalnych składników i tajemnymi woniami starego i młodego drewna, wyszedłem na ulicę.

Z Wandą byłem umówiony w kawiarni hotelu Luxor. Niby duże miasto, a jak przychodzi co do czego, to wybór ogranicza się do kilku sprawdzonych miejsc. Zwłaszcza w zimie. Lub w zimową pogodę. Ostatnio jakoś ciągle lądowałem w miejscach niekoniecznie dla mnie stworzonych, przynajmniej ze względu na zasobność portfela, ale inaczej nie można było. Nie mogłem nie wpaść do Luxora z Jackiem, nie mogłem moim wybawicielom, Chłopcóm z placu przed blokiem, nie postawić piwa w przyzwoitym pubie, nie mogłem z Wandą umówić się w barze mlecznym...

Mało tego - wieczorem zamierzałem najść pana Zenona, co prawda w filharmonii, ale z - minimum - piersiówką stocka w zanadru. O przyszłości chwilowo nie myślałem. Przyszłość to było teraz, za chwilę, dziś.

Nie wiedziałem, kiedy zdecyduję się wydać pierwsze dźwięki na Solniczce - dziwnie to brzmi, prawda? Taki jest smyczkowy żargon. Moja perspektywa przyszłości została mocno skrócona, ale mimo ciosu - dosłownie i w przenośni - ustałem na nogach i żyłem dalej.

Mogłem się tego spodziewać. Rozmowny barman nie bez zdumienia obserwował, jak siadaliśmy z Wandą przy stoliku będącym wcześniej niemyym świadkiem jej rozmów z Rucacellim. Ale to ona go wybrała, a (takiej) kobiecie się nie odmawia. Wyglądała olśniewająco. Jej oczy, tak ciemne, że całe wydawały się źrenicami, patrzyły na mnie inaczej niż dotychczas. Z większą uwagą, większym zainteresowaniem. Nie wiedziałem, czemu to zawdzięczać. Z głośników wolno sączyła się jazzowa ballada.

...Dźwięki saksofonu wzywały do miłości...

Mój Boże, z jak przepastnych a niepojętych zakamarków pamięci wyłowilem ten tekst?

- Hej, Bartek, czy wszystko u ciebie w porządku, bo wyglądasz jakoś tak... interesująco.

Dobre sobie, czy naprawdę trzeba dostać odbierający oddech cios w żołądek i stracić kawałek swojego życia, żeby wyglądać interesująco?

- Nie, nic u mnie nie jest w porządku. Wszystko się sypie. Nie żebym narzekał, ale pytasz, więc odpowiadam.

Dziewczyna patrzyła na mnie nie tak, jak powinna. Przecież, do cholery, to nie była randka, w sumie nawet nie wiem, co to było. Po co myśmy się spotykali?

- Bartku - oho, zabrzmiało to jakoś tak na poły intymnie - posłuchaj, dawno już chciałam cię o to zapytać, czy ty masz dziewczynę?

A to już zupełnie bez sensu. Nie miałem najmniejszego zamiaru opowiadać jej o moich mniej lub bardziej nieudanych związkach. Jej, która ma narzeczonego, która tylko co, przy tym samym stoliku, uwodziła swoimi sarnimi oczyma starego kozła Rucacellego.

- Nie, nie mam, ale jeśli pozwolisz, ja też cię o coś spytam: czy wiesz, że wczoraj napadła mnie grupa skinów, ta sama, która trzy dni wcześniej pobiła Konrada i zniszczyła mu wiolonczelę? Gdyby nie to, nie grałabyś tej chałtury. - Już mi było głupio, że to mówię, ale brnąłem dalej: - A może ty znasz kolesia, który nazywa się Ryży? Bo to on w tym wszystkim maczał swoje brudne buciory...

Wanda robiła wrażenie totalnie zaskoczonej.

- Słuchaj, ja nie wiedziałam, że wiolonczelista wypadł z nagrania, bo go pobito, naprawdę strasznie mi przykro. O tobie też nie wiedziałam. A żadnego Ryżego nie znam, nie wiem, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy...

Teraz było mi już całkiem głupio. Przesadziłem trochę, zagrałem za brutalnie. Dziewczyna mogła mieć takie czy inne wady - o zaletach, czytaj: cielesnych przymiotach - już wspominałem, ale po co wplątałem ją w gry uliczne dużych chłopców?

- Wiesz, przepraszam cię, nie mówiłbym o tym, ale te bandziory pytały mnie o batutę. Uwierzysz? Bo ja do tej chwili nie mogę.

Tym razem dziewczyna zareagowała gwałtowniej.

- Batuta, batuta, ciągle tylko jakaś cholerna batuta, mam już tego dość. Słuchaj, proszę cię, powiedz mi raz a dobrze, co o niej wiesz. Dlaczego oddałeś ją policji? Dlaczego nie mówiłeś mi, że była w twoich rękach? Co w niej jest takiego, że wszyscy się za nią uganiają? Miejmy to za sobą, a może w końcu - zawahała się - uda nam się zająć... sobą.

Coś mi tu nie grało. Coś było nie tak.

- Wanda, muszę cię rozczarować. Nie namaluję ci barszczem kota, bo nie mam barszczu. Nie wyrecytuję ci wiersza, bo i tak go skasujesz. A o batucie nie powiem ci więcej niż Rucacelli, bo to on jest dyrygentem. Na

wszystkie pozostałe pytania może ci odpowiedzieć Jędrus, przepraszam, pan poseł Jędrzej Jędrzejczyński.

- No tak, tak właśnie myślałam. Niby fajny chłopak, a konkretnie w nim za grosz. Gówniarz.

- Rzeczywiście, maestro Rucacelli mógłby być moim wujem. Jędrzeja zresztą też.

Ojoj, tego nie powinienem był mówić. Argument był zresztą merytorycznie słaby, ale i Wanda specjalnie mnie nie oszczędzała. W jej oczach pojawiły się łzy.

- No tak, jasne, chłopczyk się obraził. Wiesz co, Bartosz? Idź już sobie. Tylko nie zdziw się, jak... - tu przerwała, jakby zaskoczyły ją własne słowa. Udałam, że ich dwuznaczny sens do mnie nie dotarł.

- Może mi nie uwierzysz, ale miło mi było cię widzieć. Pozwolisz, że zapłacę. I rzeczywiście pójde już; czeka na mnie pies.

Rzuciłem barmanowi ostatnią dwudziestkę z portfela - miałem nadzieję, że wystarczy za dwa espresso.

- Reszty nie trzeba. - Sam już nie pamiętam, kiedy ostatnio wymówiłem ten dramatyczny tekst. Barman uraczył mnie spojrzeniem pełnym zrozumienia. Ot, ekspert od ludzkich dusz i zachowań.

Z ulgą zanurzyłem się w czystą mroźność popołudnia.

Nie mam się za wielkiego znawcę kobiecej natury. Może właśnie dlatego nie mogłem zrozumieć zachowania Wandy. Próbowałem raz jeszcze poskładać związane z nią fakty z ostatnich dni, przynajmniej te, które znałem.

Pod nieobecność narzeczonego flirtuje z dyrygentem. Nie wiem, do jakiego momentu dochodzą, bo jakoś trudno mi uwierzyć, by skończyło się na... barszczu i twórczości poetyckiej. Nagle przypomniałem sobie długo pomijany element: koty łaszące się u moich stóp w czasie pierwszego spotkania z Wandą. Musiała je lubić. Może były to wręcz jej ukochane zwierzęta? Wystarczyło, aby wspomniała o tym Rucacellemu, a ten skrzętnie wykorzystywał jej słabość do szaroburych piękności w swoich uwodzicielskich próbach. Czyżby więc w tym zawierała się cała kocia tajemnica?

A może... nie musiała o nich mówić? Może Rucacelli sam je widział?

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że dyrygent mógł odwiedzić dziewczynę na Morelowej pod nieobecność psychicznie kontuzjowanego pana Zbyszka. Przecież fakt, że po spotkaniu w barze odprowadził ją do taksówki, niczego nie przesądzał; nie była to jedyna taksówka w mieście. Wręcz przeciwnie, kontynuowanie randki w hotelu mogło stać się dla obojga wysoce krępujące, a zachowanie pozorów wcale nie było aż tak

trudne. A Wanda mogła mówić prawdę i kłamać jednocześnie (kobięcy pragmatyzm): wróciła do domu sama, ale potem ktoś ją odwiedził...

Tak, to nieco rozświetlałoby nieostry obraz ich wzajemnej relacji, zespolonej kocim elementem. No dobrze, ale co dalej? Pojawia się Jędrzej, na szczęście (czyje?) dyrygent poprzedniego wieczoru - jakby to ująć - wypada z gry. Nieporozumienie z narzeczonym nie trwa długo, choć - wnioskując z tego, co widziałem - jest burzliwe. Całkowitym przypadkiem - znowu przypadkiem, choć czy wejście w konwencję, którą przypadek nam narzucił, jest nim w dalszym ciągu? - wkraczam na scenę ja, stając się kimś w rodzaju emocjonalnego łącznika między dziewczyną a jej tylko co dramatycznie przerwany romansem. Łącznikiem i powiernikiem. Tak się jakoś składa, że widzujemy się od tej pory niemal codziennie. Idźmy dalej.

W swoich próbach rozwikłania zagadki Rucacellego natykam się na tropy podsuwane mi przez Wandę. Mało tego, dziewczyna oczekuje ode mnie ich interpretacji. Nagle poraziła mnie dziwna myśl. Nie licząc pana Sebastiana, wiolonczelistka była jedyną osobą, której wspomniałem, że dyrygent wrzucił coś do wody. Ktoś przeszukiwał później jezioro. Czy te dwa fakty mogły się ze sobą łączyć? Mogły, ale nie musiały, bo wystarczyło, by pletwonurkowie byli z zupełnie innej bajki, lub ktoś jeszcze oprócz mnie widział scenkę na moście, ale nie dostrzegł, że pies zaaportował przedmiot.

Dokonując myślowych analiz, z większym już przekonaniem doszedłem do wniosku, że Wanda musiała dostrzegać czy też przynajmniej wyczuwać jakieś podwójne dno w zachowaniu Rucacellego, zresztą przecież sama mi o tym mówiła. Prawdopodobnie nie wiedziała jednak wystarczająco dużo, bo przed finałem dyrygent zszedł - a właściwie zniesiono go - ze sceny. Za to pojawiłem sieja, najwyraźniej podążający jakimś, kto wie, czy nie tym samym tropem. Może więc chciała, abyśmy byli ze sobą do końca szczerzy i podjęli współpracę w wyjaśnieniu niewiadomego? Może, uderzając w nieco bardziej czułe tony, chciała mnie do tego zachęcić, widząc moją powściągliwość i rezerwę? Jeśli tak, to wyszedłem na głupka do kwadratu, faceta, który wszystko widzi fałszywie i w dodatku błędnie interpretuje.

Miotalem się od ściany do ściany. Gdzie jest prawda? Jak zwykle gdzieś pośrodku? Czyli gdzie?

Tak czy inaczej, nie czułem się z tym dobrze. Postanowiłem później zadzwonić do dziewczyny, przeprosić ją i spróbować jeszcze raz.

Od rana, a właściwie jeszcze od wczorajszego wieczoru nurtowała mnie myśl, czy powinienem skontaktować się z Bielskim. Bezpośrednio po bijałce nie miałem jednak na to siły ani ochoty, zwłaszcza że wybrałem

zupełnie inny sposób odreagowania. Dzisiaj jednak docierało do mnie, że etap żartów mam już za sobą. Atmosfera gęstniała. Trup zaczynał padać gęsto, chciałoby się powiedzieć, przy czym słowo „trup” ciągle miało charakter symboliczny. Ale jak długo jeszcze? Oczywiście oszustwo, którego się dopuściłem, wciskając nadkomisarzowi fałszywą batutę, nie dawało mi spokoju. A właśnie to ciekawe, że z ust Ryżego nie usłyszałem wczoraj pytania: „Gdzie jest batuta?” albo żądania: „Oddaj batutę!”, tylko: „Co wiesz o batucie?” (W rzeczywistości pytanie było nieco bardziej rozwinięte literacko, ale jego sens był właśnie taki).

Taktyka mylenia śladów przyniosła więc efekt. Ryży, Wanda, a może i całe miasto wiedziało, że sejfem z ulicy Kanonicznej zaopiekowała się policja. Tylko dlaczego wszyscy wiedzieli, co się w nim znajdowało?

Nie wiem jak wszyscy, ale Wanda musiała być bardzo inteligentna, skoro z taką pewnością i precyzją połączyła oba fakty.

Chyba że i to było dziełem przypadku.

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowiłem jednak skontaktować się z Bielskim. Zaczynałem czuć się jak osaczana zwierzyna, nadeszła pora, aby i druga strona zaznała tego uczucia.

W nawale wydatków pozwoliłem sobie na jeszcze jeden: zasilłem konto swojego telefonu. Połączony niewidzialną nitką ze światem, od razu poczułem się pewniej.

Nadkomisarz zaprosił mnie do siebie, do komendy. Nie było to moje ulubione miejsce, ale mogłem być śledzony (obsesja?). Wizyta na policji powinna być sygnałem, że nie zamierzam czekać z założonymi rękami na powtórkę wczorajszego scenariusza.

Opowiedziałem Bielskiemu, co wydarzyło się wczoraj w pobliżu ulicy Kanonicznej. Opisałem - o ile byłem w stanie - napastników. Wspomniałem, że ich przywódca prawdopodobnie nazywa się Ryży, i że być może ta sama grupa trzy dni wcześniej pobiła mojego kolegę, wiolonczelistę. Powiedziałem też, jaki los spotkał nasze instrumenty i - na koniec, niejako przy okazji - że Ryży próbował sprawdzić stan mojej wiedzy na temat batuty.

Bielski przyglądał mi się z zainteresowaniem.

- A co pan właściwie o niej wie? - zapytał niespodziewanie.

Nie pozostało mi nic innego, jak trzymać się roli.

- Sądziłem, że to pan uchyli przede mną rąbka tajemnicy. Co wykazały ekspertyzy?

- Właśnie o to chodzi. Nic takiego, co wskazywałoby na jej nadzwyczajność. Nie znamy klucza do sprawy.

Omiał nie zareagowałem na słowo: „klucz”. Czy Bielski użył go celowo? Chyba nie, bo nie przyglądał mi się z większą niż poprzednio uwagą.

- Jedno jest pewne, panie Czarnoleski: w coś - żeś - się - pan - wplątał. Ale jak pan sam nie wie w co, to jak możemy panu pomóc?

Logiczne. Przekaz był następujący: jak będziesz ukrywał fakty albo kręcił, to nie ręczymy za twoje bezpieczeństwo.

- Poza tym, czy wie pan, ilu jest w naszym mieście młodych ludzi odpowiadających pańskiemu opisowi? A jak jeszcze założą kaptury, to wszyscy wyglądają tak samo. Ku-Klux-Klan, cholera jasna. Zdaje pan sobie również sprawę, że Ryży to nie imię ani nazwisko? A może ci pańscy koleśie ich znają?

- Nie, nie znają, rozmawiałem z nimi.

- No dobrze - Bielski wstał - zaprotokołujemy pańskie zeznania-skargę i zobaczymy, co da się zrobić. Niech pan uważa na siebie. A pies?

- Co pies?

- Przecież to duży pies. Niech pan go ma częściej przy sobie, póki sprawy się nie wyjaśnią. To najlepszy goryl.

- Panie nadkomisarzu, to pies, a nie goryl.

- A czy pan myśli, że goryl nie ma swojego rozumu?

Nadkomisarz wstał, uśmiechając się; pora zająć się innymi sprawami. Nieoczekiwanie zapytał jeszcze:

- Panie Bartoszu, czy pan ma jakieś hobby?

- Jeśli ma pan na myśli zajęcie, za które mi nie płacą, a jednak dostarcza mi ono przyjemności, to tak, jest coś takiego...

Policjant patrzył na mnie jak pająk, któremu w końcu, choć zniechęca udało się wciągnąć ofiarę w sieć.

- ...Spaceruję z moim psem.

Sieć pękła, choć pająk zachował jeszcze na twarzy mechaniczny uśmiech. Ale i ja nie miałem zamiaru odpuszczać.

- A czy sprawdził już pan ten klub pletwonurków?

Nienaturalny grymas ostatecznie znikł z twarzy Bielskiego.

- Czy pan zawsze taki dociekliwy? - burknął. - Nie, to nie żaden klub pletwonurków. Ktoś się bawił na własną rękę.

- I nie wie pan kto? - dobiłem go.

- Nie, nie wiem.

Faktycznie, jego wiedza nie była porażająca.

Siedziałem na swoim przytulnym poddaszu i czułem, że najchętniej zostałbym tutaj przez kilka następnych dni. Byłem zmęczony. Dzień,

obfitujący od rana w rozmowy i towarzyskie kontakty, pogłębił to uczucie. Ale nad zmęczeniem dominowało coś innego: czułem się zbity z tropu. I to nie batutowego, bo ten każdego dnia wzbogacał się o nowe elementy.

Chodziło o audycję.

Ostatnia faza przygotowań zbiegła się z dziwnymi a niepokojącymi wydarzeniami. No dobrze, sam pozwoliłem się w nie uwikłać, jeśli to jakaś różnica. Chyba tylko potwierdzająca istnienie wolnej woli. Ale przesłuchanie było celem, do którego dążyłem, zdeterminowany jak nigdy dotąd.

Jeszcze przez niecałe dwa lata pierwszą cyfrą mojego wieku miała być dwójka. Coraz częściej zastanawiałem się nad swoim życiem. Było dalekie od ustabilizowania. Zaznałem uroków bycia wolnym, niezależnym i samowystarczalnym. Przyszła pora coś zmienić.

Uwielbiałem swoje poddasze. Ale po pierwsze, jakie ono moje? Jakie miałem szanse, żeby kiedyś kupić własne mieszkanie, nie mając stałej pracy? Jaki bank zechciałby udzielić mi kredytu? Gdzieś w wyobraźni błyskały mi czasem migawki z przyszłości. Niewielki domek pod miastem, z lasem i łąką w pobliżu, Eston buszujący po ogrodzie i... Inne postacie tej wizji nie były konkretne, ale czy fakt, że tam się znajdowały, nie świadczył, że dorośleję?

Myślałem o przyszłości w sposób nieco bardziej odpowiedzialny niż do tej pory. Właśnie miałem w tym kierunku wykonać duży krok, istotny pierwszy krok, warunkujący dalsze. Bez gwarancji sukcesu, zgoda. Ale kto komu daje takie gwarancje na wyrost?

I kiedy już, znów mówiąc symbolicznie, szykowałem się do zagrania końcowego akordu, ktoś, i to już całkiem niesymbolicznie, wyrwał mi z rąk narzędzie pracy. Jak Syzyf wspinałem się pod górę, tocząc ciężki kamień, i teraz znowu przyjdzie zaczynać od nowa?

Dlatego byłem odrętwiały, zniechęcony i przybity. To oczywiście wspaniale, że mistrz Remigiusz Solniczka zdobył się na taki gest i pożyczył mi swój instrument. Przynajmniej mogłem utrzymać zawodowe status quo. Ale jakoś nie potrafiłem się z tego cieszyć.

Wyjąłem z futerału nowiuteńką altówkę. Była niewątpliwym dowodem kunsztu mistrza Solniczki. Zapominając na chwilę o zniechęceniu, a dając się ponieść normalnej muzycznej ciekawości, postanowiłem sprawdzić jej walory brzmieniowe. Przypomniały mi się słowa pana Remigiusza:

- Wczoraj pierwszy raz założyłem struny, takie tam zwykle dominanty. Będą się na razie rozstrajać, ale niech pan spróbuje, co panu szkodzi?

Pewnie, co mi szkodziło?

Literatura orkiestrowa nie obfituje w wielkie fragmenty solowe dla altówki. Jest ich raptem kilka - choć słowo „wielkie” powinno tu być traktowane z umiarem. Należy do nich partia z poematu symfonicznego *Don Kichot* Richarda Straussa, gdzie altówka wciela się w rolę Sancho Pansy, partnerując wiolonczeli personifikującej głównego bohatera. Jest partia w operze *Arabella* tego samego kompozytora i dwa solowe fragmenty we francuskich baletach: *Giselle* Adolphe Adama i *Coppella* Leo Delibes'a. Jak skromny jest na ogół ich charakter, obrazuje następujące zdarzenie:

W ramach ogrywania programu przed publicznością, by stworzyć sobie parakonkursowe warunki, zagrałem kiedyś zaprzyjaźnionemu skrzypkowi fragment z *Coppellii*. Kiedy skończyłem, powiedział:

- No, czemu nie grasz? Zaczynaj...

Wiadomo, skrzypek, złośliwa bestia...

Ale rzeczywiście; w stosunku do ich solowych popisów, na przykład w *Szeherazadzie* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, czy *Życiu bohatera* Richarda Straussa, nie jest to partia imponująca.

Wśród wymaganych na nadchodzącym egzaminie fragmentów orkiestrowych znajdował się solowy fragment z opery *Wolny strzelec* Karla Marii Webera.

Filharmonia krakowicka chciała się widocznie przekonać, czy wyselekcjonowani do finału kandydaci mają potencjał do wykonywania takich partii, gdy zajdzie potrzeba nagłego zastępstwa - choć na pełnoprawne miejsce lidera-koncertmistrza grupy organizowane są zazwyczaj odrębne przesłuchania.

Ten króciutki fragment, a zwłaszcza tytuł opery, z której pochodził, wydał mi się nagle symbolem mojego miejsca na muzycznej i życiowej mapie. Zacząłem grać.

Po dłuższej chwili ze zdziwieniem odłożyłem instrument. Znowu coś mi się nie zgadzało. Znowu byłem zaskoczony, by nie powiedzieć zszokowany. Ale tym razem wszystkie wrażenia miały pozytywne zabarwienie. To mógł, a wręcz musiał być czysty chwilowy przypadek; byłem nieomal pewien, że następne podejście do nowego instrumentu zweryfikuje moje odczucia. Ale nie spieszyłem się. Nie chciałem przepłoszyć nadziei, która już pogrzebana, znów całkiem nieoczekiwanie, jak feniks z popiołów, odrodziła się we mnie.

Bo jak wytłumaczyć fakt, że grało mi się dobrze? Grało mi się jak na własnym instrumencie, tylko brzmienie było inne, powiedziałbym, że bogatsze.

Jedynie teoretyczne uzasadnienie dziwnego zjawiska mogło pozwolić mi je w pełni zaakceptować i wykorzystać. Wykręciłem numer pracowni lutniczej.

- Pan Remigiusz? Dobry wieczór, tu ponownie Bartosz Czarnoleski. Panie Remigiuszu, ja nic nie rozumiem. Jak to jest możliwe? Czy pan jest czarodziejem?

Lutnik musiał spodziewać się telefonu. Mimo całkowitego braku precyzji mojej emocjonalnej wypowiedzi bez zbędnych wstępów zaczął:

- Odpowiedź jest prosta: zarówno pana Francuz, jak i mój instrument są zrobione według tego samego modelu Guarneriego. Dokładnie takie same wymiary, identyczna menzura, tylko efekt dźwiękowy zawsze będzie różny. I to jest cała tajemnica tego zawodu: niby wszystko zrobisz tak samo, a i tak będzie inaczej...

Ale nie słuchałem już zawodowych wynurzeń mistrza Solniczki.

Więc dlatego! To była dobra wiadomość. Przekonywała mnie, że nie uległem chwilowej iluzji, i że kolejne kontakty z instrumentem mnie nie rozczarują. Mogłem znów realnie myśleć o czymś, co jeszcze parę chwil wcześniej wydawało się zaprzepaszczone.

W nieoczekiwany, by nie rzec cudowny sposób, powracałem do gry o miejsce w filharmonii. Huśtawka nastrojów trwała.

Rozkołysany (rozkojarzony?) jej kapryсами, odrzuciłem ostatecznie czarne myśli poranka, postanawiając przyjrzeć się innemu, ludzkiemu aspektowi orkiestrowej rzeczywistości. Głównym aktorem filharmonicznej sceny; moim potencjalnym kolegom.

Czy istnieją pewne właściwości, charakterystyczne dla poszczególnych instrumentalistów? Do jakiego stopnia muzyk przejmuje cechy instrumentu, na którym gra, a w jakim wzbogaca jego brzmienie osobistymi przymiotami?

Zacznijmy od fletów. To prawdziwe primabaleriny orkiestry. Nos noszą przeważnie tak wysoko, jak wysoko brzmi ich instrument. Ale wystarczy posłuchać - na przykład - *Popołudnia Fauna* Debussy'ego, by im to wybaczyć. Ich mniejszy brat, flet piccolo, sprawdza wrażliwość ludzkiego ucha na ultradźwięki.

Oboista to ktoś w rodzaju koncertmistrza grupy instrumentów dętych. To on podaje dźwięk - la - do którego stroi się przed próbą i koncertem cała orkiestra. Pięknie brzmiący obój może poruszyć nawet skałę, dlatego wybaczenie obojście jego nadwrażliwość.

A rożek angielski, zwany też obojem miłosnym? Czy nazwa nie mówi sama za siebie? Zgoda, zestawienie słów: „angielski” i „miłosny”, brzmi paradoksalnie, ale nie mylmy czynnika geograficznego z emocjonalnym. Gwarantuję, że każde solo tego instrumentu grozi potrzebą wyjmowania z kieszeni chusteczek higienicznych. Dialog oboju i rożka angielskiego

z trzeciej części *Symfonii Fantastycznej* Hectora Berlioza, jest jak rozmowa zagubionych dusz.

Oto klarnet, instrument rubaszny a dobroduszny - może się to przekładać na charakter muzyków - zwany popularnie kijem; chyba ze względu na prostotę brzmienia. Klasyczny klarnet nie wibruje; to domena klezmerów i jazzu. Ale posłuchajcie, jak figluje na początku *Dyla Sowizdrzała* Richarda Straussa lub wjeżdża w *Błękitną rapsodię* Gershwina, by zrozumieć, że nic po orkiestrze bez klarnetu. Klarnet piccolo to niezapomniana czarownica z *Sabatu* tychże - finału wspomianej już *Symfonii Fantastycznej*.

Kłania się fagot, naczelny satyryk orkiestry. Fagocista, człowiek z finezyjnie zarysowanym intelektem i ładnie uwypuklonym ego, zagra wszędzie tam, gdzie potrzebne jest brzmienie charakterystyczne, przechodzące w groteskę. Gdy jednak chcesz odkryć jego drugą, kto wie, czy nie prawdziwą, choć utajoną naturę, posłuchaj, jak zaczyna się *VI Symfonia h-moll, Patetyczna*, Piotra Czajkowskiego.

Jeśli zaś stęskniłeś się za dźwiękiem odkurzacza, posłuchaj kontrafagotu, czyli reprezentanta instrumentów ekstremalnych. Nie daj się zwieść posępnej naturze kontrafagocisty - to w gruncie rzeczy wesolek i żartowniś.

Trąbki. Ich niewymuszona elegancja natychmiast rzuca się w oczy. Bo trąbka to prawdziwy amant orkiestry: męski, zdecydowany. Dalekie mu są rozmazane rozterki obojów; on po prostu gra, zdobywa i zwycięża. A kto chce go posądzić o brak finezji, niech posłucha fragmentu *Obrazków z wystawy* Modesta Musorgskiego; części zatytułowanej *Samuel Goldenberg i Szmul*.

Waltornie, czyli rogi francuskie. To one dźwigają na swych barkach ciężar koncertu. Skiksują czy nie? - myślą muzycy, gdy zbliża się waltorniowe solo. Jeśli tak, to nic się nie stało, bo to naprawdę trudny instrument. Lecz jeśli zagrają bezbłędnie - otwiera się niebo. Grany przez rogi chorał z drugiej części *Koncertu na orkiestrę* Beli Bartóka to ułamek chwili, który dotyka sfery nieziemskiej.

Puzony. Puzoniście nie wchodź w drogę, jeśli nie musisz. A jeśli musisz, wejdź - to sympatyczni ludzie. Jeśli czasem czegoś ci brakowało na koncercie, to znaczy, że w utworze nie było puzonów. Bez nich nie byłoby Mahlera i jego symfonii.

Tak samo zresztą jak bez tuby. To ciężka artyleria, ale bez niej się wojny nie wygrywa. Znów odwołam się do *Obrazków z wystawy* Modesta Musorgskiego. Ten fortepianowy utwór, genialnie zinstrumentowany przez Mauricea Ravela, pokazuje kalejdoskop orkiestrowych brzmień. Puzony tworzą niezwykły klimat rzymskich katakumb, a tuba rozśpiewuje się w

szerokiej, rwącej serce frazie ilustrującej przejazd drabiniastego wozu o skrzypiących kołach, ciągniętego przez parę wołów...

Warto wspomnieć o jeszcze jednym utworze, tym razem w całości autorstwa Maurice'a Ravela, stanowiącym kompendium wiedzy o barwach i możliwościach poszczególnych instrumentów. To *Bolero*, niekwestionowany superhit muzyki, zwanej poważną.

Istnieje muzyczny przewodnik po orkiestrze symfonicznej; *The Young Person's Guide to the Orchestra*, którego twórcą jest Benjamin Britten. Zadanie utworu jest przede wszystkim dydaktyczne; adresowany - zgodnie z nazwą - do młodego słuchacza, ukazuje interesujący, bo zastosowany w praktyce przekrój możliwości brzmieniowych orkiestry.

Aby poznać je w artystycznym apogeum, trzeba posłuchać wspomnianego już *Koncertu na orkiestrę* Beli Bartóka, arcydzieła szokującego niewiarygodnym potencjałem symfonicznego brzmienia w całym blasku.

I tak dojechaliśmy do perkusji. Uwaga, perkusista to jedyny poza dyrygentem człowiek w orkiestrze, który dysponuje pałką, a nawet dwiema. I wie, jak nimi uderzać! Oto rytmiczny motor orkiestry. Patrzy na orkiestrę nieco z góry i... tak mu już zostaje, ale dobrze, przynajmy mu: jest potrzebny.

Harfa to barwa, wiatr, morze, szum lasu. Tak zwiewna i eteryczna jak harfistka trącająca jej struny. Posłuchajcie *Szerezydady* Rimskiego-Korsakowa, a wpadniecie w zachwyt. Harfistki są jednak przeważnie zajęte: a to zmianami pedałów w instrumencie, a to jego transportem, więc trudno z nimi pogadać.

Przejdźmy do instrumentów smyczkowych.

Czym flet dla grupy instrumentów dętych, tym pierwsze skrzypce dla kwintetu. Ich rola jest porównywalna, choć wydaje się, że skrzypce mają jednak więcej do grania. Ale jest ich też więcej, więc jakoś to się wyrównuje. Pierwsze skrzypce w orkiestrze to zbiór wirtuozów, którym z jakichś względów nie ułożyła się kariera solistyczna. Ale wysoki pułap ego pozostał. Jeśli jednak mówiliśmy tu już o niezbędności różnych instrumentów, to bez tej grupy nie sposób sobie nawet wyobrazić orkiestry. Po prostu nie istniałaby.

Drugie skrzypce to ci, którzy powinni grać w pierwszych, ale świadomie i dojrzałe wybrali drugie - dla zachowania równowagi i uniknięcia dysproporcji. W istocie więc ego drugich skrzypków jest o około pół tonu wyższe niż pierwszych.

O altówkach już mówiłem. Dla jednych (czyli wszystkich) chłopiec do bicia, dla innych (czyli altowiolistów) serce orkiestry, jej oddech, jej

utajony, ale wyczuwalny puls, jej, jeśli już nie kwint-, to przynajmniej kwartesencja. Wiolonczele to takie duże pierwsze skrzypce. Wiolonczeliści, od dzieciństwa narażeni na zaczepki współpasażerów w środkach masowego przekazu, wyrabiają w sobie hart i odporność oraz siłę - i tymi cechami wzbogacają orkiestrę. I czymś jeszcze: aksamitnym dźwiękiem...

Słyszałem opowieść o pewnym znanym wiolonczeliście, który, z racji wielkości instrumentu atakowany w miejskim autobusie przez nieprzyjazną niewiastę, słusznie i przytomnie odparł:

- Dla pani przyjemności nie będę grał na pikulinie.

To nie był koniec rozmowy. Nieprzyjazna niewiasta zasugerowała, w którą część ciała wiolonczelista może ją ewentualnie pocałować. Ten zaś, niezrażony, równie przytomnie zapytał:

- Czy to aby czas i miejsce na takie karesy?

Kontrabasy w końcu. Prawdziwy dźwiękowy fundament orkiestry. (Jeden z zaprzyjaźnionych basistów na pytanie, dlaczego preferuje panie o nie najszcuplejszych nogach, zwykł odpowiadać: bo lubię solidne podstawy; oto podziwu godny przykład etosu profesjonalisty: nawet w życiu osobistym nie zapomina, kim jest, i nie porzuca swoich idei na pastwę codzienności). Porównania z gehenną ich dzieciństwa nie wytrzymują nawet zdeteterminowane wiolonczele. Dlatego basiści trzymają się zazwyczaj w swoim gronie, skłonni sądzić, że nikt poza nimi samymi ich nie zrozumie. Ze szczególnych osiągnięć dźwiękowych polecam początek fugata w *Scherzo z V Symfonii* Beethovena. Skojarzenie z przesuwanymi szafami nasuwa się samo. A mówiąc poważnie, to kolejna grupa, bez której nie byłoby orkiestry symfonicznej.

Nie byłoby jej bez któregośkolwiek z opisanych instrumentów, oraz tych, o których nie wspomniałem.

Świat byłby wówczas uboższy.

Rozdział XI

Piątek cd.

Ciekaw byłem, czy pan Zenon pamięta naszą wczorajszą rozmowę i mój widok go nie zaskoczy. Tym bardziej że uznając racje Bielskiego, postanowiłem zabrać ze sobą Estona. Pies robił wrażenie zachwyconego pomysłem. Zajrzeliśmy na chwilę do antykwariatu. Faksu z Włoch jeszcze nie było, ale pan Sebastian był dość podekscytowany.

- Moje dziecko, nie mogąc nigdzie odnaleźć artykułu, zaczęło dzwonić po redakcjach tokańskich gazet - bo że w jednej z nich się ukazał, stanowi całą moją wiedzę. I udało się; siódmy z rzędu telefon okazał się trafiony, tyle tylko że nikt nie zgodził się na przefaksowanie lub przemejlowanie tekstu. To dziwne, ale można go przeczytać wyłącznie na miejscu, w redakcji. Dziecko podjęło więc szybką decyzję: spędzi weekend w Toskanii, przy okazji odwiedzając siedzibę dziennika.

- Raczej odwrotnie - powiedziałem z uśmiechem. Coraz bardziej mnie to dziecko fascynowało. Chętnie bym je poznał.

- Tak, ale to na jedno wychodzi. A dziecko jest dociekliwe, mówiłem ci. - Antykwariusz odwzajemnił uśmiech. - Myślę, że najpóźniej jutro rano faks powinien być w naszych rękach.

- A nie boi się pan, że na miejscu też nie można tekstu skopiować?

- Jestem pewien, że nie można, ale dziecko sobie poradzi...

Piekierne dziecko, może jednak lepiej go nie poznawać? - Aż ciarki przeszły mi po plecach. Zwłaszcza że jego powrót musiałby oznaczać koniec dolce vita na błogim poddaszu. Nie, nie było teraz sensu o tym myśleć

- Panie Sebastianie, czy nie znajdzie pan w swoich zbiorach czegoś o filharmonii? Młode, stare, wszystko jedno, najchętniej ze zdjęciami.

- Hm, może by się i coś znalazło, ale spójrz: tu jest parę tysięcy książek i tylko część skatalogowana. Popróbuje, ale nie wcześniej niż na jutro.

Pożegnałem się, a „jutro” zaczęło promieniować coraz bardziej obiecującym światłem.

Po drodze odwiedziliśmy całodobowe delikatesy. Miałem założenie, aby nie pojawić się przed obliczem cerbera bez haraczu. W ramach pozbywania się finansowych resztek kupiłem płaską buteleczkę stocka i czekoladę.

Pan Zenon nie tylko się nie zdziwił, ale wręcz ucieszył na nasz widok.

Eston na powitanie dostojnie poruszył puszystym ogonem.

- Niech go pan puści. Tu nikogo nie ma o tej porze, może sobie spokojnie pobiegać.

Nie po raz pierwszy przekonywałem się, że ludzi dzielimy na dwa gatunki: tych, którzy lubią psy, i tych, którzy ich nie lubią - przy czym rzecz jasna nie chodzi mi tu o azjatycki podział kulinarny. Pan Zenon, na szczęście, należał do tych pierwszych.

Eston od razu wziął się do rącznych przebieżek po obszernym hallu filharmonicznym. Pociętnie ślizgał się na wypolerowanych marmurach posadzki, ale najwyraźniej sprawiało mu to frajdę.

- To ja nastawię wodę na herbatkę.

W niemym geście wyciągnąłem z kieszeni płaską buteleczkę. Oczy pana Zenona zaświeciły się. Rozumieliśmy się bez słów.

Herbata z kroplą brandy miała terapeutyczne działanie. W dyżurce filharmonii było nam jak u Pana Boga za piecem. Eston, zmęczony buszowaniem po śliskich korytarzach, leżał teraz w drzwiach pomieszczenia, położywszy głowę na łapach. Widziałem, że chce mu się spać, jednak instynkt nie pozwalał na to w nowym, nieznanym miejscu.

Pan Zenon był najwyraźniej zadowolony z towarzystwa. I ja odnajdowałem urok tak niecodziennych okoliczności pobytu w szacownej instytucji. Byliśmy jedynymi osobami w olbrzymim gmachu; już samo to było frapujące.

Pora jednak przyznać się, że moja wizyta nie miała wyłącznie towarzyskiego celu. Przyjąłem, a nawet wyszedłem naprzeciw zaproszeniu portiera, gdyż tym samym zyskiwałem niepowtarzalną okazję znalezienia się w pomieszczeniu, które od kilku dni nie dawało mi spokoju.

Miejszem tym był gabinet dyrygencki, zaś elementem, któremu chciałem się przyjrzeć z bliska i niespiesznie - jego niezwykley sufit. Przelotny rzut oka - na tyle tylko mogłem sobie pozwolić, będąc tam pierwszy i jedyny jak do tej pory raz, przekonał mnie, że mam do czynienia z intrygującym dziełem sztuki, ale na analizę i zrozumienie jego przesłania zabrakło mi czasu. Nie licząc faktu, że Rucacelli kilkakrotnie przebywał w pokoju, a wewnątrz fortepianu odnalazłem kartkę, która prawdopodobnie pochodziła ze środka batuty, nie było innych, realnych powodów, aby tam właśnie szukać odpowiedzi na mnożące się pytania. Jutrzejszy dzień mógł rzucić na nie nowe światło, dobrym pomysłem wydawała mi się więc pewna wstrzeźliwość w snuciu wątplych domniemań. A jednak miejsce, samo w sobie, było na tyle intrygujące, że przyciągało mnie z magnetyczną niemalże siłą. Kiedy jeszcze mogłem liczyć na jego spokojne obejrzenie?

Tymczasem sytuacja dojrzewiała niczym tropikalny owoc. Kiedy uznałem, że już pora go zerwać - portier robił wrażenie, jak gdyby pragnął uciąć sobie krótką drzemkę - zapytałem:

- Panie Zenonie, czy wiadomo panu coś więcej na temat pokoju dyrygenckiego, a zwłaszcza tego niezwykłego sufitu?

- A tak, wszyscy dyrygenci się zachwycają, mówią, że czegoś takiego nigdy nie widzieli. Wiem tylko tyle, że jak był remont po wojnie, to komisja z ministerstwa kultury zabroniła go w ogóle ruszać. - Nie ulegało wątpliwości, że portier jest związany ze swoim miejscem pracy nie tylko obowiązkiem, ale i - a może przede wszystkim - sercem.

- Czyli jest zachowany w oryginalnej formie?

- Tego do końca nie wiem, ale że sprzed wojny, to na pewno. Ktoś, już nie pamiętam kto, mówił, że krótko przed wojną też był jakiś remont, to może z wtedy pochodzi? - Pan Zenon pomyślał chwilę, po czym rzekł: - Panie Bartku, ja się stąd za bardzo nie mogę ruszyć, ale możemy zrobić tak: pan mi naleje jeszcze parę kropel tej dobroci, a ja dam panu klucz i sam pan sobie wszystko spokojnie obejrzy. A ten wielki zwierz może zostać ze mną, będzie mi raźniej. Trochę się dzisiaj panoszymy, ale rzadko się zdarza, żeby ktoś mnie tu w nocy odwiedzał.

Chciał jeszcze coś dodać, ale go wyręczyłem:

- Niech pan będzie spokojny; pójdę, obejrzę, zgaszę światło i zaraz wrócę. Niczego nie będę dotykać. A rzeczywiście mi na tym zależy.

- No, to nie ma o czym mówić, niech pan idzie. - To mówiąc, wręczył mi klucz. - Trafi pan z tymi bocznymi światełkami?

- Trafie, proszę nic więcej nie zapalać.

- W pokoju włącznik światła jest zaraz za drzwiami, po prawej stronie.

Powiedziałem Estonowi: zostań! Nie protestował, odprowadził mnie tylko spojrzeniem.

Pierwszy raz podążałem tą drogą w ciszy, samotności i półmroku. Wędrówka miała smak zakazanego owocu; choć nie robiłem nic złego, nie narażałem nikogo, a moje zamiary nie były złowieszcze, stąpałem ostrożnie, jakby w obawie, że zostaną przyłapani. Rzeczywiście było ciemnawo, ale cieszyłem się, że portier nie włączył górnego oświetlenia. Nie odebrał mi tym samym poczucia intymności. Przechodząc koło jednego z wejść do sali koncertowej na pierwszym piętrze, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby choć na chwilę do niej nie zajrzeć.

Ukazała mi się w jeszcze innej perspektywie. W szczątkowym oświetleniu wyglądała tajemniczo i dostojnie. Przystanąłem na chwilę, bo w mojej głowie zabrzmiał nagle motyw rozpoczynający *V Symfonię* Beethovena...

Trzeci koncert Festiwalu miał prowadzić Tygrys Rydojeskin, przedstawiciel klasycznej szkoły batuty, można by powiedzieć. Był pierwszym niebudzącym kontrowersji dyrygentem beethovenowskiego cyklu. Zupełnie odporny na nowe prądy interpretacyjne - ich zwolennik zdążył nas porazić przy okazji pierwszego koncertu - wyrażał się o nich z pobłażaniem.

- Czy wolą państwo potrawę z sosem czy suchą? - Sformułował retoryczne pytanie, które miało rozstrzygnąć dylemat: jak należy grać Beethovena: z wibracją czy bez niej?

Ktoś próbował nieśmiało odpowiedzieć, że to zależy od potrawy. Rydojeskin przygwoździł oponenta ironicznym spojrzeniem i dodał:

- Ale wódki bezalkoholowej pan nie lubi? Bo ja nie.

I w ten sposób rozstrzygał pojedynek interpretacyjnych sporów i rozterek.

Niemniej dla wszystkich było oczywiste, że mieliśmy do czynienia z wysokiej klasy fachowcem, który po prostu wie, co i jak należy robić, aby dobrze przygotować orkiestrę. Jego koncepcja utworów, oparta na dobrze pojętej tradycji, przekonywała. Pracując z nim, po raz kolejny dochodziłem do wniosku, że dobry dyrygent ufa muzykom. Bo sam jest muzykiem.

V Symfonia c-moll op. 67 to prawdziwy hit sal koncertowych. I nie tylko. Jej pierwsza część, do zniesmaczenia przerabiana na potrzeby muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej (sformułowanie bardziej kojarzące się z panią niż ze sztuką, choć i słowo „sztuka” jest synonimem panią, ale tego nie podejmuję się wyjaśnić...), a zwłaszcza otwierający ją motyw losu, to bez wątpienia jeden z najbardziej rozpoznawalnych evergreenów muzycznych w ogóle. Potężny ładunek emocjonalny utworu plus pogodny charakter kolejnego symfonicznego dzieła - *VI Symfonii F-dur op. 68 Pastoralnej*, znanej też, jako pierwsza w historii symfonia programowa (z dźwiękową ilustracją sielskiej wsi, jej życia, zabaw, piękna, a nawet burzy i tęczy) - składały się na fantastyczny koncert. Tygrys Rydojeskin miał niebagatelnie opanowaną technikę dyrygowania. Bez zarzutu przygotował zespół do występu, w trakcie którego emanował spokojem dającym orkiestrze poczucie bezpieczeństwa; to trochę tak, jak jechać autobusem prowadzonym przez wytrawnego kierowcę. Różnicę znają ci, którzy zaznali męki podróży z kiepskim szoferem. Z harmonijnej współpracy orkiestra - dyrygent powstał solidny koncert, pozbawiony może pewnej nieobliczalności poprzedniego, ale pozwalający muzykom bez reszty oddać się przyjemności grania. Rydojeskin panował nad muzyką i orkiestrą. A to znaczy, że... był dyrygentem z prawdziwego zdarzenia. Do tego stopnia, że niekiedy odnosiłem wrażenie, jakby rutyna brała u niego górę nad artystem. Jeśli jednak było to rzemiosło, to bez wątpienia najwyższej próby. Daj nam Boże

więcej takich rzemieślników, a oszczędź - koryfeuszy, którzy prócz własnego arcyzmu(?), niewiele więcej mają do zaoferowania! Dwie słynne symfonie plus niekłamany profesjonalizm Rydojeskina zagwarantowały sukces koncertu.

Phipher-Legwie, Makirzyje, Rydojeskin, Terwal i Rucacelli. To była wielka piątka Festiwalu. Ale to orkiestra wypełniła jego ramy, to orkiestra była wykonawczynią wszystkich pięciu koncertów, to ona stworzyła dyrygentom możliwość zaistnienia. A że swoją maestrią mogli się przyczynić do jego poziomu i artystycznej intensywności, tego nikt im nie może odebrać.

Podjąłem drogę ku następnemu piętru, by po chwili stanąć przed drzwiami, które znamienita piątka nie tak dawno otwierała własnoręcznie. Przekręcenie klucza w zamku i zapalenie światła nie nastąpiło żadnych trudności. Pomieszczenie zalała ciepła jasność - blask bijący z bocznych lamp nie oślepiał, ale po niedostatku światła na korytarzu robił przyjemne wrażenie.

W pokoju nic się nie zmieniło. Jedyne okrągłe okno - wówczas źródło światła - było tym razem ciemne; a jednak niezwykła *Filharmonia* Siemielnianego robiła wrażenie, jakby przeświecła ją blask sierpniowego popołudnia.

Zadaniem, które sobie postawiłem, było odnalezienie klucza, według którego kompozytorzy trafili na sufit. Należało zacząć od początku, czyli... znaleźć początek. Stojąc pośrodku i przebiegając wzrokiem kręgi nad głową, upewniłem się, że ich układ i kolejność nie są dziełem przypadku; punkt centralny, pod którym się znajdowałem, musiał być zwieńczeniem. Zgodnie z wymogami logiki, w którymś z rogów powinien znajdować się początek.

Sprawdzenie czterech wierzchołków figury nie zajęło mi dużo czasu. Lecz zadanie nie było aż tak łatwe. Dwie z narożnych podobizn były niepodpisane. W pierwszej doszukałem się jakby rycerza z lutnią, w drugiej wizerunku mnicha. Dalsza analiza sufitowych kręgów przekonała mnie, że właśnie od niego należy zacząć wędrówkę przez wieki.

Europejska muzyka, tak jak historia i kultura czy, z jeszcze innej strony patrząc, natura samego człowieka, wywodzi się z dwóch pni: duchowego i cielesnego, sakralnego i świeckiego, sacrum i profanum. Mnich, który rozpoczynał krąg pierwszy, był współtwórcą jednego z nich. Dlaczego właśnie on dostąpił tego zaszczytu?

Początki chorału gregoriańskiego sięgają VIII wieku naszej ery, a jego nazwa ma związek z imieniem papieża Grzegorza Wielkiego, któremu błędnie przypisywano wprowadzenie go do liturgii kościelnej. Jak żaden

z elementów historii, chorał nie wziął się jednak znikąd. Tak jak religie, gdy bliżej im się przyjrzeć, są bardziej kontynuacją niż rewolucją, czerpiąc pełną garścią z kultów poprzedzających - tak i chorał gregoriański był adaptacją i rozwinięciem śpiewów, między innymi synagogałnego, syryjskiego, bizantyjskiego i greckiego. Prócz posiadania czysto muzycznych walorów torował drogę nowoczesnemu zapisowi nutowemu i solmizacji (niemała w tym zasługa żyjącego na przełomie X i XI wieku teoretyka i kompozytora Guido z Arezzo) - do dzisiaj stosowanej metodzie nauki śpiewu. W mrokach pamięci przypomniałem sobie, skąd pochodzą nazwy dźwięków: ut, re, mi, fa, sol, la - to początkowe zgłoski wierszy hymnu na cześć świętego Jana.

Czy zdajemy sobie sprawę, że wiele melodii będących i współcześnie częścią kościelnego obrządku, choć przeważnie włączanych przez organizmów w bezpieczny dla ucha system dur-mol, zawiera elementy autentycznych gregoriańskich śpiewów? Czy istnieje inna, równie stara muzyka, będąca nieprzerwanie w powszechnym użyciu?

Przeszedłem do następnego rogu. Wątpliwości zniknęły. Rycerz bez zbroi i broni symbolizował drugi z fundamentów. To był trubadur, średniowieczny prowansalski poeta - muzyk, liryk i piewca miłości, który swoje pieśni zaczął tworzyć i śpiewać gdzieś około roku 1100. Przypomniał mi się jeden z nich: Raimbaut de Vaqueiras i jego wesoła pieśń o majowych świętach: *Kalenda maya*. Jego kontynuatorem stał się we Francji truver, a na terenie germańskim - minnesinger.

Zaskoczony wielością zakodowanych w głowie informacji przesunąłem się w kierunku trzeciego rogu. Na szczęście od tego momentu wizerunki były podpisane, w przeciwnym razie mógłbym mieć problemy z rozpoznaniem niektórych kompozytorów.

Jacob Obrecht. Co wiedziałem o nim? Tyle tylko że był jednym z przedstawicieli tak zwanych szkół niderlandzkich, stanowiących istotną przeciwwagę dla dominującej we wczesnym renesansie muzyki włoskiej. Jako jedyny w tej grupie - co za paradoks - rodowity Niderlandczyk symbolicznie niejako znalazł miejsce w sufitowym panteonie sławy.

Czwarty róg szachownicy zajmował Giovanni Pierluigi da Palestrina, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli wczesnego renesansu, rodem z Italii.

Pomny, że nie mam przed sobą wieczności na historiograficzne analizy, ograniczałem się do przypomnienia sobie tylko podstawowych informacji o umieszczonych na suficie twórcach.

Pierwszy krąg miałem za sobą.

Na czele drugiego - po przekątnej sąsiadując z mnichem - znajdował się Claudio Monteverdi. Słynny madrygalista i twórca oper (jego *Orfeusz* z 1607 roku stał się krokiem milowym w rozwoju gatunku). Ten, który uważał, że muzyka jest wyrazem i stymulatorem ludzkich uczuć - toż to postawa estetyczna zwiastująca epokę romantyzmu!

Jean-Baptiste Lully - kolejny z wielkich, nadworny kompozytor Ludwika XIV, współpracownik Moliera, twórca wielu baletów i oper; wniósł solidny wkład w rozwój obu dziedzin.

Następnym był Georg Friedrich Haendel, angielski Niemiec, jeden z tych, bez których historii muzyki, czy po prostu, muzyki, nie sposób sobie wyobrazić.

Po nim Jan Sebastian Bach - wszelkie słowa zbędne; gdyby ode mnie zależało, ukoronowałbym jego wizerunek.

Kolejny krąg - coraz mniej kroków wystarczyło, aby przesuwać się do następnych głów - był klasyczo-romantyczny. Rozpoczął go Joseph Haydn, po nim figlarnie spoglądał z sufitu Wolfgang Amadeusz Mozart. Następny był Ludwig van Beethoven - i klasyk, i romantyk w jednej osobie - i czwarty w tym kręgu, romantyk najczystszej wody, Edward Grieg.

Kompozytorski areopag pochłaniał mnie coraz bardziej. Widok sufitu był ledwie impulsem do wycieczek w otchłan muzycznej historii i zakodowanych w mózgu informacji na jej temat.

A jednak w pewnym momencie coś mnie rozproszyło. Coś jak muśnięcie niepokoju przeleciało nad moją głową. Wrażenie to było na tyle mocne, że przerwałem na chwilę lustrację sufitu i rozejrzałem się bacznie dokoła. Lecz wokół nie działo się nic, co usprawiedliwiałoby wzmożoną czujność. Złożywszy moje odczucia na karb przechodzącego w przewrażliwienie wyostrożenia zmysłów - efekt ostatnich napięć, powróciłem do pasjonujących analiz.

Krąg wewnętrzny, czwarty i ostatni zarazem, mogłem oglądać, nie ruszając się z miejsca. Rozpoczął go Johannes Brahms. Sąsiadował z nim jego największy muzyczny oponent Richard Wagner. Estetycznie znajdowali się na dwóch przeciwnych biegunach, pierwszy ze swoją ideą muzyki absolutnej, drugi - dramatu muzycznego. Ale artystycznie wzniesli się obaj równie wysoko.

Dwa ostatnie miejsca przypadły w udziale kompozytorom dwudziestowiecznym. Byli to: Bela Bartók i Igor Strawiński.

I tak kończyła się podróż przez wieki europejskiej muzyki. Byłem trochę rozczarowany. Odczuwałem niedosyt. Zbyt wielu uwielbianych przeze mnie kompozytorów tu zabrakło. Czym kierowali się twórcy, umieszczając na suficie wybrane wizerunki? Niektóre z nich nie podlegały dyskusji;

obecność takich postad jak: Bach, Mozart, Beethoven czy Brahms wydała się oczywista. Co do innych - nie kwestionowałem ich miejsca w panteonie, ale jeszcze więcej było tych, którzy w równym stopniu na nie zasłużyli. Długa byłaby lista wielkich nieobecnych.

No dobrze, pomyślałem, to nie ja jestem twórcą sufitu; gdyby zapytać stu muzyków, które nazwiska według nich powinny się na nim znaleźć, otrzymalibyśmy prawdopodobnie bardzo zróżnicowane odpowiedzi. A może dekorator tak właśnie postąpił? Przeprowadził ankietę i umieścił w panteonie sławy szesnaście najczęściej powtarzających się nazwisk?

Jakkolwiek by na to nie patrzeć, twórca miał prawo do ujęcia tematu w myśl własnej idei. A ta zaczęła w końcu do mnie docierać.

To nie był żaden ranking kompozytorów, tylko subiektywna wizja rozwoju muzyki europejskiej.

Dlaczego nazwisk było szesnaście i dlaczego na planie szachownicy? No cóż, teoretycznie można by umieścić na niej aż sześćdziesiąt cztery wizerunki, tyle tylko że kwestia doboru dalej mogłaby być dyskutowana, zaś czytelność przesłania uległaby poważnemu osłabieniu.

Czy z muzyką nie jest tak jak z winem? Niby wszyscy wiedzą, że produkowane jest na całym świecie, ale jak przychodzi co do czego - nie mają wątpliwości, któremu przyznać priorytet...

Twórcy panteonu zadali sobie trud, aby uniknąć podobnego banału.

Po dalszym zastanowieniu chyba udało mi się sprecyzować dwie z przesłanek, determinujących wybór: historyczną i geograficzną.

Wśród istniejących podziałów muzycznej historii - zapewne żaden z nich nie jest doskonały, bo do końca nie wiadomo, co jest ważniejsze: kalendarz czy stylistyka - jest i taki, który wyodrębnia osiem okresów:

starożytność,
wieki średnie,
renesans,
wczesny barok,
późny barok,
klasycyzm,
wczesny romantyzm,
późny romantyzm,
współczesność.

Mieliśmy więc po dwóch przedstawicieli każdego z okresów, przy czym w niektórych przypadkach byli to twórcy łączący dwie epoki, jak na przykład Monteverdi, dryfujący z renesansu w kierunku wczesnego baroku, czy Beethoven - od klasyki do romantyzmu.

Przesłanka geograficzna miała zapewne na celu uniknięcie zbyt jednostronnego przedstawienia historii; bez większego problemu byłem sobie w stanie wyobrazić sufit z samymi tylko włoskimi lub niemieckimi nazwiskami. Zaprezentowane spektrum było znacznie szersze, bo były tu i Włochy, i Austria, i Niemcy, i Niderlandy, i Francja, i Anglia, i Norwegia, i Węgry, i Rosja w końcu, bo w takim charakterze odbierałem obecność Strawińskiego w galerii sław. Twórcy sufitu zapragnęli pokazać europejską muzykę, jej historię i rozwój jako prawdziwie ogólnokontynentalne zjawisko.

Oczywiście, brakowało bliskiego mojemu sercu akcentu. Myślę, że nie tylko Chopin, ale i Szymanowski z powodzeniem mogli znaleźć się w tym doborowym towarzystwie. Na pocieszenie pozostawało stojące w rogu popiersie innego, wielce utalentowanego kompozytora. Był nim Mieczysław Karłowicz, który żył krótko jak Mozart, zginął tragicznie podczas wspinaczki w Tatrach, a pozostawił po sobie poematy symfoniczne, których piękna świat nie poznał jeszcze należycie. Jemu zawdzięczała filharmonia swoje imię, nie dziwiło mnie więc, że uhonorowano go w szczególnie sposób.

Z zamyślenia wyrwało mnie szczekanie Estona. Ten pies nie szczekał bez powodu. Z lekkim niepokojem zgasiłem światło i zamknąłem na cztery spusty komnatę dyrygentów, a wraz z nią, wieki muzycznej historii. Pospiesznie zbiegłem po schodach. Eston stał przy drzwiach wejściowych i wyszczeniwał grubym głosem. Pan Zenon podszedł do mnie z nietęgą miną, mówiąc:

- Dobrze, że pan już jest. Zdarzyło się coś dziwnego. Normalnie o tej porze nikt nie dobija się do drzwi. A dzisiaj ktoś był...

- I co pan zrobił, otworzył pan?

- Nie, nie otworzyłem. Przestraszyłem się, że to ktoś z kontroli jakiej czy co. Panie, jak on by wyczuł, że piłem alkohol, to już po mnie...

- Ale, z jakiej kontroli, czy to się już kiedyś zdarzało? - Portier sam mówił, że po nocy nikt tu nigdy nie przychodzi, czemu i trudno było się dziwić.

- Zdarzać się nie zdarzało, ale wie pan, jak to jest; całe życie po bożemu, a raz zrobisz coś nie tak i właśnie wtedy cię sprawdzą...

Teoria była mi znana; kilkakroć doświadczyłem jej w praktyce.

- Jeśli pan nie otworzył, to może być jeszcze gorzej...

- Ee, chyba nie, ten człowiek się nie upierał, zwłaszcza jak zobaczył psa, to szybko odszedł. I... - Portier zawahał się.

- Tak, co wtedy?

- Nie, nic takiego; miałem przez moment wrażenie, jakbym tego gościa już widział, ale wie pan, tu się tyle ludzi przewija...

- Jednak niech pan sobie przypomni, kiedy i gdzie mógł pan go widzieć?

- Czy to takie ważne?

- Nie wiem, ale może się tak okazać.

- Gdzie? - Portier kontynuował proces głośnego myślenia. - Na pewno tutaj. A kiedy? Niedawno. Wie pan, tak sobie myślę, czy to nie był jeden z tej wytwórni płytowej...

- Z wytwórni płytowej? - Czuję, jak mi serce przyspiesza. - Ten od Rucacellego?

- No, głowy nie dam, ale to mógł być on.

Eston uciszył się, ale nie stracił czujności. Widziałem, że jest pobudzony. W pewnym momencie znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Nagle ruszył z miejsca, lekko i cicho. Widziałem, że postępuje tak, gdy nie chce spłoszyć wytropionej zwierzyny. Unosząc wysoko łapy, zaczął wspinać się po schodach. Ruszyłem za nim, dając znak portierowi, żeby został i pilnował wejścia. Pies przyspieszał. Pierwsze piętro go nie interesowało. Wspiął się wyżej, a ja już chyba wiedziałem gdzie. Na szczęście, czy na nieszczęście - dopiero miało się okazać - nie oddałem jeszcze portierowi kluczy. Gdy Eston dobiegł do drzwi pokoju dyrygenckiego, uznał, że pora już przejść do agresji. Rzucił się na nie z głośnym jazgotem.

Ze środka dochodziły jakieś odgłosy. Ktoś tam był. Przepadł element zaskoczenia, zresztą nie wiem, czy coś by mi dał. Ale byłem tu, miałem klucze, a obok mnie szalał rozjuszony Eston. To była moja broń. Przekręciłem zamek i mocno pchnąłem drzwi. Nawet nie drgnęły. Spróbowałem jeszcze raz - z podobnym rezultatem. W końcu napałem z całej siły - i to też nic nie zmieniło. Wejście było zablokowane od wewnątrz. Czymś ciężkim. Domyślałem się czym. Fortepianem.

W pojedynkę nie miałem szans. Jak strzała pobiegłem na dół, wołając na pomoc portiera. Przybiegł parę sekund po mnie. Wspólnymi siłami, kawałek po kawałku zaczęliśmy powiększać szczelinę. Po chwili była już na tyle duża, że można w nią było włożyć nogę. Przed decydującym natarciem zamarliśmy na chwilę w ciszy. Nawet Eston jakby szykował się do skoku. Po drugiej stronie też zapanowała cisza. Intruz się przyczaił albo zdążył uciec. Obawiałem się tego drugiego, choć groźniejszy mógł być wariant numer jeden.

Pierwszy wpadł do pokoju pies, ja tuż za nim, a na końcu pan Zenon. Ale było za późno.

Wybita środkowa część rozetowego okna o średnicy wystarczającej, aby mógł przez nią przejść dorosły mężczyzna, wyraźnie wskazywała, którądy sprawca się dostał i którądy uciekł.

Wyjrzałem na zewnątrz. Szeroki gzyms niemalże zachęcał do spacerów. Dla średnio wysportowanego człowieka cała akcja nie musiała być szczególnie trudna. Po włamywaczu nie było śladu. Nawet przez myśl mi nie przeszło, aby go ścigać po dachach. Byłoby to zupełnie bezcelowe. Pies miał ochotę wyjść, ale go powstrzymałem; nie upierał się. W końcu odwróciłem się i zobaczyłem bladą i nieszczęśliwą twarz portiera. Bez słowa patrzył na ścianę, jakby chciał sam siebie przekonać, że ulega jedynie złudzeniu. Spojrzałem i ja. I pewnie też zbladłem. Tam, gdzie jeszcze parę minut temu wisiała przepiękna *Filharmonia* Siemielnianego, teraz ziała tylko pusta ściana: gładka, lita, pełna przebarwień i pajęczyn, jaśniejszy kolor nadal wyznaczał kontury ukradzionego obrazu. Porzucona rama leżała na podłodze. Nocny gość bez większych ceregieli wyciął z niej płótno. Ale to nie wszystko. Zniknęło również popiersie Karłowicza. Złodzieje zabrali to, co się dało.

O cenności obrazu Siemielnianego byłem przekonany. Ile warta była wykonana w drewnie podobizna Karłowicza - nie miałem pojęcia, nie wiedziałem nawet, czyjego jest dłuta. Ja nie wiedziałem, ale był ktoś, kto wiedział... Poczułem się jak po ciosie Ryżego, tylko celniejszym i mocniejszym, a przez to o wiele bardziej skutecznym. Nokaut.

Refleksja, na którą było mnie stać, świadczyć mogła jedynie o szoku pourazowym. Mimo to ją przytoczę:

Gwałtownie spadła zawartość *Filharmonii* w filharmonii.

Druga, już zupełnie beznadziejna, brzmiała:

Mieczysław Karłowicz znów się wspina...

No to mieliśmy niezły pasztet. Pasztet, delikatne słowo. Delikatne i nieadekwatne. Mieliśmy aferę, grubą aferę, w dodatku siedzieliśmy w niej po same uszy. Los wyczerpał swój limit tolerancji. Wiedziałem, że z tego się już nie wygrzebię. To samo dotyczyło portiera. Będę miał swój udział w tym, że - w najlepszym razie - tylko wyrzucą go z pracy. Jasna cholera...

Co robią dwaj faceci, którzy mają poczucie, że coś poszło mocno nie po ich myśli? Najpierw dokładnie oglądają miejsce porażki, poszukując jej przeoczonych zwiastunów.

Scenariusz był oczywisty. Ktoś wybił okno, wdarł się do środka, po czym zdjął ze ściany obraz, a z postumentu rzeźbę. Kradzież płótna o znaczących walorach artystycznych i rynkowych mnie nie dziwiła. Wręcz przeciwnie, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że tak wiele lat przewisało w spokoju, a nikomu nie przyszło do głowy, aby zrobić jakieś, choć elementarne zabezpieczenie pomieszczenia i dzieła. Bardziej zaskakujące mogło wydawać się zniknięcie popiersia. Ale może byłem w błędzie? Przecież

wystarczyło, aby wyszło spod dłuta znanego rzeźbiarza.

- Czy pamięta pan, kto był autorem Karłowicza?
- Nie, nie pamiętam. - Portier był przybity.

Musiałem jakoś go pocieszyć.

- Panie Zenku, tu już nic nie znajdziemy. Zostawmy wszystko tak, jak jest, zamknijmy pokój i chodźmy na dół. Wypijemy jeszcze po łyku stocka, porozmawiamy i może znajdziemy sposób, żeby jakoś z tego wybrnąć.

Żrenice portiera błysnęły żywszym światłem.

Schodząc na dół, nie mogłem opędzić się od natrętnych myśli. To już? Już po wszystkim? Batuta nie była celem samym w sobie. Czy był nim obraz Piotra Siemielnianego? Dopiero zapisek z batuty uświadomił komuś, jak niezwykle cenne dzieło wisi w świątyni dźwięków? Przecież to nie była tajemnica, choć nie wszyscy musieli wiedzieć, że praktycznie niezabezpieczona *Filharmonia* znajduje się... w filharmonii... A nie w muzeum, strzeżona, jak należało się dziełu tej klasy.

Gdyby jednak taki miał być finał zagadki, powiedziałbym, że z wielkiej chmury spadł niezbyt duży deszcz, kapuśniaczek właściwie, przy całym szacunku dla Piotra Siemielnianego i nieznanego mi rzeźbiarza.

A jednak coś było nie tak; coś się nie zgadzało.

Klucze.

Do kradzieży nie były potrzebne. A jednak nie były wymysłem mojej wyobraźni.

Istniało więc prawdopodobieństwo, że kradzież dwóch dzieł również nie jest celem ostatecznym, a jedynie krokiem w jego kierunku. Albo jeszcze inaczej; oprócz posiadanej wartości mogły, podobnie jak batuta, stanowić kolejny element układanki.

To by znaczyło, że jestem idiotą. Pozwoliłem, by zabrano mi tuż sprzed nosa to, czego właściwie szukałem. Mając wszystko w zasięgu ręki, przez pół godziny wpatrywałem się w ciekawy, bo ciekawy, ale zupełnie bezużyteczny sufit...

Ale wszystkie wątpliwości nie zniknęły. Czy złodzieje wiedzieli, co kradną? A raczej - dlaczego kradną?

A może byli wszechmogący i wszechwiedzący? Jeśli tak, to mogłem sobie darować dalsze dociekania...

Pociągnęliśmy po małym łyczku - tym razem już bez herbaty - i zaczęliśmy się zastanawiać.

Nie powinienem tu być dzisiejszego wieczoru. We własnym i pana Zenka interesie. Moją obecność należało więc ukryć. Po drugie: włamania i kradzieży dokonano w nocy. Pan Zenon nie musiał nic słyszeć. W wyniku

nadgorliwego podejścia do obowiązków - tłumacząc to na przykład przecuciem - jutro rano, przed końcem dyżuru, pójdzie na piętra, otworzy pokoje i odkryje przestępstwo. Prawdopodobnie będzie musiał spędzić w pracy kilka dodatkowych godzin. Można też udawać, że nic się nie wydarzyło. Prawda pozostanie wówczas ukryta aż do poniedziałkowego ranka, kiedy sprzątaczką otworzy pokój...

Ale poniedziałek był dniem przesłuchań. Wydawało się więcej niż prawdopodobne, że zostaną odwołane czy raczej przełożone na trudny do sprecyzowania termin. Jeszcze wczoraj, zanim spróbowałem nowego instrumentu, takie rozwiązanie wydałoby mi się zbawienne. Ale teraz już nie. Ponownie i ostatecznie zaakceptowałem dwutorowość moich działań. W niepojęty sposób zaczęły się one uzupełniać i tworzyć nierozzerwalną całość. Nie potrafiłem zrezygnować z jednego na rzecz drugiego. I dlatego właśnie pan Zenon powinien odkryć prawdę jutro, po czym bezzwłocznie zawiadomić organa ścigania. Koniec końców - to nie policja była moim przeciwnikiem. Ten był wspólny i zwłaszcza w sytuacjach jawnie przestępczych - a włamanie i kradzież obrazu w środku nocy do takich bez wątpienia należały - stróżę porządku i prawa powinni zdecydowanie wkraczać do akcji.

Dywagacje, w wyniku których byłem gotów do dzielenia się prawdą z nadkomisarzem Bielskim, zawsze poprawiały mi humor. Tak było i tym razem, może z lekką pomocą brandy. A właśnie; do tego czasu procenty pochodzące ze stocka powinny wywietrzeć z głowy i z krwioobiegu portiera, ale o to się nie martwiłem; nie było ich znowu tak wiele. Niewielka buteleczka była pełna więcej niż w połowie, co - trudno się nie zgodzić - brzmiało znacznie lepiej niż: buteleczka prawie w połowie pusta.

Taki plan ułożyliśmy z panem Zenkiem. Portier miał się trzymać przyjętej wersji i nie dać się zbić z tropu, nawet jeśli policja próbowałaby go wziąć w krzyżowy ogień pytań.

Tej nocy chyba nic mu już nie groziło - przestępcy osiągnęli swój cel. Gdyby jednak działo się coś niepokojącego, miał zadzwonić pod numer 997. Umówiliśmy się, że pod byle pretekstem zjawię się w filharmonii jutro po południu. Między szesnastą a dwudziestą portier miał sobotni dyżur.

Nie będzie tak źle, wszystko jakoś da się wytłumaczyć.

To była jednak tylko część prawdy. Bo istniała też druga, większa i niewesoła. Nie opuszczało mnie dotkliwe poczucie przegranej.

Byłem blisko, coś istotnego znajdowało się w zasięgu moich rąk i wzroku, a jednak tego nie spostrzegłem i pozwoliłem, by wyparowało. Tuż przed moim nosem.

Rozdział XII

Sobota

- Jest, jest! - Podekscytowany pan Sebastian wymachiwał zwiniętym rulonikiem faksu. - Przed chwilą go dostałem!

- Czyli, udało się... dziecku to zdobyć? - Pytanie było mocno retoryczne, ale stan mojego umysłu pozostawiał sporo do życzenia. Przed chwilą głęboko spałem, a obudziło mnie dość natarczywe pukanie do drzwi. To antykwariusz, który nie miał zamiaru czekać, aż sam zechcę się rozbudzić, wyrwał mnie z objęć Morfeusza kanonadą niecierpliwych stuków.

- Tak, ale chyba nie było łatwo. Okazało się, że autor wywiadu zmarł wkrótce po jego opublikowaniu. Do czasu wyjaśnienia okoliczności śmierci policja nałożyła więc jakiś rodzaj embarga na artykuł. Oczywiście nie mogą łamać konstytucji i blokować dostępu do informacji, ale utrudniać i kontrolować mogą, więc czynią to. Tekst jest dostępny tylko w redakcji, tylko w obecności pracowników i bez prawa kopiowania, tak jak myśleliśmy. Mało tego, trzeba się legitymować i zostawić namiary dla policji, w razie gdyby miała jakieś pytania

- Więc jak... dziecku się to udało? - Przerośnięty bobas, jak sobie go wyobrażałem, zaczynał mnie przerażać swoimi ponadnormalnymi zdolnościami.

Pan Sebastian uśmiechnął się nie bez dumy.

- Dzięki niepostrzeżenie zrobionym mikrozdjęciom. Komputerowe powiększenie ich to już była zabawa.

Ten genialny, nad wiek rozwinięty osesek musiał mieć niezłe narąbane w głowie. Już go słyszałem, jak z pogardliwym uśmiechem mówi:

- Wyprowadzenie różniczki z tej spotęgowanej całki, w momencie gdy jedną ręką pisałem wiersz, a drugą prowadziłem samochód, to była bułka z masłem, którą zresztą spożywałem bez pomocy rąk, pogwizdując przy tym w sześciogłosie *Rozświetloną noc* Schönberga i nie plując okruchami...

Antykwariusz jakoś nigdy nie poruszał tematu dziecka, więc i ja byłem powściągliwy. A jednak było coś niedającego mi spokoju w niezwykłych talentach potomka i rozanieleniu, które pojawiało się w oczach pana Marsa, gdy już zdarzało mu się o progeniturze napomknąć.

- Mamy tylko jeden problem - entuzjazm pana Sebastiana jakby nieco przygasł - ten artykuł jest po włosku...

„O, to genialne dziecko jeszcze go nie przetłumaczyło?”, pomyślałem złośliwie.

- Ja, co prawda, jako tako znam łacinę, ale to nie wystarczy. - Przez antykwariusza przemawiała skromność; wiedziałem, że zna język Horacego wybornie.

Przyszła pora na mój malutki tryumf.

- To w ogóle nie jest problem, bo tak się składa, że ja znam włoski. Mieszkałem przez pewien czas w Italii i nauczyłem się tego pięknego i wyjątkowo łaskawego w wymowie języka.

Antykwaryusz przyjrzał mi się ze wzmogoną dawką aprobaty.

- No to w takim razie...

- W takim razie pozwoli pan, że się ubiorę i troszeczkę odświeżę - Eston przyjrzał mi się z napięciem - no i oczywiście wezmę psa na krótki spacer. - Spuścił ze mnie wzrok, choć miałem wrażenie, że przy słowie „krótki” smagnął mnie ponownie spojrzaniem.

- Dobrze, a ja przygotuję kawę.

- Świetnie, za pół godziny jestem u pana.

Po półgodzinie, no, może trzech kwadransach siedzieliśmy w antykwariacie nad filiżankami świeżo zaparzonej, niebiańsko pachnącej kawy.

- Panie Sebastianie, zanim zaczniemy czytać, pozwoli pan, że w dwóch słowach opowiem, co się wydarzyło wczoraj?

- A znowu coś się wydarzyło?

- Tak, niech pan posłucha...

Opowiedziałem pokrótce wypadki sprzed kilkunastu godzin. Sebastian Mars przyglądał mi się z niedowierzaniem i zgrozą.

- Mój Boże, zawsze mówiłem, że *Filharmonia* Siemienialnego powinna wisieć gdzie indziej. To było igranie z losem...

I ja tak sądziłem; na swój sposób nie byliśmy więc zaskoczeni faktem kradzieży obrazu. To dopiero suma lawinowo rosnących, dziwnych, niepokojących, kryminalnych wydarzeń było zdumiewająca.

Rzeczywistość stała się komiksem...

Dziwiło mnie, że wszystkie te sensacje relacjonują jak powszechne historie zwykłego dnia. To się nazywa przywykać? Ale gdzieś musiały być ich granica i kres. W rzeczywistości trudno byłoby wytrzymać komiksowe tempo życia, gdzie każda strona pełna jest: traaaaaaachów!!! i baaaaaaangów!!!. Coraz szybciej następujące po sobie i gęstniejące zdarzenia zwiastowały nadejście ostatecznych rozstrzygnięć, nawet jeśli nie miałem błędnego pojęcia, jakie one będą.

Korciło mnie niezwykle, żeby zadzwonić do towarzysza moich wczorajszych przeżyć. Ciekaw byłem rozwoju wypadków. Czy policja już wie?

Czy znalazła coś, co i mnie mogło postawić w trudnej sytuacji? Nagle zdałem sobie sprawę, że przebywając w pokoju dyrygenckim, musiałem zostawić ślady, które dla ekipy śledczej nie będą trudne do znalezienia. To jeszcze można było wytłumaczyć; wszak do poprzedniej bytności w gabinecie sam przyznałem się nadkomisarzowi.

A pies? Czy nie zostawił tam swojej sierści? Jakoś wczoraj o tym nie myślałem. Teraz mogłem mieć tylko nadzieję, że:

a) policja zajmie się przede wszystkim wybitym oknem i ramami po wyciętym obrazie,

b) w ekipie śledczej przeszukującej pokój nie będzie nadkomisarza Bielskiego i jego ludzi. Na szczęście tylko w filmach wszystkie kryminalne sprawy dużego miasta rozwiązuje ciągle ta sama para policjantów.

Otrząsnąłem się z rozprasających rozważań. Pora skupić się na rzetelnym i precyzyjnym tłumaczeniu ciepłego jeszcze faksu. Obaj mieliśmy poczucie, że może to być moment przełomowy.

W trakcie lektury zmieniło się ono w przekonanie. Ale najlepiej będzie, jeśli bez dalszych przygrywek przytoczę artykuł w całości. Jego treść stopniowo wślaczała nas w fotele niczym pasażerów startującego samolotu ponaddzwiękowego.

Oto i ona, w tłumaczeniu dostępnym mojej znajomości języka włoskiego.

Spowiedź w winnicach Toskanii

Przedstawiamy państwu autoryzowany zapis rozmowy - wywiadu, jaki nasza dziennikarka, pani Donatella Sancerre, przeprowadziła w ostatnich tygodniach na prośbę pana Casimiro Michelangelo, w jego posiadłości. Tytuł pochodzi od redakcji; nasz rozmówca pragnął, aby ograniczył się tylko do pierwszego słowa, ale ostatecznie przystał na naszą propozycję.

Donatella Sancerre: Jeśli dobrze zrozumiałam, chce pan na początku poruszyć kwestię własnej tożsamości, a dokładniej mówiąc, imienia i nazwiska.

Casimiro Michelangelo: To prawda. W czasach, o których będę opowiadał, brzmiało ono zupełnie, no, prawie zupełnie inaczej niż teraz. Jak pani wie, spowiedź jest aktem skruchy, ale również prośbą o wybaczenie. Pierwszym, który wybaczca, jest skrzywdzony człowiek. Ostateczne przebaczenie pochodzi od Boga. Dla Niego moja tożsamość nie jest tajemnicą. Ale przed ludźmi, jeżeli ktokolwiek z nich jeszcze żyje, muszę wystąpić pod dawnym prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Jako Kazimierz Michalewicz.

D.S. : *Zdaje pan sobie sprawę, że sensacyjność tych wynurzeń może skłonić wielu do poszukiwania kontaktu z panem?*

C.M.: *Prawdę mówiąc, nie sędzę. Z góry oświadczam, że dla uniknięcia zbędnych indagacji, powiem tutaj prawie wszystko. A jeśli ktoś rzeczywiście - i z ważnych powodów - będzie chciał mnie odnaleźć, to wyjdę mu naprzeciw. Proszę jednak nie zapominać, że nie jest to pierwszy raz, kiedy publicznie lub prywatnie uchylam rąbka przeszłości. I wie pani, jaki był zawsze skutek? Porozumiewawcze spojrzenia lub stukanie się palcem w głowę i to nie zawsze za moimi plecami. Przez lata nie znalazło się wielu, a mówiąc precyzyjnie nikt, kto chciałby ze mną poważnie o tym rozmawiać. Ale oczywiście jest również, że tematyka, którą dziś poruszę, nie nadaje się do prezentowania przy byle okazji. A tych okazji już mi wiele nie zostało; dzisiejszy wywiad ma być ostatnim z mojej strony wysiłkiem podzielenia się pewnymi faktami, powtarzam: faktami. Symptomatyczne, że, proszę się nie obrazić, żadna z gazet o ponadlokalnym zasięgu, nie wykazała zainteresowania moją propozycją. Nie wiem, co kierowało państwa tytułem, gdy postanowiliście mi oddać parę szpalt, ale powiedzmy, że ma to dla mnie drugorzędne znaczenie. A za stworzoną możliwość jestem wam bardzo wdzięczny. I jeszcze zanim zaczniemy: tytuł wywiadu najpełniej oddaje motywy, które skłoniły mnie do jego udzielenia.*

D.S.: *Nasza redakcja zakwalifikowała pański materiał jako bardzo interesujący z dziennikarskiego punktu widzenia. A stopnia jego prawdopodobieństwa nie oceniamy, pozostawiając to czytelnikom. No właśnie, może zaczniemy.*

C.M.: *Oczywiście, proszę bardzo.*

D.S.: *Zacznijmy więc od początku...*

C.M.: *Od początku może nie, to by za długo trwało, proponuję od razu wyeliminować wszystkie wątki, które nie mają związku ze sprawą. Powiedzmy - od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego.*

D.S.: *To właśnie miałam na myśli, mówiąc o początku; początek naszej sprawy.*

C.M.: *Przenieśmy się więc do Krakowic, myślę, że wszyscy wiedzą, co to za miasto i w jakim kraju. Jest rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy. Filharmonia imienia Mieczysława Karłowicza ogłasza przetarg na remont generalny swojej siedziby, połączony z próbą udoskonalenia akustyki sali koncertowej. Wygrywa projekt Biura Architektów Szymona Rosenberga i Witolda Zajdla (w skrócie: B.A. - ROZA), będący w istocie autorskim projektem pierwszego z nich, zarazem szefa spółki. W owych czasach byłem w Krakowicach dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego stale współpracującego z ROZĄ, moja firma nieomal automatycznie więc została głównym wykonawcą projektu. Współpraca z Rosenbergiem nie była łatwa; należał*

on do ludzi bardzo wymagających, również wobec siebie. Ale stawiała się też przygodą. Architekt dokonywał nieustannych poprawek w projekcie, aż do momentu ukończenia prac remontowych lub budowlanych. Nie muszę mówić, z jakimi to się czasami wiązało komplikacjami. Wszyscy wiedzieli jednak, że nowe rozwiązania będą lepsze od poprzednich, więc nawet jeśli zgrzytali zębami, robili to po cichu. Oczywiście nie było mowy, aby poprawki zdążyły zaistnieć na planie; trzeba byłoby go codziennie zmieniać. Rosenberg lubował się w zaskakiwaniu, może nawet samego siebie, nieoczekiwanymi rozwiązaniami lub szczegółami architektonicznymi, których powstawanie należało chyba przypisać jego bujnej i twórczej naturze. Nie żądał jednak od nas nigdy rzeczy niemożliwych lub narażających bezpieczeństwo konstrukcji, a prosił mi wierzyć, był wyśmienitym fachmanem. Nie inaczej miało być i tym razem. Nie wiem, czy to fascynacja architekturą renesansowej Italii, pełną ukrytych znaczeń, tajemnych przejść i pomieszczeń, czy może raczej bolesne przeczucie, że takie rozwiązania mogą już wkrótce uzyskać walor w najwyższym stopniu użytkowy - a może obie te sprawy łącznie - spowodowały dość dramatyczną, choć niezauważalną na papierze zmianę planów. Architekt zlecił nam wybudowanie przejścia, którym można było wydostać się z filharmonii do systemu podziemnych korytarzy; ich genezy trzeba by szukać pewnie w wiekach średnich. Prowadziło do niego zamaskowane wejście w sali koncertowej. Rozpoczynający się tam korytarz biegł przez pewien odcinek w poziomie, nagle załamywał się pod kątem prostym i spiralnymi schodkami prowadził do piwnic. Natomiast w jednym z pokoiów na drugim piętrze znajdowało się inne zamaskowane wejście; ukryty za nim wąski korytarz po paru metrach rozszerzał się w niewielką, prostokątną komorę lub, jak kto woli, salkę, choć wzięwszy pod uwagę jej tajemniczą scenerię, powinienem raczej powiedzieć - komnatkę.

D.S.: Czy korytarze były przestronne? Czy można było nimi wygodnie się poruszać?

C.M.: Widzę, że chce pani uprzedzić fakty. Na razie jesteśmy w fazie realizacji projektu, ale dobrze, odpowiem na to pytanie. Tak jak już wspomniałem, korytarz dyrygencki był wąski. Nie inaczej było z korytarzem koncertowym; pozwoli pani, że od teraz pozostanę przy tej nomenklaturze. Oba były też niskie, mogła nimi przechodzić jedna osoba i to w niezupełnie komfortowej pozycji. Ale w przeciwnym razie przejścia nie mogłyby pozostać niezauważone, a zakonspirowanie ich było główną ideą przyświecającą architektowi. Firma budowlana wykonuje zlecenie; jej zadaniem jest dobre wywiązanie się ze swoich zadań; ostateczne przeznaczenie budowanych obiektów ma dla pracowników znaczenie niewielkie. A jednak ostatnie, utajniające dostęp do korytarzy prace, przeprowadziliśmy już tylko we dwóch; jedynie my znaleźliśmy architektoniczną tajemnicę budynku. Projekt udał się znakomicie. Nawet

najsprawniejsze oko nie było w stanie przeniknąć zagadki ukrytych wejść. Do otwarcia włązu znajdującego się w sali koncertowej potrzebna była, do pewnego stopnia zakodowana, informacja, gdzie i czego należy szukać. Osoby, które już wkrótce miały go otwierać - naturalnie po uprzednim przygotowaniu teoretycznym, w którym i ja odgrywałem pewną rolę - nie powinny były mieć żadnych problemów ze skorzystaniem z niej w praktyce. Powstaniu korytarza dyrygenckiego przyświecała inna idea. Rosenberg nie byłby sobą, gdyby nie zostawił choć malutkiego skrawka wiedzy dostępnej wyłącznie jemu. Będąc w istocie jedyną osobą, która miała do niego przenikać, mógł tu nieco swobodniej oddać się swojemu zamiłowaniu do tworzenia zagadek. Gdyby coś się wydarzyło, odnalezienie wejścia byłoby możliwe, ale nietatwe nawet dla dobrze znających go osób, co pozostawało w zgodzie z charakterem tego miejsca. Dotyczyło to również mojej osoby. Choć zasób posiadanych informacji powinien wystarczyć do odnalezienia wejścia, z wielu powodów nigdy nie zdecydowałem się na ten krok.

Oba zamaskowane włązy otwierał podobny mechanizm, choć, że tak to ujmę, według innego wzoru. Aby więc odnaleźć i otworzyć ukryte korytarze, nie były potrzebne żadne klucze ani wytrychy; wystarczył mózg. Należało jednak uważać; mechanizm w sali koncertowej działał tylko w jedną stronę. Gościnnie otwarty, po zamknięciu zatrząskiwał się na dobre; otworenie go od wewnątrz było po prostu niemożliwe. Moja wiedza o korytarzu dyrygenckim jest mniejsza, ale z natury swojej będąc schowkiem, musiał prawdopodobnie umożliwiać bezpieczny powrót do świata zewnętrznego. Należy jeszcze dodać, że idea wystroju pokoju dyrygenckiego pochodziła od samego Rosenberga, a twórcą i wykonawcą był zaprzyjaźniony z nim wybitny rzeźbiarz, w którego pracowni wykonano wszystkie drewniane elementy gabinetu. Niestety, jego nazwisko uleciało mi z pamięci. Na prośbę architekta nadzorował on ponadto wykonanie drewnianych elementów wystroju sali koncertowej. Myślę, że bez tej współpracy projekt Rosenberga byłby niemożliwy do zrealizowania w wymyślonej przez niego formie. Wojenne dzieje rzeźbiarza nie są mi znane, ale obawiam się, że podzielił los większości z nas.

D.S.: Czy zechciałby pan rzucić nieco światła na kody strzegące wejść do korytarzy?

C.M.: Powiem tylko, że miały związek z dwiema powszechnie znanymi pasjami Rosenberga.

D. S.: Tylko tyle?

C.M.: Dla tych, którzy go znali, była to wystarczająca wskazówka, przynajmniej w odniesieniu do korytarza koncertowego. W przypadku tego drugiego, jak już mówiłem, sprawa była bardziej skomplikowana, ale taka

właśnie miała być. Idźmy jednak dalej. Gdzieś w połowie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Rosenberg poprosił mnie o pomoc w znalezieniu i dyskretnym przetransportowaniu do filharmonii średniej wielkości sejf. Gdy podał mi jego maksymalne wymiary, zrozumiałem, że zamierza go umieścić w pomieszczeniu, do którego prowadził korytarz dyrygencki. Udało mi się znaleźć coś odpowiedniego; solidną kasę pancerną firmy Baumann. Przepięliśmy ją do komory, choć nie było to łatwe; waga i rozmiar sejf. wymogły na nas największy wysiłek fizyczny. Na szczęście, jako główny architekt i główny wykonawca renowacji, mieliśmy prawo, a wręcz obowiązek, co jakiś czas kontrolować przeprowadzone prace, co dawało nam wstęp do gmachu i możliwość swobodnego poruszania się po nim, poza godzinami pracy orkiestry oczywiście. Powinienem zaznaczyć, że również wówczas Rosenberg nie podzielił się ze mną tajemnicą dostępu do zamaskowanego wejścia. Gdy udało nam się przetransportować sejf do pokoju dyrygenckiego, właz był już otwarty, a do otworu przystawiona była specjalna równia, umożliwiająca wciągnięcie ciężaru.

D.S.: Czy Rosenberg powiedział panu, dlaczego chce zainstalować w ukrytym pomieszczeniu sejf?

C.M.: Oczywiście, choć nietrudno było się tego domyślić. W połowie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wszyscy logicznie myślący ludzie zdawali sobie już sprawę, że wojny nie da się uniknąć. Rosenberg, zresztą tak jak ja, był Żydem. Obracaliśmy się jednak w różnych środowiskach; on pośród artystów, naukowców i finansjery; ja wśród rzemieślników, sklepikarzy i handlowców. Większość z nas zdawała sobie sprawę z poglądów Hitlera i jego wyznawców. Obawa, że w przypadku klęski militarnej kraju i okupacji, to na nas w pierwszym rządzie spadną represje, była powszechna. Niektórzy wyjeżdżali, ale przecież nie wszyscy. W ludziach zawsze drzemie nadzieja, że jakoś to będzie, że akurat mnie nie może spotkać nic złego. Co nie znaczy, że nie powinno się podejmować zapobiegawczych kroków. Rosenberg musiał sobie zdawać sprawę, że gdy dojdzie do najgorszego, niemieckie ręce wyciągną się w pierwszym rządzie po żydowskie majątki. A miałyby po co. I mowa tu nie tylko o pieniądzach, ale o dziełach sztuki, precjozach, kosztownościach... Sejf w korytarzu dyrygenckim miał w razie potrzeby pomieścić najcenniejsze przedmioty będące własnością jego przyjaciół. Ukryte za podwójną ostoną, miałyby wszelkie dane, aby doczekać lepszych czasów.

D. S. : Czy może pan zdradzić, jakim rodzajem zamku sejf był zabezpieczony?

C.M.: Tak, oczywiście. Aby dostać się do sejf. należało dysponować podwójnym kluczem, choć warto zaznaczyć, że jego wygląd nie musiał od

pierwszej chwili zdradzać przeznaczenia. Jego wyłącznym właścicielem i dysponentem był Rosenberg.

D.S.: *Dochodzimy w takim razie do zasadniczego pytania: co się z tym kluczem stało?*

C.M.: *Klucz Rosenberga został schowany. W dramatycznych okolicznościach architekt zdołał wskazać mi miejsce ukrycia. Po wojnie podjąłem próbę jego odnalezienia i - niezbadane są wyroki boskie - był tam, w nienaruszonym stanie, dokładnie w miejscu opisanym przez Rosenberga. Z trudem przyjmowałem ten fakt do zatrutej wojennym koszmarem świadomości. Moim zamiarem nie było jednak odnalezienie kasy pancерnej wraz z jej zawartością. Odnajdując klucz, myślałem raczej, jaka mogła być wola Rosenberga co do przeznaczenia ukrytych zbiorów. Dzisiaj podejmuję ostatnią próbę jej odczytania. Ważne jest, aby uwierzyła mi pani, że nigdy, powtarzam, nigdy nawet nie zbliżyłem się do sejfu. Zresztą mógłbym próbować; szanse, że mi się uda, były nikłe. W tej kwestii moje sumienie pozostaje w rozdarciu; z jednej strony nie próbowałem uzyskać osobistej korzyści ze zbiorów Rosenberga, z drugiej - nie potrafiłem uczynić zadość jego ostatnim słowom, które powinny być dla mnie testamentem.*

D.S.: *Jak wiemy, czarny scenariusz zaczął realizować się bardzo szybko. Jak powstał i jak działał system, o który chciałam teraz zapytać?*

C.M.: *Był on najlogiczniejszą konsekwencją zachodzących zdarzeń. Po rozpoczęciu okupacji w śmiertelnym zagrożeniu znaleźli się wszyscy: Polacy, Żydzi, ich rodziny i ich mienie. Zgodnie z przewidywaniami na pierwszy ogień szli Żydzi, w pierwszym rządzie najbogatsi, bo w gruncie rzeczy o ich pieniądze i dobytek chodziło. Wypadki potoczyły się szybko: już w październiku trzydziestego dziewiątego zaczęły się konfiskaty majątków i przesładowania. Los Żydów wydawał się przesądzony. Jeśli ktoś miał działać, musiał to robić błyskawicznie, w przeciwnym razie mogło być za późno. W tym właśnie czasie hitlerowska administracja zaczęła realizację projektu znanego pod nazwą Podwójnych List (Doppel Listem). Na pierwszej z nich umieszczano dane osób przeznaczonych do ograbienia oraz określano los, który miał je spotkać, przy czym różnorodność ograniczała się tu zazwyczaj do nazwy obozu przeznaczenia. Druga zawierała spis najcenniejszych, będących w ich posiadaniu dzieł sztuki. Dwoistość systemu miała raz na zawsze oddzielić właścicieli od ich własności. Niemieckiej administracji nie można było zarzucić jednego: chaosu. Pieczętowanie opracowane plany wcielane były w życie z drobiazgową precyzją. Wszelkie materialne dowody przynależności znikwały; na ich miejsce pojawiały się nowe. Nie zapominajmy, że Rzesza Niemiecka tworzyła nowy ład i nowe prawo, i to nie na użytek jednego pokolenia, a na tysiąc lat. Preparowana rzeczywistość miała skutecznie i na wieki rozerwać wcześniejsze więzy. Zupełnie różny los*

czekał osoby i rzeczy wciągnięte na podwójne listy. Przedmioty liczyć mogły na szacunek graniczący z adoracją; ludzie mogli spodziewać się upokorzenia, cierpienia i śmierci.. Spisy przygotowywano skrupulatnie, bez pośpiechu i z dokładnością mającą wyeliminować pomyłki. Ale właśnie ta systematyczność stwarzała pewną szansę; od momentu trafienia na podwójną listę do chwili stania się na niej numerem jeden miało trochę czasu. Oczywiście każdy nieostrożny ruch mógł ten okres nadziei skrócić do minimum, należało więc działać bardzo rozważnie. Od skorumpowanego niemieckiego urzędnika, wykupywano informacje o kolejnych osobach, które miały na nią trafić, nie o wszystkich rzecz jasna, ale przecież mówimy o znaczącej grupie ludzi. To było pierwsze ogniwo konspiracyjnego łańcuszka. Osoba, którą ostrzegano o wciągnięciu na feralne listy, miała do wyboru dwa rozwiązania. Albo natychmiastową i przeważnie chaotyczną ucieczkę, która zresztą tylko z rzadka się udawała, jako że ludzie z listy znajdowali się zazwyczaj pod mniej lub bardziej dyskretną obserwacją. Tu nie chodziło o przeciętnych obywateli, a o jednostki znane w międzynarodowym świecie sztuki i finansjery, oraz oczywiście ich rodziny. Pewnego rodzaju powściągliwość przed światową opinią publiczną, nakazywała jeszcze wówczas działanie w rękawiczkach, które jednak, z równą co powróż skutecznością, powoli zaciskały się na szyjach ofiar... To, że nie rozprawiano się ze wszystkimi naraz, wynikało jedynie z ograniczonych możliwości przerobu niemieckiego aparatu represji. Ale pośpiechu nie było: oka istniejących sieci wydawały się za małe, by ktokolwiek mógł się przez nie prześliznąć. Uciekający dostarczali argumentów przeciwko sobie, gdyż oficjalnie nie istniały ani podwójne listy, ani konkretne zarzuty; w ten sposób pośrednio przyznawali się do winy, a znalezienie owej winy było problemem najmniejszym. Druga możliwość wymagała nieco więcej zimnej krwi, ale rokowała też większe szanse powodzenia. Należało skontaktować się z którymś z nas. Proszę pamiętać, że Rosenberg przewidział zawczasu dramatyczny rozwój wypadków i na tę okoliczność, zarówno on, jak i jego środowisko, byli przygotowani. Lepiej, niż początkowo sądziłem, bo w miarę upływu czasu przekonywałem się, że jestem tylko trybikiem dobrze funkcjonującego mechanizmu.

D.S.: Dobrze, proszę nam w końcu powiedzieć, jak działał ów przestawny system.

C.M.: Do tego właśnie zmierzam. Muszę przyznać, że ilekroć wracam do niego myślą, wydaje mi się niepozbowiony pewnej melodramatyczności. Ale do rzeczy. Zagrożony podwójną listą człowiek przysyłał do Rosenberga lub do mnie bukiet kwiatów. Była to prośba o pomoc: w ukryciu cennego dzieła sztuki albo w niezauważalnym zniknięciu. Rosenberg zajmował się ukrywaniem precjozów. Każdorazowa akcja wymagała jego osobistej wizyty w filharmonii. Ciągłe jeszcze miał dość swobodny dostęp do budynku, ale

myślę, że za każdym razem trudniej było mu wytłumaczyć cel takich odwiedzin. Powierzane mu dzieła sztuki musiały mieć oczywiście bardzo ograniczone rozmiary. Rodzaj kwiatów użytych do sporządzenia bukietu oraz ich liczba, stanowiły zakodowaną informację o przedmiocie. Rosenberg sam decydował, czy jego wartość sankcjonuje podjęcie, nieustannie rosnącego, ryzyka. W moim przypadku kwiaty dostarczały informacji o liczbie osób, które muszą zniknąć. Z oczywistych względów bezpieczeństwa, owa liczba nie mogła jednorazowo przekraczać dwóch. Ale pamiętam jeden wyjątkowy przypadek, gdy chęć ucieczki zadeklarowało małżeństwo z córeczką. Ich pojawienie się na koncercie razem z dzieckiem było bardzo ryzykowne, o samej akcji zniknięcia już nie wspominając. W tym jedynym wypadku zgodziłem się jednak, żądając za to sowitego wynagrodzenia, ale o tym za chwilę. Moim zadaniem było organizowanie jak najbardziej oficjalnych i legalnych biletów na koncert, informowanie portierów, w które dni nie powinni zbyt dokładnie sprawdzać sali koncertowej po zakończeniu występu, a raczej jak najszybciej zamykać ją, gasząc główne światła. Kiedy dzień akcji był ustalony, ludzie uprzedzeni, a bilety przygotowane, dostarczałem je zainteresowanym wraz z ustną informacją, dzięki której mogli odnaleźć ukryte wejście. Moja rola tu się kończyła, reszta była ich osobistym ryzykiem... Był to chyba jedyny w historii przypadek, kiedy wizyta w filharmonii oznaczała nie symboliczną, a dosłowną ucieczkę do lepszego świata, zaś bilety na koncert miały charakter kart wstępu na Transatlantyk do Krainy Bezpieczeństwa. Osoby, które zakwalifikowałem do ucieczki - bo i mnie przysługiwało w tym względzie prawo decyzji (warunkiem była sprawność fizyczna; niestety, starsze osoby nie miały szans na pokonanie korytarza koncertowego) - szły na koncert, fakt sam w sobie niewzbudzający podejrzeń, po czym... rozplywały się. Ta dziwna na pierwszy rzut oka metoda znikania była w gruncie rzeczy idealna z psychologicznego punktu widzenia. Człowiek wybierający się do przybytku sztuki raczej nie oczekuje aresztowania. Trudno o lepszy sposób uspienia czujności prześladowców. Czy mogło im przyjść do głowy, że będąc obiektem ich zainteresowania osoba idzie słuchać muzyki właśnie po to, aby wyparować? Zanim zdążyli się zorientować, że obiekt zniknął, było już za późno: ślady się urywały... I prawdopodobnie nikomu nie przyszło do głowy, aby łączyć ten fakt z wizytą w filharmonii. Jej administracja była już wtedy - co oczywiste - w niemieckich rękach, ale na niższych stanowiskach ciągle jeszcze pracowali znajomi i zaufani ludzie. I tylko dzięki temu system mógł funkcjonować. Mieliliśmy jednak pełne przekonanie, że ten stan rzeczy nie potrwa długo. Wydawało się wysoce prawdopodobne, że gdyby korytarze - zwłaszcza koncertowy - były wykorzystywane dłużej, ktoś musiałby wpaść na ich trop. Ale tu przechodzimy już w sferę teorii; na szczęście nikt nigdy się o tym nie przekonał.

Powróćmy jednak do faktów. Dalsze losy uciekinierów, paszporty, transport i tym podobne, nie należały już do mnie, ale wiem, że łańcuszek pomocy ciągnął się dalej.

D. S. : Czy miał pan informacje, jak system działał w przypadku Rosenberga ?

C.M.: Od czasu rozpoczęcia działalności konspiracyjnej nie widywaliśmy się często i nie rozmawialiśmy wiele. Założenie było proste: im mniej wiemy, tym lepiej; każdy starał się koncentrować na swojej działalności. Ale ze dwa, albo trzy razy, osoby, którym pomagałem w zniknięciu, wspominały o Rosenbergu; myślę, że wcześniej podjął się ukrycia najcenniejszych egzemplarzy ich kolekcji.

D.S.: Czy pamięta pan, ilu osobom pan pomógł?

C.M.: Tak, choć jeśli spodziewa się pani jakiejś olbrzymiej liczby, to muszę ją rozczarować. Wiem na pewno, że skutecznie zniknęło dziewięć osób. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że dalszych ich losów nie znam, nie potrafię nawet powiedzieć, czy którakolwiek z nich przeżyła wojnę. O pozostałej ósemce nie wiem nawet tyle, bo mój czas też się już kończył, podobnie jak czas Rosenberga i większości z nas.

D.S.: Wspominał pan, że system pomocy obejmował obywateli pochodzenia żydowskiego; czy w jego organizacji brały udział wyłącznie osoby o takich korzeniach?

C.M.: Oczywiście, że nie. Proszę pamiętać o jednym: dwie plagi dwudziestego wieku, faszyzm i komunizm, próbowały - nieraz skutecznie - zniszczyć ludzką wspólnotę budowaną przez wieki. Ale w sensie ogólnym im się to nie udało. Wydaje mi się, że wokół tych podziałów narosło w ogóle zbyt dużo nieporozumień. Obywatele żydowskiego pochodzenia byli w takim samym stopniu Polakami jak spadkobiercy czysto słowiańskich genów; gdyby stosować proponowany przez panią podział, trudno byłoby usankcjonować istnienie na przykład nacji amerykańskiej; stanowiliby ją jedynie Indianie, zamieszkujący w większości rezerваты rdzenni mieszkańcy tych terenów. Całe moje długie, może zbyt długie życie nauczyło mnie, że granice przyzwoitości, wrażliwości, współczucia dla krzywdy innego człowieka nigdy nie przebiegały i nie przebiegają między narodami czy nacjami, a po prostu między ludźmi.

D.S.: Obawiam się, że teraz, kiedy padły słowa o przyzwoitości, wrażliwości i współczuciu dla krzywdy innego człowieka, przyszła pora, aby dotknąć bolesnej dla pana sprawy, ale jak rozumiem, to ona właśnie stała się przyczyną naszej rozmowy.

C.M.: Tak, to prawda. Pora wyjawić powód, dla którego wywiad ten postanowiłem nazwać spowiedzią. Otóż, od osób, które zgłaszały się do mnie po pomoc, żądałem pieniędzy. Dużych pieniędzy. W tamtych czasach, na

samym początku okupacji, większość z nich miała jeszcze dostęp do bankowych kont, w odpowiednim momencie przeniesionych za granicę, najczęściej do Szwajcarii. Za informację, jak odnaleźć wejście do sekretnego korytarza, żądałem dowodu przelewu dużej sumy na moje konto w banku szwajcarskim...

D.S.: Czy Rosenberg o tym wiedział?

C.M.: Oczywiście, że nie. Myślę, że tego rodzaju nikczemność była z gruntu obca jego kanonom moralnym...

D.S.: Dobrze, proszę kontynuować.

C.M.: W przypadku tych ludzi negocjacje nie wchodziły w grę. Spełniali moje warunki bez większych oporów, a ja, przyznaję, bezdusznie to wykorzystywałem, czego apogeum nastąpiło właśnie we wspomnianym już przypadku rodziców i córeczki.

D.S.: Czy pamięta pan, jaką kwotę przelano w sumie na pańskie konto w Szwajcarii?

C.M.: Nie, dokładnie nie pamiętam, ale była to kwota bardzo duża. Płacący byli ludźmi zamożnymi. A ja miałem tego pełną świadomość. Przelane wówczas pieniądze, pomnożone rosnącymi przez wiele lat procentami, pozwoliły mi na kupno nowej tożsamości i nowego, dostatniego życia po przyjeździe do Włoch.

D.S.: Z tego, co pan mówi, wyłania się następujący obraz: wasza pomoc miała dość ekskluzywny charakter i była adresowana do wąskiej, najmajątniejszej części żydowskiej społeczności...

C.M.: Ma pani rację, takie były założenia. Ale proszę pamiętać, że oprócz nas działały inne grupy, przenikające najróżniejsze środowiska. Nie mogę wykluczyć, że Rosenberg, przy całej rozległości swoich kontaktów i zainteresowań, nie był uwikłany również w inną działalność konspiracyjną. Ta, o której mi wiadomo, wy pływała w dużej mierze z pobudek towarzyskich i była ofertą dla ludzi z jego kręgu, z jego otoczenia czy wręcz jego przyjaciół; wszyscy oni należeli do elitarnej klasy. Była też konkretną reakcją na konkretną akcję - mówię o podwójnych listach. Ale ta stanowiąca zaprzeczenie masowości, jak ją pani nazwała, ekskluzywność była też może przyczyną niezawodności systemu. Natomiast nie ja decydowałem, kto i dlaczego zgłaszał się do mnie o pomoc, choć, jak już mówiłem, mogłem jej odmówić, kierując się racjami zdrowego rozsądku, czyli możliwością niepowodzenia akcji, a co za tym idzie - dekonspiracji. Jak się pani zapewne domyśla, moja pozycja miała w stosunku do Rosenberga podrzędny charakter. Żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości, powiem jeszcze, że architekt ponosił ogromne ryzyko, nie czerpiąc z udzielanej pomocy żadnych, najmniejszych nawet korzyści. Pobudki jego działania były ideowe, humanitarne, a może nawet humanistyczne. To ja utopiłem ich sens w próbie zbitcia osobistego majątku...

D.S.: *Co nie przeszkadza, że w istocie pomagał pan ludziom i również ryzykował życie...*

C.M.: *Jeśli pani pozwoli, tę ostatnią uwagę pozostawię bez komentarza...*

D.S.: *Czy w trakcie państwa działalności konspiracyjnej nie przydarzały się jakieś wpadki? Nieprawdopodobne wydaje się, aby w tym misternym łańcuszku ludzi dobrej woli nic nigdy nie zawiodło.*

C.M.: *A jednak tak było. Do ostatniej chwili wszystko funkcjonowało bez zarzutu; myślę, że przed chwilą wyjaśniłem dlaczego. Ale świadomość ryzyka rosła z każdym dniem. Sądzę, że gdyby nie - będące konsekwencją aresztowań - zakończenie działalności, wcześniej czy później musiałyby dojść do dekonspiracji. O ile jednak osoby podążające korytarzem koncertowym - moim korytarzem - poznawały tym samym jego tajemnicę, o tyle w korytarzu dyrygenckim nie było nigdy nikogo oprócz Rosenberga, no i oczywiście mnie ale to jeszcze przed wojną. Z kolei niektórzy pragnęli jedynie zniknąć, inni natomiast myśleli wyłącznie o ukryciu swoich skarbów, zniknięcie czy też ucieczkę planując na własną rękę. Mówię o tym, by uświadomić pani, że właściwie nikt nie dysponował pełną wiedzą o systemie - stara zasada konspiracji - i nawet ujawnienie jednego z elementów nie musiało oznaczać natychmiastowego upadku całości. Powtarzam jednak: wedle mojej wiedzy nic takiego nigdy się nie zdarzyło.*

D.S.: *Kto został aresztowany wcześniej: Rosenberg czy pan?*

C.M.: *Stało się to prawie w tym samym czasie. Taryfa ulgowa się skończyła. Żyd był Żydem, obywatele żydowskiego pochodzenia zobowiązani byli do noszenia gwiazdy Dawida, a w niektórych miastach pojawiły się już plany budowy gett. Aresztowania zaczęły przybierać masową skalę. Chciałem jednak bardzo wyraźnie i jednoznacznie powiedzieć: zatrzymanie Rosenberga oraz mnie, nie miało jakiegokolwiek związku z konspiracyjną działalnością. Naszą winą było wyłącznie pochodzenie. Spotkaliśmy się raz jeszcze, na krótko. Przed transportem do obozów byliśmy przetrzymywani przez wiele godzin na placu w centrum miasta. W pewnej chwili zobaczyłem go. W jego źrenicach ciągle palił się ten sam szlachetny, twórczy blask. Wstydzilem się spojrzeć mu prosto w oczy. Ale nie miałem też odwagi przyznać się do tego, co zrobiłem. Zadaliśmy sobie jedno i to samo pytanie: wiedzą? W obu przypadkach odpowiedź była negatywna. Wówczas Rosenberg powiedział: „Jeśli ja nie wrócę, a ty przeżyjesz, to znajdź klucz. Jest ukryty w kaplicy klasztoru franciszkanów, w figurze świętego Antoniego. - Esesmani zaczęli nas poganiać. - Więcej nie zdążę... chyba będziesz musiał sam odkryć i właściwie spożytkować zagadkę... Zagadkę Rosenberga” - uśmiechnął się gorzko na pożegnanie. W tym momencie jakby przestał mnie widzieć. Bity i popychany, powiedział coś, czego nie rozumiałem i nie rozumiem do dzisiaj. Pamiętam te słowa dokładnie: „Mój korytarz ma*

być jeszcze raz otwarty” - to było zrozumiałe, ale potem zaczął mówić dalej. Niestety, w tym momencie ostatecznie nas rozdzielono, a z pozostałych słów nigdy nie byłem w stanie zbudować jasnego sensu, więc pozwoli pani, że tę jedną, jedyną rzecz również teraz przemilczę.

D.S.: To wielka szkoda, myślę, że nasi czytelnicy chcieliby to jednak usłyszeć.

C.M.: Nie, proszę nie nalegać. Nie będę powtarzał słów, których znaczenie pozostało dla mnie przez te wszystkie lata zagadką. Zrozumiałem tylko, że zgodnie z moimi wcześniejszymi przypuszczeniami w systemie tajemnych przejść był jakiś zupełnie nieznanymi element, to coś, co pozostało wyłącznym sekretem architekta.

D.S.: Czy widział pan jeszcze kiedyś Rosenberga, lub słyszał o nim?

C.M.: Nie widziałem, ale słyszałem. Nie przeżył obozu. W odróżnieniu ode mnie. A powinno być odwrotnie. Pobyt tam traktowałem jako słuszną karę wymierzoną mi przez opatrność za handel ludzkim życiem; za pokusę wzbogacenia się kosztem niemających wyboru ludzi, której nie zdołałem się oprzeć... Być może takie nastawienie, akceptacja zamiast buntu, pozwoliło mi przeżyć, bo, proszę mi wierzyć, szanse na to nie były wielkie.

D.S.: Potem przyszło wyzwolenie...

C.M.: Wyzwolenie od czego? Od obozu, od wojny owszem. Ale nie od koszmaru, jaki pozostał w mojej pamięci, ani nie od pamięci o tym, kim byłem. Mogłem stać się, może nie bohaterem, ale kimś, kto w chwili próby ocalił własne człowieczeństwo. A jednak okazało się to dla mnie za trudne... Po jakimś czasie zacząłem trochę pracować, kraj się odbudowywał, a niech mi pani uwierzy: świat nie widział jeszcze takiej skali zniszczeń, jak tam i wtedy. Specjaliści budowlani byli potrzebni. Nie myślałem nigdy, aby wracać do starych miejsc i zdarzeń. Pragnąłem, aby już na zawsze pozostały w mrokach zapomnienia. Byłem prawdopodobnie jedynym żyjącym człowiekiem, który znał tajemnice związane z filharmonią w Krakowicach. Bo nawet jeśli przeżył ktoś z uciekinierów, to korytarz dyrygencki był znany tylko Rosenbergowi i mnie, a tajemnica dostępu do niego - już tylko architektowi. Nikt nigdy nie towarzyszył mu w ukrywaniu precjozów; byłoby to niepotrzebne ryzyko, a ludzie, którzy decydowali się na jego pomoc, darzyli go pełnym zaufaniem. Owszem, czasami zastanawiałem się, co może znajdować się w sejfie. Lecz ciekawość moja miała czysto teoretyczny charakter. Nie potrzebowałem zgromadzonych tam skarbów. Przede wszystkim - nie były moje. Nie chciałem też, aby stały się niczyje; młode, socjalistyczne państwo łapczywie kładło rękę na prywatnej własności. Ocalałe z pogromu dzieła mogły przejść w inne niepowołane ręce. Zresztą, klimat w kraju zaczął się zmieniać. Nie podejmując się wyjaśnienia tego faktu, powiem tylko,

że osobom z żydowskimi korzeniami znowu zaczęło się robić ciasno. Wykorzystałem ten moment w sposób najlepszy z możliwych: w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym wyjechałem z kraju. Wkrótce potem odżyłem utracony na długie lata dostęp do szwajcarskiego konta. Długo wahałem się, czy powinienem z niego korzystać. W końcu jednak podjąłem decyzję; pieniądze były mi potrzebne, a nawet jeśli chciałbym je oddać - nie miałem komu... Jak już mówiłem, zdecydowałem się na kupno nowej tożsamości i nowego życia. Postanowiłem je ułożyć we Włoszech, jako właściciel tokańskich winnic. Gdyby nie zawsze obecna pamięć o przeszłości, bez wahania powiedziałbym, że były to moje najszcześniejsze lata. I to właściwie koniec.

D.S.: Koniec?

C.M.: Tak. Koniec opowieści, a i życie zbliża się ku końcowi. Wiem, że moje rachunki na tym świecie nie są i nie będą wyrównane. Chyba że ktoś zechce dopisać ciąg dalszy do minionych wydarzeń. Ja tego nie potrafiłem zrobić...

D.S.: Chciałam panu serdecznie podziękować za rozmowę. Jeśli wolno mi dodać coś od siebie, to proszę, aby pan tak surowo siebie nie oceniał. Ja już, a czytelnicy po lekturze wywiadu na pewno docenią romantyczną aurę pana opowieści. Raz jeszcze dziękuję.

C.M.: I ja dziękuję, choć nie jestem do końca pewien, czy dobrze zrozumiała pani moje intencje. Mimo to dziękuję.

Rozdział XIII

Sobota

Milczeliśmy. Są takie chwile, kiedy nic nie zastąpi milczenia. Oto nagle, jak po wyjęciu małego kamyczka z góry kamieni zasypała nas przeczuwana lawina informacji. Jak w parahipnotycznym transie widzieliśmy rozgrywane się sceny z zamierzczłych czasów. Zostały wprzęgnięte w terażniejszość, którą barwiły, tłumaczyły, a nawet kreowały.

Czym słowa Michalewicza mogły być dla przypadkowego czytelnika? Romantyczną opowieścią, jednym z tysiąca rzeczywistych lub fantastycznych scenariuszy napisanych przez wojnę, a wyreżyserowanych przez ludzi skonfrontowanych z ekstremalną rzeczywistością. Ba, z przeczytanych właśnie stron wyłaniał się obraz człowieka, który pogodził się z faktem, że nikt nie traktuje go poważnie. Z jego słów mogło wynikać, że wszelkie próby dzielenia się posiadanymi informacjami kończyły się - w najlepszym razie - uznaniem go za nieszkodliwego głupca.

Dwa tygodnie wcześniej ten artykuł również u mnie wywołałby najwyższy uśmiech zadumy, westchnienie życzliwej pobłażliwości. I tyle. Zareagowałbym jak wszyscy albo prawie wszyscy dotychczasowi słuchacze Michalewicza. Po lekturze odłożyłbym gazetę do pudła z makulaturą.

Ale dzisiaj było zupełnie inaczej. Opowieść Casimiro Michelangelo stała się dla mnie - dla nas - nieoczekiwaną, z głębi dziejów nadchodzącą odpowiedzią na zagadki dnia współczesnego. A zaczęło się od tego, że u schyłku jego życia ktoś mu jednak uwierzył. Ktoś jeszcze przed nami...

Nagle podjęta została próba połączenia dwóch na wiele lat rozerwanych brzegów rzeczywistości i trwania.

Kurz oszołomienia zaczął z wolna opadać. Czuję się jak podróżujący w czasie wędrowiec, który trafił ponownie do punktu wyjścia. Pan Sebastian zaczął wykonywać jakieś ruchy, świadczące, że i on przywrócony został realnemu światu, a raczej realnemu teraz.

Więc w tym szaleństwie jednak kryła się metoda? W tym poznawaniu gmachu zdarzeń od ostatniego piętra było coś więcej niż czysty przypadek?

Popatrzyliśmy na siebie. To był właściwy moment do ponownej analizy wszystkiego, co się do tej pory wydarzyło, którą miał ułatwić właśnie poznany, bezcenny materiał.

Postanowiliśmy zacząć od ekstrakcji kluczowych wiadomości, oddzielenia ich od literackich aspektów artykułu. Z pewnym zdumieniem zaczęliśmy spostrzegać, że tych ostatnich nie było wiele. Michalewicz opisywał fakty. Nawet fragmenty dotyczące jego etycznych wątpliwości wobec samego siebie były raczej konkretnym wyznaniem poczucia winy niż melodramatycznym opisem rozterek i uwarunkowań. W wywiadzie nie padały właściwie zbędne słowa; w pewnych bezpośrednio związanych z tajemnicą kwestiach wręcz odczuwało się ich niedostatek.

Fakty wyglądały następująco. W czasie wojny filharmonia stała się miejscem niezwykłych wydarzeń. Dzięki przeprowadzonym w niej w 1937 roku architektonicznym pracom, w trakcie których powstać miały dwa sekretne korytarze, służyła ucieczce ludzi i ukrywaniu ich najcenniejszych skarbów. Między tymi dwoma rodzajami konspiracji nie zachodziła konkretna zależność. W pierwszej z nich miał swój udział autor wywiadu; za drugi całkowicie odpowiedzialny był Rosenberg. Pomoc miała dotyczyć przede wszystkim - a może wyłącznie - bogatych obywateli pochodzenia żydowskiego, często zaprzyjaźnionych z architektem. Oni bowiem, z racji swoich korzeni i majątności, w tym wypadku bezcennych dzieł sztuki, już na początku wojny skazani byli na zagładę. Dobrze zorganizowany i skutecznie działający system, powstały jako reakcja na hitlerowski projekt tak zwanych podwójnych list uratował życie niejednej osoby i pomógł w ukryciu przedmiotów o trudnej do oszacowania wartości. To po pierwsze.

Po drugie - fakt niezwykłej wagi - nic nie wskazywało, by oprócz autora wywiadu przeżył wojnę ktoś znający ów sekret, czy choćby fakt jego istnienia. Wiedza o nim umarła śmiercią gwałtowną lub naturalną, wraz z tymi, którzy mogli ją posiadać. Gdyby nie artykuł Michalewicza, byłoby tak do dzisiaj, i prawdopodobnie pozostało na wieki. Przeczując nadchodzącą śmierć, ostatni depozytariusz tajemnicy postanowił o niej opowiedzieć, próbując uporać się z wyrzutami sumienia, które zdominowały całe jego powojenne życie. Pozbywając się brzemienia wiedzy i winy, liczył na to, że być może kogoś zainteresuje jego artykuł.

I nie przeliczył się - choć tutaj po raz pierwszy wchodzimy w sferę domysłów. Dyrygent Damian Rucacelli, rodak Michalewicza, podobnie jak on mieszkający we Włoszech, a mający wkrótce w krakowskiej filharmonii poprowadzić koncert z tamtejszą orkiestrą, postanawia go odwiedzić. Uzyskane w trakcie rozmowy ze starszym szczegóły przekonują go, że wywiad nie był konfabulacją. Ba, prawdopodobnie wówczas Rucacelli wchodzi w posiadanie batuty, czyli klucza do sejfu, wraz z ukrytą w niej, zaszyfrowaną informacją.

Owa batuta stała się centralnym punktem wydarzeń mijającego tygodnia.

Zaszyfrowana informacja - niestety, częściowo teraz nieczytelna (mimo to jej wartość na naszej giełdzie dowodów gwałtownie wzrosła) - mogła wskazać drogę do sejfu.

Sejfu, który do dzisiaj kryć może bliżej niesprecyzowane cenne przedmioty.

Michalewicz wiedział wszystko o korytarzu koncertowym, który jednak - służąc z założenia wyłącznie do ucieczek - nie wydawał się wartym trudu celem eksploracji. Natomiast wiedza inżyniera na temat dostępu do korytarza dyrygenckiego była bardzo ograniczona, dawała jednak choćby cień szansy na odnalezienie sekretnego schowka. Podobnie rzecz się miała z Rucacellim; przekazane mu informacje, choć niekompletne, mogły okazać się wystarczające do zrealizowania misji.

Należy jednak przypuszczać, że Rucacelli nie był jedyną osobą, która odwiedziła sędziwego Michalewicza. Musiał z nim rozmawiać ktoś jeszcze. Ktoś, kto podążył śladem dyrygenta i - z jego współudziałem lub bez niego - również był zdecydowany rozwikłać zagadkę.

Tajemniczy przedstawiciele firmy płytowej. Ci, którzy niepokoiili maestra w trakcie wieczoru spędzanego z Wandą w hotelowym barze. Ci, którzy podążając jego śladami, przybyli do Krakowie nie po to, by negocjować kontrakt płytowy, tylko by zmusić dyrygenta do współpracy na zupełnie innym polu.

Musieli znać się przedtem. Jednak Rucacelli wołał cisnąć klucz w lodowatą wodę - czy mogliśmy mieć jeszcze jakiekolwiek wątpliwości, że batuta była nim w istocie? - niż pozwolić, aby dostał się w ich ręce.

Dlaczego?

Kim byli i co wiedzieli?

Usunęli z drogi Rucacellego, walczyli o batutę, a w chwili gdy ta walka zdawała się przegrana, zrobili coś, czego nie rozumiałem: ukradli obraz Siemielnianego i popiersie Karłowicza.

Przyszło mi teraz do głowy, że być może wczoraj, w trakcie kontemplacji niezwykłego sufitu byłem śledzony. Ten dziwny niepokój, który poczułem w pewnej chwili...

Przedstawiciele wytwórni płytowej było dwóch, a nie mogłem się jakoś opędzić od myśli, że to oni stali za kradzieżą. Jeden zajmował się dołem (głównym wejściem), drugi górą (rozetowym oknem); wystarczyło zachować kontakt telefoniczny i wybrać odpowiedni moment do akcji.

Być może czekali na mój ruch, na jakiś gest, który coś by im wyjaśnił. Jeśli tak rzeczywiście było, musiałem ich srodze rozczarować. W związku

z czym bez większych subtelnosci przystąpili do wykorzystania swojego alternatywnego zasobu wiedzy.

Więc może naprawdę jest już za późno? Ze zgrozą pomyślałem o praktycznie bez trudu dostępnym w tej chwili pokoju dyrygenckim. Ale przecież batuta-klucz była ciągle w moich rękach...

Znowu odbiegłem w dywagacje. A jak wyglądały fakty?

W pokoju dyrygenckim powinno się znajdować ukryte wejście do korytarza. Czy ktoś do tej pory zdołał je odkryć?

Nagle przypomniał mi się fragment pierwszej rozmowy z portierem:

„A ten dyrygent to się mnie wczoraj po koncercie pytał, czy ja zostaję na noc, bo on musi wrócić do swojego gabinetu, bo musi jeszcze popracować, co mi się dziwne wydało, co on tam jeszcze chciał robić po koncercie, ale to nie moja sprawa, a za artystą pan czasem nie nadążysz, a ja mu na to, że nie, że na nocnej będzie kolega, a on, żebym ja jednak tego kolegę uprzedził, że on na pewno przyjdzie, może nawet bardzo późno, ale na pewno, bo to będzie straszna bomba, ale jak zmieniałem kolegę rano, to mi powiedział, że go nie było, ale jak mógł być, jak on tam już wieczorem półmartwy leżał...”

I jeszcze jeden, z tej samej rozmowy:

„...że pracował nad czymś u siebie w gabinecie, to fakt, był tam przed próbami i po próbach, jakiś projekt szykował, pewnie coś z tym nagraniem, czy jak, bo tam go nawet ci agenci z wytwórni płytowej odwiedzali...”

Zaraz, zaraz, to potężny ładunek danych. Trzeba je tylko dobrze przetworzyć. Czego Rucacelli szukał w pokoju - wiadomo. Czy osiągnął cel? Czy też zniecierpliwieni przedłużającym się impasem rzekomi przedstawiciele wytwórni płytowej postanowili wziąć sprawy w swoje ręce? Co upoważniło go do użycia sformułowania, że to będzie straszna bomba? Może świadomość przerastającej wszelkie oczekiwania zawartości sejfu, która skłoniła go również do działań na własną rękę?

Dyrygent zwołał na poniedziałek rano konferencję prasową. Słusznym wydaje się więc wniosek, że miał zamiar wyjawić swoje odkrycie.

Nie chodziło o żadne płytowe nagrania, ani tym bardziej przejęcie obowiązków szefa krakowickiej filharmonii. To wszystko były nic niewarte plotki, które zresztą dyrekcja instytucji jednoznacznie zdementowała. Tematyka konferencji miała dotyczyć czegoś zupełnie innego: Rucacelli znał już prawdę o tajemnicy Rosenberga i prawdopodobnie chciał ją ujawnić. Natomiast dwójka z wytwórni płytowej nie robiła wrażenia skłonnej do altruistycznych gestów. I chyba na tym de doszło do szamotaniny na moście. Wniosek, który mi się nieodparcie nasuwał, nie był szczególnie przyjemny.

Mieliśmy do czynienia z ukrytą pod eleganckim strojem śmiertelnie zdeterminowaną i bezwzględną włoską mafią...

Na pytanie, skąd tu mafia? - odpowiedź była akurat stosunkowo, by nie rzec banalnie, prosta. Sprawa wyplęnęła we Włoszech i jeśli wśród przygodnych czytelników wywiad wywoływał co najwyżej chwilę refleksji albo życzliwy czy też pełen politowania uśmiech, to przecież nie tylko zwykli ludzie mieli możliwość przeczytania artykułu, przynajmniej przez krótki czas publicznego doń dostępu. W takiej kategoryzacji ani dyrygent, ani mafioso nie należeli do tych zwykłych. Natomiast mój pobyt we Włoszech skutecznie oduczył mnie stereotypowego rozumienia pojęcia mafia.

Jest to znakomicie zorganizowane i zarządzane przedsiębiorstwo, odznaczające się doskonałym rozeznaniem rynku i niezwykłym nosem do interesów. Jeśli przypuszczenia, które coraz śmielej snuliśmy, miały okazać się prawdziwe - dla odkrywcy sejfu Rosenberga mogło to oznaczać wielkie pieniądze. Paradoksalnie więc, obecność mafii w rozgrywce wcale mnie nie zdziwiła. Wręcz dziwiłem się sobie, że tyle czasu zajęło mi przypisanie jej księżycowych sylwetek.

Nie rozumiałem natomiast związku kamorry z dyrygentem. Nie miałem też pojęcia, skąd się w tym wszystkim wzięli żołnierze Ryżego? Nie mogłem wykluczyć, że pragnący pozostać w cieniu Włosi wynajęli ich w charakterze podwykonawców konkretnej roboty.

To były pierwsze wnioski, te natury kryminalnej. Teraz należało się zastanowić, jakie wskazówki można odnaleźć w słowach Michelangelo i jaki zrobić z nich użytek, aby choć trochę zbliżyć się do rozwiązania zagadki.

Mowa była o dwóch ukrytych w filharmonii korytarzach. Jednym, umożliwiającym znikanie ludzi w sali koncertowej, i drugim, zaczynającym się w gabinecie dyrygenckim, i zakończonym pomieszczeniem wyposażonym w sejf. I to ten właśnie wydawał się jedynym obiektem zainteresowania spółki Rucacelli&Co., która zresztą rozpadła się w dramatycznych okolicznościach. Zainteresowania zogniskowanego na batucie; realnie istniejącym podwójnym kluczu. Dramatyczne okoliczności były pochodną jej istnienia.

Z trudem natomiast mogłem sobie wyobrazić, aby służący zaszczytnym ludziom do ucieczki korytarz koncertowy skrywał coś więcej niż tylko wspomnienie ich napięcia i strachu.

Postanowiłem jednak odłożyć na bok rozważania wartościujące korytarze z punktu widzenia materialnego. Przecież nie szukałem skarbów, tylko próbowałem rozwikłać łamigłówkę. W tym świetle oba były równie ważne. Nie można też było wykluczyć, że tropy, przynajmniej w krótkim fragmencie, przebiegają równolegle.

Rozważania, ujęte tutaj w skondensowaną formę, były w rzeczywistości owocem obustronnie inspirującej rozmowy między antykwariuszem a mną. Mniej więcej w tym momencie Sebastian Mars powiedział:

- Wiesz, Bartku, ciągle zastanawia mnie ta wczorajsza kradzież. Bo albo nasi rywale wiedzą coś, o czym my nie wiemy, albo wręcz przeciwnie: szukają po omacku i to z coraz większą niecierpliwością.

Rzeczywiście, oprócz obrazu i rzeźby nie widziałem w pokoju innych starych, a łatwo dających się zdemontować i ewentualnie zabrać obiektów.

- A ja nieustannie zwracam uwagę na ten fragment tekstu. - Pan Mars zakreślił pisakiem jedno ze zdań:

Aby więc odnaleźć i otworzyć ukryte korytarze, nie były potrzebne żadne klucze ani wytrychy, wystarczył mózg...

- I jeszcze to, i to. - Dwa kolejne, zielone kółka, ubarwiły szarą i, z natury swojej, nijaką kolorystykę faksu.

Należy jeszcze dodać, że idea wystroju pokoju dyrygenckiego pochodziła od samego Rosenberga, a jej twórcą i wykonawcą był wybitny rzeźbiarz, również zaprzyjaźniony z Rosenbergiem, w którego pracowni wykonano wszystkie drewniane elementy gabinetu. Niestety, jego nazwisko uleciało mi z pamięci. Na prośbę architekta nadzorował on ponadto wykonanie drewnianych elementów wystroju sali koncertowej. Myślę, że bez tej współpracy projekt Rosenberga byłby niemożliwy do zrealizowania w wymyślonej przez niego formie...

- Słyszysz? Mowa o drewnianych elementach. Niestety, wydaje się oczywiste, że popiersie Karłowicza jest dziełem tego samego rzeźbiarza, o którym mówi Michalewicz...

- Przypomniałem sobie, że rzeźba opatrzona była wrytym nieczytelnym napisem oraz datą wykonania. Powstała w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym...

- To na pewno nie jest przypadkowa zbieżność...

Sebastian Mars zafrasował się, a po chwili podjął przerwany wątek.

- Na pytanie o szyfry strzegące wejść do korytarzy, Michalewicz odpowiada: *Powiem tylko tyle, że miały związek z dwiema powszechnie znanymi pasjami Rosenberga. I dalej: Dla tych, którzy go znali, była to wystarczająca wskazówka, przynajmniej aby dostać się do korytarza koncertowego. W przypadku tego drugiego, jak już mówiłem, sprawa była bardziej skomplikowana, ale taka właśnie miała być...*

- Może powszechnie znaną pasją Rosenberga było malarstwo i dlatego było jasne, że to obraz ukrywa wskazówkę? - dociekałem bez przekonania, bo ciągle nie mogłem sobie darować przeoczenia prawdopodobnie najistotniejszego elementu sprawy.

- Być może. - Pan Sebastian nie wydawał się przekonany. - Czy w sali koncertowej wisi jakiś obraz?

Szybko przeleciałem myślami jej wnętrze.

- Nie, na pewno nie. To znaczy, teraz nie. A jak było kiedyś?

- Słuchaj - Sebastian Mars ożywił się gwałtownie - z tego wszystkiego zapomniałem! Znalazłem książkę, o którą wczoraj pytałeś. Samo wydawnictwo nie jest takie stare, ale dość bogato ilustrowane zdjęciami z różnych lat. Ukazało się z okazji jubileuszu siedemdziesięciopięciolecia filharmonii. Może tam znajdziemy coś ciekawego?

Podniósł się z fotela, by zdjąć z półki, najwyraźniej wcześniej już przygotowaną, książkę.

- Bartku, zróbmy tak: ty sobie to spokojnie przejrzyj, a ja w tym czasie odwiedzę mamę. Jest przyzwyczajona, że w sobotę o tej porze przynoszę jej świeże tygodniki.

Kamienica przy Kanonicznej miała swój rytm życia. Mieszkając w niej, a jednak jakby osobno, wyczuwałem go w postaci harmonii pulsującej w starych murach.

O intelektualnych zaletach starszej pani słyszałem już nieraz, chociaż nigdy jeszcze nie miałem okazji jej widzieć; chyba rzeczywiście nie opuszczała swojego pokoju. Żonę antykwariusza, panią Sabinę, też nieczęsto widywałem. Miała typ nienarzucającej się osobowości, a jednak jej obecność - jak obecność dobrego ducha - rozświetlała atmosferę domu. To właśnie mówiło mi, czy gospodyni jest, czy też wyszła, pomijając sytuacje, gdy serwowane przez nią przysmaki światowej kuchni, wyglądem, zapachem i smakiem świadczyły o miejscu pobytu swojej twórczyni. Takie prośzone kolacje były do tej pory jedynie trzy, wliczając w to środową. Podobnie jak w odniesieniu do niepospolitej latorośli państwa Marsów, także i w przypadku pani Mars byłem w stanie poskromić ciekawość; czy i czym aktualnie zajmowała się pani Sabina, nie miałem pojęcia. Ale też ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna.

Więc o mieszkankach kamienicy przy Kanonicznej wiedziałem głównie, że istnieją, choć aura życzliwości, wyczuwalna w każdej części domu, kazała mi sądzić, że akceptują moją obecność.

Jeśli chodzi o Sebastiana Marsa, to ostatnie wydarzenia uczyniły z nas pewnego rodzaju współników. Nie zawsze formułując swoje sądy wprost, posiadał on umiejętność wyławiania rzeczy najważniejszych i kierowania na nie mojej uwagi. A współpraca nasza układała się coraz pełniej i harmonijniej, czego kolejny dowód trzymałem właśnie w rękach. Gdy antykwariusz wraz z pakietem gazet, pachnących jeszcze świeżą, drukarską farbą,

zniknął za drzwiami, wziętem się do przeglądania albumu.

Najpierw przewertowałem go pobieżnie. W mniejszym stopniu interesowały mnie zewnętrzne zdjęcia budynku - to nie tam kryło się rozwiązanie zagadek. Przy odrobinie szczęścia mogłem liczyć na fotografie z niezwykłego pokoju dyrygenckiego; różnica między sufitem sprzed remontu Rosenberga i po nim mogła stanowić cenną podpowiedź w poszukiwaniach. Ale czekało mnie rozczarowanie; takich zdjęć w albumie nie znalazłem. Były w nim za to fotografie hallu, foyer i - na szczęście! - sali koncertowej. Miał więc martwić się brakiem utrwalonych wizerunków gabinetu dyrygenckiego, skoncentrowałem się na analizie tej ostatniej.

Jej los, nierozzerwalnie związany z losami budynku, dokumentowany był zdjęciami z trzech okresów, które tutaj dla swoich potrzeb nazwę: pierwotnym, okołowojennym i współczesnym. Okres pierwotny obejmował lata od zakończenia budowy do pierwszego remontu, którego oficjalnym powodem była „próba polepszenia akustycznych właściwości sali” - dokładnie o tym mówił Michalewicz w swoim wywiadzie. Renowacji podjęto się, zaprojektowało ją i przeprowadziło: „konsorcjum miejskich rzemieślników pod kierownictwem biura architektonicznego ROZA”. Tylko tyle, ani słowa więcej; ale dla mnie to było aż tyle. Na razie słowo w słowo potwierdzały się fakty podane przez Michelangelego. Co to mogło oznaczać? Poczulem delikatny przemarsz kilku mrówek w okolicach kręgosłupa.

Co ciekawe, kolejny remont, który wykonano już po wojnie (rozpoczęto go w 1952), motywowano również chęcią podniesienia walorów akustycznych sali.

Powód - zakłęcie.

Na pierwszy rzut oka zdjęcia z poszczególnych okresów nie różniły się bardzo między sobą. Głównie jakością. Nie były też dokumentacją wszystkich szczegółów sali sprzed remontów i po nich. Starłem się jednak myśleć logicznie. Przebudowy z akustycznych powodów powinny odnosić się do ścian, sufitów i proporcji. Czyli wszystkiego... Nie tędy droga.

Skoro działanie rozumowe zawodziło, postanowiłem zdać się na swobodny surf myśli. Stosunkowo trudno zmienić jest wewnętrzną formę sali koncertowej. A akustyka ma bezpośredni związek nie tylko z jej proporcjami, ale i z materiałami użytymi do wystroju lub wykończenia. Często są one wkomponowanymi w całość ekranami dźwiękowymi. W zależności od potrzeb mają dźwięk odbijać (na przykład drewno) lub tłumić (materiał). Postanowiłem dokładniej przyjrzeć się podłodze, ścianom i sufitom.

Rozmiar i ostrość zdjęć pozostawiały sporo do życzenia, z ulgą dostrzegłem więc, że trzecie oko antykwariusza leży na stole, gotowe w każdej chwili do użycia.

Tak, teraz widziałem trochę lepiej. Żeby już nie plątać się w szczegółach, powiem o tym, co najważniejsze. W stosunku do okresu pierwotnego sala koncertowa po przeróbkach Rosenberga zyskała przepiękną, mozaikową, choć oczywiście drewnianą, podłogę w miejsce zwykłego parkietu. Również dwie części sufitu - nad estradą oraz najwyższym balkonem, zwanym jaskółką - pokryte zostały drewnem. Obie płaszczyzny robiły teraz wrażenie doskonale symetrycznych.

Natomiast remont powojenny ponownie odsłonił ścianę nad sceną, z której usunięto wówczas warstwę drewna. Nad jaskółką zaś pojawiły się wykładane pluszem kasetony, które zastąpiły bądź zasłoniły drewniane elementy. Odnosiłem również wrażenie, że najwyższy balkon został skrócony.

W tych wszystkich szczegółach dostrzegłem jeden, który spowodował, że stadko mrówek - jakby nieco już większe - ponownie przeszło po moich plecach. Przyjrzałem się raz jeszcze, pragnąc za wszelką cenę uniknąć pochopnych wniosków. Ale nie, nie myliłem się: po ingerencji Rosenberga, sufit nad jaskółką zyskał strukturę szachownicy. Pozostawało pytanie: czy w trakcie powojennych przeróbek zniszczono ją, usuwając przed położeniem nowego materiału, czy też przeciwnie: oszczędzono, zasłaniając jedynie? I jeszcze jedno: czy z dostrzeżonego przeze mnie podobieństwa wzoru sufitów w sali koncertowej i gabinecie dyrygenckim coś wynika... Tylko spokojnie, mówiłem sobie, krok po kroku. Miałem wrażenie, że kolejny przed chwilą udało mi się zrobić.

Kontemplując odkrycie i rozważając jego znaczenie dla rozwikłania poplątanych strzępków przeszłości i teraźniejszości, kątem oka dostrzegłem powrót antykwariusza. Co dziwne, zachowywał się nieco podobnie do mnie; choć obecny, sprawiał wrażenie szybującego w oddali. Skoro jednak ja surfowałem, dlaczego on nie mógł szybować?

Pan Sebastian przez chwilę jeszcze pozostawał nieobecny duchem. W końcu jednak wykrztusił z siebie:

- Moja matka знаła Rosenberga.

Choć nieźle już zaprawiony w bojach z przyspieszającą rzeczywistością, a właściwie w łączeniu faktów minionych i bieżących, nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Prostota wypowiedzianych słów była jak huragan w pigułce. Na szczęście antykwariusz odzyskał po chwili kontrolę nad strunami głosowymi i kontynuował:

- Gdy zaniósłem mamie gazety, jak zwykle zapytała mnie: „Sebastian, co tam nowego w świecie”. Odpowiedziałem, że nie tyle nowego, ile starego: duchy przeszłości wychodzą na powierzchnię. Odpowiedź jej nie zadowolila, więc musiałem ją nieco rozwinąć. Wyobraź sobie moje zdumienie, gdy matka w pewnym momencie przerwała mi, mówiąc: „Rosenberg? Szymon Rosenberg? Ten architekt? Przecież ja przyjaźniłam się z jego córką”.

Przypominam sobie scenę, ujrzaną kiedyś w filmie o poszukiwaczach biblijnej Arki Przymierza. Gdy jeden z nich wpada na obiecujący trop, w pomieszczeniu gasną nagle świece, zdmuchnięte niezrozumiałym podmuchem, a zwisające z sufitu ozdoby zaczynają wirować.

Na zapleczu antykwariatu nie paliły się w tej chwili świece, z pułapu nie zwisały żadne dekoracje i nie wiał wiatr. A samo wyobrażenie przedmiotu poszukiwań w tak mitycznej formie musiało wywoływać uśmiech.

Krótko mówiąc: nie ma to, jak umiejętnie dobrane porównanie.

A jednak poczułem, że moje dosyć długie w tym momencie życia włosy, zatańczyły lub stanęły dęba, wprawione w płas podobnie niezrozumiałym czynnikiem.

- Pamięć mojej mamy płata jej i nam figle - podjął po chwili antykwariusz. - Momenty bezwzględnej jasności są przeplatane wizjami tkanymi z różnych fragmentów życia. Na temat Rosenberga nie powiedziała już nic konkretnego. Tyle tylko że gdzieś w starych albumach mogą być ich wspólne zdjęcia; to znaczy: jej i Zosi, córki architekta, a może nawet - na którymś z nich zaplątał się ojciec Zośki.

Zrozumiałem, że słowa starszej pani należało niekiedy traktować z dużą ostrożnością, oprócz precyzyjnych wypowiedzi zdarzały się myślowe przędde, w których precyzja umiejscawiania faktów i osób we właściwym miejscu i czasie odgrywała rolę drugoplanową.

- Posłuchaj, Bartku, moja matka jest teraz podekscytowana. Nagle, całkiem niespodziewanie odezwały się reminiscencje z jej młodych lat. Obiecała mi, że zaraz poszuka tych starych zdjęć. Boję się, że jeśli będziemy zwlekać, zapomni o całej sprawie. Chodźmy do niej jeszcze raz.

- Ale, jak to? Dlaczego ja? Jak mógłbym zakłócać spokój pana mamy? - przeraziłem się jak asystent czarnoksiężnika, który musi nagle stanąć przed obliczem wróżki, gotowej osądzić jego przydatność w misji.

- Mama powiedziała, że pokaże nam te zdjęcia. Nam, rozumiesz? Sam nie mam po co się pokazywać. Nie pytaj mnie dlaczego. Jeśli chcesz obejrzeć te fotki, boja chcę, to proszę, chodź ze mną.

Dalsze pytania nie miały sensu. Wstałem i w pełnej oszołomienia rezygnacji - lub odwrotnie, powlokłem się za moim przewodnikiem.

Pokój starszej pani odpowiadał moim wyobrażeniom. Przyciemniony, pełen trudnego do sprecyzowania, a przyjemnego zapachu ziół, kadzidełek i bibelotów, sprawiał wrażenie łącznika między przeszłością a teraźniejszością lub pomiędzy dwoma światami: materii i ducha.

Zadziwiająco błyszczące oczy przyglądały mi się spod czoła okolonego aureolą siwych, gładko zaczesanych włosów. Spojrzenie to wybiło mi z głowy niepotrzebne gesty pod tytułem: przedstawianie się, całowanie rąk i - generalnie - robienie dobrej miny do niezrozumiałej gry.

- Ty jesteś Bartek; dobrze, dobrze...

Nie wiedziałem, czy i co jest dobrze, a już na pewno dlaczego, ale na wszelki wypadek nie oponowałem, chyląc jedynie głowę w subtelnym geście potwierdzenia własnej tożsamości.

- Posłuchajcie, chłopcy, udało mi się znaleźć jedno ze zdjęć z Zosią Rosenberg. Spójrzcie.

Leżący na stoliku album świadczył, że fotka została tylko co wyjęta. Ze starego zdjęcia w kolorze sepii spoglądały na nas oplecione warkoczykami twarze dwóch dziewczynek, oraz dwóch mężczyzn: uśmiechniętego, trzymającego papierosa, nienagannie ubranego i robiącego wrażenie kogoś, kto kontroluje rzeczywistość, i drugiego - nieśmiało uśmiechniętego, ale jakby z nostalgią w oczach, widoczną nawet przez szkła okrągłych, drucianych okularów.

- To jestem ja, Zośka i jej ojciec. - Piegowate buzie uśmiechały się do nas. Zdjęcie było kapitalne, ale naiwnością było sądzić, że nagle a nieoczekiwanie skieruje nasze myśli na właściwy trop. Z uśmiechem oddałem je właścicielce.

Logiczne wydawało się, że skoro jeden z mężczyzn jest ojcem Zosi, to drugi musi być tatusiem Adeli, czyli starszej obecnie pani, a dziadkiem antykwariusza. Lecz byłem w błędzie.

- Nie, to nie jest mój ojciec. Jego tam wtedy nie było. Jeśli dobrze pamiętam, to chyba jest pan Nimzowitsch, przyjaciel ojca Zośki.

Pan Sebastian dał mi znak, że najwyższa pora się wycofać. Zrozumiałem, że pamięci pani Adeli nie należy wystawiać na zbyt ciężką próbę. Ukłoniłem się wdzięcznie i pożegnawszy, ruszyłem za antykwariuszem.

- Ale, ale, jestem przekonana, że było jeszcze drugie zdjęcie, dużo miłsze, tyle że nie mogłam go znaleźć. Wieczorem spróbuję jeszcze raz.

Żywe i bystre oczy spojrzały na mnie raz jeszcze. Tak nie patrzy ktoś, kto ma zasadnicze problemy z pamięcią.

- Bartek, powodzenia.

Sebastian Mars musiał jej coś wspomnieć o poniedziałkowej audycji.

Zeszliśmy na dół. Odwiedziny u starszej pani były miłe, ale nie posunęły nas do przodu. Właściwie moje włosy mogły spokojnie opaść na miejsce. W geście rozczarowania rozłożyłem ręce.

Jednak antykwariusz wydawał się nie podzielać mojego sceptycyzmu; rzekłbym nawet, że był podniecony.

- Bartosz, ty naprawdę nie wiesz, kim był Nimzowitsch?

Wstyd się przyznać, ale nie wiedziałem.

- Aaron Nimzowitsch był łotewskim arcymistrzem szachowym, jednym z najwybitniejszych teoretyków i graczy na świecie w tamtych latach.

OK. Teraz wiedziałem. Wiedziałem już coraz więcej. A choć, wyczerpane stawianiem dęba włosy nie zdążyły ponowić zatańczyć, tym razem nogi lekko się pode mną ugięły.

W pierwszym odruchu chciałem natychmiast biec do filharmonii. Ale przychylnego mi portiera jeszcze tam nie było. Nie mogłem liczyć, że ktokolwiek inny pozwoli mi wejść do środka, zwłaszcza jeśli tajemnica nocnego włamania została ujawniona. O swobodnym myszkowaniu po budynku nie było w ogóle mowy.

Żelazna decyzja została podjęta nie bez bólu. Choć rwałem się, aby podać dalej coraz wyraźniej rysującą się drogą szachownic, znalazłem w sobie siłę na ćwiczenie.

Wczorajsze stwierdzenie podobieństwa instrumentu mistrza Solniczki do mojego własnego, chwilowo, a może bezpowrotnie utraconego, było tak zdumiewające, że nie pozostawiało mi właściwie wyboru. Znowu wszystko było w moich rękach; mogłem to wykorzystać lub równie dobrze zaprzepaścić. Zagadka Rosenberga musiała zniknąć; przygoda z altówką była treścią mojego życia. Dokonawszy samobombardowania jaźni powyższymi faktami, pożegnałem się na razie z panem Sebastianem. Umówiliśmy się, że odwiedzę go ponownie przed planowaną wizytą w filharmonii. Obiecał podzielić się wówczas garścią informacji o Nimzowitschu, które miał do tej pory odświeżyć.

Nie licząc na wykrzesanie w sobie zbyt głębokich pokładów entuzjazmu, zacząłem grać według sprawdzonych systemów. Bez podniecania się wizjami siebie podbijającego egzaminacyjną komisję niewiarygodnym poziomem gry. Próbowiałem kontrolować, kontrolować i jeszcze raz kontrolować wszystkie elementy instrumentalnego rzemiosła. W trakcie przesłuchania, kiedy dochodzą emocje i adrenalina, taka pełna kontrola nie jest już możliwa.

Mówi się, że aby zagrać na osiemdziesiąt procent swoich możliwości, trzeba być przygotowanym na procent sto pięćdziesiąt. Na dokonanie

altówkowych cudów nie było już czasu. Ostatnie dwa, trzy dni pracy to jedynie podgrzewanie dyspozycji, będącej wynikiem całego, długiego procesu przygotowawczego. To przekonywanie samego siebie, że materiał został odpowiednio przepracowany, co się udaje, jeśli tak było w istocie. To próba nabrania nowego oddechu w rozumieniu i interpretowaniu muzyki. Palców i rąk już nie należy przemęczać. Napracowały się dosyć, teraz trzeba im zapewnić świeżość.

W tych prawidłowościach jest tylko jedno małe ale: dla każdego są one nieco inne. Nie istnieje uniwersalny i doskonały sposób na przygotowanie się do audycji czy - ujmując szerzej - do publicznego występu.

Raz jeszcze powtórzyłem sobie w myślach kilka ostatnich wniosków. Był tam jeden, który szczególnie przypadł mi do gustu. Zaraz, zaraz... A, już wiem: mięśni palców i rąk już nie należy przemęczać...

Zachwycony głębią tezy, postanowiłem natychmiast podporządkować się jej mądrym wskazaniu. Stało się to jednak po dobrych dwóch godzinach ćwiczenia. Strzałka wskazująca moje instrumentalne morale ponownie wróciła na zielone pole.

Była jeszcze jedna sprawa, właściwie osoba, o której myśl nie dawała mi spokoju. Wanda. Zastanawiałem się, czy moje ostatnie reakcje nie były za ostre. Powoli zaczynałem przyzwyczajać się do jej telefonów; teraz byłem pewien, że pierwsza nie zadzwoni. Czy czułem coś do niej? Źle sformułowane pytanie. Czy podobała mi się? Tak, owszem, jak cholera. A w dodatku, zaniepokoiła mnie wczorajszym zachowaniem. Podwójnie zaniepokoiła. Po pierwsze, niesłabnącym zainteresowaniem kwestiami batutopochodnymi. Po drugie, rosnącym zainteresowaniem moją skromną osobą, na pierwszy, drugi i trzeci rzut oka nielogicznym. Więc tak mógłbym to ująć: odnośnie Wandy czułem niepokój. Niepozbowiony pewnego damsko-męskiego napięcia.

Zdecydowałem się.

- Cześć, Wanda, to ja, Bartosz. Masz ochotę ze mną chwilę porozmawiać?

- Cześć, Bartek. - Głos dziewczyny był trochę niepewny, jakby przestraszony. - Teraz za bardzo nie mogę, ale zadzwonię do ciebie, może jutro?

Odetchnąłem z rozczarowaniem i ulgą jednocześnie. Mimo wszystko nie obraziła się na mnie.

- OK. Będę czekał na twój telefon. Pa, na razie.

Cholera, co ja właściwie mówię, jaki jest powód, żebym czekał na jej telefon?

Czy zawsze tak musi być? Czy ładna kobieta musi wprowadzać w życie mężczyzny zamieszanie? Inspirować nielogiczne zachowania? Wyzwalać słowa, których nie chciało się wypowiedzieć?

Na moim zegarze dochodziła szesnasta. Zbliżała się godzina pana Zenka. Do tej pory nie dzwonił, miałem więc nadzieję, że odkrycie prawdy odbyło się według założonego planu. Czy istniał jakiś inny, zapisany w górze, który przewidywał na dzisiaj odkrycie kolejnych prawd?

- Aaron Nimzowitsch był jednym z najpoważniejszych kandydatów do walki o tytuł mistrza świata. Nie doszło do niej z powodów finansowych. Zdarzały się jednak turnieje, na których udawało mu się pokonać byłych lub przyszłych czempionów, takich jak Aleksander Alechin i José Raúl Capablanca. Był twórcą hipermodernistycznej teorii szachów, którą wyłożył w dwóch dziełach: *Mein System* i *Die Praxis meines System*. Urodził się w Rydze, zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku w Kopenhadze, mając czterdzieści dziewięć lat.

Tymi informacjami uraczył mnie Sebastian Mars, gdy udając się z Estonem w kierunku filharmonii, wpadliśmy na chwilę do antykwariatu.

- Logiczne jest więc, że zdjęcie musiało być zrobione przed rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym. Jakie z tego płyną dla nas wnioski? - myślałem na głos.

- Jeden, główny i najważniejszy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku odbył się w naszym mieście turniej szachowy; jego honorowym przewodniczącym i gościem był Aaron Nimzowitsch. Na liście uczestników, do której udało mi się dotrzeć, jest nazwisko... Szymona Rosenberga. Jego zdjęcie z Nimzowitschem to nie przypadek. Rosenberg był czynnym szachistą, nie wiem, czy na poziomie mistrzowskim, w każdym razie uprawniającym go do udziału w międzynarodowych turniejach. Nie zapominajmy jednak, że to nie była jego profesja; miał swoją, w której był specjalistą najwyższej miary. Czym więc były dla niego szachy? Bartku, rozumiesz już?

Trudno było nie rozumieć. Graniczyło z pewnością, że udało nam się zidentyfikować jedną z dwóch powszechnie znanych pasji Rosenberga. Szachy. Pora zaczynać partię.

Rozdział XIV

Sobota cd.

Pan Zenon miał dosyć zadowoloną miną. Przywitał się z nami - szczególnie z psem - jak ze starymi znajomymi. Eston odwdzieczył się tym samym.

Wszystko odbyło się według założonego przez nas scenariusza. Portier odkrył włamanie do pokoju dyrygenckiego w czasie ponadplanowego obchodu. Bezzwłocznie zawiadomił policję, która po przyjeździe stwierdziła kradzież obrazu oraz rzeźby i zabezpieczyła miejsce przestępstwa. Niestety, od tej chwili, opatrzony policyjną plombą pokój dyrygencki był niedostępny.

Na szczęście sala koncertowa, do której ciągnęło mnie nieprawdopodobnie, była osiągalna. Chciałem zacząć partię - czymkolwiek miała się ona okazać - ale najpierw należało się upewnić, czy istnieje jeszcze pole gry. Drewniane płyty znad estrady zniknęły w trakcie powojennego remontu. Byłem jednak przekonany, że nie tam kryła się zagadka. Znalezienie i skorzystanie z tajnego wjazdu nie mogło zabierać uciekinierom więcej niż paru chwil. Wspinanie się wielometrową ścianą na sufit nie wchodziło w grę. Zresztą jeśli zamaskowane wejście rzeczywiście miało coś wspólnego z szachownicą, to odpowiedź na pytanie, gdzie go szukać? - wydawała się jasna. Lubilem jednak eliminować zbędne elementy; prostym zabiegiem ograniczało się wówczas pole rozważań o połowę. Inna rzecz, że ta druga rozdymała się jak ciasto na pizzę.

Czy szachownica jeszcze istniała? Czy wypełnione pluszem kasetony jedynie ją przykryły, czy też najpierw zastosowano opcję zerową, zrywając wszelkie wcześniejsze elementy i dekoracje? W tym drugim przypadku, odkrycie tajnego wejścia wydawało się nieuniknione - podobna sensacja musiałaby jednak odbić się głośnym echem, a ja nigdy o niczym podobnym nie słyszałem. I w tym pokładałem swoją nadzieję.

Ale nawet jeśli zastosowano opcję zerową, to istniały jeszcze inne możliwości: wejście było doskonale ukryte lub... nie istniało.

- Panie Zenku, jak pan wie, w poniedziałek gram do was przesłuchanie - użycie tej formy nie było przypadkowe. - Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym poszedł na chwilę do sali koncertowej i oswoił się z atmosferą? - Jakkolwiek głupio to brzmiało, nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy.

Pan Zenek spojrział na mnie wymownie; wspomnienie, czym skończyła się wczorajsza wizyta w pokoju dyrygentów, było dosyć żywe. Ale popatrzył na Estona i złągodniał.

- Dobrze, niech pan idzie, zapalę światło. - Wcisnął przycisk na tablicy rozdzielczej. - Gdyby ktoś przyszedł, teraz to już wszystko możliwe, będę musiał je wyłączyć, bo nie wytłumaczę się z marnotrawstwa, a stąd można dostrzec, że sala jest oświetlona.

- Niech pan się nie martwi, pójdę i zaraz wrócę.

I już pokonywałem po dwa schody naraz, aby jak najszybciej znaleźć się na górze.

Stałem pośrodku jaskółki. Bok każdego z szachowych kwadratów miał minimum metr długości. Nietrudno było policzyć, że nad moją głową znajdują się sześćdziesiąt cztery kasetony. To był dobry znak. Liczba równająca się ilości pól szachownicy nie mogła być przypadkiem. Ale co dalej? Z lekką rozpaczą patrzyłem na będące poza zasięgiem moich rąk fragmenty sufitu. Nie miałem dużego wyboru.

Z pełną koncentracją i uwagą wspiałem się na balustradę oddzielającą pierwszy rząd jaskółki od... kilkunastometrowej przepaści. Miejsce do wykonania tych akrobacji wybrałem tuż przy ścianie, o którą na razie mogłem się dość bezpiecznie opierać. Szczęściem, sufit był nieco łukowaty, po obu stronach łagodnie opadał w jej kierunku. Stwarzało to możliwość w miarę łatwego dostępu do zewnętrznych kasetonów. Po krótkim badaniu stwierdziłem, że niestety, nie obędzie się bez małego aktu wandalizmu. Miałem nadzieję, że portier nie zechce w tym czasie sprawdzić, jak idzie mi oswojenie z salą, bo nasza obiecująco rozwijająca się znajomość musiałaby szybko i definitywnie lec w gruzach.

Z całych sił, uważając jednak, by nadmiar uwolnionej energii nie pozbaził mnie równowagi, pociągnąłem za róg ciężkiego materiału. Przy trzeciej próbie udało mi się go trochę naderwać; pomiędzy pluszem a brzegiem kasetonu pojawiła się malutka wyrwa. Teraz mogłem już mocniej uchwycić za róg i precyzyjniej pociągnąć sufitową wykładzinę. Rozległ się trzask, znany powszechnie - acz niewytłumaczalnie - jako odgłos rwanych gaci. Sam z siebie nie najpiękniejszy, ale właśnie taki chciałem w tym momencie usłyszeć. Wsunąłem rękę pod materiał i na ile się dało odchyliłem plusz.

Nie byłem pewien. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, co znajduje się pod spodem. Postukałem palcem w odsłonięty fragment sufitu. Uzyskany odgłos i tym razem sprawił mi przyjemność. Pod wypełniającą kaseton aksamitną poduchą znajdowała się drewniana płyta. Dla pewności powtórzyłem swoją dewastatorską działalność w sąsiednim kwadracie. Drewno,

które ukazało się spod spodu, było jaśniejszej barwy. To chyba rozwiewało wątpliwości. Udało mi się częściowo odsłonić dwa z sześćdziesięciu czterech pól szachownicy Rosenberga. Ale z rozpaczą pomyślałem, że właściwie powinienem zedrzeć cały materiał, wszystkie sześćdziesiąt cztery pola...

Zadanie nie tylko niewykonalne, ale absurdalne do tego stopnia, że spieszenie porzuciłem rozważanie idiotycznego wariantu.

Wyglądało na to, że ani aksamit, ani kasetony, nie były kładzione pojedynczo. Prawdopodobnie najpierw pokryto sufit materiałem, a następnie przytwierdzono doń kilka czy kilkanaście paneli, w których wielkość poszczególnych krutek odpowiadała mniej więcej rozmiarom pól szachownicy. Ale to niewiele zmieniało...

Ile czasu zajęło mi sprawdzanie kasetonów? Bałem się, że za chwilę do sali wpadnie portier i - ujrawszy moją paranoiczną działalność - uniemożliwi dalsze poszukiwania. A te mogły ciągnąć się długo. Wiedząc już tak wiele i będąc tak blisko, w rzeczywistości wyczerpałem zasób dostępnych mi działań. Należało pomyśleć i to szybko - mój Boże, a co ja przez cały czas robiłem? - lub znaleźć kolejny pretekst do wizyty za, powiedzmy, parę godzin.

To może w ogóle tu zamieszkać?! Gościnność i tolerancja pana Zenona musiały mieć swoje granice. Raz przekroczone, mogłyby położyć kres naszej znajomości i odciąć mnie skutecznie od dostępu do najważniejszych pomieszczeń, przez ostatnie dwa dni niespotykane ułatwione go.

Jedna z dwóch powszechnie znanych pasji Rosenberga...

Jego znajomi wiedzą o niej, jednak, aby poznać tajemnicę dostępu do korytarza, muszą się skontaktować z Michalewiczem. Samo użycie szyfru, czyli otwarcie przejścia, nie może trwać długo; to nie żaden skomplikowany wzór, na pewno nie odtwarzanie wielu posunięć wyjątkowo złożonej partii. Poddani presji czasu i strachu ludzie muszą wykonać prostą czynność, która pozwoli im uratować życie. Sprawdzanie po kolei sześćdziesięciu czterech pól nie wchodzi w grę. A więc co? Co jest szyfrem otwierającym upragniony właz?

Zdesperowany zadzwoniłem do Sebastiana Marsa.

- Bartek? Znalazłeś coś? Jest szachownica?! To rewelacja!!!
- Do pewnego stopnia tak. Tylko że czas mi się kończy, a nie wiem, co dalej. Panie Sebastianie, mamy szachistę, szachownicę i zagadkę szachową - posunięcie, które uruchamia mechanizm. Oprócz tego bardzo mało czasu i świadomość, że normalne klucze są niepotrzebne. Czy dysponując tymi danymi, możemy pokusić się o odgadnięcia szyfru otwierającego przejście?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Antykwariusz rozłączył się. Może miał mnie już po prostu dość. Mnie i moich ciągłych pytań, dociekań, wątpliwości... A może po prostu tak jak ja nie wiedział, co dalej.

Wizja porażki gorzkim smakiem rozlała mi się w ustach. Znowu byłem blisko. Nawet jeśli w poszukiwaniach korytarza koncertowego nie miałem konkurentów, to zaprezentowana niemoc uświadomiła mi, jak trudne będzie odnalezienie tego przejścia. Skoro, mając tyle danych, muszę stąd odejść jak niepyszny, to jak w ogóle myśleć o rozwiązaniu problemu o wyższym stopniu trudności...

Trzeba się było zbierać. Powoli, z niechęcią, zacząłem maskować uszkodzone kasetony. Jeszcze przed chwilą miałem nadzieję, że w ogólnym rozwoju wypadków te drobne zniszczenia nie będą miały większego znaczenia. Teraz okazały się moim jedynym dokonaniem.

Ociągając się, ruszyłem do drzwi. Potrzebowałem więcej czasu, po prostu więcej czasu.

Komórka zadzwiała.

„SMS. Darmowe minuty?”, przemknęło mi przez myśl.

Ale to było coś zgoła innego.

Niezawodny Sebastian Mars, w odróżnieniu ode mnie, nie tracił czasu na użalenie się nad sobą. Na wyświetlaczu telefonu przeczytałem:

„Debiut Nimzowitscha - e4 Sc6”.

Kod dostępu.

Antykwariusz musiał przeanalizować różne dane i wybrać najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Później dowiedziałem się, że Rosenberg grając czarnymi, większość swoich partii rozpoczynał debiutem Nimzowitscha, swojego przyjaciela i szachowego guru... Zapisy kilku z nich znajdowały się w odnalezionej przez Sebastiana Marsa gdzieś na strychu kronice pamiętnego turnieju szachowego z 1933 roku, którego honorowym gościem był fotewski arcymistrz.

Wstąpiły we mnie nowe siły. Marazm sprzed chwili zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Teraz miałem już wszystkie dane. Reszta była w moich rękach.

Pierwszym, co należało ustalić, było położenie szachownicy. Po namyśle doszedłem do wniosku, że bez względu na nie, pierwsze z interesujących mnie pól musi znajdować się wśród jednego z czterech najbardziej centralnych.

Wniosek był logiczny, ale zastanowiłem się ponownie. Presja czasu, pod którą się znajdowałem, musiała być niczym w stosunku do tej, którą odczuwali ludzie grający o swoje życie. Ja mogłem sprawdzić cztery pola

po kolei, oni nie. Musieli więc dysponować wskazówką umożliwiającą natychmiastowe zorientowanie szachownicy.

Prostą.

Logiczną.

Już wiem. Numery krzeseł i numery rzędów. Tak, to nie mogło zawieść. Takie wskazówki musiały bezdyskusyjnie wyeliminować ryzyko pomyłki i stratę cennych minut. Reszta była prostą konsekwencją.

Bez zdziwienia stwierdziłem, że numery krzeseł rosną od lewej do prawej. Pozostawało pytanie, gdzie znajduje się czoło szachownicy: przy tylnej ścianie czy też w okolicach balustrady? Wątpliwości zostały rozwiane szybko; rzędy oznaczone były literami w odwróconym porządku, a więc rząd A był ostatni. Można jeszcze było domniemywać, że system numeracji ulegał zmianom wraz z remontami, ale... tak naprawdę - komu i dlaczego chciałoby się to zmieniać?

W przypadku niepowodzenia pozostawały mi jeszcze trzy strzały.

Gra w statki...

Nie, nie w statki. Element przypadku nie wchodził w rachubę. Był wykluczony. To była rozgrywka precyzyjna i logiczna. Choć liczba kombinacji w szachach powiększa się z każdym kolejnym ruchem, to dobrzy gracze wiedzą, które z nich nie mają sensu. Do tej pory nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do mistrzowskich kwalifikacji szachowych Nimzowitscha i architektonicznych - Rosenberga.

Co innego było moim zmartwieniem. Jeśli tramie odczytałem ustawienie szachownicy, to drugie z interesujących mnie pól musiało wypadać nieco poza balustradą; mogło się po prostu okazać nieosiągalne...

Przypomniały mi się zdjęcia z albumu o filharmonii. Istotnie, z jakichś powodów, jaskółka została po wojnie skrócona.

Wybiegłem z sali. Pamięć podpowiadała mi, że w końcu korytarza znajdowało się coś w rodzaju komórki ze sprzętem gospodarczym, królestwo sprzątaczkii niewątpliwie. Miałem nadzieję, że niezamknięta na klucz.

Uff, co za ulga - komórka była otwarta, a oparta o ścianę drabina o mało na mnie nie upadła. Udało mi się ją przetransportować i jakoś zainstalować między fotelami.

„Jak oni to robili?”, przebiegło mi przez myśl. Może jeden podsadzał drugiego, a może używali jakiegoś narzędzia? Pewnie był jakiś sposób, nie do odtworzenia po tylu latach. Zacząłem się łapać, że istnienie tajnego włązu traktuję już jako fakt dowiedziony. Tak wielka była siła sugestii, siła pragnienia, aby skrzętnie i mozolnie wznoszona konstrukcja nie okazała się zamkiem z piasku. Za chwilę miałem wiedzieć.

Zabrałem się do zdzierania wierzchniej warstwy. W rękach czułem niezwykłą, napędzaną podnieceniem siłę. Do diabła, przecież to nieistotne, czy zerwę poduchę estetycznie. Na szczęście, wiekowy materiał stracił już swoją elastyczność. Wbicie się dłonią w stanowiący całość, ale sparciwały aksamit nie było zadaniem ponad siły. Tumany wieloletniego kurzu zaczęły drażnić mi nos. Po chwili jednak płat materiału spadł na fotele, a moja głowa wycelowwała w drewnianą płytę jasnego koloru.

Najpierw wzrokiem, potem palcami zacząłem sondować odkryte pole. Pionowe fragmenty drewna tworzące obramowanie kasetonu nie przylegały do szachownicy całkiem ściśle. Palce wyczuły szczelinę. Nie widząc gołym okiem nic specjalnego na samej płycie, zacząłem badać ją ponownie dotykem, po obwodzie.

I oto, w pewnym momencie moja dłoń coś wyczuła. Listwa łącząca ze sobą płyty przesunęła się, a palce znalazły wgłębienie na tyle akurat duże, aby mogły się tam zmieścić; wnękę obliczoną na rozmiar ludzkiej dłoni...

W środku coś było.

Zmysł dotyku przekazywał do mózgu obraz metalowej wypustki. Coś jakby dźwignia, mówiła mi wyobraźnia, niemogąca posiłkować się wzrokiem. Jeśli jest to dźwignia, należy ją...

Przez chwilę nic się nie działo, lecz zwiększony nacisk uruchomił stary, dawno nieużywany mechanizm; kawałek metalu dał się przesunąć, wytwarzając dźwięk wewnątrz płyty.

Zadanie e4 zostało wykonane.

Schodząc z drabiny, poczułem, że łydki mi dygoczą; oto krok po kroku zbliżałem się do otwarcia pierwszych wrót tajemnicy. Należało tylko dostać się do pola c6.

Niestety, potwierdziły się moje najgorsze obawy; przy próbie dotarcia doń, drabina miała okazać się bezużyteczna. Odniosłem ją na miejsce, nie chcąc zostawiać za sobą zbyt wielu śladów i bałaganu.

Drugi ruch w debiucie Nimzowitscha należał do skoczka. W sytuacji pierwotnej nie miało to pozaszachowego znaczenia, teraz jednak urastało do rangi symbolu. Skrócona z niewiadomych - konstrukcyjnych? akustycznych? - ale nieistotnych w tym momencie powodów jaskółka, czyniła pole c6 osiągalnym jedynie dla... skoczka.

Wzwyż, w dal lub o tycze.

Nie byłem żadnym z nich. Po raz pierwszy tego wieczoru zacząłem żałować, że nie uprawiam jakiejś dyscypliny sportu. Dzięki graniu na altówce moje palce były wystarczająco elastyczne i zwinne, aby poradzić sobie w zakamarkach kasetonów, ale w tej sytuacji to było za mało. Pożądane pole

znajdowało się nieco poza pionem - oplatała mnie terminologia szachowa - wyznaczonym przez balustradę. Odchylenie szło, niestety, w kierunku sali... Dźwięk komórki powstrzymał nadciągającą chmurę rozpaczy.

- Bartek? To ja, Wanda. Wiesz, jakbyś chciał się ze mną spotkać, to możemy dzisiaj. - Jej głos był dziwny, drewniany jakby, zrezygowany. - Jest sobota wieczór, to taka naturalna pora, żeby gdzieś wyjść, pogadać...

Stłumiłem odruchowo cisnące się na język pytanie o Jędrusia. Znowu mogłem wszystko popsuć.

- Wanda, naprawdę miło mi, że dzwonisz, ale nie mogę. Jestem w filharmonii i...

Uświadomienie sobie, że nie powinienem tego mówić, zbiegło się w czasie z sygnałem urwanej rozmowy. Moi rozmówcy prezentowali dzisiaj dziwną manierę kończenia telefonicznych pogawędek... No cóż, chyba znowu coś poszło nie tak, ale naprawdę nic nie mogłem na to poradzić. Zwłaszcza że głowę zaprzętała mi jedna myśl: jak się dostać do pola c6?

Nie poddawałem się. Nie mogłem się teraz poddać, bo to oznaczałoby zaprzepaszczenie wszystkich dotychczasowych wysiłków. Kiedy otrzymałbym kolejną szansę swobodnego buszowania po sali koncertowej? Jeśli w ogóle kiedykolwiek...

Pamięć raz jeszcze odtworzyła zestaw nieco archaicznych sprzętów, stanowiących oprócz drabiny wyposażenie postpeerelowskiej kanciapy. Czy to tylko życzenie wyobraźni, czy też w istocie widziałem wiszący na ścianie, obok gaśnicy, bosak, pomalowany na piękny, czerwony (przeciwpożarowy metalik) kolor?

Był tam!

Uzbrojony niczym średniowieczny halabardnik przystąpiłem do szturm na pole c6. Zakończoną ostrym grotem końcówką musiałem podziurawić materiał; jej zakrzywiona część pozwoliła mi w końcu wczepić się weń na tyle mocno, że jednym, silnym pociągnięciem zerwałem płat w całości.

Pole c6 odsłoniło swoje jasne oblicze. Znajdowałem się o krok dalej. Ale następnego nie mogłem już wykonać, nawet z pomocą drabiny, bosaka, piki, halabardy czy jakiegokolwiek innego sprzętu, chyba że byłby to ekwipunek wspinaczkowy, takiego jednak jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności akurat nie miałem pod ręką.

Zakładałem, że jestem już tylko - dosłownie - o szczelinę od celu. Żeby marzyć o jego osiągnięciu, musiałbym stanąć na wąskiej, błyszczącej i pachnącej - chyba pastą konserwującą - balustradzie z czerwonego, pewnie owocowego drewna. Potem wspiąć się na palce, jedyne oparcie dla rąk znajdując w suficie - jeśli zdołam go osiągnąć. A jeśli nie? Wtedy

miałbym pięćdziesiąt procent szans, że spadnę na stronę jaskółki i trochę się potłukę, lub...

No właśnie; to drugie pięćdziesiąt procent, spektakularny (choć bez udziału widzów) lot, dobre kilka, a może kilkanaście metrów w dół, zakończony lądowaniem na twardych, bo puffy to nie były, fotelach parteru, mógł mi zapewnić przejście do historii filharmonii, ale na pewno nie w charakterze altowiolisty.

Cena ryzyka wydawała się duża, chociaż... nie, nieprawda; wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Wierzyłem we własne siły i w to, że nie spadnę z chybliwej kładki, którą posuwałem się od kilku dni w kierunku coraz wyraźniejszego celu.

Moja przedłużająca się nieobecność powinna była w końcu wzbudzić zainteresowanie portiera i chęć sprawdzenia, gdzie jestem i co robię. Mogłem spróbować wciągnąć go w grę, ale gdyby odmówił? Gdyby przegonił mnie za spustoszenia, jakich dopuściłem się na kasetonowym suficie, a może nawet ujawnił policji moją wczorajszą obecność w gmachu, w czasie włamania?

Miałem już tylko chwilę, żeby podjąć ryzyko i ostatecznie przekonać się, czy włąz w rzeczywistości istnieje. Jeżeli tak, pozostawało niewiele więcej czasu, aby tam wejść i... wrócić, jeśli miałem zamiar spędzić noc w swoim łóżku. Ostrożnie wstąpiłem na balustradę.

Dobrze, że to nie działo, pocieszałem się, i że chociaż armaty nie grzmią; ot, wieszcz nawet z zaświatów potrafi dodać otuchy.

Niczym linoskoczek powoli przechodzić do pionu, balansując delikatnie rękami, rozpostartymi szeroko, jak do lotu... Nie patrzeć w dół! - powtarzałem w duchu mantrę, wbijając wzrok w przeciwną ścianę, a potem sufit. W końcu wyprostowałem się całkiem, próbując ustabilizować pozycję. Niestety, nie dosięgałem stropu. Przyszła pora na coś innego, figurę para-baletową. Tym razem żałowałem, że nie jestem baletmistrem. Balansowanie na krawędzi przychodziłoby mi wówczas z większą łatwością. Imprezy, zwane baletami, nie stanowiły wystarczającej bazy, bym mógł się czuć pewnie i bezpiecznie. Ale żarty naprawdę się skończyły. Teraz już każdy fałszywy ruch mógł mnie kosztować... bardzo drogo.

Któraś z czterech stron kwadratu powinna zawierać - podobną jak w polu e4 - szczelinę, a w niej dźwignię. Jeśli to bok od strony sali - moje szanse były ujemne. W przypadku obu bocznych krawędzi - zerowe. Ostatnia ze ścian czworoboku, ta od strony jaskółki, stwarzała możliwości czysto hipotetyczne, w kategorii *Mission Impossible*, i to wszystkich jej części naraz, ale tej jednej gotów byłem mimo wszystko spróbować.

Stanie na palcach dłużej niż chwilę powoduje rozchwianie równowagi. Na szczęście bez jej utraty udało mi się dotknąć sufitu na wysokości jedyne go z osiągalnych boków kwadratu, z twarzą skierowaną w otchłań...

I gdy moje palce, powoli, centymetr po centymetrze zaczęły badać nieznane, stała się jedna, nie licząc trzęsienia ziemi, z dwóch rzeczy, które właśnie teraz nie powinny się były zdarzyć. Na szczęście nie był to też krzyk portiera, który ujrzał mnie balansującego na poręczy. Byłby to na pewno ostatni odgłos usłyszany za mojej ziemskiej egzystencji. Nie, to nie było to; prozaicznie i całkiem po prostu zgasło światło. Nawet nie pomyślałem wówczas, dlaczego tak się stało.

Bo w tamtej chwili, już całkiem bez przerośnięci, poczułem się zawieszony między dwoma światami. To chyba wtedy właśnie zacząłem siwieć. Ale w ułamek sekundy po zapadnięciu ciemności palce wyczuły chropowate wgłębienie w boku płyty, w które wczepiły się z siłą dotąd mi nieznaną. Poczułem, jak drewno odwzajemnia czuły uścisk, wbijając się w skórę dziesiątkami drzazg. Ciało wiło się przez chwilę w upiornym, prawie niezauważalnym tańcu brzucha. Po chwili zamarło. Tak jak moje serce.

Po paru sekundach - a może minutach? - palce pierwsze otrząsnęły się z letargu. W tej samej chwili delikatnie zapulsowały i zapaliły się lampki wyznaczające drogi ewakuacyjne. To nie było wiele, ale w porównaniu z ciemnością, jakiej przed chwilą zaznałem, zdawało się, że salę zalała feeria światła. Zmysł dotyku znowu zaczął przekazywać impulsy do mózgu. Wśród nich był ten oczekiwany, kojarzący się - tak jak i poprzednio - z niewielką przekładnią, która po przesunięciu otwiera maskę samochodu. Mechanizm tym razem nie stawiał oporu. W suficie rozległo się kliknięcie, po czym pole c6 zaczęło powoli opuszczać się z okropnym skrzypieniem, na szczęście w kierunku jaskółki. Właz, który się ukazał, miał nieco mniejszą średnicę niż samo pole; dzięki temu nie zablokowały go drewniane elementy kasetonu. Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale później, gdy nie raz wracałem myślą do minionych zdarzeń, zawsze uderzało mnie, że cały wysiłek - intelektualny i fizyczny - mógł się rozbić o coś tak prozaicznego jak kawałek drewna, który unieruchomił mechanizm. Dobrze, gdy przypadek jest po naszej stronie.

Naprężone do ostateczności ciało nareszcie znalazło pewniejszy punkt oparcia. W środku otwierającego się włazu dostrzegłem kilka metalowych szczebli, najwyraźniej rodzaj samowysuwających się schodków. Niestety, dawno nieużywane, musiały się zapiec: obiecujący wysunięcie całej drabinki odgłos w pewnej chwili ustał i już żadna nie wyszła mi naprzeciw mimo delikatnych prób pomocy.

Palcami obu dłoni udało mi się mocno opleść najwyższy z osiągalnych szczebelków. Ryzykując, że metalowe części, którym powierzam swój ciężar, mogą oderwać drewniane, być może spróchniałe elementy konstrukcji, zacząłem się podciągać. I znowu, jak huragan przeleciało mi przez głowę, że warto uprawiać sport, a przynajmniej trenować mięśnie.

Na pewno warto, tyle że ja nie trenowałem.

Nie uprawiałem sportu, balet klasyczny nigdy nie był moją pasją, nie chodziłem też na siłownię. Ale nadzwyczajna sytuacja znowu dodała mi sił. Po chwili zapierałem się łokciami o podłogę strychu, w jednym z wierzchołków kwadratu; podciągnięcie reszty ciała było już drobiazgiem.

Leżałem, oddychając ciężko i próbując zebrać siły do kolejnych działań. Żyłem.

Byłem wewnątrz.

Otworzyłem wrota czasu, przez kilkadziesiąt lat zamknięte nad głowami niczego nieprzeczuwających, pochłoniętych muzyką ludzi. Ale nie miałem czasu, aby cieszyć się odkryciem. Pierwsza fala adrenaliny opadała. Istniała groźba, że pozbawiony jej, stracę zdolność do dalszych działań. Gdy jednak uświadomiłem sobie, że wszystko, co osiągnąłem do tej pory - jakkolwiek niełatwe i dramatyczne - było tylko uwerturą, ogarnął mnie kolejny przypływ emocji. Akt pierwszy dopiero się zaczynał.

Należało czym prędzej zamknąć wąż; krótkotrwałe, ale solidne hałasy towarzyszące moim akrobatycznym wyczynom mogły być słyszalne nawet na parterze - zwłaszcza w panującej tu o tej porze absolutnej ciszy. Po krótkim rekonesansie w korytarzu koncertowym zamierzałem wracać. Chciałem jako tako zamaskować efekty moich działań i w zgodzie z portierem, a ku uciesze Estona - zupełnie oficjalnie wyjść z budynku. Ale był warunek: ani pan Zenon, ani nikt inny - a nie wiedziałem, czy nagle zgaszone światła nie oznaczały przypadkiem nieoczekiwanych gości - nie mógł zauważyć dziury w suficie nad jaskółką.

Podciągnąłem klapę do pozycji wyjściowej.

Ach, dlaczego myśl jest czasami o pół metra za działaniem. Rozległ się trzask, jakby mechanizm zapadkowy wrócił na swoje miejsce. I w mojej głowie coś kliknęło.

„Należało jednak uważać; mechanizm w sali koncertowej działał tylko w jedną stronę. Gościnnie otwarty, po zamknięciu zatrząskiwiał się na dobre; otworzenie go od wewnątrz było po prostu niemożliwe...”

Czy naprawdę nie mogło mi to przyjść do głowy kilka sekund wcześniej?

Klęknąłem na podłodze. Jeszcze nie po to, żeby się modlić. W promieniu metra obmacałem podłogę wokół siebie. Była gładka.

Korytarz koncertowy prowadził w jednym kierunku. Być może twórcy mechanizmu wiedzieli, jak otworzyć go od wewnątrz. I tylko oni, gdyż dla pozostałych było to przejście na drugą stronę życia. W takich wędrówkach kierunek jest jeden. Ale nawet jeśli Rosenberg i Michalewicz posiadali taką wiedzę, i tak nie miało to teraz znaczenia. Nie było ich ze mną. Zaś informacja, którą zostawili, brzmiała jednoznacznie.

Wokół mnie było ciemno, nie, przepraszam - czarno. Czerń absolutna, doskonała, przeżycie samo w sobie interesujące, lecz nie w każdym miejscu i o każdym czasie.

Droga wyjścia była więc jedna. Musiałem przemierzyć szlak strachu i nadziei, którym od prawie siedemdziesięciu lat nikt nie podążał. Dlaczego nie przyszło mi do głowy zaopatrzyć się w latarkę? Wiedziałem dlaczego. Podświadomie unikałem wszystkich czynności, które uznawały istnienie korytarzy za niezbitą fakt. Bałem się śmieszności. A może bałem się zapeścić? Gdyby jednak każda myśl i każdy pomysł powstawały we właściwym czasie, w życiu nie popełniałoby się błędów. Gdyby myśl wyprzedzała nas o parę metrów przed rzeczywistością...

Zacząłem żałować, że oprócz latarki nie mam przy sobie pióra i notatnika; mógłbym spisać parę sentencji. One też przychodzą do głowy w najmniej oczekiwanych momentach.

W tej doskonałej czerni podjąłem próbę spenetrowania mojego bezpośredniego otoczenia. Chwilową ulgę przyniosła mi myśl o komórce, wiernie spoczywającej w kieszeni. Była nie tylko nitką łączności ze światem - chyba że moja podróż odbywała się również w czasie - ale też, jakim takim źródłem światła. Tak sądziłem. Ale nie, nie ma tak dobrze. Prawo Murphy'ego, czy jak ono się tam nazywa, znów zadziało bezbłędnie. W momencie gdy próbowałem choć minimalnie oświetlić przestrzeń wokół siebie, bateria... nie muszę kończyć...

Ostrożnie wstałem. I dobrze, że ostrożnie, gdyż w przeciwnym razie pułap sklepienia rzuciłby mnie ponownie na ziemię. Obróciłem się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Trudno stracić coś, czego się nie miało; w tym przypadku mowa o poczuciu kierunku. Ale posuwać się mogłem tylko w jedną stronę. Na szczęście, bo musiała to być droga właściwa.

Przez ostatnie kwadransy to zmysł dotyku był moim przewodnikiem. Teraz umocnił się jeszcze w swojej roli. Wołałem, by to ręce, a nie nogi przekazywały mi informacje o ewentualnych przeszkodach. I dlatego wybrałem technikę na czworaka.

Przebyta korytarzem droga nie zasługuje na dłuższy opis. Było cały czas tak samo: wymacywanie i sprawdzanie najbliższych centymetrów, aby

móc się posunąć kawałeczek do przodu. I znowu to samo, i jeszcze raz. Kilkukrotnie moje ręce natrafiły na jakieś przedmioty. Za pierwszym razem o mało nie zakończyło się zawałem serca. Byłem pewien, że złapałem za nogę nieboszczyka. Na szczęście - dla niego i dla mnie - to był tylko but. Zabrałem go ze sobą. Potem dłonie namacały kształt małego człowieczka. Zbyt małego, aby mógł być prawdziwy. Wzruszenie ogarnęło mnie, gdy uświadomiłem sobie, że to chyba... lalka. Musiało tędy wędrować dziecko, pewnie dziewczynka! Rzeczywiście, Michalewicz i o tym wspominał...

W strachu i ciemnościach utraciła najlepszą przyjaciółkę. Miałem nadzieję, że ocalała życie.

Lalka powędrowała do drugiej kieszeni. W ciemnościach nie miałem szans, aby dojrzeć, czy coś jeszcze znajduje się w tunelu. Dziwne przedmioty, na które jeszcze kilkakrotnie trafiały moje ręce, mogły być równie dobrze kawałkami cegieł, zeschniętej zaprawy, jak i czymś zupełnie innym. Ale byłem niemal pewien, że tunel wkrótce stanie się obiektem badań historyków. Lalkę i but postanowiłem zatrzymać, ot choćby po to, aby przekonać niedowiarków i samemu sobie udowodniać czasem, że moje przeżycia nie były wyłącznie snem.

Choć nie było to łatwe, starałem się nie tracić poczucia rzeczywistości; czas przestał jednak istnieć. Jego upływ - niekiedy na szczęście, niekiedy wręcz przeciwnie - jest pojęciem względnym, cokolwiek mówiłyby o tym zegary. Nie wiedziałem, czy moje pełzanie trwało sekundy, minuty czy kwadransy.

W pewnej chwili palce wyczuły zmianę podłoża, by po chwili stwierdzić również zmianę kierunku tunelu i - przede wszystkim - jego poziomu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa dotarłem do opisywanych przez Michalewicza spiralnych, metalowych schodów.

Tuż przed wstaniem natrafiłem na jeszcze jedno znalezisko. Była to jakby cienka książka lub zeszyt. Ją również postanowiłem ze sobą zabrać.

W końcu z ulgą stanąłem na dwóch nogach. Z nie mniejszą - stwierdziłem obecność poręczy. Wędrówka w dół zapowiadała się łatwiej. Po jakimś czasie - nie liczyłem, ile razy obróciłem się wokół metalowego słupa - dotarłem do końca schodów. Pozostawało mieć nadzieję, że wyjście z tunelu, gdziekolwiek miałyby się ono znajdować, przetrwało niezmiennione, niezburzone, niezamurowane, niezabudowane aż do naszych czasów.

Kolejne kwadransy? godziny? mojej podziemnej tułaczki kazały zblednąć najbardziej nawet wymyślnym sennym koszmarom. I nie chodziło tu o błoto niewiadomego pochodzenia, w którym buty wkrótce doszczętnie przemokły, deptanie po ogonach szczurom, uderzanie co chwila o niewidoczne przeszkody, wpadanie w dziury, zrywanie twarzą wiekowych

pajęczyn czy znoszenie pisków niepokojonych nietoperzy i szelestu niezadowolonych pajaków. Nie, nie to było najgorsze.

Najgorsze były beznadzieja, zagubienie i powoli rysująca się wizja niemożności wyjścia z - przejmującego mnie coraz większą trwogą - labiryntu korytarzy. Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym, że pod powierzchnią miasta znajduje się tak rozbudowana sieć tuneli. Wskazówki Michalewicza musiały dotyczyć nie tylko znalezienia wejścia, ale i wyjścia z labiryntu. Ja ich nie posiadałem. Więc błąkałem się dalej jak ślepiec. Tyle że i zmysł dotyku przestał mi już służyć. Dłonie, poranione wcześniej drzazgami, a potem ciągłym dotykaniem ostrych, szorstkich, zimnych i nieprzyjaznych powierzchni, oprócz bólu nie przekazywały już do mózgu właściwie nic.

Jeśli jednak istnieje prawo Murphy'ego oraz syndrom Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”, to musi też być jakiś Anty-Murphy i Anty-Dante: „Odzyskajcie nadzieję wy, którzy ją utraciliście”.

Bo oto w pewnej chwili natknąłem się na górę kamieni. Fakt sam w sobie mało jeszcze optymistyczny. Ale pod naporem bezwładnego ze zmęczenia ciała góra zaczęła się poruszać. Niesiony falą przemieszczających się głazów, uświadomiłem sobie, że to, co wdycham, jest węglowym pyłem.

Po chwili wszystko ustało. Otworzyłem oczy. Ciemność absolutna skończyła się. Mimo zmęczenia i zapylenia oczy wyłowiły pasemka światła na podłodze. Nie były duże ani wyraźne, ale po wielogodzinnym pobycie w zupełnych ciemnościach miały siłę drogowskazu.

Znajdowałem się w piwnicy. Przez nieszczęśliwości zbitych z desek drzwi przebijało światło. Tam się musiałem dostać.

Przez zmęczoną głowę jak wichher przeleciał obraz z przeszłości. Już przeżywałem taką sytuację. Déjà vu? Bynajmniej. Gra komputerowa. Jak wówczas udało mi się wydostać? Trzeba było znaleźć łom i wyważyć drzwi. Modliłem się, aby real nie okazał się uboższy od wirtualu.

Ale łom był. Łom, łomisko, kochane łomiszcze, ukochany kawał metalu. Nie bawiłem się w subtelności. Kłódka wystrzeliła jak z katapulty, drzwi otworzyły się z impetem.

Podjąłem wędrówkę powrotną do świata. Jeszcze parę poziomych korytarzy, kilka razy schody. Pachniało coraz ładniej. Nareszcie jakieś drzwi wiodące już chyba na ulicę. Tak, z czeluści ponownie wyłoniłem się na świat!

Znany świat!

To było podwórze piekarni Pod Nietoperzem. Mój Boże, więc ta nazwa nie była wzięta z księżycy, tyle że właściwie powinna brzmieć: Nad Nietoperzem.

Więc już wiedziałem, gdzie uciekinierzy uzyskiwali nową tożsamość. Czy wówczas też była tu piekarnia?

Wybiegłem na ulicę. Ile czasu mogła mi zająć wędrówka przez tunel i podziemia? Spojrzałem na jeden ze staromiejskich zegarów. Nie, to nie mogła być prawda. Od sforsowania tajemnego wjazdu do chwili obecnej upłynęło tylko półtorej godziny! Ludzie przyglądali mi się ze zdziwieniem. Musiałem dziwnie wyglądać. Może powinienem najpierw pójść do domu i uporządkować trochę swój wygląd? Ale co się działo w filharmonii? Czy portier domyślił się po śladach, gdzie zniknąłem, bo że zniknąłem, musiał zauważyć. Co z Estonem? I dlaczego pan Zenek wyłączył światło w sali koncertowej? Nie było czasu na dom. Popędziłem w kierunku filharmonii.

A na schodkach wiodących do centralnych drzwi rozgrywała się taka oto scenka:

Grupa czterech kapturowców przechadzała się koło głównego wejścia. Przez szybę zobaczyłem Estona, który siedząc z nastroszonymi uszami, przyglądał im się czujnie. Portiera nie widziałem, być może poszukiwał mnie po całym gmachu, zostawiwszy psa na straży. Poznałem tę czwórkę. Powinienem być od razu zadzwonić na policję. Niestety, przy okazji musiałbym wyjaśnić zbyt wiele niewygodnych faktów. Pomijając już moją nieszczęsną, odbiorczą, wyładowaną komórkę... Nie, nie tędy wiodła dzisiejsza droga.

Nie próbowałem nawet przekonać siebie, że Ryży i jego chłopaczkowie pojawili się na scenie przypadkiem. Fatalne podejrzenia powoli zamieniały się w pewność.

To mnie szukali. Szukali mnie raz jeszcze. Polowali na mnie i wiedzieli, gdzie jestem. A ich obecność w tym miejscu i czasie dawała się wytłumaczyć tylko w jeden sposób...

Tyle tylko że... mnie tam nie było.

Zaszedłem ich od tyłu. Miałem przewagę. Należało to wykorzystać.

Wyglądałem dziwnie, może nie do poznania. Byłem uczerniony pyłem węglowym. Nie miałem przy sobie psa ani altówki. I wedle ich przypuszczeń byłem zlokalizowaną i osaczoną zwierzyną. Powinienem być wewnątrz budynku.

I ja miałem przy bluzie kaptur. Naciągnąłem go na głowę. Podbiegłem do jednego z zakapturzonych.

- Powiedz Ryżemu, że psy po was jadą, spadajcie i to szybko! - wyrzuciłem dramatycznym quasi-szeptem.

Zanim koleś zdołał mi się przyjrzeć, już mnie tam nie było. Schowałem się w podcieniach po drugiej stronie placu. Z daleka widziałem, jak łysol,

dość żywo gestykulując, przekazuje coś swojemu szefowi. A ten najwyraźniej się wahał. Ale chyba nie zamierzał ryzykować. Powiedział coś, po czym grupa rozeszła się w dwóch przeciwnych kierunkach. Niewykluczone, że bezwiednie chcieli powtórzyć mój manewr i zajmą pozycje do obserwacji, ale nie mogłem czekać. Musiałem jak najszybciej dostać się do filharmonii.

Arkadami przemknąłem do usytuowanego z boku budynku wejścia dla artystów, lu gdzieś powinien być dzwonek... o, jest, w porządku. Nawet jeśli ryżowcy obserwowali plac przed gmachem i główne wejście, miałem szanse pozostać niezauważony.

To chyba zachowanie Estona, który entuzjastycznie szczerkając, pierwszy pojawił się po drugiej stronie drzwi, skłoniło portiera do ich otwarcia. Mimo dzielącej nas bariery pies poznał mnie, a kiedy znalazłem się w środku - wykonał taniec radości, siadł, mlasnął z ukontentowaniem, zmrużył z rozkoszą oczy i czekał. Portier z początku mnie nie poznawał, ale gdy zdjąłem kaptur, nie mógł powstrzymać zdumienia.

- Panie Bartku, kiedy pan wyszedł? - mówił, rozkładając ręce w geście ni to zdziwienia, ni to ulgi. - Ja pana wszędzie szukam, a pan tu... Ale jak pan wygląda? Co się panu stało? Myślałem, że odkrył pan coś na górze - zamarłem - koło pokojów solistów! Przecież dziś mogli włamać się do następnego! A teraz myślałem, że to znowu ci, nie wiedziałem, czy dzwonić na policję - mówił trochę nieskładnie, ale bez trudu zgadywałem, o co mu chodzi.

Słowa „wszędzie” i „góra” nie mogły odnosić się do jaskółki, w przeciwnym razie portier rozmawiałby ze mną inaczej. Z jego wyjaśnień wynikało, że bał się na dłużej odchodzić od głównego wejścia, gdyż zakapturzeni robili wrażenie gotowych do wybicia szyby.

- Panie Zenonie, czy zostało jeszcze coś w tej wczorajszej butelce? Niech pan zamknie dokładnie drzwi, a potem pójdziemy, wypijemy po łyku i wszystko panu opowiem...

Ale nie opowiedziałem wszystkiego. Jeszcze nie. Wiedziałem, że taki moment przyjdzie i wówczas podzielę się z pocziwym portierem całą prawdą i przeproszę go za wszystkie kłamstwa i przemilczenia. Ale teraz nie mogłem. Nie mogłem odebrać mu spokoju sumienia i zrobić zeń świadomego uczestnika zdarzeń o trudnym do zdefiniowania charakterze. Wiedziałem, że fabuła, którą mu zaszerwuję, będzie aż blada od słabości, ale na więcej nie było mnie w tym momencie stać.

Opowiedziałem więc o telefonie, który jakiś czas temu wywabił mnie z gmachu. O tym, jak udało mi się niepostrzeżenie wyjść - pewnie wtedy, gdy on mnie już szukał - i zobaczyć, kto i dlaczego chce się ze mną spotkać

na placu. Kiedy spostrzegłem, że to ci sami, którzy w czwartek próbowali mnie pobić i zniszczyli mój instrument - w tym punkcie fakty się zgadzały - chciałem wezwać policję, ale wtedy mnie spostrzegli i zaczęli gonić. Udało mi się ich zgubić, lecz w trakcie ucieczki poślizgnąłem się i - rozpędzony - wpadłem w kupę węgla, której ktoś nie zdążył przed zmierzchem wrzucić do piwnicy.

Z kolei pan Zenon uraczył mnie swoją opowieścią, a w jej rzetelność nie miałem podstaw wątpić. Czas jakiś po moim pójściu na górę ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Obawiając się niezapowiedzianej wizyty kogoś z dyrekcji, portier czym prędzej zgasił światło w sali koncertowej. Ze zdziwieniem zobaczył jednak, że przed wejściem stoi grupka zakapturzonych koleśków. Nalegali, żeby ich wpuścić, bo mają mu coś bardzo ważnego do powiedzenia, proponowali wspólną konsumpcję browca, ale nie wzbudzili ani sympatii, ani zaufania portiera. Odeszli, ale po jakimś czasie wrócili i ponownie zaczęli się dobijać. Gdy pan Zenon dobitnie określił miejsce, w które ewentualnie mogą pójść, stwierdzili, że - cytując: „I tak gnoja dopadniemy, a przy okazji i ty wpierdol dostaniesz...”.

Choćby po tej wyszukanej stylistyce poznałbym Ryżego i jego chłopaków. Niewyjęci. Jedyni. Lubilem ich coraz bardziej. Już prawie z całych sił.

Jeszcze o tym nie mieli pojęcia, jeszcze im się to nie śniło, ale wiedziałem, że już są moi. Tak mi się przynajmniej zdawało...

- Panie Zenku, muszę jeszcze na chwilę do sali, bo chyba zostawiłem tam telefon. Zrobi pan na moment światło?

Zrezygowany portier pokręcił głową w geście dezaprobaty, ale przekręcił włącznik, a ja nie czekając, aż mnie znienawidzi, pobiegłem na górę. Nie, nie pobiegłem. Powlokłem się. Gdyby nie fakt, że stock mnie trochę znieczulał, nie byłbym w stanie przejść już chyba ani metra. Wchodząc ponownie na jaskółkę, poczułem się, jakbym wpadał w pętlę czasu. Oprócz naruszonych fragmentów materiału nic nie wskazywało jednak na mrożące w (moich) żyłach krew sceny, które rozegrały się tu niecałe dwie godziny temu. Z pomocą bosaka udało mi się powpychać aksamitny materiał między płyty a kasetony. Wynik był zadowolający. Tylko wnikliwa analiza sufitu pozwoliłaby odkryć moje działania. Miałem wszakże nadzieję, że jeszcze przez krótki czas pozostaną niezauważone. Odniosłem na miejsce sprzęt przeciwpożarowy, wróciłem na dół, pożegnałem się z portierem, zapewniając, że nikt go już dzisiaj nie będzie niepokoił. Zresztą wkrótce miał go zastąpić zmiennik.

Nie wiem, jak i kiedy dotarliśmy do domu. Pamiętam tylko, że ocknąłem się pod prysznicem. Musiałem tak stać dłuższą już chwilę, ale czułem,

jak strumień ciepłej wody ozdrowieńczo masuje i ogrzewa moje ciało. Nakarmiłem psa. Zjadłem zamówioną w pobliskiej restauracji i dostarczoną pod drzwi pizzę.

Wydarzenia mijającego dnia były jeszcze zbyt świeże. Nie miałem do nich dystansu, a przecież wiedziałem, że gdyby nie fizyczne wyczerpanie, emocje rozerwałby mnie na strzępy.

Dwa generalne wnioski zdominowały na razie pozostałe, których też nie brakowało. Po pierwsze, na razie, słowa Michalewicza potwierdziły się co do joty. I to zdawało się przesądzać istnienie korytarza dyrygenckiego. Po drugie, niezrozumiały dla mnie, ale niezaprzeczalny związek Wandy z Ryzym i jego bandą wydawał się nie budzić już wątpliwości. Zastanawiałem się, czy powinienem z nią porozmawiać, zanim opowiem o swoich przypuszczeniach policji. Ale już na pewno nie dzisiaj. Nie miałem siły na żadne telefony ani rozmowy.

Delikatnie położyłem swoje łupy czy też znaleziska na stoliku. Tym samym, na którym niespełna tydzień temu, po raz pierwszy spoczęła batuta Rucacellego.

But. Porządny, skórzany, męski, brązowy, rozmiar zbliżony do mojego, pewnie 43. Jaką drogę przebył drugi od pary? Czy zdołał stanąć na szczęśliwym lądzie, czy może wraz z milionami innych stanowi do dziś element upiornej ekspozycji w którymś z najsmutniejszych na świecie muzeów?

Lalka. Lalka o smutnym spojrzeniu. Czy w tamtych czasach produkowano uśmiechnięte lalki? Czy nawet z ich twarzączek zniknął uśmiech, zmyty dziecięcymi łzami? Dlaczego zdradziła swoją najdroższą przyjaciółkę? Przecież mogła być jej przytulanką w trudnych chwilach, mogła ją ocalić. A może właśnie ocaliła? Po latach. Ocaliła mit małej dziewczynki, która z niezrozumiałych powodów musi uciekać ze swojego życia przez dziurę w suficie. Oby do nieba. Lecz jeszcze przedtem do świata, w którym lalkom wolno się uśmiechać.

Odłożyłem zabawkę.

W pokiereszowane dłonie delikatnie ująłem ostatnie znalezisko.

Cienką, prawie rozsypującą się w dłoniach książeczkę. Okładka, zniszczona upływem czasu i ciągle potwornie zakurzona, była w zasadzie nieczytelna. Z największą ostrożnością wycierałem ją serwetką. Zaraz, zaraz...

...Städtische... tu coś niewyraźnie... Orchester... Krakovitz... Konzert... 3 Dezember 1939...

Musiałem przetrzeć oczy ze zdumienia. Byłem pewien, że limit przeżyć i wzruszeń na dzisiaj już się wypełnił. Lecz teraz, mimo wyczerpania, będącego wynikiem akrobatycznych i grotolaskich dokonań, a także

otępienia natłokiem i intensywnością wydarzeń, teraz poczułem, że chyba się rozkleję.

Otworzyłem książeczkę, a właściwie program.

Bo to był program.

Program koncertu, który trzeciego grudnia 1939 roku odbył się w sali koncertowej filharmonii.

Koncertu, którego jedynym wykonawcą był Kwartet Gudelsteina!

W programie wieczoru znalazły się trzy arcydzieła Ludwiga van Beethovena. Dwa do przerwy: *Kwartet F-dur op. 18nr1*, oraz *Kwartet F-dur op. 59 nr 1* zwany *Razumowskim*. Po przerwie już tylko jeden, choć słowo tylko wydaje się tu nie na miejscu. Ostatnie dzieło Wielkiego Mistrza, *Kwartet smyczkowy F-dur op. 135*.

Ze swoim zagadkowym finałem, zamykającym życie i twórczość kompozytora, a obdarzonym inskrypcją: pytaniem i odpowiedzią zarazem: *Muss es sein? Es muss sein!*.

Rozdział XV

Niedziela

Tym razem mnie mieli.

Wiedziałem, że limit szczęścia kiedyś się wyczerpie. Od kilku dni igrałem z dwiema bezwzględnyimi grupami przestępców. Sprawy musiały ułożyć się nie po ich myśli, bo nie odpuszczali, czaili się w cieniu i nigdy nie wiedziałem, którzy i kiedy zaatakują. Teraz postąpili wedle zasad najszustniejszej strategii: połączyli siły. Najpierw postanowili wyeliminować mnie. Rola, którą odgrywałem w ich scenariuszu, najwyraźniej dobiegła końca. Czy ich sojusz miał trwać również potem - nie wiedziałem. Lecz wiedza ta nie miała mi już być do niczego przydatna.

Labirynt wydawał się dziś mniej ciemny, ale fakt ten w jednakowym stopniu pomagał, im, jak i mnie. Owszem, byłem tu już przedtem, ale również to nie stanowiło mojej przewagi. Oczy nie pamiętały nic, a obolałe dłonie nie nadawały się tym razem na przewodników po szorstkich ścianach. A oni pojawiali się i znikali, raz w grupie, potem pojedynczo, nękali mnie jak sfora zjadłych foksterierów...

Zrozumiałem ich taktykę, ale niewiele mogłem zrobić. Przebicie na zewnątrz powoli zacieśniającego się koła było niemożliwe.

Znalazłem się w korytarzu, u którego wylotów pojawiły się obie ścigające mnie grupy.

Szach i mat.

Zbliżali się nieuchronnie, ale powoli i ostrożnie, zakładając, że w furii wywołanej osaczeniem mogą zaatakować. Coraz wyraźniej widziałem ich stroje. Maskowania się skończyły, w finale każdy chciał wystąpić z otwartą przyłbicą. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom!

Z jednej strony nadciągały esesmańskie mundury, z drugiej zbliżały się białe tuniki. W dłoniach ubranych w nie bojowników zabłyśły noże, nie, zakrzywione miecze raczej, zwane sejmitarami, jak podpowiadała zalękniona pamięć. Chociaż... nie, to nie byli żadni bojownicy. Teraz wyraźnie widziałem, że białe szaty i złowieszcze, szpiczaste kaptury z otworami na oczy, przez które łypały na mnie złe spojrzenia, należały do członków Ku-Klux-Klanu.

Jezu, a ci skąd się tutaj wzięli? Chyba jednak nie doceniłem nadkomisarza Bielskiego; przecież on coś o nich wspominał... Trzeba było z nim współpracować...

Za późno.

A może kapryśny przypadek rzucił mnie w sam środek balu przebierańców? To chyba projekcja złudzeń... Cokolwiek skrywała obfędna maskarada, nie nazwałbym jej zabawą...

Esesmani też nie przyszli z pustymi rękami. W dłoni pierwszego wily się olbrzymie pająki, drugi trzymał żywego nietoperza monstualnych rozmiarów. W rękach trzeciego znajdował się but, a ostatni miał w dłoniach lalkę. I to było najgorsze.

Złapali ich...

Napastnicy zaczęli unosić ramiona, starając się nie uronić cennej a zło-wieszczej zawartości zaciśniętych pięści. Zrozumiałem, że mój czas się zbliża. Jeszcze moment i rzucą we mnie śmiertcionośną mieszaniną. Podniosłem głowę. Zamiast na boki postanowiłem spojrzeć w górę. Na zaokrąglonym sklepieniu sufitu widniał czarny, prawdopodobnie płomieniem świecy wykonany napis:

Muss es sein? Es muss sein!

Z daleka, jak przez sen, usłyszałem szczekanie Estona. Ostatnia szansa ratunku. Ale nawet jeśli dobiegnie na czas, to nie wyłapie, nie zdoła wyłą-pać, wszystkich lecących w moim kierunku obiektów.

Za późno.

Widziałem dłonie moich prześladowców, które jak na spowolnionym filmie rozwierały się i niczym średniowieczne proce miotwały we mnie plu-gawe pociski.

Szczekanie psa było coraz bliżej.

Pierwsze doleczą pająki, które, szybko przebierając w powietrzu odnó-zami, przyspieszały jakby swój lot... Ale nie; na czoło wysunęła się dziw-nie wijąca różowa kula - zasupłane dżdżownice? - która pacnąwszy mnie w twarz, rozlała się po niej miękkim ciepłem. Co dziwne, nie było to uczucie nieprzyjemne. Zamknąłem oczy...

Nie, właściwie otworzyłem je. Eston stał koło mnie i czekał ponagła-jąco. A przed chwilą, zniecierpliwiony, musiał mnie chlapnąć przez lico swoim jęzorem.

Jezu Chryste, to był sen! Dzięki ci, piesku, że mnie obudziłeś.

Była dziesiąta rano. Przespałem kamieniem ponad dwanaście godzin. Pies dopominał się o spacer. Widząc, że nienaturalnie długo i głęboko śpię, postanowił wziąć sprawy w swoje łapy (i jęzor). Coś jeszcze musiało go zdziwić. Na telefonie figurowało nieodebrane połączenie z dzisiejszego ranka.

Wanda.

Jak mocno musiałem spać, że nic nie słyszałem? Eston, nieprzyzwyczajony do braku mojej reakcji na telefon, zaniepokoił się i dał temu wyraz. Zresztą, mniejsza o to, co go zainspirowało. Dobrze, że się obudziłem.

Gdy opary sennego koszmaru nieco się rozproszyły, gdy moje oczy dostrzegły leżące bezpiecznie na stole materialne pamiątki dnia poprzedniego, a myśl przebiegła w skrócie wczorajsze wydarzenia, poczułem, że wielogodzinny sen miał ozdrowieńcze działanie.

Choć po powrocie do domu i życiodajnym prysznicu marzyłem już tylko o zaśnięciu, to jednak odkrycie, że znaleziona książeczka jest w istocie programem legendarnego koncertu, kazało mi raz jeszcze odwiedzić antykwariusza. Pokonując zmęczenie, mówiłem sobie, że jestem mu to winien.

Pan Sebastian z wypiekami nastolatka na twarzy wysłuchał mojej relacji. Zmęczony i oszołomiony, ograniczyłem się do konkretnego sprawozdania. Antykwariusza rozpieła dumą, że tramie odgadł kod dostępu do ukrytego korytarza.

Docierało do mnie coraz silniej, że upór w poszukiwaniu korytarza koncertowego nie był ślepy. Nawet jeśli pominąć wartość historyczną tunelu, natrafiłem w nim na kolejny ślad, bardzo konkretny i niezwyklej wagi. Sebastian Mars podzielał mój entuzjazm.

- Bartek, oczywiście, to jest sensacja! Koncert Kwartetu Gudelsteina okazał się historycznym faktem!

- A odnaleziony program dowodzi, że tamtego wieczoru ktoś korzystał z korytarza koncertowego. Może byli to muzycy z kwartetu? A może ktoś z publiczności?

- Albo jedni, albo drudzy. Albo: i jedni, i drudzy. Choć trudno wyobrazić sobie taki zmasowany exodus, zwłaszcza że według ciągle tej samej legendy artyści mieli być niezwłocznie aresztowani. Bartek, ja aż boję się formułować swoje wnioski, ale wiesz, co to może oznaczać?

Wiedziałem. Istniała teoretyczna możliwość, że w sejfie Rosenberga ukryta została czwór-perła lutnictwa, legendarny Kwartet Antonio Silvariego.

Moja percepcja była jednak zachwiana. Jak gąbka do ostateczności nasączona wodą nie przyjmuje ani kropli więcej, tak i ja czułem, że nie jestem już w stanie wchłonać kolejnych rewelacyjnych wniosków. Musiałem odpuścić. Antykwariusz zdawał się to widzieć i rozumieć, bo zrezygnował z zamiaru podzielenia się ze mną jeszcze jedną nowiną.

- Jutro, jutro. Reszta jutro, idź odpoczywać, to jest teraz najważniejsze.

Na górę dotarłem przed dziesiątą. Nie pamiętam, jak i kiedy zasnąłem, co dobitnie świadczyło o moim zmęczeniu, w obu aspektach - psychicznym i fizycznym - bliskim wyczerpania.

Nieczęsto zdarza mi się spać nieprzerwanym, wielogodzinnym snem. To był bonus, który mój organizm otrzymał od... samego siebie. Świadomie czy podświadomie przeczuwał, że musi szybko i skutecznie zregenerować siły.

Mimo intensywności wczorajszego dnia, moich - i nie tylko moich - wysiłków i starań, dorobek nie był imponujący. Doskonale symbolizował to but leżący na stoliku. Niby gdzieś doszedłem, niby coś odkryłem, lecz prócz emocjonalnej wymowy starego obuwia - w istocie niewiele.

A moje ręce? Moje palce? Czy zdołam nimi poruszać? Nagle, z porażającą jasnością dotarło do mnie, że jutro gram przesłuchanie. Z obawą przyglądałem się pokłutym i posiniaczonym dłoniom. Na szczęście drzazgi z wjazdu w sali koncertowej nie powbijały się na stałe, a otarcia, choć wyglądały szpetnie, miały raczej naskórkowy charakter. Z resztą nie było najgorszej. Owszem, czułem w kościach wczorajsze wyczyny, ale nie bardziej niż na przykład po zaciętym meczu piłki nożnej. Mocny sen i wypity wcześniej koniak zwalczyły przeziębienie, którego po przemarznięciu i przemoczeniu w labiryncie tuneli najbardziej się obawiałem. No dobrze, a co z tymi palcami? O tym, czy będę w stanie grać, przekonać się mogłem tylko w jeden sposób. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie czułem się na siłach.

Brat prysznic ponownie obdarowywał mnie życiem, a zapach, który emitował włączony ekspres do kawy, zwiastował nie lada smakowe atrakcje. Hm, dziwne, ale czułem, że jestem w formie, a spacer z Estonem w lekkim mrozie grudniowego poranka, spotęgował to uczucie.

Mimo niedzieli piekarnia Pod Nietoperzem była otwarta. Zostawiłem Estona na zewnątrz - na wszelki wypadek przymocowałem smycz do rynny - i wszedłem do środka. W zachowaniu personelu nie zauważyłem nic, co mogłoby świadczyć o odkryciu wyłamanej kłódki, a co za tym idzie czegoś jeszcze... Trudno było jednak sądzić, że najniższe pomieszczenie koło kółtówni jest regularnie odwiedzane.

Cierpliwości, myślałem; już niedługo zamierzałem sam im wszystko opowiedzieć. Z dnia na dzień rosła liczba wierzących, u których zadłużałem się na wyjaśnienia... Właściciele piekarni nie mieli pojęcia, nad jaką historyczną i potencjalnie turystyczną sensacją pieką swoje pyszne bułki i chleby. Zaopatrzywszy się w kilka z nich, wyszedłem na zewnątrz i stanąłem jak wryty.

Estona nie było.

Prawdopodobnie z winy niedbale zrobionej pętli, bo uczynienie jej obojętymi rękami przyszło mi w istocie z trudnością, udało mu się uwolnić i pobiec za impulsem, któremu nie mógł bądź nie chciał się oprzeć. Jednego byłem pewien; Estona nie można porwać lub ukraść, po prostu by się nie dał, chciałbym zresztą zobaczyć śmiałka, który by spróbował. Musiał więc oddalić się z własnej woli, a to znaczyło - przedłożyć ją ponad moją.

Na początku zdarzało mu się to dość często, jednak w miarę upływu czasu nasze relacje zyskiwały wymiar, w którym akceptowanie mnie w roli przewodnika nie kosztowało go nadmiernego wysiłku. Ale zachował swoją indywidualność i wiedziałem, że tak już pewnie pozostanie. Nie byłem specjalistą od psiej psychiki. Wiedziałem tylko, że kształtuje się ona w początkowych miesiącach życia. Są rasy, które w roli przewodnika akceptują wyłącznie jednego, pierwszego właściciela. Gdybym się nad tym zbyt wnikliwie zastanawiał, Eston prawdopodobnie nie mógłby zostać moim psem. Ale ja wierzyłem w coś jeszcze; w obustronną wyczuwalność intencji i wzajemną wierność, która z czasem musiała rodzić coraz większe zaufanie.

Gdybym powiedział, że zawsze wszystko było łatwe, skłamałbym. Ale mówiąc, że od czasu posiadania Estona czułem się bogatszy i pełniejszy, powiedziałbym prawdę.

Rozejrzałem się wokół; nic, ani śladu. Wiedziony przecuciem, ruszyłem wąskim przejściem między dwiema kamienicami, w miejsce, w którym wczoraj wychynałem na powierzchnię. Nie myliłem się; pies dokonywał jego inspekcji, szczególnie interesując się wejściem do piwnicy. Nacisnąłem klamkę.

Podobnie jak wczoraj drzwi okazały się otwarte. Może nie zamykano ich w ogóle, a może był to czysty przypadek. Eston, który tylko czekał, aż choć minimalnie je uchylę, natychmiast wsunął w szczelinę nos, pysk, narpał całym ciałem i zanim zdążyłem zareagować - już go nie było. Zastanawiałem się, czy to tylko wczorajsze pozostałości mojego, intensywniejszego pewnie niż zazwyczaj, zapachu wywołały tak zdecydowaną reakcję psa. Nie miałem ochoty za nim podążać, byłem zresztą przekonany, że zaraz wróci. Gwizdnąłem umówionym sygnałem, zawołałem go po imieniu i po chwili rzeczywiście zjawił się mocno z siebie zadowolony, pojednawczo machając ogonem - takie tam: nie gniewaj się, stary, coś tu po prostu musiałem sprawdzić. Nie gniewałem się. Jak musiał, to musiał. W domu z godnością i zrozumieniem przyjął zaproponowaną chrupiącą bułkę. Był amatorem świeżego pieczywa.

Po śniadaniu przyszła pora na test instrumentalny.

Ku mojemu zdziwieniu i zadowoleniu pierwszy kontakt nie wypadł źle.

Dziwnym zrządzeniem losu podrapane i posiniaczone dłonie bolały znacznie mniej, kiedy trzymałem w nich smyczek i altówkę. Kiedy grałem, receptory bólu wyłączały się zupełnie. Zrozumiałem, że mój psychiczno-organiczny komputer jest zaprogramowany na granie audycji bez względu na wszystko. Przez ostatnie dni przeszedłem taką drogę, tak wiele przeciwnieństw próbowało mnie odwieść od celu, że pokonawszy je, nie zamierzałem już ulegać czemukolwiek. Może był to upór irracjonalny, może padałem ofiarą własnego doktrynerstwa, a może po prostu próbowałem być aż do bólu konsekwentny. Chyba to ostatnie, jeśli wziąć pod uwagę obolałe ręce i ciało. Ale pokonywanie przeciwności wzmacnia. I to wzmocnienie, tę wewnętrzną siłę opartą na przekonaniu, że nie jestem jak źdźbło trawy, które dało się podeptać okolicznościom, zamierzałem rzucić na szalę konkursu. Cała reszta była we mnie. Mimo trudności ostatniego tygodnia nie było ani jednego dnia, w którym nie znalazłbym czasu, siły i motywacji do ćwiczenia.

Rozgrałem więc trochę ręce, przegrałem cały program z nut, by raz jeszcze utwalić w pamięci wzrokowej wygląd, czy raczej zapis muzyki, a wszystko wolno i spokojnie, w tempie, które pozwalało w stu procentach kontrolować każdy z elementów altówkowego rzemiosła. Chciałem pozostać jak najbliżej założonego ideału wykonawczego.

Gdy po półtorej godzinie czyściłem altówkę i smyczek z białego pyłu kalafonii, normalnego ubocznego produktu grania, wiedziałem, że po raz kolejny wezmę ją w dłonie dopiero jutro przed przesłuchaniem.

Staromiejskie dzwony wybiły godzinę trzynastą.

Wiedziałem dokładnie, jak spędzić resztę dnia. Jedyne kolejność działań stała jeszcze pod znakiem zapytania. Pan Sebastian - jeśli był w domu - musiał słyszeć moje granie. Ponieważ nie dzwonił, wywnioskowałem, że informacja, którą chciał mi przekazać poprzedniego wieczoru, nie jest aż tak istotna. A jeśli było wręcz przeciwnie i antykwariusz nie chciał mnie jej wagą wytrącać z nastroju do pracy? Wiedział, jak często w ostatnich dniach musiałem narzucać sobie dyscyplinę, aby zaabsorbowane pasjonującymi zdarzeniami myśli nie uciekały mi na wszystkie strony. A przecież znał moje plany, domyślał się, że konsekwentny zamiar udziału w audycji nie jest wynikiem oślego uporu - choć ja sam powoli traciłem w tej kwestii przekonanie - a przemyślanej decyzji, która miała mi pomóc w uporządkowaniu życia. Na pierwszym planie działań antykwariusza zawsze były takt i wycucie.

Wahając się, do kogo zadzwonić najpierw, przekładałem telefon z ręki do ręki. I dopiero wówczas zauważyłem, że pulsująca ikonka sygnalizuje nagraną wiadomość.

- Bartek, chciałabym się z tobą spotkać. Musimy porozmawiać. Czy mógłbyś przyjść na Morelową, do domu mojego ojca? Tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Proszę cię, przyjdź, jak tylko będziesz mógł, to bardzo ważne.

Więc ona też chciała ze mną porozmawiać i to nie przez telefon. Byłem w rozterce. Rzeczywiście, chciałem się z nią spotkać i raz a dobrze wyjaśnić wszystkie nurtujące mnie wątpliwości. Miejsce spotkania oraz treść i forma pozostawionej wiadomości sugerowały, że mogło wydarzyć się coś istotnego, kto wie, czy nie przełomowego. Ale jeśli podejrzenia wobec dziewczyny, które już nieraz budziły się w mojej głowie, a wczoraj przybrały formę bliską pewności, nie były tworem przewrażliwionej wyobraźni, mogła to być najzwyczajniejsza pułapka. Przed podjęciem decyzji postanowiłem więc raz jeszcze prześledzić historię swoich kontaktów z Wandą i ich konsekwencji.

Wszystko, co działo się między nami dawniej niż tydzień temu, nie miało znaczenia. Tym bardziej że... nic się nie działo. To, że wiolonczelistka zwróciła moją uwagę, właściwie od momentu, gdy po raz pierwszy ją ujrzałem - około roku temu - było normalne, bo swą niepospolitą urodą zwracała uwagę wszystkich. Byłem natomiast przekonany, że ona na mnie nie zwracała uwagi nawet najmniejszej. Nie wiedziała, kim jestem, jak się nazywam i że w ogóle istnieję. Pewnie kilka razy jej wzrok otarł się o mnie w orkiestrze, ale jak mówiłem: patrzeć nie znaczy widzieć, a widzieć nie znaczy zauważać. Wszystko się zmieniło tydzień temu. I to z mojej inicjatywy. Właśnie; właściwie dlaczego ja wtedy do niej pojechałem? Przez ostatnich kilka dni tyle się wydarzyło... Automatyczne odpowiedzi na pytania wcale nie przychodziły z łatwością. Tym bardziej warto było je ponownie przeanalizować, aby nie podążać torem wcześniej przyjętych - może fałszywych - założeń.

Czy pojechałem do Wandy, bo wierzyłem, że to jej ojczym, pan Zbyszek, pospołu z kimś jeszcze - na przykład z narzeczonym dziewczyny - stał za zamachem na dyrygenta? Nie, choć o tym mówiono, nie brałem owej hipotezy poważnie. I słusznie, bo już przed wizytą na Morelowej została definitywnie wykluczona. Pojechałem do Wandy, bo wydawała mi się jedyną osobą mogącą połączyć mnie z tajemniczą próbą zabójstwa Rucacellego. Wiele zdawało się wskazywać, że w poprzedzających tę chwilę dniach była blisko niego.

Trafiłem wówczas na końcówkę jej kłótni z narzeczonym. Europeoseł Jędrzej Jędrzejczyński musiał być tak wzburzony dochodzącymi do Brukseli plotkami - o anonimowy telefon od życzliwego nietrudno - że zdecydował się je osobiście sprawdzić. Czy w trakcie pierwszej rozmowy

z wiolonczelistką dowiedziałem się czegokolwiek interesującego? Chyba tylko, że coś między nią a dyrygentem faktycznie było, ale o tym wiedziałem i bez jej opowieści. O telefonach, które przeszkadzały im w trakcie spotkania w barze. I o niezapomnianym wieczorze, który jej obiecywał po koncercie. Żeby usprawiedliwić swoją ciekawość, opowiedziałem w zamian o ujrzanej przypadkiem scenie na moście i przedmiocie, który Rucacelli wrzucił do wody, nie uściślając jednak, ani co to było, ani co się z tym stało. Przypomniła mi się żywa reakcja dziewczyny. Więc kto tego dnia dowiedział się więcej: ja czy ona?

Następnego dnia dzwoni do mnie z pytaniem, którego sens sprowadza się do załatwienia jej jakiejś chałtury. Tłumaczy to niechęcią do siedzenia w domu i rozpamiętywania zdarzeń, które na nią spadły. Traf chce, że wkrótce potem odbieram telefon od inspektora Radiówki: zachorował wiolonczelista, a on nikogo nie może znaleźć. Podaję telefon Wandy.

Niezwykły przypadek.

Tyle tylko że choroba Konrada nie była dziełem przypadku. Tego samego dnia został pobity. I zniszczono mu instrument. Bezmyślna przemoc czy działanie na zamówienie?

Na razie jednak już następnego dnia spotykamy się z Wandą. Na nagraniu, nie prywatnie, a więc w zasadzie przypadkowo... Ale to jej nie przeszkadza w podrzuceniu mi rysunku kota, tropu zaiste wyborowego. Po nagraniu pyta mnie ponownie o przedmiot wrzucony do wody, a kiedy bez większego trudu udaje jej się ze mnie wydobyć, że była to batuta, jej reakcja jest gwałtowna. Prawie wymaga na mnie zapewnienie, że podzielę się każdą nową informacją na ten temat. Co osiągnąwszy, dzwoni do Jędrusia. A sama rączy mnie kolejnym rarytaskiem: wierszem autorstwa i w wykonaniu dyrygenta. Tak więc, pytam się, kto poznał w trakcie tej rozmowy więcej konkretów, ja czy ona?

Tu jednak rozum (he? rozum? u altowiolisty?) zaczął mi podpowiadać, że zarówno moje konkrety, jak i jej, z pozoru, a może w istocie, wątpliwej jakości tropy, niewiele nam obojgu dały.

W międzyczasie ma miejsce kolejny zagadkowy fakt; przeszukiwanie jeziora. Przez kogo? Na pewno nie zrobili tego księżycowe sylwetki, bo takie działanie byłoby w ich wypadku absurdem. Nie była to policja, bo nadkomisarz Bielski musiałby coś o tym wiedzieć. Nie były to też żadne ćwiczenia płetwonurków, bo to już w ogóle z księżycą wzięte: ćwiczenia płetwonurków w płytkim stawiku przy temperaturze około zera stopni Celsjusza... Wanda była jedyną osobą, której powiedziałem, że dyrygent wrzucił coś do wody. Wniosek nasuwał się sam.

Następnego dnia dziewczyna dzwoni do mnie i umiejętnie sterując rozmową, omal nie zawstydza mnie moją dotychczasową lakonicznością. Umawiamy się. I może rzeczywiście więcej bym jej tego dnia powiedział, ale dosłownie chwilę później dowiaduję się, co spotkało Konrada. Przekładam więc spotkanie z prześliczną wiolonczelistką, ku jej wyraźnemu niezadowoleniu. Tego samego wieczoru napadają na mnie ci sami kolesie, którzy pobili Konrada. Dowiaduję się o tym w wyniku małej improwizacji, ale to nieważne. Ważne jest zupełnie co innego: Ryży pyta mnie o batutę!!! To już zdecydowanie przekracza granice przypadku. Natomiast inny przypadek przychodzi mi z pomocą. Co prawda tysole rozwalają mi altówkę, ale dzięki pomocy starych znajomych sam wychodzę z opresji bez szwanku.

Następnego dnia spotykam się jednak z Wandą, która - co tu dużo mówić - próbuje mnie rozmiękczyć nieco innym rodzajem emocji niż dotychczas. Do tej pory byli Rucacelli i Jędrus, teraz sygnalizuje, że i mnie może traktować na podobnych zasadach. I nagle mówi:

„Batuta, batuta, ciągle tylko jakaś cholerna batuta, mam już tego dosyć. Słuchaj, proszę cię, powiedz mi raz a dobrze, co o tym wiesz. Dlaczego oddałeś ją policji? Dlaczego nie mówiłeś mi, że była w twoich rękach? Co w niej jest takiego, że wszyscy się za nią uganiają?”

Wanda bez trudu domyśliła się, kto stał za przekazaniem pałeczki w ręce policji. I zrozumiała, że nie byłem z nią do końca szczery. A jednak nie dała za wygraną. Czy więc chodzi jej o mnie, czy o batutę? Naiwne pytanie. Od początku ciągle tylko o jedno, dla porządku uściślijmy, że nie o mnie. Kiedy nie udzielam zadowalającej odpowiedzi, mówi coś w rodzaju: „tylko się nie zdziw, jak...” - i przerywa. Jak co? Jak mnie pobiją? Zabiją? Czy coś jeszcze innego? Ale przecież już mnie próbowali zdewastować. Na informację o nieszczęsnym przypadku Konrada i jego wiolonczeli zareagowała jednak zaskoczeniem, które nie mogło być udawane. Więc wiedziała, ale nie wszystko? Była w tym, ale nie do końca? To kto stał za nią? Domyślałem się tego coraz wyraźniej.

Dręczony wyrzutami sumienia, że może jednak zbyt surowo i fałszywie oceniam dziewczynę, zadzwoniłem do niej wczoraj z propozycją spotkania. Odmówiła, ale później zmieniła zdanie. Tym razem to ja nie mogłem, całkowicie pochłonięty poszukiwaniami korytarza koncertowego. Niechcący jednak zdradzam miejsce swojego pobytu. I po półgodzinie Ryży i jego chłopcy próbują dostać się do filharmonii, niewątpliwie chcąc pomóc mi w poszukiwaniach. Czy to jeszcze mało?

Czym w takim razie jest dzisiejsza propozycja? Ostatnią, desperacką próbą wyciągnięcia ode mnie informacji, czy przeciwnie, chęcią wytłumaczenia, że została w całą sprawę wmanewrowana? Nie było innego sposobu, aby się przekonać...

Na ulicę Morelową postanowiłem wybrać się rowerem. I zabrać ze sobą Estona. Wiedziałem, że na miejscu są koty, ale przecież mogłem go przywiązać lub zostawić w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Traktowałem poważnie sugestie Bielskiego i przyznawałem mu rację. W towarzystwie psa czułem się o wiele bezpieczniej, a ostatnie dni pokazały, że mam się czego obawiać. W rzeczywistości Eston nie był psem agresywnym, lecz nie wszyscy musieli o tym wiedzieć. Funkcje odstraszające spełniał znakomicie.

Po wyjściu z domu zastukałem do drzwi antykwariatu. Tym razem nie zastałem gospodarza. Pani Sabina przekazała mi jednak kopertę, którą dla mnie zostawił. W środku znajdował się efekt pracy któregoś z zaprzyjaźnionych ekspertów. Od rekonstrukcji nieczytelnych napisów w tym przypadku. To, co jeszcze niedawno wyglądało tak:

*B a \$ (.), a
(.) i, i a . .ok*

- wzbogaciło się w nowej wersji o kolejne litery i uzyskało następującą formę:

*Bas W, ra
Ki. ia T.ok*

Pod prawie zrekonstruowanymi wyrazami, u dołu strony, widniał dopisek uczyniony prawdopodobnie ręką eksperta, który na prośbę antykwariusza zajął się kawałkiem papieru.

Wynikało z niego, że płynem, który zmoczył atrament, był... ludzki pot lub łzy. Wystarczyło, że ktoś - świadomie lub przypadkowo - przejechał ręką po napisie i zamazał litery. Ja bym powiedział, że przypadkowo, bo żeby zniszczyć notatkę, wystarczyło po prostu podrzeć kartkę. Ale ekspert nie analizował emocji, tylko fakty.

Przy całym szacunku dla docieklivosti i konsekwencji pana Sebastiana i wysiłku, który wspólnie z zaprzyjaźnionym specjalistą włożyli w odtworzenie słów, miałem wrażenie, że jest to sztuka dla sztuki. Karteczka znaleziona w fortepianie była dla mnie źródłem sporego rozczarowania. Jeśli bowiem teza o jej wcześniejszym ukryciu w batucie miała być prawdziwa, to zapiski stanowić powinny - ni mniej, ni więcej - tylko wskazówkę,

pozwalającą zlokalizować korytarz dyrygencki. Niemniej ich brak związku z czymkolwiek, o czym mówił Michalewicz, był tak uderzający, że coraz mocniej w to wątpiłem. Pewne nadzieje wiązałem ze słowami:

Opus - Opas - Opos

- lecz w miarę upływu czasu zacząłem podejrzewać, że kartka albo:

- a) nie miała związku ze sprawą i znalazła się w schowku przez przypadek,
- b) była fałszywym tropem, mającym utrudnić lub zgoła uniemożliwić rozwiązanie zagadki.

Najbliższa przyszłość miała przynieść odpowiedź, czy miałem rację.

Droga na ulicę Morelową przebiegała bez przeszkód, za to ku wyraźnej ucieście Estona. Ruch na świeżym powietrzu i smagający twarz, lekko mroźny wiatr mnie również sprawiały przyjemność. Ta jazda była jak powrót do świata zrozumiałego, znanego, prostego może, ale uporządkowanego i niewykrzywającego do mnie twarzy spoza ścian domów, kęp krzaków i drzew. Dotleniony mózg zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. I nagle wypuścił strzałę, która błyskawicznie pokonała przestrzeń i czas...

Znalazłem się wśród audytorium, w wypełnionej do ostatniego miejsca sali koncertowej filharmonii. Panowało przesycone napięciem oczekiwanie. Publiczność, w dużym stopniu mundurowa - a mundury te, choć elegancie, miały złowieszczy wygląd - zdawała się rozumieć niezwykłość wydarzenia, którego była świadkiem, a może uczestnikiem.

Ostatni koncert wielkiego Kwartetu Gudelsteina.

Ostatni, bo tak zdecydował fatalizm historii. Nikt w sali nie czuje się za to odpowiedzialny. I nikt nie ma zamiaru kwestionować nieuchronnej logiki dziejów. Swoistej pikanterii całej sprawie dodaje pytanie: czy oni zdają sobie sprawę, że to ich pożegnalny występ? Czy wiedzą, jaki los czeka ich za dwie, trzy godziny? Prawdopodobnie nie, bo kto mógłby w takich okolicznościach grać koncert? Chyba tylko nadludzie, a ta kategoria jest już zarezerwowana. Z drugiej strony, ten niezwykły dobór programu. Pierwszy, środkowy i ostatni z kwartetów - zarazem ostatni opus - Beethovena, połączone wspólną tonacją. Przypadek czy coś więcej? A może symboliczna podróż przez życie, zakończona dramatycznym pytaniem:

Muss es sein? Es muss sein!.

A więc sami muzycy zdają się rozumieć i akceptować nieodwracalną siłę przemian historycznych. Godzą się z nią. W imię nowego porządku

świata kładą głowę pod topór nowych jego władców w symbolicznym geście wybaczenia i ekspiacji.

Ale czy na pewno?

Oto nagle znajduję się po drugiej stronie. Widzę czterech genialnych muzyków, gotowych do zagrania ostatniego opusu Beethovena. To oni prowadzą grę. Grę o życie, godność i oświecenie otumanionych. Rzucają im w twarz pytanie. Mimo że słowa brzmią tak samo - sens ich odpowiedzi będzie zupełnie inny.

Grają. Grają tak, jak może nigdy jeszcze nie grali. Grają tak, że ludzkie serca wydają się pękać, a mury ronią łzy. Grają tak, aby oszołomić słuchających i zyskać czas na wykonanie Wielkiej Cody. Gdy kończą, wśród słuchających nie ma już jednomyślności. Wielu z nich próbuje ponownie odpowiedzieć na pytanie:

Czy tak rzeczywiście musi być?

I nawet jeśli odpowiedź pozostaje niezmienna, to pojawia się refleksja: dlaczego?

Gdy mija kwadrans, pół godziny, a w końcu prawie godzina od zakończenia koncertu, a przy strzeżonych wyjściach nie pojawia się żaden z muzyków kwartetu, wydający rozkazy zgodnie stwierdzają, że cierpliwość się wyczerpała, a oni sami nie mogą już dłużej czekać. Wysyłają na górę grupę żandarmów. Ci jednak nie znajdują nikogo. Jedynie w garderobie urzędowej w pokoju dyrygenckim odnajdują partyturę ostatniego kwartetu ze znamienym mottem Beethovena.

Kwartet Gudelsteina zniknął wraz z bezcennym Kwartetem Silvariego.

Gdy informacja ta dotarła później do słuchaczy koncertu, wielu z nich odetchnęło z ulgą. Od tego wieczoru wiele miało się dla nich zmienić. Wojna przestała być przyjemnością, prześladowanie bliźniego - choćby w imię najdoskonalej wywiedzionych teorii - obowiązkiem, a przekonanie, że wszystko jest proste, wytłumaczalne i nieuchronne, zastąpiła refleksja: z jaką łatwością człowiek skłonny jest poddać się manipulacji, jeśli tylko zdjąć z niego ciężar odpowiedzialności i konsekwencji.

Nieraz zastanawiałem się - co tam ja; myślały nad tym rzesze badaczy i historyków - jaki był w istocie sens tajemniczej inskrypcji, którą Beethoven opatrzył swój łabędzi śpiew. Sam kompozytor tłumaczył ją trudnościami z napisaniem finału ostatniego kwartetu i naciskami ze strony wydawcy. Niektórzy odczytywali je jako akceptację głuchoty, choroby - najnowsze badania wykazały, że była to ołowica - czy zbliżającej się śmierci. Cokolwiek by znaczyły, słowa geniusza można interpretować bez końca, tak

jak jego muzykę. I nie pozostaje mi nic innego, jak postawić w tym miejscu kropkę.

Lecz oto ponownie znalazłem się na ścieżce biegnącej wzdłuż kanału, już w pobliżu ulicy Morelowej. Wanda musiała zobaczyć nas z okna; czekała przy bramie. Z łękiem spojrzała na psa. Prawda, nie znała go. Eston przywitał się z rezerwą.

- Nie chciałem, żeby siedział sam w domu. Poza tym rażniej mi z nim. - Spojrzałem na Wandę znacząco. Zaczerwieniła się.

- Posłuchaj, Bartek, chciałam się z tobą spotkać, bo przyszła pora, żeby ci to wszystko w końcu wytłumaczyć.

- Czy on - wskazałem na psa - może zostać w ogrodzie? Ty masz, zdaje się, koty, a Eston je, owszem, lubi, ale na swój sposób...

- Tak, tak - przytaknęła z ulgą - niech tu zostanie, na pewno nie ucieknie, ogród jest dobrze ogrodzony. A koty są w domu.

Eston sprawiał wrażenie zadowolonego takim obrotem sprawy, od razu zaczął buszować po krzakach. Przebieżka z rowerem nie zrobiła na nim piorunującego wrażenia. Pana Zbyszka nie było w domu, zdawało się więc, że oprócz nas i dwóch łazących się dachowców nie ma nikogo. I dobrze. Mogliśmy sobie w spokoju to i owo wyjaśnić.

Wanda była zrezygnowana. Coś się w niej zmieniło, wypaliło jakby. Znowu, tak jak w czasie pierwszej wizyty na Morelowej, podobała mi się najbardziej. Żałowałem, że mijający tydzień ustawił nas na przeciwstawnych pozycjach.

Nadszedł moment, aby oddzielić przypuszczenia i podejrzenia od faktów lub też przeciwnie - połączyć je w całość.

Siedliśmy w milczeniu naprzeciw siebie. Wandzie było jakoś trudno zacząć, a ja nie miałem zamiaru ułatwiać jej zadania.

- Chciałam cię przeprosić - zaczęła w końcu z głośnym westchnieniem.

- Przeprosić? Za co? - spytałem, choć mniej więcej się domyślałem. Ale każda rozmowa ma swoją dynamikę. - Opowiesz mi wszystko od początku?

- Wszystko? Od początku? - powtórzyła automatycznie. - Może nie wszystko. A jeśli chodzi o początek, to sama nie wiem, kiedy on był. Kiedy to się właściwie zaczęło? Do tej pory myślałam, że półtora tygodnia temu, ale teraz widzę, że od czasu, gdy poznałam Jędrka.

Przerwała i zamyśliła się. Po chwili potrząsnęła kaskadą ciemnych włosów, które jak wachlarz rozsypały się wokół jej twarzy.

- Nie, o tym nie będę mówiła.

Byłem jej wdzięczny. Nie interesowała mnie historia jej relacji z młodym eurodeputowanym, choć mogła stać się interesującym przyczynkiem do zrozumienia często niepojętych racji i emocji, jakimi kobiety kierują się w wyborze partnerów. Ejże, czy aż tak niepojętych? Co w końcu dziwnego było w tym, że mogąc wybierać wśród wielu, zdecydowała się na młodego, przystojnego, zamożnego, przebojowego, a w dodatku obiecującego - i to - polityka? Co do zaoferowania takiej dziewczynie mieli, powiedzmy, koledzy muzycy: kameralne muzykowanie? Utyskiwanie na ciężki los artysty? Małego fiata? (No nie, tutaj już przesadziłem; potraktujmy tego małego fiata symbolicznie...). Może więc nie trzeba było odsądzać wiolonczelistki od czci i wiary, tylko spróbować ją zrozumieć? W dodatku pan europoseł nie musiał dać jej się poznać od razu z każdej strony. Mógł zacząć od tych najładniejszych. A kto wie, czy nie dysponował ukrytymi walorami, znanymi tylko jej?

Ale nie byłem tu w charakterze damskiego psychoanalityka. Żadnego Jędrka. Wiedziałem jednak, że to tylko pobożne życzenia. Jędrak w opowieści i tak się pojawi, choć niekoniecznie w charakterze Don Juana. I oby tylko w opowieści. Nie miałem ochoty widzieć faceta na oczy. To dobrze, że Eston patrolował ogród. Czuję się pewniej, ilekroć mój towarzysz był w pobliżu.

Wanda zdawała się odczytywać moje myśli.

- Jędrak dziś wrócił do Brukseli. Miał lecieć jutro rano, ale w ostatniej chwili zmienił rezerwację. Mówił, że nie może się spóźnić na poranne obrady. I tak przez tydzień był chory.

- Chorował? Chyba niezbyt poważnie?

- Chorował. To była choroba. Coś go opętało. Coś sobie ubzdurał i narobił głupstw.

Jeszcze nie zaczęła opowieści, a już go tłumaczyła.

- Wanda, proszę, spróbuj od początku; od tego nas interesującego początku - uściśliłem. - Inaczej tracimy tylko czas.

- Początek był właśnie w Brukseli. Kolega Jędrka, włoski europoseł, opowiedział mu o artykule zamieszczonym w jednej z toskańskich gazet. Był to wywiad z człowiekiem, który opowiedział tajemnicę z okresu wojny. Jej tropy wiodły do naszego miasta. Włoch skojarzył fakty i pomyślał, że Jędrka może to zainteresować. Wspominał mu też o odwiedzinach, które autorowi wywiadu złożył słynny dyrygent o włosko brzmiącym nazwisku, bo i ta informacja trafiła nieco później na łamy gazety. Jędrak powtórzył mi całą historię. Traf chciał, że Damian Rucacelli - bo domyślasz się, że to on był gościem autora wywiadu - miał za kilka miesięcy u nas dyrygować.

Jędrzej był tak poruszony sprawą, że od tej pory nie chciał ze mną rozmawiać o niczym innym. Mówił, że być może rysuje się szansa, aby odnaleźć bezcenne dla narodowej kultury dzieła sztuki. Tak mnie naciskał, by nie rzec napastował, że w końcu zgodziłam się na jego propozycję. Chodziło o to, żebym zbliżyła się do dyrygenta w trakcie jego pobytu w Krakowicach i spróbowała dowiedzieć czegoś więcej na temat ujawnionych w artykule sensacyjnych informacji, oczywiście, jeśli to więcej istniało.

Słuchałem i nie bardzo chciałem wierzyć własnym uszom. Nie chodziło o fakty, bo prawdę mówiąc, tak je sobie mniej więcej wyobrażałem. Ale sposób ich przedstawiania! Dziewczyna używała samych eufemizmów. Dalej nie mogłem rozgryźć, czy jest tak naiwna, czy wyrachowana.

- Damian jest naprawdę bardzo przystojny i męski, dlatego nie musiałam specjalnie udawać, że robi na mnie wrażenie. Spozrzegł to, a ja chyba też mu się spodobałam. W zasadzie resztę znasz, nie będę się wdawać w szczegóły.

„Lepiej nie”, pomyślałem.

- Nigdy nie zapytałam go o całą sprawę wprost, bo to by było zbyt grubymi nićmi szyte - dobrze, że chociaż to rozumiała - próbowałam jednak czegoś się dowiedzieć. Damian był szalenie tajemniczy, a zarazem, jakby to powiedzieć, dosyć uroczy. Wydawało mi się, że coś odkrył, tyle że zbywał mnie kalamburami, żartami, kotkami, zresztą sam wiesz... Byłam jednak przekonana, że tamtego wieczoru po koncercie chce mi powiedzieć lub pokazać coś naprawdę niezwykłego. Wszystko na to wskazywało. Ale wiesz, jak się skończyło. Kiedy byłam już na wyciągnięcie ręki od poznania - wyciągnięcia, pomyślałem - tajemniczy, wydarzyło się coś strasznego. Ktoś próbował zabić Damiana.

Wstrząsnął nią dreszcz, nie wiedziałem: szczerzy czy udawany.

- Następnego dnia przyjechał Jędrzej. Był prawie pewien, że zdążyłam zdobyć interesujące go informacje. To, że Damian został wyłączony z gry (to dopiero ładne!), nawet mu odpowiadało; po prostu ubywał rywal do rozwiązania zagadki. Musiałam go jednak rozczarować. Nie wiedziałam właściwie nic, co przybliżyłoby go do jej rozszyfrowania. Jędrzej się wściekł. Uważał, że to moja wina, że zawałam sprawę, nie starałam się wystarczająco...

Ciekawe, co przez to rozumiał, zastanawiałem się, ale nie byłem pewien, czy naprawdę chcę wiedzieć.

- A ty właśnie trafiłeś na finał naszej sprzeczki. Przyznaję, że spadłeś mi wtedy z nieba, bo nagle okazało się, że może jeszcze nie wszystko stracone. Opowiedziałam Jędrkowi o rozmowie z tobą. Chwycił się tego jak

tonący brzytwy. To on kazał mi do ciebie zadzwonić w sprawie ewentualnej chałtury. Sam obiecał zając się resztą.

- Zajął się i to skutecznie.

- Poczekaj, daj mi skończyć, zanim wyciągniesz ostateczne wnioski. Gdyby inspektor nie zadzwonił do ciebie, to i tak bym przyszła na nagranie, bo Jędrzek równolegle nacisnął na kogoś w radzie nadzorczej Radia. Do ciebie zaś kazał mi zadzwonić, bo powiedział, że...

- Tak?

Wanda zaczerwieniła się.

- Powiedział, że łatwo dasz się złapać.

- I okazało się, że miał rację. - Poczuję gorycz z powodu własnej głupoty.

- Bartek, proszę, nie gniewaj się, to były jego słowa, a nie moje. Jędrzej zresztą taki jest; on po prostu realizuje założone cele, a sposobów na to ma aż za dużo.

Chciałem coś dodać, ale zrezygnowałem. Wanda mówiła dalej:

- Teraz chodziło tylko o to, żeby wiolonczelista nie mógł grać. I proszę, musisz mi uwierzyć, to dla mnie strasznie ważne. Nie wiedziałam, co się stało twojemu koledze; ma na imię Konrad, tak? Nie miałam o tym pojęcia. Jędrzek mówił, że załatwi sprawę delikatnie. Ja zaś miałam pojawić się na nagraniu niby to przypadkiem, tak aby nie wzbudzić w żadnym razie twoich podejrzeń.

- I nie wzbudziłaś. Przecież to ja sam ciebie zaproponowałem - odparłem gorzko.

- Kiedy dowiedziałam się od ciebie, co spotkało Konrada i jego wiolonczelę, wiedziałam, że to koniec. Koniec sprawy, przestała mnie interesować. Koniec z Jędrkiem. Jeśli to było jego dzieło, mógł zniknąć z mojego życia. On jednak zarzekał się, że nic o tym nie wiedział, że starzy kumple, których poprosił o pomoc, źle go zrozumieli i w ogóle zaczęli działać na własną rękę. Obiecywał, że znajdzie sposób, by wynagrodzić Konradowi to, co się stało. W międzyczasie skontaktował się z kolegami, z Paramilitarnego Klubu Sportowego Zębacz - (coś pięknego - Paramilitarny Klub Sportowy i do tego z taką nazwą!!! PKS Zębacz - rzeczywistość wyprzedziła fantazję - syndrom RWF) - którzy na jego prośbę przeszukali jezioro. Miał nadzieję, że uda im się odnaleźć to coś, co Rucacelli podobno do niego wrzucił. Płonną, jak się okazało.

Nie bez satysfakcji wyobraziłem sobie palantów z rzeczonego klubu, jak włązą do zimnej wody w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie ma.

- Tak czy owak, spotkaliśmy się na nagraniu. Podzieliłam się wówczas z tobą bezużytecznymi z mojego punktu widzenia głupstwami od

Damiana w nadziei, że może ty coś z tego zrozumiesz. Wtedy powiedziałeś o batucie, a ta batuta była dla niego jakąś świętością. Zorientowałam się, że prawdopodobnie jesteś na właściwym tropie, tylko że... byłeś strasznie oględny w dzieleniu się najwątlejszym choćby cieniem przypuszczeń. Dzwoniłam więc znowu, mieliśmy się spotkać, ale nagle zmieniłeś zdanie - teraz już wiem, że chodziło o Konrada - więc się nie dziwię. Ale Jędrzej znowu był wścickły. Nic mu się nie udawało. W dodatku powinien być w Brukseli... I tak się miotał od ściany do ściany. Pewnie ponownie poprosił kumpli o pomoc. Mieli z tobą pogadać i przekonać cię do współpracy. Ale, nie wiem, to chyba jakieś narwane chłopaki, znowu chcieli zrobić coś po swojemu. Wtedy powiedziałam Jędrkowi, że może powinien staranniej dobierać sobie znajomych, a tych, którzy mogą mu popsuć opinię, po prostu odstawiać na boczny tor. Przyznał mi rację. Być u nas politykiem to niełatwa sprawa, mówił. Zawieść ludzka zwyczajnie nie zna granic. I dodał, że powinien się zastanowić nie tylko nad dobroem zbyt brutalnych kumpli, ale i zbyt wrażliwych przyjaciółek. Pokłóciliśmy się. I, wiesz, tak prawdę mówiąc, to chyba już będzie koniec. Coś jednak między nami nie gra.

O czym ona mówi? Od kwadransa przyznaje się do bezwstydnie cynicznej spółki z pozbawionym elementarnego poczucia przyzwoitości facetem, żeby w końcu stwierdzić, że coś między nimi nie gra? Ja chyba śnię.

- Kiedy się spotkaliśmy następnego dnia, pomyślałam, że z ciebie jest naprawdę miły chłopak. I pod wieloma względami - przeciwieństwo Jędrka.

Dzięki Ci, Boże!

- Tylko że ty się wtedy, nie wiedzieć czemu, obraziłeś.

Nie wiedzieć czemu, dobre sobie.

- Wanda, a możesz mi powiedzieć, czy Jędrzej wiedział o naszym spotkaniu?

- Wiedział. Wiesz, on tak łatwo nie odpuszcza. - Dziewczyna skromnie spuściła wzrok; nie nadażalem za jej pozawerbalnymi sygnałami.

- Dzięki za szczerość - zrozumiałem, że uwodzicielskie nuty, które wtedy słyszałem w jej głosie, były w istocie zakomponowane przez Jędrzeja. Przeszedł mnie dreszcz.

- Kiedy powiedziałam mu, że nic nie wiem, i nic już nie chcę wiedzieć, że według mnie ta sprawa posunęła się za daleko i nie chcę mieć z nią więcej nic wspólnego, Jędrzej się zeżłościł. Potem znowu prosił, żebym nie zostawiała go z tym samego, ale ja już naprawdę miałam dość. Dopóki to była zabawa, powiedzmy gra, w której dla zdobycia informacji trzeba było trochę poplirtować, to wszystko w porządku. Możesz się dziwić, oburzać, ale ja po prostu taka jestem. Nazwij to próżnością, głupotą czy jak

tam chcesz, ale tak to wygląda. Lubię mieć poczucie, że jeśli zechcę, mało który mężczyzna pozostanie wobec mnie obojętny. Pierwszym momentem, w którym chciałam i powinnam była się wycofać, stała się próba zabicia Damiana. Nie wyobrażasz sobie, co ja wtedy przeżyłam. I gdybyś się nie napatoczył, tak bym na pewno zrobiła.

- No to cieszę się, że przynajmniej znalazłaś winnego...

- Proszę, nie żartuj sobie teraz. Kiedy wyszły na jaw te sprawy z pobiciami, przeraziłam się jeszcze bardziej. Bez względu na to, czy Jędrzek o tym wiedział, czy nie, powiedziałam: dość! I on to zrozumiał, zwłaszcza że ci kumple mówili mu, że ktoś, chyba to byłeś ty, ich rozpoznał. Jędrzej zdał sobie sprawę, że ścigając jakieś zwidy z przeszłości, może całkiem realnie zaszkodzić swojej politycznej karierze. Dlatego postanowił się wycofać, a kumplom poradził, żeby gdzieś przycupnęli. Powiedział też, żeby siedzieli cicho i nikomu nie pisnęli o nim ani słowa, jeśli nie chcą mieć poważnych kłopotów. W zamian za lojalność obiecał pomoc i sponsoring.

Pomoc i sponsoring... Fajny facet, szantażysta. Zaszantażuj innych, zanim im przyjdzie do głowy, że mogą zaszantażować ciebie. Jędrzek nie był w ciemnię bity, wiedział, kiedy i jak się ewakuować, zabezpieczając tyły.

Zastanawiałem się, czy Wanda go przypadkiem nie sypie, ale chyba nie. Po prostu przedstawiała tok rozumowania pozbawiony głębszych rozważań etycznych.

- I kiedy już wszystko mieliśmy poukładane, wczoraj znowu zadzwoniłaś. Próbowалаm cię zbyć, żeby przypadkiem Jędrkowi coś się nie odwdziało. Ale było już za późno. Gdy usłyszał, że to ty, postanowił raz jeszcze - ostatni raz - spróbować. Jakby zły duch w niego wstąpił; to, co ustaliliśmy, nagle przestało się liczyć. Mówiłam ci, że to było w nim jak choroba. Namówił mnie, żebym do ciebie zadzwoniła. Wtedy ty z kolei nie miałeś dla mnie czasu. Ale gdy - myślę - że niechący powiedziales, gdzie jesteś, nie wahał się ani chwili. Raz jeszcze wysłał swoich kumpli. Powiedział mi, że pewnie sam nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz. Nie chciałam słuchać i próbowałam go odwieść od tego zamiaru. W zamian usłyszałam tylko, że ja też nic nie rozumiem, że Rucacelli był blisko odkrycia prawdy i dlatego ktoś próbował go zabić, i że wysłał swoich kumpli, żeby ci pomogli. Sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jędrzek cały wieczór był jak podminowany. Czekał na znak od swoich kolegów, telefon jednak milczał. Później okazało się, że cię wziął sobie jakiegoś groźnie wyglądającego psa i nie chciał ich wpuścić do filharmonii, więc czekali na ciebie na zewnątrz. Ale się nie doczekali. W końcu wieczorem jeden z nich zadzwonił, że podobno policja ich namierzyła. Jędrzek nakazał natychmiastowy odwrót.

- Jedną tylko kwestię chciałbym uściślić. Ten groźnie wyglądający pies właśnie kopie dziurę w twoim ogrodzie.
- Och, to ty jednak naprawdę tam byłeś? - Spontaniczna reakcja Wandy wystawiała jej sztuce aktorskiej jak najlepsze noty.
- Byłem, chciałem po prostu trochę pograć w sali przed jutrzejszą audycją.

Szkoda tylko, że nie miałem ze sobą altówki, ale o tym akurat dziewczyna nie musiała wiedzieć.

No i znalazłem się w kropce. Opowieść Wandy nosiła cechy prawdopodobieństwa. Wszystko jakoś się ze sobą zazębiało. Nawet jej rola - pewnej swoich wdzięków kobiety, która chętnie się nimi posługuje - wydawała się prawdopodobna. Za nią stał opętany chęcią odnalezienia być może bezcennych dzieł sztuki, młody, ambitny i rzutki polityk. Mógł swojej partii przysporzyć niezwyklej popularności, stając się autorem sensacyjnego odkrycia, a jego osobiste akcje mogły poszybować wysoko, oj, wysoko. A że w tym celu posługiwał się dyplomacją (Wanda) i naciskiem (grupa Ryżego), to i co w tym dziwnego? W świecie polityki albo po prostu w świecie są to znane od setek lat metody zdobywania i utrwalania. Niestety ludzie są tylko ludźmi: Ryży i jego chłopcy za bardzo starali się wykazać i niepotrzebnie zbrutalizowali całe widowisko. Oj, musiał ich Jędrzej opie...truszyć.

No dobrze, to była wersja, którą wolałbym założyć. Ale była jeszcze inna. Wersja bezwzględnego faceta, który z chęci zysku popycha swoją dziewczynę (!) w ramiona każdego, kto może okazać się przydatny do osiągnięcia celu. Swoich kumpli, bandytów, nasyla na ludzi i każe im nie przebierać w środkach. Mają być skuteczni - to jedyna wytyczna. Sam chętnie by komuś przypierdolił, ale niestety, to już nie odpowiada jego aktualnemu wizerunkowi. Jego panienka zaś albo prowadzi tę grę razem z nim w pełni świadomie, albo ukryta za maską głupoty, udaje, że nie wie, o co chodzi.

Więc pytanie: która z tych wersji jest prawdziwa?

Tak czy inaczej, Jędrzek odpuścił. Przestraszył się. Rzeczywiście miał więcej do stracenia niż do zyskania, zwłaszcza że zysk niepewny... Banda Ryżego też zniknie z horyzontu, przynajmniej na razie. To były pozytywy nowej sytuacji. W takim razie po co Wanda mi o tym wszystkim opowiedziała? Chciała uspokoić sumienie? Bała się, że narobię plotek w orkiestrze, która mogła już wkrótce stać się naszym wspólnym miejscem pracy i codziennych spotkań? Polubiła mnie? Zakochała się we mnie? Ostatni wariant wydawał się do tego stopnia nieprawdopodobny, że aż się uśmiechnąłem. Czy może realizowała ostatnie zlecenie swojego ukochanego

i współnika, który sam uznał już za stosowne ukryć się za podwójną gardą: przestrzeni i immunitetu?

Bo założmy, że zupełnie zdezorientowany szczerością wynurzeń dziewczyny, rewanzuję jej się tym samym. Opowiadam o wszystkich dotychczasowych odkryciach, ba, zapraszam ją na finał, który - mam nadzieję - już wkrótce nastąpi, i wtedy... z sąsiedniego pokoju wychodzi Jędrak w towarzystwie Ryżego, a może nawet jakiegoś Zębacza... Metodą stanowczej perswazji udaje im się odkupić ode mnie bilet na udział w Grande Finale.

Mój Boże, ponosiła mnie wyobraźnia. Ale dobrze, przyznam się, była taka chwila, w której rzeczywiście chciałem powiedzieć Wandzie:

- Damian Rucacelli obiecał ci niezapomniany wieczór. Tym samym chciał cię obdarować Jędrak. Ale to ja, skromny altowiolista, zapraszam cię dziś na ekscytujący spektakl. Chcesz pójść ze mną?

Miałem taki odruch, ale stłumiły go moje spiskowe teorie i w większym jeszcze stopniu brak odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Lekki dreszcz przeszedł mi po karku. Tydzień temu Rucacelli przygotowywał się do święcenia wieczornego tryumfu, czymkolwiek miał on być. Wkrótce potem próbowano go zabić. Do chwili obecnej leżał w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. A sprawcy chodzili bezkarnie po ulicach. Bo że nie był to nikt z przepłoszonej teraz grupy Ryżego, wiedziałem już na pewno.

Spośród wielu tak zwanych złotych myśli, przysłów, powiedzonek czy prawd oświeconych jedna wydaje mi się szczególnie trafna. Jeśli istnieją dwie strony sporu, dwie wersje tych samych zdarzeń, dwa przeciwstawne poglądy na rzeczywistość lub dwie możliwe interpretacje faktów, to prawda zazwyczaj leży gdzieś pomiędzy nimi. Jak bowiem można dojść do tego samego wniosku, przyjmując przeciwstawne założenia? Każda strona ze swojego punktu widzenia ma rację.

Poszukując czegoś, co można by nazwać prawdą obiektywną, starając się ją rzeczywiście, a nie tylko pozornie znaleźć, usytuować i przyjąć, nie osiągnie się celu bez udziału dobrej woli i zdrowego rozsądku. Eliminowanie ich prowadzi do ekstremizmu, nie do przyjęcia dla strony przeciwnej. Odnosi się to zarówno do sporów indywidualnych, jak i wielkich sporów zbiorowych, które dzielą społeczeństwa czy narody. Jak łatwo wówczas, zaśnając się dobrem publicznym, działać w istocie przeciw niemu...

Ten przypadek nie był jednak ani wielki, ani zbiorowy. Niestety nie był też nasz wspólny; był jej oraz mój i stąd brała się jego dwoistość.

Gdzie należało umieścić chorągiewkę z napisem: tędy przebiega granica prawdy między tym, co mówi Wanda, a tym, co podpowiada mi doświadczenie życiowe - niestety nie wiedziałem.

Nawet jeśli chciałem uwierzyć w możliwie najkorzystniejszą dla dziewczyny interpretację zdarzeń, to nakazałem sobie ostrożność. Cóż, szkoda, że nie była moim współnikiem (i może jeszcze kimś), ale nie wydawało się to możliwe. Chyba że było mi jeszcze mało kłopotów i znaków zapytania.

- Wanda, dobrze, że mi to wszystko powiedziałaś; dzięki za szczerość. Muszę to sobie jakoś poukładać. Powiem ci tylko że cała ta historia pewnie rozejdzie się po kościach. Może i coś tam kiedyś było, ale dotarcie do prawdy po tylu latach wydaje się niemożliwe. A teraz, wybaczone, pójdę już, bo jeśli pamiętasz, jutro gram do was przesłuchanie.

- Naprawdę? Może i mówiłeś, ale zapomniałam... Połam smyczek! Jak chcesz, wpadnę, żeby ci pokibicować. I... cieszę się, że nie masz mi tego wszystkiego za złe.

Tego akurat nie powiedziałem, ale... w sumie niewiele jej powiedziałem.

Deklaracja udziału w audycji musiała upewnić Wandę, że sprawa batuty umarła śmiercią naturalną lub przynajmniej uległa zawieszeniu. Nikt przy zdrowych zmysłach w przeddzień konkursu nie bawiłby się w rozwiązywanie historyczno-kryminalnych zagadek.

Nikt z wyjątkiem mnie... No, może paru by jeszcze się znalazło; nie jestem jedynym altowiolistą na świecie... Ale było mi na rękę, że pozostawię ją w takim przekonaniu.

- Będzie super, jak wpadniesz. - Pożegnaliśmy się cmoknięciem w policzek. Po raz pierwszy. Jak przyjaciele. Ale szczerze wątpiłem, czy nimi jesteśmy lub kiedykolwiek naprawdę zostaniemy.

Wiedziałem, że czas płynie nieubłaganie i że główni konkurenci w wyścigu do odkrycia tajemnicy, choć chwilowo niewidoczni, nie próżnują. Byłem zdecydowany działać. Wiedziałem, co mam robić, a precyzyjniej mówiąc - gdzie mam to robić. Musiałem się jakoś dostać do pokoju dyrygenckiego.

Tylko jak? I czego, u diabła, miałem w nim szukać?!

Rozdział XVI

Niedziela cd

Sebastian Mars robił wrażenie zniecierpliwionego.

- Bartek, gdzie obaj przepadliście?
- Musieliśmy trochę poszaleć z Estonem. Dziękuję panu za kartkę, choć na razie niewiele mi rozjaśniła w głowie.
- Nie ma za co. Ale posłuchaj, teraz rzecz idzie o coś innego. Odwiedziłem ponownie mamę. Okazało się, że cały wczorajszy wieczór spędziła na poszukiwaniu drugiego zdjęcia z Rosenbergiem. I znalazła, tyle tylko że zamierza je pokazać, dopiero jak przyjdziemy razem. Bez wdawania się w zbędne szczegóły powiedziałem jej, że próbujesz rozwiązać zagadkę Rosenberga. Zastanawiam się, czy to dlatego zapałała do ciebie taką sympatią. Ale tak, jak mówiłem, jej nastroje często ulegają zmianie - było to kolejne, delikatne określenie igraszek, jakim pamięć starszej pani podlegała - jeśli teraz akurat się zdrzemnie, po przebudzeniu może już nie mieć ochoty na kontynuację tematu. Więc ja pójdę do niej od razu, a ty przyjdź, jak tylko będziesz mógł.

- W porządku, odprowadzę Estona i przyjdę.

Ten poważny mężczyzna stawał się nieomal sztubakiem, gdy na horyzoncie pojawiała się jego matka. Jednak mnie również zależało na jak najszybszym obejrzeniu drugiego zdjęcia. Poprzednie przyniosło znakomitą odpowiedź na jedno z kluczowych pytań. Choć naiwnością było oczekiwać, że i dzisiaj wydarzy się coś podobnego, to czy istniał jakikolwiek inny punkt zaczepienia?

Zastukałem do drzwi i delikatnie nacisnąłem klamkę. Pochłonięci rozmową matka i syn nie zauważyli mojego wejścia. Jedyne słowo, które usłyszałem, a wypowiedziała je pani Adela, brzmiało:

- ...Antosia...

Antykwariusz zmieszał się nieco na mój widok. Domyśliłem się, że niewytłumaczalna sympatia, jaką starsza pani raczyła mnie obdarzyć, może mieć konkretny powód: przypominam jej jakiegoś Antosia, pewnie bliską sercu znajomość z dawnych lat. Ale wdzięczny byłem losowi za zbieg okoliczności, który zapewnił mi jej przychyłność.

W pokoju panował półmrok, taki sam jak poprzedniego dnia. Zapewniały go wiecznie zasunięte zasłony; wiszące lub stojące lampy podświetlały jedynie poszczególne fragmenty pomieszczenia. Dla matki antykwariusza

świat zewnętrzny zdawał się nie istnieć. Owszem, poznawała go z gazet i czasopism, ale traktowała jak coś nierealnego, istniejącego tylko na kartach powieści. A ten prawdziwy, pełen przesuwających się sylwetek i zdarzeń, tkwił głęboko, zarejestrowany na kliszach wspomnień.

Pani Adela spojrzała na mnie przenikliwie - odnosiłem wrażenie, że Sebastian Mars lekko przesadza, mówiąc o jej kłopotach z pamięcią, tak bystry był to wzrok - ale z wyraźną sympatią. „Może ten Antoś był jakimś przedwojennym ułanem?”, pomyślałem.

- Bartosz Antoni Czarnoleski, oficer Ósmego Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego.

Hm, to brzmiało niezłe. Ułańska fantazja wbiła wyobraźni ostrogi i nagle ujrzałem siebie na koniu, w mundurze, wywijającego szablą i śpiewającego hymn Ósmego Pułku:

Ostra szabla, ostra buzia to ułani księcia Józia... - Kiedyś wpadła mi w ręce książeczka, śpiewnik, zawierająca rymowane motta poszczególnych ułańskich pułków. Kilka z nich pamiętałem do dzisiaj.

Dzieci Marsa i Wenery, pułk ułanów numer cztery - chyba ze względu na proste skojarzenie, przyszło mi do głowy genialne dziecko Sebastiana - Marsa i Sabiny - Wenery.

Mina tęga, a łeb pusty to ułanów jest pułk szósty - ciekawe, czy chętnie identyfikowali się z treścią przyśpiewki?

Jedzie ułan z dziesiątego, wyją psy na widok jego - dlaczego?

Hej, dziewczęta, w górę kiecki! Jedzie ułan jazłowiecki! - hę?!?

Naszą oto jest sałata, dwadcat' pierwszy tra-ta-ta-ta - ta sałata to chyba od koloru proporca. Ale czy nie piękne?

Ej, to musiały być czasy... Jakieś mniej skomplikowane jakby. A może tak się tylko po latach wydaje?

- Spójrzcie, mówiłam, że drugie zdjęcie jest sympatyczniejsze. – Głos starszej pani zabrzmiał jak trąbka wzywająca na capstrzyk dnia dzisiejszego.

Naszym oczom ukazały się te same dwie dziewczynki - chyba młodsze jeszcze i bardziej roześmiane - oraz Szymon Rosenberg we własnej osobie, również z szerokim uśmiechem na twarzy. Każde z nich trzymało na rękach szczeniaka. Trzy prześmieszne, łaciate kuleczki wijące się jak małe węże, by czym prędzej znaleźć się na pewnym gruncie podłogi.

- Ten, którego trzyma Zośka, to Opus, najbardziej artystyczna natura z trójki huncwotów. Pan Rosenberg trzyma Opasa; to był żarłok niewiarygodny. A u mnie na rękach jest Opos; miał taką szczurzą mordkę.

Odjęło nam mowę. Oto po raz drugi w ciągu kilkudziesięciu zaledwie godzin w cichym, leżącym jakby na uboczu świata pokoju pani Adeli łapałiśmy zerwaną przed laty przędzę. Skojarzenie z wróżką, które wczoraj przyszło mi do głowy, teraz już nie wydawało się bezpodstawne...

A więc jednak! Kartka z batuty miała ukryty sens!

Co prawda Rucacelli mówił o kotach; malował je, układał wierszyki... Może celowo? Może był ostrożniejszy, niż nam się wydawało? Może i on zaczął podejrzewać, że Wandą kieruje coś więcej niż tylko zauroczenie? I dlatego miotał się między chęcią uchylenia rąbka rozpierającej go tajemnicy a obawą, by nie powiedzieć za wiele?

Teraz należało tylko - bagatela! - dokonać wykładni ostatniego zdumiewającego odkrycia...

Podziękowaliśmy bardzo serdecznie starszej pani za skarby pamięci, którymi zechciała się z nami podzielić. Czułem się w obowiązku powiedzieć coś sensownego.

- Wyłącznie dzięki pani udało nam się poznać dwie największe pasje pana Rosenberga - najbardziej niesamowite wydawało mi się, że mówimy o nim jak o bardzo konkretnej i każdemu na swój sposób bliskiej osobie.

Żegnając się, odniosłem wrażenie, że tym razem starsza pani rzeczywiście marzy o drzemce. Ale w progu zatrzymał nas jej czysty i wyraźny głos:

- Dwie największe pasje ojca Zosi? Nie wydaje mi się.

- Mamo, co chcesz przez to powiedzieć?

Wydawało się, że prawdopodobieństwo wyciągnięcia mylnego wniosku było bliskie zeru. A jednak... Czułem się jak uczeń, który udzielił niewłaściwej odpowiedzi. Więc jak brzmiała poprawna? Czekaliśmy w napięciu. Czy dobra wróżka raz jeszcze - do trzech razy sztuka - zechce naprowadzić nas na właściwy trop?

- Więc nie szachy i psy? - antykwariusz był zdezorientowany w najmniejszym stopniu niż ja.

- Szachy tak. Ale psy nie. Te trzy szczeniaki znalazły się w ich domu tylko dlatego, że Rosenberg znalazł je porzucone przy drodze. To nie był człowiek, który mógł pozostawić bez opieki bezbronne stworzenia. Ale posłuchajcie, prawdziwą jego pasją były koty. Tak, prócz trzech psich znajd po domu dumnie paradowały cztery koty. Zwierzęta, od małego wspólnie wychowywane, nie tylko się nie gryzły, ale wręcz przyjaźniły. To było szczęśliwe stadko... - Pojęcie stadka rozciągało się chyba na całą rodzinę Szymona Rosenberga. - Nie, nie - pani Adela odczytała nasze pytające spojrzenia - na zdjęciu ich na pewno nie znajdę, mówiłam wam, że mam

tylko dwie fotografie z Zośką i jej ojcem, ale... zaraz... poczekajcie... coś mi się kołacze po głowie... Może to dziwne, bo tyle faktów zatarło i zaciera się w pamięci... Ale tę wyliczankę pamiętani. Zawsze gdy bawiłyśmy się w chowanego, Zosia ją recytowała:

*Czarna, ruda, biały,
bury, dwie kociczki, dwa kocury,
będziesz szukać cały rok,
Wera, Kisia, Bas i Trok.*

Poczułem, jak zalewa mnie fala gorąca. Czy starsza pani była wysłaniczką niebios, mającą w krytycznych momentach wskazywać nam właściwy kierunek?

W wielu utworach muzycznych, zwłaszcza w ostatnich częściach dużych form, są takie momenty, idiomy melodyczne lub harmoniczne - mógłbym określić je z dokładnością do taktu - które zwiastują ostateczne rozwiązanie wszystkich splecionych wątków. W przedziwnym, niekończącym się *Allegro* mijającego tygodnia to była właśnie owa chwila. Czy muszę tłumaczyć dlaczego?

Wątpliwości się rozwiały.

Notatka, która w pierwotnej, zamazanej wersji brzmiała:

*Ba\$ (.), a
(Ji.ia . .ok*

a po staraniach eksperta uzyskało formę:

*Bas W.ra
Ki, i a T.ok*

rozkwitła w końcu pełnym - pierwotnym i ostatecznym kształtem:

*Bas Wera
Kisia Trok*

BAS - WERA – KISIA - TROK

Niedoceniany świstek papieru, który dziesięciolecia spędził ukryty w batucie, wyjęty z niej doprowadził kogoś do łez, a z pudła fortepianu trafił w moje ręce, teraz dopiero rozjarzył się właściwym blaskiem.

Kartka bez batuty, ale i batuta bez kartki traciły połowę swojej mocy. Dopiero razem tworzyły dublet niezbędny i wystarczający zarazem do odkrycia tajemnicy i otwarcia jej. Nie dziwiło już, że byli na tym padole ludzie gotowi na wszystko, by go zdobyć.

Znajdowaliśmy się na najgorętszym z gorących tropów. Jak się miał do równoległego, którym podążali Włosi, nie miałem pojęcia.

Niedawno mówiłem, że stosując do określonego problemu odrębne założenia, nie można dojść do tożsamyh wniosków. Może to błąd logiczny? A może dowód na to, że błędzi któraś ze stron. Ale eksplozja znaczenia, jakie przyniosła ze sobą niewinna dziecięca wyliczanka, kazała nam wierzyć, że to niekoniecznie my musimy się mylić. Istniała możliwość, że nasi przeciwnicy zagarnęli ostatni element układanki, ale bez znajomości poprzednich był on bezużyteczny. To samo zresztą mogło odnosić się do nas.

Czy jednak w momencie, w którym trochę dzięki szczęściu, trochę dzięki konsekwencji i intuicji dotarliśmy do kluczowego momentu poszukiwań, należało być pesymistą? Bezwzględnie nie! Aby ostatecznie potwierdzić nasze przypuszczenia, antykwariusz wyciągnął z sejfu notatkę znaną wewnątrz batuty. Ja wziąłem kartkę z ostatnią wersją zrekonstruowanego napisu.

Nie było wątpliwości, Opus, Opas i Opos zdradziły swoją tożsamość. Lecz to nie one strzegły wejścia do korytarza dyrygenckiego, bo wedle słów matki Sebastiana Marsa, nie stanowiły jednej z dwóch powszechnie znanych pasji architekta. Więc co robiły na kartce? Przyszła mi do głowy myśl bardzo dziwna, by nie rzec absurdalna, ale nie mogłem się jej oprzeć: Rosenberg dokooptował je do kociej gwardii, by wspólnie strzegły tajemnicy, choć wyjawienie jej miało ostatecznie przypaść w udziale hultajskiej czwórce.

Kot Rucacellego też wskoczył nagle na właściwe miejsce. Dyrygent rozwiązał zagadkę, wiedział, kto jej strzeże, i nie mógł się powstrzymać, by nie uchylić przynajmniej jej rąbka, który niewtajemniczonym, nic, rzecz jasna, nie mógł powiedzieć. A dziewczynę musiało to frustrować. Ciągłe nagabywana przez Jędrzeja, domyślała się, że gra idzie o dużą stawkę. Zgadywała, że rysunek i wierszyk mogą mieć związek z tajemnicą. Ale mogła to również odbierać jak igraszki z piękną idiotką.

Pan Sebastian wyciągnął z sejfu coś jeszcze. Coś, od czego wszystko się zaczęło, a co było coraz bliższe spełnienia swojej dziejowej roli.

Batuta-klucz.

- Chyba już pora, żeby ci to oddał.
- Tak, chyba tak, ale... muszę się zastanowić.

Chciałem znaleźć się w pokoju dyrygenckim jeszcze dzisiaj. Pragnąłem odnaleźć i odkryć to, co odnaleźć i odkryć będę w stanie. Wiedziałem, że drogę do celu mogę odnaleźć tylko poprzez koty. Gdzie w tym niezwykłym pomieszczeniu mogły się ukrywać? - nie miałem pojęcia. Ale najpierw musiałem się dostać do samego pokoju, a przedtem jeszcze - do filharmonii.

Tylko jak?

Niestety, moje możliwości uległy w tym aspekcie dramatycznym ograniczeniom. Miałem wiele szczęścia, napotykając na swej drodze zyczliwego portiera, lecz limit bezproblemowych wejść do budynku został wyczerpany. Zresztą z tego, co wiedziałem, pan Zenon miał dzisiaj wolne. Trudno było znaleźć dobry powód, dla którego ktoś inny zechciałby mnie wpuścić do środka, zwłaszcza że - nie zapomniałem - jest niedziela.

- A może lepiej poczekać? Albo zawiadomić policję i pozwolić im działać?

- Panie Sebastianie, poczekać, na co? Aż tamci nas wyprzedzą? Zawiadomić policję - o czym: że cztery koty z dziecięcej wylizanki strzegą skarbu?

- Bartku, ale ty jutro grasz przesłuchanie. - Słowa antykwariusza zabrzmiały mało przekonująco.

- No właśnie. Jeśli ktoś nam uwierzy i zacznie poszukiwania, to idę o zakład, że audycja się nie odbędzie; zostanie odwołana. To ostatnie, czego bym w tej chwili chciał. Mam za sobą może najbardziej zwariowany tydzień swojego życia. A przed sobą dwa cele, do których pozostały już tylko dwa kroki. Panie Sebastianie, ja muszę się dziś dostać do pokoju dyrygentkiego, a jutro stanąć do konkursu, nawet jeśli i jedno, i drugie skończy się fiaskiem. Gdy jednak coś odkryję, zachowam to dla siebie i pana aż do jutrzejszego popołudnia. Pierwsze, co zrobię po audycji, to poinformuję o wszystkim nadkomisarza Bielskiego. Potem niech mi zetną głowę, wszystko mi jedno. Ale nie wycofam się na ostatnich metrach przed metą.

Tydzień temu o podobnej porze dyrygent Damian Rucacelli przygotowywał się do poprowadzenia *K Symfonii* Beethovena i zapowiadał konferencję prasową na następny poranek. Parę godzin później otarł się o śmierć. Historia zatoczyła koło. Miałem nadzieję, że dla mnie okaże się łaskawsza i finał dnia nie będzie próbował dorównać dramatyzmowi ubiegłotygodniowych wydarzeń. Dzisiaj ja znalazłem się na miejscu Rucacellego. Oczywiście z kilkoma różnicami. Moją symfonią Beethovena miało być przesłuchanie do orkiestry i to dopiero jutro. Konferencji nie zwoływałem, bo nikt by na nią nie przyszedł. Mało tego; do chwili obecnej oprócz starego buta nic jeszcze nie znalazłem.

Ale miałem zamiar. Choćbym musiał się włamać.

Myślałem intensywnie; w wyobraźni obiegłem cały budynek dookoła, piętro po piętrze. Gdy byłem na drugim, zobaczyłem nagle wybitą przez włamywaczy szybę. Według słów pana Zenona, nowa miała zostać wstawiona dopiero po niedzieli. Tymczasowo otwór zabezpieczono drewnianą płytą.

Już wiedziałem, jak dostanę się do środka. I to bezpośrednio do interesującego mnie pokoju.

Antykwariusz nie był zachwycony moim pomysłem. Musiałem długo i cierpliwie tłumaczyć, że gzyms na wysokości drugiego piętra ma dobre pół metra szerokości. Właśnie po to, by bezpiecznie się po nim poruszać, gdy od czasu do czasu zachodziła potrzeba czyszczenia secesyjnych dekoracji, zdobiących fronton budynku. W takim przypadku można się nań było dostać z balkonu, ja musiałem jednak zastosować drogę odwrotną. Dwa wieczory wcześniej przyjrzałem się, w jaki sposób dostali się do pokoju i uciekli z niego złodzieje. Na tylnej ścianie gmachu znajdowała się drabinka ewakuacyjna. Na ile mogła spełniać swoją funkcję - pozostawało pytaniem otwartym, ale do celów włamywaczy nadawała się w zupełności. Wspięcie się po niej na drugie piętro, również dla mnie nie powinno stanowić problemu.

Prawdę mówiąc, to nie wspinaczki się obawiałem. Inna myśl budziła mój niepokój, towarzysząc groźnym kontrapunktem nawet wtedy, gdy mówiłem i robiłem coś zgoła odmiennego. W miarę logicznie - zdawało mi się - wyodrębniłem dwie grupy, które oprócz nas na różne sposoby próbowały zgłębić tajemnicę Rosenberga. O ile pierwsza z nich, banda Ryżego, materialnie i moralnie sponsorowana przez Jędrzeja, wypadła z gry (takie przynajmniej przyjąłem założenie), o tyle druga skrywała się gdzieś w mroku. Dwie księżycowe sylwetki odpowiedzialne za próbę zabójstwa Rucacellego, przeszukanie mojego poddasza, atak na antykwariat oraz kradzież obrazu i rzeźby z gabinetu dyrygenckiego czaiły się gdzieś w pobliżu. Czulem to przez skórę. Nie wiedziałem, co zyskali, kradnąc obraz i popiersie; czy dostarczyły wystarczających wskazówek, aby nasi przeciwnicy samodzielnie ukończyli partię?

Uświadomiłem sobie nagle, jak wielkim błędem było prowizoryczne tylko zabezpieczenie pokoju. Przecież jeśli przestępcy weszli tam raz, to równie dobrze mogli powtórzyć operację i zaplombowane drzwi, a już na pewno drewniana płyta, nie stanowiłyby dla nich większego problemu. Niemniej i ja dostrzegłem tu swoją szansę.

Ale tak w ogóle jakie środki bezpieczeństwa należało podjąć? Czy gmach miał być strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę przez uzbrojony patrol policji? W jakim celu? Byłoby to nielogiczne, bo włamanie i kradzież miały już miejsce, a o hipotetycznych skarbach ukrytych nieco głębiej nikt nic nie mógł przecież wiedzieć. Czy może należało założyć alarm? Należało, oczywiście, że należało i to już dawno temu. Byłem

pewien, że kradzież *Filharmonii* Piotra Siemielnianego spowoduje zainstalowanie go (po szkodzie...), ale w tej szczególnej sytuacji cieszyłem się, że od decyzji do realizacji musi minąć trochę czasu. Nawet, jeśli dyrekcja filharmonii już uznała, że budynek należy otoczyć niewidzialną siatką elektronicznego nadzoru, to przecież wszystko działa się tak szybko, a w dodatku w weekend.

Reasumując: od dwóch dni, od chwili kiedy mafiosi w ekwilibrystycznym balecie opuścili po gzymsie i drabinie filharmonię - z *Filharmonią* i jej patronem pod pachą - nie widziałem ich i o nich nie słyszałem. Albo więc dopięli swego i wkrótce przekonam się, że znowu, tym razem ostatecznie, mnie wyprzedzili, albo przyczaili się i czekają na mój ruch, sami nie mając pomysłu, co dalej. Ponieważ istniała taka możliwość, postanowiłem wyprawie do filharmonii nadać charakter ściśle tajny. Antykwaryusz ostatecznie zaakceptował pomysł - a przekonał go argument nie do podważenia: innej drogi po prostu nie było. Ten stateczny pan był w gruncie rzeczy niezłym szaleńcem, szczególnie w sprawach związanych z jego profesją i pasją zarazem. Perspektywa rozwiązania wojennej zagadki i być może odnalezienia cennych eksponatów, spowodowała, że tryskał energią, pomysłowością i żądzą czynu, a jedynie dla przyzwoitości próbował mnie powstrzymać. Gdyby jednak udało mu się mnie zniechęcić, nie jestem pewien, czy sam nie spróbowałby wspinaczki na mury.

Na tyłach antykwariatu znajdowało się wyjście, o istnieniu którego nie wiedział chyba nikt oprócz właścicieli. Rzadko kiedy używane, bo i potrzeby brakowało, zdawało się cierpliwie czekać na dzisiejszą unikalną okazję.

Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że trzeba zaryzykować i to jeszcze dziś wieczorem. Wiedziałem, dokąd idę i jak się tam dostać. Innymi pytaniami na razie nie dręczyłem wyobraźni, bo i tak kilkakrotnie zmroził ją powiew paniki.

Sebastian Mars był w swoim żywiole. Postanowił zaopatrzyć mnie dodatkowo w kilka cennych rad, wskazówek i niezbędny jego zdaniem ekwipunek.

- Po pierwsze, jeśli odnajdziesz sejf, nie otwieraj go, zanim nie zamkniesz wjazdu, bo różnica temperatur, wilgoci et cetera, mogłaby uszkodzić jakąś wrażliwą materię. Po drugie, wszystkie czynności wykonuj w jedwabnych rękawiczkach - to mówiąc, wręczył mi je. - Jeśli będziesz chciał ruszyć lub przemieścić któryś ze znalezionych przedmiotów, rób to z najwyższą ostrożnością. Najlepiej byłoby, abyś ich w ogóle nie dotykał, zwłaszcza starodruków.

Zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie byłoby najlepiej, gdybym w ogóle tam nie poszedł.

- Po trzecie, spróbuj zrobić zdjęcia. Aparat zaraz ci dam. Odnalezione przedmioty postaraj się sfotografować bez ruszania ich z miejsc, a jeśli to będzie niemożliwe, uważaj, jakby każdy z nich był kryształowym jajkiem. Jeśli będzie zachodzić najmniejsza nawet obawa, że poruszenie może któremuś zaszkodzić, błagam cię, nie dotykaj go!

Musiałem to wszystko obiecać panu Sebastianowi, choć jego polecenia trochę już mnie irytowały i odbierały spokój.

- To aparat o dobrych proporcjach najważniejszych parametrów, dodatkowo wyposażony w specjalną lampę - zaczął znowu antykwariusz, powierzając mi jakieś cudo japońskiej techniki - której światło jest nieszkodliwe dla starodruków. Kiedy uda ci się udokumentować istnienie sejfu i utrwalić jego zawartość na zdjęciach, zamknij wszystko i zostaw w takim stanie, w jakim zastałeś.

- Panie Sebastianie, czy sądzi pan, że Rucacelli zachowywał te same środki ostrożności? Przecież on mógł tam wszystko powywracać do góry nogami.

- Mógł, ale po pierwsze, nie jest idiotą, a po drugie... jaką mamy gwarancję, że naprawdę odnalazł i otworzył sejf? Może odnalazł tylko tajne wejście, wstrzymał się do konferencji prasowej albo jakiegoś innego momentu?

Niezapomniany wieczór... Obiecywał Wandzie niezapomniany wieczór. Wiedział już wszystko, ale finał chciał trochę pocelebrować. Dyrygent; jakby nie było, facet z niezłym wyczuciem dramaturgii. Do tej pory nie brałem tego pod uwagę, ale Sebastian Mars mógł mieć rację. A ja mogłem stać się pierwszym od czasów wojny człowiekiem, który dotrze do schowka.

Jeśli dotrze. A jego istnienie się potwierdzi. I nie został w międzyczasie оголоzony.

Ciągle ten tryb warunkowy. Ale przecież trzeba było twardo stąpać po ziemi; należało wkalkulować możliwość fiaska i być na nie przygotowanym.

Czułem się trochę jak uczeń przed klasówką, jednak musiałem przyznać, że uwagi antykwariusza znowu miały bardzo konkretne uzasadnienie. Powtórzyłem więc wszystko raz jeszcze, zapoznałem się z działaniem powierzonego sprzętu. Do niewielkiego plecaka, który zamierzałem ze sobą zabrać, włożyłem dodatkowo: większą i mniejszą latarkę, krótką, lecz solidną linkę, składany nóż i niewielki czekanik.

Z takim bagażem przedmiotów i nadziei rozpocząłem swoją wieczorną wyprawę.

Pan Sebastian miał czuwać przy telefonie, by w razie potrzeby służyć radą lub zawiadomić kogo trzeba - zgodnie nie wymieniliśmy nazwy żadnej ze służb, ale nie było wątpliwości, że myślimy o policji, pogotowiu, a może i straży pożarnej...

Wymknąłem się tylnymi drzwiami. Na początku kluczyłem trochę, zatrzymując się kilkakrotnie w napotykanym bramach. Nikt jednak za mną nie podążał. Ubrany na czarno, czułem się jak cień, jak duch - prawie niewidzialny. Ta część wyprawy przebiegała bez zakłóceń, a wspinaczka okazała się nawet prostsza, niż mogłem przypuszczać. W porównaniu z ekwilibrystką na barierze jaskółki wydawała się wręcz dziecinnie łatwa. Może dlatego, że byłem do niej właściwie - mentalnie i wyposażeniem - przygotowany. Największe niebezpieczeństwo groziło ze strony oblodzonych w niektórych miejscach parapetów, lecz odpowiednie, pokryte od spodu antypoślizgową warstwą sportowe buty zmniejszyły ryzyko upadku.

Aż do chwili, kiedy prawa noga, której na moment powierzyłem ciężar ciała, zdekoncentrowana pozorną bezproblemowością wspinaczki, trafiła na wyrwę w murze. Stopa zsunęła się kilka centymetrów i utkwiała zakleszczona między dwiema cegłami. Zachwiałem się, i w popłochu próbowałem odzyskać utraconą równowagę. Rozczapierzone dłonie rozpaczliwie szukały jakiegokolwiek oparcia w murze. Żałowałem, że nie jestem żabą; brakowało mi jej przyssawek. Znowu zaczynał się festiwal pobożnych życzeń. O ile jednak mogłem wyrzucać sobie nieuprawianie sportu, baletu lub fitness, o tyle oskarżanie się o niebycie płazem nie miało racjonalnych podstaw. A jednak cudem jakimś udało mi się przywrzeć do ściany. Lewa noga zastygła w pozycji zwiastującej gotowość do modlitwy...

Po chwili, kiedy poczułem, że odzyskuję kontrolę nad ciałem, z całą ostrożnością podjąłem próbę uwolnienia uwięzionej stopy. Nie mogłem nią poruszyć ani w górę, ani w dół. Pozostawała jedyna możliwość. Jak na zwolnionym filmie, wysunąłem stopę do tyłu, opierając tym razem ciężar ciała na nodze lewej, a całą szerokością ramion przyciskając się do zimnego muru. Jeszcze chyba nikt tak się nie przytulał do filharmonii. Przed chwilą chciałem być żabą, teraz marzyłem, by stać się ptakiem.

Przypomniała mi się widziana kiedyś w parku grupka ludzi ćwiczących tai-chi. Każdy ich ruch, spokojny i kontemplacyjny nieomal, zdawał się mieć za cel przede wszystkim niezaburzenie wewnętrznej i zewnętrznej

równowagi. Wyobraziłem sobie, że jestem jednym z nich. Tylko całkowite opanowanie mogło mnie uratować. Noga łagodnie wysunęła się z ceglanej pułapki. Wolno, unikając jakiegokolwiek zbędnego wahnięcia, wyprostowałem ciało i już wiedziałem, że jestem ocalony. Dopiero kiedy stanąłem pewniej, wyobraźnia ukazała mi, co mogło się wydarzyć. Teraz już mogła. Oczekałem chwilę, by odzyskać spokój i pełną sprawność, i wznowiłem wędrówkę po gzymsie. Od tej chwili, nim w pełni zaufałem którejś ze stóp, najpierw dokładnie badałem nią podłozę. Nie mogłem pozwolić sobie na jeszcze jeden moment dekoncentracji.

Wkrótce znalazłem się na wysokości okrągłego okienka. Teraz przydał się czekanik. Uwolniłem od gwoździ, pełniącą służbę zastępczą, drewnianą płytę. Jeszcze chwila i byłem w środku. Prowizoryczna przesłona wróciła na swoje miejsce. Nikt z zewnątrz nie powinien wiedzieć, że w pomieszczeniu znajduje się nieproszony gość. Dla bezpieczeństwa zamierzałem posługiwać się wyłącznie latarką, lecz nawet tak wątłe światło mogło zostać zauważone, a nauczony doświadczeniem starałem się minimalizować zbędne ryzyko.

Posiedziałem chwilę na podłodze, oparty plecami o ścianę pod oknem. Miałem dość wspinaczek, dość sytuacji, które do tej pory mogły spotkać mnie jedynie w koszmarnym śnie, a od kilku dni przydarzały mi się codziennie. Czy naprawdę ja, muzyk, musiałem dostawać się do filharmonii i opuszczać ją tak ryzykownymi, komandoskimi nieomal metodami? Odpowiedź nasuwała się sama. Oczywiście że nie musiałem; robiłem to z własnego wyboru. Jeśli jednak postanowiłem doprowadzić sprawę do końca, to czy miałem wybór? Nie, trzeba było działać niestandardowo. Udzieliwszy sam sobie odpowiedzi, przeniósłem się raz jeszcze myślą w przeszłość.

Jak do gmachu dostawał się Rosenberg? O ile Michalewicz jedynie objaśniał uciekinierom drogę ucieczki, o tyle architekt musiał doń wchodzić co najmniej kilkakrotnie. W okupacyjnych warunkach mogło to budzić podejrzenia. Wszak nie był muzykiem, a nikogo już pewnie nie obchodziło, że jego projektowi i staraniom zawdzięczała filharmonia remont i przebudowę. A może miał swojego pana Zenka? Michelangelo wspominał w wywiadzie, że cały system był dobrze zorganizowany, a tak precyzyjnej i ryzykownej zarazem działalności nie sposób przygotować i prowadzić bez współdziałania zaufanych ludzi.

Jak było, tak było. W tej chwili to również nie miało znaczenia. Ale parę chwil odpoczynku pozwoliło mi nabrać sił do kontynuowania misji. Nagle dotarło do mnie, jak blisko celu się znajduję. Odporność na niezwykle

wydarzenia wydatnie mi się w ostatnim tygodniu poprawiła. A jednak, to gwałtowny skurcz serca dał hasło: zacznij działać!

Musiałem odnaleźć cztery koty, które ukryły się gdzieś w tym pokoju. Miały mi w tym pomóc dwa czterowiersze: dziecięca wyliczanka i próbka liryczna Rucacellego. Kota z serwetki nie traktowałem jako szczególnie pomocnego w odkryciu prawdy. Nazwałbym go raczej kotem ogólnym lub ukierunkowującym. Albo jeszcze inaczej: doskonale symbolizował kota, którego dyrygent dostał po rozmowie z Michalewiczem. Musiał wiedzieć, że Wera, Kisia, Bas i Trok to były kocie imiona i że to one właśnie stoją na straży schowka.

Jędrzeja opętała batuta - Wanda nazywała to chorobą - a Rucacellego koty, ale maestro od początku był o duży krok do przodu.

A co opętało mnie? Chyba wszystko razem. Zdałem sobie nagle sprawę, że przez ostatnie dni żyję jak na haju, w stanie permanentnej euforii, choć moje koszta własne wcale nie są małe.

*Stałem pod niebem, patrzyłem w gwiazdy,
odkryć musiałem cztery spojrzenia,
dopiero twoje oczy mnie natchnęły,
jutro zabiorę cię tam ze sobą.*

*Czarna, ruda, biały, bury,
dwie kociczki, dwa kocury,
będziesz szukać cały rok,
Wera, Kisia, Bas i Trok.*

„Odkryć musiałem cztery spojrzenia”... „Wera, Kisia, Bas i Trok...”.

Wyglądało na to, że kluczowa informacja zawiera się w liczbie cztery. Dlaczego jej oczy go natchnęły? Gdyby ten wers brzmiał: dopiero twoje koty mnie natchnęły, wszystko byłoby prostsze. No dobrze, ale przecież ja wiem, że chodzi o koty. A z tymi oczami to chyba bardziej taka figura stylistyczna?

Dość teorii.

Chwyciłem dużą latarkę i zacząłem zataczać nią kręgi po muzycznej spirali. Od początku do końca, od końca do początku, całościowo, wrywkowo, przekątnie, równolegle, wzdłuż i wszerz i... nic.

Postanowiłem poświęcić więcej uwagi tym polom szachownicy, gdzie nie było podobizn kompozytorów. Starłem się przeanalizować każdą rysę,

każdą szczelinę i... znowu nic. Owszem, na jednej z płyt sąsiadujących z Brahmssem zauważyłem, delikatnie, acz szlachetnie wygrawerowane inicjały: R.S.

Nawiedziło mnie skojarzenie z napisami wyrzynanymi przez zakochanych lub sfrustrowanych uczniów na szkolnych ławkach. Ulubionym dziełem gatunku, które moja pamięć przechowywała z uporem godnym lepszej sprawy, był ujrzany w pierwszej klasie tekst: love krowę. Niedostatek ogonka u poczciwej krowy złagodzony został poprzez budzący tajemny dreszcz wyraz „love”, wymawiany naoczas fonetycznie, a jednak, że tak powiem, zapładniający wyobraźnię ukrytym znaczeniem.

Obecność w takim miejscu podobną techniką, choć z artystyczną dbałością uczynionej inskrypcji zdumiała mnie jednak, a pytanie, kto i dlaczego zdecydował się na uwiecznienie dwóch liter? - otwierało niepoślednie pole dla imaginacyjnych dociekań...

...Oto do gabinetu zakrada się wzburzony miłośnik muzyki Richarda Straussa, który dowiedziawszy się, że jego idol nie znalazł miejsca w panteonie sławy, z błyskiem szaleństwa w oczach zaczyna wycinać w drewnie choć inicjały mistrza. Robi to jednak starannie, nie chcąc profanować sufitu, który również w jego oczach jest wybitnym dziełem sztuki... Oczywiście... Rozhulana wyobraźnia natychmiast odnalazła aktora właściwego do odegrania tej sceny. Był nim Marty Feldman, niezapomniany bohater filmów Mela Brooksa, obdarzony wytrzeszczem tak cudownym, że do dzisiaj nie wiem, czy stanowiło to efekt zabiegów charakteryzatorskich (jeśli tak, to chciałbym je zobaczyć...), czy też naturalny dar niebios?

Niestety, to odkrycie i spowodowane nim myślowe harce nie posuwały mnie do przodu... Wręcz przeciwnie, wyczułem w nich przecucie porażki. Czym prędzej wróciłem więc do główek.

Kilka razy zdawało mi się, że w kompozytorskich wąsach dostrzegam kocie motywy, ale to zmęczony wzrok zaczął mi już płać figle. W ruchomym świetle latarki podobizny mistrzów zdawały się ożywać. Wyrzeźbione twarze uśmiechały się coraz bardziej ironicznie, jakby pytając: no, dalej, który z nas jest kotem?

„Czarna, ruda, biały, bury...” Mój Boże. Czy chodziło o czarną i rudą brodę oraz biały i bury wąs? Ale jak właściwie wygląda bury wąs? W swojej dziecinnej prostocie ta zagadka była upiornie trudna i niezrozumiała. Z wiary i nadziei, w które uzbrojony wyruszałem na wieczorną wyprawę, została już tylko ta druga...

Olśniony nagłym błyskiem, spróbowałem debiutu Nimzowitscha. Ale to by było zbyt proste. Tym razem arcymistrzowskie otwarcie okazało się nieprzydatne.

Zmęczony, mokry od potu - nie przyszło mi do głowy, żeby zdjąć z siebie czarną, quasi-komandoską kurtkę - siadłem znowu na ziemi. Kręcenie kółek po suficie przypominało uganianie się za fatamorganą. Prowadziło do szaleństwa, lecz nie przybliżało do celu. Odpowiedzi musiałem szukać w głowie.

Siedząc tak, zrozumiałem, co zatarło napis na kartce z batuty. Rucacelli musiał trzymać ją w ręku, poszukując odpowiedzi na pytanie, które dzisiaj stało przede mną. Krople potu - bo chyba jednak nie łzy - gęsto padały z jego czoła. Kilka z nich wylądowało na papierze, a wystarczyło, że przesunął po nim rękawem i napis stracił czytelność... Wkrótce potem nie był mu już potrzebny; dyrygent odnalazł właz, a kartkę w podekscytowaniu automatycznie zgniótł i rzucił przed siebie. Przypadek zrządził, że wylądowała wewnątrz otwartego fortepianu.

- Panie Czarnoleski, pan Rucacelli rozwiązał zagadkę; ba, zakodował ją nawet ponownie w dziesięcio- (w porywach jedenasto-) zgłoskowcu dla Wandy. Rusz pan swoim altowiolistycznym mózgiem, bo będzie wstyd. - Tej treści monolog wewnętrzny ponownie mnie uaktywnił.

Stałem pod niebem...

Pod niebem, pod muzycznym nieboskłonem. To musi być alegoria sufitu.

Patrzyłem w gwiazdy...

Kim były gwiazdy na suficie? Oczywiście, kompozytorami. Na razie wszystko wydawało się klarowne.

Odkryć musiałem cztery spojrzenia...

Tajemnicy strzeże czwórka kompozytorów. Aż czterech. To znaczy, że żaden z osobna nic tu nie zdołał. Dopiero ich komplet udzielił pożądaną odpowiedź. Ale, na Boga, którzy to? Która czwórka z sufitu ma coś wspólnego z kotami?

Dopiero twoje oczy mnie natchnęły...

No, to już chyba nie wskazówka, raczej wyznanie.

Jutro zabiorę cię tam ze sobą...

To z kolei jawna deklaracja. Już tylko konsekwencja odkrycia prawdy plus zauroczenia oczami - choć nie jedynie, jak sądzę - pięknej dziewczyny. A nie mógł to maestro jakoś prościej a czytelniej? Powiedzmy, tak:

Włazł kotek na sufit w komnacie

Przybrany w granatowe gacie.

Tu na przykład mógłby zakończyć część zagadkowo-informacyjną i zwrócić się bezpośrednio do dziewczyny:

*Nastanie, koteczku, dla nas czas
Pocałuj mnie teraz jeszcze raz...*

No tak, ale to był jego wiersz, nie mój. I jego licentia poetica. Dużo, dużo bardziej wystawna niż Jędrzeja. I... moja. Wszystko, co przychodziło mi do głowy, było jedynie świadectwem niemocy. Nie wiedziałem, jak się zabrać do sprawy. A czas płynął.

„Do pracy, altowiolisto!”, dopingowałem się w myślach. „Pokaż, do czego altowiolista jest naprawdę zdolny”. I puszczałem w ruch szare komórki, każąc im pracować na najwyższych obrotach. Niestety, najbardziej fantastyczne pomysły zawodziły. Może więc szukałem za daleko, za głęboko, może za bardzo próbowałem wszystko skomplikować? A jeśli sekret tkwił w prostocie? Tej samej prostocie, która w muzyce i sztuce często jest najbliższej ideału?

I oto przy którymś z rzędu machinalnym powtarzaniu czterech kocich imion usłyszałem nagle nowy dźwięk: coś, co wcześniej nie przebijało się do mojej świadomości.

*Wera, Kisia, Bas i Trok... Bas, Trok...
Zaraz, zaraz...*

Trok - te cztery litery zawiera nazwisko Bartók, który owszem, jest na suficie. Jeśli to miałby być właściwy trop, to... Bas... Szybko przeleciałem nazwiska kompozytorów i wbrew pierwszemu skojarzeniu z Bachem stwierdziłem, że tylko Brahms zawiera w sobie owe trzy litery. Po kwadransach niepowodzeń, w końcu coś drgnęło. Starłem się nie podniecać zawczasu, uliczka mogła się okazać ślepa. Kiedy jednak po kolejnych sprawdzeniach, Wera odnalazła się w nazwisku Wagner, a jeszcze później - i to było najtrudniejsze - Kisia w Strawińskim, i gdy dodatkowo okazało się, że cała czwórka sąsiaduje ze sobą w ostatnim, wewnętrznym kręgu, poczułem, jak stada mrówek zaczynają maszerować po moich ramionach i plecach w kierunku szyi. I to nie w wyniku zdrętwienia mięśni wywołanego długotrwałym unoszeniem rąk próbujących oświetlić sufit.

Gdzieś w głowie cichutko zagrały mi werbelki. Moja wyobraźnia od najmłodszych lat ubarwiała wydarzenia wewnętrzną muzyką. Pamiętałem pełne patosu dźwięki, które wypełniały mi duszę, gdy wracałem do rodzinnego miasta, do kraju... Dzisiaj dźwięki odezwały się ponownie. Narastający

powoli łoskot przyprawiał o dreszcz. Ale jeszcze nie wszystko było jasne.

Aby uruchomić mechanizm otwierający właz, trzeba prawdopodobnie było zastosować właściwą kolejność. Która była ważniejsza: ta ze schowanej w batucie kartki czy ta z dziecięcej wyliczanki? Przypuściłem, że ta druga. Ta, którą Rosenberg musiał mieć w uszach i w głowie do końca, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy było mu ciężko. Radosny szczebiot córki: „Wera, Kisia, Bas i Trok...”.

Chwyliłem w dłoń głowę Wagnera. Tak, wiem, brzmi dziwnie, ale inaczej określić tego nie sposób. Ręka zacisnęła się jak na drewnianym jabłku. W prawo, w lewo - nic. Wciśnięcie - nic. Żadna próba nie przynosiła rezultatu. Nagle ogarnął mnie strach, że urwę głowę mistrzowi z Bayreuth i cały, misternie, w trudzie i mozole budowany gmach zawali się w jednej chwili, okazując kpiną, żartem, nie wiedziałbym nawet czyim i z kogo. Podczas gdy prawa ręka zaciskała się coraz mocniej na główce twórcy dramatu muzycznego, lewa objęła czule podobiznę Strawińskiego. Ale on również nie reagował. Niewiele już miałem do stracenia. Tym razem do Wery -Wagnera, dopasowałem Basa - Brahmsa.

I okazało się, że miałem rację. Wera i Bas to pewnie była kocia parka. Podobał mi się dowcip Rosenberga. Brahms i Wagner byli antagonistami i darli ze sobą ideowo-artystyczne koty... Głowa Wagnera dała się w końcu przekręcić w prawo, Brahmsa zaś w lewo. W suficie, tuż nad moją głową, szcęknął stary mechanizm. Po chwili powtórzyłem manewr z pozostałą dwójką. Kisia musiała być ukochaną Troka. Druga część mechanizmu jęknęła z cicha i... nic.

Wszystko zamarło.

Ale po chwili cztery środkowe pola szachownicy zaczęły wolniutko się unosić. Strzegący ciężaru mechaniczny Goliat został obudzony.

Korytarz dyrygencki otwierał się...

Żeby łatwiej dostać się na górę, przystawiłem stół.

Po chwili byłem w środku.

Znów przypomniały mi się słowa Michalewicza o niemożności przemierzania tuneli w pozycji wyprostowanej. Tak było wczoraj, tak było również teraz. Niemniej, moja dzisiejsza sytuacja była o niebo lepsza. Przede wszystkim miałem latarkę. Zgodnie z sugestią antykwariusza chciałem zamknąć właz, ale w porę przypominałem sobie, jakie przyniosło to konsekwencje w korytarzu koncertowym. Zamknięcie włazu do korytarza dyrygenckiego, który przecież był ślepy, mogło mi definitywnie odciąć drogę powrotu. Nie chciałem powierzać swojego bezpieczeństwa wyłącznie

telefonowi; a co, jeśli znów mnie zawiedzie? Postanowiłem więc zabezpieczyć się dodatkowo. Przyniesioną w plecaku liną opasałem właz. Z drugiej strony przywiązałem ją do znalezionej w ścianie uchwyty na pochodnię, która w nim zresztą tkwiła, co wydawało się zupełnie logiczne. Rosenberg musiał jakoś oświetlać korytarz. Pokrzepiony zainstalowaniem prowizorycznego systemu bezpieczeństwa, ruszyłem przed siebie.

Dzisiejsza droga wydała mi się krótka i łatwa. W rzeczywistości korytarz dyrygencki mógł mieć podobną długość jak koncertowy, ale pokonywanie go - nie pełzając i nie na ślepo - wydawało się wręcz komfortem. Po chwili przejście się skończyło.

Znalazłem się w niewielkiej prostokątnej komnacie. Z jej prawej strony, przy ścianie, stała szafa. Nie, nie szafa, a jeśli, to pancerna. Werble zagrały gwałtowne crescendo. Skierowany odpowiednio promień latarki rozproszył ostatnie wątpliwości.

Odnalazłem sejf Rosenberga.

Pozostawało już tylko go otworzyć.

Stałem na progu tajemnicy, przekręcenie klucza dzieliło mnie od jej poznania, a jednak... A jednak, jakby minimalny powiew rozczarowania przecieciał koło mojej głowy. Sejf był zdecydowanie za mały, żeby pomieścić cztery instrumenty, a o schowaniu do niego wiolonczeli już w ogóle nie mogło być mowy. Cokolwiek znajdowało się w skrytce, nie wydawało się możliwe, by schowano tam choć jeden z instrumentów Silvariego. Przyszła pora się przekonać, co skrywała w istocie.

Rozkręciłem batutę. Dwie mosiężne główki zabłyśły w świetle latarki, tej mniejszej, którą bez trudu mogłem trzymać w ustach. Raz jeszcze pomyślałem o zaleceniach antykwariusza, aby nie otwierać sejfu bez przedniego zamknięcia włazu, ale uspokoiwszy się myślą, że to pewnie nadmiar zawodowej ostrożności, przystąpiłem do dzieła. Dopasowanie kluczy nie nastroczało większych trudności; tym razem liczba kombinacji była bardzo ograniczona. Po kilku próbach system podwójnego zamka sprawdził się bez zarzutu. Rozległ się - jakże miły dla ucha - dźwięk. Podobny pewnie do tego, na jaki czekali osłuchujący stare sejfy, staroświeccy, wyposażeni w lekarskie słuchawki, kasiarze.

Pociągnąłem ciężkie, opancerzone drzwi. Zrazu niechętnie, z wolna poddały się jednak.

Sejf Rosenberga był otwarty.

Z ciekawością, ale i obawą, aby nie okazał się pusty, oświetliłem większą z latarek ciemne wnętrze.

Moje przypuszczenia potwierdziły się.

Przedmiot wielkości skrzypiec zmieściłby się tam tylko z największym trudem. Ale żadnego instrumentu wewnątrz nie było. Moim oczom ukazały się trzy półki. Na każdej z nich znajdowało się kilka przedmiotów umieszczonych w jedwabnych woreczkach: po trzy na półce dolnej i środkowej i dwa na górnej, nieco mniejszej. W sumie osiem niepozornych zawiniątek...

Bez względu na to, czym były, musiało im być tu dobrze przez wszystkie minione lata. Pozbawione światła, ale też hałasu, wścibskich spojrzeń i zmiennych warunków atmosferycznych, spoczywały w uśpieniu, otoczone delikatnym, miękkim dotykiem jedwabiu. Taki był mój pierwszy wniosek; cokolwiek kryły woreczki, ich zawartość miała wszelkie dane, aby w nie naruszonym stanie dotrzeć do współczesnych czasów.

Jeśli Rucacelli odkrył i otworzył sejf przede mną, musiał zadać sobie sporo wysiłku, aby zatrzeć tego ślady. Gdy dotknąłem delikatnie pierwszego z zawiniątek, pomyślałem, że jednak antykwariusz znów mógł mieć rację. Po chwili, kiedy przyjrzałem się wszystkim po kolei, nie miałem już wątpliwości. Pokrywająca je równa warstwa kurzu nie mogła osiąść w przeciągu kilku dni. Rowki, które dawały się żłobić palcem, mówiły wyraźnie, że jestem pierwszym od wielu, wielu lat człowiekiem oglądającym zawartość skarbcza.

Dyrygent prawdopodobnie go odkrył, ale nie zdążył otworzyć lub z jakichś powodów wstrzymywał się z otwarciem, co na jedno wychodziło. Rucacelli zapewne działał pod presją. Prowadził grę, którą chciał toczyć na swoich warunkach. Z rzekomymi przedstawicielami wytwórni płytowej musiało go łączyć coś w rodzaju układu. A może był szantażowany? Przypuszczam, że chciał dociągnąć sprawę sejfu aż do poniedziałkowej konferencji prasowej. Był zdeterminowany, aby nikogo doń wcześniej nie dopuścić. Nie przewidział jednak determinacji przeciwników, którzy widząc, że potencjalny łup wymyka się z rąk - zdecydowali się działać, nie przebiegając w środkach. Kulminacją odmiennych postaw była scena na mostku, gdy Rucacelli cisnął batutę w wodę, a niedawni partnerzy - teraz już wrogowie - próbowali go uśmiercić. Maestro mógł uznać, że specjaliści otworzą sejf nawet bez klucza, a zapowiedziana konferencja prasowa zdawała się wskazywać, że intencje dyrygenta co do zawartości były - lub stały się - czyste. Może, tak długo, jak długo istnienie sejfu było wyłącznie hipotezą, prowadził grę, a w momencie odkrycia prawdy, przestraszył się konsekwencji swoich konszachtów z rzekomymi przedstawicielami wytwórni płytowej? Jakoś tak to musiało wyglądać. Ale te sprawy nie musiały mnie już dłużej zajmować.

Teraz liczyło się coś zupełnie innego. W tej chwili znaczenie miał jedynie fakt, że oto ja, Bartosz Czarnoleski, altowiolista, stoję samotnie, oko w

oko z zagadką historii. Jest już prawie w moich rękach, nieomal ją odczytuje. Sekundy dzielą mnie od jej poznania. Pozostało mi tylko odsłonić, a słowo „tylko” zostało tym razem użyte bardzo precyzyjnie.

Co oczywiste, sfotografowanie zawartości woreczków, nie mogło się odbyć bez ich opróżnienia. Włożyłem jedwabne rękawiczki i - jak chirurg - przystąpiłem do operacji. Na pierwszy ogień poszło znajdujące się na wierzchu zawiniątko z dolnej półki. Przedmioty, które przez dziesięciolecia gościła, leżały - z uwagi na swój płaski kształt - jeden na drugim. Przeczucie mnie nie myliło.

W woreczku znajdował się obraz. Na desce o rozmiarach około trzydzieści na trzydzieści centymetrów namalowana była grupa nagich postaci. Oparłem się pokusie wnikliwszej analizy i spekulowania, kto mógł być jego autorem. Miałem tu coś do wykonania i nie należało zbytnio zwlekać. Zrobiłem kilka fotografii, po czym na powrót powierzyłem malunek miękkości jedwabiu.

Kolejny pakunek również zawierał obraz. Podobnie jak poprzedni, wykonany na desce - był jednak nieco większy, a przedstawiał portret - nie byłem do końca pewny - mężczyzny czy kobiety.

Trzeci obraz, ten z samego dołu, był zarazem największy. Przedstawiał kobietę z dwoma koszami owoców. W odróżnieniu od pozostałych, był płótnem.

Nie przyglądałem się malowidłom zbyt dokładnie, nie miałem na to czasu. Starłem się zrobić jak najlepsze zdjęcia, które pomogłyby panu Sebastianowi w identyfikacji dzieł. Pieczołowicie zabezpieczyłem obrazy szlachetnym materiałem i we właściwym porządku odłożyłem je na dno sejfów.

Kształt woreczków zgromadzonych na półce środkowej jednoznacznie wskazywał na zmianę charakteru zbiorów. Jak się okazało, znajdowały się w nich trzy przedmioty, które określiłbym mianem wyrobów złotniczo-jubilerskich i mających, przynajmniej w dwóch przypadkach kultowy charakter, przy czym słowa „kultowy” używam tu w jego zasadniczym znaczeniu.

Pierwszy obfitował w misternie wykonane motywy zwierzęce i roślinne, jego górę wieńczył zrywający się do lotu ptak. Całość, otoczona ośmioma uchwytnymi na świeczki, robiła zbyt okazałe wrażenie, by mogła uchodzić za zwykły kandelabr.

Drugi z przedmiotów kształtem przypominał koronę. Misternie wykonana, prawdopodobnie w srebrze, i ozdobiona kilkoma szlachetnymi kamieniami, była w swojej górnej części - jakby uchwytna - pokryta napisami w języku hebrajskim.

I wreszcie woreczek numer trzy. W tym przypadku nie chodziło raczej o przedmiot sakralny. Przypominał on - czy wręcz był - mistrzowsko wykonaną miniaturą wieży, kościelnej czy zamkowej, tego nie byłem w stanie określić. Dokładnie sfotografowałem wszystkie eksponaty ze środkowej półki, po czym odłożyłem je na miejsce.

Nie wiem, jaka temperatura panowała w tunelu. Bez względu na to było mi gorąco i co chwila musiałem ocierać pot kapiący z czoła. To musiały być emocje. Jednak działałem precyzyjnie i metodycznie. Do kompletu dokumentacji brakowało mi jeszcze tylko zawartości dwóch jedwabnych woreczków z górnej półki.

Od samego początku wydawało mi się w miarę oczywiste, co kryje pierwszy z nich. Przez materiał wyczuwałem kształt twardych kamieni. Wymnawiałem je pojedynczo i kładłem na półkę, którą wcześniej udało mi się oczyścić trochę z kurzu. Gdy wszystkie - a naliczyłem ich dziewięć - były już oswobodzone z jedwabiu, oświetliłem je promieniem latarki. Mój Boże! Dziesiątki, setki świetlnych refleksów zatańczyły w niewielkiej komorze sejfu. Nie miałem wątpliwości. Moja pierwotna teza o brylantach ukrytych w batucie uzyskała nagle symboliczne potwierdzenie. Symboliczne? Czy coś, co wielokrotnie przebija tezę wyjściową, pozostaje symbolem?

Jakie to były brylanty! Ani jeden z nich fizycznie nie mógłby się zmieścić w batucie. Były po prostu wielkie i przepiękne. Nigdy nie należałem do szczególnych zwolenników kamieni szlachetnych, ale w tej chwili zrozumiałem fascynację świata najszlachetniejszymi z nich.

„Prawo górnej półki”, pomyślałem z uśmiechem, choć był to kolejny z momentów, w których poprawność mojej percepcji zdawała się stawać pod znakiem zapytania.

Kiedy robiłem zdjęcia, wchłaniały i przetwarzały światło flesza, oddając je refleksami godnymi zorzy polarnej.

Pozostawała już tylko jedna niewiadoma. Czy po szaleństwie, w którym od ładnych kilku chwil uczestniczyłem, coś jeszcze mogło mnie zaskoczyć? I nie, i tak.

W ostatnim z jedwabnych woreczków znajdował się przedmiot, którego nie potrafiłem nazwać, ale na jego widok jęknąłem z zachwytem, nawet starając się zachować obiektywizm kronikarza. To było jakieś nieprawdopodobne cacko sztuki jubilerskiej. Opis misternych szczegółów zająłby zbyt wiele czasu. Starając się jednak do końca zachować spokój, rzetelnie pstryknąłem kilka fotek. Gdy odkładałem na półkę ostatnie ze znalezisk, przed oczami tańczył mi słonik z tryumfalnie podniesioną trąbą - jego figurka wieńczyła jubilerskie arcydzieło.

Zamykając sejf, wiedziałem już, że choć nie jestem w stanie nazwać poszczególnych znajdujących się w nim przedmiotów, to mam do czynienia z odkryciem niezwyklej wagi i to chyba w skali dalece przekraczającej lokalną. Ale jeszcze nie mogłem sobie pozwolić na kontemplację tylko co oglądanych skarbów, ani tym bardziej na tryumf. Zadanie nie było skończone.

Świat, który opuszczałem, wydawał się bajkowy, należało jednak wracać do realnego. Zwłaszcza że do uszu moich dobiegł niepokojący odgłos od strony wjazdu. Czyżby mechanizm został ponownie uruchomiony? Czym prędzej popędziłem w jego kierunku. Proces zamykania musiał się zacząć już jakiś czas temu, ale mocna lina go powstrzymywała. Do czasu.

Uchwyt na pochodnię niebezpiecznie poruszył się w ścianie. W momencie, w którym dobiegałem do wjazdu, lina nagle pękła. Rzuciłem się przed siebie. Kiedy przez dziurę, w podłodze? w suficie? - zależy od punktu spojrzenia - spadałem do pokoju dyrygenckiego, cztery kompozytorskie głowy zdawały się gonić moją. Lądowaniu na stole towarzyszyło głośne klaśnięcie zatraskującego się wjazdu. Zsunąłem się na podłogę. Kolejne potłuczenia zapewne dadzą znać o sobie nieco później. Na razie oprócz dumy i szczęścia nie czułem nic. Co najważniejsze, zachowałem do końca czujność, w przeciwnym razie tkwiłbym teraz uwięziony w korytarzu. Ale i tu jeszcze nie kończyła się moja misja.

Przesunąłem więc stół na miejsce, sprawdziłem, czy nie ma innych śladów mojej nielegalnej bytności w pokoju i przekroczywszy raz jeszcze granicę okna, zacząłem wędrówkę powrotną po gzymsie.

Z wolna zaczęło do mnie docierać moje odkrycie. Ręce i nogi wykonywały swoje zadania, ale mózg wypełniały obrazy znajdujących się w sejfie przedmiotów.

To prawda: słynny Kwartet Silvariego, na którym zależało mi najbardziej, okazał się legendą i miał już nią pozostać, spoczywając prawdopodobnie na morskim dnie w czułych objęciach właścicieli. Nie byłem też w stanie ocenić, jaka jest historyczna i zabytkowa wartość odnalezionych przedmiotów. To było zadanie dla Sebastiana Marsa. Wierzyłem, że wkrótce mnie w tej materii oświeci. Ale przecież przez skórę czułem wagę znaleziska. Pewnych podejrzeń nie ośmielałem się formułować, ktoś znacznie bardziej kompetentny powinien je wkrótce zweryfikować.

Towarzyszyły mi uczucia podobne do tych doświadczanych po szczególnie ważnym i pięknym koncercie. Zadowolonia i satysfakcji, ale i leciutkiego smutku zarazem, że to już koniec, że najważniejsze właśnie się wydarzyło. W koncertowym życiu przychodziło jednak kolejne najważniejsze

i jeszcze następne - i tak właściwie bez końca. Co nowego o porównywalnej skali mogło mnie spotkać po przygodzie, która właśnie się kończyła?

Wracalem na ziemie. W sensie doslovnym tez. Trzeba bylo skoncentrowac sie na nowo, by szczeniawie powrocic z chmur. Pomny doswiadczen z pierwszej wspinaczki bylem naprawde uawazny, superostroznny. Gzmys pokonalem w rownomiernym, spokojnym rytmie, drabinka z kazdym obnizajacym sie szczebelkiem pozwalala czuc sie pewniej i bezpiecniej. Juz prawie, juz zaraz dotkne nogami ziemi...

Szkoda tylko ze nie mialem oczu z tylu glowy. Napastnicy wybrali najlepszy moment. Odwrócony plecami do rzeczywistosci, uszczesliwiony udanym zakonczeniem akcji, w momencie gdy moja stopa dotknela gruntu, poczułem uderzenie, które rzuciło mnie na ścianę i prawie rozplaszczyło. Nie zdążyłem nawet odwrócić głowy. Po dwa mocarne ramiona wbiły moje wyprostowane ręce w tynk budynku. Jedyne kątem oka widziałem, że napastnicy mają na głowach kominiarki. Inna para rąk dopomogła mojej twarzy w bliższym zapoznaniu się ze strukturą muru. Gwiazdziste niebo bólu eksplodowało w głowie.

Niebo gwiazdziste w głowie, prawo moralne w dupie.

Mój nos...

Złamany czy tylko przestawiony?

Poczułem i usłyszałem, jak ostrze noża przecina paski mojego plecaka. Ktokolwiek to był tym razem, wybrał metody proste i skuteczne. Wszystko rozegrało się w absolutnej ciszy, trwało może kilka sekund. Gdy plecak zmienił właściciela, ktoś spróbował raz jeszcze wspomnieniem mojego nosa wybić dziurę w tynku. Ot, tak; żeby odechciało mi się pościgu.

Nie zamierzałem nikogo gonić. Jedyne, co czułem, to okropny, tępo pulsujący ból w twarzy. Wszystkie inne jego rodzaje - a nie zawsze uświadamiamy sobie, jak wiele części ciała może boleć naraz - odpadały w przedbiegach. W okolicach ust zrobiło mi się mokro, słono i słodko zarazem. Słonych łez bólu, które bezwiednie leciały mi z oczu, nie byłem w stanie powstrzymać. Podobnie jak słodkiej krwi płynącej ciurkiem ze zmasakrowanego nosa. Najdziwniejsze jednak było, że te dramatyczne organoleptyczne doświadczenia wcale nie komponowały się tym razem w smak porażki...

- Jezus Maria, Bartku, jak ty wyglądasz!

Musiałem wyglądać nieciekawie. I miałem też pewną, nieciekawą informację.

- Panie Sebastianie, jest mi strasznie przykro, zdaje się, że już po pana aparacie.

- Co tam aparat, a znalazłeś coś, zrobiłeś zdjęcia?
- Tak, odkryłem i zrobiłem... - Antykwariusz nie pozwolił mi rozwinąć myśli.

- Bartku, tylko proszę, błagam, nie mów mi, że zdjęcia razem z aparatem wpadły w czyjeś ręce!

Spojrzałem na niego zdumiony i nieco urażony.

- Nie, oczywiście, że tego nie mówię. Ale przykro mi z powodu aparatu...

- Człowieku, czy ty możesz przestać? To co z tymi zdjęciami, zrobiłeś je czy nie? - Nie widziałem jeszcze antykwariusza w stanie takiego podniecenia. Nie należało igrać z jego emocjami.

Drżącą i obolałą ręką wyjąłem coś z zamykanej na błyskawiczny zamek kieszonki. Rozwarłem ściśnięte palce i wręczyłem Sebastianowi Marsowi malutki prostokątny przedmiot, który jeszcze przed rozpoczęciem drogi powrotnej, impulsem jakimś wiedziony, wyjąłem z aparatu. Antykwariusz przyglądał mi się ze zdumieniem, które wzrosło, gdy z kolejnej zamykanej kieszeni - tym razem parakomandoskich spodni - udało mi się wyłuskać... batutę Rucacellego.

- Święta zasada: rzecz naprawdę ważne noś przy sobie.

- Bartku, nie wiem jeszcze dokładnie, co się wydarzyło, mam nadzieję, że zaraz mi to opowiesz, ale powiem jedno: chyba jesteś genialny!

Ja, genialny? Usłyszeć coś takiego z ust ojca genialnego dziecka było nie lada wyróżnieniem i... jeszcze większą przesadą. Brałem to na karb emocji, których antykwariusz nie ukrywał.

Pokiereszowanemu obliczu próbowałem nadać formę uśmiechu. Użytkany efekt musiał być żaloszny, gdyż pan Sebastian zdał sobie w końcu sprawę, że przydałoby mi się natychmiastowe opatrzenie nosa. Bolał mnie już trochę mniej, o tyle mniej, o ile napaśników musiał trafiać szlag. Choć markowy japoński aparat o rozbudowanych funkcjach był sam w sobie niezłym łupem, to trwałem w dziwnym przekonaniu, że nie o niego chodziło. Nie wiem, co spodziewali się znaleźć w moim plecaku, ale na pewno tego tam nie było.

Nie miałem siły zastanawiać się, kto mnie znowu zaatakował. Z jakiego powodu - było więcej niż jasne. Rozgrywka zbliżała się do ostatecznego rozstrzygnięcia i najważniejsze było, że to my jesteśmy bliżej mety.

Streściłem pokrótce finał mojej wyprawy, ale antykwariusz zdążył się już chyba przyzwyczaić do napaści na mnie, bo jedyne, co go naprawdę interesowało, to zdjęcia. Do kwestii utraty aparatu też zdawał się nie przykładać większej wagi. OK, to były koszty własne. Pora przyjrzeć się zyskom.

Wymogłem na panu Sebastianie, że wstrzyma się z oglądaniem zawartości karty pamięci, aż zdołam się trochę oporządzić i na króciutko chociaż wyprowadzić Estona. Pora nie była dramatycznie późna, ale jutro czekał mnie... ciężki dzień. Tylko zdrowy i długi sen mógł mnie do niego odpowiednio przygotować. Przecież jednak i ja płońałem z niecierpliwości, żeby na spokojnie już zobaczyć i dowiedzieć się, co właściwie kilka kwadransów temu udało mi się odkryć i sfotografować.

Gdy po dwudziestu minutach wróciłem, antykwariusz chodził niecierpliwie po swoim królestwie. Chyba bardziej jeszcze niż ja nie mógł doczekać się seansu. No tak, on jeszcze nic nie widział... Za to ja widziałem, że mnóstwo pytań ciśnie mu się na usta, ale dzielnie potrafił je powstrzymać.

- Bartku, przygotowałem ci specjalną herbatę. Powinieneś po niej poczuć się lepiej, dobrze spać i obudzić się jak nowo narodzony. Łyknij też te pastylki przeciwbólne.

Począkał chwilę, aż przełknę podane lekarstwo i wciągnę zapach podanego mi naparu.

- A teraz, błagam cię, czy możemy już zaczynać?

Sebastian Mars płońał z ciekawości i niecierpliwości. Upiłem jeszcze łyk zaskakująco dobrej, choć niekojarzącej się z żadnym znanym mi smakiem herbaty i skinąłem głową. Eston, jakby rozumiejąc, o co chodzi, wpatrzył się w ekran monitora.

Antykwariusz zaczął oglądać zdjęcia. Najpierw wolno, potem coraz szybciej. Doszedł do ostatniego i zaczął od początku. Zrazu nic nie mówił, widziałem tylko na jego twarzy coraz gwałtowniejsze emocje, a jej kolorystykę zmieniał się, oscylując z różnym natężeniem między dwiema z narodowych barw.

Potem wstał, zaczął wyjmować z półek jakieś książki, wertował je, porównywał zdjęcia, mlaskał z niedowierzania, cmokał z ukontentowania i w ogóle zachowywał się tak, jakby mnie tam nie było. Ale znałem te jego stany. Ilekroć wkraczał w dziedziny mu bliskie, potrafił się w nich zatracać. W tym momencie cieszyło mnie to, bo wniosek nasuwał się sam: odnaleziony zbiór - choć niezbyt okazały - musiał mieć swój ciężar gatunkowy. Po kolejnych minutach badań antykwariusz odłożył w końcu wszystkie kompendia, zamknął oczy, raz jeszcze z niedowierzaniem pokręcił głową i - wracając jakby do rzeczywistości - szeptem powiedział:

- Ja chyba śnię... Bartek, chłopcze - w taki sposób nigdy się do mnie nie zwracał - czy ty naprawdę nie robisz sobie jakiegoś żartu?

Daleki byłem od tego. Pulsująca bólem twarz zniechęcała do mówienia, ale przecież paliłem się, by usłyszeć w końcu powody aż tak emocjonalnej reakcji pana Marsa. Moje pełne cierpienia, ale i pełne zaintrygowania

spojrzenie rozwiął jego obawy.

Na ekranie pojawiło się pierwsze wykonane przeze mnie zdjęcie, prezentujące plan ogólny otwartego sejfu.

- Bartku, oto trzy półki, których zawartość wprawi w ekstazę historyków sztuki i zelektryzuje tak zwaną opinię publiczną. Wszystko, co znajduje się w sejfie, ma wartość ogromną, bezcenną. W takim przypadku trudno mówić o stopniowaniu, ale jestem sobie w stanie wyobrazić, a nawet więcej: wiem, co najbardziej działa na ludzką wyobraźnię. Dlatego zacznę w odwróconej nieco kolejności, od półki środkowej.

Bez trudu zgadywałem, że antykwariusz będzie podgrzewał napięcie. Czemu nie? To mogło być ciekawe.

- Trzy dzieła sztuki złotniczej należą do najcenniejszych, zaginionych w czasie wojny przedmiotów swojej kategorii. Dwa z nich mają związek z żydowską liturgią.

Przecucie mnie nie myliło.

- Pierwszy to lampa chanukowa, wykonana w srebrze techniką filigranową, osiemnasty, dziewiętnasty wiek. Drugi - korona na Torę, tak zwany keter, wykonany technikami - spojrzał szybko na mnie - mniejsza o to jakimi, srebro, wiek dziewiętnasty. Natomiast trzeci z obiektów ma bardziej ziemski charakter. Jest to tak zwana balsaminka, czyli puszcza na wonności, wykonana również w srebrze, w warsztacie gdańskim około tysiąc osiemset piętego roku. Bartku, już tylko zawartość środkowej półki byłaby sensacją. A to dopiero początek.

Rozumiałem ekscytację antykwariusza, choć ja, laik, byłem troszeczkę rozczarowany. Ostatnie słowa zabrzmiały jednak obiecująco. Pan Sebastian szykował się do omawiania kolejnej półki, a ja czułem, że temperatura wzrasta. Ciała również.

- Czy wiesz, czyje obrazy odnalazłeś dzisiaj?

Nie wiedziałem, moja wiedza na te tematy była niewystarczająca.

- No, to posłuchaj! Największy z nich nazywa się *Cytrusy* i jest prawdopodobnie nieznanym ogniem cyklu przedstawiającego Żydówkę sprzedającą owoce Aleksandra Gierymskiego. Sebastian Mars podszedł do mnie z potężnych rozmiarów albumem. Na sąsiadujących stronach widniały dwa podobne do siebie obrazy: *Żydówka z pomarańczami* i *Żydówka z cytrynami*. Na pierwszym z nich kosze z owocami stały na ziemi, zaś na drugim handlarka trzymała je w rękach. Widniejący na ekranie komputera obraz przedstawiał kobietę z koszem w rękę; drugi stał obok, na ziemi. W stosunku do tych z albumu dzieło sprawiało wrażenie niedokończonego; może autor uznał je za nieudane i odrzucił, co tłumaczyłoby niezainicjowanie płótna w świadomości historyków i miłośników sztuki. Ale widniejący w

lewym dolnym rogu tytuł lokował go w konkretnym cyklu, a umieszczony niżej podpis rozwiewał wątpliwości co do autorstwa obrazu.

- Bartku, proszę, słuchaj mnie dalej, bo to jeszcze nie koniec.

Być może antykwariusz brał moje milczenie za dowód zmęczenia lub działania ziołowej herbaty. Ale co ja miałem mówić? Słuchałem.

- Obraz środkowy to wykonany na desce *Portret młodzieńca*, dzieło Rafaelo Santi, tak, tak - pan Sebastian musiał pochwycić moje zdumione spojrzenie - to jest obraz Rafaela!

Uff, teraz zrobiło mi się naprawdę gorąco. Rysy twarzy sportretowanej osoby były niezwykle delikatne, odnosiłem wręcz wrażenie jej androgyniczności. To dlatego nie potrafiłem określić jej płci. Czy mógł to być autoportret Rafaela?

- Najmniejszy z obrazów, też deska, to *Diana i Kallisto*, pędzla Petera Paula Rubensa, a przynajmniej wykonana w jego warsztacie. To ma jednak mniejsze znaczenie. Obraz jest zakwalifikowany jako dzieło mistrza z Antwerpii.

No tak, grupka postaci - ile ich było? chyba z osiem? - uwieczniona przez artystę w antycznej scenie w pełni odpowiadała moim wyobrażeniom o rubensowskich kształtach. Do takiej jedynie refleksji byłem zdolny.

Sebastian Mars przerwał, wypił łyk wody, ale napięcie go nie opuszczało. Przeczuwałem, że nadchodzi punkt kulminacyjny prezentacji, jakkolwiek trudno w to było uwierzyć. Co jeszcze po opisanych już perłach złotnictwa i malarstwa mogło zadziwić? Antykwariusz kilka razy chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślał. Czy bał się, że słowa spłoszą magię chwili, odrealniają, sprawią, że obudzimy się z niezwykłego snu?

- Bartku, słyszałeś kiedyś o Diamentach Życia, zwanych też przeklętymi kamieniami?

- Oczywiście! Kto by nie słyszał? Czy to nie o nich będzie kolejny odcinek Indiany Jonesa?

- Bartku - zgromił mnie wzrokiem - proszę, nie żartuj sobie. Słyszałeś czy nie?

I tym razem musiałem się przyznać do ignorancji. Ale bo też co to za pretensjonalna nazwa? Jednak po chwili, gdy wysłuchałem ich historii, zrozumiałem, czemu ją zawdzięczały.

- Były to wielkie nieoszlifowane kamienie najwyższej próby, które z kopalń Afryki Południowej trafiały do dwóch największych diamentowych centrów świata, Antwerpii i Amsterdamu. Zamożni Żydzi, zwłaszcza ze wschodniej Europy, kupowali je, aby mieć w rękach argument przetargowy, gdy stawić trzeba było czoło wojennemu przeznaczeniu. Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, że to one. Informacje, co do tego, ile trafiło

do Europy, a potem w prywatne ręce, oraz dotyczące losu, jaki spotkał poszczególne kamienie i ich właścicieli, różnią się, w zależności od źródeł. Dlaczego zamiast zostać wykorzystane zgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem, trafiły do sejfu Rosenberga? To pytanie dla naukowców i historyków. Z mojego punktu widzenia odkrycie dziewięciu spośród Diamentów Życia to już nie tylko sensacja; ta wiadomość wyprze wszystkie inne z pierwszych stron dzienników na całym świecie. Ale nawet gdyby okazało się, że pochodzą z innego źródła, to pojawienie się tak niezwyklej wielkości i urody diamentów, o niewątpliwie historycznych korzeniach będzie megasensacją!

Słowa antykwariusza docierały do mnie jakby z innego wymiaru. Czuję się bardziej widzem niż uczestnikiem tej spektakularnej prezentacji. Trudy, emocje, a teraz jeszcze autentyczne wzruszenie, wprowadziły mnie w nastrój swoistej hipnozy, otumanienia, paranarkotykowej euforii. Może ziołowa mieszanka pana Sebastiana się do tego przyczyniała? Musiał zdawać sobie sprawę, że po takim rozkołysaniu psychicznym i fizycznym organizm mój nie zareaguje na byle herbatkę uspokajającą. Wiedział też, jak bardzo zależy mi na jutrzejszym dniu, na przesłuchaniu, na wystąpieniu w optymalnej formie. Dlatego potraktował mnie jakimś egzotycznym napa-rem na specjalne okazje.

Sebastian Mars przerwał. Widziałem, że z trudem przychodzi mu złożenie następnego zdania. Chwilę później łamiącym się głosem zaczął ponownie:

- Ale to jeszcze nie jest koniec...

Od nadmiaru wrażeń i informacji kręciło mi się w głowie. Jeszcze chwila, a okaże się, że odnalazłem... święty Graal. Naprawdę nie wiedziałem już, czy to wszystko nie jest snem. Bogactwo przeżyć na jawie zintensyfikowało moje życie oniryczne. Ale Eston nie czekał, a uszczypnięte udo zabolowało jak najrealniej.

- Bartosz - oho, antykwariusz użył nawet ceremonialnej formy mojego imienia; prawdę mówiąc, nie pamiętałem, aby przedtem tak się do mnie zwrócił - na koniec zostawiłem niespodziankę.

Gdybym miał siłę, tobym się roześmiał... Czy po tych wszystkich bezcennych eksponatach, które przed chwilą widziałem i o których tylko co rozmawialiśmy, naprawdę coś jeszcze mogło mnie zaskoczyć? Trudno było to sobie wyobrazić, niemniej któreś ze słów antykwariusza delikatnie potrafiło znajomą nutę. Widziałem niepokojący rumieniec na jego twarzy. Pojawiał się on, ilekroć Sebastian Mars dosiadał jednego ze swoich koników, by nie powiedzieć - pegazków.

Przeczuwałem, że teraz nastąpi opowieść, która z pewnością chwilę potrwa. Zamknąłem więc oczy i słuchałem:

- W tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku rosyjski car Aleksander III składa u pewnego jubilera zamówienie następującej treści: Weź bryłkę złota wielkości sześć i pół centymetra, nadaj jej kształt jaja, pokryj je białą emalią, ozdób należycie, a w środku umieść coś, co uraduje twoją władczynię, a moją ukochaną żonę. Złotnik przyjmuje zamówienie. Efekt przechodzi najśmielsze oczekiwania zleceniodawcy. Co tak zachwycało imperatora? To coś wykonane było ze złota i pokryte białą emalią. Wewnątrz znajdowało się złote żółtko, a w nim małe złota kurka z rubinowymi oczkami. W kurce obsypana diamentami miniatura korony cesarowej Marii; w niej zaś malutkie, rubinowe jajeczko.

Słuchałem jak urzeczony. Mógł to być wpływ herbaty, ale czułem się coraz lepiej, cudownie wręcz, a słowa antykwariusza brzmiały w moich uszach jak wspaniała bajka. Nie rozumiałem przesłania, ale poddawałem się jej urokowi. Pan Mars musiał dojrzeć rozanielony wyraz mojej twarzy, bo kontynuował:

- Zachwyt władcy był tak wielki, że uczynił z artysty swego nadwornego jubilera, a kunsztowne arcydzieło stało się pierwszym okazem kolekcji liczącej pięćdziesiąt osiem sztuk - bo ta liczba uchodzi za kompletną - które w tak zwanej serii imperatorskiej powstawały aż do roku tysiąc dziewięćset siedemnastego. Najśłynniejsze, ukrywane w ich środku biżuterijne niespodzianki, to... dokładna kopia pałacu carskiego z tysiąc dziewięćset ósmego roku, czy złota miniatura karety koronacyjnej z roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego. Ani wcześniej, ani później, świat nie znał jubilerskiego mistrza tej miary. Niezwykłym kunsztem i maestrią, przyćmił sławę i dokonania współczesnych mu: Tiffany'ego, Cartiera i Boucheron.

Hm, nazwiska te coś mi mówiły, i to nawet całkiem dużo, ale najważniejsze ciągle jeszcze nie padło. Antykwariusz budował napięcie z żelazną konsekwencją. Zresztą co mi szkodzi się przyznać, wiedziałem już, jakie to nazwisko, tyle tylko że nie potrafiłem połączyć go z naszą rzeczywistością. A rycerz historii cwałował:

- Stworzył styl nazwany od jego imienia, który do dzisiaj pozostaje synonimem piękna i doskonałości, a który przestał istnieć, gdy dziejowe burze w dramatyczny sposób wpłynęły na artystę i dzieło, i dały początek nowemu kierunkowi - art déco. Podjęto później próby jego reaktywacji i kontynuacji, ale, chyba zgodzisz się ze mną, pewne rzeczy są po prostu niepowtarzalne.

Resztki rozsądku kazały mi wypowiedzieć, co następuje:

- Panie Sebastianie, proszę mi wierzyć, że rozumiem i doceniam dramaturgię pańskiej wypowiedzi, lecz czy nie zechciałby pan mnie oświecić? Kim był tajemniczy jubiler i dlaczego poświęcamy mu tyle czasu? Mam pewne przypuszczenia, ale proszę, niech pan nie przecenia erudycji alto-wiolisty i nie dręczy mnie już dłużej.

Sebastian Mars drgnął, zaskoczony. Robił wrażenie ptaka, którego lot próbowano zakłócić lekkim popchnięciem.

- Dobrze, ale proszę, pozwól mi raz jeszcze zanurkować w przeszłość.

Przysiągłbym, że spojrzał na mnie błagalnie. Zrozumiałem. To był jego wielki moment, chwila, którą delectował się jak dziecko wymarzoną deserem lub koneser spełnionym marzeniem. Dlatego ponownie zamkną-łem oczy i nie odzywałem się więcej.

- Pod koniec siedemnastego wieku, uchodząc przed prześladowaniami religijnymi w swoim kraju, ucieka i osiedla się w Estonii - zdawało mi się, że Eston postawił uszy, ale może to było złudzenie - stara, hugenocka rod-zina. Tutaj, w Parnawie, rodzi się jej kolejny potomek o imieniu Gustaw, który w tysiąc osiemset czterdziestym drugim roku przenosi się z rodziną do Sankt Petersburga, by przy ulicy Bolszaja Morskaja otworzyć pracownię jubilerską. Tam też w tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku przycho-dzi na świat syn Gustawa, Peter Carl. Do osiemnastego roku życia chłopiec przesiąka atmosferą i podstawami fachu w domu rodzinnym; ani przez moment nie ma wątpliwości, że jubilerstwo będzie jego zawodem. Przez kolejne dziesięć lat jeździ po Europie, studiuje i zapoznaje się ze wszyst-kiem, co najlepsze i najciekawsze, w technikach i stylach złotniczych stare-go kontynentu. W przyszłości, sięgając po niektóre spośród nich, w po-wszeczhnej opinii zapomniane, wzbogaci techniki współczesne, tworząc prawdziwe dzieła sztuki, zachwycające detalem i perfekcją wykonania.

W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym wraca do Rosji, by przejąć po ojcu rodzinną firmę jubilerską. Pod jego kierownictwem rozrasta się ona z interesu rodzinnego w duże przedsiębiorstwo. Ale Peter Carl nie jest biz-nesmenem. Jubilerstwo pozostaje jego prawdziwą i najważniejszą pasją. Mimo że zatrudnia grono znakomitych złotników, to właśnie on pozostaje głównym projektantem i technologiem na flagowym okręcie swojej firmy. Jest wyborynym rzemieślnikiem. Ale też artystą. Artystą, jakich mało.

Pan Sebastian przerwał, jakby sprawdzając, czy moje milczenie i zamknięte oczy nie są oznaką snu. Otworzyłem je więc na chwilę, zachęcając do kontynuowania gawędy. Owszem, byłem zmęczony, ale wyczuwałem też, że opowieść antykwariusza powoli zbliża się do końca, a to z kolei stopniowo przyspieszało bicie mego serca.

- Artysta zdobywa rozgłos. Po wystawie jego dzieł w Moskwie, w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, mówi się o nowych narodzinach rosyjskiej sztuki jubilerskiej. Zorganizowana w tysiąc dziewięćsetnym roku Wystawa Światowa w Paryżu, przynosi mu złoty medal, Legię Honorową, i otwiera drogę dla klientów z całego świata. Wtedy właśnie, po raz pierwszy publicznie, zaprezentowano trzy arcydzieła sztuki jubilerskiej, pochodzące z carskiej kolekcji. Świat oniemiał z zachwytem.

Znów otworzyłem oczy, tym razem, aby ponownie przyjrzeć się zawartości ostatniego z zawiniątek, widniejącego teraz w całej krasie na ekranie komputera. Miałem świadomość, jak bardzo moje reakcje były spowolnione. Może podświadomie broniłem się przed wysłaniem myśli w niewłaściwym kierunku? A jednak rozbudowana opowieść pasjonata zdawała się nie pozostawiać marginesu wątpliwości. Coś jak elektryczny impuls przeszło mnie nagle na wskroś. Słowo „jajeczko” padło dotąd tylko raz, za to w kontekście niepowtarzalnej piękności wyrobów jubilerskich; więc o czym Sebastian Mars mógł mówić? Przecież nie o jajach kaczych, krokodylich, czekoladowych, czy nawet strusich.

Ale dlaczego poświęcił im tyle uwagi? Przecież chyba nie dlatego, że... Wszystko ma swoje granice... Dlaczego ciągle o nich mówił? Byłem odurzony, opowieści słuchołem, jak słuchoło się pasjonujących gawęd w czasach, gdy nie było jeszcze telewizji i innych łatwych nośników... Ale, na litość boską, dlaczego on nie przestawał? ! Wirujący w powietrzu wniosek wydawał się tak mało prawdopodobny, tak absurdalny, że aż nie ważyłem się go sformułować...

A antykwariusz nie zwalniał:

- W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku jubiler musiał uciekać z Rosji przed demonami rewolucji. I dla niego, i dla świata skończyła się pewna epoka. On sam umarł wkrótce później w Lozannie, a jego dzieła stały się przykładem - czy raczej bezprzykładem - do czego zdolni byli ojcowie rewolucji. Arcydzieła poszły na sprzedaż, wręcz wyprzedają, w celu ratowania podupadającej rewolucyjnej kasy. Chętnych do ich nabycia nie brakowało. Tak rozpoczął się exodus precjozów. Co działo się z nimi później, to zupełnie inna opowieść.

Obawiałem się, że pan Sebastian gotów jest zaserwować mi pięćdziesiąt osiem historii, a na to naprawdę nie miałem już siły...

- Powiem w skrócie: dziesięć z nich stanowi dzisiaj niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju kolekcję z Orużonej Pałaty na Kremlu. Pozostałe rozsiane są po świecie, od Rosji do Ameryki. Natomiast osiem z nich uznaje się za zaginione...

Pan Sebastian przerwał, wyraźnie wzruszony. W ciągu ostatniego tygodnia

niejednokrotnie widziałem go przejętego; w takim stanie był jednak po raz pierwszy. Zacząłem się o niego niepokoić. Może niepotrzebnie? Może powinienem martwić się o siebie? Parę powodów zawsze by się znalazło... Ale nie odzywałem się, aby nie odwlekać w czasie słów, po których wszystko już miało stać się jasne.

- Zanim spointuję tę nieco przydługą historię...

Nie byłaby za długa, gdyby stanowiła uzasadnienie tezy, a nie dochodzenie do niej. Ale wówczas towarzyszyłoby jej inne napięcie; teraz, mimo niecierpliwości - i może za przyczynę niezwyklej herbaty - czułem się z wolna wsysany w sam środek baśni...

- ...pozwól, że dodam jeszcze pewien szczegół. Otóż w dwa tysiące drugim roku, w domu aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku, wystawiono na sprzedaż tak zwane Jajko Zimowe z roku tysiąc dziewięćset trzynastego wyróżnione z jednego kawałka kryształu górskiego i obsypane tysiącami, tak tysiącami - różne źródła podają różną ich liczbę - brylancików. Uzyskano za nie cenę, uważaj, trzynastu i pół miliona dolarów! To daje pewne wyobrażenie o ich rynkowej wartości.

Dawało. W zależności od wielkości wyobraźni.

- A kilka dni temu w tym samym domu aukcyjnym za jajko wykonane dla rodziny Rotszyldów uzyskano... osiemnaście i pół miliona dolarów...

Nastała cisza. To znaczyło, że niewiele jest już do dodania. Niewiele, z wyjątkiem najważniejszego.

- Bartek, powiedz mi, proszę, czy domyślasz się, dlaczego tak długo męczyłem cię moją opowieścią?

- Czy się domyślam? Tak, domyślam się. Tylko że ja się jedynie domyślam, a pan wie! - Jeszcze nikt nigdy nie wystawił mojej cierpliwości na tak ciężką próbę. - Proszę mi powiedzieć, czy w ostatnim jedwabnym woreczku, znajduje się... - głos zapadł mi się nagle do pianissimo - któreś z zaginionych jajek Fa...? - Ostatnie słowa utknęły mi w gardle, z trudem w ogóle dokończyłem pytanie, czując niepohamowaną potrzebę przełknięcia śliny.

- Wiele na to wskazuje. Niestety nie mogę w stu procentach wykluczyć, że to fenomenalna kopia arcydzieła, zresztą, ciągle nie wiemy najważniejszego. Nie wiemy, prawda? - Sebastian Mars spojrział na mnie natarczywym wzrokiem, którego nie zrozumiałem.

- Nie wiemy... - zacząłem ostrożnie - nie wiemy... - kontynuowałem, nie wiedząc, czego nie wiemy...

- Nie wiemy, czy jajko się otwiera! - wybuchnął antykwariusz. Odwlekał to pytanie tak długo, jak się dało. Gdyby zadał je na początku - a odpowiedź była negatywna - nie mógłby swobodnie pocwałować w drogie

sercu przestrzenie. Teraz jednak narażał się, że jego rumak straci skrzydła i wspólnie z hukiem zwał się na ziemię. Nie miałem dla niego dobrych wiadomości.

- Panie Sebastianie, przepraszam, ja troszkę wolno kojarzę. Rzeczywiście w ogóle nie przyszło mi do głowy, że ono może się otwierać. Zresztą kiedy mu się przyglądałem, żaden szczegół nie wskazywał na taką możliwość...

Widziałem, jak z antykwarium wolno, wolniuteńko uchodzi powietrze. Nie należało przesadzać.

Uznałem, że rewanż za ciągnące się chwile niepewności i oczekiwań został dopełniony. Rachunki były wyrównane, mogliśmy jechać dalej.

- Ale kiedy przyjrzałem mu się dokładniej, pomyślałem, że pierwszy wniosek mógł być fałszywy...

W spojrzeniu Sebastiana Marsa powracała ostrożna nadzieja.

- Ale z twoich zdjęć nie wynika...

- To prawda, nie sfotografowałem zawartości jajka. Ale, panie Sebastianie - czułem, że i moje serce zaczyna bić jeszcze szybciej - to jajko można otworzyć.

Sebastian Mars zbladł, że tak to określe, definitywnie. Po chwili łamiącym się szeptem zapytał:

- A potrafisz mniej więcej opisać, co znajdowało się w środku?

- Hm, tylko rzuciłem okiem, nie chciałem już przedłużać swojej zakazanej wizyty, ale... To było coś jakby dwustronny portret, mężczyzny z jednej, a kobiety z drugiej strony, były tam chyba też ich inicjały. Całość robiła wrażenie bogato zdobionej jakimiś kamieniami, a u góry zakończona była koroną, ale, panie Sebastianie, co panu jest?

Przerwałem zaniepokojony i podszedłem do antykwarium, który zdawał się wymagać natychmiastowej reanimacji. W tej właśnie chwili otworzył jednak oczy, a jego twarz rozjaśnił uśmiech, jakiego jeszcze nie widziałem.

- Bartku, chłopcze, wybac mi, proszę, chwilę słabości, ale zafundowałeś mi dzisiaj wieczór, którego nie wyśniłbym nawet w najbardziej szalonych snach. Pomijam wszystkie wcześniej omówione eksponaty, a wierz mi, każdy z nich miałby szansę stać się odkryciem dekady. Ale... - głos Sebastiana Marsa stawał się coraz bardziej uroczy, a on sam wstał, jakby gotów do wygłoszenia ostatecznego werdyktu - wiele, naprawdę wiele wskazuje na to, że odnalazłeś dzisiaj zaginione jajko Fabergé, zgodnie uznawane za jeden z najcenniejszych zaginionych klejnotów świata. To będzie oczywiście wymagało całej serii ekspertyz, pojeżdżają się specjaliści z całego globu, ale ja już teraz gotów jestem się założyć, że zawartością

ostatniego zawiniątka jest Królewskie Jajko Duńskie - Royal Danish Egg lub Danish Silver Jubilee Egg z tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Trafiło do Kopenhagi, jako prezent cara Mikołaja II, dla matki Marii Fiodorowny, córki duńskiego króla - Christiana K. To jego podobizna figuruje z jednej strony portretu; stroną przeciwną zdobi portret jego żony, królowej Louise. Jajko znane jest jedynie z dawnych fotografii i opisów. W czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, w magazynie „The Connoisseur” znalazła się taka oto notatka, traktująca o jego zawartości, autorstwa menedżera firmowego sklepu Fabergé w Londynie:

- ...Miniatures of the late King of Denmark and his Queen are framed as the surprise feature in the imperial egg. The outer surface is in light blue and white enamel with ornaments in gold and precious stones. On the top are the armorial bearings of the Danish Royal Family, and it is supported by Danish heraldic lions...

- Co w najprostszy sposób przetłumaczyłbym mniej więcej tak: „Miniatury portrety króla i królowej Danii stanowią zawartość niespodziankę imperialnego jaja. Ich obramowaniem jest jasnoniebieska i biała emalia udekorowana złotymi ornamentami i kamieniami szlachetnymi. Portret wieńczy tarcza herbowa Duńskiej Rodziny Królewskiej, podtrzymywana przez heraldyczne lwy... Spójrz, proszę, na to zdjęcie. - Antykwariusz podał mi książkę, którą kilkakrotnie już dzisiaj wertowałem z wypiekami na twarzy. Rzeczywiście, zarówno utrwalone na starej fotografii jajko, jak i odkryty w nim dwustronny portret zdawały się identyczne z odnalezionymi dzisiaj przeze mnie. Szlachetnym okiem spoglądał na mnie biały słoń z złotym łucznikiem na głowie.

- Przypuszczano, że arcydzieło wróciło do Rosji razem z Marią Fiodorowną. Jeśli jednak tak się nie stało, otwierałoby to - według badaczy - interesujące pole do jego poszukiwań. Tak czy inaczej, skarb zaginął. Lub, jeśli pozwolisz, uściśnię: do dzisiaj uchodził za zaginiony. Jesteśmy pierwszą dwójką ludzi na świecie, którzy o tym wiedzą... Nie pytaj mnie dlaczego? Nie pytaj skąd? Ani jak? Boginie odpowiem ci na to. Może kiedyś uda się poznać, odtworzyć jakiś fragment historii... To wszystko w ogóle jest nieprawdopodobne. To niemożliwe. To się nie może dziać naprawdę! - Stateczny antykwariusz popadał w egzaltację pensjonarki. - Albo zwariowałem, albo śnię, albo rzeczywistość przerasta moją wyobraźnię. To tyle.

Sebastian Mars usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

Tylko tyle? To już naprawdę koniec?

Moje myśli również zaczęły się plątać ze wszystkim, co usłyszałem. A było już tego naprawdę za wiele. Marzenia przybrały nagle skromną postać: położyć się, zasnąć, odpłynąć. Nie chciałem myśleć, co przyniesie jutro. Wiedziałem tylko, że pomiędzy tym jutro a trwającym jeszcze dzisiaj potrzebna mi jest cezura.

Natychmiastowa, wielka czarna dziura, ciemniejsza niż nieoświetlone korytarze Michalewicza i Rosenberga razem wzięte...

Antykwariusz widział, co się ze mną dzieje. Nie robił wrażenia zaskoczonego. Przez chwilę straszna myśl przebiegła mi przez głowę. Ale odleciała i więcej nie wróciła. A Sebastian Mars odprowadził mnie pod drzwi mojego poddasza, pomógł mi je otworzyć, a kiedy wraz z Estonem weszliśmy do środka, powiedział jeszcze:

- Śpijcie dobrze, obudzę was o ósmej.

Jakimś cudem dowlokłem się do łóżka, opadłem na nie jak przekłuty balon i... tyle.

Aha, zanim jeszcze - po kilku sekundach - ostatecznie zasnąłem, mała ćma delikatnie musnęła skrzydłami moją twarz.

Rozdział XVII

Poniedziałek

Otworzyłem oczy i ani przez sekundę nie miałem wątpliwości.

Dzień X nadszedł. Dzisiaj gram przesłuchanie. Tego dnia nastąpi zwieńczenie wielu tygodni mojej pracy. Za kilka godzin - wbrew wszystkiemu, co działo się w ostatnim tygodniu - doprowadzę rzecz do końca. Bez względu na wynik.

A potem będę mógł zakończyć coś innego. Na wspomnienie wczorajszego wieczoru, tak nieodległych w czasie odkryć i sensacji poczułem coś w rodzaju niedowierzania, a potem gęszej skórki.

Noc przespałem jednym długim ciągiem. Pewnie dzięki mieszance pana Sebastiana. Ciekaw byłem, czym mnie właściwie uraczył. Niestety, pamiętki minionego dnia nie pozwalały o sobie zapomnieć. Choć ból w twarzy był nieporównywalnie mniejszy niż kilka godzin wcześniej, to lustrzane odbicie zmasakrowanego nosa uświadomiło mi, że dramatycznym wyglądem będę straszyl ludzi. Mogła być to nawet niezła broń psychologiczna na audycję.

Tej nocy nic mi się nie śniło. Byłem w unikalnej sytuacji człowieka, który na jawie doświadcza zdarzeń przebijających wszystko, co senna wyobraźnia jest w stanie skonstruować. Rzeczywistość stała na głowie. Ale wiedziałem, że to szaleństwo już się kończy. Musiało się skończyć, bo tryb życia, który wiodłem przez ostatni tydzień, mógł być dobry dla agenta służb specjalnych, ale nie dla człowieka z normalnej krwi i z normalnych kości.

Co najważniejsze, czułem się jednak w miarę wypoczęty i gotów stawić czoło czekającym wyzwaniom. Od przebudzenia nie miałem problemów ze wskoczeniem w niecodzienne realia czekającego mnie dnia.

Już wkrótce miał przyjść czas podsumowań i analiz. I odreagowania, a nawet - co tam - może jakiejś malutkiej sławy.

Ale nie teraz; jeszcze nie. Potrzebowałem paru godzin skupienia. Musiałem postawić kropkę nad i, a właściwie dwie kropki nad dwoma i. Ostatnie, decydujące chwile często bywają najtrudniejsze, dlatego za nic w świecie nie mogłem pozwolić sobie na dezintegrację uwagi.

Jeszcze tylko raz, na moment, wyobraziłem sobie wieczór, gdy po prostu będę szedł ulicą albo biegł i krzyczał z rozpierającej mnie ulgi, że podołałem, a potem - nie wiem, może oddam się imprezowaniu do białego rana...

Ale natychmiast powściągnąłem cugle wyobraźni, bo cały ten bogato rysujący się kobierzec możliwości musiał dopiero zostać rozwinięty. A jedyną, wiodącą ku temu drogą było przesłuchanie; najlepiej zakończone sukcesem.

Skoncentrować się i zrobić to, co należy, tak jak należy. Proste.

Rozległo się stukanie do drzwi. I dobrze, bo zapasy z własną psychiką trwały już odrobinę za długo.

Antykwariusz nigdy tu nie zaglądał. Aż do ostatniego weekendu, który zapoczątkował całą serię odwiedzin. Najpierw pojawił się w sobotę, wymachując zwojem faksu z Włoch. Wczoraj wieczorem odprowadził mnie pod drzwi, by mieć pewność, że nie zasnąłem na schodach. Tym razem pilnował, abym - nadwerżony zwariowanym weekendem i uśpiony podanym mi specyfikiem nie przespał ważnego dnia. Potem go zapytałem, co to była za herbatka...

- Tak, tak, już nie śpię, dzień dobry panu.

Zegar wybił godzinę ósmą. O dziesiątej powinienem stawić się w filharmonii. Do tej pory wszyscy zgłoszeni kandydaci mieli obowiązek osobistego potwierdzenia uczestnictwa w konkursie i wzięcia udziału w losowaniu kolejności występów. Miałem więc dwie godziny, aby doprowadzić się do stanu używalności, uczynić zadość porannym psim potrzebom i nieco rozruszać sponiewierane palce. Korzystając z przywileju mieszkania w pobliżu filharmonii - czy nie powinienem powiedzieć raczej, gmachu tajemnic? - mogłem rozegrać się w domu. Cóż za luksus.

Kilka minut po dziewiątej udało mi się wyciągnąć altówkę z futerału. Pierwszy kontakt był jednak bolesny. Dosłownie i w przenośni. Moje poobijane ciało - przede wszystkim ręce, pełne siniaków i zadrapań, nieczułe, sztywne, drewniane - buntowały się przeciwko gwałtowi, który próbowałem im zadać. Nie były zdolne do formowania pięknego dźwięku. Nie dzisiaj, nie teraz. Nie w tym stanie. Altówka brzmiała obco. To prawda; menzura była taka jak w starym, zniszczonym instrumencie. Ale dźwięk... Instrument mistrza Solniczki był zupełnie nowy, świeży, nierozegrany. Jak miał brzmieć w przyszłości - czas pokaże. Teraz jego tembr kojarzył mi się wyłącznie z... niedojrzałymi śliwkami. Lub gruszkami. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Chociaż... próbuję: wydawał się zielony, twardy i kwaśny...

To nie był mój ranek. Na pewno nie w sensie instrumentalnym. Ale nie przestawałem grać w nadziei, że drewniane ręce i surowy instrument, znajdują w końcu jakąś płaszczyznę porozumienia. Consensus, który nie wystawi nas na pośmiewisko. Więc grałem i grałem, i... w końcu spojrzałem na zegarek.

Pora.

Z czułością wytarłem instrument z białego pyłu. Ubrałem się trochę poważniej niż zazwyczaj, przypudrowałem siną kluchę, która zdobiła środek mojej twarzy. Byłem gotów. Gdybym posiadał odpowiednik końskich kłapek na oczy, to właśnie teraz bym je założył. Dokonałem tego w wyobraźni. Miały mi pomóc utrzymać myśl w jak największej odległości od wydarzeń z wczoraj i konsekwencji, które dzisiaj musiały przynieść.

I wtedy zadzwonił telefon.

- Pan Czarnoleski? Kłania się nadkomisarz Bielski. Witam pana. Dzisiejszego ranka zatrzymaliśmy parę osób, które mogą mieć związek z ubiegłotygodniowymi pobiciami. Czy znajdzie pan w ciągu dnia trochę czasu, żeby się ze mną spotkać?

- Tak, bardzo chętnie. Ja również będę miał panu coś do powiedzenia. Raczej dużej wagi. Miałem dzwonić w tej sprawie, ale później, bo za chwilę gram przesłuchanie do filharmonii.

- Czy jest pan pewien, że to może poczekać?

- Tak, jestem absolutnie pewien - wcale nie byłem - to spokojnie może poczekać.

Musiało poczekać. Przecież nic nie mogło się wydarzyć. Jednak tak sformułowane pytanie obudziło mój niepokój. Czy naprawdę nie ryzykowałem niepotrzebnie? Bielski pospieszył się z tym telefonem. Pora jednak przyjąć do wiadomości, że mój wpływ na rzeczywistość jest dokładnie taki, jaki jest: ani mniejszy, ani większy.

- Panie Bartku, nie chcę pana teraz niepokoić, ale jest coś jeszcze. Odnaleźliśmy zrabowane popiersie patrona filharmonii. Co prawda, jest trochę, jakby to powiedzieć, nadwerężone, ale nasi eksperci mówią, że to się da zrekonstruować. To chyba dobra wiadomość?

On się mnie pytał, czy to dobra wiadomość? Chyba zapomniał, że oficjalnie nic mi o kradzieży nie wiadomo... A może zastawił malutką pułapkę, bo już, już miałem na końcu języka pytanie: „A co z obrazem Siemielnianego?”. Na szczęście w porę ugryzłem się w język. Lepiej było zakończyć rozmowę. Z mojego punktu widzenia zaczęła się o kilka godzin za wcześnie.

- Nie jestem do końca pewien, o czym pan mówi, ale po przesłuchaniu z chęcią porozmawiam również o tym. Jak tylko będę wolny, odezwę się. Proszę czekać na mój telefon.

Czy chciałem, czy nie, pozamuzyczna rzeczywistość, tym razem w osobie nadkomisarza, nie pozwalała o sobie ani na chwilę zapomnieć. Przed chwilą otrzymałem dwie informacje. Musiałem szybko się zastanowić, jakie mają lub mogą mieć dla mnie znaczenie. Aby to zrozumieć, trzeba jednak było podjąć trop, którym minionego wieczoru nie miałem już siły podążać.

Kto mnie właściwie napadł?

Ostatnio byłem tak często atakowany, we śnie i na jawie, że łatwo było się w tym pogubić. Ale rozgrywka ciągle trwała; na finiszu nie należało tracić czujności.

Jeśli wierzyć słowom Wandy, Jędrzej się wycofał i to samo nakazał grupie Ryżego. Czy jednak mógł liczyć na ich stuprocentowe posłuszeństwo? Sam nie wydawał się przykładem lojalności. A poza tym wyjechał. Nie było go. Przecież Ryży nie musiał być w ciemni bity. Może w którymś momencie powiązał fakty i zdał sobie sprawę, że gra idzie o wysoką, bardzo wysoką stawkę. Jędrzej wymiękł - to jego decyzja. A Ryży spróbował przejąć sprawę w swoje ręce.

W zasadzie byłem przekonany, że to on i jego kumple rozpląszczyli mi wczoraj twarz na tylnej ścianie filharmonii i ukradli plecak. Co mnie skłaniało do tej tezy? Było ich czterech, mieli zakryte twarze i milczeli, najwyraźniej obawiając się dekonspiracji. Prócz tego trudno było oczekiwać, że na tym etapie rozgrywki pojawią się nowi gracze. Partia toczyła się już od pewnego czasu i trzeba było znać jej reguły i choćby przypuszczać, jaki jest cel. A wczorajsi napastnicy wiedzieli, w co się gra. Znaleźli się we właściwym miejscu o właściwej porze i dorwali właściwego człowieka.

Trochę wskutek podszeptu intuicji, trochę przypadkiem, nie schowałem batuty do plecaka i wyjąłem z aparatu kartę pamięci. Wypracowałem w sobie odruch, aby rzeczy najważniejsze mieć zawsze bezpośrednio przy sobie.

Byłem jednak przekonany, że tym razem chodziło im o coś innego. Rozumując po swojemu, Ryży musiał być pewien, że jeśli rzeczywiście znalazłem coś cennego, to będę chciał to jak najszybciej wynieść. Jego rozczarowanie po otwarciu plecaka musiało być wielkie. Ale na pocieszenie miał japoński aparat... Albo i nie miał. Bo prawdopodobnie został wraz z kumplami zatrzymany.

Jak to się stało i czy to naprawdę byli oni? Dobry Boże, przecież policja też miała prawo do drobnych sukcesów... Hm, robię się złośliwy jak skrzypek... Tak czy inaczej, wyglądało na to, że z jednej strony niebezpieczeństwo przestało już mi grozić. Jedna flanka była czysta.

Dobre i to.

Pozostawała sprawa numer dwa, porzucone popiersie Mieczysława Karłowicza. Czy zdradził swój sekret i stał się niepotrzebny? Czy wręcz przeciwnie: nie chciał lub nie potrafił nic powiedzieć? I najważniejsze z pytań: czy ci, którzy mieli rzeźbę w swoich rękach, dali za wygraną, czy też szykowali się do ostatecznego uderzenia? Bielski mówił o odzyskaniu rzeźby,

nie wspominając nic o sprawcach. Ten pozorny brak informacji dla mnie stanowił informację czytelną.

Włosi. Mistrzowie catenaccio. Przez cały mecz bronią się, są pasywni, by w końcówce ukąsić jak jadowita kobra. Zadać jeden decydujący cios. Ileż ja takich meczów widziałem.

Ale tak naprawdę nie znałem odpowiedzi na żadne z serii pytań. Znowu przemknęło mi przez myśl, że wiele zyskawszy, niepotrzebnie prowadzę nazbyt ryzykowną grę. Na zmianę koncepcji było jednak za późno. Zresztą, atuty zdawały się znajdować - ba, zgoła znajdowały się - w moich rękach.

Ponowiłem więc proces z wirtualnymi klapkami na oczy. A kysz! - wszystko, co nie jest Stamitzem, Bartókiem, partiami orkiestrowymi i altówką. A kysz! Jeszcze na trochę, na parę chwil.

Ruszam.

- Eston, daj łapę na szczęście!

Eston dostojnie uniósł prawą nogę i uważnie przyjrzał mi się migdałowymi oczami. Teraz byłem gotów, choć pies zdradzał niezrozumiałe dla mnie objawy zaniepokojenia.

Powietrze, ruch, marsz. Proste pojęcia. Proste czynności.

Droga z domu do filharmonii nie była długa. I żałowałem tego. Uświadomiłem sobie nagle, jak bardzo brakowało mi czegoś tak normalnego jak spacer. Ale nie taki, w trakcie którego każda z szarych komórek prawie rozgrzewa się do czerwoności, próbując przeniknąć kolejne otchłanie tajemnic i zagadek. Nie taki, gdzie za rogiem może czyhać niebezpieczeństwo, a co kilka kroków wypada oglądać się za siebie, czy przypadkiem ktoś nie podąża moim śladem.

Nie, inny.

Taki, w którym oprócz ruchu i oddychania nie ma nic. Kiedy można zapatrzeć się w kawałek ołowianego nieba nad głową, dostrzec załazek pąków na pozornie martwym drzewie czy wsłuchać w wymieszane odgłosy miasta, które w zależności od nastawienia mogą brzmieć jak jeden dźwięk o wielu pasmach lub wydzielać się w indywidualne hałasy i znaczenia.

Tak niewiele.

Obyś żył w ciekawych czasach. Obyś doznawał ciekawych wrażeń.

A dlaczego nie: obyś mógł w spokoju spacerować?

Dobre życzenia, ale każde z nich spełnione w nadmiarze może stać się przekleństwem. Jak tort Sachera: jeśli zjeść go za dużo, spowoduje mdłości. Powinien być opatrzony ostrzeżeniem.

Już niewiele kroków dzieliło mnie od filharmonii. Do tej pory prawie cały czas narzekałem, miałem pretensje do świata i siebie, że zajmując się pozamuzycznymi sprawami, nieroztropnie trwonię swój czas, swoje

myśli i siły. Uczciwie jednak musiałem przyznać, że była dziedzina, w której zamieszanie związane z tajemnicą Rosenberga niesamowicie mi pomogło. Ja po prostu nie miałem czasu na odczuwanie tremy! W kręcącym się coraz szybciej kołowrocie wydarzeń, nawet o niej nie pomyślałem. Ba, zapomniałem, że coś takiego w ogóle istnieje.

Tak było do teraz.

Do chwili obecnej w dziedzinie panowania nad nerwami byłem na pewno w czołówce. Powszechnie znaną prawdą jest, że trema pomniejsza nasze wykonawcze walory, czyli... odniosłem pierwszy sukces.

- Oby tylko nie był ostatni - konkursowy minimalizm i fatalizm już dawał o sobie znać. Zresztą, całe to uczucie opanowania prysło nagle jak bańka mydlana. Wystarczyło przekroczyć próg filharmonii. Nagle zniknęli Rucacelli, Rosenberg, batuta, tajemnice, sejfy i wszystkie niewiarygodne skarby, które były tak niedaleko, kilkanaście metrów nad naszymi głowami.

Ani przez chwilę nie ulegało dla mnie wątpliwości, w jakim charakterze jestem tu dzisiaj.

Znów byłem muzykiem; tylko albo aż.

Muzykiem.

Zalała mnie tak wielka fala adrenaliny, że z trudem powstrzymałem dygot. Ale drzwi się zamknęły. Klamka zapadła. To był mój trzeci „środek” w ciągu trzech dni...

Od początku uderzył mnie specyficzny powiew napięcia. Każdy z uczestników konkursu musiał wytwarzać specyficzne pole emocji. Przybyli w aurze swoich ambicji, nadziei i lęków, i to one hulały po korytarzach, tworzyły ciągi, porywając w swoje wiry wszystkich uwikłanych. Połączone, dawały ów niepowtarzalny, uroczyście kłęskowy nastrój, który materializował się w powietrzu. Mroził oddechy i spojrzenia; mógłbym z niego lepić śnieżki i obrzucać kolegów. Przynajmniej wszyscy mieliby rozrywkę.

Człon kłęskowy, z natury swojej większy, miał w miarę upływu czasu brać we władanie coraz więcej zawiedzionych muzyków, nastrój uroczysty pozostawiając tylko kilku wybranym.

W sensie psychologicznym rywalizacja już trwała. Była najwyższa pora przypomnieć sobie - i zastosować w praktyce zasadę numer jeden: nadrabianie miną. Najmniej odporni załamują się już na wstępie, widząc uśmiech i pewność siebie rywali. Nie należało jednak przesadzać; jeśli dobra mina była jedynym atutem kandydata, to czekały go rozstrzygnięcia szybkie a nieprzyjemne.

Z przeciwnej strony korytarza moje oczy poraziła Marchewka, która ubrała się w tak zjadliwie pomarańczowy kolor, że przysługiwało jej dziś

miano Supermarchewki.

Po hallu kręciło się kilku względnie młodych ludzi w wymiętych marynarkach i o niezupełnie przytomnych spojrzeniach. Podejrzewałem, że dotarli do Krakowie po nocnej podróży pociągiem. Błąd. Po takim maglu tracisz kilkanaście procent możliwości. Ale widziałem też innych, a raczej inne. Oko wyspane a wymalowane, mina zacięta, choć uśmiechnięta. To były doświadczone bojowniczkii altówki. One wiedziały, że należy zapewnić sobie hotel i pojawić się na miejscu w wieczór poprzedzający zmagania.

W zupełnie innym nastroju byli członkowie komisji egzaminacyjnej: koncertmistrzowie poszczególnych grup smyczkowych, prawie cała grupa altówek i przedstawiciele związków zawodowych. Popijali kawkę, a szerokie uśmiechy zdobiły ich lica. Dzisiaj byli po przyjemniejszej stronie orkiestrowej rzeczywistości. Zazwyczaj pod nieustającym ostrzałem dyrygenckich uszu, oczu i wymagań, tym razem sami mieli oceniać i podejmować decyzje. Nieraz zdarza się, że wymagania jury względem kandydatów szubują nagle niebotycznie wysoko, osiągając pułap, któremu nie wszyscy jego przedstawiciele sami byliby w stanie sprostać. Jakże to ludzkie.

Za kontuarem w portierni dostrzegłem pana Zenona. To był pozytywny znak. Przywitałem się z nim jak z dobrym znajomym, którym w istocie stał się dla mnie w ubiegłym tygodniu. Puścił oko i z troską w głosie powiedział:

- Oj, coś nieszczególnie pan wygląda, ale zdaje się, że złapali tych łobuzów.

Bez trudu zgadłem, o kim mowa, ale skąd on o tym wiedział? Widocznie jednak poinformował nadkomisarza o dobijających się w piątek typach; mógł nawet pomóc w ich identyfikacji. Z panem Zenonem chciałem później spokojnie porozmawiać. Kilka spraw bezwzględnie trzeba było sobie wyjaśnić. Gdyby portier wiedział, jak niezwykle dzień czeka go dzisiaj w pracy...

Punktualnie o dziesiątej wszyscy kandydaci zjawili się w sekretariacie. Niektórzy zdążyli już odbyć krótką próbę z fortepianem. Ja miałem za sobą czwartkowe granie w sali koncertowej. Więcej nie było mi trzeba.

Ogólny poziom emocji obniżył na szczęście zainteresowanie moim nieszczególnym wyglądem. I bardzo dobrze, bo prawie o nim zapomniałem, jedynie od czasu do czasu krzywiąc się z bólu w zgoła nieoczekiwanych momentach.

Stawiło się osiemnaście osób. Ośmiu miejscowych i przyjezdna dziesiątka, w tym trzech kolegów zza wschodniej granicy. Graniczyło z pewnością,

że będą groźnymi rywalami. Poziom szkolnictwa muzycznego, a co za tym idzie instrumentalistów, był w krajach dawnego sowieckiego imperium niezmiennie wysoki.

Powoli wracał mi spokój.

Miałem w okołoprzesłuchaniowych korowodach pewne doświadczenie. Moment pierwszego spojrzenia w oczy rywalom już minął. Na dalsze puszanie się nie warto było trwonić cennej energii. Niejeden już był mistrz świata - z wyglądu - który graniem swoim wzbudzał potem tylko uśmieszki. Rozlosowaliśmy numery. Wcześniej wypracowałem pogląd, że kolejność grania nie powinna mieć dla mnie żadnego znaczenia.

Porządek na starcie nie ma znaczenia, to nie Formuła 1.

W tym niekiedy szalenie egocentrycznym zawodzie trzeba wiedzieć, kiedy liczyć się tylko ja. Tak jak w życiu; z pozoru otoczeni tłumem ludzi, w gruncie rzeczy pozostajemy sami. A umiejętność koncentrowania się w odpowiednim momencie na sobie i swoim działaniu wcale nie musi oznaczać egoizmu.

Przypadł mi w udziale numer siedemnaście. Zgodnie z tylko co zaprezentowaną postawą przyjąłem go, jako szczęśliwą wróżbę, choć na pytanie: „Dlaczego?“, mógłbym udzielić jedynie odpowiedzi: „A dlaczego nie?“. Należało myśleć pozytywnie i poszukiwać dobrych impulsów, nawet w drobnych i czysto przypadkowych faktach. Numer mój gwarantował długie czekanie, ale na to już nie było rady.

- To nawet dobrze - skrzeczał mi do ucha pozytywno-pozytywistyczny chochlik - masz czas, żeby się porządnie rozegrać. - OK, przyznałem mu rację.

Wiedziałem, że wspólnie naginamy fakty, ale tego rodzaju praktyki mieszczą się w przesłuchaniowym zaklinaniu rzeczywistości...

Pierwsi kandydaci szykowali się do występu. Wszystkich nas umieszczono w dużym pomieszczeniu, zazwyczaj służącym muzykom jako zbiorowa garderoba. Warunki nieidealne, ale dla wszystkich takie same. Organizatorzy musieli stwierdzić, że takiej liczby chętnych nie uda się sprawiedliwie rozlokować w kilku mniejszych pokojach, zwłaszcza że jeden z nich - dyrygencki - był ciągle oficjalnie zaplombowany. Siedzieliśmy więc jak w ulu. By zmniejszyć nieco poziom wytwarzanych decybeli, większość z nas założyła tłumiki; nadawały instrumentom charakterystyczne pszczele brzmienie, co potęgowało skojarzenia z pasieką.

Ale nie wszyscy. Wojna psychologiczna bowiem trwała. To była jej druga odsłona. Objawiła się grupa tak zwanych wirtuozów korytarzowych. Tych, którzy nie mogli powściągnąć nerwów i rozgrywali się w pełnym szwungu, licząc przy okazji na osłabienie morale kontrkandydatów.

Moja strategia była inna. Owszem, grać, utrzymywać rękę w stanie rozgrzanej gotowości, ale tylko gamy i dwudźwięki, a jeśli fragmenty z repertuaru, to wyłącznie wolno, z maksymalną kontrolą. Na dopalacze wkrótce miał przyjść czas, a wiedziałem, że wspomniana już adrenalinka dostarczy ich w wystarczającej, oby nie nadmiernej, ilości.

I wpadłem w taki muzyczno-wyczekujący trans.

Stałem się drzewem, a moje przedłużone o instrument i smyczek ręce, jego gałęziami. Wegetowaliśmy, aż dadzą nam znak, że pora zakwitnąć. Nie pozwalałem sobie jednak na rozluźnienie; nigdy nie można wykluczyć, że kolejność grania ulegnie zmianie - chciałem w każdej chwili być gotowy do akcji.

Kątem oka widziałem wychodzących i wracających do sali kolegów. Ich twarze były jak otwarte książki. Ale wiedziałem, że i to jest złudne, bo szalenie trudno o obiektywną samoocenę w ekstremalnie emocjonalnych sytuacjach, niektórzy zaś próbowali raz jeszcze nadrabiać minę; miał to być zastosowany przez nich trzeci, a zarazem ostatni element psychologicznych zapasów.

Kandydaci grali po parę minut.

Wolno, lecz nieodwracalnie zbliżała się moja kolej...

Aż w końcu nadszedł długo oczekiwany moment, w którym przecucia tryumfu i klęski zwały się na chwilę w śmiertelnym boju.

- Kandydat numer siedemnaście!

Pora zaczynać.

W ciszy, w której kroki po drewnianej podłodze estrady zdawały się dudnić, podszedłem do fortepianu. Pianistka przywitała mnie uśmiechem i podała la; dobrze; nawet w oczywistym geście próbowałem widzieć przyjazny odruch. A nowe instrumenty mają dużą skłonność do rozstrajania się; młode drewno ciągle pracuje. Odnalezienie idealnie zestrojonych kwint jest jak dobre ulokowanie się w blokach startowych.

Stałem przed prowizorycznie zainstalowanym parawanem. Po drugiej stronie znajdowała się komisja, pewnie już zmęczona wysłuchaniem szesnastu klasycznych koncertów. Wiedziałem, że pierwsze dźwięki zadecydują o jej nastawieniu; albo ich zainteresuję i wciągnę, albo... popatrzą po sobie z ironicznym uśmieszkiem i bez sentymentu odhaczają/przekreślają (niepotrzebne - raczej niepotrzebnego - skreślić) numer siedemnaście na konkursowym arkuszu.

Czekanie otumaniło mnie jednak trochę. Jak długo można utrzymywać się w stanie pobudzenia? Pojawia się moment, w którym zastępuje je znużenie, przechodzące w otopiałość. Niestety, ta chwila właśnie nadeszła.

Zacząłem grać, ale to nie byłem ja. Miałem wrażenie, jakby ktoś grał obok, pozostawiając mi rolę obserwatora. Metoda Lewlera Terwała, dająca tak znakomite wyniki przy ćwiczeniu, w tej sytuacji była jednak zabójcza. Zgubny skutek przyszedł natychmiast. W jednym z pierwszych akordów, moje palce zsunęły się z gryfu...

I tak to właśnie, cholera, jest: ćwiczysz, pracujesz, szykujesz się fizycznie, mentalnie i duchowo, a nie spodziewasz się, że w decydującym momencie, w ułamku sekundy zdarzy się coś tak dziwnego, tak nieprzewidywalnego, ba, idiotycznego zgoła, że wszystkie swoje rachuby możesz w tym momencie wsadzić... może nie będę określał gdzie dokładnie.

Zdruzgotany, ale i wyleczony momentalnie z tremy - co jeszcze miałem do stracenia; właśnie całkiem sporo udało mi się zaprzepaścić - zacząłem nagle grać zupełnie poprawnie i bez dalszych wpadek. Gdyby nie ta pierwsza, w spokoju oczekiwałbym na wyniki pierwszego etapu.

W trosce o maksymalny obiektywizm przy ocenie kandydatów nikt z komisji nie miał prawa widzieć grających. Nie mogłem więc liczyć na to, że ktoś powie:

- Faktycznie, obsunęło mu się, ale to przecież Bartek, on sobie świetnie radzi w orkiestrze...

Niestety...

Zacząłem powoli żegnać się z dalszym udziałem w przesłuchaniu, a moja myśl, jakby tylko na to czekała, poszybowała natychmiast dwa piętra wyżej.

Dlaczego? Przecież wszystko już było jasne.

Ostatni, osiemnasty kandydat zakończył swój występ. Za kilka minut miało być wśród nas kilkoro szczęśliwców i znacznie więcej rozczarowanych. Potem jeszcze kilku z tych szczęśliwców będzie musiało przełknąć gorzką pigułkę, a jeszcze później... ale nie zdążyłem dokończyć myśli, ponieważ pojawiła się sekretarka z kartką w dłoni. Przynajmniej na wyniki nie musiałem długo czekać...

- Czy wszyscy kandydaci są obecni?

Nikt nie odpowiedział, co zostało przyjęte za potwierdzenie. Nielogicznie, bo gdyby kogoś nie było, to przecież nie mógłby się odezwać. Zapadła cisza, z gatunku tych, co to bzyknięcie muchy podnoszą do rangi huk bombowca.

- Do drugiej rundy komisja kwalifikacyjna dopuściła czterech uczestników, podaję ich numery - w totolotka sobie pograj - cztery, siedem, dwaście i... zaraz, zaraz, momencik, tu coś jest niewyraźnie... o, już. I - dyscyplina dodatkowa - siedemnaście.

O cholerka, gram dalej!

Jak to się stało?

Mówiłem, jak trudno ocenić własne granie w warunkach konkursowych, może z wyjątkiem sytuacji zupełnie ewidentnych. Pomimo technicznego błędu komisja obdarzyła mnie kredytem zaufania. Od tej chwili jednak liczył się wyłącznie fakt, że nie wypadłem z gry, choć mentalnie znajdowałem się już poza nią. Nie było czasu na rozpamiętywanie szczęśliwego dla mnie wyniku głosowania. To teraz przeszłość. Pierwszy krok zaledwie. Ważny, warunkujący dalsze, ale niekompletny. Pierwszy schodek. Pierwsza runda. Do końca pozostawały dwie, pod warunkiem że w najbliższej nie dam się znokautować.

Musiałem natychmiast skupić swoją myśl na czekającym mnie za chwilę Bartóku.

Uczestnicy reagowali różnie. Niektórzy przyjęli werdykt beznamiętnie, spodziewając się takiego rozstrzygnięcia. Inni oblegali sekretarkę, próbując wyjaśnić, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka. Niestety, pomyłki w tej materii zdarzały się niezwykle rzadko; osobiście nigdy nie byłem świadkiem podobnego zdarzenia.

Rozkołatany między rezygnacją a nieoczekiwane odrodzoną nadzieją, nie mogłem zrozumieć, dlaczego mała ćma coraz natarczywiej macha mi przed nosem skrzydełkami? Przecież wszystko zostało odkryte...

Komisja miała krótką przerwę. Krótką, bo została nas tylko czwórka. Cała zabawa mogła się rozstrzygnąć w godzinę. Oprócz mnie, w drugiej rundzie znalazła się Supermarchewka. Miła dziewczyna, cieszyłem się, że gra dalej. Był jeszcze młody chłopak, którego nie znałem i przybysz ze Wschodu; nie myliłem się, sądząc, że któryś z nich okaże się groźnym rywalem.

Druga runda również odbywała się za zasłoną. Dopiero w finale miała przyjść pora na zdjęcie przyłbicy. Zachowana została kolejność losowania, więc tym razem miałem wystąpić ostatni, choć czas oczekiwania skrócił się znacząco. Los chciał, że dwoje z nas przygotowało koncert Bartóka, podczas gdy pozostała dwójka - Waltona.

Tym razem grało mi się lepiej. Nie zdarzyły się żadne idiotyczne przygody. Ale bez złudzeń; nie było to wykonanie porywające, nazwałbym je co najwyżej przyzwoitym.

Miałem jeden podstawowy problem. Z koncentracją. Moje myśli jak samoistne byty, zaczęły krążyć razem z ćmą; zgoła nieoczekiwane pojawił się jakiś element niedający mi spokoju i domagający się wyjaśnienia. Nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi, ale czułem, że wraz z kolejnymi kręgami, zataczanymi wspólnie z zaprzyjaźnionym owadem, powoli się do tego czegoś zbliżam. Czasami poszukujemy w pamięci zapomnianego słowa,

lub nazwy. I wiemy, że odnalezienie jest kwestią czasu, choć niemożność odszukania czegoś z pozoru oczywistego, irytuje.

Doświadczałem podobnego uczucia. Różnica polegała na tym, że w pamięci miałem jedynie poszczególne litery owego słowa; ono samo musiało się ujawnić w intuicji.

Znajdowałem się na granicy rozdwojenia jaźni. W momencie, w którym kontur wymarzonego celu zaczął już majaczyć w oddali, całe moje siły, miast skoncentrować się na jego osiągnięciu, ruszyły nagle na spotkanie ostatniej tajemnicy. Podświadomie czułem jednak, że jeśli nie teraz, to już nigdy jej nie odgadnę ani nawet się do niej nie zbliżę.

Dlatego informację o zakwalifikowaniu się do finałowej trójki - odpadł altowiolista, którego nie znałem - przyjąłem ze spokojem schizofrenika, którego system wartości wyczynia nieustanne wolty.

Czułem, że jestem na granicy szaleństwa. Na własne życzenie. Irracjonalny upór - w końcu nazwałem rzecz po imieniu, aby w obliczu niesamowitych, pochłaniających, ale również wyczerpujących zdarzeń nie odpuścić przesłuchania, wydał mi się nagle absurdem.

W najgorszym z możliwych momentów...

Wyszedłem na estradę. W końcu można było ujrzeć wysoką komisję, może nawet hipnotycznie spojrzeć w oczy temu lub owemu.

Hipnotycznie? Podbitym okiem? Ej, dałbyś lepiej spokój, panie Czarnoleski.

Gwałtownie wyleczony z idei mesmeryzmu, pozwoliłem wzrokowi błądzić po całej sali. Znowu widziałem ją od strony podium, z perspektywy muzyka. Ale zamiast dać się słuchać i oglądać, ujrzałem nieoczekiwany spektakl.

Stałem się widzem teatru jednego aktora.

Ze mną w roli głównej.

Gdy już, już miałem zacząć *Don Juana* - a zagrać ten utwór bez odpowiedniego skupienia, to lepiej od razu zmienić zawód - zobaczyłem nagle siebie, balansującego na balustradzie jaskółki. Chyba teraz dopiero dotarło do mnie, na co się wówczas porwałem. Z aktualnej perspektywy mogłem to właściwie ocenić. Dobrze, że dopiero teraz.

Wizja zniknęła. W samą porę. Zachodziła obawa, że nic już nie zagram. Ale zagrałem. Nie wiem jak. Nie pamiętam. Pewnie szybko.

...Bity i popychany powiedział coś, czego nie zrozumiałem i nie rozumiem do dzisiaj. Pamiętam te słowa dokładnie: mój korytarz ma być jeszcze raz otwarty - to było zrozumiałe, ale potem zaczął mówić dalej. Niestety, w tym momencie ostatecznie nas rozdzielono, a z pozostałych słów nigdy nie

byłem w stanie zbudować jasnego sensu, więc pozwoli pani, że teraz też je przemilczę.

- To wielka szkoda, myślę, że nasi czytelnicy chcieliby to jednak usłyszeć.

- Nie, proszę nie nalegać. Nie będę powtarzał słów, których znaczenie pozostało dla mnie przez te wszystkie lata ukryte. Zrozumiałem tylko, że w systemie tajemnych przeżyć był jakiś nieznanymi mi element, coś, co pozostało wyłączną tajemnicą architekta...

...

- Panie Bartku, czy może nam pan jeszcze coś zagrać?

- Oczywiście... przepraszam bardzo, zamyśliłem się...

Z najwyższym trudem powróciłem do rzeczywistości. W rozpaczliwym akcie skupienia wykonałem fragment *Symfonii Jowiszowej* Mozarta.

...

Którędy uciekali muzycy z Kwartetu Gudelsteina? Zniknęli, to nie ulegało wątpliwości. W tunelu znalazłem program z ich koncertu. Program... dlaczego Włosi ukradli popiersie Karłowicza?

...

- Panie Bartku, halo, dobrze się pan czuje?

- Tak, tak, znakomicie, przepraszam, już gram.

Zagrałem *Wolnego strzelca* Webera, ten fragment, który, bardziej może ideowo niż muzycznie, był mi nieomal mottem. Mogłem go zagrać zawsze i wszędzie, z pamięci, nawet wyrwany z najgłębszego snu.

A więc ten drugi, ten Bartosz zewnętrzny zagrał.

...

Ukradli rzeźbę patrona filharmonii. Dlaczego? Korytarz koncertowy i dyrygencki znajdowały się po przeciwnych stronach budynku, wygląda na to, że gdzieś w środku sali, tam gdzie wiszą te trzy żyrandole...

...

- Panie Bartoszu, poprosimy o coś z Karłowicza, może początek *Epizodu na maskaradzie!*

...

...Karłowicza...

- Panie Czarnoleski, co pan tam widzi? Przerrywamy czy spróbuje pan zagrać. A może najpierw fragment *Reńskiej* Schumanna?

...

- Przepraszam, co pan powiedział? Schumanna?!

Program! Program koncertu z trzeciego grudnia 1939 roku. Ale to nie o datę chodzi... Co było na pierwszej stronie? Te dwa niewyraźne słowa, to... Oczywiście!

Städtische „Robert Schumann” Orchester Krakowitz... Rany boskie!

Misternie, ale wyraźnie wyryte na jednej z płyt inicjały - R.S.!!!

- Przepraszam, bardzo przepraszam, bardzo państwa przepraszam - bełkotałem, wycofując się rakiem z estrady. Komisja patrzyła na mnie w niemym zdumieniu.

Odłożyłem altówkę, w jej miejsce ścisnąłem w palcach latarkę - noszenie jej przy sobie wchodziło mi już w krew - i czym prędzej pobiegłem do portierni. Batuta Rucacellego - rozkręcona, by łatwiej dała się schować do kieszeni, była cały czas ze mną. Ani na chwilę nie zostawiłem jej bez opieki.

- Panie Zenku, klucz, muszę mieć klucz od pokoju dyrygenckiego!

- Ale co pan, panie Bartku, tak nie można...

Zostawiłem go z otwartymi ze zdumienia ustami, a sam, porwawszy klucz, pobiegłem co sił na górę.

Włosi ukradli Karłowicza, bo był patronem filharmonii. Ale, na litość boską, nie w czasie wojny! Część personelu, a pewnie i muzyków, na początku chyba tam jeszcze pracowało, dzięki czemu zresztą oba korytarze mogły funkcjonować. Ale pierwszym krokiem, jaki Niemcy musieli uczynić w stosunku do orkiestry, była zmiana jej nazwy i oczywiście patrona.

Został nim Robert Schumann!

W pośpiechu zrywałem plombę i przekręcałem klucz w zamku. Czym prędzej zamknąłem pokój od środka. W samą porę. Na korytarzu narastał tupot nóg i szum zbliżających się głosów. Wszyscy musieli sądzić, że zwariowałem. Na szczęście fortepian, który kilka dni wcześniej posłużył włamywaczom za blokadę, być może dla użytku prokuratora nie wrócił jeszcze na swoje miejsce. Na wszelki wypadek dopchnąłem go do drzwi. Nie wiedziałem, ile czasu zajmie mi rozszyfrowanie ostatniej tajemnicy gabinetu dyrygenckiego, ale wolałem nie ryzykować. Zabrnąłem za daleko. Droga wiodła już tylko w jedną stronę...

Przy otwieraniu wjazdu nie napotkałem żadnych trudności. Ba, wszystko jest łatwe, jak się wie co i jak.

Know how...

Ale jeden element był nowy.

Płytką z inicjałami: R.S.

Oczywiście, Rosenberg mógł przewidzieć, że filharmonia zmieni patrona. Ale skąd wiedział, że zostanie nim Bogu ducha winien Robert Schumann? Odpowiedź na to pytanie była jednak prostsza, niż mogło się здаwać. On nie musiał tego przewidywać.

...w systemie tajemnych przejść był jakiś nieznan mi element, to coś, co pozostawało wyłączną tajemnicą architekta...

Element musiał więc istnieć od samego początku, czyli remontu. Był wentylem bezpieczeństwa, prawdopodobnie do jednorazowego wykorzystania. Niewykluczone, że sam Rosenberg zamierzał się nim posłużyć w chwili ostatecznego zagrożenia. Ale - z jakichś powodów stało się inaczej.

... mój klucz ma być jeszcze raz użyty...

Słowo „klucz” było tu z pewnością zastosowane symbolicznie. Chodziło o możliwość otwarcia korytarza dyrygenckiego, sekret znany do tej pory jedynie architektowi. Więc co dalej? Rosenberg prawdopodobnie tuż przed aresztowaniem lub w obawie przed nim, zdradza komuś tajemnicę dostępu i... coś jeszcze. Coś, co z tych samych powodów, dla ułatwienia oznaczył dodatkową wskazówką - delikatnie, lecz czytelnie wyrzniętymi inicjałami nowego patrona filharmonii. Kim mieli być spadkobiercy tajemnic architekta - nietrudno było się domyśleć. Teraz należało to udowodnić.

Zgodnie z przewidywaniem pan Zenon przekręcił w zamku zapasowy klucz. Szum głosów był wyraźny, ale dobiegał do mnie jak zza mgły. Miałem niewiele czasu i musiałem skoncentrować się tylko na jednym.

Myśli jak błyskawice przebiegały przez moją głowę, podczas gdy ręce trudziły się z najważniejszym dla całej sprawy - jeśli mój tok rozumowania był poprawny - szachowym polem. Próbowałem przesunąć je na różne sposoby.

Mogłoby się здаwać, że liczba działań możliwych do podjęcia na drewnianej, kwadratowej płytce o boku długości około pięćdziesięciu centymetrów, jest ograniczona. Bo jest. Lecz gdy żadne z nich nie przynosi rezultatu, trzeba się poddać lub spróbować czegoś mniej konwencjonalnego.

Zaparłem się o sufit powierzchnią obu dłoni.

Tym razem płytka uniosła się lekko i bez większego problemu dała przesunąć. Posuwała się, jak po dobrze naoliwionych szynach. Moim oczom ukazał się metalowy uchwyt. Silnym pociągnięciem opuściłem go o kilkanaście centymetrów w dół.

Ku mojemu zdumieniu, pole R.S, samoistnie powróciło do pozycji wyjściowej.

Odsunąłem stół na miejsce, sam zaś ile sił podskoczyłem w kierunku włazu. Udało mi się chwycić jego krawędzi i podciągnąć, a potem podeprzeć łokciami i wcisnąć do środka. Między drzwiami a fortepianem pojawiła się szczelina, zwiastująca rychłe zniknięcie ostatniej strzegącej mnie bariery. Czym prędzej zamknąłem za sobą wąż.

Im mniej śladów zdradzających miejsce zniknięcia, tym lepiej. Za kilkanaście sekund parę osób wpadnie do pokoju. Zdziwią się, nie znajdując

nikogo. Zwłaszcza że okno będzie zamknięte; poprzedniego wieczoru ponownie zabezpieczyłem je płytą.

Ale potrzebowałem jeszcze trochę czasu. To była już tylko moja partia i to ja musiałem rozegrać ją do końca. W najgorszym razie mogłem liczyć na antykwariusza.

Przemarsz korytarzem nie trwał długo; on sam nie wyglądał w ani jednym elemencie inaczej niż wczoraj. Również w pomieszczeniu z szafą pancerną z pozoru nic się nie zmieniło. Z pozoru, bo choć sejf stał na swoim miejscu, miałem wrażenie, że w komorze jest lekki przewiew. To było coś nowego i musiało mieć związek z rączką, którą przed chwilą pociągnąłem. Oświetlone małą latarką ściany nie ukazywały nic nadzwyczajnego. By w niedostatecznym świetle nie przeoczyć istotnego szczegółu, znowu pomagałem sobie zmysłem dotyku.

Ilekcroć z różnych stron zbliżałem się do sejfu, zdawało mi się, że wyczuwam wzdłuż jego krawędzi silniejszy powiew.

To była jedyna - pierwsza i ostatnia możliwość.

Z całą dostępną mi ostrożnością i delikatnością spróbowałem go pchnąć. Wiedziałem, co ryzykuję. Drżałem o bezcenny zbiór, który przekonał mnie, że wyobraźnia również może się rozwijać.

Ale przecież Rosenberg i Michalewicz sami wciągnęli sejf na górę. To prawda, było ich dwóch, ale do przesunięcia jedna osoba powinna wystarczyć.

Udało się!

Sejf rzeczywiście nie był taki ciężki, a może moje siły na końcu drogi zagadek urosły do ponadnaturalnej wielkości. W miejscu przed chwilą jeszcze zasłoniętym szafą pancerną teraz ział otwór. Gruba, metalowa płyta, z pewnością wskutek interwencji w polu Schumanna, przesunęła się i schowała w ścianie, otwierając ostatni tunel Rosenberga. Dziura nie była duża, ale dorosły człowiek mógł się w nią wcisnąć. O ile jednak korytarze: koncertowy i dyrygencki umożliwiały poruszanie się na dwóch nogach, o tyle w tym można się było jedynie czołgać. Ktoś, kto podejmował trud i ryzyko pełzającej wędrówki, musiał wierzyć, że kanał nie skończy się ślepo. Ale wyczuwalny w korytarzyku przeciąg rozwiewał wątpliwości; z drugiej strony musiało być wyjście i to raczej niedaleko. Bez wahania ruszyłem przed siebie. Towarzyszyło mi niemal fizyczne poczucie kresu poszukiwań. Napotykanie co pewien czas fragmenty starych kabli potwierdzały moje przypuszczenia. Znajdowałem się nad salą koncertową, w samym jej środku.

Po chwili na drodze wyrosła przeszkoda. Jakby górka przykryta materiałem. Dokonując cudu, spłaszczyłem się cały i ominąłem ją. Na razie nie

chciałem niczego dotykać, bo Bóg jeden raczył wiedzieć, co będzie moim kolejnym znaleziskiem. Po kilku metrach rękaw skończył się. Przede mną wyrosła ściana z cegieł. A jednak ruch powietrza nadal był wyczuwalny. Dotknąłem zapory ręką i popchnąłem delikatnie. Konstrukcja posypała się jak domek z kart. Nie była zespolona żadną zaprawą. Przedostałem się na drugą stronę. Ułożone jedna na drugiej cegły imitujące mur, miały zamaskować metalową płytę. Zbytek ostrożności? Może, lecz Rosenberg był najwyraźniej perfekcjonistą; niczego nie chciał powierzyć przypadkowi. Rozsypaną ścianę można było ponownie ustawić w parę chwil, w pełni przywracając maskujący efekt. Z boku dostrzegłem szczelinę, w którą wsunął się płat metalu. Ukryty w polu R.S, mechanizm otwierał obie strony rękawa. Płytę wejściową zasłaniał sejf- wystarczyła jedna osoba, by przed wejściem w tunel ponownie zasłonić nim włącz - wyjściowa zaś kryła się za ceglany murkiem.

Teraz dopiero spostrzegłem, że tuż pod sklepieniem najwyższego z tuneli biegnie wał zakończony kilkoma zębatymi przekładniami. Zdziwiająco; wszystkie elementy mechanizmu błyszczały w świetle latarki od *smaru*. Tylko dzięki temu, że Rosenberg - wiedziony wieszczym przeczuciem? - użył go w irracjonalnym nadmiarze, całość po blisko siedemdziesięciu latach funkcjonowała nadal bez zarzutu. Niewiarygodne! Przedwojenna szkoła, chciałyby się powiedzieć...

Stanąłem na dwóch nogach.

Chwileczkę, ja tu już byłem!

Odkrycie nie powinno mnie jednak zdziwić, ponieważ okazało się zgodne z zarysem planu sieci tuneli, który w międzyczasie ułożyłem w głowie. Ostatni tunel Rosenberga łączył ze sobą oba korytarze: dyrygencki z koncertowym... Znajdowałem się w tym drugim, w miejscu gdzie nastąpił gwałtowny spadek. To tutaj któryś z muzyków zgubił program zabrany na pamiątkę ostatniego koncertu. A może zostawił go celowo?

Dzięki niemu udało mi się przed chwilą rozwikłać ostatnią zagadkę Rosenberga.

Ale co zamykało tunel? Czy należało odnaleźć i pociągnąć kolejną przekładnię? Wówczas istniałoby ryzyko odkrycia go od strony korytarza koncertowego. Nawet jeśli praktycznie bliskie zera - bo kto niby mógłby jej tam poszukiwać; uciekinierzy? - to nie sądziłem, żeby architekt na nie się zgodził.

Czy jednak nie powinienem był się domyślić? Mechanizm z opóźnionym działaniem, timer dawnych czasów...

Pierwszy pomruk rozeźlonej, skrzepowanej siły odezwał się nad moją głową. Coś, co brzmiało jak zgrzyt rozkręcającego się w ścianie łańcucha,

zaczęło podzwaniać wewnątrz murów. Z boku wysunęła się płyta, powoli zasłaniając coraz większą część otworu. Teoretycznie istniała możliwość ponownego otwarcia łącznika korytarzy, ale gdy wyobraziłem sobie drogę, która by do tego wiodła, wybór stał się jasny. Błyskawiczna decyzja była jego prostą konsekwencją.

Musiałem wiedzieć teraz.

Jedynym przedmiotem, którym mogłem się w tej chwili posłużyć, była mała latarka. Wsunąłem ją głęboko, najgłębiej jak mogłem, w szczelinę skrywającą metalowe zamknięcie. Udało mi się powstrzymać mechanizm, ale na jak długo? Drobnym przedmiotem nie mógł w nieskończoność opierać się miażdżącej sile. Szybko przeczołgałem się do środka. Z przeszkody, którą parę chwil wcześniej udało mi się ominąć, zdjąłem przykrywające je grube płachty.

Moim oczom ukazały się cztery skrzynki.

Nieprzyjemne odgłosy, jakie wydawał walczący system przekładni, dały jasny sygnał: na transport każdej z osobna nie starczy mi czasu. Nieopatrnie mógłbym stać się piątą zagadką tunelu.

Odkrytą pewnie znów przez jakiegoś altowiolistę - za sto lat...

Z ostrożnością, na jaką pozwalał pośpiech, wsunąłem materiał pod pułdła. Rakiem wycofując się do wyjścia, zacząłem ciągnąć ten zaimprovizowany, bagażowy wózek. Po chwili byłem na zewnątrz. Na razie tylko ja.

Raz... dwa... - mniejsze ze skrzynek przeszły bez trudności; kolejna, nieco większa, też jakoś... I w końcu największa...

Cholera! zablokowała się...

Jeszcze moment i triumfująca, metalowa płyta rozetnie ją na pół wraz z zawartością. Proszę, nie...

Jest!

W chwili gdy ostatnie z pudeł znalazło się na zewnątrz, latarka zaczęła niebezpiecznie trzeszczeć. Zastanawiałem się, czy zdążę ją wyciągnąć - w końcu była moim jedynym źródłem światła - ale nie zaryzykowałem.

I dobrze: w tym momencie mechanizm zmiażdżył ją z głośnym chrupnięciem. Zapanowała ciemność i... cisza. Bowiem wysiłek, który przemysłny system włożył w pokonanie oporu latarki, kosztował go życie. Jakieś ogniwo lub któryś z trybów musiały po prostu pęknąć.

Ciemność i cisza.

Ta pierwsza była porównywalna tylko z pierwotnym wrażeniem, którego doświadczyłem tu w piątek. Druga, mimo ciągle dramatycznych okoliczności, wydawała się błoga...

Przed sprawdzeniem zawartości skrzynek zastanowiłem się nad drogą powrotu. Teoretycznie mógłbym próbować otwarcia sufitu od wewnątrz,

ale choć wiedziałem, że powinno to być wykonalne, nie miałem już siły na kolejne syzyfowe poszukiwania. Zwłaszcza że istniała inna droga; raz już przeze mnie pokonana. Dłuższa i bardziej kręta, ale wiedziałem, że doprowadzi mnie do wyjścia. Prócz tego pierwszą osobą, z którą chciałem się skontaktować po wyjściu, był nadkomisarz Bielski. W najmniejszym stopniu nie nadawałem się, by prosto z sufitu wpaść w podniecony a zdeorientowany tłumek ludzi.

Mimo że traciłem przez to wiekopomną szansę, aby choć raz na pytanie: „Co ty, z sufitu się urwałeś?” - odpowiedzieć twierdząco.

Ale to wszystko miało nastąpić później. Za chwilę. Dopiero gdy znajdy odpowiedź na ostatnie pytanie. Nikt i nic nie może mi już przeszkodzić w jej uzyskaniu...

Rozpocząłem badanie płacht. Jeśli mogłem zaufać zmysłowi dotyku - a ostatnio oddawał mi nieocenione przysługi - okazały się one płaszczami. Męskimi płaszczami. Płaszczami muzyków z Kwartetu Gudelsteina. Czy w całej układance był choć jeden element, który kazałby mi wątpić, że to ich śladami podążam? Postanowiłem przeszukać zakamarki okryć; może przez zapomnienie, a może świadomie, zostawili w nich coś przydatnego? Gudelsteinowcy musieli wiedzieli, że czeka ich droga ciemnymi tunelami.

A ciemność była tak absolutna, że nawet po jakimś czasie wzrok nie był w stanie przebić jej czeluści...

W jednej z kieszeni odnalazłem zapałki i ogarek świecy. Podzielili się ze mną światłem... Delikatnie potarłem zapałką o draskę.

Zapaliłem świeczkę.

Do symfonii wrzuseń miało dojść jeszcze tylko jedno, ale bodaj czy nie największe. Przy tym płomyczku ocalonego ognia, nie mogłem się oprzeć, aby tu i teraz otworzyć każdy z czterech futerałów.

I upewnić o czymś, o czym już wiedziałem; udało mi się odnaleźć zagubiony, legendarny Kwartet Lucci Silvariego.

Teraz byłem już spokojny.

Muss es sein? Czy tak miało być? Tak, właśnie tak miało być.

Zdawało mi się, że mała ćma, która towarzyszyła mi przez kilka ostatnich dni, na powrót przemieniona w przepięknego motyla, macha mi na pożegnanie skrzydłami. Moja niezwykła przygoda była zakończona.

W wątłym płomieniu świeczki podziwiałem niezwykłą urodę każdego z lutniczych arcydzieł. Niewytłumaczalne zjawisko; struny nie popękały, rozstroiły się tylko znacznie. Gdy dotykałem ich delikatnie, tunel wypełniał się cichutkimi westchnieniami, jakby wydawały je piękności obudzone ze stuletniego snu...

Czy muzycy wiedzieli, że jest to ich pożegnanie z instrumentami? Chyba nie, w końcu u podstaw każdego ludzkiego działania leżą nadzieja i poczucie sensu. Co w przeciwnym razie motywowałyby nas do jakiegokolwiek aktywności? Ale istnieje jeszcze sfera przeczuc; jak jednak mogłem odgadnąć, co myślało i co czuło w tym miejscu - dokładnie, co do dnia, sześćdziesiąt osiem lat temu! - czterech wybitnych muzyków, troskliwie otulających płaszczami swoje ukochane instrumenty?

Choć doświadczałem przeżycia nieomal mistycznego, nie mogłem go przedłużać w nieskończoność. Światu zewnętrznemu należało się parę wyjaśnień.

Oślaniając dłonią płomień świecy, szedłem w dół. Instrumenty zostały. Czekwały, tak jak czekał sejf i wszystkie jego skarby. Czekwały, ale ich wieloletnia samotność miała się już wkrótce skończyć.

Ten moment, ta chwila, właśnie w samotności, w zupełnym oderwaniu od świata, dostarczyły mi największej nagrody za przekraczającą nieraz granice rozsądku determinację. Gdy uświadamiałem sobie, że teraz, w tej małej, zagubionej w bezbrzeżnych piwnicach jednostce czasu jestem jedynym spadkobiercą tak niezwyklej historii i ocalałych z niej skarbów ludzkości, rozpierało mnie poczucie szczęścia i dumy. Do tej pory nie pozwalałem sobie nawet na chwilę rozproszenia; maksymalnie skupiony koncentrowałem się na rozplataniu przemieszanych wątków. Wiedziałem, że przede mną mnóstwo męczących rozmów, wyjaśnień, niedowierzania... Ale teraz była mała, tylko moja, najpełniej osobista chwila tryumfu. Słyszałem podniosłą muzykę, przypominającą finał którejś z symfonii Mahlera.

To nic, że audycja mi nie wyszła. Walczyłem jak mogłem, a nawet dłużej i mocniej, niż nakazywałaby logika. I - ostatecznie - dotarłem do finału. Byłem blisko, bardzo blisko... Poczuję lekkie ukłucie żalu. Ale tylko przez chwilę. Nawet ono nie mogło już zmącić błogiego uczucia dobijania do portu.

Tym razem droga przez labirynt nie dłużyła się. Pokonując posępne i ciemne, coraz to nowe jego odnogi, czułem się trochę jak... gwiazda maszerująca po czerwonym dywanie. To informacja dla tych, którzy sądzili, że altowiolisci są zupełnie pozbawieni próżności...

Nagle znalazłem się w miejscu jakby znajomym. No tak, przecież już tu byłem. Byłem, ale w stuprocentowych ciemnościach. Mózg nie miał prawa przechowywać tego obrazu. Więc skąd to wrażenie, skąd ta pewność?

I wtedy zrozumiałem...

To było miejsce z mojego snu.

Podniosłem świeczkę. W samą porę, aby u wylotu jednego z tuneli zobaczyć księżycowe sylwetki. Nie, bynajmniej nie w hitlerowskich mundurach. W eleganckich garniturach. Moi Włosi. Oto uzyskiwałem odpowiedź na pytanie: gdzie są i co robią?

No cóż, musiałem przyznać, że rozegrali partię po mistrzowsku. Jak rasowi gracze wyczekali do końca, by zgarnąć całą pulę. Jednak za wcześniej ich skreśliłem. Myślałem, że miotają się bez sensu i kierunku. A oni po prostu zdążali do celu własną drogą. Nie szło im, błędzili, różni tacy stawali na ich drodze. Ale nie zniechęcali się. Tym pewnie różnią się zawodowcy od amatorów. Cierpliwością. Konsekwencją. Zmierzaniem do celu i osiągnięciem go bez względu na przeciwności.

Jak to się stało? Przypomniałem sobie różne, nie do końca dla mnie zrozumiałe zachowania Estona z ostatnich dni, łącznie z jego samowolną wyprawą do piwnic piekarni Pod Nietoperzem. Musiał wyczuwać ich obecność. A oni byli ciągle blisko i czekali cierpliwie na odpowiedni moment. I doczekali się.

Będą mieli wszystko.

Zaraz wpadnie w ich ręce batuta. Potem znajdą instrumenty. A na koniec, gdy przeczolągają się przez stojący otworem tunel nad salą koncertową, staną twarzą w twarz z sejfem Rosenberga. Jeszcze nie wiedzą, nie mają pojęcia, jak zostanie wynagrodzony ich trud. Niestety, wizja zdumienia, która wkrótce miała zapanować na ich obliczach, nie była dla mnie żadnym pocieszeniem. Jasna cholera, szkoda...

Chciałem, by było inaczej, ale wiedziałem, że wzrok mnie nie myli. W rękę jednego z nich, w dłoni jednej z księżycowych - teraz świeczkowych - sylwetek, zabłysło ostrze. Pewnie to samo, które tydzień temu miało pozabawić życia Rucacellego. Konsekwentni zwolennicy roboty mokrej, ale cichej. Miałem podstawy sądzić, że tym razem nie będzie fuszerki...

Drugi z mafiosów zniknął. Prawdopodobnie próbował zejść mnie z przeciwnej strony, odcinając tym samym drogę ucieczki. Teoretycznie mógłbym jeszcze spróbować kluczenia po labiryncie podziemnych korytarzy, ale jak długo? Zresztą manewr oskrzydający już trwał. A może pertraktować? Przecież znam włoski.

Naiwność. Okazji do rozmów ze mną mogli znaleźć tysiące. Im nie chodziło o konwersację. Pora zrozumieć, że mordercy nie kierują się kryteriami powszechnie uznawanymi za normalne.

Dlaczego mnie nie oświecali? Nie musieli, bo... oświecałem się sam. To ja byłem zwierzyną, a oni mieli mnie teraz jak na dłoni. Przypuszczam zresztą, że byli wyposażeni w noktowizory; zawodowcy w końcu.

Nożownik zaczął pomału zbliżać się w moim kierunku. Co mogłem mu przeciwstawić? Niewiele, ale nie musiałem też ułatwiać zadania. Śweczka upadła na ziemię. Było tak, jakby ktoś nagle wyłączył światło w teatrze.

Nawet jeśli mają te cholerne gogle, to chwilę potrwa, zanim je włożą...
Zamarłem...

I wtedy, w ciszy tego upiornego momentu, usłyszałem dochodzące z oddali szczekanie.

Jak we śnie. Ale chyba nie śniłem. Boże, czy to Eston? Skąd on by się tu wziął? Poczułem się mimo wszystko raźniej, nie taki całkiem zapomniany i opuszczony w chwili największej i ostatecznej próby. Nie wiedziałem jak, nie wiedziałem skąd, ale mój przyjaciel był w pobliżu. Jego szczekanie nasilało się. I musiało wzbudzić niepokój księżycowych sylwetek. Ten pies był ich przekleństwem.

Nagle, tuż koło siebie, wyczułem czyjąś obecność. Ciemność raz jest sprzymierzeńcem, kiedy indziej wrogiem. Nie wiedziałem nawet, w którą stronę się pochylić, aby uniknąć przeszywającego mrok noża. Zapaliłem zapałkę.

W tym momencie rozegrała się scena, która do dziś ożywa przed moimi oczami, ilekroć je zamknę.

Tuż obok ujrzałem wznoszące się do zadania śmiertelnego ciosu ostrze. Z przeciwnej strony dostrzegłem Estona, który wyprzedził drugą z księżycowych sylwetek i pierwszy pojawił się u wylotu tunelu. Musiał w mgnieniu oka ocenić sytuację. Wszystkie późniejsze analizy kazały mi dojść do wniosku, że był on do takich akcji szkolony. Rozpędził się i oddał niezwykły skok. Zdążyłem się uchylić; poczułem tylko, jak pazury tylnych łap psa muskają mi włosy. Od poddmuchu lecącego w powietrzu potwora zapałka zgasła, lecz wyobraźnię dopowiedziała resztę: potężne łapy Estona opadły na przedramię Włocha i wytrąciły mu nóż z ręki. Złoczyńca zawył z bólu i wściekłości, ale w starciu z psem nie miał już szans.

Eston, pies wyszkolony przez estońską mafię, pokonał reprezentanta kamorry.

Powalił go na ziemię i siadłszy mu na piersi, z pyskiem tuż przy gardle, pozbawił nożownika ochoty do dalszej walki. Nic nie musiałem mówić; pies wiedział, co robić. A ja wiedziałem, że mafioso numer jeden już mi nie zagraża.

To Eston mówił mi, jak mam się zachować: w tym momencie usłyszałem ostrzegające warknięcie; po przeciwnej stronie zmaterializował się mafioso numer dwa. Eston nie mógł mi pomóc, nie uwalniając jednocześnie

swojego jeńca. Musiałem zareagować sam. Ale pies, ten cudowny pies dodał mi tyle siły i wiary, że chyba już się nawet nie bałem.

Mam taką teorię, że jeśli czegoś się nigdy nie robiło, ale w końcu przychodzi na to pora, to nie mając racjonalnego rozeznania skutków swoich działań, można przesadzić. Nigdy nie byłem bokserem, nie lubowałem się ani nie uczestniczyłem w bójkach i rozróbach. Ale uwierzcie mi, w ten cios włożyłem całe swoje artystyczne serce i miałem wrażenie, że złamałem rękę. Nie wiedziałem, że kiedykolwiek mogę uderzyć z taką siłą. Jakiś duży, ciężki gość zwałił się koło mnie bezwładnie na glebę.

I tak wyglądał podsumowujący występ duetu Bartosz - Eston.

Wieczór tego samego dnia był pasmem niekończących się tłumaczeń, wyjaśnień, ustaleń. Dla mnie samego nie wszystko było jasne, a kulturoznawczy szok, który zafundowałem paru osobom, wprawił je w osłupienie, jakiego jeszcze w życiu nie byłem świadkiem. Ale zacznijmy od początku.

Pod moją nieobecność Eston od samego rana był niespokojny. Szczekał, wył, biegał po mieszkaniu, aż w końcu zaniepokojony antykwariusz poszedł zobaczyć, co się dzieje. Próbował go uspokoić, ale bezskutecznie. Bojąc się, że psu coś dolega, otworzył drzwi i minimalnie je uchylił. Eston natychmiast wyśliznął się szczeliną i runął w dół po schodach. Pan Sebastian próbował za nim biec, ale szanse nadążenia nie były duże. Jednak na podstawie kierunku, jaki pies obrał i dzięki informacjom ludzi, którzy widzieli biegnącego ulicą jakby wilka, szybko zlokalizował zbiega, bo ten i daleko nie uciekł. Wpadł mianowicie na podwórze piekarni Pod Nietoperzem i zniknął w jej przepastnych piwnicach. Tym razem antykwariusz nie wahał się ani chwili: natychmiast zawiadomił policję. Gdy jednak ta odnalazła nas w podziemiach piekarni, zastała mnie i psa w niezłej kondycji, za to dwóch Włochów w nieco gorszej. Pierwszy leżał bez czucia na ziemi - choć odzyskał je, gdy policjant zakładał mu kajdanki; drugi również leżał, całkowicie unieruchomiony przez Estona. Szczęściem nadkomisarz Bielski bardzo szybko znalazł się na miejscu. Szczęściem, bo oszczędziło mi to długich i z pozoru niewiarygodnych wyjaśnień.

Bielski przejął mnie od razu. A mnie nie pozostawało nic innego, jak spróbować opowiedzieć całą historię, tym razem w wersji pełnej i prawdziwej, dokumentując ją odkrytymi skarbami. Poprosiłem tylko, żeby przy podwórzu Nietoperza ustawiono solidny patrol, który pod żadnym pozorem nie pozwoli nikomu zbliżyć się do piwnicy. Nikomu, łącznie z właścicielami budynku. Im też należały się małe wyjaśnienia, ale to nie była sprawa priorytetowa. Zresztą, w konsekwencji mogli stać się posiadaczami nie

lada atrakcji turystycznej - podziemnych lochów, częściowo usytuowanych pod ich budynkami.

Uprowadzając nieco fakty, mogę powiedzieć, że tak się rzeczywiście stało. Zwiedzanie rozbudowanych podziemi piekarni Pod Nietoperzem stało się jednym z turystycznych obowiązków. Rzecz jasna, w ich skład nie wchodziła część filharmoniczna, udostępniana tylko w bardzo wyjątkowych sytuacjach i tylko bardzo szczególnym gościom, głównie do celów naukowych, choć podobno raz zjawiała się osoba, która w czasie wojny skorzystała z korytarza koncertowego. Teraz, u schyłku życia, chciała raz jeszcze przejść drogę, której je zawdzięczała.

Gdy wkraczałem do filharmonii w towarzystwie policji, powszechne zdumienie i konsternacja nie miały granic. Muzycy z komisji, a zwłaszcza koledzy kandydaci, patrzyli na mnie, jakby zobaczyli ducha, nienormalnego ducha. Nie miałem siły nikomu nic tłumaczyć, prawda i tak wkrótce miała ujrzeć światło dzienne. Jedynie pocziwy pan Zenon, który widać przywykł do moich nieco niestandardowych pojawień się i zniknięć, zdążył szeptem przekazać mi dość istotną informację:

- Przyjęli jedną osobę...

Zadziwiająco; mój kredyt zaufania jeszcze się nie wyczerpał.

Po krótkiej rozmowie Bielskiego z dyrekcją uzyskaliśmy zgodę na dostęp do wnętrza budynku. Sam dyrektor oznajmił jednak, że chce być obecny przy wizji lokalnej, jak ją nazwał, nie wiedząc jeszcze w istocie, o co chodzi. Do udziału w rajdzie szlakiem moich odkryć, Bielski zaprosił eksperta od zabytków z komendy wojewódzkiej. Ze swej strony - pod groźbą nieujawnienia tajemnicy - wymusiłem zgodę na udział Sebastiana Marsa.

Nadkomisarz Bielski nie szczędził mi w różnych momentach spojrzeń, których rozpiętość wahała się od piorunujących do zagadkowych. Szczególnie wyrazistym z pierwszego gatunku uraczył mnie, gdy po raz kolejny tego dnia przekraczałem drzwi gabinetu dyrygenckiego, ze zwisającymi szczątkami osobiście przeze mnie zerwanej policyjnej plomby. Nie będę odtwarzał naszej wyprawy w głąb korytarza Rosenberga. Tym razem występowałem w charakterze przewodnika i czerpałem z tego faktu niekłamana satysfakcję. Wszystko działało bez zarzutu, wszystko było tam, gdzie być powinno. Okrzyki niedowierzania przeplatały się z westchnieniami zdumienia i zachwytu. Czwórka prowadzonych przeze mnie dorosłych, poważnych mężczyzn - być może ośmielona rozświetlanym tylko latarkami półmrokiem i niezwykłą atmosferą - zachowywała się jak grupka chłopców biorących udział w przygodzie życia. W końcu, ku zdumieniu - ale przecież

to był dzień zdumienia - policjantów z patrolu, wynurzyliśmy się z podziemi na podwórzu piekarni Pod Nietoperzem. Bielski wydawał dyspozycje: ustnie, telefonicznie, a liczba osób, z którymi się kontaktował, zdawała się nie mieć końca. Upewnił się, że ekspert komendy wojewódzkiej i dyrektor administracyjny filharmonii nie ruszą się z miejsca, dopóki ostatni - jak się wyraził - pyłek z sejfu nie zostanie zabrany i przewieziony w bezpieczne miejsce. Cały teren miał być ściśle strzeżony, a kwartał, w którym znajdowała się filharmonia, został rygorystycznie zamknięty dla ruchu kołowego i pieszego. Trochę mnie śmieszyły tak niezwykle środki ostrożności, ale po zastanowieniu uznałem, że nie mam racji. Moja radosna twórczość się skończyła. Przyszedł czas na fachowców. Specjalne ekipy komendy głównej i muzeum narodowego już były w drodze. Byłem zaskoczony skalą operatywności nadkomisarza. A on, gdy wszystko już poukładał po swojej myśli, obrócił się w moim kierunku i z szerokim uśmiechem powiedział:

- No, to co? Zapraszam do mnie.

Jak na bohatera wydarzeń, czułem się trochę za bardzo wymęczony i wymagłowany. Na szczęście szybko okazało się, że Bielski wie więcej i chwytą szybciej, niżby się mogło zdawać, ba, sam jest w stanie moją nieco dziurawą wiedzę uzupełniać, ale nieubłagany taniec wskazówek wokół tarczy zegara uświadamiał mi, że siedzimy tu już szóstą godzinę. Taka była cena mojej samodzielności i niezależności w działaniach. Cierpliwie ją płaciłem.

Nadkomisarz był miły. Choć mógł mieć do mnie pretensje o to i owo, zwłaszcza gdy chodziło o przemilczanie lub przekręcanie faktów, a już na pewno o fałszywą batutę, to zachował się z klasą. Zakończony pełnym sukcesem finał zdarzeń musiał nim też niezłe wstrząsnąć, choć podejrzewam, że tak naprawdę nikt jeszcze - no, może poza Sebastianem Marssem - nie zdawał sobie sprawy z eksplozyjnej skali i wartości odkryć.

- No to jeszcze raz, w paru słowach? - Nadkomisarz dążył do ostatecznej syntezy wypadków.

- Tak, w paru, jeśli się da. Niech pan opowiada, a ja będę uzupełniał i w razie wątpliwości pytał.

- I nawzajem - z przekąsem odparł nadkomisarz.

- Wszystko zaczęło się od wywiadu z Michalewiczem. Gdybyśmy dysponowali nim od początku, sprawa byłaby dalece prostsza.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

- Do autora wywiadu trafia dyrygent - to wygląda na zwykły zbieg okoliczności. Ale potem odwiedza go ktoś jeszcze, ktoś, kto ma z maestro Damianem Rucacellim pewne, nazwijmy to biznesowe, koneksje i czujnie śledzi jego poczynania. Wkrótce po tej domniemanej drugiej wizycie Michalewicz umiera. Ponieważ istnieje podejrzenie morderstwa, na żądanie policji, redakcja nakłada embargo na dostęp do numeru gazety, w którym ów wywiad się ukazał.

- To oczywiście specyficzna sytuacja, bo większość papierowych pism ma swoje elektroniczne klony. Ale ta z wywiadem Michalewicza to rzeczywiście bardzo lokalna gazetka. Czy nie tak?

- Właśnie tak. Więc każdy, kto się wywiadem interesuje, musi zjawić się osobiście.

„To wtedy zadziało genialne dziecko antykwariusza”, pomyślałem.

- Z naszych informacji wynika zresztą, że z braku dowodów, sprawę wkrótce umorzono; przyczyna śmierci Michelangela mogła być naturalna. Ale idźmy dalej. Podejrzewamy, że Damian Rucacelli był w jakiś sposób zależny od włoskiej mafii. Nie jest to jednak przedmiotem naszego śledztwa, a wspominam o tym wyłącznie po to, by uzyskać odpowiedni kontekst omawianej sprawy. Wietrząc niezły interes, mafia daje dyrygentowi do zrozumienia, że wie o jego dodatkowej misji w Krakowicach i w zamian za nieujawnienie pewnych niewygodnych informacji żąda od niego współpracy.

- Czyli klasyczny mały szantażyk.

- Tak to można nazwać. Nie jestem tylko pewien, czy mały, bo, jak powiadam, nie jest mi znana skala współpracy dyrygenta z Familią. Rucacelli zgadza się; zagadnienie jest na tyle teoretyczne, że ryzyko wydaje się niewielkie. Ale sytuacja zmienia się, gdy dyrygent odkrywa, że słowa Michalewicza były prawdziwe. Chyba nie wie jeszcze, co zawiera sejf, ale na wszelki wypadek próbuje zbyć dwóch wysłanników kamorry, którzy pojawiają się w Krakowicach. Ci jednak mają jasne wytyczne: w razie gdyby maestro robił trudności, należy się go pozbyć i działać dalej na własną rękę. Tym bardziej że dysponują dodatkowymi informacjami, których nie posiada Rucacelli.

Bielski przerwał, zapalając, nie wiem którego już, papierosa.

- Powtarzam raz jeszcze, nie interesuje mnie charakter stosunków mistrza batuty z mafią. Ale jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości: on chciał odkryć tajemnicę Rosenberga jawnie przy otwartej kurtynie, bez korzyści dla siebie, no może z wyjątkiem sławy i rozgłosu, jakie mogła mu przynieść, a które jako przedstawiciel scenicznego zawodu musiał sobie wysoko cenić.

- I, ni stąd, ni zowąd, to ja staję się świadkiem dramatycznej sceny w parku. Rucacelli nie chce ulec Włochom, bo wie, że cenne, choć nie ma jeszcze pojęcia jak cenne, dzieła sztuki na zawsze opuszczą nasz, i tak niezbyt w nie zasobny, kraj.

- Tak jest. Wybiera opcję albo ja, albo nikt i o mało nie przypląca jej życiem. Włosi wiedzą, że batuta zawiera cenne wskazówki. Są gotowi za wszelką cenę odszukać ją w wodzie. I tu pojawia się po raz pierwszy nie spodziewana przeszkoda, pański niesamowity pies.

Eston, który tym razem towarzyszył mi w komisariacie, leniwie otworzył lewe oko.

- A dalej to już pan sam wie.

- No tak, ale pojawia się jeszcze jeden gracz.

- Tak, to prawda. Ale - spojrzał na mnie ostrożnie - tu poruszamy się tylko w sferze przypuszczeń, chciałbym, żeby pan to sobie dobrze uzmysłowiał.

No dobrze, nie nic musiał mówić. Sprawa dla mnie i tak była jasna. Jędrzej musiał dowiedzieć się o artykule Michalewicza, o odwiedzinach Rucacellego i o tym, że wkrótce mistrz będzie dyrygował w Krakowicach. Nie w ciemną bity, potrafił pozbierać fakty do kupy i wysłał na przespziegi swoją dziewczynę. Jej zadaniem było wyciągnięcie możliwie największej ilości informacji od dyrygenta; resztą miał się zająć sam Jędrzej. Kiedy okazało się, że ktoś chciał zabić Rucacellego, pan europoseł natychmiast przyleciał do Krakowie, ale nie z powodu zazdrości, tylko wściekłości, że głupia Wanda była tak blisko, a jednak nie doszła do prawdy. Potem również mnie próbowali delikatnie omotać, a jak i z tego nic nie wychodziło - Jędrzej sięgnął po brutalniejsze metody. W pewnym momencie jednak musiał zrobić bilans potencjalnych zysków i strat. Gdy stwierdził, że stąpa po grząskim gruncie, zniknął.

Byłem pewien, że nikt nigdy nie udowodni mu bezpośrednich związków z grupą Ryżego. Sam Bielski wyraźnie dał mi do zrozumienia, żeby nie wchodzić na śliski teren. Zwłaszcza że Ryży i jego kumple rzeczywiście zostali złapani. Zamarzyła się im akcja na własną rękę - lepszego prezentu chyba Jędrzejowi nie mogli zrobić. Winni są, bilans się będzie zgadzał, chłopaki dostaną po parę miesięcy w zawiasach za chuligaństwo i kradzież aparatu.

- A Włosi - Bielski podjął przerwany wątek - zaczęli szukać psa i jego właściciela. I batuty. Ich problemem było jednak to, że działali na nieznanym sobie terenie. Co prawda, mając tego świadomość, od początku korzystali z pomocy człowieka wskazanego im przez krajowego rezydenta mafii.

Nadkomisarz musiał pochwycić moje zdziwione spojrzenie.

- A tak, tak. Przestępczość zorganizowana już od dawna jest procedurą ponadnarodową. Nigdy by pan nie uwierzył, jaka gotowość do świadczenia sobie drobnych przysług istnieje w międzynarodowych strukturach przestępczych; z większymi jest inaczej, tam każdy staje się potencjalnym rywalem, a sentymenty znikają w sposób zgoła radykalny. Człowiekiem tym był portier z hotelu Luxor. To on jeszcze przed przyjazdem tych dwóch do miasta składał meldunki o poczynaniach Rucacellego. To on od strony logistycznej organizował pobyt Włochów w Krakowicach. To dzięki niemu mieli dostęp do pokoju dyrygenta już po wyeliminowaniu go z gry. Informował ich również o lokalnych aktualnościach; nawiasem mówiąc, ten pana pomysł z nagłośnieniem przekazania nam w depozyt batuty był strzałem w dziesiątkę. To w końcu on był rzekomym koneserem mającym do zaoferowania unikalne wydanie dzieła Jana Heweliusza. Ale to wszystko było za mało. W sprawach naprawdę istotnych nie mógł pomóc im bardziej niż oni sobie. Szczytowym przykładem zagubienia była kradzież popiersia Karłowicza, która wyraźnie pokazywała, że poruszali się jak we mgle. Ale potrafili też śledzić, wyciągać wnioski i cierpliwie czekać na odpowiedni moment. Niewiele brakowało, a osiągnęliby swój cel. Tylko że ten niesamowity pies - ich przekleństwo - znowu spieszył im robotę.

Eston otworzył tym razem prawe oko i spojrzął z przyganą na Bielskiego. Ale po chwili znowu spał, a przynajmniej udawał, że śpi.

- I to prawie wszystko. Strona włoska jest już poinformowana. Kwestią dni jest wystąpienie o ekstradycję. Zobaczymy, co z tego będzie. Okaze się, w którym kraju lista ich osiągnięć jest okazalsza, i wtedy sąd podejmie decyzję.

- To mnie mało interesuje. Ale jest coś, co chciałem wiedzieć. Kiedy zorientował się pan, że dałem panu fałszywą batutę?

- Nie od razu. Dopiero po bardzo gruntownej analizie, która wykazała, że Rucacelli nigdy nie miał jej w rękach. Od wtedy mniej więcej sprawowaliśmy nad panem rodzaj - nazwijmy to - dyskretnej pieczy.

- To znaczy, że jak odkrywałem korytarz koncertowy, o mało nie spadając z balustrady i nie zabijając się, to byliście tam z trampoliną?

- No nie, aż tak, to nie...

- To znaczy, że jak Ryży z chłopakami mnie tłukli, to już, już mieliście wejść do akcji, tylko nieoczekiwanie pojawili się moi kumple?

- Nie, niezupełnie, panie Bartku, niech pan posłucha...

- To znaczy, że jak wspinałem się po oblodzonym gzymsie filharmonii, to mnie ubezpieczaliście, a jak koleś urzynał mi plecak, to mieliście ich na muszce?

- W tym przypadku nie wiedzieliśmy...

- No dobrze, ostatnie pytanie: gdyby nie Eston i Sebastian Mars, to bylibyście w podziemiach Nietoperza wcześniej?

- Panie Bartku, ustalmy jedną rzecz...

- Nie trzeba. Fajnie tylko wiedzieć, że cały czas znajdowałem się pod panów - jak pan to ładnie określił? - dyskretną pieczę.

Zapadła cisza.

A po chwili nadkomisarz Bielski wybuchnął śmiechem. Facet naprawdę miał klasę. Wiedział, że nie ma sensu się nadymać, byle tylko pokryć pustkę treści.

- Panie Bartku, proszę, niech pan mnie przez chwilę posłucha. Ja, osobiście ja, od początku wiedziałem, że pan troszeczkę ściemnia. Nie wiedziałem co i dlaczego, ale wydał mi się pan na tyle sympatyczny i jakby to powiedzieć, nieortodoksyjny w myśleniu i działaniu, że postanowiłem panu nie przeszkadzać. I miałem rację. Bo proszę mi wierzyć, jestem przekonany, że gdyby to ktoś... inny - na końcu języka miał słowa „od nas” - zabrał się do sprawy, to nigdy nic by nie odkrył. Stwierdziłby jedynie, że ktoś zrobił sobie gigantyczny a niesmaczny żart. Panie Bartku, nie potrafię inaczej wyrazić panu uznania, ale proszę mi wierzyć: to, co pan zrobił, przejdzie do historii. Przynajmniej historii naszej komendy - dodał z uśmiechem. - I... mam jeszcze takie jedno, małe pytanie: czy zgodzi się pan przedyskutować czasem ze mną jakieś trudno wytłumaczalne aspekty prowadzonych właśnie śledztw? Zresztą dla niego - spojrzał na psa - też miałbym to i owo. Całkiem nieoficjalnie rzecz jasna. Z uporem unikał nazywania Estona po imieniu.

- A tak w ogóle, to proponuję skończyć z tym panowaniem. Jestem Robert. - I Robert wyciągnął w moim kierunku rękę.

Mój Boże. Ja chyba znowu śnię! Kryminalny śledczy proponuje mi konsultacje i przechodzi ze mną na ty w komendzie!

- Miło mi. To jest Eston, ale mam wrażenie, że już się trochę znacie. Ten pies ma dość duże pole niezależności; jest zdolny do niezwyklej wyczynów, ale potrafi również pięknie odgrywać zagubienie w morzu komend, więc trudno mi odpowiedzieć w jego imieniu. Ja natomiast jestem Bartosz. Altowiolista. I będę zachwycony, mogąc z tobą od czasu do czasu pogawędzić. Tylko czy pan... czy nie przesadzasz z tą wiarą w moje siły?

- Biorąc pod uwagę to, czego dokonałeś, chyba nie.

- Dobrze, zgoda, ale pod jednym warunkiem: nigdy nikomu nie mów, że pytasz o zdanie altowiolistę, bo cię wyśmieją.

- Mnie to mówisz? Czyżbyś zapomniał, że jestem policjantem?

Faktycznie. Miał rację. Wyglądało na to, że do kompletu brakuje nam tylko blondynki...

Minęło kilka dni wypełnionych rozpamiętywaniem niedawnych zdarzeń, analizą wszystkiego, co się wydarzyło. Kilkakrotnie musiałem spotykać się z tak zwanymi organami i tłumaczyć po wielokroć mój udział w wypadkach. Ciągłe nie było jasne, jaki los spotka odnalezione przedmioty. Podejmowano próby poszukiwania ewentualnych spadkobierców, lecz z dwoma wyjątkami - bezskutecznie. W grę wchodziło włączenie kolekcji do jakichś większych muzealnych zbiorów. Ostatnio jednak coraz mocniej rysowała się koncepcja utworzenia całkiem nowej jednostki muzealnej, roboczo zwanej Galerią Rosenberga. Osobiście było mi to rozwiązanie najbliższe. Z uporem nie dla wszystkich zrozumiałym, optowałem, aby do zbiorów dołączyć jeszcze but i lalkę - znalezione w korytarzu koncertowym. Z pewnym zdumieniem zauważałem też, że moje opinie są w jakimś stopniu brane pod uwagę.

Jedynym odpryskiem minionych dni, z którym nie chciałem się rozstać, był program ostatniego koncertu Kwartetu Gudelsteina. Ale i on miał swoje przeznaczenie.

Na spotkaniach oprócz inspektora Bielskiego pojawiali się ludzie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Komisji do spraw Zaginionych Dzieł Sztuki i Muzeum Narodowego. Potwierdziły się wszystkie ekspertyzy Sebastiana Marsa. Nie pomylił się w ani jednym werdykcie. Każdy z odnalezionych przedmiotów rzeczywiście stanowił klejnot w swojej kategorii.

Pewne zdumienie, a nawet niedowierzanie budziło natomiast ich pochodzenie. Pojawiło się przypuszczenie, że Michalewicz w istocie nie musiał znać całej prawdy. Jasnym stało się, że niektóre eksponaty z sejfu Rosenberga pochodziły ze źródeł innych niż prywatne kolekcje żydowskie. Dla przykładu, obraz Rubensa należał przed wojną do Muzeum Narodowego w Poznaniu, a praca Rafaela było własnością Muzeum Czartoryskich. Wziąwszy pod uwagę pogłoski dotyczące ich wojennych losów, odkrycie obu dzieł w schowku architekta było faktem zdumiewającym. Ale jakże radosnym. Lista osób zgłaszających się do architekta po pomoc mogła być szersza, co zresztą ostatecznie uniwersalizowałoby jego dzieło. Ale szansę na wyjaśnienia tych trudnych kwestii i przybliżonego choćby odtworzenia łańcucha zdarzeń, mogły przynieść dopiero żmudne i drobiazgowo badania historyczne.

O ile dla świata muzycznego odkrycie Kwartetu Silvariego wysuwało się na plan pierwszy, o tyle świat w ogóle oszalał - co można było przewidzieć - na punkcie Diamentów Życia, a zwłaszcza i przede wszystkim -

jajka Fabergé. Bo też sensacje podobnego kalibru nie zdarzają się często.

Kulę ziemską obiegała fala fabergomanii. Kilka mniej lub bardziej oficjalnych komisji podjęło się próby odtworzenia łańcuszka zdarzeń, w wyniku których Królewskie Jajko Duńskie znalazło się w sejfie Rosenberga. Liczono, że w archiwach uda się natrafić na ślad podwójnych list; odnalezione, mogłyby posłużyć celowi dokładnie przeciwnemu, niż przyświecający ich twórcom. Nie będzie chyba zaskoczeniem, jeśli powiem, że nikt nie natrafił na najmniejszy nawet trop.

Otworzyło się natomiast szerokie pole do popisu dla wszelkiej maści poszukiwaczy i prywatnych detektywów (cha, cha; jakbym mówił o sobie, tylko że ja... już znalazłem, co miałem znaleźć). A Muzeum Narodowe, tymczasowy depozytariusz skarbu, zasypywane było podobno rządowymi i prywatnymi ofertami kupna. Proponowane ceny, w dalekim polu zostawiały kwotę uzyskaną za Jajko Zimowe, przebijając nawet rekordową sumę, za którą kupiono Jajko Rotszylda. To były oczywiście informacje poufne, ale jakieś tam przywileje ostatecznie mi się należały... Z ulgą widziałem jednak, że starania te rozbijają się jak fale o podnóże szkockiego zamku. Byłem pewien, że prędzej czy później międzynarodowe prawo pomoże rozstrzygnąć, jaki los powinien spotkać arcydzieło, ale przykład tak zwanej Berlinki, zawierającej bezcenne rękopisy Biblioteki Pruskiej, znajdujące się pod pieczę Biblioteki Jagiellońskiej, ale i w ogóle zaginionych w czasie wojny dzieł sztuki pokazuje, że nie są to sprawy proste i łatwo poddające się jednoznacznym rozwiązaniom. Z emocjonalnych i historycznych względów pragnąłem, aby jajko zostało włączone w skład powstającej kolekcji. I wszystko wskazywało, że tak się właśnie stanie.

Razu pewnego miało miejsce zdarzenie, zdające się potwierdzać ponadnarodowość opinii o altowiolistach. Oprócz przedstawicieli krajowego związku lutników pojawiła się delegacja paralelnego ciała z Włoch. Nie wszyscy patrzyli na mnie z życzliwością. Może to kompleks instrumentu, ale miałem wrażenie, że niektórzy mieli na końcu języka słowa:

- I on to wszystko rozwiązał? Altowiolista? Niemożliwe.

Ale były też sympatyczne kontakty; wiele osób nie szczędziło mi swojego uznania, a może nawet podziwu.

Tyle tylko że ja miałem już dosyć.

Dla mnie sprawa była zakończona; no, może z pewnym drobnym wyjątkiem, którym na razie jednak z powodów technicznych nie mogłem się zająć.

Byłem zmęczony. Chciwie chłonałem atmosferę nadchodzących świąt, coraz bardziej biorącą w posiadanie miejskie ulice.

Któregoś razu, gdy po kolejnej - miałem nadzieję, że ostatniej - sesji rozmów i pytań wracałem do domu, zauważyłem stojące przed witryną antykwariatu zjawisko. Wpatrywało się z uwagą w którąś z książek, a oszłomiło mnie do tego stopnia, że zamiast pomaszzerować na górę, stanąłem obok - niby to przypadkiem. Zjawisko było płci żeńskiej: pod burzą rudych włosów skrywało zaróżowione policzki i lekko zadarty nos. Gdy dziewczyna przelotnie musnęła mnie wzrokiem, ujrzałem jakby błysniecie dwóch szmaragdowych jeziorek. Resztę osłaniała dość wysokich lotów zimowa konfekcja; mimo pory roku lekka i podkreślająca sylwetkę, byłem więc prawie pewien, że włoska. Rozpaczliwie poszukiwałem pretekstu, który pozwoliłby mi rozpocząć rozmowę. Niestety, im bardziej próbowałem, tym większa pustka mnie wypełniała. W tym momencie drzwi antykwariatu otworzyły się i na ich progu stanął czymś uradowany pan Sebastian Mars.

- Antosia! - krzyknął.

- Jakiego znowu Antosia? - zapytałem zdziwiony i lekko zaniepokojony. Ale po chwili już wiedziałem: klątwa ułana! Przypomniał mi się szwoleżer pani Adeli. Ten to pewnie wiedziałby, jak w określonej sytuacji zwrócić się do kobiety, choć dziwnym trafem żadna ze znanych mi ułańskich przyśpiewek akurat teraz się do tego nie nadawała.

Dziewczyna i antykwariusz rzucili się sobie w ramiona. „Co tu jest grane?”, pomyślałem.

- Ach, racja, wy się jeszcze nie znacie...

Pan Sebastian najwyraźniej szykował się do oficjalnej prezentacji. Ale zjawisko już wyciągnęło do mnie rękę, poważnym tonem mówiąc:

- Antonia Mars.

W jednym błysku wszystko stało się jasne.

A więc to jest owo słynne dziecko?!...

Przeżywałem iluminację.

Czasami robimy lub mówimy coś, co może wydać się dobre lub złe, śmieszne lub żałosne, sympatyczne lub głupie, w zależności od tego, jak zostanie odebrane.

- Bartolomeo Bosconero - palnąłem zniechęcony.

Podaliśmy sobie dłonie, a oczy dziewczyny rozświetliły się takim blaskiem, że nie miałem szans. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Jeszcze chwilę wcześniej mógłbym przysiąc, że najcenniejsze skarby mojego życia zostały już odnalezione.

Ale teraz nie byłem tego pewien...

e

Grudzień

- Here you are, masz swoją żubrówkę.
 - O, Andrea, co się z tobą działo?
 - Nic takiego. Byłem chory. A co, coś ciekawego straciłem?
 - Tyle ciekawego, ile zawsze, sam rozumiesz. Ale, ale, czytałem, co się tam u was działo. Miałeś z tym jakiś związek?
 - Nie, coś się rzeczywiście kotłowało, ale w pojedynkę nic nie działasz. Opuściłem. Nie ma tematu. I nie było.
 - Ale to były prawdziwe skarby, zresztą nasze też, ta kolekcja instrumentów...
 - A daj mi spokój z jakimś próchnem. Mówię ci, że tematu nie ma i w ogóle zapomnij, że kiedykolwiek o tym rozmawialiśmy. Zresztą o tym artykule też. I niech ci żubrówka lekką będzie.
 - OK, va bene, nie ma sprawy, jak sobie zyczysz. To powiedz przynajmniej, jak tam twoja bella ragazza?
 - Jej też już nie ma. To znaczy jest, ale beze mnie. Różnica w spojrzeniu na świat. Inna wrażliwość. Ale długo sama nie będzie, znajdzie się cały wąż pocieszycieli.
 - Jendzej, a może byś mnie z nią zapoznał?
- Eurodeputowany Jędrzej po raz pierwszy spojrzął na swojego rozmówcę. Oględziny nie wypadły chyba imponująco, bo zmarszczył brwi i powiedział:
- Daj sobie spokój, mało ci twoich krajanek? I zanucił:
 - Ragazza di Napoli, podjechał mirafiori... - znasz to?
 - Nie, nie znam, ale brzmi interesująco - uprzejmie zauważył Włoch.
 - No widzisz! Słuchaj, stary, a ty byś mnie mógł poznać z tą waszą Franceską?
- Tym razem to Giovanni krytycznie przyjrzał się Jędrzejowi. Pokręcił głową:
- Nie, chyba nie da rady.
 - No przestań, przywiozę ci jeszcze jedną żubrówkę - nie rezygnował podrażniony Jędrzej.
 - Tak nisko cenisz włoskie dziewczyny? To teraz przesadziłeś. - Giovanni robił wrażenie rozgniewanego. - Ale jak to będzie bardzo duża butelka, taki galonik najchętniej, to może coś da się zrobić.

- Wiesz, takich pojemności to chyba u nas nie ma - zaczął poważnie Jędrzej - ale jak bardzo ci zależy, to pogadam z kolegami w kraju, żeby przygotowali i przeprowadzili odpowiednią ustawę w parlamencie. Myślę, że szybko osiągnęlibyśmy w tej kwestii consensus.

- Dobrze, to może wtedy ja zmobilizuję moich, żeby poparli waszą definicję żubrówki - ach, ta słomka! - a jakąś dobrą zakąskę wpiszemy na listę produktów regionalnych. Co ty na to?

- Załatwione.

Przypieczętowali układ uściskiem dłoni. Szybko uczyli się uprawiania polityki.

Zabrział dzwonek, zwiastun rozpoczynających się za chwilę obrad. Jędrzej i Giovanni z głośnym westchnieniem dokończyli koniaki.

Niełatwy jest los europośła.

O

Styczeń

Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje? Co to za sala? Zaraz... koncert, potem miało być... było przyjęcie... a jeszcze później... chciałem zabrać dziewczynę do pokoju i... otworzyć sufit... czy coś jeszcze się wydarzyło? Co to za rurki? Czy ja żyję? Czy ja jestem w szpitalu? Zaraz... boli mnie głowa, coś to wszystko takie niewyraźne... ale już lepiej, o, teraz lepiej... było coś jeszcze... park, noc, spacer... most i rozmowa... batuta!... Chcieli mi zabrać batutę... wrzuciłem ją do wody... wszystko przepadło...

- ...i dlatego uznajmy nasz układ za niebyły. Madonna i Santo Bambino oszczędzili twoje życie, a nie leży w naszym zwyczaju kwestionowanie ich świętych wyroków. Ale nasza współpraca już nie istnieje. Licz sam na siebie. Powiedzmy, że byliśmy sobie wzajemnie użyteczni. Zachowaj na ten temat milczenie, a będziesz bezpieczny. Dyskrecja z naszej strony jest oczywista. To tyle. Dalej radź sobie sam, maestro. Żegnaj.

Dyrygent odłożył słuchawkę. Jeszcze wczoraj dzwonił do włoskiego agenta, aby zlecić mu sprzedaż domu. Nie było pośpiechu, mógł spokojnie czekać na kupca gotowego zapłacić astronomiczną cenę. Natomiast agencja szwedzka dostała zadanie przygotowania posiadłości, która od teraz miała stać się jego pierwszym domem. Bez żalu myślał o rozstaniu z Półwyspem Apenińskim. Właściwie od dawna był już gotów, by odrodzić się w chłodnym i czystym powietrzu Skandynawii.

Na własnej skórze przekonał się, że gdy przeszłość i teraźniejszość biorą się w zbyt ściśle objęcia, tym, którzy znaleźli się w środku, może zabraknąć tchu.

A przyszłość?

Była otwartą księgą, choć może ktoś już pisał w niej pierwsze słowa.

Drzwi od szpitalnej sali uchyliły się. Stała w nich piękna dziewczyna.

- Wanda? Jak miło cię widzieć.

- Damian... Martwiłam się o ciebie. Mogę wejść?

Serce dyrygenta po raz pierwszy od wielu dni zabiło żywiej.

D

Maj

Skąpane w porannym słońcu wzgórza tchnęły świeżością. Automatyczne zraszacze wzniewały dziesiątki ruchomych tęczy. Kto doświadczył uroku wiosennego poranka w Toskanii, ten wie, że niewiele jest na świecie rzeczy, mogących się z nim równać.

Ale taras domu był pusty. Nie było komu podziwiać teatrum natury. Właściciel winnicy spoczywał na pobliskim cmentarzu.

Czerwiec

Limuzyna z przyciemnionymi szybami wolno okrążała wzgórze. Na jego szczycie stał dom w charakterystycznym kolorze ni to cegły, ni to sieni palonej. Kaskadowo opadające rzędy winorośli oplatały zbocza. Całość stanowiła zamkniętą doskonałość formy i treści.

- Łakomy kąsek. - Siedzący z tyłu pasażer limuzyny z uznaniem lustrował posiadłość i jej okolice. - Posłuchaj, przyjacielu - zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny - jeśli dom i winnica pójdą na licytację, chcę być pierwszym, który o tym się dowie. Właściciel tego rajskiego zakątka był tak miły, że zechciał opuścić ten świat bez mojej pomocy, której już, już gotów byłem mu udzielić. Czy to nie coś więcej niż przypadek? Jeśli dojdzie do licytacji - powtórzył - chcę być pierwszym i ostatnim, który o tym będzie wiedział - ostatnie słowa wymówił ze szczególnym naciskiem. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

- Zupełnie jasno, Don Pasquale, zupełnie jasno. - Gdyby ktoś mógł zajrzeć pod ciemne okulary, przekonałby się, że w oczach mężczyzny było znacznie mniej pewności niż w jego słowach.

- Aha, jest jeszcze jedna sprawa. Słyszałem, że nasz maestro chce się pozbyć swojego pięknego domu w Sienie. Ta sama procedura; willa ma trafić do mnie. Nie wiem jak on, ale ja się dopiero rozgrzewam. Przed drugim aktem dobrze pozbierać atuty. Zresztą jest więcej rachunków do wyrównania... Czy dobrze się wyraziłem?

- Wyraził się pan wybornie, Don Pasquale, przewybornie.

A

Lipiec

Tego lata pojechałem do Włoch.

Od opisywanych zdarzeń upłynęło nieco ponad pół roku. I muszę powiedzieć, że to i owo się w tym czasie poukładało. Po dramatycznym finale przesłuchania, po utraceniu możliwości kontynuowania udziału w nim i całym późniejszym zamieszaniu, nie mogłem oczywiście dostać miejsca w orkiestrze. Przyjęto jedną osobę, młodego chłopaka zza wschodniej granicy, który szczęśliwie zdążył spełnić wszystkie regulaminowe wymogi, zanim rozpuściła się szaleństwo. Ale do chwili przerwania audycji miałem drugą punktację. Biorąc to pod uwagę oraz ze względu na mój „udział w odkryciu bezcennych dla kultury narodowej zbiorów”, dyrekcja orkiestry postanowiła zaproponować mi kontrakt czasowy. A to oznaczało, że do kolejnej audycji miałem stałą pracę. Pod koniec maja ogłoszono, że przesłuchanie odbędzie się w październiku. Oczywiście zamierzałem w nim wziąć udział.

Ale to nie wszystko. W uznaniu mojego niezwykłego wkładu w odkrycie i uratowanie Kolekcji Gudelsteina, krajowy związek lutników postanowił ufundować mi... altówkę Remigiusza Solniczki, która w międzyczasie została nagrodzona na międzynarodowym konkursie lutniczym. Koszt remontu zniszczonego Francuza związek lutników również wziął na siebie.

Od Bożego Narodzenia już trzykrotnie spotykaliśmy się z Antonią. To ona przyjeżdżała. I zawsze namawiała mnie na wizytę u siebie. Z powodu oczywistych ograniczeń nie mogłem na razie z zaproszenia skorzystać, aż w końcu postanowiłem to zmienić. Nieprzyzwyczajony do regularnych dochodów, zdołałem odłożyć sumkę, za którą przed wakacjami udało mi się kupić auto. No, nie było to może bmw serii 1 cabrio, ale jeździło. Mój nowy nabytek, japoński hatchback, miał dziewięć lat, lecz w warsztacie zapewniono mnie, że mogę udać się nim w dłuższą trasę. Poprzedni właściciele najwyraźniej szanowali samochód, a i przebieg nie był oszałamiający.

Kiedyś tam zrobione prawko miało się w końcu przydać. Prawdę mówiąc, o takim właśnie aucie zawsze marzyłem, Eston zaś tylko ułatwił mi decyzję; wystarczyło położyć tylne siedzenia, a mieścił się w nim bez problemu.

Z Antonią spotkaliśmy się w klasztorze Monte Oliveto Maggiore - przepięknym miejscu, ozdobionym między innymi trzydziestoma sześcioma niezwyklej urody freskami - pędzla Lucci Signorellego i kontrowersyjnego na owe czasy Antonio Bazziego, zwanego Sodomą - ilustrującymi żywot świętego Benedykta, patrona zakonu.

Stamtąd postanowiliśmy rozpocząć wakacyjną wędrowkę po tym, chyba z artystycznego kaprysu Boga stworzonym, zakątku świata.

Wiedziałem, że wraz z pojawieniem się Antośki, w moim życiu rozpoczął się nowy, może najważniejszy okres. Ją czekał jednak jeszcze rok stażu we Włoszech, co czekało mnie - dalece nie było przesądzone. Byliśmy ostrożni w formułowaniu planów na przyszłość. Może dlatego, że tak wiele po nich - i po sobie - oczekiwaliśmy. Ale gdy ujrzałem ją w tym rajskim miejscu, dotarło do mnie, po raz nie wiem już który - że jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie, a to, że najszcześniejszych ludzi na świecie może być dużo więcej, wcale mi nie przeszkadzało.

Dla innego jeszcze powodu właśnie tam chcieliśmy się spotkać. Niedawno znajdowało się miejsce, w którym miałem coś do załatwienia.

Dotarliśmy w nie następnego dnia, gdy słońce zaczęło już zstępować. Wśród tokańskich wzgórz, winnic i słoneczników odszukaliśmy małą miejscowość, w której w pewnym sensie wszystko się zaczęło. Nie bez trudu i z pomocą zyczliwych ludzi udało nam się odnaleźć miejscowy cmentarz, cmentarzyk właściwie. Dozorujący go staruszek otworzył bramę, bez wahania, ale z wyraźnym zainteresowaniem wskazał nam szukane miejsce i na naszą prośbę otworzył skromny, ale solidny grobowiec. W ściennej wnęce chłodnego wnętrza stała urna z prochami.

- Powiedział, że chce podzielić los milionów swoich braci i siostr. - Staruszek niepytany wyjaśnił tajemnicę urny. Zwyczaj kremowania zwłok przed pochówkiem należał tu do rzadkości. - Jeśli państwo będą czegoś potrzebować, proszę mnie zawołać. - Dyskretnie wycofał się z grobowca, zamykając za sobą drzwi.

Staliśmy w milczeniu. W końcu Antosia spojrzała na mnie pytająco.

- Nie, to jeszcze nie wszystko - odpowiedziałem. - Jeszcze jedna, mała rzecz.

Wyjąłem z plecaka zamkniętą teczkę, a z niej pieczołowicie przechowywaną kartkę papieru. Była to wewnętrzna strona programu z trzeciego grudnia 1939 roku, odnalezionego w korytarzu koncertowym. Jedynym zachowanym na niej zdaniem było motto ostatniej części ostatniego opusu Beethovena. Ostatnich dźwięków zagranych przez Kwartet Gudelsteina.

Muss es sein? Es muss sein.

Delikatnie wsunąłem kartkę pod urnę z prochami. Teraz wreszcie z

niewypowiedzianym uczuciem ulgi poczułem, że sprawa jest ostatecznie zamknięta.

Ale znowu - mój Boże, który to już raz? - byłem w błędzie.

Serdecznie podziękowaliśmy starszemu. W momencie, w którym zamykał cmentarną bramę, tuż koło naszego auta, wzniesając nieprawdopodobne obłoki kurzu, zaparkowała imponująca alfa romeo. Wyskoczył z niej nieskazitelnie ubrany mężczyzna.

- Proszę zaczekać, proszę nie odjeżdżać, ja do państwa.

Efekt zaskoczenia wyszedł mu nienagannie - widocznie wszystko w nim było nienaganne.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Giuseppe Trovatore - trubadur? - jestem przedstawicielem firmy adwokackiej Monaco e Trovatore - mnich i trubadur? Duet jakby znajomy... - i bardzo proszę państwa o chwilę rozmowy w kwestii dużej wagi. Najlepiej byłoby, gdyby pojechali państwo za mną do biura, a po rozmowie zechcieli przyjąć moje zaproszenie na kolację, czy to możliwe?

Mecenas Trovatore przedstawił wszystko w takim tempie i w takiej formie, że nie sposób było odmówić. Zresztą dlaczego mielibyśmy odmówić? Perspektywa tokańskiej kolacji była ńęcząca, a unoszący się wokoło znak zapytania domagał się wyjaśnienia.

Po kilkunastu minutach, już w klimatyzowanym wnętrzu biura, Giuseppe Trovatore powiedział:

- W mojej osobie widzą państwo wykonawcę ostatniej woli zmarłego klienta, pana Casimiro Michelangelo. Woli, w wypełnieniu której napotykam na poważne przeszkody. Pan Michelangelo nie miał żadnej rodziny, żadnej, o której cokolwiek byłoby mi wiadomo...

- To, co pan mówi jest bardzo ciekawe, ale obawiam się, że zaszło nieporozumienie. Nie jesteśmy rodziną pana Michale... Michelangelo.

- Proszę, aby był pan uprzejmy wysłuchać mnie do końca. Pan Michelangelo rozdysonował swoim majątkiem, nie uwzględniając jej, więc pytanie: istnieje czy też nie - schodzi na drugi plan. Od śmierci mojego klienta minie już wkrótce rok. Przez ten czas nie pojawił się nikt, kto spełniałby wymogi zawarte w testamencie. Mało tego, nie pojawił się w ogóle nikt, również na cmentarzu. Są państwo pierwszymi ludźmi, którzy odwiedzili grobowiec pana Michelangelo. Prosiłem starego Carlo, aby bez względu na porę dnia dał mi znać, jeśli ktokolwiek taki się pojawi. I właśnie dzisiaj to się stało.

- Pan wybaczy, ale w dalszym ciągu nie rozumiem związku...

- Zaraz pan zrozumie - a przynajmniej taką mam nadzieję - jeszcze tylko chwilka cierpliwości. Otóż, majątek pana Michelangelo składał się z

dwóch części: ruchomości i nieruchomości. Wszystkie dobra ruchome zostały zapisane na rzecz fundacji Pojednanie - to organizacja zajmująca się budowaniem nowego rodzaju stosunków wśród młodego pokolenia na Bliskim Wschodzie. Natomiast nieruchomości, czyli tutejsza posiadłość z winnicą, mają przypaść w udziale - adwokat spojrzął w papiery - osobie, która rozwiąże i we właściwy sposób spożytkuje tak zwaną zagadkę Rosenberga... Czy ta nazwa coś państwu mówi?

Czy mówiła? Mówiła, wrzeszczała wręcz, a serce zaczęło mi znowu walić jak parowóz. Czas, który upłynął od tamtych wydarzeń, tylko z pozoru był długi. Wystarczyła iskra, aby zatrzymane w pamięci emocje eksplodowały. Tak jak wiele już razy, kiedy natykałem się na jakąkolwiek z jej nazw; w międzyczasie zdążyła obrosnąć bluszczem literackich określeń. Wszystkie mi się podobały, choć żadna nie była kompletna: Zagadka Rosenberga. Tajemnica batuty. Szarada korytarzy. Łamigłówka sufitów. Enigma filharmonii. Gambit Nimzowitscha. Sekret Fabergé. Krzyżówka Kwartetu Gudelsteina. Misterium Silvariego...

A może jednak Niespodzianka Michelangelo?

- Widzi pan, tak się przedziwnie składa, że to chyba ja...
- Co pan?
- To chyba ja rozwiązałem zagadkę Rosenberga. Ale czy spożytkowałem ją właściwie? Na to pytanie chyba nie ma odpowiedzi.
- Myli się pan, jest i to bardzo prosta. Pan pozwoli, że doczytam, zaraz, zaraz, gdzie to było... O, mam: „...i we właściwy sposób ją spożytkuje, to znaczy nie odniesie z tego tytułu osobistych korzyści materialnych, czyli nie zatrzyma znaleziska w całości ani w żadnej jego części...”

A jednak coś zatrzymałem. Program. Ale przed chwilą podarowałem go Michalewiczowi. Więc... Dalej już nie słuchałem. Uświadomiłem sobie tylko, że Antosia mocno ściska mnie za rękę. Zaś Eston - a jakże, był z nami; przecież nie mogłem go zostawić w rozpalonym samochodzie, a pan Trovatore na pewno miał sprzątaczkę z mocnym odkurzaczem - zaczął nam się pilnie przyglądać, jakby przeczuwając, że coś się święci...

Oczywiście; bez niego sprawa nie miałaby początku albo końca, albo w ogóle niczego. A bez ojca Rudego Cuda, które siedziało koło mnie - treści, która te ramy wypełniała.

Byliśmy więc w komplecie.

Trovatore, który przed chwilą odśpiewał najdziwniejszą pieśń mojego życia, dwukrotnie jeszcze gdzieś zadzwonił, aby się upewnić, że nie ma do czynienia z uzurpatorami. Niecałą godzinę później siedzieliśmy już na

dziedzińcu prostej, acz serwującej wyśmienite jadło trattorii, gdzie odrealnienie rzeczywistości - cecha charakterystyczna Toskanii - przybierało na sile.

Ale chcieliśmy jeszcze za dnia zobaczyć nowe włości, a nasz trubadur pewnie z ulgą myślał o pozbyciu się w końcu ciężącego mu brzemienia. Bez większych problemów, a wręcz z radością, zgodził się powierzyć nam klucze jeszcze dzisiaj. Formalności mogły poczekać.

Gdy słońce zaczęło stykać się z horyzontem, stanęliśmy na tarasie domu, zanurzając wzrok w powoli gasnącym złocie, ciemniejącej zieleni i umykającym błękitcie. Oszalałe cykady radośnie witały nadejście wieczoru. A my staliśmy w niemym zachwycie, bo chwil, kiedy czas na moment się zatrzymuje, nie ma w życiu wiele.

- Antosiu, to sprawę hotelu mamy na dzisiaj wyjaśnioną. - Czułem, że wszystko we mnie się uśmiecha.

Spojrzenie, którym Antośka mnie obdarzyła, było warte więcej niż wszystkie wcześniej oglądane freski i właśnie podziwiane widoki razem wzięte. Znacznie piękniejsze. I pełne... czegoś. Nie wiem, może miłości?

- A Estona chyba spuszczę ze smyczy, niech sobie pobiega!

Kiedyś słyszałem, że psy też potrafią się uśmiechać.

Teraz w to uwierzyłem.

Noorderwijk 2007-2008

Od autora:

Źródeł, w których uzupełniłem zakres posiadanych wiadomości - głównie pozamuzycznych - było tak wiele, że nie potrafię wskazać żadnego konkretnego. Mówimy o ogólnodostępnych zasobach informacyjnych, rozsianych po przepastnych czeluściach internetu. Co nie oznacza, że niektóre z opisanych dóbr kultury nie zostały powołane do życia dopiero teraz przez *Altowiolię*.

Spis treści:

IN	7
TRO	9
DUK	13
CJA	15
Rozdział 1	17
Rozdział II	37
Rozdział III	57
Rozdział IV	73
Rozdział V	91
Rozdział VI	109
Rozdział VII	129
Rozdział VIII	145
Rozdział IX	167
Rozdział X	183
Rozdział XI	205
Rozdział XII	219
Rozdział XIII	235
Rozdział XIV	249
Rozdział XV	267
Rozdział XVI	289
Rozdział XVII	323
C	355
O	357
D	359
A	361